PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK LIV Tom 216

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ

1937

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW“

SPIS RZECZY
NA KOŃCU TOMU

Wojna, gospodarka i ustrój.

Fetysze racjonalizmu.

Nad światem zawisła nowa wielka wojna. Mówią o tym głośno pacyfistyczni ministrowie angielscy w parlamencie i wróble na dachach we wszystkich krajach też o tym świergocą. Już się rozlega trzecie i ostatnie ostrzeżenie. Pierwszym był krwawy zatarg abisyński, drugiego dostarczyła rewolucja w Hiszpanii, trzecie rozwija się na Dalekim Wschodzie, z najrozleglejszym zasięgiem burzliwego wpływu.

Świat zatem dobrze wie co go czeka. Ale ten ginący świat kultury racjonalistycznej jest pełen mistycyzującego fatalizmu w odniesieniu do spraw, które rozstrzygają o jego bycie lub niebycie. Przez długie lata z masońskim nabożeństwem wyznawał wiarę w „pokój wieczny", wdzierając się przy tym w Genewie na niebotyczne jak Mont-Blanc szczyty naiwności lub obłudy. Wtedy to podczas jednego z najgorętszych rozbrojeniowych (przed powaleniem Abisynii) uniesień określił atmosferę intelektualną genewską jeden z publicystów francuskich aforyzmem: *La stupidité humaine c'est le phénomène intellectuel qui donne la meilleure notion sur l'infini...* A gdy pod kolejnymi surowymi podmuchami rzeczywistości z Mandżurii, Etiopii, Nadrenii, Hiszpanii rozwiały się doszczętnie pacyfistyczne mgły nad Lemanem, wtedy masońską mistykę „wiecznego pokoju" zastąpił odwrotny zabobon racjonalizmu: fatalistyczna rezygnacja wobec nadciągającej zagłady, oraz zbrojne a gorączkowe do niej przygotowania.

Obok tych dwu fetyszów, pokoju i wojny, racjonalizm podlega bezwolnie innym jeszcze mitycznym potęgom, których istota pozostaje zasłonięta przed jego oczyma. Tak w pierwszym rzędzie walka klas, oraz fałszujące jej oblicze krzywe zwierciadła jednostronnych doktryn Marxa i Adama Smith'a. Wobec rewolucji społecznej tonie przeto racjonalizm w fatalistycznym bezwładzie niemniej, jak wobec wojny. Z tego samego psychicznego nurtu wypływa wreszcie także kult koniunktury gospodarczej. Liberalizm ekonomiczny wychował świadomość ludzką w uległym poddaństwie wobec żądzy zysku, która suwerennie i automatycznie reguluje wszelkie procesy wytwórcze, wymienne, podziałowe. Wszelkie głębsze wniknięcie w psychologiczną i socjologiczną istotę tych zjawisk, zbadanie i opanowanie ich źródeł zostało wyłączone ze sfery dążeń liberalnego racjonalizmu ekonomicznego; w szczególności ze sfery dostrzegalności praktyków życia gospodarczego. Żaden poważny mąż wiedzy lub czynu w tej dziedzinie, hołdujący liberalizmowi, nie ubliżyłby swej godności świętokradzkim zamachem poznawczym na tajemniczy majestat koniunktury. Wobec niej przystoi prawowiernym jedynie pokora i przetrwanie, gdy się koniunktura odwraca, lub też entuzjazm i aktywność, gdy powrócić raczy. Nie inaczej jak wobec pokoju i wojny.

Fakt, że istotne, socjologiczne przyczyny wojen, rewolucyj a nawet fal koniunktury gospodarczej pozostają przeważnie poza obrębem świadomości ludów i rządów, jest wielkim nieszczęściem współczesnego świata. Nie zdając sobie sprawy z przyczyn nie zna on i nie stosuje głębszych metod walki z klęskami. Gdyby je nawet znał, nie wiadomo czyby się odważył i umiał je stosować, ile że wymagają one przestawienia psychiki zbiorowej na odmienny od dotychczasowego tor. Dlatego poszczególnym uderzeniom kryzysu gospodarczego liberalny świat nie przeciwstawia naogół nic prócz odruchowych szarpnięć polityki gospodarczej w kierunku do uderzenia przeciwnym. Gdy takie szarpnięcie przyniesie chwilową ulgę, wówczas natychmiast budzi „mistyczne" zaufanie do koniunktury, która raczyła powrócić, oraz złudną nadzieję, że już odtąd *bude jak buwało.* Istotnie chwalić Boga należy, że pomimo ubóstwa środków

stosowanych w walce z kryzysem, kiedy już jest bardzo źle, to koniunktura jednak jeszcze w pewnej mierze powraca i doraźnie ratuje sytuację. Gdyby koniunktura nie powracała, to wobec olbrzymiego natężenia niszczących uderzeń, danemu krajowi groziłaby niechybna, natychmiastowa, śmiertelna katastrofa.

Ale zaufanie do trwałości i zasięgu powracającej tym trybem koniunktury jest najzupełniej bezpodstawne i bardzo niebezpieczne. Opiera się wyłącznie na sprzecznej z rzeczywistością wierze w niezawodność kapitalistycznego *laissez-faire*'yzmu, lub socjalistycznego etatyzmu. Oba one nie wiele mają wspólnego z poważną przebudową społeczną, która jedynie może rozwiązać kryzys przynajmniej w krajach względnej samowystarczalności, jak Francja i Polska. To też Francja od szeregu lat szamoce się pod ciosami kryzysu naprzemian w stronę tępego konserwatyzmu liberalnego lub grubiańskiej, prymitywnej demagogii reform socjalistycznych. Gdy dziury deficytowe w bilansie zagranicznym i budżecie wyrosną do przerażających rozmiarów, ceny biegną w górę, frank „leci" w dół, bezrobocie się rozszerza a kapitały wyruszają zagranicę, — wówczas na widownię występuje Laval. „Żelazną ręką" deflacji powściąga rozwichrzone gospodarstwo, wprowadza je z powrotem w „wypróbowaną kolej" rutyny, wabi do powrotu wojażujące kapitały i osiąga reakcję ulgi. Po kilku miesiącach działanie nieopanowanych, nieustannie czynnych, zasadniczych, strukturalnych przyczyn przesilenia ujawnia się znowu w recydywie tych samych niszczących objawów. Laval ze swym „wypróbowanym" systemem uderza głową o mur i wywraca się. Zastępuje go Blum. Wyrzuca za okno powściągliwość deflacyjną i na oślep leci na ekspansję. Hojną ręką darzy robotników wszystkim czego ich dusza zapragnie byle tylko nie strejkowali okupacyjnie: więc przede wszystkim zwyżką płacy, skrótem pracy i zwężeniem bezrobocia. Odpręża deflację, osiąga krótką ulgę, ale wywraca do góry nogami kalkulację produkcji, i znów ceny pędzą w górę, kapitały — za granicę, frank — w dolne regiony, a z budżetu wyziera przerażająca otchłań niedoboru. Marksiści z ubocza doradzają, żeby się zdecydował na przełomowy marsz ku socjalizacji

produkcji, na początek zaś i przede wszystkim, żeby wielomiliardowymi pożyczkami począł zużywać kapitał francuski na roboty publiczne, czyli na utrzymanie bezrobotnych za pomocą inwestycyj. To wszystko niczego innego nie wróży jak dalszy zawrotny wzrost cen, deprecjację pieniądza, oraz wyrażonych w nim oszczędności. Podrażnione drobnomieszczaństwo porywa się jak lew do walki w ich obronie. Radykałowie grożą zerwaniem „folksfrontu", klasowcy się cofają, Blum pada, powstaje rząd Chautemps-Bonnet. Powrotna fala deflacji, znowu odcięcie od szubienicy, reakcja ulgi, oraz nadziej, że przecież *bude jak buwało*: rentownie, kapitalizująco, parlamentarnie i wolnomyślnie.

Tak jest we Francji, a w Polsce w zasadzie podobnie, choć w praktyce nieco inaczej. Mamy grubo mniej kapitału, rządy zaś znacznie autorytatywniejsze. Stąd linia znanej polityki gospodarczej trzyma się o wiele sztywniej. Po „radosnej" ekspansji, załamanej tak opłakanie w światowym kryzysie, już tylko gwałtowna reakcja deflacyjna, uporczywa, przewlekła, nieubłagana. Pomimo słabych stosunkowo obrotów zagranicznych głęboka, bezapelacyjna zależność od koniunktury światowej. Kiedy runęła w wielkim kryzysie, potoczyliśmy się za nią i my, ale nie ku jej walutowemu „nakręceniu", lecz tylko ku przetrwaniu w ustabilizowanej deflacji. Gdy na zachodzie koniunkturę podkręcano, gdy nade wszystko podniosła się automatycznie na skutek „błogosławieństwa" nieurodzaju oraz zbrojeń — ożywiliśmy się i my. Wzmógł się obrót z zagranicą, a w następstwie także produkcja krajowa, powróciła więc i do nas koniunktura, uciekliśmy się pod jej obronę, jedziemy na niej wierzchem powolutku, cieszymy się, zacieramy ręce, że dobrze jest i może znów będzie „radośnie". Zwłaszcza pierwszy kwartał był wspaniały: przyrost wytwórczości 12%, więcej niż przez cały rok ubiegły, chociaż jeszcze poniżej stanu przedkryzysowego. Wprawdzie przybywa nam rocznie po 200 tysięcy młodych rąk do pracy, oprócz parumilionowego zadawnionego i powierzchownie tylko redukowanego bezrobocia. Wprawdzie jeśli ktoś ucieka przed powodzią wolniej niźli go ona goni to jednak się faktycznie cofa ku topieli. Ale to nic, gdyż bądź co bądź odbiliśmy od dna. Posuwamy się naprzód w za-

wody z paru innymi żółwiami gospodarczego zacofania. Więc byle się tylko nie oglądać za siebie na wciąż głodujące i strajkujące rzesze, byle nie rozglądać się wokół na wielkich sąsiadów, to można „z ufnością patrzeć w przyszłość".

Co prawda ta fala ożywienia urwała się już zaraz w drugim kwartale, w pierwszym zaś stanowiła finał pobudzającego wpływu koniunktury światowej. Nie mąci to urzędowego optymizmu sprawozdawcy B. G. K., nie przeszkadza mu utrzymywać, że w społeczeństwie coraz bardziej gruntuje się zaufanie do trwałości koniunktury. W każdym razie gruntuje się ono zapewne w sferach kierowniczych, boć na tym zaufaniu jak na granitowej skale oparły się wszystkie wielkie i małe plany naszej rozbudowy gospodarczej. Niestety zaufanie to nosi charakter wyraźnie „mistyczny". Zgodnie z zasadami prawdziwie poważnej myśli gospodarczej, jak najmniej się zaprząta krytyczną oceną podstaw koniunktury światowej, w szczególności dwóch najważniejszych filarów za jakie jej posłużył stan urodzajów oraz natężenie zbrojeń. Cóż stąd, że nadają one koniunkturze światowej wyraźny charakter paroksyzmu aktywności przed katastrofą? Koniunktura dla prawowiernego liberała to jest nadziemska siła, która przychodzi i odchodzi jak *spiritus, qui flat ubi vult.* Alfą i omegą celowości gospodarczej jest „chwytać ją jak Pana Boga za nogi", kiedy raczyła nadejść i o więcej się nie troszczyć.

Mimo to mam wrażenie, że nasze społeczeństwo posiadające daje raczej wyraz swej nieufności, trzymając obecnie znaczne zapasy zdobytej w koniunkturze gotówki po bankach i nie angażując jej w produkcji. Przyczyn po temu przytoczyć można parę. Najoczywistszą pośród nich stanowi obawa wojny. Inna przyczyna to brak bodźca negatywnego jakim w r. ub. był lęk o stałość waluty, powodujący forsowne inwestycje kapitału w budownictwie. Trzecia wreszcie najznamienniejsza przyczyna to... walka z drożyzną. Przy gospodarce kapitalistycznej rozstrzygającym pozytywnym bodźcem wytwórczości, najistotniejszą cechą dodatniej „zwyżkowej" koniunktury jest wzrost cen. On daje znać, że popyt przerasta podaż, zapewnia jej rentowność i ożywia ją.

Wynika stąd zarazem, że najskuteczniejszym środkiem walki z drożyzną jest jak najszybszy wzrost podaży. Jeśli się go osiąga przez rozwój krajowej produkcji, to wprawdzie nie da się przy tym uniknąć przejściowego wzrostu cen, ale cały proces wytwórczo-wymienny reguluje się automatycznie z korzyścią dla gospodarstwa społecznego. Przy tym przejściowy wzrost cen pełni funkcję środka gromadzącego kapitał na rozszerzenie produkcji. Ponieważ jednak u nas zachodziła uzasadniona obawa, że z powodu ubóstwa środków obrotowych rynek nie pokryje wzrostu cen, przeto nasza polityka gospodarcza zastosowała zabieg przeciwdziałający drożyźnie przez dopuszczenie dodatkowej podaży z zagranicy. Zniżono lub zawieszono na pół roku opłaty celne od znacznej ilości towarów. Perspektywa silnej konkurencji i niskich cen musiała wpłynąć hamująco na przedsiębiorczość kapitału miejscowego. Ponadto nasz bilans handlowy z zagranicą już zaczął wykazywać stan bierny na skutek wzmożonego przywozu w związku z ożywieniem krajowej produkcji, który to związek ujawniał się wielokrotnie już dawniej. Zniżka cen tę tendencję podchwyci i umocni.

Widoki zatem dalszego gospodarczego podciągania Polski w oparciu o koniunkturę nie przedstawiają się bynajmniej różowo. Przeciwnie, fakt, iż Polska posiada zbyt mało kapitału ażeby móc pokryć przejściową choćby zwyżkę cen i rozwinąć produkcję do miary swoich potrzeb, posiada wszelkie cechy organicznego niedorozwoju gospodarczego, którego usunąć nie sposób metodami gospodarki kapitalistycznej. Stąd na każdym niemal kroku kapitalistyczna polityka gospodarcza kraju bywa wpędzana w zaułki bez wyjścia. Jeden z nich to sprawa potęgowania produkcji przy niskich cenach. Drugi to kolizja pomiędzy poziomem cen, kosztów utrzymania i zarobków. Trzeci to przeludnienie wsi, niedostateczna urbanizacja, industrializacja i stąd żywiołowa wojna chłopów z Żydami. Wreszcie najgroźniejszy zaułek zarysowuje się w związku z niebezpieczeństwem wojny. Jak i czym mielibyśmy ją finansować? *Kriegswirtschaft* w Polsce stanowi problemat jeszcze o wiele bardziej groźny niż w innych, zasobniejszych mocarstwach. Co więcej, jeżeli łudziliśmy się dotąd, iż takie węzły gordyjskie jak ożywie-

nie obrotu gospodarczego przy wielkim niedoborze środków obrotowych zdołamy rozwikłać, a takie ogniska zapalne jak gospodarcza wojna żydowska zdołamy uleczyć, nie wyrzekając się ustroju kapitalistycznego, to wręcz szaleństwem było by marzyć o tym, ażeby nasza kapitalistyczna nędza wyjątkowa mogła sprostać straszliwej próbie wojny. Skłonność do bezmyślnego optymizmu lub fatalizmu w tym zakresie wydaje się też w Polsce mniej niż gdziekolwiek indziej dopuszczalną.

Gospodarka wojenna.

Czym jest wojna dla gospodarstwa narodowego? Na jakich zasadach opiera się gospodarka wojenna przy kapitalizmie?

Odpowiedzi na te pytania udzieliły lata 1914—18. Wojna jest to taki stan rzeczy, w którym pracująca większość społeczeństwa musi utrzymywać bardzo liczną mniejszość wojującą, oraz dostarczać jej wielkich mas materiału wojennego. Powstaje stąd niesłychane obciążenie gospodarstwa narodowego wysiłkiem gospodarczo nieprodukcyjnym. Obciążenie jest tak wysokie, iż normalny obrót gospodarczy kraju wchłonąć go nie może, lecz musi zużywać zaoszczędzone zasoby kapitału inwestycyjnego. Utrzymanie wielkiej armii na stopie bojowej przerasta więc zdolność podatkową i budżetową najbogatszych mocarstw i z reguły musi być pokrywane kredytem. Kredyt przy kapitalizmie jest możliwy tylko tam, gdzie istnieje dostateczny po temu kapitał. Podczas wielkiej wojny kapitału na ten cel nie starczyło na rynku wewnętrznym nawet Francji i Anglii. Musiano ściągać kapitały krajowe lokowane zagranicą, następnie zaś wprost korzystać z ogromnego kredytu zewnętrznego, amerykańskiego. Dopiero wspólnymi siłami trzech największych potęg kapitalistycznych świata zdołano sfinansować wojnę, nie naruszając ustroju kapitalistycznego. W Anglii i Francji powstały olbrzymie długi państwowe wewnętrzne, których sama obsługa roczna obciążyła budżety tych państw niemal do połowy ich wysokości, na dziesiątki lat. W porządku międzynarodowym jednak kapitalizm nie wyszedł tak zwycięsko z tej ogniowej próby. Owszem załamał się wyraźnie

w sprawie długów wojennych, wynoszących kilkanaście miliardów dolarów, które zostały faktycznie skreślone z powodu bankructwa Niemiec, na niekorzyść Ameryki. To zjawisko powiązało się genetycznie z wielkim kryzysem gospodarki światowej i ustroju kapitalistycznego, ciążącym obecnie ku wyładowaniu w nowych zniszczeniach wojennych. Całokształt tej perypetii dowodzi także niewątpliwie, iż Anglia, Francja i Włochy nie były dość potężne ani finansowo, ani rzeczowo, ażeby rozwinąć wysiłek niezbędny dla pokonania Niemiec, przeto znaczna część tego wysiłku została bezpowrotnie przesunięta na barki Ameryki.

Co do Niemiec, to mogły one liczyć na własne tylko swoje siły. Wojnę sfinansowały w postaci wewnętrznego długu państwowego o wysokości z górą stu miliardów marek przy 300 miliardach marek ogólnej wartości majątku narodowego. Wysiłek ten wydrenował z kapitałów rynek wewnętrzny, wchłonął niemal wszystek kapitał niemiecki inwestowany zagranicą, pod koniec wojny okazał się jednak jeszcze o tyle niedostateczny, że nie pozostało innego wyjścia, jak inflacja skarbowa na potrzeby wojenne, druk banknotów. Po zawarciu pokoju niemieckie gospodarstwo narodowe znalazło się w stanie takiego wyczerpania, że nie było w możności ponosić kosztów utrzymania aparatu państwowego. Stąd coraz głębsza inflacja skarbowa, aż do przełomu z 1923 r. Inflacja miała zresztą także ten skutek, że skreśliła państwowy wojenny dług niemiecki, wycofując jego astronomiczny wymiar z obrotu między państwem a społeczeństwem na niekorzyść społeczeństwa.

Polska również przeszła przez inflacyjną klęskę w związku z wielką wojną, ponieważ prowadziły ją na jej koszt mocarstwa zaborcze. Jakie jednak widoki może mieć Polska niepodległa do finansowania nowej jeszcze sroższej wojny we własnej niejako administracji? Rzecz jasna, że, w ramach ustroju i techniki finansowej kapitalistycznej, jeszcze słabsze od widoków opanowania pokojowego kryzysu gospodarczego. Jeżeli nasze zasoby kapitalistyczne nie wystarczają na to, ażeby gospodarstwo narodowe uruchomić w stopniu nieodzownym dla zapewnienia bytu społeczeństwa w czasie pokoju, to tym bardziej znajdują się w absurdalnej wręcz

dysproporcji z tytanicznymi zadaniami kredytowymi strasznej próby wojennej. Co by stąd w praktyce wynikło w razie gdybyśmy musieli mobilizować milionową armię, nie trudno przewidzieć. Jeżeli nie od razu pierwsza kilkuset milionowa pożyczka wojenna wewnętrzna, to napewno po paru miesiącach lub tygodniach druga taka pożyczka pociągnęła by za sobą taki efekt, że wyssane z kapitału życie gospodarcze poczęło by gwałtownie ustawać, aż do zupełnego unieruchomienia, włącznie z przemysłem wojennym. To by oznaczało oczywiście szybką klęskę wojenną, koniec niepodległości. Moglibyśmy pociągnąć nieco dłużej, gdyby w ostatniej chwili przed wojną udało się nam zdobyć jakiś jednorazowy kredyt zagraniczny, bo systematyczne kredytowanie polskiej wojny przez obcych, zwłaszcza wbrew Niemcom, jest wyłączone. Poza tym w bliskiej, bardzo bliskiej rezerwie rozporządzalibyśmy jedynie inflacją. Gdybyśmy ją zastosowali wprost na potrzeby armii zamiast pożyczek, to w gwałtownie szybkim tempie poczęłaby nam deprecjonować kapitał i pieniądz. Kto wie, czyby się dało takim trybem prowadzić wojnę choćby tylko pół roku? Gdybyśmy natomiast zastosowali inflację gospodarczą dla zastąpienia wycofywanego na pożyczki wojenne kapitału obrotowego produkcji, to poruszylibyśmy się w kierunku jedynie pozytywnym, ale zbyt późno i nie wiadomo czy z należytym uwzględnieniem związanych z nim niebezpieczeństw. A także i na tej drodze nie trudno o skręcenie karku.

Rzecz w tym, iż jest to ta sama droga, która jedynie prowadzi do pozytywnego wyjścia z pokojowego kryzysu społeczno-gospodarczego, ale pod warunkiem zrozumienia związanych z nią możliwości oraz przestrzegania odpowiednich zasad. Gdyby się na tę drogę wkroczyło świadomie, celowo i prawidłowo już w czasie pokoju, to wyprowadziłaby ona z wszystkich bezwyjściowych zaułków matni, w której szamoce się tragiczna rzeczywistość. Ale zarazem okazało by się wtedy, że ocalone gospodarstwo społeczne znalazło się po tamtej stronie barykady, że się wydarło ze śmiertelnych objęć konającego kapitalizmu i przeszło w ustrój nowy, odmienny.

Otóż tego obawiają się przesadnie benefisanci ustroju właśnie dzierżący władzę gospodarczą i polityczną. Stąd zacięty upór przy metodach, które wprawdzie wiodą do społecznego rozkładu, ale zato pielęgnują ustrój. Od czegóż zresztą mistyka ekonomicznego materializmu, wiara we wszechmoc koniunktury oraz niezniszczalność istniejących form życia? Od czego fatalizm wobec nadciągającej wojny i bałwochwalcza dogmatyzacja zbiorowych żądz, które ku niej człowieczeństwo pędzą? Od czego wreszcie zaślepiona, tępa negacja śmiertelnego niebezpieczeństwa, które by można odwrócić tylko środkami zmieniającymi położenie, a więc budzącymi obawę uprzywilejowanych?

Któż wie, może dlatego właśnie nowa wojna zdaje się leżeć w zamiarach Opatrzności, że przemocą złamałaby najtwardsze opory, rozdarła najzaciętszą rutynę. Przyłoży nóż do gardła, zmusi do finansowania operacyj wojennych inflacyjnym drukiem banknotów. Wtedy może dopiero otworzą się oczy na to, że inflacja inflacji nierówna, że jest to ostre narzędzie, które użyte w ślepym odruchu rozpaczy — zabija, poprowadzone zaś umiejętnie dłonią chirurga — ocala.

Podwoić budżet armii.

Było by jednak dużo bezpieczniej, gdybyśmy jeszcze w czasie pokoju świadomie zastosowali ten stanowczy środek, by wyjść z pozycji upokarzającej i groźnej, jaką zajmujemy wlokąc się w ogonie ginącego kapitalizmu, jak łachman ostatniej nędzy. Jedna i ta sama droga prowadzi w kierunku zarówno zmiany i usprawnienia ustroju, jak też szybkiej dynamizacji narodowego gospodarstwa, zdolnej wydobyć zeń, bez marnotrawstwa, rzeczywiste maximum wysiłku w ogniowej próbie wojennej. Lepiej jest wejść na tę drogę celem gospodarczego przygotowania do wojny, niźli zostać zepchniętym na nią w trakcie prowadzenia samej wojny.

Latem ub. roku pisałem obszernie w *Przeglądzie,* jak wyobrażam sobie zmianę funkcji społecznej pieniądza przez oderwanie go od złota, oraz nieograniczoną nim dyspozycję ze strony państwa. Złoto stanowi psychologiczny kręgosłup,

pieniądz obrotowy *nervus rerum* kapitalizmu. Łącznie z kapitałem, który się w nich wyraża, uruchamia je działalność gospodarcza jednostek pędzona impulsem zysku osobistego. Ale społecznie kapitał, złoto i pieniądz komasują się w żywiołowe potęgi, które po przez tę samą żądzę zysku i chaos indywidulistycznej gospodarki, podporządkowują sobie całe gospodarstwa narodowe, tyranizując społeczeństwo ślepym automatyzmem kapryśnych koniunktur. Chodzi więc o to, ażeby te siły ujarzmić, uczynić powolnym narzędziem gospodarki planowej, któraby naczelny dotąd impuls osobistego zysku podporządkowała potężniejszej odeń konieczności zapewnienia bytu masom, oraz sprawiedliwszego, niźli kapitalistyczny, podziału dochodu społecznego.

Nieograniczona dyspozycja pieniądzem pozwoli państwu planowo regulować i uzgadniać skłócone, rozbieżne funkcje życia gospodarczego za pomocą „równania w górę" kosztów produkcji cen i płac. To znaczy, że gospodarstwo narodowe może i powinno w tych warunkach zaniechać beznadziejnej walki z drożyzną, dążyć zaś jedynie do podniesienia produkcji na miarę potrzeb spożycia, oraz uruchomienia wytwórczo-spożywczego obrotu choćby na poziomie wysokich cen. Państwo bowiem posiada przy tym systemie możność i obowiązek dostarczenia produkcji kapitału obrotowego we wszelkiej potrzebnej ilości, zdolnej pokryć wszelki poziom cen. Musi jednak wystrzegać się pogwałcenia samej natury pieniądza jako środka obrotowego. Państwo zatem nie może drukować banknotów a przynajmniej może to czynić tylko w ograniczonym zakresie, mianowicie zamiast ściągania podatków na potrzeby skarbu, bo wtedy wybiera z gospodarstwa towar a zwiększa ilość pieniędzy, więc je deprecjonuje, niszczy ich wartość. Nie może także, albo może tylko w ograniczonym zakresie, zastępować drukiem banknotów normalnie zaoszczędzony kapitał w długo terminowych inwestycjach, bo wtedy wprowadza w obieg masę nowych pieniędzy, które są potrzebne tylko dopóki nie zostanie wykonana dana praca inwestycyjna. Później potrzeba w przeważnej części ustaje, ale pieniądze w obiegu pozostają i znów się deprecjonują. Może natomiast i powinno państwo dostarczyć pieniądza na kapitał obrotowy wszędzie tam, gdzie istnieje pew-

ność, iż z nakładem tego kapitału szybko zostanie wyprodukowany nowy towar, szybko spożyty i szybko a periodycznie na nowo wykonany i spożywany. Te warunki istnieją głównie w rolnictwie, przemyśle przetwórczym, oraz handlu.

Wzrost produkcji, zamykanie „nożyc" cen między jej niektórymi gałęziami, jakoteż wyrównywanie wzajemnego stosunku kosztów produkcji, cen i zarobków nie są możliwe bez ogólnego wzrostu cen, tym bardziej że państwowym kapitałem pieniężnym wypadło by jednak zastępować częściowo niedostateczny w kraju zasób kapitału inwestycyjnego. Wzrost ten niszczy kapitał istniejący i przeszkadza powstawaniu nowego. Na to jest jednak rada w powszechnej waloryzacji według wskaźnika cen hurtowych wszelkich zobowiązań, z podatkami w pierwszym rzędzie, celem ochrony równowagi budżetu.

Na tym muszę przerwać rekapitulację norm postępowania, którą szerzej wyłożyłem w roku ubiegłym. Są one o tyle nowe, że dotąd „druk banknotów" był znany tylko w trzech postaciach, z których dwie mają charakter destrukcyjny. Pierwsza z tych postaci to stosowana szeroko po wielkiej wojnie konsumcyjna inflacja skarbowa. Druga to proponowane obecnie jako antidotum przeciwko bezrobociu — roboty publiczne finansowane „bonami pracy" a więc rodzajem pieniądza pomocniczego. Trzecia zaś postać jest pozytywna, ale dotąd w bardzo nieśmiałym tylko zakresie stosowana przez państwa anglo-saskie w tzw. „manipulacji walutą". Bogatym Anglosasom zakres ten wystarczył dla doraźnego opanowania kryzysu. W wynędzniałej zaś Polsce wypadło by w tym kierunku wróżyć głęboki przełom. Dotąd zarysowały się u nas tego rodzaju dążenia zbyt płytko. A przede wszystkim inicjatywy inflacyjno-inwestycyjne Tytusa Filipowicza i Stanisława Grabskiego. Dawały one wyraz odruchowej reakcji przeciwko klęsce bezrobocia. Rząd poszedł mu naprzeciw w granicach walutowego klasycyzmu, przez swój rozszerzony plan inwestycyjny. Tegoż domagają się socjaliści francuscy od swego państwa. W oderwaniu od ogólnego zasadniczego przełomu w dziedzinie pieniężnej i kapitałowej te inicjatywy inwestycyjne grożą bezwarunkowo destrukcją.

Inna rzecz, że inwestycje państwowo-pieniężne o charakterze nawet długoterminowym mogą i muszą być w pewnej mierze dopuszczane jako nieunikniona konieczność. Mogą wszakże nie załamać narodowego gospodarstwa tylko w tym wypadku, jeżeli zostaną zrównoważone i podtrzymane przez równoległe i dostatecznie silne ożywienie szybkiego, przetwórczo-spożywczego obrotu. W Polsce w r. ub. wysuwała się na pierwszy plan konieczność robót publicznych dla zatrudnienia bezrobotnych. Propagowali ją właśnie Filipowicz i Grabski. Teraz ta konieczność osłabła częściowo z powodu rządowego planu inwestycyjnego, częściowo zaś z powodu „dobrej koniunktury". Na czoło naglących trosk wysuwa się sprawa pogotowia wojennego. W ramach obecnej polityki gospodarczej jest to zadanie nieomal beznadziejne. Możliwe są tylko zupełnie nieproporcjonalne do miary niebezpieczeństwa zasięgi o charakterze *ut aliquid fieri videatur*. Wobec tak potężnych posunięć sąsiedzkich jak niemieckie zarządzenia wojenno-gospodarcze w rolnictwie i hutnictwie nie zdobyliśmy się nawet na zalecane usilnie przez jeden z dzienników gromadzenie znaczniejszej rezerwy zbożowej na rachunek Banku Polskiego. Nie tylko zapewne dlatego, że było by to walutowo-nieklasyczne, ale przede wszystkim dlatego, że chodzi o podtrzymanie równowagi bilansu handlowego, do której naruszenia dopuszczono, a którą jeszcze dalej naruszać się zamierza — dla walki z drożyzną.

Gdybyśmy nie chowali głowy w piasek koniunktury, ażeby nie widzieć niebezpieczeństwa wojny, lecz poważnie gotowali się do niej pod względem gospodarczym, to moglibyśmy to uczynić jedynie w taki sposób, o jakim była mowa wyżej. W niebezpieczeństwie wojennym oraz tragicznych powikłaniach deflacyjnych znaleźlibyśmy dogodne punkty zaczepne dla zaszczepienia nowego rodzaju akcji kierowniczo-gospodarczej. Pogotowie wojenne wymaga przede wszystkim znacznego podniesienia wydatków na armię. Chcąc chociaż trochę poważniej podciągnąć te wydatki w kierunku poziomu niemieckiego lub sowieckiego, należało by co najmniej podwoić nasz budżet wojskowy. W dzisiejszym stanie i przy dzisiejszym ustroju naszego życia gospodarczego było by to

niewykonalnym szaleństwem, gdyż dało by się przeprowadzić tylko drogą ordynarnej inflacji skarbowej. Normalnie zamiar taki wymagałby znacznego podwyższenia podatków. Może sobie na to pozwolić Bonnet we Francji, bo chociaż popędza tym samym koszta produkcji i drożyznę, ale jego kraj ma je czym pokrywać ze swego bogatego zasobu kapitałów, powracających znów z zagranicy. Dla nas ta droga jest zamknięta. My, chcąc podnieść zdolność podatkową społeczeństwa, musielibyśmy środkami rewolucji walutowej zdynamizować uprzednio we właściwym stopniu nasz obrót gospodarczy wewnętrzny.

Od czego by taką rewolucję można zacząć? Sądzę, że odpowiednim, a z pogotowiem wojennym związanym, punktem wyjścia mogłaby się stać zalecana przez jeden z dzienników interwencja zbożowa Banku Polskiego. Po tym pierwszym kroku należało by nie zwlekać z wprowadzeniem monopolu handlu zbożem i ewentualnie także innymi płodami rolnymi. Podniosło by się wyżej ceny rolne, spotęgowało siłę nabywczą ogromnej masy ludzkiej zamieszkującej wieś, wzmogło popyt na „artykuły nabywane przez rolników", przy czym kapitał prywatny, przeważnie żydowski, wycieśniony z handlu zbożem, mógłby się z korzyścią inwestować gdzie indziej, choćby w przemyśle zaspakajającym potrzeby wsi, który by rozszerzał wytwórczość proporcjonalnie do zwiększonego popytu. W razie potrzeby zresztą ten przemysł musiałby również otrzymać kredyt obrotowy państwowy.

W dalszej ewolucji należało by dążyć do monopolizacji innych jeszcze działań hurtownictwa, kapitał zaś prywatny, przeważnie żydowski, wycieśniać z nich do innych produkcyjnych i bardziej długoterminowych inwestycyj. Te inwestycje byłyby gwałtownie konieczne, ponieważ przy niedostatecznym uprzemysłowieniu kraju szybki rozrost krajowej produkcji wymagałby rozbudowy aparatu produkcyjnego a także potęgowałby import i groził niedoborem w obrocie zagranicznym. Należało by więc planowo uzdalniać kraj do jak największej autarkii. Jedną z najważniejszych podstaw tego systemu musiałaby stanowić zasada waloryzacji zobowiązań według wskaźnika cen hurtowych oraz waloryzacja zarobków i wszelkiej robocizny według wska-

źnika kosztów utrzymania. Dzięki niej kapitalizacja odbywałaby się w tempie proporcjonalnym do szybkiego wzrostu wytwórczości i spożycia, ograniczając konieczność bezpośredniej inflacji inwestycyjnej ze strony państwa. Przeto waloryzacja przy wzroście cen miałaby to do siebie, że automatycznie wydobyłaby z ukrycia i włączyła w obrót wszystek kapitał polskich obywateli obecnie tezauryzowany w kraju oraz za granicą. Szacowany on jest co najmniej na miliard złotych. Musiało by się tak stać dlatego, że system, o którym tu mowa, opiera się oprócz równowagi budżetu także na zasadzie równowagi bilansu zagranicznego i nienaruszalnej „stałości waluty" polskiej w stosunku do złota oraz walut obcych.

Kredyt obrotowy oparty na kapitale pieniężnym, antycypowanym przez bank emisyjny, miałby do odegrania poważną rolę głównie w początkach okresu przebudowy. Na ogół pełniłby funkcję dopełniającą i zastępczą urzędu tam, gdzie przed osiągnięciem pełnej dynamizacji narodowego gospodarstwa oraz równowagi i stabilizacji kosztów, zarobków i cen — dawałby się odczuć niedobór kapitalizacyjny.

Zasadnicza perspektywa rozwojowa tego planu gospodarczego zarysowywałaby się tak jak to naszkicowałem, gdyby miała zapewnioną chociaż jedną „pięciolatkę" pokoju. W razie wojny nastąpiłyby oczywiście ciężkie komplikacje. W każdym bądź razie finansowanie wojny musiałoby się oprzeć na pożyczkach i podwyższonym budżecie. Wszystko zatem przemawia, że taka procedura sparaliżowałaby kompletnie państwo i gospodarstwo narodowe polskie najdalej w ciągu trzech miesięcy, o ileby gospodarstwa nie podtrzymał kredyt obrotowy pieniężno-emisyjny. I wtedy jednak nie na długo by wystarczył nasz skromny zasób kapitału zaoszczędzonego. Z chwilą zaś gdyby przyszło wojnę finansować bezpośrednio drukiem banknotów — stanęlibyśmy od razu bardzo blisko kresu naszej gospodarczej zdolności bojowej.

Dlatego trzeba koniecznie, ażebyśmy ją choć cokolwiek umocnili jeszcze w czasie pokoju. To też powinniśmy odrzucić złudzenie jakobyśmy mogli wyrównać zacofanie niewoli oraz podciągnąć Polskę do miary jej potrzeb i grozy wojennej, wlokąc się żółwim tempem na pasku koniunktur

za kapitalistycznymi potęgami ginącego świata. Surowa wymowa burzliwych faktów, wewnętrznych i zewnętrznych, raz w raz daje nam znać, że nie za lat 20, jak pragnie nas wicepremier, lecz już w najbliższych latach, jeśli nie miesiącach, Polska będzie musiała rozegrać tragiczną swoją grę.

*

Zmiana funkcji społecznej pieniądza i kapitału, zmiana impulsów i celów gospodarki stanowi zasadniczą treść wielkiego przełomu, który musi wyrazić się także w zmianie form ustrojowych i politycznych; rozwinąć się zaś i utrwalić będzie mógł jedynie przy równoległej zmianie duchowego stosunku człowieka do życia, oraz odpowiedniej przebudowie kultury. Szerokie tu więc miejsce jeszcze się szykuje dla ideowej dyskusji, której na razie ciągnąć dalej już nie mogę. Zaznaczę tylko na zakończenie, iż pomiędzy systemem wyżej naszkicowanym a doktryną korporacjonizmu i gospodarki planowej zachodzi ścisły związek. Ustroje korporacyjne Włoch, Portugalii i Austrii, dlatego dotąd noszą charakter „fasadowy", dekoracyjny, nieistotny, że nie potrafiły opanować i poddać woli rządzącej funkcyj społecznych pieniądza i kapitału. Wprawdzie rządy totalne, a nawet i amerykański, zdołały już w znacznej mierze zapewnić sobie naczelną dyspozycję pieniądzem i kapitałem w swych krajach, jednak znajdują się dopiero na progu społecznych „równań w górę", których samym tylko kapitałem zaoszczędzonym rozwiązać się nie da.

Na ogół problemat przebudowy społecznej w państwach zachodnich tym się różni od polskiego, że tamte gospodarstwa cierpią na przerost zdolności produkcyjnej i kapitało-twórczej, czyli „klęskę nadmiaru", wymagają przeto planowego regulowania wytwórczości w sensie ograniczającym, oraz nowych metod społecznego podziału. W Polsce zaś przeciwnie chodzi o planową intensyfikację zdolności wytwórczej, przy równoczesnym zastosowaniu „nowego podziału" społecznego. Zasadnicza jednak metoda przebudowy pozostaje ta sama, zapoczątkowana amerykańską manipulacją, walutową i kredytową inflancją, które w Polsce jednak muszą być inaczej postawione i szerzej rozwinięte. Z kor-

poracjonizmem wiąże się ta metoda organicznie przez gospodarkę planową. Nie może ona być prowadzona biurokratycznie, bo stałaby się papierową, ani etatystycznie, bo by zniedołężniała. Może być prowadzona jedynie przez zrzeszenia zawodowe lub wytwórcze pod nadzorem nielicznej ale wysoko wyspecjalizowanej biurokracji gospodarczej. Tak np. monopol handlu rolnego, który by powinien zainaugurować przebudowę Polski, nie powinien być przedsiębiorstwem państwowym, lecz towarzystwem o prawach monopolicznych, podobnie jak w innych państwach, gdzie go już zaprowadzono. Otworzyłby on teren próbny dla naszych uzdolnień korporacyjnych.

*

Według ostatnich wiadomości urodzaj okazał się zły, ceny rolne poszły w górę wyżej od zagranicznych, o eksporcie nie ma mowy, bilans zaś zagraniczny w lipcu znów jest poważnie bierny. Powstaje wobec tego kwestia, czy nie wypadnie się cofnąć przed jego dalszym obciążeniem zniżką ceł. Jeśli zostanie cofnięta, to produkcja się ożywi, ale ceny szybko ruszą w górę, oderwą się od zdolności nabywczej rynku, wyczerpią kapitał i koniunktura runie.

Polityka deflacyjna stoi więc znowu przed orzechem tak twardym do zgryzienia, że jeśli na nim zębów nie połamie, to może kraj z powrotem strącić na kryzysowe dno. Klęska taka w obecnych warunkach wystawiłaby na bezpośrednie ryzyko — niepodległość. Ta klęska grozi dlatego, że rozporządzając pracą, materiałami i narzędziami nie możemy rozwinąć produkcji dla braku zaoszczędzonego kapitału. Może więc nareszcie starczy nam zrozumienia i odwagi, by ten kapitał zastąpić kredytem antycypującym w gruncie rzeczy tylko dobrą wolę, wysiłek i zaufanie narodu do samego siebie. Niemców było duchowo stać i na „cud rentenmarki" i na obecny stan ich waluty. A my? Czy porzucimy złoty zabobon kapitalizmu, który nas jak zmora dławi? Lęk i strach nas przed tym bierze, ale jest to pytanie równoznaczne z — *to be or not to be?*

St. Szczutowski.

W perspektywie czasu.

Obraz polskiej literatury w listach E. Orzeszkowej.

Czas, zależnie od tego, czy jest teraźniejszością, przeszłością, czy przyszłością, ukazuje nam otaczające nas życie, w coraz nowych kształtach. Jest to nasza najbardziej zmienna i najpełniejsza niespodzianek soczewka, która obracając się ustawicznie, ustawicznie zmienia nasz sąd o sprawach tej ziemi.

Tę zmienność sądów, zależnie od tego, czy wydaje je „dziś" o sobie czy o „wczoraj", widzimy bardzo jasno gdy chodzi o sądy literackie jakiejś epoki. Na minione zjawiska kulturalne i literackie, zwykliśmy patrzeć przez dobrze już wyszlifowany pryzmat historii. Historia literatury epoki minione porządkuje, wygładza, oddziela plewę od ziarna, orzeka bezapelacyjnie o wielkości czy małości pisarzy danej epoki i o doniosłości ich dzieł. Przywykliśmy sądzić, że ten ustalony obraz kulturalny jakiejś epoki, jest obrazem prawdziwym, tzn. zgodnym z rzeczywistością. Może rzeczywiście bywa on zgodny z rzeczywistością dzisiejszą, tj. odpowiada mierze wielkości, jaką dzisiaj do ludzi i dzieł ich stosujemy. Ale rzadko tylko obraz taki jest zgodny z obrazem, w jaki wierzyła i jaki widziała epoka miniona. To też sąd współczesnych o ich epoce jest zawsze bardzo ciekawy a zwykle od naszego różny.

Takich właśnie sądów, od naszych odmiennych, o kulturze i literaturze epoki, pełne są listy Elizy Orzeszkowej. Rzucają one co prawda więcej światła na samą Orzeszkową

i na jej epokę niż na sądzonych ludzi, ale może są tym właśnie cenne.

Postarajmy się tym sądom przyjrzeć i motywy ich zrozumieć.

Na samym początku pierwszego tomu korespondencji Orzeszkowej, uderza nas jej raczej trafny, w każdym razie bardzo trzeźwy sąd o największej „wielkości" epoki, o Kraszewskim. Już z treści i tonu jej listów moglibyśmy się domyśleć, gdybyśmy nie wiedzieli tego skądinąd, czym wówczas był Kraszewski, do jakiego stopnia był narodową relikwią, świątkiem i bonzą. Ton listów Orzeszkowej o tej wielkości jest pełen uszanowania, prawie czołobitności, pełen tej zaokrąglonej kurtuazji, która była wówczas obowiązująca. Ale poprzez tę formę przebija jednak szczypta — jeśli nie ironii — to dalekości i chłodu; Orzeszkowa mimo słów najbardziej hołdowniczych, nie waha się ze zwykłą sobie szczerością i odwagą robić uwag krytycznych pisarzowi w oczy, a w jej szacunku nie czuć do Kraszewskiego sympatii. Prawdziwy jej sąd o Kraszewskim ujawnia się swobodnie w liście do Jeża, i potwierdza to wrażenie brak sympatii, jaki odczuwaliśmy w listach do niego: „Kraszewski, obok wielkiego talentu swego i ważnych innostronnych zalet umysłu, posiada w sobie dużo gadulstwa, sentymentalizmu i łzawości, którymi trafia do większości narodu, opatrzonego przez okoliczności w cechy te same. Zdaniem moim są to słowa zagadki tej tak niezmiernej a wyjątkowej u nas popularności jego..." „zasługa wielka pozostanie na zawsze, ale ubóstwianie odpadnie z pewnością i inni, dziś przysłonieni tą olbrzymią sławą, wystąpią naprzód i z kolei ją zaćmią". Oprócz tych wad talentu zarzuca Orzeszkowa Kraszewskiemu — i zdaje się zarzuca przede wszystkim „umiejętność oscylowania pomiędzy pojęciami i stronnictwami różnymi", „umiejętność dogadzania wszystkim, którą podziwiać można, lecz której zazdrościć niepodobna".

Te słowa mierzą nie tyle w pisarza, ile w człowieka i jego stanowisko polityczno-społeczne. I gdy rozpatrujemy sądy literackie Orzeszkowej, widzimy, że prawie wszystkie odnoszą się przede wszystkim do człowieka, odnoszą się przede wszystkim do jego roli politycznej i społecznej, do jego możnaby powiedzieć wartości patriotycznej.

Zrozumiałym jest, że w owej epoce sądy o „sztuce czystej" były rzadkie, a cała literatura sądzona była raczej z punktu jej wartości i użyteczności narodowej; wszystko było i być musiało „służbą sprawie". Orzeszkowa tak właśnie pojmowała literaturę, bo powiada: czy to podobne, aby w kraju naszym, „ktoś stał tak sam, sam zupełnie, ani z tymi, ani z owymi, ani za tym, ani za owym, nad wszystkimi i nad wszystkim"?

To też widzimy wyraźnie, jak sądy wielkiej pisarki, kształtują się wedle tego, czy dany pisarz jest „z tymi czy z owymi", czy jest w jej własnym obozie gorącego, ofiarnego, bezkompromisowego patriotyzmu, w obozie jak na owe czasy społecznie radykalnym i postępowym, czy też jest w obozie może równie szczerze patriotycznym, ale w obozie wcielającym ten patriotyzm inaczej i autorce naszej niesympatycznie.

To pokrewieństwo patriotyczno-społeczne lub brak tego pokrewieństwa, leży u dna bardzo ciekawego stosunku Orzeszkowej do dwóch współczesnych powieściopisarzy do Jeża i Sienkiewicza.

Jeż jest dla Orzeszkowej nie tylko bliskim (choć nigdy osobiście niepoznanym) przyjacielem, lecz także bóstwem, literacką wielkością, geniuszem. Ceniła i podziwiała go jako człowieka, jako patriotę, jako pracownika. Oczywiście nie myliła się w sądzie o człowieku, lecz zawiodły ją nadzieje pokładane w potomności, co do oddania hołdu talentowi zapoznanemu przez współczesnych. „Spomiędzy tych słońc bliskiej nawet przyszłości Pan będziesz pierwszym. Przestaną wtedy liczyć, ile Kraszewski napisał wierszy i wyrazów, a policzą ile pojęć zdrowych i nowych, ile obrazów świetnych i szlachetnych narodowi swemu przyniósł Jeż". Zapowiedź tej przyszłej sławy widzi już wśród młodzieży: „Masz pan za sobą całe pokolenie młode". „Mówią o panu: dzielny, śmiały, genialny Jeż". I o ile nie ma nic do prostowania w sądach Orzeszkowej o Jeżu jako o człowieku, to w ocenie artysty przyszłość, na którą tak liczyła zawiodła. Entuzjastyczna młodzież nie dotrzymała kroku, a słońce Kraszewskiego zaćmił kto inny, ktoś, komu Orzeszkowa przepowiadała szybkie wyczerpanie talentu i przemijającą tylko

sławę: Sienkiewicz. Życie nie potwierdziło szlachetnych przekonań pisarki, że miarą talentu i miarą sławy, jest gorącość ducha, wielkość cierpień, i wielkość w trudzie toczonych walk.

Wielkość talentu Sienkiewicza widziała Orzeszkowa doskonale. Zawsze, nawet tam gdzie się na niego oburza, mówi o nim jako o wielkim pisarzu i wielkim artyście, „przeczytałam... parę książek, między innymi „la Débacle", którą znajduję przechwaloną. Co za porównanie do eposów Sienkiewicza". ...I wszędzie nawet tam, gdzie się na Sienkiewicza oburza, mówi o nim jako o wielkim pisarzu i wielkim artyście. Ale może właśnie dlatego, oburzenie jest tym żywsze. Nie można się dziwić, że pomiędzy Sienkiewiczem a Orzeszkową zrozumienia i sympatii nie było. Dla kobiety tak wierzącej w naukę, w filozofię, w postęp przez naukę, miałkość filozofii Sienkiewicza była prawdziwym kamieniem obrazy, a wpływ jego mimo braku silnego filozoficznego podkładu, był powodem jej bolesnego zdziwienia: „...prawdą jest, że można pisać prześliczne nowele, a na filozofii i polityce znać się tyle co koza na pieprzu, albo też nawet i znać się na nich nieco, ale znajomość tę uważać za niedogodną sobie i schować ją za dziesiątą skórę. Mnie się zdaje, że tu i tego trochę jest, i tego; że Sienkiewicz i nietęgi filozof z natury, i filozofię za twardą poduszkę w dzisiejszych czasach uważa. Ale w rozbiór rzeczy tych mało kto wdawać się chce i może, więc słowo jego jako znakomitego nowelisty powagę ma wielką".

Z tego braku filozoficznej podbudowy wysnuwa Orzeszkowa jak najczarniejsze horoskopy dla przyszłości Sienkiewiewicza: „Czy czytał pan ostatnią nowelę Litwosa w Niwie „Latarnik"? Ładna jeszcze, ale już trochę słaba. Myślę, że wielki talent ten nie ma wielkiego życia przed sobą. Brak mu gruntu, z którego mógł by długo soki pożywne czerpać. Zdaje mi się, że nadchodzi czas, w którym bez umysłowych podstaw natury pewnej i pewnych przymiotów charakteru, absolutnie nie podobna będzie być dobrym pisarzem. Talent twórczy zaczyna potrzebować coraz bardziej różnostronnych wsparć i zasiłków. Dawniej ładne mniej więcej bajeczki nie potrzebowały tylu zachodów, przysposobień i różnej natury sił".

Raz jeszcze nie okazuje się Orzeszkowa dobrym prorokiem, nie wyczuwa, że stoi u bram epoki „nagiej duszy" i sztuki dla sztuki.

Nie widząc myślowych i filozoficznych powodów sławy i wpływu Sienkiewicza, przypisuje ją innym przyczynom: „Sienkiewicz ma szczęście do wszystkich bez wyjątku. Prawda, że to talent wielki, ale że i moda także, to pewna."

Nie można nie wyczuć w tych sądach i pewnej nuty osobistej, jakby nieuświadomionej może zazdrości, dla łatwego sukcesu młodego kolegi, dla łatwych warunków jego życia, które wydawały się jeszcze bardziej różowe, pisarce żyjącej w warunkach jakżeż ciężkich, w ustawicznej walce, wśród wrogiego otoczenia i pod knutem. Do wzbudzenia sympatii dla Litwosa nie przyczyniła się też ostra jego krytyka „Nieróżowej sielanki" Orzeszkowej i ostry sąd o twórczości uwielbianej przez nią Konopnickiej. Ale tu występują już wyraźnie polityczno-społeczne motywy niechęci, które niewątpliwie były u dna tych wszystkich sądów i niechęci *a priori*. Gorący, bezkompromisowy, ofiarny raczej jak na owe czasy czerwony patriotyzm Orzeszkowej, nie mógł sympatyzować z całą grupą ludzi, do których wówczas Sienkiewicz należał. Drażnił ją optymizm tych ludzi, ich ostrożność, błędne drogi jakimi w jej mniemaniu postępowali. A czując Sienkiewicza wpływ i znaczenie, nie mogła mu tych, wedle niej fałszywie używanych darów i wpływów darować. I oburzenie jej wybucha z całą gwałtownością: „Sienkiewicz kontynuuje swoje „niema". Już ich naliczyłam kilka, I tak socjalistów Polaków — nie ma. Ulicznikow — *à propos* mojej Sielanki nieróżowej — wychodzących na złodziei i pijaków nie ma. Chłopów nieszczęśliwych — *à propos* ludowych poezji Konopnickiej — nie ma. I nie tylko nie ma, ale nawet być nie może. To dopiero położył się na różach, głupiec. Każdy jednak ma swoją zmorę. Tym razem ruch umysłowy. Ruchu umysłowego, wedle Litwosa, jest u nas tak wiele, że aż od niego duszno. Czy podobna, aby ludzie bzdurstwa takie tak chciwie czytali że aż kompletów pisma, po wielekroć przedrukowywanych, coraz brakuje?" „Chciałabym urodzić się pomiędzy czerwonoskórcami".

I nie można się dziwić temu wybuchowi: podczas gdy pisma Sienkiewicza „kładące go na różach" rozchodziły się tak świetnie, wydawnictwo Orzeszkowej, wydawnictwo, w które kładła tyle pracy, zapału i ofiarności, konało z braku zainteresowania.

I rozgoryczona pisarka nagle rozumie wszystko: Sienkiewicz jest renegatem, zdradził sprawę postępu, przyłączając się do znienawidzonego obozu Stańczyków... „*A propos* Sienkiewicza odstępstwo jego od obozu postępowego stanowcze i jawne. Był w Krakowie, oddawał wizyty Stańczykom, którzy dawali dla niego wieczory, w Warszawie mówi głośno o tym, że jest tylko artystą, że zatem wszystkie idee i teorie naukowe i filozoficzne nic go wcale nie obchodzą. Przyjaciół dawnych unika. Humoresek z Teki Worszyły, mocno demokratycznych, do wydania pism swych włączyć nie pozwolił, o Szkicach węglem mówi, komu tylko może, że to grzech młodości. Bogato żeni się, salony arystokratyczne rozrywają go między sobą".

Tak, człowiek który „składa wizyty Stańczykom" jest człowiekiem skończonym!

Trudno. Prorokiem Orzeszkowa nie była. Nie przeczuła i przeczuć nie mogła, że ten epos Sienkiewicza, tak ubogi w filozoficzny podkład, będzie krążył jak krew żywa w żyłach całych pokoleń, że on właśnie, a nie rozumne, myślowe dzieło pozytywistów, wybuchnie twórczym czynem zbrojnym, że on, a nie „postęp i wiedza" włoży zwycięską broń w rękę pierwszych młodocianych zastępów, wyruszających z Oleandrów... Wiara w postęp przez naukę żyła w sercu Orzeszkowej i jej pokolenia życiem ufnym, młodym, nie znającym zwątpień i zawodów. Nadciągająca groźna przyszłość, nie unicestwiła jej jeszcze, nie wykazała jej bezsiły wobec gorących i irracjonalnych namiętności ludzkich. Nie przekonała jeszcze ludzi o dynamicznej potędze samej sztuki, bez podbudowy myśli racjonalistycznej, a o podbudowie gorącości ducha i piękna doskonałego.

Że Orzeszkowa przeżywająca heroiczną epokę pozytywizmu, przeżywająca równocześnie męczeńską epokę prześladowań i przemocy, ciągle ścigana przez rosyiskie władze, ciągle prześladowana, tropiona, nękana, ciągle żyjąca w na-

pięciu walki, nie mogła sympatyzować z ruchami ugodowymi, jest całkiem zrozumiałe. Jest zrozumiałe, że ten kierunek polityczny identyfikowała ze społecznym wstecznictwem z ciemnotą i zacofaniem „...przechowują bewzględnie, bo nie wiedzą, czemby dawne zapasy zastąpić, owszem myślą, że poza tymi zapasami, wszystko jest trucizną na myszy". „Jakto — powiada w innym miejscu — walka społeczna między arystokratycznymi bzdurstwami i podłościami, a duchem demokratycznej równości, pracowitości i prostoty już minęła i nie istnieje". „Pragnę aby nie było powiedziane, że Sienkicwicz wszystkim nam usta pozamykał".

Wszystkie enuncjacje tego wrogiego obozu są dla Orzeszkowej nie sympatyczne i fałszywe: „...wszystko tam jest taką prawdą, jak to, że Świętochowski jest pisarzem średniej miary (!) i że w Chmielowskim są materiały na poważnego pisarza. Prus większym pisarzem jest od Świętochowskiego".

Z bólem konstatuje, że ci właśnie ludzie trzymają berło literatury w kraju. Oni to właśnie stanowią literaturę oficjalną, ferują oficjalne i obowiązujące sądy. „Czem jest literatura nasza warszawska? Niezmiernie długo by pisać o niej. Znam ją osobiście. Bywam dość często w Warszawie i naturalnie uczęszczam do tego lasu piramid i kolosów. Są to same piramidy i kolosy. Jest to Olimp, w którym co postać to bóg, co krzesło to tron. Boże! jakżebym chciała opowiedzieć panu to wszystko! Opisać się nie da. Nie chcę zresztą być niesprawiedliwą. Istnieje tam pewna ilość ludzi rzeczywistej pracy, zasługi i zdolności; bez tego jakżeby się piśmiennictwo ostać mogło? Ci jednak przemykają się spodem. Widzi ich ten, kto ich szuka. Kogobym np. zacytować panu mogła? Chmielowski, Prószyński *(Płomyk)* przed paru laty Sienkiewicz i Ochorowicz; Świętochowski także przed paru laty, bo dziś to już także bożek i w dodatku wydrapujący ludziom oczy; ze starszych niewątpliwie Jenike, wykształcony estetyk i poważny umysł, choć też dziwnie wspaniały w sobie; parę kobiet, kilkoro dzieci wielkich nadziei..."

A propos kobiet, portret — tym razem w proporcjach literacko słuszny — jaki kreśli Orzeszkowa w jednym ze swych listów, portret p. Maréné-Morzkowskiej, który jest

raczej nowelą, niż listem — świadczy chlubnie o zmyśle humoru i dowcipu tej tak zwykle poważnej pisarki!

W tym obrazie literatury warszawskiej, jak też we wszystkich sądach o pisarzach współczesnych, uderza najbardziej brak... Prusa. Prus nie istnieje dla Orzeszkowej. Ignoruje go systematycznie i raz tylko, w wyżej cytowanym fragmencie listu powiada z oburzeniem, że Stańczycy uważają Prusa za talent wyższy od Świętochowskiego! Trudno wiedzieć co leży u dna tego arcydziwnego przemilczenia pisarza „wielkiej miary", i zdawało by się — tego już nie renegata, zdawało by się umysłu Orzeszkowej bliskiego. To przemilczenie jest bardzo charakterystyczne dla braku perspektyw w sądzeniu współczesności.

Jeżeli aż tak czarno przedstawiała się Orzeszkowej literatura Warszawy, nie lepiej przedstawiało się środowisko krakowskie. Oto w jakich słowach opisuje Jeżowi swoją bytność w Krakowie w roku 1881: „W Krakowie na pierwszym kroku spotkałam się z *Przeglądem Polskim*, w którym pan hrabia Tarnowski — ów salonowy orator, przez nimfy wielkoświatowe wieńczony — oskarża nas, Świętochowskiego, Konopnicką i mnie o nic więcej, tylko o renegację polityczną i zdradę kraju. Zdaje się, że jest to zdanie większości inteligencji krakowskiej, bo byłam tam cały tydzień, a oprócz Bałuckiego i Bełcikowskiego, żaden z braci po piórze nie raczył mnie odwiedzić, ani podać mi ręki z przyjaznym uściskiem". Dalej opowiada przyjacielowi z jakim sprzeciwem spotkała się myśl, aby dać dla znakomitej pisarki przyjęcie, opisuje szereg oznak lekceważenia, jakich od krakowskiego świata literackiego doznała.

W tym ciemnym obrazie Krakowa jest tylko jedna postać jaśniejsza: Bałucki. „Jest to człowiek z sercem, głową i charakterem". To też zwraca się do tego jedynego przyjaciela krakowskiego ze słowami zachęty i otuchy: „Tacy pisarze jak pan dają swoim społeczeństwom zdrowie". Zapewnia go o życzliwym ustosunkowaniu się publiczności do niego, zapewnia, że od komedii „Dom otwarty" powiał na kraj wybuch szczerego zdrowego śmiechu — który, ach, jak potrzebny w ponurym życiu naszym, nikt nie wypowie!" Pociechy takiej potrzebuje Bałucki wobec ustosunkowania

się do niego krytyki. Orzeszkowa osądza też w liście do smutnego komediopisarza współczesną krytykę: „Nie posiadamy jej wcale i trzeba to sobie raz powiedzieć, a wyrzec się z tej strony nadziei wszelkiej. Jeden Chmielowski, ale ten zajęty przeważnie rzeczami starymi i pióro ma bardzo ciężkie. Bogusławski ma piękne pióro i wielkie znawstwo, ale to człowiek kliki, za którą końca nosa nie wysuwa. Zresztą, recenzenci po sześć groszy od wiersza, pseudonimy i anonimy. Szermuje to biedactwo na prawo i na lewo, samo nie wiedząc, co czyni, byle więcej zarobić. Jeske-Choiński jest w tej świątyni arcykapłanem, dość powiedzieć". „Książąt literatury oddają w ręce kuchcików literackich — nierzadko osmolone — aby nimi w piłkę grali. Bawią się też niewiniątka. Ale książęta powinni na tę zabawę ich kosztem z góry patrzeć. Nic tu nie pomoże i nic nie zaszkodzi. Kuchcik zostanie kuchcikiem a książę książęciem".

Z pośród krytyków zdaje się, że Chmielowski wzbudza najwięcej szacunku u Orzeszkowej: „uważam go za poważnego, sumiennego i wolnomyślnego pracownika, współpomoc którego u nas i w dzisiejszym stanie literatury jest niemal niezbędna". Ale choć tak ceni Orzeszkowa Chmielowskiego, nie wytrzymuje on w jej oczach porównania jako talent z człowiekiem, którego stawia niezmiernie wysoko, ze Spasowiczem. O Spasowiczu mówi z prawdziwym entuzjazmem. „...Niewielu jest bardzo ludzi na świecie, dla których bym miała tak gorącą sympatię, i tak głęboki, żywy szacunek, jak dla człowieka tego, w którym nie wiedzieć co więcej uwielbiać, umysł czy charakter, talent pisarza, czy geniusz mówcy, czy marmurową niezgiętą cnotę obywatela kraju". „Jest to jedna z tych potężnych wszechwzględnie postaci, które z natury swojej przeznaczone są do ról wielkich w dziejach narodu".

Wszędzie i zawsze to samo uwielbienie lub potępienie człowieka w pisarzu. Wszędzie ocenienie jego i jego roli z punktu „użyteczności publicznej".

Że tę samą miarę stosuje Orzeszkowa i do członków obozu własnego, przekonywujemy się najlepiej na sądach, jakie wypowiada o człowieku sobie ideowo bliskim, o wielkości uświęconej właśnie przez ludzi jej przekonań i men-

talności, o Świętochowskim. Oburzała się Orzeszkowa, że konserwatyści wyżej cenią talent Prusa od talentu Świętochowskiego, sama uważa go za pisarza „niemal genialnego", mówi, że Świętochowski ma i geniusz i wzniosły charakter, ale właśnie dlatego postępowanie tego człowieka tak wysoko cenionego boli ją nad miarę. Zarzuca mu bezwzględność i absolutyzm, zarzuca mu pychę i samoubóstwienie. „Wzniosła to i potężna indywidualność — skażona i po części ubezwładniona przez fanatyzm i przez ten jeszcze rodzaj pychy, który powstaje z poczucia wyosobnienia się dobrowolnego, wyosobnienia z ogółu, a życia wśród nielicznej, lecz twarzą o ziemię przed nim padającą garstkę czcicieli". Nie była jak widzimy zaślepiona, nawet co do ludzi politycznie i ideowo jej bliskich, skoro uważała że ich charakter nie dorasta do miary ich ideałów!

A jednak obiektywizm Orzeszkowej nie wytrzymywał zawsze próby przyjaźni. Widzimy tego dowód na jej stosunku do Konopnickiej. Od razu pierwsze wiersze poetki urzekły powieściopisarkę, urzekła ją ich wdzięczna forma, uderzył ją niewątpliwy talent Konopnickiej. I entuzjazm ten powiększał i pogłębiał się z dniem każdym, gdyż politycznie i społecznie obie pisarki należały do krytykowanego przez Sienkiewicza i Tarnowskiego obozu, obie miały pojęcia „skrajne", obie wiele szlachetnego humanitaryzmu. Ta bliskość ideowa połączyła je wierną i długoletnią przyjaźnią. I Orzeszkowa nie widzi na swej przyjaciółce ani jej talencie żadnego cienia. Nie razi jej ani łzawość Konopnickiej, ani pewna sztuczność i afektacja jej listów, tak różnych od prostego, męskiego tonu w którym Orzeszkowa sama zwykła przemawiać. Wszystko w Konopnickiej jest dobre, szlachetne, wielkie, genialne. Przechodzi wprawdzie Orzeszkowa chwile obawy o swą młodszą koleżankę: boi się, że zaszkodzi jej zbyt łatwy sukces, że dostanie się pod niepożądane, wedle niej wpływy, pod wpływ Pługa, że zmieni swą linię. Obawy się nie spełniły, ale są charakterystyczne dla Orzeszkowej, dla której zdaje się droga sprzeciwu, droga zapoznania, jest istotną miarą wielkości i talentu. Zresztą nie myliła się w tym tak bardzo...

Z korespondencji obu pisarek dowiadujemy się o bardzo ciekawym epizodzie, charakteryzującym je obie, a świadczącym, że tam, gdzie chodziło „o sprawę", Orzeszkowa była zawsze i trzeźwa w sądzie i przekładająca sprawę narodową nad sprawę społeczną. W roku 1909, Konopnicka przysłała Orzeszkowej nowelkę pt. „Żydóweczka", dla wydawanego przez Orzeszkową pisma. Orzeszkowa, która sama jak wiadomo, potępiała gorąco ruch antysemicki, która przez żydowskie powieści ściągnęła na siebie epitet „żydowskiej pomywaczki", która była społecznie raczej czerwona i bardzo liberalna, uznała jednak, wiedziona swoim zdrowym rozumem i zmysłem politycznym, wyrobionym w długoletniej walce i pracy patriotycznej, że nowelka ta, rozbudza namiętności stanowe i wskutek tego jest do publikowania w Grodnie niemożliwa. „O tym tylko wspomnę, że mówi ona (bohaterka noweli) po rosyjsku, szerzy rosyjszczyznę, szerzy również kosmopolityzm, zwraca namiętności ludowe — ze względów stanowych — przeciw tym, którzy tutaj przeważną część polszczyzny stanowią. Dlatego, dla tych pobudek narodowych — znając choćby skądinąd i rolę, którą odegrywa i męczeństwo, które ponosi — my tu partii tej sławić nie możemy". I dodaje, że tych rzeczy, choćby były „na piedestale genialnych natchnień twoich, pokazywać nie mam prawa". W tych słowach jest cała Orzeszkowa, dla której służba jest rzeczą pierwszą, i dla której kwestia narodowa idzie przed kwestią społeczną. (Zdaje się, że tu zgodziłaby się Orzeszkowa z p. Ignacym Matuszewskim). Cała Orzeszkowa jest także w propozycji, jaką stawia Konopnickiej: chce zmienić kilka szczegółów, kilka wyrażeń, chce ją po prostu zaadeptować do patriotycznych wymagań chwili. Ten tak mało zgodny z poszanowaniem praw sztuki proceder nie powinien zbytnio nas dziwić, naprzód wskutek podporządkowania u Orzeszkowej wszelkich spraw i praw, choćby najważniejszych, sprawie korzyści narodowych, a po wtóre dlatego że sama przecież całe życie pisała w tych właśnie warunkach, musząc się liczyć z cenzurą, musząc do niej przystosować i naginać swoje myśli i koncepcje ideowe.

Odpowiedź Konopnickiej jest równie charakterystyczna: na żadne przeróbki zgodzić się nie chce, wyraża to w zwyk-

łym sobie trochę afektowanym tonie: „właśnie dlatego, że pozbawiona wszelkiej tendencji, kartka ta nie zniosłaby żadnej, przychodzącej z zewnątrz. Musi ona taką wrócić do mnie, najdroższa, jaką poszła do ciebie". Tak, dla Konopnickiej pierwsze było jej dzieło, na drugim miejscu była troska publiczna. Nie naginało się do jej potrzeb i taktyki, tak jak dzieło Orzeszkowej...

Ale może najciekawszym dla nas jest stosunek Orzeszkowej do pisarzy młodszych. Tu już nawet podświadomie, nie może wejść żaden moment emulacji, czy zazdrości, bo słusznie pisze Orzeszkowa: „Ja wszystko swoje kończę albo już skończyłam i nic mi od sławy albo niesławy czyjejś przybyć ani ubyć nie może". W sądach jakie wypowiada w swoich listach Orzeszkowa o Reymoncie, Żeromskim, Wyspiańskim, widzimy wzruszający zawsze obraz przeszłości, patrzącej trwożnie w niezrozumiałą dla niej przyszłość, nie umiejąc pojąć i zrozumieć nowych dróg życia.

Z tych trzech pisarzy z uznaniem a nawet z entuzjazmem odnosi się Orzeszkowa jedynie do Reymonta. „Poznałam — pisze do Skirmuntta — w tym roku dwóch swoich najbliższych współtowarzyszy pracy, bo powieściopisarzy: Reymonta i Daniłowskiego. Pierwszy podobał mi się jak rzadko kto. Piękna, bogata, krzepka i zdrowa natura myśliciela i artysty. Doskonale zrównoważony umysł, pełne prostoty obejście się. Wielka to i długa nadzieja dla naszego piśmiennictwa. Drugi odwrotnie, diametralnie odwrotnie: mało w życiu spotykałam ludzi tak niesympatycznych".

Entuzjazm do młodego kolegi Reymonta znajduje piękny i ciepły wyraz w korespondencji z nim sędziwej pisarki. Otacza go macierzyńską opieką, stara się pomagać w kłopotach finansowo-życiowych, zachęca do pracy, cieszy się że schodząc z pola zostawia na nim tak bardzo obiecującego pisarza. W nim, i jedynie w nim, pokłada literackie swoje nadzieje dla Polski: „Dziękuję, że myślą o panu koję niepokój swój o przyszłość literatury polskiej, najspecjalniej powieściopisarstwa polskiego, którego pan jest dzisiaj jedyną bodaj siłą twórczości zdrowej, mocnej, jasnej, posiadającej szerokość i głębię, mądrośc i miłość. Jestem kobietą niezmiernie samotną duszą — i jestem pisarką niezmiernie do

piśmiennictwa polskiego przywiązaną. Za to, że kiedy niekiedy mogę myślą choćby uścisnąć dłoń pana koleżeńską i ciepłą — i za to, że strwożona o przyszłość tego, co nade wszystko kocham, mogę do trwogi budzonej przez innych mięszać stwarzaną przez pana nadzieję i wiarę — dziękuję".

„Ta trwoga budzona przez innych", to zdaje się przede wszystkim trwoga budzona przez... Żeromskiego. Można się było spodziewać, że wielkie, bolejące serce Żeromskiego, że jego gorący patriotyzm, bynajmniej nie konserwatywne przekonanie społeczne, wzbudzą echa sympatii u sędziwej bojowniczki wolności. Ale stało się przeciwnie. Za duża już była różnica epok między nimi, zbyt inne, zbyt nowe były drogi Żeromskiego, zbyt odległe od pełnego umiaru i rozsądku realizmu Orzeszkowej. Podczas, gdy oczywiście wskutek okoliczności, wołaniem dzieła Orzeszkowej, było wołanie o przetrwanie, o zachowanie polskiego ducha i mowy i kultury, wołanie Żeromskiego było już wołaniem o czyn ostateczny, o czyn definitywnie wyzwoleńczy. Inne także (i to może przede wszystkim) były formy jego sztuki i podczas gdy Orzeszkowa rozumiała doskonale realizm Reymonta, romantyzm Żeromskiego, jego liryzm, były jej obce i niezrozumiałe. Dlatego wbrew temu co się stało, w Reymoncie a nie w Żeromskim, widziała budziciela serc i siewcę nowych idej. Największe oburzenie Orzeszkowej wywołały „Dzieje grzechu"; w Reymoncie znalazła zresztą pełne zrozumienie. Oto co pisze ten ostatni do Orzeszkowej o tym świeżo wydanym dziele: Nie rozumiem Żeromskiego. Nie rozumiem powodu napisania takiej książki. Że ją roztrąbują za arcydzieło nowej sztuki, a co gorzej, nowego życia — nie dziwię się, bo to robią Żydowinowie lub Polacy o mojżeszowo-europejskim porządku myślenia. Tłuszcza inteligentna, rada żywi się odpadkami". „Żeromski jest wielkim talentem, powiem paradoks, a małym artystą. Ma cudowny głos, ale nie ma o czym śpiewać".

Na ten passus odpowiada Orzeszkowa tak: „...zdanie pana o „Dziejach grzechu" podzielam od litery pierwszej do ostatniej". „...Szkaradną jest rzeczą, aby jeden z pierwszych talentów w kraju, w takim, jak my, narodzie i w takim dla tego narodu, jak dzisiejszy momencie, takie rzeczy pisał,

na takie drogi umysły i wyobraźnie wiódł, w takim kierunku nerwami targał. Mnie się zdaje, że w tym jest duży wpływ literatury rosyjskiej i duża doza choroby wprost fizycznej — może erotomanii, czy ja wiem, może jakiej innej histerii". „Wiele rzeczy trwogą o przyszłe losy nasze przejmuje, a pomiędzy nimi i tacy przywódcy narodu, którzy na wezgłowia młodego pokolenia rzucają takie „Dzieje grzechu". Można powiedzieć: sztuka. Ale po pierwsze, czy sztuka narzędziem morderczem ma być? A po wtóre, że i sztuka żadnej korzyści z tego nie ma. Zwyczajna, sensacyjna, rozczochrana powieść, tylko że napisał ją ktoś, mający talent wielki, więc różnym półgłowom, albo pozawracanym głowom, wydaje się czemś innem, niż jest..." A przed tym jeszcze pisze o „Dziejach grzechu" te słowa: „Szkoda! szkoda! szkoda! ratujcie! Talent wielki od rozkładu, społeczeństwo czytające od zatrucia — ratujcie!"

Dzisiaj, gdy Żeromski jest od nas w czasie, mało co mniej odsunięty, jak Orzeszkowa, dwugłos ten krytyczny czytamy z zajęciem ale i z obiektywizmem. I jednak widzimy w nim sporo słuszności: bo dziś minął ferwor walki, w której broniliśmy Żeromskiego od krzywdzących napaści, widzimy obok jego zasług także i szkody, jakie wyrządził. Wiemy, że nie są pozbawione słuszności słowa o rozkładzie, jaki wnosił; o jego rozczochraniu, o wpływie rosyjskim, o wielu elementach niezdrowych. A słowa Reymonta, że był wielkim talentem a małym artystą, choć może w niezgrabną i zbyt grubą ubrane formę, zawierają dużo prawdy istotnej. Ale nie tu miejsce rozpatrywać zasługi i wady Żeromskiego. Tu zajmuje nas tylko to, że mimo pewnych słuszności i Reymont i Orzeszkowa nie dostrzegli zalet Żeromskiego, że właśnie nie dostrzegli, że miał, co do włożenia, w swoje dzieło. Że nie mogło być inaczej, jest jasne. Cała epoka dzieliła Orzeszkową od Żeromskiego, sama zresztą Orzeszkowa zdaje sobie sprawę z tych powodów możliwego nieporozumienia: „Może to moje staroświeckie upodobania i przekonania tak przemawiają. Może to nie jest dekadencja literatury, ale mojego umysłu".

To zrozumienie, że nie zawsze mylą się ci, co idą naprzód, że mogą się mylić także ci co zostają, przynosi raz jeszcze

chlubne świadectwo o wielkim rozumie i szerokości pojęć sędziwej pisarki.

Ta też zapewne różnica epok między Orzeszkową a Wyspiańskim, wywołała, choć nie takie, jak względem Żeromskiego, oburzenie, lecz po prostu „niedocenienie". Na ostry i płytki sąd Konopnickiej, określającej twórczość Wyspiańskiego jednym słowem „jasełka", odpowiada Orzeszkowa o wiele rozumniej i z większą intuicją: „Co sądzę o Wyspiańskim? Nie podzielam zdania Tetmajera, że jest on tym, na którego wieki czekały, ale zdaje mi się, że jednak z całej tej młodej szkoły to jedyny, który oprócz pięciu rozszalałych zmysłów, ma jeszcze duszę. Według mnie, jest to talent prawdziwy, jeszcze zostający pod wpływem fatalnej szkoły. Jeżeli kiedy otrząśnie się z dziwactw, manier, tajemniczości itd., może stać się wielkim poetą. „Legionu" jego nie rozumiem, ale w „Legendzie" są piękne obrazy, a w „Weselu" pomysł oryginalny i głęboki. Że ono ze zrobienia podobne jest do jasełek, to prawda, niemniej momenty ma piękne, a w „Warszawiance" postać Marji jest nawet wysoce artystyczna. Rzecz sądzę przez porównanie. Obok Przybyszewskiego i jego mrowiska, Wyspiański wygląda wspaniale".

Z takimi sądami, nadziejami i trwogami o polską literaturę schodziła Orzeszkowa z pisarskiej areny. Jak widzieliśmy sądy jej były w większości wypadków ujemne, prawie gorzkie. Orzeszkowa, mimo iż łączała ją przyjaźń z Jeżem, Konopnicką, potem z Reymontem, mimo iż była w dobrych stosunkach z Bałuckim i Krzemińskim, czuła się w świecie literackim samotna. Nic w tym dziwnego. To poczucie osamotnienia, braku oddźwięku i zrozumienia mieli prawie wszyscy wielcy pisarze, wszyscy wielcy marzyciele, śniący o świecie idealnym, nieskłóconym, jednolitym, pełnym miłości. Z tych też źródeł płynęło poczucie osamotnienia Orzeszkowej, z nich płynęły gorzkie, bolesne wyrazy o kolegach po piórze, a jeszcze bardziej może o literackiej i kulturalnej atmosferze współczesnej. Bo wielka romantyczka, marzycielka i entuzjastka, jaką była pisarka pozytywizmu, miała o stosunkach literackich, o stosunkach między-ludzkich, wyobrażenia mało pozytywistyczne. „Gdyby była miłość nie byłoby miejsca dla pychy, lenistwa, niewytrwałości,

słabości woli". „U nas nikt i nic i nikogo do dna duszy, silnie, stale nie kocha. Miłość, jak lampa konająca, błyska i przygasa, całe godziny upływają bez niej, ciemne i, od rzeczy dogorywającej, smrodliwsze. Nie ściąga się to nawet tyle do miłości ojczyzny, ile do wzajemnej miłości ludzi. Ludzie u nas nie kochają się".

Jeżeli boleje tak nad brakiem miłości wśród ludzi wogóle, to boleje jeszcze silniej nad brakiem miłości wśród elity narodu: wśród pisarzy.

„...Dawniej, kiedy bardzo młodo do państwa literatury wstępowałam, miałam o jej przedstawicielach i pracownikach wiele naiwnych wyobrażeń, a pomiędzy innymi to, że muszą oni kochać się pomiędzy sobą, duchem i myślami żyć z sobą etc. Jakże! Ludzie idący po jednej drodze, do jednego wspólnego celu! Synowie jednej ziemi, kapłani jednej sztuki! Kapłaństwo piszących, dotąd jeszcze, nie zeszło z horyzontu moich marzeń"...

To też jak wszyscy, dla których marzenie o „kapłaństwie sztuki", marzenie o doskonałości człowieka, nie schodzi z horyzontu marzeń, musiała i Orzeszkowa przeżywać ustawiczną tragedię, patrząc ustawicznie, jak w rzeczywistości „jest zupełnie inaczej". Stąd jej ból, gorycz, ostrość sądów.

Dziś sądy te oglądamy jak rodzaj *curiosum*. Z pewnością siebie, cechującą zawsze każdą teraźniejszość, osądziliśmy już ludzi, ich wartość dzieła i sprawy. Może kiedyś, historia sądy te znów przenicuje, ale dziś są dla nas gruntem pewnym, to też raczej z uśmiechem pobłażania i ciekawości przyrównujemy do nich sądy Orzeszkowej, interesując się nimi nie, jak zdaniem osoby mądrej i zaufania godnej, lecz raczej jako kluczem do lepszego zrozumienia jej dzieł.

Bo jeżeli wiele naszych pojęć się zmieniło, nie zmieniło się pojęcie o sztuce i za swoje możemy przyjąć zdanie wygłoszone w jednym z listów do Orzeszkowej przez jej przyjaciela Krzemińskiego: „Tylko sztuka ma wymowę, tylko jej słowa rozlegają się przez wieki — i choć często, choć w małości życia codziennego najczęściej świat je przyjmuje w siebie jak pustynia bez echa — one jedne tylko żyją i drżą i dźwięczą i działają na tym padole".

To *credo* ówczesnego gorącego, pełnego uniesień i marzeń pozytywizmu jest po dziś dzień credem wszystkich ludzi, wierzących w sztukę. A ponieważ dzieło Orzeszkowej po dziś dzień „żyje, drży i dźwięczy", cennym jest dla nas wszystko, co nam je bliżej poznać pozwala. Dlatego tak zajmująca i bliska nam jest ta żywa, namiętna prawda, która w pięknych listach pani Elizy się przechowała.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Dwudziestolecie Rosji Sowieckiej.

Rosja sowiecka obchodzi w październiku roku bieżącego dwudziestolecie swego istnienia. Jakkolwiek panowanie komunizmu w Rosji stanowi element stały, który przewija się w całej historii ostatnich dwóch dziesiątków lat państwa proletariackiego, stanowiąc jego kość pacierzową, na której wszystko się trzyma, zauważyć należy ogromną zmienność treści, posunięć, dążności i przejawów w kształtowaniu się życia sowieckiego.

Stan Rosji w dobie obecnej jest wynikiem dwóch elementów przeszłości, zlewających się ze sobą: wielowiekowego okresu pod rządami carskimi i dwudziestolecia panowania marksizmu; płód dzisiejszy ma za matkę Rosję, za ojców zaś Marksa, Lenina i Stalina. Z tego poliandrycznego związku narodził się dziś żyjący kolos.

Nie można przypisywać obecnego stanu rzeczy wyłącznie czy to z jednej strony rosyjskiemu charakterowi narodowemu, czy też z drugiej poszczególnym, wyżej wskazanym, trzem postaciom, gdyż w grę wchodzi cała czwórka.

Historię Rosji marksowsko-leninowsko-stalinowskiej podzielić można na kilka okresów, z których każdy posiada swoiste cechy charakteru. Okres pierwszy kilkunastomiesięczny, to czasy rozpasania żywiołów, „grabienia zagrabionego", hasła „dołoj gramotnyje", niszczenia inteligencji i anarchii tłumu, temperowanej w działaniu wskazówkami, idącymi z góry od Lenina i jego intelektualnej gwardii przybocznej.

Tłum wierzy w swoją suwerenność i samowładność, nie zauważając, w jak straszną wpada niewolę. W tym czasie

tworzą się pierwsze zręby nowej właściwej władzy, która na razie działa po myśli barbarzyńskich „dołów myślowych i moralnych" rozpasanego tłumu, podżegając jego materialne apetyty, wskazując, czasami wprost genialnie, jak należy działać, aby zniszczyć wszystko to, co przedtem istniało. W Rosji poczucie prawa, jako w kraju ciemnoty rządzonym despotycznie, było zawsze słabe i powierzchowne, jednakowoż stanowiło pewną zaporę dla pożądliwości ludzkiej; dlatego też przystrojenie nakazanej grabieży w legalną formę „restytucji" jest wprost genialnym chwytem myślowym.

Zwyczajny rozkaz „grabić!" nie byłby wywarł tak piorunującego efektu, stanowiąc zbyt duży przeskok pojęciowy, lecz hasło „odebrania" tego, co przedtem zostało „bezprawnie zabrane" przez innych, uspokajało niezbyt subtelne sumienie, wychowanego w ciemnocie i niewoli, tłumu rosyjskiego.

Rząd dusz nie mógł jednak wystarczyć marksowskim nowym władcom Rosji, trzeba było stworzyć narzędzia władzy bardziej konkretne, zwłaszcza, że o ile tłum potrafił samorzutnie grabić, trzebić inteligencję i stwarzać swoje lokalne władze, o tyle był zupełnie niezdolnym do skoordynowania działania nowych władz. Nastąpiła kompletna ich anarchia. Rząd centralny zaś potrzebował jednostajnego, umiejącego wypełniać jego instrukcje aparatu rządzącego.

Rewolucji październikowej nie dokonał i nie przeprowadził „tłum", jest ona wynikiem karnego działania bardzo nielicznej, ożywionej jednym i tym samym duchem, grupki ludzi, z Leninem na czele. W początkach 1917 r. stara ideowa gwardia bolszewicka z 1905 r. liczyła zaledwie kilka tysięcy ludzi. Za czasów rządów Kiereńskiego liczba bolszewików wzrosła do 35 tysięcy, zaś na początku rządów marksowskich liczba partyjnych komunistów osiągnęła cyfrę 50 tysięcy, wobec 150 milionowej ludności Rosji, stanowiąc 0,03% ogółu zaludnienia imperium czyli znikomą jego część.

Lenin miał nielada kłopot, obejmując rządy i to w czasie prowadzenia wojny domowej o władzę, która nie była jeszcze wcale ugruntowaną. Stanął on bowiem ze swymi 50 tysiącami zorganizowanych, lecz przeważnie nowozaciężnych komunistów, wobec 150 millionowego narodu, który miał poprowadzić. Z kłopotu wybawili go Żydzi.

Prześladowany za czasów carskich element żydowski, nienawidził przeszłości, którą właśnie zamierzał doszczętnie zburzyć Lenin, stał się więc od razu jego sprzymierzeńcem. Obce mu było chrześcijaństwo, sam naród rosyjski, jego inteligencja, jak w ogóle wszystko to, co stanowić mogło zapory w słuchaniu dyrektyw wielkiego Uljanowa. Jako posag oddali Żydzi Leninowi swą bystrość umysłu, inteligencję, dar organizacyjny, karność, posłuszeństwo oraz cały szereg innych zalet i atutów.

Żydzi walnie przyczynili się do skoordynowania władz powstającego państwa proletariackiego, hasła zaś rzucane przez Lenina w ciemny tłum rosyjski przyciągały go psychicznie do rydwanu marksowskiego w wydaniu bolszewickim. Już w wyborach do konstytuanty w dniach 12—14 listopada 1917 r., to jest w kilka tygodni po objęciu władzy przez Lenina, komuniści otrzymują, na 36 milionów złożonych głosów, 9 milionów głosów, podczas gdy na listę drugiej odmiany socjalizmu rosyjskiego, (socjal-rewolucjonistów), pada 20 milionów głosów. Komuniści jednak są w mniejszości, a mimo to wpływy ich szybko rosną i oni nadają ton, tworzącemu się rządowi Sowietów, przez fakt, że wodzem nie tylko grupy rządzącej, ale i prądu rewolucyjnego jest ich człowiek — Lenin, który koncepcjami swymi, inicjatywą, umiejętnością przemawiania do tłumu rosyjskiego przewyższał wszystkich swych współpracowników.

Lenin tak samo jak i jego komunistyczni współpracownicy, mieli zarówno lepsze od innych wyczucie sytuacji, jak też nie byli hamowani w koncepcjach i poczynaniach pojęciami demokratycznymi, stąd ich ogromna przewaga. Charakterystyczną cechą tego okresu jest jednak panowanie pojęć demokratycznych wewnątrz klasy rządzącej, składającej się z komunistów z pewną domieszką innych zabarwień, a przede wszystkim socjal-rewolucjonistów, którzy stopniowo byli albo wchłaniani przez bolszewików, albo też wyrzucani poza nawias życia politycznego w wielką masę poddanych.

Demokratyzm ten, wewnętrzno-komunistyczny, polegał na wolności przekonań ludzi z klasy rządzącej; bo stojący poza elitą rządzącą, z całą bezwzględnością, od samego

początku reżymu bolszewickiego, zostali zepchnięci w dół i zamienieni w poddanych, jakkolwiek nie wszyscy zainteresowani zdawali sobie z tego sprawę, a w pierwszym rzędzie szeroki ciemny tłum rosyjski, który widząc władzę, złożoną ze „swoich ludzi", pozwalającą mu na wszystko w stosunku do ludzi z innych klas społecznych, przypuszczał naiwnie, że to on właśnie rządzi. W epoce zawierania pokoju brzeskiego, Lenin okazał się w mniejszości w Komitecie Centralnym, a jeśli zdanie jego następnie przeważyło, to nie dlatego, że był szefem rządu, lecz że groził dymisją, a autorytet jego, nie zaś przemoc władzy, wpłynął na zmianę przekonań podwładnych.

Tak więc wewnątrz partii swoboda, poza nią niewolnictwo. Gdy w 1918 r. Iwan Sołoniewicz, w przyjaznej rozmowie z Manuilskim, starał się go przekonać, że w końcowym rezultacie bolszewicy nie utrzymają się przy władzy, bo nie posiadają przychylności mas, Manuilski uśmiechnął się pogardliwie i odrzekł: „Posłuchaj mój kochany, na jakiego diabła potrzebną nam jest przychylność mas? Nam jest potrzebny aparat władzy. I zdobędziemy go. A przychylność mas? W końcowym obrachunku — napluć nam na przychylność mas".

Zwołana konstytuanta, w której bolszewicy byli w mniejszości, przesunięta przez Lenina z dnia 28 listopada 1917 r. na 5 stycznia 1918 r., odbyła tylko jedno posiedzenie. Tak, jak sierżant Kirpicznikow w dniu 27 lutego 1917 r. dał hasło do wywrócenia caratu przez wyciągnięcie żołnierzy swego pułku na ulicę, tak marynarz Żelezniakow rozwiązał konstytuantę, pod pozorem, że straż jest zmęczona. Więcej jej nie zwoływano, chociaż była ona z wyborów emanacją woli narodu.

W okresie drugim (lata 1919 i 1920) komunistyczny aparat rządzący funkcjonuje już sprawnie, władze lokalne wypełniają instrukcje władz centralnych. Powołana do życia w zaraniu rewolucji bolszewickiej, Czeka, (7 grudnia 1917 r.), jest już dobrze usadowiona i opierzona. Państwo proletariackie posiada już swoją konstytucję, promulgowaną 10 lipca 1918 r. Entuzjazm mas do rewolucji słabnie, zwłaszcza wśród chłopów, gnębionych rekwizycjami. Lecz sprawny i karny aparat rządzący już istnieje i rząd ma to, czego chce.

W tym okresie następuje zmiana polityki w stosunku do inteligencji. Lenin zaczyna sobie zdawać sprawę, że nawet najprawowierniejszy komunista-analfabeta nie może być mianowany ani inżynierem, ani profesorem, ani doktorem, ani też w ogóle spełniać jakiejkolwiek bądź funkcji inteligenta. Zatrąbił więc do odwrotu na odcinku trzebienia inteligencji, która powołaną jest do służby w państwie proletariackim, oczywiście pod najsurowszą kontrolą ludzi z partii. W roku 1920, podczas wojny polsko-bolszewickiej, nawet carscy oficerowie zostali powołani do służby w armii czerwonej. Podczas obu tych okresów trwa walka o władzę. Z chwilą ukończenia wojny polsko-bolszewickiej i zgniecenia białych formacyj, następuje już w czasie pokojowym okres trzeci, zainaugurowany powołaniem do życia N e p'u 24 marca 1921 r.

Pod koniec okresu drugiego niezadowolenie chłopstwa, spowodowane ciągłymi rekwizycjami, było tak wielkie, dezorganizacja zaś życia ekonomicznego, a w związku z tym i wzrost nędzy, dosięgły takiego apogeum, że trzeba było przede wszystkim zająć się sprawami ekonomicznymi. Obliczają, że w latach 1920 i 1921 na południu i wschodzie Rosji zmarło z głodu pięć milionów ludzi. Trzeba było temu złu jakoś zaradzić, zaś „ekonomiczny aparat państwowy", trudniący się raczej rabunkiem niż produkcją, wydał się nawet Leninowi nieodpowiednim dla dokonania czegoś pozytywnego. I tu więc zatrąbił do odwrotu i zaczął jeść owoc, z punktu widzenia marksowskiego, zakazany.

Nep (Nowaja ekonomiczeskaja politika), wprowadzał wolny handel, tu i ówdzie oddawał domy i fabryki ich dawnym właścicielom, wprawdzie z różnymi zastrzeżeniami, lecz tym niemniej teoretycznie je oddawał, wprowadzał nowy pieniądz, oparty na złocie, wszedł w kontakt z kapitałem zagranicznym, sankcjonował własność prywatną ziemi chłopa, słowem wcale nie był doktrynalnie marksowski, a wręcz przeciwnie, pachniał burżuazyjnością i kapitalizmem, dlatego też Lenin niejako się go wstydził, mówiąc, że jest zarządzeniem czasowym, dla wytchnienia, „pieredyszki".

Okres Nep'u trwał do 1928 r., przeżywszy Lenina i doczekawszy się panowania Stalina. Podczas jego trwania zaszły w Związku sowieckim ogromne przemiany nie tylko na

polu gospodarczym, lecz i w wielu innych dziedzinach, a przede wszystkim na terenie polityki. Wielkie to odstępstwo od doktryny marksowskiej stało się w rezultacie ulgą dla wielu dziesiątków milionów ludzi. Przede wszystkim na rynku zjawiła się żywność, głód powoli zaczął ustępować. Zapewne stan wyżywienia bynajmniej nie był pomyślny, w skali pojęć zachodnio-europejskich, lecz na stosunki sowieckie oznaczał znaczne polepszenie. Głównym zadaniem rządu w tym okresie jest uprzemysłowienie kraju, polepszenie bytu materialnego ludności i wyciągnięcie jej ze skrajnej nędzy. Metody jednak, używane dla osiągnięcia tego celu, bynajmniej nie są doktrynalnie socjalistyczne.

Ponieważ zabrakło inteligencji zawodowej rosyjskiej, trzeba było uciec się do sprowadzenia specjalistów, (speców) z za granicy, przeważnie z Niemiec, za bardzo słone opłaty. Położenie resztek inteligencji rosyjskiej, wciągniętej do pracy w komunistyczną machinę państwową, uległo pod względem materialnym, znacznej poprawie. Chłop na wsi nieco odetchnął, a nawet zaczął się dorabiać, powstawała szybko klasa „kułaków". Natomiast położenie robotnika, wciągniętego w tym czasie do pracy po fabrykach i warsztatach uległo raczej pogorszeniu. Przedtem rekwizycja ściągała z kraju wszystko dla niego, teraz musiał, chcąc nie chcąc pracować, będąc wynagradzanym bardzo mizernie, daleko poza standartem wynagrodzenia, które otrzymywał w czasach przedbolszewickich. Dotyczy to oczywiście szarej masy robotniczej, a nie tych spośród niej, którzy weszli w skład biurokracji komunistycznej, stanowiąc, w państwie proletariackim, uprzywilejowaną pod każdym względem, klasę szlachecką.

Udzielenie szerszym masom ludności pewnej swobody działania na polu gospodarczym, w bardzo niezdrowych zresztą warunkach, spowodowało bogacenie się pewnych klas społecznych, co było solą w oku doktrynerom-teoretykom marksizmu. Bogacił się przede wszystkim „nepman", bogaciła się szybko wyższa biurokracja komunistyczna i szczyty inteligencji zawodowej, bogacił się wreszcie chłop, a przynajmniej część klasy chłopskiej. Słowo „bogacić" jest może przesadzone, należałoby raczej powiedzieć „wydosta-

wać się z nędzy", w komunistycznych jednak warunkach było to bogaceniem się.

Stąd powstaje niezadowolenie wśród pewnej części członków partii komunistycznej, która zarzuca panującemu kierunkowi, powiedzianoby dzisiaj „linii generalnej", niedbanie o interesy kilku czy kilkunastomilionowej masy robotniczej, której z tytułu samej ideologii marksizmu i pochodzenia, należą się specjalne względy, i dozwalanie na eksploatację jej, przez, bądź co bądź, o wiele szczuplejszą klasę biurokracji komunistycznej, nepmanów, (ludzi pracujących w przemyśle i handlu), oraz części inteligencji pracującej, tworzącej wraz z biurokracją „nową burżuazję". A przy tym ten bogacący się chłop, ten pan na swojej ziemi, nie dawał spokoju „starowierom komunistycznym", którzy nie mogli się pogodzić z nowinkami Nep'u. Wszak nie tak dawno, gdy wybierać miano deputowanych do wszechrosyjskiego kongresu sowietów, apostoł doktryny Marksa — Lenin dowodził, że jeden robotnik wart jest pięciu chłopów.

Podczas gdy 25 tysięcy robotników wybierało jednego deputowanego, na takiegoż deputowanego potrzeba było aż 125 tysięcy głosów chłopskich. Nie darmo głosił wówczas Lenin: „Nie uznajemy równości między robotnikami i chłopami, a wy, którzy bronicie tej równości, jesteście zwolennikami Kołczaka". A tu nagle pozwala się takiemu udzielnemu panu, prywatnemu właścicielowi ziemi, sprzedawać na wolnym rynku swoje produkty i wyzyskiwać robotnika!

Opozycja, wśród tych oczywiście którzy mogli ją robić, to jest pośród członków partii komunistycznej, bo poddani czyli reszta ludności w grę nie wchodziła, rośnie. Lecz biurokracja komunistyczna jest już tak dobrze zasiedziała i zorganizowana, że nie da sobie wydrzeć władzy z rąk. Gdy Paniuszkin w 1922 r. chciał zakładać nową partię komunistyczną, bardziej prawowierną, czy też „starowierczą", odmawia mu się na to pozwolenia, pod pozorem, że podczas kryzysu nie można zakładać nowej partii. Politycznie bowiem wiele się zmieniło od czasu pierwszego okresu w państwie proletariackim.

Swoboda przekonań, jeszcze wprawdzie w partii komunistycznej istniejąca, zaczyna chylić się ku upadkowi, i z ko-

lei partia, za całą masą narodu, zaczyna być „upoddaniana". Góra żąda posłuchu u dołu, i wewnątrz partii robi się ciasno. W roku 1923 Trocki żąda zmiany kursu i powrotu do zwyczajów demokratycznych. Lenin jest wówczas już chory, a *de facto* zastępuje go triumwirat: Zinowiew, Kamieniew i Stalin. Triumwirat ten pozornie niby się cofa, potem rzuca podejrzenie na Trockiego, który był wówczas komisarzem wojny, że dąży do wojskowego zamachu stanu. Trocki popada w niełaskę, dostaje dymisję a później zostaje skazany na zesłanie.

21 stycznia 1924 r. umiera Lenin. Triumwirat umiejętnie stara się jeszcze bardziej odsunąć Trockiego, lecz robi to wszystko jeszcze w rękawiczkach, dbając niby o jego zdrowie, i dlatego poleca mu pobyt na południu. Stalin genialnie wprowadza kult Lenina i wysuwa się na jego ideowego spadkobiercę, zresztą różniąc się z nim *de facto* w poglądach. Od kilku lat jest on sekretarzem partii, gdzie po cichutku potrafił wprowadzić rygor i posłuszeństwo dla siebie, mianując wszędzie swoich ludzi.

O spadek po Leninie ubiega się najbliższy jego współpracownik, Zinowiew, lecz Stalin przez swoje sekretarstwo jest bardzo silny w partii, on też zwycięża. I tutaj z samego początku przeprowadza daleko idące w skutkach posunięcie. Z okazji śmierci Lenina, demokratycznie otwiera podwoje partii dla nowych członków, podnosząc liczebność stanu uprzywilejowanego z 351 tysięcy do 591 tysięcy. Do partii przyjmuje się oczywiście tylko ludzi, na których wódz proletariatu może liczyć. Bezpośrednio potem przeprowadza Stalin „czystkę" w partii z elementów niepewnych.

Wówczas partia staje się narzędziem w rękach stalinowskich i rozpoczyna się w okresie Nep'u pierwszy period panowania Stalina. Partia jest coraz bardziej „upoddaniana", swoboda przekonań znajduje się w zaniku. Dawniej drżał cały naród przed komunistami, teraz oprócz niego zaczynają drżeć wszyscy komuniści od najmniejszych do największych, oprócz kilkunastu wielmożów komunistycznych, którym jednak również zaczyna robić się nieswojo. Wszyscy wiedzą, że za pierwsze lepsze przewinienie myślowe, za jakąś krytykę, jakiś brak entuzjazmu do zaleceń podawanych

z góry, przy następnej czystce wylecieć można z partii, a wszak poza nią jest niewola i nędza.

Część jednak członków arystokracji komunistycznej, dufna w swoją przeszłość i zasługi dla rewolucji, rusza się jeszcze i gotowa jest postawić na ostatnią kartę. Na XIV kongresie Sowietów Zinowiew i Kamieniew denuncjują nową klasę burżuazyjną, złożoną z bogatych chłopów, spekulantów i funkcjonariuszy państwowych. Wszechwładny w partii Stalin zwycięża jednak na kongresie; jest to jego faktyczny zamach stanu, odtąd wszyscy uczą się milczeć.

Lecz część możnowładztwa komunistycznego, trzymająca się jeszcze jako tako u góry, nie daje za wygraną, szykując się do desperackiego ataku na XV kongresie Sowietów. W 1927 r. tworzy się opozycja złożona z Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa, Piatakowa, Bakajewa, Jewdokimowa, Preobrażeńskiego i Smilgi, która znowu występuje na kongresie Sowietów przeciwko nowej burżuazji za rewizją planu pięcioletniego i przeciw rządom biurokracji. Trocki, chcąc wywrzeć presję na kongresie, organizuje nawet demonstrację na ulicach Moskwy. Na kongresie opozycja zostaje jednak zmiażdżona, Trocki wykluczony z partii, zesłany, a następnie wyrzucony za granicę, gdzie zakłada z czasem „czwartą międzynarodówkę", popularnie zwaną „trockistowską".

Na przełomie 1927/28 roku rozpoczyna się drugi period panowania Stalina, podczas którego staje się on panem samowładnym, wodzem i „samodzierżcą" 160 milionowego narodu, nie potrzebując się już z nikim liczyć. Drugi ten period jego panowania, zbiega się z nowym okresem w historii komunistycznej ojczyzny, w którym znika Nep a na widownię wchodzi kolektywizacja rolnictwa.

Stalin, zdruzgotawszy swych wrogów, zaczyna przeprowadzać częściowo ich program, a więc Nep zostaje zniesiony, nepmani popadają w niełaskę, zniesiony zostaje również wolny handel, państwo na nowo obejmuje funkcje gospodarcze i handlowe i ogłasza walkę z tym wszystkim, co jakiś czas popierało, lub, przynajmniej, na co zezwalało. Tak skończyła się leninowska „pieredyszka".

W lutym 1928 r. wychodzi dekret o kolektywizacji rolnictwa. To, co przedtem nazywało się „lewym odchyleniem",

staje się teraz „linią generalną". Ogłasza się wojnę „kułakom", którzy mają być „zlikwidowani jako klasa". Chłopi muszą iść do kołchozów *(kollektiwnyje choziajstwa)*, względnie pracować w państwowych sowchozach (*sowietskije choziajstwa).* Chłop jest upaństwowiony przez państwo, lub jeśli kto woli, przez partię komunistyczną. Oczywiście kolektywizacja, jak wszystko w państwie sowieckim, ma być przeprowadzona „planowo". Początkowo przeprowadzana jest „dobrowolnie", jako wyższa forma „budownictwa socjalistycznego", to jest pod względnie mniejszym naciskiem władzy, lecz niebawem kurs zostaje zaostrzony, gdyż proces kolektywizacyjny rozwijał się zbyt powoli, „chętnych" było mało, a z drugiej strony kołchozy nie wytrzymywały konkurencji gospodarstw prywatnych. W r. 1929 i w dalszych latach „naciśnięto śruby". Opornych chłopów wysiedlano milionami. Ludność południa całymi regionami była wysiedlana na północ, kmiotków zaś z północy przesiedlano w stepy południa. Powstała ogromna emigracja ludności, w „planetarnej skali", jakiej jeszcze świat nie widział. Milionami zapełniły się koncentracyjne obozy.

Tempo kolektywizacji było iście oszałamiające, tak że komunista francuski, Barbusse, mógł pisać w uniesieniu o „cudzie kolektywizacji". Wódz jednak proletariatu, rządzący z Kremla, po kilku latach dał sygnał do odwrotu, głód bowiem, na skutek kolektywizacji, zajrzał w oczy całemu narodowi. Pola były nie obsiane, gotowe zbiory nie zbierane, ludność zaś miejską trzeba było przecież czymś żywić. Głód z 1932/3 r. był przyczyną powstrzymania przez Stalina, będącej już „planowo" na ukończeniu, kolektywizacji. Wówczas trzeba było na kogoś winę zwalić i znaleźć kozła ofiarnego. Zawiniły według Stalina, organy podwładne, które, według jego wyrażenia: „dostały zawrotu głowy z powodzenia".

W tym okresie, handlem, a raczej sprzedażą brakującej w całym imperium proletariackim żywności i wszelkich innych również brakujących towarów, zajmują się państwowe, rezerwowane dla poszczególnych klas społecznych magazyny, w których sprzedawano towar po cenach różnych, stosownie do uprzywilejowania danej klasy pracow-

niczej, i — jak podaje — Victor Serge, (Kibalczyc), np. daktylografka z Gpu, za swoich 100 rubli, otrzymywać mogła w sklepach, rezerwowanych wyłącznie dla gepistów, towar, za który w magazynach dla zwyczajnej publiczności należało by zapłacić od 2500 do 3000 rb.; daktylografka z fabryki w swoim rezerwowanym sklepie za 100 rb. otrzymać mogła towaru, kosztującego na rynku 1500 rb.; daktylografka z sowietu za 100 rb. — 300 rb. towaru, daktylografka zaś ze szkoły za 100 rb. pieniądza — 100 rb. towaru. Siła kupna pieniądza była więc różną, stosownie do tego, kto go posiadał. W tym systemie wysokość zarobku w jednostkach monetarnych miała o wiele podrzędniejsze znaczenie od klasy społecznej jednostki, która go otrzymała. Robotnik mógł zarabiać 200 rb., daktylografka z Gpu tylko 150 rb. miesięcznie, lecz w rezultacie robotnik otrzymywał płacę głodową, daktylografka z Gpu mogła żyć dostatnio.

Kolektywizacja rolnictwa, którą można nazwać w skutkach systemem głodu, organizowanym przez państwo, spowodowała ogólną nędzę i zmuszała niejako ludzi do kradzieży środków żywnościowych dla utrzymania się przy życiu. Pracujące pod nadzorem komunistów, kolektywy musiały przede wszystkim płacić państwu podatki, czyli oddawać lwią część swej mizernej produkcji rządowi. W tych warunkach chłop zaczął kraść zboże i okopowiznę z kolektywnego przez siebie uprawianego pola. Dekret z 7 sierpnia 1932 r. ogłasza „świętość własności" kolektywnej i państwowej, kradnącym zaś grozi karą śmierci. Będzie się więc rozstrzeliwać chłopów za kradzież kilku kilogramów zboża, którego, na „własnym polu", są producentami.

Chłopi bronili się przed kolektywizacją jak mogli, czując w niej obuch, który ich zgniecie. Inwentarz żywy rżnęli i konsumowali, byle tylko nie oddawać go kolektywowi, z którym ich przemocą wiązano. Pogłowie inwentarza żywego, w dobie najintensywniej przeprowadzanej kolektywizacji, tj. od 1929 do 1933 r., zmalało w milionach sztuk: koni z 34,0 do 16,6; bydła z 65,1 do 38; owiec z 147,2 do 50,6 itd. Wszystko to było niespodziewaną ilustracją do doktryny marksowskiej, według której własność prywatna prowadzić ma do wyzysku i krzywdy ludzkiej, a je-

dynie własność kolektywna znamionowana jest czymś wyższym.

Ze wstrzymaniem kolektywizacji zaczyna się period trzeci panowania Stalina; nazwać go można „liberalnym", jakkolwiek liberalizm ten jest bardzo względny i dotyczy dołów społecznych a nie możnowładztwa i uprzywilejowanego stanu komunistycznego, wobec których przejawia się kurs silnej ręki. Stalin idzie tu śladami dawnych carów moskiewskich, którzy z całą stanowczością występowali przeciwko bojarstwu i możnowładztwu w chwilach, gdy pretendowały do zabierania głosu. Bojar był takim samym rabem wobec cara, jak każdy inny poddany. Wyższym klasom społecznym carowie bardzo patrzyli na palce, czując w nich ewentualnych konkurentów.

„Linia generalna" powoli ulega zmianie. Stalin bierze w obronę pracujących w kołchozach chłopów przed tyranią niższej administracji komunistycznej. Zabrania się wydalać chłopów z kołchozów, pod byle jakim pozorem i bez zezwolenia władz wyższych. Kołchoznik ma prawo do swego domu, który jest jego własnością prywatną. Prócz tego wydziela się z obszaru kołchozu działki pół-hektarowe, przechodzące również na własność chłopa, który je obsiewa, a zbiory z nich stanowią jego własność prywatną i może niemi dysponować według swego, a nie władz komunistycznych, uznania. Co więcej, wolno jest kołchoznikowi posiadać w charakterze własności prywatnej jedną krowę, trzy cielaki, dwie maciory, 15 sztuk owiec lub kóz, oraz drób w ilości nieograniczonej.

„Liszeńcy", spośród dawnych b. „burżujów", mogą być przyjmowani do pracy. Dozwala się dzieciom b. kapitalistów, kupców, popów, oficerów na uczęszczanie do szkół. Kozacy mogą pozostać małymi właścicielami ziemskimi, a prócz tego, jak dawniej, za czasów carskich, służyć w wojsku we własnych formacjach. Dół społeczny czyli cała masa narodu zostaje niejako teoretycznie zrównana w prawach z klasą rządzącą komunistów. Rezerwowane magazyny o różnych cenach zostają w 1935 r. zniesione i zastąpione sklepami dla wszystkich, bez uprzywilejowań klasowych, jak w społeczeństwie kapitalistycznym.

1 maja 1935 r. Stalin powiedział do zebranych na Kremlu kilkunastu tysięcy oficerów: „Wychylam mój kielich na zdrowie wszystkich bolszewików, członków partii i bezpartyjnych. Być bolszewikiem to być oddanym całkowicie sprawie proletariackiej. Tacy oddani ludzie są bardzo liczni wśród bezpartyjnych." Wreszcie promulgowaną zostaje nowa konstytucja, sławiona jako liberalna i ultrademokratyczna. Liberalizm ten jest oczywiście bardziej teoretyczny jak praktyczny i polega na przyrównaniu do pewnego stopnia „bezpartyjnych" bolszewików do partyjnych komunistów. Jest to kwestia tylko „zasad", lecz stanowi tym niemniej pewne *signum temporis*.

W stosunku natomiast do uprzywilejowanych w społeczeństwie marksowskim komunistów, Stalin okazuje się bardzo twardym. Jak carowie przez urzędników, Stalin rządzi Rosją przez partię komunistyczną, lecz podwładni jego nie mają prawa zabierania głosu w sprawach państwowych, a jeśli są uprzywilejowanymi w państwie, to nie z tytułu jakiegoś prawa, lecz zawdzięczają to jego proletariackiej łasce. W 1935 r. odbywa się „czystka" w partii. 200 tysięcy komunistów podlega ostracyzmowi i jest wykluczonych ze stanu uprzywilejowanego. Na ich miejsce wchodzą nowe elementy, o maksymalnych gwarancjach prawowierności.

Lata 1936 i 1937 są wypełnione procesami politycznymi, dotyczącymi zniewolniczonych, dawnych wielmożów komunistycznych oraz drobniejszych płotek marksowskich, a kończącymi się rozstrzelaniem, w najlepszym zaś wypadku wykluczeniem z partii, zesłaniem i pozbawieniem wpływów. Grube ryby: Bucharin, Kamieniew, Zinowiew, Smirnow, Radek, Jagoda, Tuchaczewski, cała plejada czerwonych generałów, tysiące oficerów czerwonej armii i drobniejszych płotek z kierowniczych sfer komunistycznych podlega „likwidacji" w ten czy w inny sposób. Wszędzie węszy się „kramołę" kontrrewolucyjną, faszystowską i trockistowską, a w rezultacie wszystko się skrupia na braci komunistycznej, na tej, która krwawo zdobyła władzę nad narodem rosyjskim.

Stowarzyszenie „starych bolszewików", tej śmietanki i arystokracji rodowej marksizmu rosyjskiego, zostało w tym

czasie rozwiązane, stamtąd bowiem, od ludzi opromienionych czerwoną aureolą rewolucji, tych pionierów marksizmu w Rosji, rozporządzających pewnym kapitałem powagi (chociaż wydaje się, że bojący się swego cienia Stalin, przecenił ich wpływy), mogło ewentualnie wyjść zarzewie spisku, lub buntu. W Europie duże wrażenie robią rosyjskie procesy polityczne, dotyczące czołowych postaci reżymu komunistycznego i kończące się rozstrzałem. Budzi się jakiś bunt przeciwko podobnym metodom rządzenia. Nie bierze się jednak tutaj pod uwagę światopoglądu sowieckiego.

Kolektywizacja, połączona ze śmiercią gwałtowną (rozstrzał) lub powolną (głód, nędza, choroby) milionów ludzi nie zrobiła takiego wrażenia odrazy jak rozstrzelanie czerwonych generałów. Z jednej strony obojętność wobec milionów, z drugiej przejęcie się losem Tuchaczewskich, Kamieniewów i Zinowiewów. W istocie ilość wyrządzonej krzywdy jest zupełnie niewspółmierną w obu tych wypadkach. Grube ryby komunistyczne mogły w tym wypadku ponieść jedynie dobrze zasłużoną karę za długoletnie przewiny wobec milionów, co zaś się tyczy owych milionów to te cierpią ponad przewiny przeszłości.

Z marksowskiego punktu widzenia, morderstwo polityczne, o ile chodzi o dobro klasowe komuny, nie istnieje. Jest tylko usunięcie ze świata, lub tzw. „likwidacja" jednostek, czy też milionów ludzi szkodliwych klasowo. Pojęcie morderstwa jest ściśle złączone z pojęciami obiektywnymi dobra i zła, istnieniem świata pozagrobowego, duszy i sumienia ludzkiego, czyli z pojęciami nie istniejącymi w marksowskim poglądzie na świat.

Lenin, apostoł Marksa, nauczał, że dobrym jest co służy rewolucji, złem zaś co jej staje na drodze przeszkodą. Taka etyka zbiega się z moralnością najbardziej prymitywnych, ludożerczych, najdzikszych plemion. Co jest dobrym? — pyta misjonarz dzikusa — a co złym? „Dobrym jest — odpowiada dzikus — jeśli ja porwę żonę sąsiadowi, zaś złym jeśli on mnie ją porwie". W pojęciach materializmu marksowskiego nie ma miejsca na pojęcie grzechu, a ponieważ świat pozagrobowy nie istnieje, usunięcie człowieka ze świata jest tylko jego „likwidacją" w nicość.

Tuchaczewski, niedoszły zwycięzca z pod Warszawy, został przez rozstrzelanie zlikwidowany jako człowiek. Nie ma go. Nie cierpi. Jest spokój. Przez jego likwidację rewolucja światowa została ocalona, a proletariat uratowany. Kto tak orzekł? Stalin — wódz proletariatu światowego. Tuchaczewski knuł z faszystami, z tymi „wściekłymi psami", przeciwko proletariatowi, który haniebnie zdradził. Czy jest to prawdą? Chociażby nawet nie było, jeżeli dobro proletariatu tego wymagało, Tuchaczewskiego trzeba było zlikwidować, jak miliony innych wrogów proletariatu likwidowano w ciągu lat dwudziestu przez Czekę i GPU. A ostatecznie czy Tuchaczewskiemu nie było obojętnym za co został rozstrzelany? za spisek z faszystami, czy za inną przewinę?

Iwan Sołoniewicz pisze, że poznał w więzieniu Żyda Gendelsmana, który został skazany na wieloletnie więzienie za należenie do „Sokoła". Gdy Gendelsman pozwolił sobie zauważyć, iż Żydów w ogóle do „Sokoła" nie przyjmowano, czekista odrzekł mu: „Nie jest wam wszystko jedno, obywatelu Gendelsmanie, za co macie siedzieć, za „Sokoła", czy nie za „Sokoła"?"

Pojęcie proletariatu jest czymś bardzo nieuchwytnym, zresztą proletariuszem właściwym i pełnowartościowym jest proletariusz uświadomiony *(soznatielnyj)*. Uświadomiony proletariusz nie zna pojęć jak: grzechy sumienia, sprawiedliwość i nie rządzi się jakąś ściśle określoną etyką. W postępowaniu i osądach kieruje się „instynktem klasowym" i materialistycznymi pojęciami Marksa. Marks etyki specjalnej nie stworzył, w ogóle się nią nie interesował, a żywego człowieka wraz z jego umysłem i duszą wsadził w ciasne ramy przejawów gospodarczych i to jeszcze często ujętych w sposób opaczny. Natomiast zanegował całą etykę chrześcijańską, która tym samym nie obowiązuje marksistów.

Lenin mawiał, że jest tylko trzech prawowiernych marksistów na świecie: on, Lenin i Uljanow, chcąc przez to powiedzieć, iż tylko on sam najlepiej pojął Marksa, musiał więc posiadać w dozie maksymalnej instynkt klasowy, sam zresztą pochodząc z rodziny nie robotniczej, ale szlacheckiej. Następca jego Stalin, mieniący się być z kolei najlepszym uczniem Marksa

i Lenina, dzierżący w swych dłoniach ogrom władzy dyktatury proletariatu, musi mieć również wyostrzony do najwyższego stopnia „instynkt klasowy", zwłaszcza, iż sam pochodzi z rodziny proletariackiej, a ponieważ on właśnie z tytułu sprawowanej dyktatury decyduje o postępowaniu, nie ma z punktu widzenia uświadomionego proletariusza, żadnej apelacji od jego decyzji. On bowiem jest sędzią najwyższym i bezapelacyjnym, mogącym w wyśnionej tej epoce, po wypędzeniu „katów", sądzić i skazywać wszystkich wielkich i małych, jednostki i miliony, kierując się instynktem klasowym, dla dobra proletariatu i jego rewolucji.

Trocki, przebywający na wygnaniu, jest zdania, że instynkt klasowy Stalina zeszedł na manowce, że z pochodzenia jest on tylko „eserem", a nie autentycznym marksistą-komunistą, czyli socjalistą dynamicznym, wprowadzającym w czyn swoją wiarę. Z drugiej jednak strony czyż nie knował Trocki swego czasu przeciwko Leninowi, największemu apostołowi Marksa? — wówczas gdy Stalin jest z krwi i kości autentycznym starym zasłużonym komunistą-marksistą, który już w 1905 r. dokonał udanego napadu na oddział carskiego banku państwa w Tyflisie. To też Stalin nazywa Trockiego po prostu „wściekłym psem faszystowskim".

Gdzie nie ma określonych sprawdzianów, tam każdy rozumować może według swej woli i upodobania. Tak też czyni i Stalin, wkładając w „instynkt klasowy" to, co mu dogadza. Dla nie-marksistów powstają prawdziwe dylematy, z których nie ma wyjścia. Mimo tego jednak urok Sowietów, gdzie „rządzi klasa robotnicza", jest poza Rosją dla niektórych sfer ludności tak wielki, że niezdolne są go przyćmić ani wytracania milionów zwykłych śmiertelników, ani rozstrzeliwanie czerwonych wodzów i generałów. Zapewne przyjdzie kiedyś czas, że urok ten się rozwieje, lecz okres ten jeszcze nie bliski.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Miłosierne epos polskiego Cyda.

Ćwierć wieku upływa od chwili, kiedy w marańskiej trędowni, na madagaskarskiej ziemi umierał śmiercią utrudzonego bohatera polski kapłan-jezuita. Drugiego października 1912 r. dopełniła się męczeńska karta żywota dobrowolnego skazańca, zapisana heroizmem i najczystszą ofiarą miłości najnieszczęśliwszych...

Od postaci tej bije wspaniały blask męskiej cnoty i mocnego charakteru, zakrojonego na miarę wyznawców pierwszej ery chrześcijaństwa. Spływa on nie tylko na naród i zakon, do którego należał, ale i na stan kapłański, którego stał się chlubą i czołowym przedstawicielem. W blasku tym jaśnieje jednak przede wszystkim samo pojęcie człowieka...

Dziś zwłaszcza, gdy prawdziwe pojęcie człowieka tak się kurczy, karłowacieje i tak potworne nieraz przybiera w życiu kształty, gdy pomniejszone przez fałsz współczesnego humanizmu a zepchnięte w komunistycznych mrzonkach do roli karykatury nie może się podnieść na piedestał właściwego swego znaczenia — owa nadludzka prawie osobowość O. Jana Beyzyma wskazuje całemu światu na skarby człowieczej natury, zaklęte w jednostkę uformowaną na modłę Boga-Człowieka...

O. Jan Beyzym urodził się 15 maja 1850 r. w Beyzymach na Wołyniu, jako najstarszy syn Jana i Olgi z hr. Stadnickich. W domu otrzymał prawdziwie po katolicku pojęte, staropolskie wychowanie. Do roku 1863 przebywał z rodzicami w Onackowcach, gdzie pod kierunkiem domowych nauczycieli, wraz z młodszym rodzeństwem, odebrał pierwsze szkolne

wykształcenie. Powstanie styczniowe przerwało edukację dzieci. Ojciec, przyłączywszy się do oddziału powstańców, przedarł się po ich rozbiciu do Galicji, skąd jako pozaocznie skazany na śmierć buntownik, nie mógł już więcej powrócić na Wołyń. Po trudach więzienia i tułaczki osiadł wreszcie w galicyjskim Porudnem i objął w zarząd dobra pp. Steckich.

Zrabowanie i skonfiskowanie w międzyczasie Onackowiec sprowadziło ciężkie czasy na rodzinę Beyzymów, która, zdana na łaskę krewnych i kapryśnego losu, z zamożności popadła niemal w skrajny niedostatek. Dopiero po paru latach odzyskała częściowo utraconą fortunę. Wówczas to 22 letni Jan, po ukończeniu gimnazjum w Kijowie i po rocznej próbie pomocniczego zajęcia na roli, zdecydował się wstąpić do zakonu Towarzystwa Jez. i w grudniu 1872 r. rozpoczął dwuletni nowicjat w Starejwsi, pod Brzozowem.

Już w ciągu studiów przez parę lat a po wyświęceniu na kapłana w r. 1881 przez lat kilkanaście poświęcał się ks. Beyzym pracy wychowawczo-nauczycielskiej w tarnopolskim i chyrowskim konwikcie. Chociaż zajęciu temu oddał się z całym zapałem i miłością, to jednak serce jego rwało się do większych jeszcze ofiar i trudów, do zupełnego wyniszczenia się w służbie miłości bliźniego. Dlatego też, uzyskawszy pozwolenie przełożonych na wyjazd do trędowatych, 17 października 1898 r. pożegnał na zawsze gorąco ukochaną Polskę, rodzinę, serdecznie umiłowanych „chyrowskich zbereźników" i 30 grudnia tegoż roku stanął w Tananariwie, u bram „żywego grobu".

Początki bohaterskiego apostołowania były naprawdę żmudne. Nieznajomość języka Malgaszów, brak środków do życia i ulżenia nędzy oraz cierpieniom „czarnych piskląt", przeróżne choroby, spadające na utrudzone barki „Tatara", najrozmaitsze tysiączne kłopoty codziennego życia, zwłaszcza gdy budował szpital dla trędowatych w Maranie, krwawo znaczyły krzyżową drogę naszego rodaka... A jednak wytrwał, nie ugiął się pod uciążliwym brzemieniem misjonarskich obowiązków. Krzepiony mocą z wysoka i wspomagany materialnie przez pamiętającą o nim Polskę... zgorzał, trawiony pod koniec życia nowym pragnieniem poświęcenia

się katorżnikom na syberyjskim Sachalinie; umarł, zaraziwszy się przedtem trądem, jako niedościgły wzór ukochania najbardziej wydziedziczonych...

Oto suchy szkic biograficzny tego bogatego treścią życia.[1]) Przypatrzmy się jednak bliżej niepospolitej postaci świątobliwego zakonnika. Gdzie źródło jego wielkości i heroizmu?... Wyjaśni nam to najlepiej nieco głębsze wniknięcie w tajniki jego olbrzymiego ducha i w niewygasłą miłością tętniące serce.

„Jaś Beyzym — pisze jego cioteczna siostra — odznaczał sią nadzwyczajną prawością, prawdomównością i sumiennym spełnianiem obowiązków, czego też domagał się i od innych... Był zawsze poważny nad wiek, małomówny i unikający gwarnych zebrań. Dobry był bardzo..." Chociaż miał, jak sam po wielekroć wyznaje, naturę popędliwą, skłonną do gorączkowania się, jednak „w kółku rodzinnym był łagodny i wesół..., nikt też nie pamiętał, by kiedykolwiek zrobił lub powiedział coś głupiego albo złego..."

„Natomiast w obcym towarzystwie stawał się mrukowaty. Szczególnie towarzystwa pań unikał stale..." Naturalna wstydliwość chroniła w młodości przyszłego apostoła od przeróżnych pokus, zachowując jego duszę w niewinności.

„Gdy przyjdę wieczór do pokoju — pisze do wuja — albo gdy siedzę w czasie obiadu, to mnie tak czegoś wstyd, że nie mogę oczu podnieść. Sam wiem, że nie mam się czego wstydzić, bom nic nie zrobił złego, ale na to już nie poradzę"...

Wielka prostota serca uzewnętrzniała się także w jego pospolitym ubraniu. „Raz zrzuciwszy mundur gimnazjalisty, stale nosił długie buty i kurtę, tzw. hunię, z grubego płótna, lub kitel płócienny, i nie było siły, któraby go zmusiła do ubrania się w modny strój wizytowy lub balowy..."

W prawej, idealnej duszy młodziana tliło zato już od pierwszych chwil jego życia zarzewie tkliwej miłości bliźniego,

---

[1]) Historię życia zaczerpnęliśmy z dwu dzieł: Ks. M. Czermiński T. J.: *Ks. Jan Beyzym T. J.* — ofiara miłości. Wyd. II. 1922 oraz *Listy o. Jana Beyzyma T. J.*, apostoła trędowatych na Madagaskarze. Wyd. V. 1927. Obydwa dzieła nakł. Wydawn. Księży Jezuitów.

które rozdmuchane w ogarniający wszystko płomień sięgnie w końcu po laury heroizmu...

Gdy kataklizm styczniowego powstania zepchnął rodzinę w odmęty materialnego niedostatku, „młodziutki Jaś, chcąc matce dopomóc w kształceniu rodzeństwa, sam ucząc się pilnie dawał równocześnie korepetycje młodszym kolegom, przepisywał urzędnikowi akta, nawet podejmował się ciężkich ręcznych robót a niejednokrotnie naprawiał swoje własne oraz rodzeństwa ubranie, aby tylko zaoszczędzić grosza na wyżywienie rodziny. Radował się gdy mógł na święta wielkanocne kupić dla swych braci pszennych bułek do herbaty, bo zwyczajnie tylbo chlebem razowym głód zaspokajali..." Czując niejako synowskim instynktem, że skołatany ojciec-wygnaniec znajduje się w skrajnej nędzy, nie mogąc się z nim znosić listownie ani się doń dostać, wynalazł przecież sposób przesłania mu kilku w pocie czoła zapracowanych rubli. Ten wielkopański syn nie wstydził się najniższej nawet pracy, zawzięcie nieraz pomagał w zajęciach gospodarskich, a tak lubiał pracę fizyczną, że był najszczęśliwszym, gdy mógł spędzić większą część dnia na koniu lub zmęczyć się porządnie kosą, cepem lub siekierą tak, „że aż kości były mokre".

A jakim był miłośnikiem biednego, uciskanego ludu! Wszak praca dla ludu — to najszczytniejsze jego marzenie i najżywsze ukochanie. Swoją działalność dla chłopskiej warstwy pojmował jako zżycie się z jej niedolą i troskami, jako ciepło wspólnoty i braterstwa, niesione do wieśniaczych chat, jako całkowite oddanie siebie i miłosierną dla niej służbę sercem i uczuciem... Ten zapracowujący się do znużenia „panicz", nie teoretyzujący biegle na temat społecznego równouprawnienia, ale oddający dobrze zrozumiany hołd chłopskiej mordędze, żył w prostych sercach naszego ludu jako uosobienie czynnej miłości człowieką. Duszą kochającego wieś dziecka rozstrzygał kwestię ludową. „Dla włościan i służby — powiada jego krewna — tak był ludzkim i wyrozumiałym, że w porównaniu do niego niczym są dzisiejsi ludowi działacze..."

W tym szlacheckim dziecku Wołynia, czułym na ból i nędzę drugich, rozbłysło i wnet się skrystalizowało powo-

łanie do stanu duchownego. Wstąpienie jednak do zakonu poprzedziła długa walka wewnętrzna... kosztowało go ono wiele, bo pozostając w Galicji musiał pożegnać na zawsze umiłowany Wołyń, rozstać się z rodziną kochaną i kochającą, musiał też wyrzec się bezpośredniej pracy dla ludu w stronach rodzinnych...

W ten sposób obrana droga życia uchyliła wprawdzie realizację młodzieńczych marzeń, nie zagasiła jednak gorącej żądzy kochania drugich, szczególnie tych najnieszczęśliwszych, którzy tej miłości najwięcej potrzebują.

Beyzym rozpoczął z zapałem swój zakonny nowicjat, szlachetniał niemal z dniem każdym w delikatnych uczuciach serca... Jego miłość nie była bynajmniej czułostkową, lecz okazywała się w czynie. We wszystkich zajęciach swoich był przykładem dla innych... Targowanie się z wolą Bożą i przełożonych, kompromisy z rozkazami starszych, były to rzeczy nieznane temu wzorowemu jezuicie. Zupełna obojętność na zdrowie, choroby, powodzenia i niepowodzenia, łącznie z całkowitym zabiciem własnych upodobań — to charakterystyczne cechy tego świątobliwego zakonnika.

Toteż przełożeni, oceniając dobrze wielkoduszną cnotę ks. Beyzyma, powierzyli jego pieczołowitości wychowanie młodzieży konwiktowej. Praca wychowawcza w chyrowskim gimnazjum stanowi niejako drugi etap społeczno-samarytańskiej działalności przyszłego „posługacza trędowatych".

„Dla swych wychowanków — pisze jego biograf, O. M. Czerwiński T. J. — staje się nie tylko kochającą matką, ale i roztropnym ojcem. Jak z jednej strony nagina ich do karności, subordynacji i poczucia obowiązku, tak z drugiej nie szczędzi swych sił i zdrowia, aby umilić im pobyt w szkołach. Nie tylko myślał o ich rozwoju fizycznym, więcej jeszcze troszczył się o ich religijne i moralne wychowanie. Trudne, niesforne nieraz charaktery starał się naprawiać nie tylko napominaniem, lecz jeszcze bardziej gorącą modlitwą do Matki Boskiej i śś. Aniołów Stróżów".

Jako długoletni prefekt zakładowej lecznicy odznaczał się ks. Beyzym wielką miłością i poświęceniem dla chorych. Opieka nad nimi i starania, ażeby im we wszystkim możli-

wym dogodzić, pochłaniały go niemal wyłącznie. Z macierzyńską czułością oddawał swym wychowankom bardzo często nawet najniższe służebne posługi. Na własnych rękach przenosił chorych do lecznicy, przygotowywał pościel, znosił rozmaite zabawki, grywał ku ich uciesze na organkach, rozweselał ich niestrudzenie opowiadaniem różnych anegdotek, bajek czy czytaniem wesołych a budujących epizodów. Ach te niezapomniane bajki! Rozgwarzone zazwyczaj bractwo przycichało naraz, obsiadając kołem swego prefekta, a on im opowiadał całymi godzinami czarowne historie, malował groźne, bez wyjścia sytuacje i zdarzenia, to znowu odtwarzał pełne humoru, komiczne sceny. Trwało to jakby bez końca. Poetyczno-artystyczna struna duszy, nasiąkłej rycerskimi tradycjami kresowego rodu, duszy, na której dnie drgało ukochanie natury, piękna i wzniosłości ukazuje nam ks. Beyzyma w średniowiecznym wizerunku poety-bohatera w jednej osobie, najbezpośredniej zrośniętego z naszą uczuciowością, najwybitniejszego może wykwitu chrześcijaństwa — św. Biedaczyny z Assyżu. Taką samą czarującą nutą i artystycznym odczuciem rzeczywistości dźwięczą później jego prześliczne *Listy,* jakie przesyłał z za „grobu żywych" do swej ojczyzny.

Jakoś „smutnawo" mu było, gdy chorych miał niewielu; gdy nie widział się zamkniętym zewsząd pierścieniem oddanych mu serc. Natomiast, kiedy liczba pensionariuszy lecznicy zwiększała się, nowy w nim budził się duch. Niezmordowanie biegał i pomagał w rozmieszczaniu chorych, sam się troszczył o potrzebne dla nich sprzęty, naczynia i bieliznę. Ściśle przestrzegał przepisów lekarskich, a zbyt czułe mamusie, które dla umilenia choroby chciały swym synalkom coś „szkodliwego przeszwarcować", delikatnie ale stanowczo „obrabowywał" z cukierków, pierników, wędlin i innych „smakołyków".

Młodzież znał ten „Tatar" doskonale, jej słabe i dodatnie strony, jej sposób myślenia, dlatego umiał wywierać wpływ na młode serca. Toteż i młodzież miała doń wielkie zaufanie. Jego wschodnia twarz o surowych jakby ciosowych rysach wyrażała ogromną dobroć, ojcowską powagę, stanowczość i siłę. Kontrastem tego „tatarskiego" oblicza były

jednak łagodne, jasne, matczyne oczy, w które „chyrowskie drapichrusty" wpatrywały się jak w tęczę, w których wyczuwały krystalicznie dziecięcą duszę. Do jego żylastych, spracowanych rąk cisnęli się wszyscy potrzebujący — i nie doznawali zawodu.

Jednakże O. Beyzym srogo karcił brak koleżeństwa, mazgajstwo i sobkostwo, zanoszenie skarg za lada doznaną przykrość. Sam pełen apostolskiego żaru rozbudzał szlachetne uczucia do wszystkiego co prawdziwie piękne i dobre, do zamiłowania cnoty, nawet heroicznej [1]). Względem uczniów nigdy nie występował jako przełożony, lecz jako starszy brat, równy wszystkim. Dlatego też konwiktorzy kochali go bardzo i wobec niego każdy był szczerym.

Atoli ten „niedoszły brat ludu" zatęsknił za wspanialszym jeszcze wawrzynem całopalnej ofiary, zapragnął poświęcić się dobrowolnie najbardziej nieszczęśliwym i wydziedziczonym. Dopiął celu zamierzeń, stanął na posterunku, wystawionym na niechybne, powolne zamieranie. Rozglądnął się. Błękitnymi oczyma dziecka zobaczył bezmiar ludzkich udręczeń, które wycisnęły z tych oczu dwie duże litosne łzy. „Żal mi biednych moich chorych i o nich tylko myślę, jak zaradzić tej ich nędzy i ulżyć im". Chce ratować zgłodniałą rzeszę i nie ma za co. Oddaje im swój kawałek suchego chleba, dzieli się z nimi szczupłą porcją rozgotowanego na wodzie ryżu. Ale cóż to na tak wielu. „Aż mi się niedobrze robi — skarży się w *Listach* — gdy wspomnę, że tyle ludzi traci taką masę pieniędzy na zachcianki i przyjemności nieraz najniegodziwsze, a moi chorzy... muszą klepać okrutną biedę". Wskutek ropiejących ran ciało kawałkami odpada. Zewsząd słychać jęki bólu i wołania o pomoc. I O. Beyzym spieszy. Skrawkiem lichego płótna owija zgangrenowane części ciała, wyżebranym lekarstwem czy skąpą miseczką ryżu zaspokaja okaleczone członki i uśmierza szarpiący wnętrzności głód, macierzyńską czułością i dobrotliwym słowem o prawdziwym Bogu krzepi znękane dusze, podnosi nieoświecone umysły i serca na wy-

[1]) Por. z cyklu *Młodzi ulubieńcy Jezusa* żywcik pt.: „Mały bohater — Stefcio Kurnatowski. Str. 104, Wyd. Apost. Modl. Kraków.

żyny chrześcijańskiej doskonałości. Trędowaci Malgasze co roku odprawiali pod jego kierunkiem trzydniowe rekolekcje.

Początkowo szło mu wszystko niezwykle opornie. Prawie już 50-letni zabiera się do „nabijania swej mózgownicy ciemną malgaską sciencją". Równocześnie przemyśliwa nad urzeczywistnieniem swej szczytnej idei — wybudowania obszernego na 200 osób, po europejsku urządzonego szpitala oraz nad zapewnieniem należytego jego utrzymania. Żebrze na ten cel, gdzie może. Przede wszystkim jednak śle swe namiętne prośby o jałmużnę do ojczystej Polski. Po kilku latach ustawicznych kłopotów stanął wreszcie, niedługo przed śmiercią swego założyciela, wspaniały szpital dla trędowatych w Maranie, jako Chrystusowa oaza pośród pustyni zepsucia i zakłamania pogańskiego bałwochwalstwa. Stanął przeważnie za polski wdowi grosz, jako pomnik sarmackiego uporu oraz ofiarności.

Zanim jednak gorliwy misjonarz dokonał swego dzieła, borykać się musiał przez wiele lat z najrozmaitszymi przeszkodami.

Niska, minimalna prawie kultura malgaska, nadzwyczaj prymitywne warunki zdrowotne, zatrważająca umysłowa tępota, zacofanie i obyczajowe zepsucie, obok niespotykanej rozwiązłości życia tamtejszych Europejczyków, którzy zamiast cywilizacji wnoszą chroniczny bezład pod każdym niemal względem, stanowiły dla O. Beyzyma ledwie dający się przezwyciężyć szkopuł w misyjnej działalności. Nieugięty lechicki charakter wraz z poczuciem apostolskiego posłannictwa zdołały jednak usunąć piętrzące się przeszkody.

Trudniej było Misjonarzowi zmagać się z masońskim zarządem wyspy, który nielitościwie obchodził się z biedną tubylczą ludnością, a zwłaszcza z trędowatymi, nie pozwalając im zbierać suchej trawy i chrustu, potrzebnych do ugotowania nędznie zresztą wydzielanej strawy, zabraniając przydrożnej żebraniny i patrząc przez palce na zwierzęce wprost znęcanie się drobnych tubylczych urzędników nad nieszczęśliwymi ziomkami. Bolało to wszystko delikatne serce ich Opiekuna; zabiegał ile mógł o poprawę ich losu, ale jako cudzoziemiec niewiele potrafił dokazać.

Już i tak okropną biedę powiększały nadto różnorakie klęski elementarne jak głód, zarazy, ostra często śmiertelna febra, pozostająca w łączności z zabójczym, malarycznym klimatem i nadzwyczajną wilgocią, często nawiedzająca Madagaskar szarańcza a nade wszystko istna plaga tamtejszych okolic, pchły afrykańskie, które gnieżdżąc się w niezliczonych ilościach w porach ludzkiego ciała, nawet pod skórą, okrutnie dokuczają, powodując niejednokrotnie śmierć.

Najwięcej jednakże dręczyło i gniewało O. Beyzyma uwłaczanie jego „pisklętom". Niekiedy tego rodzaju obojętność a szczególnie „złośliwe wykrzykiwania różnych jaśnie oświeconych na ich nieróbstwo" doprowadzały go do pasji.

Staram się — pisze w rozżaleniu — kochać bliźnich jak samego siebie, nie sądzić i nie mieć nienawiści do nikogo, ale otwarcie się przyznam, że tego praktycznego doradcę, coby w łeb wszystkim trędowatym wypalił, strawić nie mogę i czuję, że z przyjemnością pogłaskałbym go po grzbiecie moim kawowym pocieszycielem za to jego arcymądre powiedzenie.

Jednakowoż, mimo tylu i tak znamienitych plonów swego apostołowania O. Beyzym niczego sobie nie przypisywał, całą zasługę w tym względzie przenosił na Maryję.

Niech Ojciec nie myśli — pisze do redaktora *Misyj Katolickich* O. Czermińskiego — żebym ja w tym wszystkim coś znaczył, bynajmniej, jestem kompletnym zerem, wszystkim rządzić raczy i kierować sama Matka Najśw., która się mną posługuje tylko jak narzędziem, ja nigdy sam nic zgoła nie robiłem i nie robię.

Miłość i synowska cześć dla Najśw. Panny, to jakby druga najbardziej zasadnicza cecha świętości Apostoła trędowatych. Ona to właśnie stanowiła główną sprężynę wszelkich jego myśli, pragnień i czynów. Już jako mały chłopiec miał do Maryi czułe nabożeństwo. Potem pisze z nowicjatu do wuja, by mu przysłał „stary obrazek M. Boskiej", który otrzymał od swej matki. Jako wychowawca gorliwie zabiegał o szerzenie praktycznej czci maryjnej wśród konwiktorów. Liczne jego egzorty, nauki i prywatne rozmowy na tematy mariologiczne — to owoc ukochania przezeń Maryi. Przed

wyjazdem na misję nabywa obraz M. Boskiej Częstochowskiej, której przemożnej opiece zamierza powierzyć swoje przyszłe owieczki. Jakąż dopiero wspaniałością zajaśniała owa potężna miłość ku Bogarodzicy u O. Jana, gdy wśród codziennych utrapień misjonarki przed Nią wylewał swoje łzy żalu i bólu nad cierpieniami czarnych swych dzieci, łzy radości, dziękczynienia i chwały dla madagaskarskiej Opiekunki.

Wstyd mnie — pisze — żem taki głupi i lada czym się nastraszę, wszak to wszystko w ręku Matki Najśw... Za Jej pomocą wydzieram po prostu kogo i jak mogę głodowej śmierci... Matka Najśw. widocznie sama leczyła, bo nie umierali... Zlituje się Najśw. Panna, będzie nam lepiej...

Oto parę tylko z licznych wypowiedzeń o Maryi. Przeszło 350 razy w najrozmaitszych odmianach posługuje się w swych *Listach* Jej najświętszym Imieniem. Codziennie sporo czasu spędzał przed Jej cudownym wizerunkiem. W rozgwarze dziennych zajęć, przy ich zaczynaniu i kończeniu, wybiegał myślą przed Jej niebieski tron, krył się sam i wszystko co kochał skrywał pod matczynym Jej płaszczem.

Ja sam zawsze — wyznaje z prostotą — we wszystkim do Niej się udaję, czy to we większych rzeczach, czy w najmniejszym drobiazgu nawet... Całkowicie należę do Matki Najśw. Ofiarowałem się Jej z gotowością na wszystko, co zechce ze mną zrobić, o to Ją tylko proszę przy tym ustawicznie, żeby, rozkazując co zechce, dopomogła mi do wiernego wykonania Jej rozkazów oraz żeby mnie uchroniła od odpadnięcia od św. wiary naszej i Towarzystwa.

Do żarliwego nabożeństwa ku Niepokalanej zagrzewał też swoich „trędowatych braci".

Nadzwyczaj mnie cieszy — pisze — że moje dzikusy coraz to większe zaczynają mieć ku Niej nabożeństwo; jak tylko miłość i ufność do Matki Najśw. dobrze zakorzeni się w tych biednych sercach, to będę o nich zupełnie spokojny, wszystko będzie w porządku według najśw. woli Pana Jezusa...

Przed rekolekcyjną coroczną trzydniówką błaga Ją serdecznie o pożądany owoc.

Jak zwykle wszystko — powiada — tak i tę rzecz oddałem w opiekę Matce Najśw. i prosiłem Ją ustawicznie, żeby raczyła sama kierować moimi słowami i sercami tych nieszczęśliwych, bo rzecz jasna, że inaczej nicby z tego wszystkiego nie było.

Dlatego też jego szpital był raczej podobny do domu zakonnego, niż schroniska na pół dzikich murzynów.

Wmyślając się nieco głębiej w ten dziecięcy stosunek O. Jana do Maryi, nie zdziwimy się, że i Ona starała się ukształtować swego wiernego sługę na wzór najmilszego Syna swego. To też bogactwo duchowego życia, odzwierciedlającego się w przedziwnych naprawdę cnotach miłosnego zaparcia samego siebie, uwypuklają jeszcze wyraziściej inne jego wewnętrzne wartości.

O. Beyzym — to, podług zgodnej opinii otoczenia, niepospolity mąż modlitwy, przepełnionej głębią Chrystusowej wiary, która go wiodła do Boga poprzez utrudzenia i krzyże samarytańskiego obowiązku. W modlitwie czerpał zapał do żmudnej apostolskiej pracy. A żar jego gorliwości nie zamknął się bynajmniej w ciasnym marańskim szpitalu. O. Beyzym marzył nadto o pracy na odludnym syberyjskim Sachalinie, gdzie tysiące udręczonych katorżników traciło wśród boleści ciała moralne życie i wieczną szczęśliwość. Cóż pisze o tym niewygasłym swoim pragnieniu?

Powołanie moje do trędowatych za łaską Matki Najśw. nie słabnie wcale, ale nie przestaję Jej prosić o to, żeby, jeśli taka Jej najświętsza wola, pozwoliła skończyć szpital, wprawić wszystko w ruch, a potem żeby mnie raczyła odkomenderować na Sachalin, żeby ile będzie można z Jej pomocą wyrwać dusz z tego istnego piekła na ziemi a bodaj i wiecznego...

Ta pełna zatroskania, a wzmagająca się coraz więcej miłość dusz nieśmiertelnych nie pozwalała mu nigdy poddać się zwątpieniu:

Jego tatarska mość często bywa w złym humorze; mimo to jednak na duchu nie upadam i za łaską Matki Najśw. do ostatka nie poddam się tym trudnościom ani też się nimi nie zniechęcę.

Człowiek, który pomimo ustawicznie „trzepiącej nim febry" i reumatycznych bólów, mimo że, zaraziwszy się trą-

dem, przez parę lat z niezmożoną cierpliwością znosił dojmujące katusze związanych z tą chorobą słabości — śmiał w pokorze ducha uważać siebie za najpośledniejszego z ludzi, człowiek ten urasta na miarę tytana świętości... Obojętny na wszystko, wyzuty ze wszystkiego pisze:

Co bym ja dał za to, żebym mógł zupełnie umorzyć to moje podłe „ja", któremu się tak daję za nos wodzić...

On wielkoduszny sługa Boży wyznaje w uniżeniu:

Co bym ja dał za to, bym mógł P. Jezusa i M. Najśw. kochać, tak im służyć, jak tego gorąco pragnę. Ej! straszne ze mnie, sam nie wiem, jak się wyrazić, bo bydlę to za mało...

Mając o sobie tak niesłychanie niskie mniemanie, karcił schorowane ciało mnogimi uczynkami pokuty. Wiódł iście pustelniczy żywot. Wstawał zawsze aż do końca życia o godz. 3.30 mimo ciągłych cierpień żołądka. Jadł tak niewiele, iż wszyscy się dziwili, jak potrafi tyle pracować. Rano nie przyjmował żadnego pokarmu, obiad jego — to skromna miseczka ryżu, bez omasty, z odrobiną mięsa i to tylko kilka razy na tydzień, bo w środy, piątki i soboty pościł przez całe swe zakonne życie. Wieczorem — trochę herbaty lub parę ziemniaków rozgotowanych w wodzie i ryż. Do tego uciążliwa codzienna praca koło chorych, liczna korespondencja, załatwiana najczęściej do późna w noc, przeróżne kapłańskie obowiązki wypełniały swą monotonią pobyt wśród najbiedniejszych.

W tym mężu Bożym, przygwożdżonym twardą wolą ofiary i poświęcenia do jednostajnych, szarych obowiązków misjonarsko-samarytańskiego powołania, każdy, kto się z nim stykał lub przeczytał prześliczne jego *Listy,* uznać musi duszę nad wyraz artystycznie nastrojoną, potężne patriotyzmem serce rzetelnego Polaka...

Subtelny zmysł piękna, wrodzony polot myśli i koloryt stylu uderzający w opowiadaniach, a godny wybitnego nowelisty, przykuwały wyobraźnię i umysł młodocianych chyrowiaków. Później wpatrzony w dziwy natury, zasłuchany w złowrogie ryki grzmotów i piorunów pisał ze swego eremu z mistycznym odczuciem cudów wszechświata:

Kiedy się jest w ogrodzie albo w cieplarni a wokoło grobowa cisza panuje, to kiedy się przystanie na chwilę i popatrzy tak na całość, nie na jeden kawałek tylko — tak jakoś jakby namacalnie czuje się tę wszechpotęgę Boga.,. że mimo woli zapomina się zupełnie o wszystkim a dusza rwie się do Stwórcy...

Serce ks. Jana, tak dalece zżyte z przyrodą, nie mogło nie odczuwać piękna opuszczonego na zawsze ojczystego kraju, nie zdołało zdusić w swym wnętrzu szarpiącej za nim tęsknoty... Owe natarczywe błagania o nasiona polskich brzóz i grabiny, lilij, astrów i nieśmiertelników, którymi chciał upiększyć swoje schronisko, owo gorące marzenie, by ten przytułek stanął za polskie pieniądze, by Polakom przysługiwało pierwszeństwo w fundacji szpitalnych łóżek, ta wprost niepohamowana radość z otrzymanej, choćby najdrobniejszej polskiej jałmużny i dziecięca wprost pociecha, że „pod afrykańskim niebem będą czcić na ołtarzu naszą Najśw. Częstochowską Mateczkę"... wszystko to daje pełny wyraz przywiązaniu O. Beyzyma do polskiej ziemi.

Nie było mu danym wrócić na Ojczyzny łono. Spoczął opodal trędowni, pośród swoich ukochanych „piskląt". Nad skromną mogiłą stoi, prosty, wielki krzyż, koło którego szumią, jakby czuwając nad kimś bardzo umiłowanym, polskie smukłe brzozy i rozłożyste graby a u ich stóp polskie fiołki i goździki białe, złociste róże i srebrne lilie sprowadzone z kraju, przykryły niby drogocennym kobiercem miejsce wiecznego spoczynku wielkodusznego Polaka. Wstająca zaś z tego grobowca, wizja męskich cnót i heroicznych czynów ofiary naszego rodaka, nazwanego przez Francuzów polskim Cydem, winna wzbudzić w każdym polskim sercu uczucia już nie tylko najwyższego podziwu, ale nade wszystko najżywszego pragnienia, by dobry Bóg raczył narodowi naszemu dać wkrótce w osobie Ojca Jana Beyzyma potężnego patrona, równocześnie wzniosły, z ołtarza przemawiający wzór ku naśladowaniu.

Ks. St. Nawrocki T. J.

Problem Dalekiego Wschodu.

Stan konfliktu zbrojnego, czyli tzw. „wojny bez wypowiedzenia", istniejący obecnie między Japonią i Chinami, jest logicznym następstwem sytuacji bez wyjścia, która wytworzyła się między tymi państwami od czasu aneksji przez Japonię Mandżurii i doszła do najwyższego naprężenia w ciągu dwu lat ostatnich, w związku z nieustającą agresją japońską w Chinach Północnych. Zawarty w r. 1933 rozejm w Tang-ku położył wprawdzie kres otwartej walce o Mandżurię i zmusił Chiny do pewnego rodzaju milczącego uznania nowego stanu rzeczy, ale w najmniejszym stopniu nie ustalił wynikających z niego wzajemnych stosunków prawnych. Kwestie te miała załatwić specjalna konferencja, projektowana w bliżej nieokreślonym czasie późniejszym, dalszy jednak rozwój wypadków wkrótce udowodnił zupełną niemożliwość jej zwołania ze względu na zasadniczą różnicę zdań obu stron co do warunków przyszłego współżycia. Od tego więc czasu stosunki japońsko-chińskie pozostawały w stanie płynnym, wykazując stałą tendencję do dalszego pogorszenia, do czego przyczyniły się — z jednej strony podwójna polityka Japonii wobec Chin, a z drugiej — szybko postępujący proces konsolidacji państwa chińskiego, opierający się na wzroście świadomości narodowej wśród Chińczyków.

Podwójna polityka Japonii i jej powody.

System polityki „dwutorowej", stosowany przez Japonię wobec Chin w ciągu kilku ostatnich lat, nie był wynikiem jakiejkolwiek decyzji, powziętej przez czynniki rządzące, a raczej echem ostrych tarć wewnętrznych, które powstały

w tym państwie w związku z różnicą poglądów na dalszą ekspansję Japonii na lądzie azjatyckim. Konieczności tej ekspansji nie zaprzeczał nikt, z wyjątkiem może skrajnej lewicy, prawie pozbawionej możności legalnego wypowiedzenia się, ale chodziło o jej taktykę i tempo. Podczas więc gdy większość sfer cywilnych, wraz z parlamentem i popierającą go finansjerą, uważała że gwałtowna realizacja planów mocarstwowych w Azji Wschodniej może okazać się zgubną dla sił gospodarczych kraju i że należy wpierw dobrze „przetrawić" połkniętą Mandżurię, usiłując jednocześnie dojść do porozumienia z Chinami w drodze rokowań, koła wojskowe wypowiadały się za niezwłoczną i energiczną akcją, pozbawioną wszelkich cech kompromisu, wskazując przy tym, że koniunktura obecna najbardziej sprzyja tego rodzaju polityce. Wpływy armii, popieranej przez potężne tajne organizacje fanatyków, marzących o utrwaleniu hegemonii Japonii w Azji Wschodniej, okazały się silniejsze, nie o tyle jednak, aby program jej mógł od razu i bez oporu zostać zrealizowanym. Następstwem tego stanu rzeczy była właśnie owa „dwutorowość" polityki japońskiej w stosunku do Chin. Z jednej bowiem strony koła rządowe usiłowały prowadzić politykę rokowań, starając się przekonać rząd chiński o konieczności porozumienia z Japonią, a z drugiej — armia kwantuńska, ekspozytura japońskich sił zbrojnych na lądzie, w dalszym ciągu pracowała nad przyswojeniem Mongolii Wewnętrznej i oderwaniem Chin Północnych od reszty kraju, wywołując coraz nowe zadrażnienia, obracające w niwecz rezultaty osiągnięte dzięki rokowaniom.

Sytuacja tego rodzaju nie mogła trwać przez czas dłuższy. Parlament wystąpił z ostrą krytyką chińskiej polityki rządu, wykazując jej bezowocność i szkodliwość, a równocześnie skrajne nacjonalistyczne elementy armii nie chciały się pogodzić z połowicznymi rezultatami polityki „faktów dokonanych", uprawianej przez dowództwo naczelne. Bunt młodych oficerów-ekstremistów w lutym ub. r. dowiódł, że i w monolicie armii powstały głębokie rysy, wywołane właśnie zygzakami polityki sfer kierowniczych. Następstwem tego buntu, stłumionego zresztą niezwłocznie i bez większego rozlewu krwi, było dalsze wzmocnienie pozycji kół wojsko-

wych i od tego czasu oficjalna polityka Japonii wobec Chin była obliczona widocznie tylko na zyskanie na czasie. Gabinet premiera Hiroty, który ukonstytuował się po buncie lutowym, był już całkowicie poddany wpływom wojskowym i wysunięte przezeń „trzy zasady" polityki w stosunku do Chin stanowiły ostatnią, z góry skazaną na niepowodzenie, próbę pokojowego porozumienia z tym państwem. Był to rodzaj ultimatum, którego przyjęcie oznaczałoby dla Chin całkowite podporządkowanie się woli Japonii. Pierwsza z tych „zasad" precyzowała konieczność ogólnego i zasadniczego uregulowania stosunków japońsko-chińskich, a więc uznania specjalnego zainteresowania Japonii w Chinach Północnych, zakazu propagandy antyjapońskiej w całym kraju, włącznie do usunięcia jej nawet z podręczników szkolnych, zastąpienie doradców cudzoziemskich japońskimi etc. Druga zasada dotyczyła formalnego uznania przez Chiny państwa mandżurskiego, a trzecia — przystąpienia Chin do „bloku anty-komunistycznego" wraz z Japonią i Mandżurią. Wzamian za to Japonia miała udzielić Chinom wydajnego poparcia w dziedzinie finansowej, gospodarczej, wojskowej i politycznej.

Stosunek rządu nankińskiego i chińskiej opinii publicznej do tych „trzech zasad" omówimy niżej, obecnie zaś ograniczymy się do stwierdzenia, że były one dla nich nie do przyjęcia i w związku z nieustającą akcją wojsk japońskich w Chinach Północnych wywołały tylko szereg nowych zadrażnień. Gabinet Hiroty po roku niefortunnych prób dojścia do porozumienia został obalony przez parlament a następny gabinet generała Hayaszi na tle całokształtu polityki rządowej wszedł z parlamentem w tak ostry konflikt, że uciekł się do rozwiązania. Ale i to nie wniosło uspokojenia do stosunków wewnętrznych, gdyż nowe wybory znowu nie dały większości rządowej, co znowu spowodowało dymisję gabinetu.

Upadek rządu generała Hayaszi wywołał w swoim czasie wiele sprzecznych komentarzy w prasie zachodniej, która nie była w stanie należycie zorientować się w nastrojach wewnętrznych Japonii. Dopiero więc ostatnie wypadki przyczyniły się do ich zrozumienia. A więc — parlament wal-

czył przeciwko dyktaturze wojskowej, dążącej do usunięcia go od udziału w rządach, a sfery wojskowe zwalczały parlament ze względu na okazywany przezeń opór w realizacji planów armii, ale w gruncie rzeczy obie strony dążyły do tego samego celu. Kiedy więc węzeł gordyjski stosunków japońsko-chińskich zacisnął się do tego stopnia, że pozostawało tylko rozciąć go mieczem, westchnienie ulgi wyrwało się nie tylko z piersi oczekujących tej chwili sfer wojskowych, ale bodaj że i z piersi większej części dotychczasowych stronników pokojowych rokowań. Niewątpliwie i obecnie istnieje w Japonii znaczna grupa ludzi, zwłaszcza wśród wytrawnych polityków i mężów stanu, która z niepokojem patrzy na burzę, rozpętaną przez koła wojskowe. Sam cesarz japoński uchodzi za zdecydowanego pacyfistę, za takiego też uważany jest nowy premier, książę Konoye. Wszystkie te jednak skłonności i przekonania osobiste musiały usunąć się na drugi plan wobec nieuniknionej wojny, bez względu na to kto i w imię czego do niej doprowadził. Parlament, który wczoraj jeszcze kwestionował celowość kredytów na uzbrojenie, dziś jednogłośnie uchwala olbrzymie sumy na wydatki wojenne, tym samym całkowicie aprobując politykę rządu, tak ostro dotąd krytykowanego. Wszelkie spory co do taktyki i tempa ekspansji stały się bezprzedmiotowe. Zagłuszył je zgodny huk armat i terkot karabinów maszynowych, przecinający wszelkie wątpliwości i wahania.

Konsolidacja i zjednoczenie Chin.

Wszystkich, którzy znali Chiny w okresie pierwszych dwudziestu lat istnienia w tym kraju ustroju republikańskiego, nie mogą nie uderzać doniosłe zmiany zasadnicze, jakie się w nich odbyły w latach ostatnich. Nie jest to już kraj, którego nazwa od dłuższego czasu stała się dla Zachodu synonimem anarchii i wojny domowej, ale państwo znajdujące się na dobrej drodze do konsolidacji i zjednoczenia. Zasługę tej metamorfozy przede wszystkim przypisać należy rządowi nankińskiemu i politycznej partii Guomin-dang, które objęły zwierzchnią władzę w roku 1927 i zachowują ją do chwili obecnej. Od czasu rewolucji 1912 r., był to pierwszy w Chinach rząd nie tylko silnej ręki, ale

posiadający i określoną ideologię oraz program działania. Ideologia Guo-min-dangu, opracowana przez jego założyciela, „apostoła" nowych Chin, dra Sun Yat-sena, i wprowadzona w czyn przez jego następcę, obecnego wodza Chin, marszałka Dziang Kai-szeka, po raz pierwszy w dziejach tego kraju obudziła w Chińczykach zmysł świadomości narodowej i uczucie patriotyzmu, dotąd zupełnie im obce. Przed tym nie istniało nawet słowo, oznaczające patriotyzm, a do pewnego stopnia zastępowały je ksenofobia i przeświadczenie o swojej wyższości nad innymi narodami świata, nie poparte zresztą żadnym wysiłkiem celem udowodnienia tej tezy. Nowe pojęcia, umiejętnie rozpowszechniane przez sprężystą organizację Guo-min-dangu, szybko zdobywały sobie prawo obywatelstwa wśród mas inteligencji chińskiej, skutecznie zwalczając samowolę wojsk, korupcję urzędów i bierność ludności. Ze względu jednak na obszar kraju i ogromną ilość mieszkańców, proces ten zajął by długie lata, gdyby go nie przyspieszyły czynniki zewnętrzne, z agresją japońską na czele.

Aczkolwiek więc zakrawa to na paradoks, nie ulega jednak wątpliwości, że właśnie polityka japońska ostatnich lat była najpoważniejszym sprzymierzeńcem rządu nankińskiego w jego wysiłkach nad rozbudzeniem ducha patriotycznego i zjednoczeniem dotąd rozdzieranego niezgodą kraju. Wobec agresji japońskiej w Chinach Północnych, stopniowo, pod naciskiem opinii publicznej, milkły głosy generałów-satrapów prowincjonalnych, protestujących przeciwko supremacji Nankinu i jeżeli jeszcze miały miejsce protesty, to były one skierowane przeciwko rzekomo nie dość stanowczej postawie marszałka Dzianga wobec zakusów japońskich na całość chińskiego terytorium. Ale właśnie jeden z protestów tego rodzaju, zgłoszony w r. ub. przez na wpół autonomiczny „Komitet polityczny dwóch prowincyj południowo-zachodnich" (Guang-dung i Guang-si), poparty nawet wystąpieniem zbrojnym, stał się powodem największego triumfu rządu nankińskiego, gdyż wojska południowe w chwili decydującej opuściły swoich przywódców i oddały się do jego dyspozycji. Jak na dotychczasowe stosunki chińskie była to rzecz zgoła niezwykła i świad-

cząca o głębokich przemianach, które się dokonały w psychice nawet chińskiego żołnierza w ciągu ostatnich lat.

Wszystko to jednak było jeszcze zbyt nowe i świeże, aby mogło wytrzymać decydującą próbę ogniową w razie otwartego konfliktu z Japonią. Dlatego też polityka marszałka Dzianga w dalszym ciągu pozostawała ugodową i wszystkie żądania japońskie były rozpatrywane w ten sposób, aby zbytnio nie rozdrażniać potężnego przeciwnika. Nie zostały bezwzględnie odrzucone i słynne „trzy zasady ministra Hiroty", ale rząd nankiński równocześnie wysunął swoje warunki, na których mógłby przystąpić do pertraktacyj nad treścią otrzymanych propozycyj. Głównym z tych warunków było, aby pertraktacje te odbywały się na zasadzie zupełnej równości obu stron, z czego przede wszystkim wypływało żądanie, aby wojska japońskie zostały wycofane z Chin Północnych i kwestia już istniejącej *quasi*-autonomii prowincyj Ho-bej (pekińskiej) i Czahar została załatwiona w myśl postulatów chińskich, wykluczających wszelkie ustępstwa terytorialne.

Była to oczywiście tylko gra na zwłokę, gdyż rząd nankiński doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że Japończycy zbyt już są zaangażowani w Chinach Północnych, aby się stamtąd wycofać. Sam jednak również nie miał wyboru, gdyż wobec nastrojów panujących w kraju, wszelkie ustępstwa zostałyby uznane za zdradę i z takim trudem osiągnięta jedność państwa znowu uległaby zniszczeniu. Pomimo to pokojowe czynniki obu państw nie traciły jeszcze nadziei na możliwość rokowań. Marszałek Dziang Kai-szek w deklaracji odczytanej na sesji Guo-min-dangu bardzo przejrzyście zaznaczył różnicę między ustępstwami natury zasadniczej, na które naród chiński nigdy się nie zgodzi, a ustępstwami mniejszej wagi, mogącymi służyć za temat rokowań, a Sato, minister spraw zagranicznych w krótkotrwałym gabinecie Hayaszi, w swoim *exposé* parlamentarnym dał wyraz chęci rządu japońskiego rozpoczęcia pertraktacyj na zasadzie żądanej przez Chiny równości stron. Były to jednak ostatnie wysiłki dojścia do porozumienia, skazane na niepowodzenie. Mowa ministra Sato wywołała gwałtowne protesty sfer wojskowych, które w pewnych jej zwrotach

dopatrzyły się obrazy armii, a rychła jego dymisja nie pozwoliła nawet na częściowe zrealizowanie zapowiedzianego nowego sposobu rokowań. Mniej więcej w tym samym czasie zaszedł wypadek, który nie pozostał bez wpływu na politykę Dziang Kai-szeka.

Po kilkoletnich ekspedycjach karnych, prowadzonych przez rząd nankiński przeciwko zbrojnym formacjom komunistycznym wewnątrz kraju, oddziały czerwone zostały wyparte do północno-zachodnich prowincyj Szen-si i Gan-su, na pogranicze pustyni Gobi. Za nimi podążyły i wojska rządowe, składające się z resztek byłej armii mandżurskiej pod dowództwem marszałka Dżang Siue-lianga, wygnane przez Japończyków z Mandżurii i przeznaczone następnie przez Dziang Kai-szeka do walki z czerwonymi. Wojska te, od kilku lat pozbawione domów i rodzin i pędzące życie w ciągłej tułaczce i walce, znalazłszy się na odległych, biednych i słabo przez władze nankińskie kontrolowanych peryferiach państwa, łatwo uległy propagandzie komunistycznej i zamiast walczyć z czerwonymi, zaczęły wchodzić z nimi w porozumienie na zasadzie wspólnej chęci wystąpienia przeciwko Japonii. Zawiadomiony o tym Dziang Kai-szek przybył do Szen-si w otoczeniu tylko wyborowej eskorty, złożonej z oficerów i przystąpił do zbadania sprawy. W rezultacie zarządzonej translokacji niepewnych pułków, w armii Dżang Siue-lianga wybuchnął bunt, eskorta naczelnego wodza została pobita i rozbrojona, a on sam aresztowany. Wypaden ten wstrząsnął całymi Chinami i po blisko dwutygodniowych wysiłkach rządu nankińskiego, marszałek odzyskał wolność, ale szczegóły jego pobytu w niewoli dotąd nie zostały podane do wiadomości publicznej. Wiadomo tylko, że zbuntowane wojska nie poniosły żadnej kary, że akcja zbrojna przeciwko formacjom czerwonym została zaniechana i że wreszcie formacje te wyraziły uległość rządowi nankińskiemu i zostały wcielone do jego wojsk, z pozostawieniem ich na miejscu. Wszystko to daje dużo do myślenia i chociaż rząd nankiński urzędowo ogłosił, że marszałek został zwolniony bez żadnych zobowiązań, jedynie z obawy przed akcją karną wojsk rządowych, kontakt jego osobisty z przywódcami chińskich oddziałów komunistycz-

nych wydaje się bardzo prawdopodobny, a cudowna metamorfoza dotychczasowych jego śmiertelnych wrogów w wiernych sprzymierzeńców musiała być następstwem jakiejś zawartej z nimi ugody, w której łatwo mógł wziąć udział i emisariusz sowiecki, na pewno przydzielony do chińskiej armii czerwonej.

Obecnie, kiedy sowiecko-chiński pakt nieagresji stał się już faktem dokonanym, a chińska armia czerwona pod rozkazami Nankinu bierze czynny udział w walkach z Japończykami, domysły te nabierają wszelkich cech słuszności, tym bardziej, że odzyskanie wolności przez Dziang Kai-szeka stało się zarazem punktem zwrotnym w polityce chińskiej wobec Japonii, która z ugodowej stała się bardziej stanowcza. Podkreślając jednak całą doniosłość tej okoliczności, nie należy również zapominać i o tym, że wszelkie dalsze ustępstwa groziły całemu dokonanemu przez nich dziełu zjednoczeniu Chin. Ponieważ zaś zguba ta groziła im zarówno od Japończyków w razie klęski, jak i od swoich — w razie kapitulacji przed Japonią, łatwo więc zrozumieć, że Dziang Kai-szekowi i jego stronnictwu pozostawał tylko wybór pierwszej alternatywy, niezależnej nawet od nadziei na uzyskanie pomocy sowieckiej.

Stosunek państw obcych do konfliktu.

Z państw posiadających największe zainteresowanie na Dalekim Wschodzie, należy wymienić przede wszystkim W. Brytanię, Stany Zjednoczone A. P. i Federację sowiecką. Dwa pierwsze już obecnie, w związku z atakiem na Szanghaj, poniosły olbrzymie straty, dalszy zaś rozwój wypadków może im zagrozić całkowitą stratą bogatego rynku chińskiego. Pomimo to obydwa mocarstwa zachowują zupełną bierność wobec rujnującego je konfliktu. Powodów tego stanowiska należy szukać z jednej strony w zagmatwanej sytuacji Europy, nie pozwalającej W. Brytanii na bardziej energiczną ingerencję do spraw terenów odległych, gdzie zresztą, o ile chodzi o presję zbrojną, szanse powodzenia mogłaby mieć tylko akcja zbiorowa, która obecnie jest nie do pomyślenia, z drugiej — w zupełnym odseparowaniu się Ameryki od spraw Starego Świata, które w konflikcie obec-

nym doszło do tego, że rząd amerykański pozostawił nawet swoich obywateli w Szanghaju własnemu przemysłowi, o ile nie zgodzą się na ewakuację. Nawet taki wyjątkowy wypadek, jak postrzelanie brytyjskiego ambasadora w Nankinie przez lotników japońskich, który w czasach przedwojennych wywołałby niezwłoczną interwencję zbrojną, obecnie spowodował tylko pełną umiaru notę protestacyjną, domagającą się od rządu japońskiego przeprosin i gwarancyj, że tego rodzaju wypadki więcej się nie powtórzą. Nie ma więc na razie mowy, aby którekolwiek z tych państw odważyło się na coś więcej niż na papierowe protesty, zupełnie w okolicznościach obecnych nie wystarczające.

Pozostaje więc Federacja sowiecka, najbliższa sąsiadka państw walczących i sama po Chinach najbardziej zagrożona przez Japonię. Zdawałoby się, że to właśnie państwo miałoby najwięcej do powiedzenia w zatargu japońsko-chińskim, tymczasem jak dotąd — tak nie jest. Chociaż bowiem ostatnio zawarty sowiecko-chiński pakt o nieagresji, mógłby służyć za dowód bliższego zainteresowania Z. S. R .R. konfliktem, najbliższym na razie jego wynikiem jest jednak tylko zaopatrywanie Chin przez Sowiety w materiał wojenny wszelkiego rodzaju oraz dostarczenie im instruktorów i pilotów. Według powszechnej opinii pomoc sowiecka na tym się skończy, gdyż niedawna krwawa „czystka" armii czerwonej niewątpliwie musiała ją znacznie osłabić, a i ogólna sytuacja w kraju nie sprzyja wikłaniu się Sowietów w wojnę z tak potężnym i na wszystko zdecydowanym przeciwnikiem, jak Japonia. Do tego jeszcze dochodzi nie pozbawiony cech słuszności domysł, że Sowiety są raczej zadowolone z konfliktu, gdyż sądzą, że Japonia, niezależnie od jego wyniku, na długo ugrzęźnie w Chinach i wskutek tego przestanie zagrażać sowieckim posiadłościom na Dalekim Wschodzie.

Inne wreszcie państwa, jak Francja, Niemcy i Włochy, nie mają w Chinach tak poważnych zainteresowań, jak poprzednie, nie mają więc i powodów do wydatniejszej ingerencji. Zresztą na Francji, jak i na W. Brytanii, spoczywa ciężar utrzymywania równowagi europejskiej, Włochy są zajęte rozgrywką z W. Brytanią i swoimi nowymi posiadłościami w Afryce, a Niemcy łączy z Japonią sojusz anty-ko-

munistyczny, a kto wie, może i jaki inny — na wypadek wojny światowej. Nikt się więc nie spieszy z wkroczeniem na arenę walki i przeciwnicy pozostawieni są samym sobie.

Stan obecny konfliktu i jego perspektywy.

Obecny zatarg japońsko-chiński jest pierwszą większą próbą ze strony jako tako odrodzonych i zjednoczonych Chin wyzwolenia się od grożącej im w ciągu ostatnich lat opieki i supremacji japońskiej. Trudno więc przewidzieć jaki będzie jego ostateczny rezultat. Nie bardzo upoważnia do przepowiedni i dotychczasowy stan rzeczy na frontach walki. Już jednak dzisiaj można z całą pewnością powiedzieć, że ewentualne zwycięstwo Japonii będzie ją drogo kosztować. Chociaż bowiem pierwsze operacje japońkie w Pekinie i Tientsinie zakończyły się szybkim sukcesem, dalsze ataki na froncie północnym spotkały się z zaciekłym oporem, dotąd nie przełamanym, a i sytuacja w Szanghaju, pomimo wprowadzenia znacznych sił japońskich i wydatnej pomocy floty i lotnictwa, pozostaje nie wyjaśniona. Można na to powiedzieć, że Japończycy jednak nie zdążyli jeszcze dowieźć wszystkich wojsk, jakie są w stanie wystawić, ale przecież w latach 1932—3 wystarczyły znacznie mniejsze siły, aby doprowadzić Chiny do uległości, a następnie już sama konieczność wystawienia przeciwko Chinom większej części niezrównanej armii japońskiej zadaje kłam koncepcji „ekspedycji karnej", wysuniętej przez Japonię na początku konfliktu. To już nie ekspedycja karna, ale wielka regularna wojna, chociaż z różnych względów pozostawiono jej imię konfliktu.

Wielka zaś i długotrwała wojna — to ruina dla słabej ekonomicznie Japonii, w dodatku izolowanej na terenie międzynarodowym i pozbawionej nadziei na kredyty i pożyczki. Pod tym względem sytuacja Chin jest znacznie lepsza, gdyż mają one szeroko otwarty kredyt cudzoziemski, czego dowodem jest obecny, bardzo owocny pobyt w Europie chińskiego ministra finansów, dra Kunga. Posiadają też nieprzebrane zapasy materiału ludzkiego oraz wszelkiego rodzaju surowców, podczas gdy pod tym względem Japonia jest znacznie bardziej upośledzona. Chodzi więc

tylko o to, aby główne siły chińskie zdołały przez czas dłuższy uchronić się od klęski i cofając się coraz dalej wciągały zastępy japońskie w głąb olbrzymiego kraju, a wtedy sprawa chińska będzie wygrana. Ale nie wiadomo czy rząd chiński, armia i ludność wytrzymają ogniową próbę mocy nerwów, czy przed obliczem pierwszej większej porażki nie podniosą głowy tak właściwie dotąd Chinom sprzedajność i zdrada, czy wreszcie jakiś rzeczywiście druzgocący atak japoński nie zmieni w pewnej chwili wojsk chińskich w bezładną, straszną dla kraju, uciekającą masę. Wszystko to są pytania, na które teraźniejszość nie daje jeszcze odpowiedzi.

Z drugiej strony nie należy zbytnio dowierzać utartym pojęciom o niezdolności Japonii do dłuższej wojny. Widzieliśmy bowiem niedawno jak one zawiodły w wojnie włosko-abisyńskiej. Zwycięża duch narodu, a tego ducha posiadają Japończycy w najwyższym stopniu, podczas gdy duch Chińczyków znajduje się pod wielkim znakiem zapytania. Poza tym Japonia tyle już lat przygotowuje się do wojny nie tylko z Chinami, ale i z Sowietami, że trudno przypuścić, aby wspaniale zorganizowany sztab japoński nie przewidział możliwości dłuższej akcji zbrojnej i w dodatku na dwóch frontach i należycie nie zabezpieczył się na ten wypadek. Dotychczasowy bohaterski opór wojsk chińskich stanowi dopiero epizod w historii tego kraju, podczas gdy bohaterstwo żołnierza japońskiego stanowi już tradycję, ściśle związaną z jego religią. Jeżeli zaś dodamy do tego nieograniczony zapas środków technicznych i wykwalifikowany personel, którego brak Chińczykom i który tylko w części mogą uzupełnić ewentualni instruktorzy, przysłani przez państwa obce, otrzymamy siłę, z którą armia chińska nie wytrzyma pod żadnym względem porównania, z wyjątkiem oczywiście liczby. Otóż właśnie w tej przewadze liczebnej oraz w niezmierzonych obszarach olbrzymiego kraju tkwi jedyny ratunek dla Chińczyków, jedyna nadzieja, jeżeli nie na zwycięstwo, to na honorowy pokój, który pozwoli w dalszym ciągu prowadzić szczytne dzieło odrodzenia narodowego. Jedyna — jeżeli nie nastąpi nic takiego, czego obecnie nikt na świecie przewidzieć nie jest w stanie. Za-

znaczmy przy tym, że takie niespodzianki wcale nie są wykluczone i Daleki Wschód jest ich stałym dostawcą.

Ponieważ zatarg chińsko-japoński interesuje nas głównie ze względu na jego ewentualny wpływ na sprawy europejskie, a zatem i nasze, zastanówmy się jeszcze nad nim z tego właśnie punktu widzenia. Pierwszym pytaniem, które nasuwa się w tej kwestii jest — czy może on przekształcić się w nową wojnę światową? Jak widzieliśmy wyżej, trudno przypuścić, aby stało się to z inicjatywy W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych, które widocznie nie mają zamiaru z bronią w ręku obstawać przy swoich prawach. Czy jednak to samo można z całą pewnością powiedzieć o Federacji sowieckiej, niewątpliwej następnej ofiary japońskiej agresji w razie zwycięstwa nad Chinami? Czy można zaręczyć, że dostawa sowieckiej broni do Chin i przenikająca wraz z nią propaganda komunistyczna nie skłonią Japonii do rozpaczliwego (a może i przewidzianego z góry) rozpoczęcia wojny na dwóch frontach? Czy wreszcie stałe zatrzymywanie przez wojenne okręty sowieckie handlowych statków japońskich, lub pierwsza lepsza utarczka pograniczna nie spowodują wybuchu nawet wcześniej, niż jedna ze stron uzna go za logicznie nieunikniony? A wtedy — czyż już tak zupełnym niepodobieństwem byłby atak niemiecki na Sowiety, wystąpienie Francji itd., aż do całkowitego powtórzenia sytuacji z 1914 roku? Wszystko to zależy przede wszystkim od tego czy Japonia posiada w swoim programie najbliższym działań wojnę z Rosją i czy armia sowiecka jest rzeczywiście tak osłabiona stalinowską inkwizycją, jak sądzą obserwatorzy.

Jeżeli jednak wszystkie te przypuszczenia okażą się nawet zupełnie nierealne i pokojowi świata z tej strony nic nie zagrozi, zatarg chińsko-japoński, niezależnie od jego rezultatu, będzie mimo wszystko klęską dla Zachodu. Zwycięstwo bowiem Japonii zamknie przed nim ogromny rynek chiński, jak kilka lat temu zamknęło rynek mandżurski. Będzie ono ponad to całkowitym triumfem idei panazjatyckiej, który wywoła szerokie echa w innych krajach Azji, tworząc nową wiosnę narodów wschodnich, znacznie groź-

niejszą w swoich następstwach od wiosny, którą one przeżyły po wielkiej wojnie.

Zważmy teraz inną ewentualność, bardziej problematyczną — zwycięstwo Chińczyków. Czy wtedy będzie lepiej? nie wygląda na to. Nie mówiąc już bowiem o tym, że wszelkie koncesje i przywileje państw zachodnich staną się tylko legendą, co byłoby zresztą słuszną tylko karą za długie lata polityki rabunkowej w stosunku do Chin, dość sobie uprzytomnić jakie wpływy uzyska na Dalekim Wschodzie (i czy tylko tam?) Federacja sowiecka, pozbawiona największego swojego wroga — Japonii i jakie z tego wynikną następstwa dla skłóconej i zbankrutowanej Europy. Dalsze komentarze w tej kwestii są chyba zbędne.

Pozostaje jeszcze jedno rozwiązanie i w tym kierunku powinny by iść zbożne życzenia Europy. Mianowicie, aby zatarg obecny zakończył się, jak mówią szachiści, remisowo, aby żadna ze stron nie wygrała i obie wyładowały swoją energię, nie do takiego jednak stopnia, aby stać się ofiarami wpływów komunistycznych. Ale to już jest czysta utopia. Rozwiązanie problematu Pacyfiku zbliża się z całą pewnością, nie mniejszą też pewnością można stwierdzić, że nastąpi ono ze szkodą dla Zachodu. Będzie to rzecz smutna, ale niestety, zupełnie zasłużona.

Konstanty Symonolewicz.

Wieszcz i prorok młodych Włoch.

W stulecie zgonu Giacomo Leopardi'ego
(1798—1837)

W dniach, w których Bonaparte, wstępując w ślady Aleksandra Wielkiego, wywalczał jedno z najpiękniejszych swoich zwycięstw na ziemi egipskiej, urodził się potomkowi prastarej rodziny szlacheckiej z marchij papieskich, hrabiemu Monaldo Leopardi, syn pierworodny z wczesnego małżeństwa, Giacomo, w dniu 29 czerwca 1798. Przyszedł na świat w dniach rozbrzmiewających szczękiem broni i hukiem armat, ale równocześnie otoczonych aureolą historycznej wielkości. Prastare ojców marzenia, dawno przebrzmiałe sny o pierwszeństwie i przewadze rasy łacińskiej zdawały się na nowo powracać do życia. Wstrząsały Europą, czepiały się dni i lat, ale jakby nie licząc się z przestrzenią, tą drugą kategorią, z którą związany jest każdy duch w czasie, mijały niby na przekór dziedziczkę wielkiego Rzymu, Włochy.

Recanati, maleńka mieścina, ślicznie położona niedaleko wybrzeży morza adriatyckiego, ojczyzna Leopardich i markizów Antici, przodków po kądzieli przyszłego poety, była naprawdę *il piccolo mondo antico,* cichą wysepką, która z epok spokoju i ładu spoglądała na teraźniejszość niespokojną i burzliwą. W tym zakątku cichego zapamiętania, surowo strzeżonych tradycyj, odcięcia się zupełnego od wszystkich tych mocy strasznych a płodnych, zbudzonych przez rewolucję francuską, broniły się jeszcze stany wyższe przed każdym świeżym powiewem, który szedł z północnego Zachodu; lękały się zwycięstwa tych mocy, które miały postawić niejedną piękną budowlę, ale pod których ciosem za-

paść się miały również liczne sędziwe gmachy minionej przeszłości.

Daremne poczynania! Bonaparte spieszył, po swym powrocie z Egiptu, ku nizinom półwyspu apenińskiego a z zwycięskim jego wojskiem wkroczył do Włoch zwycięski nowy duch. W latach, w których dokonał się przewrót, w których wszystko co stare ustąpić musiało przed triumfującą rewolucją, w których w niejednej piersi włoskiego patrioty budziła się nadzieja, że znowu z chaosu i rozbicia powstanie wolna i zjednoczona Italia — w tych właśnie latach wzrastał i dojrzewał nasz Giacomo. W pałacu ojcowskim w Recanati, odcięty od wszystkich burz, które się przewalały przez ziemie włoskie, lękliwie strzeżony przez miłość rodzicielską i rodzicielskie przesądy, w atmosferze cieplarnianej, stawał się chorowity i ciężkimi niedomaganiami obarczony chłopczyna przedwcześnie rozwiniętym kwiatem.

W wieku, kiedy inne dzieci bawią się i cieszą, siedziało to cudne dziecię nad księgami z dziedziny filologii i przyrodoznawstwa, historii i filozofii ścisłej, których mnóstwo kryła w sobie biblioteka hrabstwa Leopardich. Trzynastoletni Giacomo próbuje trawestacji Horacego, czternastoletni pisze klasyczną tragedię, piętnastoletni usiłuje zestawić rzut oka na historię astronomii... Prace nie miały oczywiście naukowego znaczenia, niemniej jednak wykazują nadzwyczajne oczytanie, głód wiedzy i poetyczny nerw młodego Giacomo, którego nie tyle wabiły i zwabiły mądre rozprawy przodków na temat gwiaździstego nieba i kosmicznych światów, ile czar i urok wyrwania się i ucieczki tą drogą z czasu i przestrzeni w nieodgadnione dale.

Ucieczka ze świata, który go otaczał — to motyw zasadniczy młodości Leopardi'ego. Chciał wyjść i uciec ze złotej klatki, w której go trzymano, wyjść i uciec ze złotej niewoli rodzinnych stron. Tak tęsknił za wolnością, że tęsknota i rwanie więzów stały się dominantą jego myśli i uczuć, jego celem bezpośrednim, poza którym wszystkie inne cele ziemskich i zaziemskich dążeń kryć się musiały. Brak zetknięcia się z rzeczywistością zaciążył fatalnie nad życiem Giacoma. — W najlepszej oczywista intencji — zamknięto młodzieńca w wytwornym areszcie domowym, a to

odosobnienie od świata zemściło się na nim nie tylko fizycznie (cierpiał na skrzywienie kręgosłupa, osłabienie wzroku i chorobę płuc) ale i duchowo. Giacomo słabowity i wychuchany, będąc więźniem słodkiego zacisza, wytworzył sobie idealny obraz o wielkim świecie, a to czarowne fata morgana musiało prysnąć i rozwiać się w zetknięciu z rzeczywistością.

Od najwcześniejszych lat Leopardi miał wrażenie, iż wisi nad grobem, uważał się za nieboszczyka, bawiącego na urlopie. Zbyt był szlachetny, by z tego brać atut do pospiesznego używania, zbyt zarazem człowiekiem, by z łatwością móc się wyrzec wszystkich uciech ziemskich. Naglony świadomością swej znikomości a jednak trawiony żądzą wyzyskania krótkich chwil swego życia, wypełnienia ich treścią jak najgłębszych przeżyć, rwał się młody Giacomo do sławy, marzył o potędze, wzdychał za wielkim czynem i wielką miłością. Równocześnie nękał go niepokój metafizyki, szukającej poza tym wszystkim, wyższego jeszcze szczęścia, którego nie mogła przed nim odsłonić nazbyt słaba wiara. W zbieżności tych wszystkich czynników wykrystalizował się w Leopardim poetycki talent, który go uzdolnił do odegrania roli piewcy najgłębszych bólów świata. Z wątłej piersi młodego poety dobywał się namiętny krzyk, który nie miał nic wspólnego z literacką pozą i literackim gestem współczesnych mu piewców, Byrona czy Chateaubrianda, którzy, skarżąc się patetycznie na *Mal du Siècle*, umieli równocześnie czerpać pełnym haustem z kielicha życiowej rozkoszy.

W 18 roku swego życia skarży się Leopardi w alegorycznym poemacie na „Pobliże śmierci"; wkrótce potem w pierwszych swych canzonach, w których objawia się jego szybko zdobyte mistrzostwo, podejmuje pranutę swych ulubionych tematów: o nędzy stworzenia, o tragizmie przedwczesnej śmierci, o bezsensie ludzkiego istnienia, rozpływającego się tak szybko w nicości.

Jako jedyne logiczne wyjście z pustych rozważań nad całą tą bezcelowością szybko mknącego życia widzi Leopardi samobójstwo, jako gest bohaterstwa, które chce uniknąć podłości a przezwyciężyć bezwartościowość istnienia.

(*Brutus minor*). Później za kwintesencję swojej filozofii podaje maksymę, iż najwyższym szczęściem na ziemi jest nie urodzić się nigdy. (*Mai non veder la luce era, credo, il miglior).* Przyroda bowiem dyszy okrucieństwem, każda rozkosz jest tylko igraszką, a sława i cześć tylko ułudą.[1])

Z tych samych założeń wyprowadził Goethe zgoła inną, wręcz pozytywną mądrość życiową. I on nawoływał mknącą chwilę, *verweile doch du bist so schön,* i on czuł, że każda rozkosz pragnie uwiecznienia i że mimo to, wszystko co ziemskie przemija, jednakże znalazł rozwiązanie w tym słodkim spokoju, który rodzi się z opanowania bólu, pogodzenia się z efemeryzmem doczesnej radości. Klasyk, dążący do równowagi i do doskonałości, przyjmuje kres swój jako konieczność, może z bólem pewnym, ale bez daremnego oporu. Romantyczny Leopardi, spragniony nieskończoności, burzył się i buntował wobec granic wyznaczonych tak jemu jak i każdemu stworzeniu.

Z tej tragicznej i beznadziejnej walki przeciwko żelaznym prawom natury zrodziły się te nieśmiertelne w ziemskim swym zakresie poematy i strofy, w których Leopardi zamknął swój ból i boleść całej ludzkości. „Samotny wróbel" i „Krzew janowca", to mistrzowskie, poetyckie obrazy — w których zwierzę i roślina symbolizują człowieka, tę tragiczną ofiarę nie dających się ukoić pragnień; w poematach „Do Sylwii" i „Wspomnienia" dźwięczy zgorzkniała i tęskna skarga nad losem pięknych i idealnych postaci dziewczęcych przedwcześnie zgasłych, żyją już tylko w pamięci poety; a dalej te pełne nastroju sielanki, w których pozornie ukojna cisza przeplata się z przeczuciami nadchodzących burz lub wspomnieniami minionej grozy: „Sobota w wiosce" i „Cisza po burzy"; wreszcie ta skarga kosmiczna, ten namiętny zryw ku gwiazdom, w którym wybucha głęboko tajona nadzieja, że przecież ponad błękitem, osłaniającym widzialny świat, mieszka Ojciec jedyny a dobry, to treść „Śpiewu nocy azjatyckiego nomady".

Mimo to byłby Leopardi, — ten wielki mistrz słowa, w którym myśl i wyraz, słowo i uczucie, obraz i symbol

[1]) *Ma da natura altro negli atti suoi che nostro male o nostro ben si cura...; ...ogni diletto è gioco..., fantasmi, intendo, son la gloria e l'honor.*

były jednym i tym samym, — pozostał podobnie jak np. Baudelaire we Francji albo Shelley w Anglii, niedostępnym dla ogółu, zapoznanym przez szerokie masy szarych duchów, gdyby nie był opuścił szczytowych wyżyn Olimpu, na których się szuka wszystkiego, co piękne, wzniosłe, mniej pytając o prawdę i treść, — gdyby nie był się stał równocześnie patriotycznym heroldem, gwałtownym bojownikiem o sprawę ojczystej Italii. Sentyment patrioty wziął górę nad filozofią zwątpienia, wiara i nadzieja przedarły się przez opary romantycznego *Weltschmerz'u*.

Wnosząc z pesymizmu, przenikającego liryki Leopardiego, w których poeta zamknął całą gorycz przedwczesnego doświadczenia, należałoby się spodziewać po nim bezczynnej obojętności, gnuśnego bytowania, które czeka jedynie na fatalny koniec. Logika psychicznego rozwoju powinnaby w najlepszym razie stworzyć z Leopardiego drugiego Tołstoja z jego teorią „niesprzeciwiania się złu", albo Gandhiego z jego nauką o cierpliwości, o powolnym zanikaniu w nirwanę. Ale Leopardi był łacinnikiem, Włochem, w którym rzymska bystrość i nordycka siła atawistycznie drzemały, by wreszcie przemówić.

Wciąż na nowo, podczas krótkiego trwania swej ziemskiej pielgrzymki, zrywał się hr. Giacomo Leopardi do walki z nieprzyjaznymi mocami, które go chciały powalić i zniewolić w jarzmie powolnego bezpłodnego konania; wciąż na nowo poczynał staczać bój z demonem, usiłującym zużyć jego geniusz w głoszeniu li tylko hiobowych wieści. I chociaż sam musiał tyle przecierpieć, chociaż sam w sobie niósł tragiczne rozdwojenie, którego nigdy w pełni nie zwyciężył, rozdwojenie pożerającej tęsknoty za dalekim, wolnym a złym światem i cichego pragnienia, by trwać w wygodnym więzieniu ojczystego domu, i chociaż jego głód romantycznej miłości nie zaznał nigdy ukojenia, — raniony boleśnie w swej ambicji, dla której i samego siebie zdradzał, dręczony materialnymi troskami, powalony chorobą, zmęczony wewnętrznie walką między wiarą i niewiarą — nie zapomniał przecież nigdy ten egocentryczny poeta, o tej większej całości, której był tylko drobiną, nie zapomniał o swojej ojczyźnie, o swoim narodzie.

W obliczu przeszłości i dni przyszłych Italii zrzucił z siebie pesymistyczne zwątpienie. Kiedy w swych przepięknych strofach: „Do Italii", „Poza grób Dantego" i „Do Angelo Mai"... karci i wyszydza karle pokolenie, niegodne swych przodków, do słów oburzenia dołącza wielkie słowo gorącej zachęty, by z nędznej teraźniejszości znaleźć drogę do lepszej przyszłości, godnej wielkich a minionych czasów. A napominanie jest już przecież promieniem nadziei, która się czegoś spodziewa. Nawet w gryzących satyrach, którymi chłoszcze bez litości, nawet w polemicznej swej rozprawce, w której odpowiada na zarzuty i drwiny swych przeciwników *(I nuovi credenti),* tudzież w cudnej swej prozie *Operette morali,* jak i w *Pensieri,* czy wreszcie w trawestacji bohaterskiej epopei, która miała być „dalszym ciągiem" Homeryckiej myszo-żabiej wojny *(Paralipomeni della Batracomiomachia),* — wszędzie uderzenia Leopardiego ten jeden tylko mają cel, by szyderstwem poprawiać swych ziomków. A kto chce poprawiać, ten wierzy w dobro i w przyszłość. Kto zapalał do czynu, jak Leopardi, w swych płomiennych nawoływaniach do rozbitego i gnębionego narodu, ten sobie musiał zyskać wybitne miejsce nie tylko w ciasnym kółku literatów, lecz w sercach wszystkich Włochów, walczących o potęgę nowej Italii.

To też nowożytne Włochy wielbią dziś w Leopardim poetę bólu ludzkiego ale i głosiciela oraz proroka zbiorowej narodowej woli, zdążającej ku wielkości i ku potędze państwowej. Zapominają przy tym z łacińską wyrozumiałością dla prawdziwego artyzmu i w hołdzie dla wielostronnego geniusza, tego *Uomo universale,* o wszystkim co mogłoby od niego oddzielać i przyznają tym samym, że błędy człowieka i myśliciela Leopardiego uważają za żużel, który nie zniszczył a nawet nie skaził zdrowego jądra latyńskiej duszy oraz latyńskiego serca.

Prof. dr Otto Forst Battaglia.

Problem transcendencji i immanencji.

Fragmenty z IX Międzynarodowego Kongresu Filozofii w Paryżu (31/VII — 6/VIII 1937).

Ostatni Międzynarodowy Kongres Filozofii został przyspieszony o rok i zwołany do Paryża. Dwa powody złożyły się na to. Po pierwsze i przede wszystkim chciano uczcić w ten sposób trzechsetną rocznicę wydania nieśmiertelnego *Discours de la mèthode* Descartes'a; po wtóre i ubocznie otwarta w tym roku światowa wystawa sztuki i techniki miała stanowić niejako ramy i tło dla wzlotów filozoficznej myśli, w duchu zresztą kartezjanizmu, usiłującego związać filozofię z życiem.

W samej rzeczy Kongres Kartezjański odpowiedział w pełni swoim założeniom. Przyświecał mu ideał Descartes'a, zaklęty jak w hasło w jędrną formułę Bergsona:

Agir en homme de pensée
et penser en homme d'action!

Nadto z sześciu tematów, przygotowanych na kongres, pierwszy był poświęcony studiom kartezjańskim, pięć zaś pozostałych podjęło pytania odwieczne, lecz wznowione trzysta lat temu przez ojca nowożytnej filozofii.

Niniejsze stronice pragną odtworzyć choćby w przybliżeniu ową walkę na idee, jaka się rozegrała w salach Wszechnicy paryskiej na temat transcendencji i immanencji, temat, który bez wątpienia był przewodnim motywem kongresu. [1]) Zadanie to jed-

[1]) Prace Kongresu zostały wydrukowane w 12 tomach in 8⁰ pt.: *Travaux du IX-e Congrès International de Philosophie,* Paris 1937, Hermann et C-ie. Rozdano je uczestnikom w dzień otwarcia Kongresu. Oczywiście nie zawierają one dyskusyj, które ukażą się niebawem. W przedstawieniu

nakże nie jest tak proste, jakby się na pozór wydawać mogło. Zasadniczą trudność sprawia wieloznaczność słów: transcendencja i immanencja.

I.

Etymologia transcendencji.

Wyraz „transcendencja", wzięty etymologicznie, mówi o wyższości, wstępowaniu w górę, przejściu ponad..., jest więc pierwotnie metaforyczny i relatywny do terminu porównania, podległy hierarchii i stopniowaniu. Zupełnie podobnie rzecz się ma ze słowem „immanencja", które wskazuje na uwewnętrznienie, zamknięcie w danym podmiocie, sferze, porządku...

W głębi rzeczy obrazowe te wyrażenia kryją w sobie sens metafizyczny i absolutny. Jednym słowem można by je objaśnić jako teorię dwu światów *(Zweiwelttheorie)*: stawania się (immanencji) i niezmiennego istnienia (transcendencji), świata i zaświata. Platońskie: *epekeina tes usias* jest zapewne pierwowzorem wszczynanego i nigdy nie milknącego w stuleciach historii sporu o transcendencję i immanencję.

II.

Psychologia transcendencji. [1])

Idea transcendencji wywiera na duszę urok nieprzeparty. Sekret tego pociągu tkwi w fakcie, iż myśl o transcendencji porywa nas w wir duchowego lotu do terminu, który unicestwia rozpoczęty rozpęd. Budzi się w nas wówczas według wyrażenia Jaspersa myśl, której, ściśle mówiąc, obce jest myślenie, lecz też i najsilniejsze poczucie własnego istnienia, jak tego doświadczył Kierkegaard.

---

przedmiotu posługiwać się będę wyrażeniami omawianych filozofów, ujmując je jednak tylko wyjątkowo w cudzysłów, ażeby nie utrudniać zbytnio lektury.

[1]) J. Wahl: *Sur l'idée de transcendance* (VIII, 56 nn.). Jakkolwiek trudno mówić o psychologii transcendencji bez wkroczenia w metafizykę, to jednak Wahl zdawał się wyraźnie unikać metafizycznego wartościowania problemu. Dlatego nie będzie chyba grubym błędem nazwać jego analizę idei transcendencji „psychologiczną".

Transcendencja jest równocześnie jakimś „tak" i jakimś „nie". Jest to „tak", które równa się „nie", położonemu na wszelkie nasze twierdzenia; jest to „nie", ustalające coś, co wznosi się ponad wszystkie nasze afirmacje.

Myśl bowiem odróżnia zaprzeczenie środowiska, przedmiotu, zaprzeczenie swych własnych negacyj, które się wyłaniają z jej samorozwoju, od transcendencji prawdziwej, jaką pojmujemy w chwili uderzenia o tamę, zagradzającą całą naszą aktywność. Transcendencja - ruch i transcendencja - termin zdają się zrastać ze sobą; nie można pomyśleć jednej bez drugiej, nie podobna wysnuć jednej z drugiej. Tą drogą jednak czujemy się znagleni powiedzieć, iż jest w nas świadomość transcendencji; lecz zarazem w zetknięciu z transcendencją zdaje się ulatniać świadomość, gdyż nie podobna inaczej dotknąć transcendencji, niż poza świadomością siebie i jej.

Lecz gdy pochłania nas morze transcendencji, ginie nam z oczu immanencja, aczkolwiek w istocie oba bieguny ocierają się o siebie, tak że immanencja przeszywa transcendencję, a ta ostatnia zatapia immanencję. Między transcendencją a immanencją dzierzga się tedy splot relacyj na pozór ze sobą skłóconych; płynie to zaś z tego prostego faktu, iż transcendencja łamie wzlot, który sama obudziła.

Najostrzejszy zygzak ujawnia się jednak wówczas, gdy transcendencja usiłuje przejść samą siebie, ażeby opaść na powrót w immanencję. Wszelako to dążenie nie udaje się zupełnie, ponieważ idea transcendencji czepia się głębin ducha, jak myśl o raju utraconym, a jej obecność upragniona i zguba obżałowana stanowią o wartości naszego przywiązania do świata.

III.

Metafizyka transcendencji.

Sprowadzanie transcendencji i immanencji pod pozorem ich uproszczenia do antytezy pojęć korelatywnych z pewnością, jak słusznie zauważył L. Brunschvicg, zapędzić może tylko na myślowe manowce. Filozofia pragnąca stanąć na gruncie twardym domaga się rozwiązania radykalnego, metafizycznego, postawy takiej, która by wytrzymała każdą rzeczową krytykę, nie zadawalającą się pustą retoryką. Metafizyka transcendencji i immanencji jest przeto wy-

borem między światem i zaświatem; po prawdzie trudno sobie wyobrazić inne wyjście. Atoli współcześni filozofowie utożsamiają nierzadko świat transcendentny ze światem abstrakcyj, w następstwie czego słowo „transcendencja", więcej niż dwuznaczne, kojarzy się z najbezwzględniejszą immanencją. Stąd pochodzi wielość form transcendencji, które w gruncie rzeczy, są najczęściej zduszonym krzykiem rozpaczy pod uciskiem immanencji.

1. Immanencja spinozystyczna.

Za immanencją w oparciu o Spinozę opowiedział się G. Bénézé.[1]) Jego zdaniem musimy wyjść z pojęcia bytu jako całości *(le Tout)*. Mniejsza o istotę i cechy tego bytu; jest on całością, wszystkim, poza którym nie masz nic. Posługując się analizą refleksyjną, tj. poddając zbadaniu i umysł analizujący i pojęcie analizowane, możemy wysnuć z tej idei „Całości" wszystkie dalsze orzeczenia, wzajemnie się nie zaprzeczające.

Z definicji samej wynika, że „Całość" jest absolutna (gdyż poza nią nic nie ma), a stąd jedna i jedyna, jedność i jedyność wyrażają tylko względy tej samej absolutności. Jeśli się zatrzymamy na absolutnej jedności, to jasne, że wszelka wielość, wszelki podział są relatywne, obce właściwej istocie absolutu.

Otóż iluzja transcendencji rodzi się stąd, iż bierze się jakąkolwiek część relatywną z „Całości" za absolutną, przypisując jej tym sposobem własności należne tylko „Całości". Jest to w języku Spinozy ubierać pojawy *(modes)* w przymioty Boga, lub na odwrót stawiać Boga na równi z pojawami. Idea przeto transcendencji jako rzeczywistości absolutnej, oddzielonej od reszty bytu jest pojęciem sprzecznym.

2. Immanencja idealistyczna L. Brunschvicga.[2])

Na szczególną uwagę zasługuje stanowisko Brunschvicga tak dla powagi, jaką się cieszy niezaprzeczalnie w kołach filozoficznych, jako też dla treści swego przemówienia. Niewątpliwie okazał się on najgroźniejszym przeciwnikiem transcendencji, gdyż z jednej strony sformułował przeciwko niej najsilniejsze zarzuty, a z drugiej najsubtelniej przedstawił punkt widzenia ścisłej immanencji.

[1]) *Illusion de la transcendance* (VIII, 3 nn).
[2]) *Transcendance et immanence* (VIII, 18 nn).

Według Brunschvicga myśl refleksyjna w momencie swego przebudzenia znajduje już transcendencję w stanie posiadania. Dzieci i ludy w wieku dziecięctwa oswojone są z zaświatem (*l'au-delá*), który wkracza nieustannie w bieg ich codziennej egzystencji. Wnet jednak rodzi się potrzeba usprawiedliwienia spontanicznych wierzeń zasadą przyczynowości: ziemię wytłumaczy się przez niebo, niedoskonałe przez doskonałe.

Wnioskowanie takie zwraca się, jak mniema Brunschvicg, przeciwko samemu sobie. Albowiem przyczynowość, dobrze pojęta, nie pozwala na przyjęcie nieznanej przyczyny, która by była doskonalsza, niż zaobserwowane skutki. Jeśli więc nasz wszechświat, pełen zła i dobra, ma mieć w Bogu swą przyczynę, to ów Bóg, musiałby również być zmieszany z dobra i zła, czyli musiałby to być Bóg najlepszy z założenia i zarazem najgorszy z przyczynowego dowodu.

Pod filozoficznym kątem patrzenia nazywa Brunschvicg powyższe nastawienie „wyobraźnią w górze" (*imagination en hauteur*), która idzie od natury do nadnatury, od świata widzialnego do Boga nieznanego, „utrzymującego" świat.

Z tym wszystkim, ciągnie Brunschvicg, niepowodzenie dialektycznego skoku z natury w świat nadprzyrodzony nie zamyka nas wcale w obrębie zjawisk zmysłowych. Albowiem myśl odkrywa nową drogę swego postępu, już nie z dołu do góry, lecz z zewnątrz do wewnątrz. W świetle rozwoju nauk pozytywnych umysł uświadamia sobie nieskończoność swych zasobów, których bladym zaledwie odbiciem jest bezmierność horyzontu przestrzennego, widzi u mety zgodę powszechną ludzi, której tylko dalekim echem jest dzisiejszy konformizm społeczny.

Na miejsce „wyobraźni w górze" podstawia się więc „refleksje w głębi" (*réflexion en profondeur*), przed alternatywą natury i ducha (*la nature et l'esprit*) ustępuje alternatywa natury i nadnatury (*la nature et la surnature*). Stosunek tych perspektyw transcendencji i immanencji został ujęty z przedziwną precyzją w głośnych dwu formułach z *Wyznań: Deus superior summo meo, Deus intimior intimo meo.*

W stylistycznej tej i gramatycznej, jak mówi Brunschvicg, syntezie, a w istocie w pomieszaniu wyobraźni naiwnej z refleksją duchową odzwierciedla się dwoiste oblicze życia religijnego Za-

chodu pomiędzy Bogiem potęgi, transcendentnym w odniesieniu do świata i Bogiem mądrości, utajonym w duchu.

Historia myśli ludzkiej uwypukla ów dualizm. Już u Hezjoda Zeus, Bóg nowy, zamknął w swych wnętrznościach pierwszą swą małżonkę, mędrszą od wszystkich bogów i ludzi, ażeby mu udzieliła poznania dobrego i złego.

Najlepszy atoli przykład widzi Brunschvicg w platonizmie. Dialektyka platońska jest w jego oczach nieprzerwaną konfrontacją między immanencją i transcendencją, „Bytem" i „Jednością" (*hen*) tym samym i innym. Otóż Platon w najdalszych pokładach swej myśli przyznał prymat „Jedności" nad „Bytem", „Tego samego" nad „Innym". Jednakże nie dość się wyzwolił od wyobraźni transcendentnej, by mógł był przystąpić bezpośrednio do immanencji. To też zniewolony został iść okrężną drogą ontologii. To „Samo" będzie inne niż „Inne", „Jedność" będzie poza zaświatem: *epekeina tes usias*. Rozum otrzymywałby z zewnątrz światło prawdy, jak oko otrzymuje od słońca światło fizyczne.

To uwikłanie się Platona we własnym problemie odnajduje Brunschvicg w historii filozofii zachodniej aż do nadejścia spiritualizmu kartezjańskiego. Arystotelizm ulega nadal przestrzennemu patrzeniu się na byt, co więcej nawet Szkoła Aleksandryjska, usiłująca wydobyć się rozmachem duszy i rozumu poza sferę skończoności i zmysłowości, nie zdołała uwewnętrznić jedności jako takiej, gdyż pyta się jeszcze o przyczynowość metafizyczną światła zewnętrznego, co może mieć sens jedynie w hipotezie transcendencji bytu.

Obsesja mistyczna niebytu stała się, jak chce Brunschvicg, jedynym wyjściem, ciągnąc się od Platona do Damascjusza, aż doprowadziła wreszcie do *hypertheon pneuma* u Pseudo-Dionizego, mistrza teologii średniowiecznej.

Między teologią negatywną, jaką streszcza znana formuła: *Deus qui melius scitur nesciendo,* a ateizmem radykalnym nie czuje Brunschvicg żadnej różnicy rzeczowej. Albo przyjmiemy według litery niebo Apokalipsy z Bogiem, który tam siedzi na tronie, rządzi i sądzi, albo raz zgodziwszy się na alegorię, wyznamy, że pod tą symboliką nie kryje się absolutnie nic.

Boga jako Boga szukać winniśmy tylko od wewnątrz, w duchu i prawdzie. Odkryjemy Go w tajnikach duszy pod postaciami powszechności słowa wewnętrznego, otrząsającego się z wszelkich

cielesnych osłon. Wzorem tej spirytualizacji byłaby analiza matematyczna, w której znika potrzeba ilustracji przestrzennej. Za Descartes'em, a jeszcze otwarciej za Spinozą, rozumiemy, że intuicja intelektualna jest intuicją nie pojęcia, lecz sądu, tj. nie rzeczy, lecz aktu; nabiera ona pełnej świadomości siebie w duchowości czystych stosunków, wznoszących się ponad warunki przestrzenne. Teraz już, by odwrócić platońskie porównanie, rozum nie jest odbiornikiem prawdy z zewnątrz, lecz ogniskiem, z którego bije światło na przedmioty poznania.

Wprawdzie, kończy Brunschvicg, ani Descartes, ani Berkeley, ani Kant nie zrealizowali bez reszty programu ścisłej immanencji, ujętej w swej autentycznej czystości, jednakże ponad ich przykłady wybija się ich prawda, że nie ma czystego doświadczenia, które by dosięgło rzeczywistości transcendentnej, tak jak nie ma czystego rozumu, który by zdołał się przedrzeć do sfery transcendentnej.

3. Transcendencja jaźni, nicości i paratranscendencja.

Jak zaznaczyłem wyżej, słowo „transcendencja" przybierało na Kongresie wielorakie znaczenie. Szermowali nim zwłaszcza filozofowie niemieccy, godząc je na swój sposób z założeniami zdecydowanej immanencji.

Zresztą nie omieszkiwali oni zaznaczyć, iż *die Setzung der Transzendenz ist keineswegs gleichzustellen dem Glauben an eine „andere" in metaphysischer Realität gedachte Welt.*[1]) Transcendencja jest nazwą skończonej istoty w nas, lub raczej nazwą dążności naszej do samoziszczenia *(Selbstverwirklichung)*, do urzeczywistnienia owej „idei", o której wiemy tylko tyle, iż przewyższa wszelkie poznanie i wartościowanie jako ich prawidło i norma.

Dlatego też Metzger określa człowieka jako *das an dem Transzendenten orientierte Wesen,* jestestwo ekscentryczne, tzn. jestestwo skończone, które swój środek ma tam, gdzie znajduje ostateczne granice swego istnienia, i skąd czerpie zrozumienie swej możliwej egzystencji. Stąd ludzkie istnienie — czy to jed-

[1]) A. Metzger: *Friedrich Nietzsche und das Problem der Transzendenz in der Philosophie der Gegenwart* (VIII, 60 nn). Podobnie się wyrażał np. Heimsoeth.

nostkowe, czy to jako społeczność jednostek — jest miejscem realizacji transcendencji.

W transcendencji trzeba odróżnić jej historyczne formy, w których dane systemy filozoficzne upatrywały prawdziwy byt (*das Transzendente*). Tak np. w innym kształcie występuje w historii transcendencja Platona, hipostazowana w ideach, a w innym *der Wille zur Macht* Nietzschego.

Pierwsza forma opierała się na dwu światach, podczas gdy druga wyrosła ze zniszczenia metafizycznych zaświatów. Zasadniczy przy tym składnik tworzy idea, iż transcendencja jest coraz to szerszym, pełniejszym realizowaniem jaźni (*Selbst*).

Sądzę, że od tego stanowiska nie odbiega daleko koncepcja transcendencji egzystencjalnej, tak jak ją przedstawili Corbin i Becker. Wprawdzie pierwszy ograniczył się do przedmiotowego nakreślenia jej konturów, drugi zaś położył ją jako kontrast dla swego stanowiska, jednakże warto się jej przypatrzeć nieco bliżej, ponieważ atmosfera myśli przesycona jest dziś filozofią egzystencjalną. [1])

Według Beckera [2]) można mówić albo o transcendencji w ścisłym tego słowa znaczeniu, którą się zajmuje metafizyka ogólna (*metaphysica generalis*), albo o transcendencji w brzmieniu niewłaściwym, szerszym, która stanowi przedmiot metafizyki szczegółowej (*metaphysica specialis*).

W pierwszej rozważa się byt jako taki, a więc przechodzący wszelki gatunek i rodzaj, ma się zatem do czynienia z pojęciem któremu bezpośrednio nie odpowiada żadne określone istnienie. Albowiem transcendencja pojęcia „bytu w ogóle" polega na unicestwieniu wszelkich kategoryj, wszelkich form rzeczywistości (*Uebersteigenheit*).

Ten właśnie nihilistyczny prąd transcendencji krąży zdaniem Beckera we filozofii egzystencjalnej: *Transzendieren im eigentlichen Sinn heisst — nach Heideggers Untersuchung über das „Wesen der Metaphysik" — sich angesichts des Nichts wiederfinden, „Hineingehaltensein in das Nichts"*.

Transcendencja Heideggera jest, jak wyraził się Corbin [3]), pewnym zrozumieniem bytu (*Verstehen*); przez nią bowiem rze-

[1]) Zob. F. Sawicki: „Filozofia egzystencjalna" *Przegląd Powszechny*. Luty 1937, str. 195 nn.

[2]) Transzendenz und Paratranszendenz (VIII, 97 nn).

[3]) *Transcendental et existential* (VIII, 24 nn).

czywistość ludzka objawia się w swej najgłębszej skończoności. „Ontologiczne" to poznanie nie stwarza jednak nic, gdyż nie jest to *infuitus originarius*, ale tylko przenosi w horyzont, który z jednej strony nie podpada pod poznanie empiryczne, będąc prawdziwym niebytem, nicością, z drugiej umożliwia przecież egzystencji objawienie się w świecie i razem ze światem.

Tak odmalowanej transcendencji egzystencjalnej przeciwstawia Becker nową oryginalną formę, tj. paratranscendencję. Ciekawy ten wyraz: *Paratraszendenz* ukuł Becker, ażeby przyciągnąć uwagę na jej naturę pozytywną. Dialektycznie świadczyć mają o tej pozytywności dwa znoszące się wzajemnie przeczenia w synonimie niemieckim: *Unentstiegenheit*, co oddałby doskonale łaciński termin: *intranscendentia*. Poprzez podwójną negację dialektyczną każe Becker dostrzec intuicją prazjawisko (*Urphänomen*), jakim w samej rzeczy jest paratranscendencja. Albowiem istotą paratranscendencji są narodziny (*Geburt*), pojęcie prapogańskie (*urheidnisch*), zaczerpnięte z pierwotnych mitów (*ursprungsmythos*) i teogonii. W narodzinach pojawia się coś nowego, coś co przerasta swe otoczenie, wszczepia się jednak w pień macierzysty.

Idea narodzin jest więc metafizyczną przeciwwagą do przewodniej myśli Heideggera o „bycie rzuconym". Narodzić się nie znaczy być stworzonym z nicości, ani też być rzuconym w świat, gdyż człowiek porzucony w świecie nie zna swej przyczyny, jest wobec niej bezsilny.

Natomiast swoje pochodzenie i swój ród człowiek zna, tak że mógłby stąd nabyć mocy i odwagi; dzieje się to w oparciu o krew i ziemię od dawna mitycznie z sobą spokrewnione. Z nich bierze swe istnienie „człowiek niezłomny" (*der ungebrochene Mensch*).

Jeśli dla Heideggera istnienie ludzkie jest: *Dasein*, to Becker odnajduje w mowie niemieckiej słowo: *Da-wesen*, atoli stosuje je nie do każdej egzystencji historycznej, lecz tylko do najbardziej pierwotnej. *Der naturhafte, der naiven Ursprünglichkeit noch nahe Mensch ist dagegen ein Wesen, er „west"*.

Pragnąc jędrnie wypowiedzieć transcendencję Heideggera, podsuwa Becker formułę: *Das Sein übertrifft das Seiende* (Abstrakcyjne pojęcie bytu równoznaczne z niebytem przechodzi konkretnie istniejące byty); paratranscendencję natomiast wiąże zdaniem: *Das Wesen ist identisch mit dem Wesenden* (Pierwotność krwi i ziemi utożsamia się ze zrodzonymi z niej jestestwami).

4. Transcendencja chrześcijańska. (M. Blondel, L. Lavelle, G. Marcel)

Śmiało można twierdzić, że myśl chrześcijańska odniosła triumf na kongresie paryskim. Zarzuty przeciwko prawdziwej transcendencji płynęły z całkowitego niezrozumienia analogii bytu. Nie dziw więc, iż w tak zacieśnionym widnokręgu myślowym byt transcendentny staje się podwojeniem skończoności, bożkiem, tworem instynktu poetyckiego i istnym potworem filozofii, albo też radykalną negacją wszystkiego, czystym niebytem, lub co najwyżej oderwanym pojęciem bytu w ogóle.

Jasne jest także, że dla podobnej mentalności każdy dowód rozumowy na istnienie Boga okaże się nieważny i dziecinny, gdyż istotnie dziecinne będzie w tej dziedzinie dowodzenie czysto „geometryczne".

Zasługą filozofów katolickich było, iż pokazali we właściwym świetle samo pojęcie transcendencji autentycznej. Na czoło wybił się bez żadnej wątpliwości głośny filozof doby obecnej, M. Blondel. Wystąpienie Blondela nabiera tym większej wagi, iż w kilku potężnych skrótach zarysowało kontury jego niemal półwiecznej filozofii, o którą wywiązał się w ostatnich czasach z okazji wydania *La Pensée, L'Être et les êtres* zacięty spór.

Zagadnienie transcendencji postawił Blondel [1]) w słowach, nie dopuszczających cienia dwuznaczności. Chodzi mu o rozstrzygnięcie pytania, czy ponad strefą doświadczenia, wiedzy i działania rozpościera się, jak sobie pospolicie wyobrażamy, inny porządek, wyższy nad jakąkolwiek kontrolę pozytywną, tj. czy transcendencja jest tylko prostym terminem odniesienia idealnego i regulatywnego, czy też nadto rzeczywistością konieczną i absolutną, lubo niewspółmierną z nami.

Blondel odrzuca nasamprzód grube wyobrażenie o dwu światach nadbudowanych, wyobrażenie zdradzające fizyczny sposób patrzenia, spętany logicznym formalizmem, jaki niestety towarzyszy naszemu poznaniu.

Zaiste było by naiwne przedstawiać je sobie jako dwie rzeczywistości zamknięte względem siebie; świat immanentny, oddany najpierw samemu sobie, nie mógłby się otworzyć na przyjęcie obcej mu rzeczy zewnętrznej. Jeśli więc wypada uznać obecność

---

[1]) *Aspects actuels du problème de la transcendance* (VIII, 10 nn).

i wpływ transcendencji na byty skończone, to znaczy, iż nie ma tu przypadkowego wtargnięcia „z zewnątrz", lecz z samego wnętrza, z najskrytszych zakątków immanencji zrywa się pęd w górę, wołanie za zaświatem. Transcendencja i immanencja, rozważane nie jako oderwane pojęcia, lecz jako dane konkretne, wzajem się nie wykluczają, metafizycznie możliwa jest ich symbioza.

Transcendencję musimy afirmować, jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie dane konkretne immanencji, wszystkie zasoby rozumu i serca. Uczony może niewątpliwie zacieśniać swój wzrok do ekranu zjawisk, dla których szukać będzie praw ogólnych; zapewne nie natknie się w tym poziomie na żadną granicę, zapewne jego poszukiwania będą mogły być przedłużane w nieskończoność. Lecz myśli naszej najgłębszej nie uwięzi nawet nieskończona otwartość światów gwiezdnych; samże ekran przestrzenny domaga się wyższego naświetlenia, odniesienia do normy absolutnej. W porządku spekulatywnym idea odniesienia, względności, praw ogólnych, nie miałaby dla nas żadnego sensu i użytku bez założenia rzeczywistości czynnika transcendentnego, absolutnego, nierelatywnego w odniesieniu do relatywnego. Podobnie w życiu moralnym i religijnym: idea normy życiowej, prawa wewnętrznego każdej jednostce a zarazem wyższego nad indywidualne stanowienie, Misterium bliskiego duszy a zarazem nieprzeniknionego dla rozumu jest wrodzona ludzkości, trwająca, jak iskra, nawet w popiołach czasowej degeneracji.

Na skutek zawisłości immanencji od transcendencji wyłonić się może łatwo kuszące podejrzenie, że więzy zależności jednostronnej stają się wspólną niewolą: transcendencja po niedługim bujaniu opada na powrót w immanencję.

Dlatego nieodzownym wydaje się słowo silniejsze, bardziej paradoksalne niż sam wyraz „transcendencja". Jest to idea nadprzyrodzoności w technicznym jej użyciu (*surnaturel*).

Blondel pragnie przez to zaakcentować jak najdobitniej charakter tajemnicy, który z gruntu zakrywa skrytości nieskończonego istnienia przed spojrzeniem niedoskonałym.

W ten sposób aspiracje religijne wymykają się poprzez transcendencję poza koło zmysłowych wyobrażeń aż ku głębinom Misterium, otwarte odtąd dla pozytywnego świadectwa wiary. Zatem pojęcie nadprzyrodzoności utwierdza nas w afirmacji Absolutu, a ponadto podsuwa poczucie nieskończoności, budzi tę-

sknotę wprawdzie bezsilną, lecz realną za uczestniczeniem ściślejszym w Obecności, która z czystej łaskawości mogłaby się zapewne przybliżyć i podnieść ku sobie wzloty za słabe. Nie ulega żadnej wątpliwości, że filozof nie będzie się kusił o pozytywne zgłębienie tajemnic nadprzyrodzonych,[1]) jednakże potrafi rozróżnić *via assertionis*, *via negationis* nieprzebytą przepaść między naszym spojrzeniem na transcendencję a jej osobnym istnieniem, niewspółmiernym z żadną formą określoną bytu, nieuchwytnym dla żadnego skończonego poznania. Metafizyka, dobiegłszy ku szczytom, spostrzega sama swe granice, których nie poważy się przekroczyć, dlatego że przeczuwa za nimi miłość, jako ostatnie wyjaśnienie istnienia porządku immanentnego i obcowania duchów.

Jeśli Blondel umieścił nas w należytej perspektywie względem transcendencji, to L. Lavelle[2]) położył nacisk na ideę uczestniczenia, jako zasadniczą tezę wszelkiej filozofii, która pragnie hołdować transcendencji.

Lavelle sądzi, że jakkolwiek *Cogito* stało się od XVII w. odskocznią dla każdej refleksji filozoficznej, to jednak nie przemawia to za uprzywilejowaniem „ja myślącego", jako wyłącznej miary rzeczy. Albowiem „myślę... jestem" stawia nas od razu w obliczu „podwójnego uczestniczenia jaźni w myśli", a myśli w bycie, lub raczej uczestniczenia jaźni w bycie za pośrednictwem myśli,[3]) która nabiera pełnego sensu dopiero w przeprowadzeniu dowodu ontologicznego na istnienie nieskończonego bytu, podłoża i uzasadnienia realnego uczestnictwa.

Według zatem Lavelle'a doświadczenie uczestnictwa jest możliwe. Refleksyjne bowiem przychwycenie naszej myśli w samym akcie myślenia daje nam tylko wówczas poczucie pewności i bezpieczeństwa, gdy podtrzymuje je wspólne wszystkim ludziom

---

[1]) Problem stosunku porządku nadprzyrodzonego do porządku przyrodzonego nie może być rozwiązany całkowicie przez sam tylko rozum przyrodzony bez pomocy objawienia. Owszem nawet po objawieniu zostają dla rozumu tajemnice niezgłębione, np. tajemnica Przenajśw. Trójcy. Blondel jednakże, mówiąc o Przenajśw. Trójcy, nie zamierza „wypróżnić" *(évacuer)* tajemnicy. Jedyną tę wątpliwość, jaką nastręczyła trudność przedmiotu, rozprószył całkowicie Blondel w odpowiedzi O. Boyerowi.

[2]) *Principes généraux de toute philosophie de la participation* (XI, 170 nn).

[3]) Analogiczną koncepcję, co się tyczy pośredniczenia myśli, rozwinął P. Decoster w swej teorii: *l'immédiate médiation. De l'analyse réflexive à l'expérience métaphysique* (VIII, 32 nn).

i zawsze przytomne doświadczenie naszej obecności w całości bytu.

Nie jest to bynajmniej doznanie relacji podmiotu do przedmiotu, lecz raczej naszego własnego bytu, wplatającego się w całość, która jednakże go przechodzi i przewyższa. Uzmysłowienie doświadczenia uczestnictwa znajdziemy w umiejscowianiu naszego ciała za pomocą zmysłowych wrażeń w przestrzeni daleko szerszej, niż ją wzrok zakreśla. Lecz już także do powyższego oznaczenia przestrzeni i naszego w niej miejsca konieczny jest akt uświadamiający, który nam uobecnia stosunki przestrzenne.

Otóż w świadomości tego aktu ujmujemy doświadczalnie nasze osobiste działanie i skuteczność, z której czerpiemy. Zachodzi tu odróżnienie i związek podobny do odróżnienia i związku, jakie istnieją między zmysłowymi wrażeniami a otaczającą przestrzenią. — Innymi słowy akt osobisty jest jakby wyborem jednej z możliwości, w jakich nasze istnienie zdaje się być zanurzone.

Stosunek owych możliwości do ich realizacji stanowi właśnie problem uczestnictwa. Możliwości, o których mowa, nie są bynajmniej wstecznym wyobrażeniem aktu dokonywanego w danej chwili, jak chcą pozytywiści. Rzeczywistość ich zlewa się ze skutecznością czystą, tj. z aktywnością absolutną, która rodzi samą siebie odwiecznie. Jest to Wolność nieskończona, pozwalająca na powtarzanie się wyborów poszczególnych tj. na przejścia ustawiczne z możności do aktu. Przeobrażanie się możności w akt to właśnie uczestnictwo.

Możność gra rolę przedziału (*intervalle*) między aktem czystym a aktem uczestniczenia. Przedział przez to samo rozciąga się w nieskończoność, co jednak nie popycha nas w rozpacz, gdyż zapełniać go możemy własnym naszym postępem na łonie bytu, karmieni niejako i podtrzymywani nieprzebraną skutecznością Aktu stwórczego.

Określić rozmaite formy przedziału i unaocznić w ich odmianach wszystkie stopnie naszej aktywności, teoretycznej i praktycznej należy do dialektyki świadomości. Można by ustalić trzy główne typy przedziału: nasamprzód przedział między aktem a danymi rzeczywistości, w którym możność wchodzi w grę i poczyna się partycypacja; następnie jego forma przedmiotowa, tj. przedział przestrzenno-czasowy, wewnątrz którego buduje się wszechświat; wreszcie jego forma podmiotowa, tj. przedział mię-

dzy rozumem a chceniem, wewnątrz którego kształtuje się nasza świadomość osobowa.

Lavelle wyznał, iż jego system jest owocem najlepszych momentów, w których dusza dotarłszy do szczytów spotyka się z Bogiem, odnajdując tak harmonię wszystkich elementów. Niemniej z rozważania swej własnej, niechybnej śmierci dochodzi G. Marcel [1]) do bytu transcendentnego jako metaproblematycznego, stwierdzając swym przykładem, że tragizm życia nie musi się kończyć rozpaczą beznadziejną.

Warto przy tej sposobności zwrócić uwagę na oświadczenie Brunschwicga, iż problem śmierci zgoła go nie zajmuje, a przynajmniej nie w tym stopniu, co właściwie G. Marcela. Jest to wyznanie charakterystyczne, gdyż przekonywa, iż ból istnienia popycha albo w rozpacz, jaką przepojona jest np. filozofia egzystencjalna, albo kieruje ku transcendencji.

Marcel przeprowadza swą wzorowaną na fenomenologii egzystencjalnej analizę śmierci, która zagraża, przygniata i druzgoce.

„Moja śmierć: nie jest to jeszcze faktem; czyż to więc idea? Gdyby tak, to powinienbym ją objąć jak przedmiot jaki; atoli to mi się staje niepodobieństwem. Nie potrafię jej przeskoczyć w myśli, ani nie mogę sobie wyobrazić, że się już dokonała, chyba że się podstawię na miejsce kogo innego, który by mię przeżył i dla którego „moja śmierć" będzie „jego śmiercią".

Niezawodność śmierci stawia człowieka w położenie skazańca, zamkniętego w celi więziennej, której ściany zbliżają się ku sobie z minuty na minutę.

Czyż nie targnąć się na własne życie, byleby przeciąć mękę oczekiwania?

W ten sposób krystalizuje się meta — problematyka nieistnienia, która jest zarazem usystematyzowaniem rozpaczy, kończącej się chyba samobójstwem. A jednak mimo wiszącą śmierć odzywa się w nas element pozytywny, iż zostaje coś, czego zagrażająca śmierć nie dosięga.

Oprzeć się na tym pierwiastku pozytywnym jest sprawą wolnej woli, która zresztą objawia się również i w samobójstwie, w absolutnej negacji siebie. Zatem jedynie wolność nasza osobista daje śmierci tyle mocy nad nami. Lecz jeśli tak, to tym

[1]) *Le transcendant comme métaproblématique* (VIII, 50 nn).

samym metaproblematyka nieistnienia, niebytu przeistacza się w myśli naszej w metaproblematykę pozytywną. Oczywiście przeciwwagą śmierci nie będzie życie obecne tak pochopne do przystosowywania się nawet do tego, co je zabija, ani też żadna prawda „obiektywna" ze sfery egzystencjalności, prawdziwe *adiaforeton*. Ontologiczna przeciwwaga śmierci osadzać się może tylko na pozytywnym użyciu własnej wolności, która by się przerodziła w przystanie, tj. miłość.

Przez to samo śmierć zostaje nie tylko przeciwważona, lecz także przezwyciężona, przewyższona (*transcendée*).

To, co jest metaproblematyczne, to właśnie byt transcendentny. Nie jest on nieusprawiedliwioną obiektywizacją aktu transcendencji, *sursum* ponad własną dolę śmiertelną. Zarzut podobny jest niedorzeczny, gdyż *sursum* aktu wolności nie może się zrobić hipostazą samego siebie w oparciu o samo siebie; zaprzeczanie wolności w momencie jej podniesienia to także jeszcze rozpacz.

Właściwością aktu transcendencji jest jego orientacja, nastawienie, wyjście z siebie. Byt transcendentny określa się właśnie jako negacja egocentryzmu. Określenie wprawdzie czysto negatywne, lecz właśnie negatywność jest tu nie do pomyślenia inaczej, jak tylko w założeniu uczestnictwa w rzeczywistości, która nas przerasta i ogarnia, aczkolwiek nie staje się dlatego nam obca i zewnętrzna.

Zresztą czymże my jesteśmy? Oto pytanie, na które nie potrafimy sami odpowiedzieć bezstronnie. Pytanie to przemienia się z konieczności w wołanie za Tym, który musi istnieć i musi móc nas słyszeć. W tym leży metaproblematyczność transcendencji. Z pytania bowiem o istnienie „Bytu", do którego całą siłą zwraca się nasza dusza, już zawarte jest przypuszczenie, że my bylibyśmy w stanie sprawdzić empirycznie odpowiedź, jakiej czekamy. Lecz jest rzeczą nazbyt jasną, iż transcendencja tego, którego wzywamy z głębokości serca, przechodzi wszelkie możliwe doświadczenie, wszelkie nawet rozumowe wyznaczenie, będące zresztą jedynie antycypacją lub schematyzacją doświadczenia. Marcel zasyła w gorącości myśli przepiękną modlitwę: Czymżeż ja jestem? Ty jeden mnie znasz naprawdę i sądzisz; wątpić o Tobie to nie wyzwolić się, ale unicestwić. Lecz powątpiewaniem w Ciebie byłoby, co więcej zaparciem, patrzeć na Twą rzeczywistość, jako na podległą problemowi; albowiem te problemy

istnieją tylko przeze mnie i dla mnie, który je rzucam, i to ja sam właśnie staję pod znakiem zapytania w akcie bez powrotu, w którym się wyniszczam i poddaję".

Adoracja według Marcela może również służyć za *terra firma* dla refleksji filozoficznej, dochodzącej nie do Teorii, lecz zginającej się przed najczystszą Świętością, do jakiej nie przybliży się żaden postęp techniki, poznania, moralności.

Ks. St. J. Góra T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Leon Kruczkowski: Sidła, (wyd. Gebethnera). — Adolf Nowaczyński: Cezar i człowiek (wyd. Gebethnera). — Stanisław Rembek: W polu, (Instytut wydawniczy: Biblioteka Polska). — F. A. Ossendowski: Szanhaj II tomy, (Wydawnictwo polskie R. Wegnera). — Halina Górska: Ślepe tory (wyd. Roju). — Adolf Rudnicki: Niekochana (wyd. Roju). — Albert Bessières: Narzeczeni z Leningradu, tłum. Z. S. (nakładem Drukarni i Księgarni Katolickiej w Katowicach). — Tadeusz Dybczyński: W poprzek Sybiru (Państwowe wydawnictwo książek szkolnych). — Basil Carey: Kapitan Krystyna, tłum. Janina Sujkowska (wyd. Michalak i Ska).

Często zestawia się doktrynę chrześcijańską z doktryną socjalistyczną, przeprowadzając między obiema mniej lub więcej udane analogie. Gdy czytałam książkę doskonałego pisarza Leona Kruczkowskiego: Sidła, przyszło mi na myśl, że warto by raz jeszcze porównać doktryny obu nauk, tym razem na terenie ..literackim, że warto by dookoła powieści tzw. lewicowej, wszcząć tę samą dyskusję, jaka ostatnimi czasy rozwija się z taką żywością dookoła powieści katolickiej. W teorii powieści katolickiej zwyciężył dziś pogląd, głoszony przez największe powagi katolickiego świata, z Maritainem na czele, że powieść, aby być naprawdę katolicką nie potrzebuje dawać wykładu doktryny, nie potrzebuje dawać przykładów odstraszających czy budujących, że nie potrzebuje być ani polemiczna ani budująca, ani tendencyjna. Teoretycy literatury katolickiej uznali powieść za teren autonomiczny, a nie za narzędzie propagandy czy polemiki. I zastosowanie tej teorii w praktyce dało rezultaty olśniewające: powieści ani dydaktycznych, ani przykładowych a naprawdę pięknych i naprawdę katolickich. Czas byłby istotnie, aby na tę samą głęboką i szeroką modłę ukształtowała się teoria powieści socjalistycznej. A nie wedle niej jest pisana ostatnia powieść Kruczkowskiego. Przez swoją nieukrywaną tendencyjność, polemiczność, przez jawnie w niej głoszoną propagandę, przypomina najgorsze wzory dawnej katolickiej powieści „budującej" i dyskutującej. Nie żeby była licha, pisarz tak utalentowany i tak wytrawny jak

Kruczkowski „źle" pisać nie umie. Partia powieściowa jego książki jest świetna. Świetny jest bezrobotny inteligent Bogdalski. Jego wewnętrzna tragedia oddana jest z najgłębszą znajomością ludzkiej duszy; po mistrzowsku przeprowadza autor swego bohatera od początkowej apatii i zniechęcenia, poprzez rozkołysanie wyobraźni, rozbudzenie marzycielstwa, rozmiłowanie się w loteryjnym hazardzie, aż do rozpaczy, zupełnego psychicznego załamania patologicznego kompleksu niższości, i w końcu do samobójstwa. Doskonałe jest zamieranie uczuć dla męża Janki Bogdalskiej, wskutek nienormalnych warunków życia, wskutek mimowoli na nią działającego poczucia bezużyteczności tego męża. Doskonałe jest małomieszczańskie ich *milieu*, doskonała nawet atmosfera tego malutkiego mieszkanka, jego ciasnoty, nieładu, brzydoty. Ale cóż! Ten doskonały powieściowy szkielet wypaczony jest dobudówkami socjalistycznych pouczeń, wykładami teorii Marxa, rozwlekłymi dyskusjami, tymi beznadziejnymi dyskusjami o z góry wiadomym wyniku, w których autor swoim najgłębszym przekonaniom przeciwstawia argumenty strony przeciwnej, które z góry uważa za idiotyczne. Oba światopoglądy — własny i wrogi — muszą oczywiście znaleźć odpowiednich reprezentantów. Dr Rudny, reprezentant marxizmu, jest inteligentny, szlachetny, sympatyczny, tak jak wszyscy wierzący katolicy z powieści budujących; reprezentanci „burżuazji" niedołęga Bogdalski i cyniczny ograniczony karierowicz Wielemski, przypominają znowu do złudzenia, tych wszystkich, tak dobrze nam znanych, niedowiarków i ateuszów z powieści przykładowych, którzy z urzędu są głupi i źli. Walka życia, a nawet walka dyskusji, jest w tych warunkach przesądzona. Ach! jakżeż uprzykrzył nam się ten klucz doskonałości jakiejś doktryny, wcielonej w ludzki ideał i pognębienie doktryny przeciwnej, przez reprezentujących ją matołów i szubrawców! I tak jak każda konstrukcja oparta nie na prawdzie, lecz jedynie na *pium desiderium* autora, tak i ta okazuje od razu mnóstwo załamań, luk i sprzeczności. Weźmy tylko przykład jeden. Rudny, który z taką wzruszającą litością nachyla się nad amputowanym ramieniem chłopca, któremu bomba rzucona w antyżydowskich ekscesach strzaskała rękę, który z tak słusznym oburzeniem dla przemocy wyjmuje karabinową kulę z wnętrzności robotnika, rannego podczas demonstracji przeciw bezrobociu — uznaje jednak za słuszne i konieczne, aby rewolucja, chcąca zaprowadzić sprawiedliwość na świecie, posługiwała się gwałtem i terrorem. Inaczej porządku zaprowadzić się nie da. Trudno. I autorowi nie przychodzi na myśl, choć przychodzi czytelnikowi wzruszonemu plastycznymi opisami cierpiącego człowieka, że przy tym zaprowadzaniu ładu na świecie, także zapewne jedna z tych sprawiedliwość czyniących kul, poszarpie rękę jakiemuś biedakowi, także zapewne przeszyje ludzkie wnętrzności. Takich załamań można by znaleźć sporo. Ale dyskusja na ten temat musiałaby z koniecz-

ności zejść na tory zasadnicze. Takiej dyskusji nie zamierzam otwierać, za daleko zaprowadziłaby nas, zresztą chodzi mi tu o wartość książki, jako powieści, a nie o wartość teorii marxizmu. Przekonań p. Kruczkowskiego nie podzielam, choć je szanuję, bo są szczere, gorące, wyrosłe z głodu sprawiedliwości i współczucia dla ludzkiej krzywdy i cierpienia. Żałuję tylko, że swej teorii nie wyłożył p. Kruczkowski w traktacie. Moglibyśmy wtedy swobodniej dyskutować. Moglibyśmy może odpowiadać argumentami mniej błahymi, mniej niedołężnymi, niż z góry na tępotę umysłową skazany p. Wielemski. Żałuję jeszcze bardziej, że ten wkład propagandowy zepsuł doskonałą książkę, żywo i barwnie napisaną powieść. Wiem, że prawdziwemu marxiście nie chodzi o takie głupstwa, jak wartości estetyczne, chodzi mu o budowanie lepszego życia. Ale rzeczy w swej istocie spaczone i do niewłaściwych celów użyte, nie budują niczego. Nie starając się odwrócić p. Kruczkowskiego od jego przekonań, pragnęłabym tylko, aby na tym odcinku, na odcinku teorii literackiej, przeszedł na stanowisko swobody i wolności katolickiej. A pragnęłabym tego, bo bardzo wysoko cenię jego wielki powieściowy talent.

Jestem w dość dużym kłopocie mając omawiać sztukę teatralną Adolfa Nowaczyńskiego *Cezar i człowiek*, sztukę, którą znam tylko z książki. Mówienie o sztuce teatralnej na podstawie jej przeczytania, jest trochę tym samym, co opisywanie piękności katedry, którą się zna tylko z fotografii. Przypuszczam, że dzieła Ajschilosa wytrzymywały próbę czytania lepiej, niż sztuki dzisiejsze, tak bardzo sztuka sceniczna zaczyna być autonomiczna, tak coraz bardziej odchodzi od „literatury czystej". Ten prąd wytwarzania się jakby nowej gałęzi twórczości teatralnej, wydaje czasami i prawdziwe arcydzieła, tak np. cała twórczość Wyspiańskiego, która jest czymś pośrednim między malarstwem a poezją, czymś co życia, blasku i piękności nabiera dopiero na scenie. To też zastrzegam się, że mój sąd o sztuce Nowaczyńskiego może być zupełnie mylny, gdyż nie znam blasku i życia przydanych jej przez scenę, a właściwie wartości, które dopiero na scenie mogą się realizować. W czytaniu, sztuka ta, jak prawie wszystkie dzieła wielkiego publicysty, jest i nieznośna i drażniąca, a zarazem ma pewien urok. Drażni nas przede wszystkim jej historyczny anachronizm, posunięty prawie że do nonsensu. Wiemy doskonale, że miłość Lukrecji Borgia do Kopernika, cały jego pobyt na dworze Borgiów, cały zamach na jego życie Cezara Borgii, to wszystko historie z palca wyssane. Nasz zmysł historyczny jest od początku obrażony. Buntujemy się, gdy autor dla wygody własnej, a naszego olśnienia, gromadzi na scenie wszystkie znakomitości Renesansu, gdy oglądamy to niesamowite „tutti frutti" zrobione z Borgiów, Farnesów, Machiavela, Kopernika, prawie że Kolumba, Rafaela i Leonarda. Drażnią nas i rzeczy bardziej zasadnicze: dość

sympliczne przeciwstawienie człowieka-Kopernika Cezarowi-Borgii, ta atmosfera i dyskusje więcej przypominające antyfaszystowskie rozumowania p. Słonimskiego, niż atmosferę renesansową, to bezceremonialne zaktualizowanie nastrojów i myślowych dylematów tego nieprawdopodobnego towarzystwa. Drażni nas — i to najwięcej — język. Nie możemy się oprzeć irytacji, gdy Cezar Borgia przemawia językiem Reja, gdy Machiavel mazurzy, a Lukrecja przemawia stylem kontusikowej dzieweczki. Ale te wszystkie irytujące strony książki Nowaczyńskiego, dziwnym a niewytłumaczalnym kaprysem ludzkiej wrażliwości, tak irracjonalnej zwłaszcza tam, gdzie chodzi o wrażliwości estetyczne, mają i pewien wdzięk. Czytelnik porwany niewątpliwym dynamizmem i ruchem opowiadania (raczej akcji) nabiera rozpędu, odwagi i „sanfiszyzmu". Co go właściwie obchodzi historia i jej autentyczność? Co go obchodzi kto kogo naprawdę kochał, nienawidził i zabijał, w owych odległych czasach? Czemuż nie miałby łączyć dla swej uciechy ludzi w najbardziej niehistoryczne związki i sytuacje? Czemuż nie miałby z nich, jedynie dla swej uciechy — stwarzać najbardziej dowolnych kombinacyj i konstelacyj? A przecież o wiele zabawniej, o wiele „pikantniej" jest kazać rozmawiać Lukrecji z Kopernikiem, kazać Machiavelowi służyć im za sekretarza, wspominać o rannych odwiedzinach Rafaela i opowiadać, jak Lukrecja chlapnęła w niego — właśnie w niego — paletą, niż wymyślać renesansowe historie o postaciach fikcyjnych. Wprawdzie p. Słonimski twierdzi, że Lukrecja nie byłaby się zakochała w Koperniku, ale ja nie odebrałam tak intymnych konfidencji od pięknej Lukrecji, nie zwierzała mi się tak szczerze, jaki jest „jej typ", więc i w to wierzę, bo właściwie, gdy raz odrzuciliśmy wszelki historyczny autentyzm, nie mamy już żadnych ograniczeń, bylibyśmy nawet gotowi opłakiwać śmierć Kopernika z ręki zbirów Borgii! I tu, w tym kopnięciu historii, w nieograniczonych możliwościach akcji, tkwi pierwszy urok sztuki Nowaczyńskiego. To jest coś nowego, i ta nowość wywiera pewną fascynację. I taki rodzaj, trochę perwersyjnej przyjemności, znajduje czytelnik w języku Nowaczyńskiego. Tu — tak samo jak we wszystkim co pisze — słowa w ręku Nowaczyńskiego puchną, strzelają petardami, stają na głowie, wywracają koziołki. Mają w sobie jakąś szatańską a urągliwą złośliwość, jakąś niestateczność i pełne są niespodzianek. Skaczą jak pchły, siadają na najbardziej nieprzewidzianych znaczeniach, wywracają się podszewką do góry. Mamy wrażenie, że Nowaczyński słowami się bawi i eksperymentuje, że przesypuje je jak groch, i rzuciwszy całą garść na papier, patrzy z zaciekawieniem, jaki puzel i jaki rebus z tego się ułoży. Ten cudaczny język Nowaczyńskiego jest mocno irytujący, ale ma w sobie dużą świeżość i dużo komizmu. Stroi miny, pokazuje język, jak ta zabawka w Bibabo, która była modna temu kilka lat. Ale w tym przedrzeźnianiu się i drażnieniu jest sporo in-

wencji i dużo bogactwa. I przyznaję, że tu w tej sztuce quasi-historycznej, quasi-problemowej, quasi-politycznej, te grymasy językowe, ich nonszalancja i bezczelność, mają swój smaczek. I kto wie, czy właśnie te główne wady sztuki nie są jej zaletami. Bezczelność językowa harmonizuje doskonale z historycznymi nonsensami i składa się na całość jakiejś nieprawdopodobnej fantasmagorii, nie pozbawionej ruchu i życia w swej sytuacyjnej naiwności, i problematycznej symplicznośći. Czytając tę książkę, miałam ciągle wrażenie, że Nowaczyński kpi sobie z nas, z Kopernika i z Borgiów, miałem wrażenie, że *le roi s' amuse*. A wtedy wszystko jest dozwolone, i czytelnik całym sercem w tej zabawie udział bierze. To rozpatrywanie *Cezara i człowieka* pod kątem problematyki, polityki, i różnych górnych „izmów", wydaje mi się grubym nieporozumieniem. Jest to wielka bańka mydlana, nie ma potrzeby niczego się w niej doszukiwać, wystarczy cieszyć się jej niewątpliwym blaskiem i grą kolorów. Wszelkie te irracjonalne i trochę perwesyjne przyjemności sztuki Nowaczyńskiego nikną w epilogu, który jest beznadziejny. Na scenie grany nie był, w książce jest także zbyteczny.

Stanisław Rembek, jak możemy wywnioskować z jego doskonałej opowieści *W polu* nie jest ani pacyfistą, ani militarystą. Wojny ani nie gloryfikuje, ani nie zohydza. Po prostu opisuje ją. Raczej nie wojnę, jako taką, w jej zawiłych poruszeniach taktycznych i w jej skomplikowanej całości, ale człowieka na wojnie, jego życie i przeżycia, jego reakcje, jego psychologię w tej specjalnej chwili. To jest i mocna i zarazem słaba strona tej bardzo udanej książki.

Jesteśmy w rowach strzeleckich w czerwcu 1920 r. Z wojny widzimy i rozumiemy tyle, ile widzi i rozumie strzelec siódmej kompanii piechoty nad Autą. Ten wybór tak małej jednostki bojowej, ale jednak nie ograniczenie się do bohatera jednego, wydaje mi się bardzo szczęśliwy. Człowiek nie zatraca się w ogólnym pojęciu masy anonimowej; tych kilkadziesiąt ludzi znanych nam jest doskonale z wyglądu, nazwiska, usposobienia; ale zarazem ten indywidualny człowiek jest cząstką zbiorowości, żyje nie tylko jako indywiduum, ale także jako część składowa kolektywu. Kompania, to dla żołnierza jednostka zbiorowa najbardziej zrozumiała, najbardziej żywotna. Żyje jej zbiorowym życiem w pełni i świadomie. „Mistycznym" wątkiem historii jest uraz psychiczny, który pada na kompanię po śmierci kaprala Górnego. Kapral Górny był człowiekiem zupełnie zwykłym, niczym się nie odznaczał, nie grał wielkiej roli w życiu kompanii. Zginął jak tylu innych, wysłany na patrol, gdy przyszła jego kolejka. Ale z niewiadomych powodów kompania, która utraciła już tylu dobrych kolegów, tej śmierci znieść nie może. Szerzy się w niej bunt, podżegany przez ponurego Derenia. Górnego zmarnowali niepotrzeb-

nie oficerowie. Śmierć Górnego była niepotrzebna, okrutna i przyniosła kompanii pecha. Górny urasta do symbolu, do symbolu grozy wojny. Jest powodem i pretekstem wszystkich niezadowoleń. Nie byłam na wojnie i trudno mi mieć zdanie osobiste o autentyczności przedstawionych tu wypadków (oto znowu jedna z niższości kobiecych piór!) ale jednak cała ta naprawdę bezsensowna historia z Górnym wydaje mi się, jak i wszystko w tej książce, prawdziwe, prawdą najoczywistszą, prawdą nie anegdoty lecz istoty rzeczy. Ta obsesja, która omotuje kompanię na temat śmierci, n i e p o t r z e b n e j śmierci Górnego, wydaje mi się doskonałym symbolem, doskonałym skrótem tajemniczych momentów rodzenia się mitów, powstawania legend, kształtowania się przesądów. Ukazuje w przekroju wewnętrznym, jak urastają do nadmiarów nadludzkich sprawy zwykłe i codzienne (bo cóż niestety codzienniejszego na froncie jak zniknięcie jednego z kolegów), w pewnych warunkach i okolicznościach. Dlaczego ta właśnie, a nie każda inna śmierć, stała się epokową, niesprawiedliwą i dziwnie ponurą — nie wiadomo. Są to irracjonalne, psychologicznie, w pozornej swej nielogiczności, bardzo zrozumiałe reakcje nerwów naprężonych do ostateczności, ludzi szukających powodów namacalnych i bliskich swoich klęsk i niepowodzeń. Tak właśnie musi wyglądać psychologia wojska w demoralizującej chwili wojennych niepowodzeń, w chwili cofania się i porażki. — Dookoła tego mistycznego jądra, mającego w swej irracjonalnej grozie coś Conradowskiego, rozwija się akcja powieści, a raczej akcja wojny, a jeszcze ściślej, akcja okropnego, deprymującego a jednak jakżeż bohaterskiego odwrotu. Opisy batalistyczne są doskonałe, w swej plastyce, ruchu, w prostocie i jakby w swej przerażającej fachowości. Opis ognia huraganowego, zwłaszcza opis buntu kompanii (ciągle z powodu nieszczęsnego Górnego), są wstrząsające swym dramatycznym wyrazem, równie wstrząsające, jak cicha niezauważona śmierć Paprosińskiego. Przewijają się przed nami ataki i kontrataki, rowy strzeleckie i wypady, akcja artyleryjska, szarże kozackie, ataki na bagnety, ucieczka, rozproszenie i formowanie się kompanii. A w tej całej akcji nie zapomina Rembek ani na chwilę o człowieku, o jego wewnętrznych przeżyciach i zewnętrznych reakcjach. Mamy tu wszystko, i strach i odwagę szaleńczą i lęk chwytający za gardło i zuchwałe lekceważenie śmierci, rozpacz i depresję, obok żywiołowego żołnierskiego humoru, wojskową dyscyplinę i żołnierską samodzielność, uczucia nienawiści i uczucia braterstwa, patriotyzm i antypatriotyczne odruchy. Wszystko zaplata się, następuje po sobie w wybuchach spontanicznych, często pozornie nie umotywowanych. I tu w tym ustawicznym badaniu ludzkiej duszy pod karabinowym ogniem leży i wartość i słaba strona książki. Bo gdy czytamy opisy tych scen, wobec których bledną sceny dantejskiego piekła, pytamy się z przerażeniem, jakie mogą być

w takich chwilach myśli i uczucia człowieka, czego doznaje i co przeżywa, a z drugiej strony jesteśmy skłonni przypuszczać, że nic przeżywać nie może, oprócz zwierzęcej zgrozy i strachu. To też gdy czytamy olbrzymi wewnętrzny monolog porucznika Paprosińskiego, monolog psychologiczny i filozoficzny, prowadzony nieprzerwanie podczas gdy biegnie on wzdłuż szosy znajdującej się pod ogniem huraganowym — jesteśmy zniecierpliwieni, myśląc z pewną dozą słuszności, że nie czas i miejsce na takie mędrkowania. A jednak, gdy przypomnimy sobie własne przeżycia z jakichś groźnych chwil życia, gdy wżyjemy się głębiej w duszę bohatera, wiemy z całą pewnością, że tak właśnie było, tak — choć inaczej. I już rozumiemy, że zachodzi tu konieczna dysproporcja między tempem i zwłaszcza między wewnętrzną organizacją słowa pisanego, a słowa przeżywanego. Słowo pisane musi dawać z konieczności logiczne łączniki, bez których tak znakomicie obywa się myśl ludzka a zwłaszcza ludzka wrażliwość i uczuciowość. Nie tak na pewno perorował i rozumował porucznik Paprosiński w owej chwili, ale na pewno tak czuł i tak myślał. Na pewno te wszystkie uszeregowane tu refleksje, wrażenia, myśli, postanowienia i wewnętrzne przemiany przewalały się przez jego głowę, przez jego wyostrzoną świadomość i wysubtelnione nerwy, tylko że przewalały się błyskawicznie, strzępami, skojarzeniami, dla oddania których w ich tempie, zwartości, nawarstwieniach, jasności a zarazem pomieszaniu, nie ma — przynajmniej do dzisiaj — środka ekspresji literatura. I tu właśnie zachodzi okoliczność, w której „książka życiu kłamie", w której realność życia nie pokrywa się z realizmem powieści. Ton całej książki, jest tonem doskonałego oddalenia i oderwania, pozornej uśmiechniętej dalekości autora od przedmiotu, jego nieangażowania się po żadnej „światopoglądowej" stronie ukazywanego życia. Bo tak samo jak nie angażuje się Rembek ani w pacyfizm ani w militaryzm, tak samo nie angażuje się w żadne stanowisko społeczne ani polityczne, ani religijne. Kwestia religijna przewija się często przez opowiadanie, jako jedna z reakcji człowieka w „funkcji wojny". Najwyraźniej jest ilustrowana na przeżyciach najbardziej siebie świadomego i najinteligentniejszego z bohaterów, Paprosińskiego. Autor przedstawia nam, mam wrażenie, z wielką psychologiczną prawdą, skłonność do odruchów bluźnierczych tego „w cywilu" nie wierzącego człowieka, ale przedstawia i rozkwitanie bezwiednie w nim tkwiących pojęć religijnych, z wszystkimi skrupułami człowieka szlachetnego, broniącego się przed klasycznym „kiedy trwoga"..., i jednak w wierze widzącego jedyny swój ratunek moralny. Przez opisy momentów i odczuć epizodycznych, ukazuje nam autor dalekie perspektywy możliwości wewnętrznych religijnych przeobrażeń, ale także możliwości religijnego bluźnierczego buntu, pragnącego obarczyć Boga, odpowiedzialnością za wszystkie ludzkie zbrodnie i szaleń-

stwa. Ukazuje także możliwości rodzących się z oparów i przerażenia nastrojów pomylono-mistycznych, jak w końcowej scenie, gdy ponury Dereń bierze za zjawisko niebieskie wiszącego trupa. — *W polu* jest jedną z tak rzadkich u nas książek, która nie poucza, nie gromi, nie piętnuje, nie udowadnia lecz po prostu oddaje jeden fragment życia, starając się go oddać w jak największej prawdzie i plastyce. Autor umył ręce od wszystkiego co nie jest najzupełniej obiektywną prawdą. I w tej doskonałej, czystej epickości, wolnej od wszelkich przymieszek, leży cena tej książki i jej naprawdę wysoka artystyczna klasa. Żałować tylko należy, że styl Autora zalatuje zbyt często Sienkiewiczem, że pojawiają się w nim nawet reminiscencje z „Pana Tadeusza". Wzory co prawda dobre, ale staranniejsze ukrycie mistrzów stylowych wyszłoby całości na korzyść.

Nie od każdej książki żądamy tego samego: od jednej żądamy artystycznych wzruszeń, realizacji artystycznej wizji, rozkołysania duszy w rytm fal wielkiej sztuki; od innych żądamy pełniejszego poznania człowieka, przenikania w najtajniejsze głębie jego duszy, żądamy obrazu życia, wydobywania na wierzch jego prawdy istotnej, odkrywania jego znaczenia metafizycznego, jego najbardziej ukrytych sprężyn. Jeszcze od innych żądamy konkretnych wiadomości o pewnych kwestiach, żądamy także rozrywki, nie tylko rozrywki humorystycznej, czy satyrycznej, lecz rozrywki przykuwającej fabuły, która by potrafiła uwagę naszą zaabsorbować i myśl od spraw i trosk codziennych oderwać. Jasne zdanie sobie sprawy z tych wymagań czyni nasz sąd o danej książce sprawiedliwym, zapobiega nieporozumieniom, zapobiega jak mówią Francuzi „szukaniu południa o czwartej".

Otóż od pierwszych zaraz kart książki A. F. Ossendowskiego *Szanhaj,* orientujemy się, że od tej książki żądać słusznie możemy ścisłych i konkretnych wiadomości o Chinach, ich wyglądzie, historii, a przede wszystkim ich obecnej sytuacji politycznej, a także że znajdziemy w niej prawdziwą „rozrywkę", przez zajęcie się i przejęcie pełnymi perypecji losami bohaterów. Emigrant rosyjski, Sergiusz Wagin, jest jednym z tych bohaterów-przewodników, wysłanych przez autora w te miejsca, które dla pełności obrazu opisać zamierzył. Bohaterom tym każe brać udział w tych wypadkach, które dla całokształtu historii opowiedzieć postanowił. Losami rosyjskiego emigranta nie kieruje żaden przymus wewnętrzny, żadne fatum, żadne konsekwencje psychologiczne, kieruje nimi autor, a raczej jego słuszny topograficzny i historyczny plan książki. W ten właśnie celowy sposób wodzi nas Wagin po przez wszystkie miasta Chin. Wszczepienie w gorączkową akcję rewolucyjną nie przeszkadza mu zwiedzić dokładnie każde z tych miast, nie przeszkadza mu wysłuchać z uwagą historii danego miasta, od szczęśliwie spotykanych a wykształconych znajomych. Ma też

osobliwe, a autorowi idące na rękę szczęście, zetknięcia się z ludźmi wszelkich politycznych odcieni, wszelkich zapatrywań, wszelkich sfer. Przeżywa po jednym razie wszelkie specjalności kraju i epoki: wojnę, pożar, rewolucję, epidemię. Ma okazję zaglądnięcia do palarni opium, do domów rozpusty, do podziemnego miasta „mężczyzn", ma okazję rozmawiania z najwyższymi dostojnikami kraju i z proletariatem, wyratowania europejczyka z rąk bandytów, oglądania życia emigracji i przejrzenia tajników międzynarodowej spekulacji „handlarzy śmierci". I nie buntujemy się przeciwko temu Ciceronowi, bo czytelnik jest stworzeniem łagodnym: gdy raz wie z góry czego autor chce i co zamierza, poddaje się jego woli bez sprzeciwów. Drażnią go tylko zamierzenia nieosiągnięte. Ale tu wypadek ten nie zachodzi. Ossendowski nie stara się pozować na natchnienie, na tworzenie pod przymusem zniewalającej wizji wewnętrznej, wizji artystycznej. Nie stara się pozować na studia psychologiczne, na badanie sensu życia. Robota jego jest uczciwa i rzetelna, jest wykonana bardzo dobrze, ze znajomością i opanowaniem rzemiosła. I ta harmonia między zamierzeniem a osiągnięciem daje skutki doskonałe. Fabuła powieści jest naprawdę zajmująca, pochłania bez reszty uwagę czytelnika (trochę za wcześnie uspokoił nas autor, co do wyniku uczuć zakochanej pary, nie należy nigdy czytelnika wypuścić z pod denerwującego oczekiwania). Informacje są ciekawe, ścisłe, rzeczowe, refleksje inteligentne, polityczne i historiozoficzne, zmuszają do zajęcia się problemem Chin, problemem żółtej rasy, jej psychologii, prężności i jej zdolności ekspansji. Zmuszają do rozważań na temat komunizmu, na temat skuteczności lub nie, dopuszczalności lub nie, takich czy innych metod walki. I na pewno nie na karb autora, który napisał książkę taką jaką chciał, książkę zajmującą i ciekawą, przyjemną do czytania i udaną, lecz wyłącznie na karb wrodzonego człowiekowi niezadowolenia, złożyć należy fakt, że czytając tę ze wszech miar dobrą książkę, wzdycha czytelnik po cichu, myśląc o innym Szanghaju i o innej żółtej rewolucji: o rewolucji i Szanghaju Andrzeja Malraux.

Ślepe tory, na które wchodzą bohaterowie Haliny Górskiej, to beznadziejność wszelkiej pracy t. zw. społecznej. Raz nakarmieni będą znowu głodni, dziś odziani, będą jutro nadzy, nikt niczemu nie zaradzi, nędza zostanie nędzą, a dorywcze jej zapobieganie jest nawet szkodliwe, bo „im gorzej tym lepiej", bo głodny proletariusz, dostawszy garnek zupy traci siłę bojową do wywalczenia nowego świata. I nie tylko ludzie obdarowywani są tymi darami upokorzeni i godności ludzkiej pozbawieni, miłosierdzie to degraduje także dających. Wszyscy społecznicy widzą marność swych wysiłków, widzą ich fałszywy kierunek i rozumieją, że robią to, aby zapełnić puste swoje życie, a nie dlatego,

by ulgę w cierpieniu przynieść drugim. Ciekawym objawem jest to coraz częściej pojawiające się w literaturze piętnowanie i potępianie wszelkiej pracy społecznej, przedstawianie jej zawsze od strony najgorszej, ta nienawiść, która ujawnia się u pisarzy „lewicowych", do wszystkiego co trąci miłosierdziem chrześcijańskim. Halina Górska, tak jak i wielu jej kolegów po przekonaniach, hołduje zasadom laickiego humanitaryzmu, i jak wszyscy wierzy w zdobycze mechanicznego postępu. Tej wiary w możliwość osiągnięcia szczęścia dla wszystkich przez przewrót społeczny, nie narusza u tych pisarzy eksperyment bolszewicki. Wierzą oni, że odpowiednie przepisy i paragrafy zaradzą wszystkiemu i że nastanie era ogólnej szczęśliwości i sprawiedliwości. To też wszystko co trąci na tym polu indywidualizmem, miłością człowieka do człowieka, jest im podejrzane i wstrętne. Człowiek wtopiony w masę, jego cierpienia widziane tylko jako „sprawa", nie mają dla nich wartości, nie ma wartości czyn ludzki. Jeden tylko Malraux, z pośród pisarzy lewicowych, umiał punkt ciężkości świata oprzeć na wartości indywidualnej człowieka, za najwyższą wartość świata uznał wartość moralną ludzkiego indywidualnego czynu. Ale też, chociaż nosi czerwone chorągwie we wszystkich pochodach komunistycznych, książki jego zostały w Rosji Sowieckiej zabronione. Książka Haliny Górskiej wplata opowiadania o nędzy straszliwej w piwnicach przy ul. Dekierta, przedstawia często w słowach przeraźliwie jaskrawych moralną deprawację tego najbiedniejszego proletariatu, a potem przechodzi do moralnych cierpień i ideowej beznadziejności społeczników. I gdy czytamy tę książkę na wskróś pesymistyczną, mamy wrażenie, że patrzymy na gmach, który rysuje się i pęka, gdyż fundamenty jego leżą na piasku, i jeszcze raz przekonywujemy się, na jakie ideowe bezdroża prowadzi rozpatrywanie spraw ludzkich z pominięciem najbardziej zasadniczej prawdy o godności i wartości ludzkiej duszy, do jakiej antyżyciowej beznadziejności prowadzi wyeliminowanie z konstrukcji społecznych prostego słowa: „cośćie uczynili jednemu z tych najmniejszych"... i jak nieubłaganą logiką sztuki dzieje się zawsze iż „ślepe tory" ideowe są zarazem i ślepymi torami artystycznymi. Książka pełna dysertacyj, pełna mało przekonywującej psychologii zdesperowanych społeczników, trącąca mocno reportażem, nie bierze i nie przekonywuje. Daleka jest od siły ekspresji, plastyki i bezpośredniości pięknej książki tejże autorki *Nad czarną wodą*.

P. Stefan Otwinowski, pisząc o książce Adolfa Rudnickiego: *Niekochana*, dodaje na końcu entuzjastycznych pochwał, że wielkie wartości tej książki nie pozwalają zwracać uwagi na jej stylowe i językowe niedociągnięcia. Sprawę tę zostawia „językowym purystom". Ale zdaje mi się, że w swym niezajmowaniu się drobiazgami idzie za daleko. Nie trzeba być wielkim

purystą i pedantem, aby odczuć zgrzyt takiego zdania: „Czy Noemi kłamała, gdy tak niedawno deklarowała się odejść?". (Z braku miejsca nie mnożę cytat, których można by uzbierać sporą litanijkę). Nie trzeba być wielkim formalistą, aby postawić śmiałe twierdzenie, że książki polskie powinny być pisane po polsku tzn. zgodnie z duchem polskiej gramatyki i składni, i nie jest chyba przesadnym twierdzenie, że gramatyka jest pierwszym, ale za to najważniejszym warunkiem dobrego stylu i literackiej twórczości! A błędy wprost już gramatyczne, nieudolność składni i niepoprawność stylu jest w książce A. Rudnickiego zdumiewająca. Błędy te są tak rażące, że nie możemy przypuścić, żeby były „błędami" lub przeoczeniami. Nasuwa się myśl, że ten język i ten styl, ma być, jak cała książka eksperymentem. Bo te cechy nowatorstwa, szukania nowych dróg, nosi cała powieść najwyraźniej. Jest to historia miłości dwojga młodych Kamila i Noemi, historia odmaterializowana, wyniesiona ponad wszystkie normalne warunki życia, odizolowana od wszelkich ludzkich spraw, jest to jakby miłość badana *in se.* I trzeba przyznać, że w tej stratosferycznej atmosferze traci się dech, traci się kontakt z człowiekiem. A jednak dla naszych przyziemnych umysłów człowiek, z wszystkim co człowiecze, jest jak dotąd, jedynie zrozumiałym i jedynie skutecznym instrumentem do badania jego spraw, jego uczuć, myśli i idei. Miłość wypruta z jego życia i duszy jak nitka z tkaniny wydaje nam się nierealna a co więcej niezrozumiała. Rudnicki, który jest pisarzem bardzo utalentowanym, potrafił i tej historii duchów nadać pewien wdzięk. W odejściach i powrotach Kamila jest coś sugestywnego, całe opowiadanie owiane jest jakąś poetyczną księżycowością, jest skąpane w trwożącej niesamowitości, ale jednak pod tym kloszem, z pod którego wypompowano powietrze, jest nam ciasno i nieprzyjemnie. Czytając tę odczłowieczoną historię ludzkiej miłości tęsknimy za większą prostotą, za mniejszym intelektualizmem. Ma się wrażenie, że inteligentna myśl autora, rozświecająca co chwilę głębokimi uwagami mroczne meandry akcji, zyskałaby niezmiernie wiele na obleczeniu się w normalne powieściowe ciało. Że do takiego materializowania swych wizyj jest autor zdolny wiemy z jego doskonałej powieści *Żołnierze.* — Przyznaję z zupełną pokorą, że może, a nawet prawdopodobnie, *Niekochana* ma jakieś wartości, które mi się wymykają. Już sama jej eksperymentalność jest niewątpliwą zasługą, sama świadczy o żywotności autora i o wielkich możliwościach jego talentu. Młodzi i najmłodsi potrafią z niej na pewno wyczytać coś więcej; ja jednak nie bardzo mogę ogarnąć nowe horyzonty, otwierające się z tej karkołomnej podchmurnej ścieżyny. Dostaję na niej zawrotu głowy i nie wiele wzbogacam mą wiedzę o istocie tragicznej miłości, o tragicznej różnicy dzielącej sprawy „męża od spraw niewiasty".

Narzeczeni z Leningradu Alberta Bessières to jedna więcej książka o tendencji antybolszewickiej, książka mająca robić antysowiecką propagandę. Powieść ujęta w formę listów pary narzeczonych, przechodzących ideową ewolucję od bolszewizmu do chrześcijaństwa, jest dziwnie słaba i nieporadna, nawet na powieść tendencyjną i agitacyjną. A jej wartość „budująca" jest też bardzo wątpliwa. Autor zajmuje się głównie kwestią bezbożnictwa, opisuje jego metody i chwyty. Ale te opisy są tak odrażające, tak wprost bluźniercze, że czytanie ich jest dla każdego chrześcijanina prawdziwie przykre. Już dość smutno, że się takie rzeczy działy, nie ma potrzeby popularyzować ich przez opisy szczegółowe i wstrętne. Z całej książki dobre jest tylko tłumaczenie.

Książka dla młodzieży: *W poprzek Sybiru* Tadeusza Dybczyńskiego wydana przez państwowe wydawnictwo książek szkolnych, jest powieścią naprawdę „szkolną". Jest bardzo pouczająca, pełna wiadomości geograficznych, historycznych i przyrodniczych, ale jej akcja wykazuje mało fantazji i pomysłowości. Nie wyobrażam sobie, aby te ostrożne przygody, te blado bez życia i rozmachu kreślone postacie i sytuacje, mogły porwać i zainteresować młodego czytelnika. Wprawdzie taki jest już smutny los tego podobno najszczęśliwszego wieku, że musi być ciągle i na każdym kroku i przy każdej okazji „pouczany", ale czasem niezbyt ta miła pigułka bywa lepiej złoconą, czasem ziarno nauki, ukryte bywa w kwiecie o wiele barwniejszym i pociągającym! Przypomina mi się doskonała książka Warchałowskiego *Na krokodylim szlaku.* Też pełna była wiadomości i pełna pedagogicznych oddziaływań, ale jakżeż przy tej wygląda barwnie żywo i zajmująco. A jeżeli chodzi o samą treść pedagogiczną, to w książce Dybczyńskiego uderza w sposób niemiły jej zupełny laicyzm. Słowo Bóg jest z niej wykreślone, wykreślona wszelka nawet iluzja co do możliwości religijnych podniet etycznych, wyeliminowana wszelka możliwość zwracania się do Boga o pomoc nawet w najniebezpieczniejszych chwilach. Kodeks harcerski, uczucia patriotyczne, obowiązki obywatelskie, są jedynymi podstawami etyki młodocianych bohaterów. Nawet przy okazji opisu świąt Bożego Narodzenia, nie przychodzi autorowi na myśl zaznaczyć, choćby jednym słowem, religijnego charakteru tych dni, religijnego źródła ich narodowej tradycji. Nie chcę twierdzić, że każda książka dla młodzieży ma być religijną apologetyką, czy religijnym pouczeniem. Jest bardzo wiele książek zupełnie świeckich, jak najbardziej patriotycznych, harcerskich, obywatelskich itd., które mimo to nie wymazują z życia momentów religijnych. Choćby wyżej wspomniana książką Warchałowskiego, tak pełna ducha patriotycznego, tak zupełnie świecka, a jednak szczerze chrześcijańska, choćby śliczne książki Makuszyńskiego. Nikt napewno nie oskarży najmłodszego z naszych akademików ani o bigoterię, ani o kazno-

dziejstwo, ani o klerykalizm, a jednak jego śliczne książki pełne fantazji, rozmachu, humoru, kipiące życiem i radością, są książkami chrześcijańskimi; jego młodociani bohaterowie to bez żadnej wątpliwości dzieci po chrześcijańsku wychowane, myślące i czujące. Dzieci Dybczyńskiego to młodzi ateusze, wychowani na zasadach zupełnie świeckiej i laickiej etyki, dzieci, które w ogóle o istnieniu Boga, o możliwości zwrócenia się do Niego, o szukaniu w religii wskazań moralnych, pojęcia nie mają. Pominięcie to jest bardzo uderzające i trudno sobie wyobrazić, aby mogło być „przypadkowe". Ufajmy, że książka ta jest rzeczywiście tylko odosobnionym wypadkiem, wśród książek specjalnie dla szkół przeznaczonych, inaczej musiałaby nam nasunąć przypuszczenie, od którego bronić się chcemy, że opowiadania o ateistycznych i laicystycznych prądach zgrabnie i w formie poprawnej w naszym szkolnictwie nurtujących, nie są tylko „czczym gadaniem". Oczywiście gdybyśmy skąd inąd już o faktach podobnych nie byli słyszeli, jedna i dość nudna książka, nie uprawiałaby nas do tak smutnych wniosków i przypuszczeń.

Kapitan Krystyna Basila Carey to jedna z tych tak licznych w literaturze angielskiej książek, pisanych wyłącznie „ku pocieszeniu czytelnika". Jest to powieść egzotyczna, awanturnicza, sensacyjna i co tu dłużej taić — bardzo pasjonująca... Powieść bez żadnych pretensyj psychologicznych, czy filozoficznych, ozdobiona sentymentem, urozmaicona barwnym tłem mórz południowych. Miłość, zdrada, zemsta, chciwość, zaplatają się zgrabnie w szereg węzłów dramatycznych ku rozrywce, odpoczynkowi i — zaprawionej niepokojem — przyjemności czytelnika. Czytelnik chętnie się na to założenie godzi i niczego innego w książce nie szuka; nie rażą go nieprawdopodobieństwa, i małe nieścisłości; jak dziecko kontent, jak dziecko ciekawy, wolny od wszelkiego intelektualnego wysiłku, daje się unosić wzburzonym fluktom opowiadania. Czasem zawaha się nad słowem tak mało zrozumiałym jak „knykcie", czasem zastanowi się jak można z oczu ocierać pot i pianę, a raczej jakim procesem fizjologicznym bierze się piana na oczach! Czasem, gdy „o zaporę raf grzmią... fale", szuka formułki gramatycznej „grzmieć o coś". — Ale porwany fabułą nie bada już czy te *lapsus linguae*, ma złożyć na karb autora czy tłumacza. Zresztą, jak na tłumaczenie polskie, dość jeszcze mało nonsensów „grzmi" o zaporę sensu i gramatyki, to też czytelnik czyta, czyta bez wytchnienia, dopóki nie ożeni szczęśliwie pięknej Krystyny i groźnego Blaize'a.

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Marcel Bouteron: Pologne Romantique. Librairie Armand Colin. Paris 1937. Str. 224.

Autor poznał Polskę dzięki Balzakowi, pociągnęła go najpierw postać Hańskiej, „cudzoziemki", która miała taki wpływ na twórczość autora *Komedii ludzkiej*, że każdy znawca Balzaka przynajmniej z daleka musi oddać jej pokłon, jej, tajemniczej pani z Podola. I jak ongiś dla niej puścił się w daleką podróż jej wierny adorator, tak teraz wszyscy balzakologowie muszą pielgrzymować do Polski z epoki romantyzmu. Z tej wędrówki po historii polskiej przyniósł p. M. Bouteron wspaniałą książkę, która będzie dla olbrzymiej większości społeczeństwa francuskiego prawdziwą rewelacją. Autor bowiem, nie wspominając tym razem o Hańskiej, z podziwu godną, jak na cudzoziemca, wnikliwością odmalował atmosferę, wśród której się wychowała. Jest to okres największego może natężenia romantyzmu w Polsce, okres walk nie tylko na polu literatury. Ale zaczęło się właściwie od literatury, by poprzez nieudane powstanie, poprzez nieporozumienia natury społecznej, skończyć na literaturze rozkrzyczanej i skłóconej emigracji. Czytelnik znajdzie więc zaraz na pierwszych stronicach książki dobrze oddane nastroje społeczeństwa polskiego po kongresie wiedeńskim, nastroje, których najpełniejszym wyrazem będzie powstanie. Trzon książki stanowią trzy syntetycznie ujęte sylwetki: Mochnacki, Emilja Plater, Emir Rzewuski. Trzy typy romantyzmu polskiego — tragiczny, heroiczny i awanturniczy. Oczywiście mógłby autor wybrać inne postacie, dla niego to jednak nie było ważne; chodziło mu tylko o pokazanie swym ziomkom, jak głęboko idee romantyzmu były przeżywane w Polsce, głębiej niż na Zachodzie. Te idee romantyzmu-wolności roznosili Polacy po świecie, szli wszędzie, gdzie toczyła się walka z absolutyzmem, a gdy takich walk brakło, wyładowywali zapas energii i patriotyzmu w awanturach. O tych awanturach i kłopotach, jakich przysparzali byli uczestnicy powstania rządowi francuskiemu, pisze Autor w dwóch ostatnich rozdziałach.

Książkę tę przeczytają Polacy z przyjemnością, a Francuzi z pożytkiem. Jest ona bowiem jedną z rzadkich książek o Polsce, napisanych przez cudzoziemców, której nie można nic zarzucić i która naprawdę może przyczynić się do zbliżenia polsko-francuskiego.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Maria Schlenz: So heilt man unheilbar scheinende Krankheiten, III. Auflage, 220 S. Felizian Rauch, Innsbruck 1936.

Dr M. Schlenz wydaje po raz trzeci książeczkę *Tak się leczy choroby uchodzące za nieuleczalne.* Metoda jej, znana dziś pod nazwą *Schlenz-Methode,* polega na kąpielach ziołowych i takichże okładach; dziełko podaje dokładnie, jakie zabiegi stosować należy na rozmaite choroby i przytacza szereg uzdrowień

prawie że cudownych z ciężkich niemocy, uważanych przez fachowych lekarzy za beznadziejne. Prócz tego książeczka przynosi cenne wskazówki dotyczące ziół leczniczych, oraz praktyczne i bardzo proste przepisy higieny ogólnej, np. w kwestii pokarmów, odzieży, ruchu itd. Dr Schlenz ostrzega przed dziś tak rozpowszechnionym nadużywaniem kąpieli słonecznych oraz sportów, co niejednego już przyprawiło o chorobę, podczas gdy umiarkowane nasłonecznianie i rozsądnie uprawiany sport bardzo zaleca. Autorka powstaje również z punktu widzenia lekarskiego przeciw bezsensownym modom, jak np. ubieranie się zimą w ciepłe futro, podczas gdy nogi, przy krótkiej sukni, tkwią w jedwabnych pończoszkach i wyciętych pantofelkach, — albo chodzenie zimą pod pozorem higieny, z odkrytą głową na mrozie, a latem na słonecznym żarze. *S. M. R.*

Dr Auguste Vallet: Mes Conférences sur les guérisons miraculeuses de Lourdes, 266 + XIII, Paris, Tèqui 1937.

Nie pierwsza to książka dra Vallet o Lourdes. Obecnie mamy przed sobą szereg konfencyj o cudownych uzdrowieniach z okresu ostatnich dziesięciu lat. Konferencje te zostały wygłoszone w różnych miastach Francji, Belgii, Holandii, Irlandii, Szwajcarii i Włoch, a nawet Kanady. Konferencje te traktują o roli sugestii w nadzwyczajnych uzdrowieniach, o roli, jaką w nich odgrywa wiara, o możliwości interwencji sił przyrody — wszystko ilustrowane przykładami.

Dr Vallet jest prezesem B. C. M. (*Bureau des constatations médicales*) w Lourdes. Do tego biura należy przeszło 700 lekarzy różnych wyznań i narodowości, specjalistów w różnych gałęziach medycyny, którzy kolejno spełniają funkcję sędziów fachowych w każdym wypadku uzdrowienia. Procedura obejmuje trzy punkty: 1) Rozpatruje się uzdrowienia samo w sobie, jego cechy charakterystyczne, symptomy ogólne i szczegółowe, przed i po uzdrowieniu. 2) Badania wchodzą w drugą fazę: obserwuje się pilnie byłego chorego poza Lourdes, najmniej przez okres roczny, aby sprawdzić, czy uzdrowienie jest trwałe i całkowite. 3) Wreszcie odbywa się gruntowne studium nad danym wypadkiem, z odnośnymi dokumentami w ręku, następuje dyskusja naukowa, a na koniec określenie uzdrowienia, mianowicie czy z punktu widzenia medycznego zasługuje ono na miano cudownego, czy też da się naukowo wytłumaczyć.

W swych konferencjach dr Vallet ma na celu wykazać, jak ostrożnym, a nawet surowym jest B. C. M. w ocenie nadzwyczajnych uzdrowień, których Lourdes jest tak często widownią, jak nie ma w tym nic z powierzchowności, łatwowierności, arbitralności, — jedynie sumienny, naukowy, bezstronny i fachowy sąd lekarski rozstrzyga o każdym wypadku.

S. M. R.

J. Müller S. J. Der hl. Joseph. Die dogmatischen Grundlagen seiner besonderen Verehrung. Verlag Felizian Rauch, Innsbruck—Leipzig 1937. — Str. 223.

Autor, dr teologii i profesor dogmatyki na uniwersytecie w Innsbrucku, zebrał w tej książce 16 wykładów, które tworzą razem zwarty traktat dogmatyczny o św. Oblubieńcu Maryi. Rozdział wstępny podaje historyczny zarys czci św. Józefa, rozdział drugi streszcza teologiczną literaturę w tej kwestii. W dalszych wykładach omawia autor: Istnienie rzeczywistego lecz dziewiczego związku małżeńskiego między Najśw. Panną, a św. Józefem (*matrimonium ratum non consummatum*), prawdziwe ojcostwo św. Józefa (*pater virginalis*), wypływające z tego wyjątkowe stanowisko św. Józefa w ekonomii zbawienia: należy on do tzw. „porządku hipostatycznego"; stąd jego wyjątkowa świętość, jego protektorat nad Kościołem, a wreszcie należny mu kult „protodulii", tj. czci przed wszystkimi innymi świętymi, zaraz po Niepokalanej jego Oblubienicy. (Wiemy jednak, że w liturgii Kościół, opierając się na słowach samego Zbawiciela: „Między narodzonymi z niewiast nie powstał większy nad Jana Chrzciciela", — stawia św. Poprzednika przed św. Józefem: tak w mszalnym kanonie, jak w litanii WW. Świętych itp.) — Książka o. Müllera jest przede wszystkim dziełem naukowym, dogmatycznym; fachowy teolog powita je z radością, ale przeczyta je również z korzyścią pobożny a oświecony laik, bo jest napisane jasno, gruntownie, przejrzyście, językiem przystępnym i niezbyt technicznym.

S. M. R.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie:

Roman Rybarski: Skarbowość polska w dobie rozbiorów. 1937, str. 465.

Stanisław Nowogrodzki: Rządy Zygmunta Jagiellończyka na Śląsku i w Łużycach (1499—1506). 1937, str. 160.

J. Wajnberg: Researches in Tigrina quadriliterals of phonetic origin. Badania nad czterospółgłoskowcami pochodzenia fonetycznego w narzeczu Tigrina. 1937, str. 22.

J. Morawski: Kastor i Polluks. Studium z zakresu frazeologii porównawczej z szczególnym uwzględnieniem romańskiej. 1937, str. 49.

Ananiasz Zajączkowski: Studia nad językiem staroosmańskim. 1937, str. 108.

Bulletin International de l'Académie Polonaise des Sciences et des Lettres. Classe de philologie. Classe d'histoire et de philosophie. Janvier-mars. 1937, str. 42.

Prace Komisji Historii Sztuki. Tom VII. Zeszyt I. 1937, str. 46.

Nakładem K. S. Jakubowskiego we Lwowie:

Ks. dr Henryk Zarembowicz: Wierz, czyń i żyj w Jezusie Chrystusie. Podręcznik do nauki religii katolickiej w II klasie gimnazjów. 1937, str. 139.

Ks. dr M. Białowąs i ks. dr J. Dajczak: Pan Jezus wśród dzieci. Książka pomocnicza do nauki religii katolickiej dla uczniów III klasy szkół powszechnych. 1937, str. 122.
Ci sami: Wiara i życie katolickie. Podręcznik do nauki religii katolickiej w IV klasie szkół powszechnych. 1937, str. 107.

Nakładem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra" w Cieszynie:

Dr Jan Galicz: Z minionych lat. Przyczynki do historii ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. 1937, str. 141.
Jerzy Grudziński: W obronie prawdy. 1937, str. 103.

Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu:

Prof. dr. Karol Adam: Jezus Chrystus. 1937, str. 438.
Piotr Lippert S. J.: O człowieku religijnym. 1937, str. 249.

Nakładem Kasy im. Mianowskiego w Warszawie

Janina Rosnowska: „Żywe Kamienie" Wacława Berenta. 1937, str. 66.
Rafał Leszczyński: Iudith (1620). Opracowała Maria Sipayłłówna. 1936, str. 45.
Auguste Comte: Rozprawa o duchu filozofii pozytywnej. 1936, str. 129.
J. D. Solikowskiego: Lukrecja oraz Anonima: Historia o Lukrecji. Opracował J. Krzyżanowski. 1936, str. 21.

Nakładem M. Arcta w Warszawie:

Razem czy osobno. Słowniczek wyrazów pisanych łącznie lub rozłącznie. 1937, str. 124.
Słowniczek ortograficzny i zasady pisowni. Wydanie nowe powiększone. 1937, str. 242.

Nakładem różnych:

Leopold Caro: Liberalizm i kapitalizm. Odbitka z *Ateneum Kapłańskiego*. Włocławek 1937, str. 112.
Bronisław Nycz: Norwidowa monologia „Zwolon". Wydano z zasiłku Min. W. R. i O. P. Kraków 1937, str. 140.
Henryk J. Korybut-Woroniecki: Z czasów Wielkiej Wojny. Wyd. Instytutu Józefa Piłsudskiego. Warszawa 1937, str. 79.
Ks. Kamil Kantyk: Franciszkanie Polscy. Tom. I. 1237—1517. Nakładem Prowincji Polskiej oo. Franciszkanów. Kraków 1937, str. 435.
Ks. dr Marian Nitecki: Jak żyjemy po śmierci? Karty z psychologii zagrobowej. Warszawa 1937, str. 117.
Wacław Eborowicz: O. Kolumban Marmion. Nakł. Wyd. oo. Dominikanów. Lwów 1937, str. 20.
Teodor Bujnicki: W połowie drogi. Wiersze. Nakł. Związku Zawodowego Literatów Polskich, oddział w Wilnie. Wilno 1937, str. 31.
Ks. Jan Wałek-Wacławski: Będziemyśl i Klęczany. Rys historyczno-etnograficzny z 223 fotografiami. Nakł. autora. Jaworów 1937, str. 211.
Leo Andrzejewski: De virtute misericordiae. Typis et sumptibus Officinae: „Akcji Dobrej Książki". Sieradz 1937, str, 95.
Skarbiec Pielgrzymów. Książka uświadomienia religijnego w rzeczach wiary i moralności oraz główniejszych przepisów Kościoła katolickiego. Opracował i wydał o. Marian Paszkiewicz, paulin. Częstochowa 1937, str. 458.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wzrost politycznej agitacji w Polsce. — Horoskopy OZoNu. — Pretensje polityczne pod adresem Kościoła.

Podniecenie, jakie panuje w tej chwili w międzynarodowej polityce, wyrażające się w nieustannych prawie konferencjach, dyplomatycznych wizytach, intrygach, zatargach, wielkich manifestacjach i paradach, którym wtórują dalekie echa armatnich salw, nie mające tym razem nic wspólnego z paradą... zdaje się wpływać na atmosferę i naszej wewnętrznej polityki. Już od dawna nie było u nas takiego ożywienia i takiej aktywności politycznych agitatorów i politycznych stronnictw, jak w obecnym właśnie okresie. Marazm i bierność, w którym trwało nasze społeczeństwo przez szereg lat sanacyjnych, monopartyjnych i autorytatywnych rządów, załamuje się, otwierają się natomiast perspektywy ożywionej politycznej gry, nawet poważnych wstrząsów i daleko idących zmian.

Konsolidacja lewicy, tworzenie demokratycznego obozu, burzliwa inicjatywa stronnictwa ludowego, spójnia Chadecji i Narodowej Partii Pracy, rozszerzenie frontu Morges, tworzenie stronnictwa katolicko-społecznego, górujący wreszcie problem Obozu Zjednoczenia Narodowego, oto parę tylko ważniejszych pozycji w bilansie ożywionej akcji w dziedzinie wewnętrznej polityki w Polsce.

Kryje się jednak w tym wszystkim zastanawiający a smutny paradoks. Im większe w danej chwili pojawią się wysiłki zjednoczenia naszego narodu, tym głębsze w konsekwencji i jakby siłą fatalnej reakcji następuje zróżnicowanie i rozbicie. Zjawisko to występowało zresztą już nieraz w dziejach polskiego narodu, nieraz też trzeba było opłacać

je bolesną, prawie że tragiczną ceną. Jednoczy nas zewnętrzny przymus groźnego niebezpieczeństwa, a i to nie zawsze; natomiast do zjednoczenia drogą normalnej i rozumnej ewolucji jesteśmy zdaje się radykalnie niezdolni.

Najświeższą ilustracją tej prawdy będzie niewątpliwie historia Obozu Zjednoczenia Narodowego, z którego jako rezultat pozostanie, tak zdaje się wszystko układać, jedynie tym głębsze rozbicie.

Podsumujmy w krótkiej syntezie dzieje tej najświeższej próby, zaryzykujmy pewne horoskopy.

Pierwsze stadium organizacyjnej akcji pułk. Koca zostało, jak pamiętamy, zakończone, po wielomiesięcznych przygotowaniach, ogłoszeniem znanej deklaracji ideowo-politycznej. Jej twórcy usiłowali w niej zamknąć dość ogólnikowy program umiarkowania i zdrowego rozsądku, by utorować drogę do zjednoczenia zwaśnionych umysłów i skłóconych serc. Deklarację tę przyjęło społeczeństwo na ogół z zaciekawieniem ale bez entuzjazmu, z rezerwą, a pewne odłamy nie taiły nawet i rozczarowania. W pierwszych tygodniach zaczęły wprawdzie napływać ze wszystkich stron kraju zgłoszenia solidarności i gotowości współpracy, ale lista tych zgłoszeń nie imponowała ni liczbą ni jakością, chwilami robiła wrażenie entuzjazmu na rozkaz, a potem wnet się urwała.

Treść deklaracji, zwracającej się „do ludzi rzetelnych, chcących pracować dla Ojczyzny", wyciągającej rękę ponad płoty i mury dotychczasowych podziałów, poddaliśmy przed paru miesiącami analizie na łamach *Przeglądu.*[1]) Od tego czasu komentowano nieraz tę deklarację, co ważniejsza uzupełniano ją kilkakrotnie. Na zjazdach działaczy miejskich i wiejskich czynił to pułk. Koc osobiście; na konferencji prasowej i w paru wywiadach wyręczał go szef sztabu nowego Obozu pułk. Kowalewski; na licznych zebraniach ośrodków wiejskich padło wiele wyjaśnień z wymownych ust gen. Galicy; ułożono również i ogłoszono regulaminy tymczasowe organizacji miejskiej i wiejskiej Obozu.

Na zjeździe działaczy miejskich pułk. Koc, podtrzymując raz wytyczoną linię, wyraźnie oświadczył, że nie pragnie bynajmniej wytworzyć atmosfery niechęci i walki ze wszystkimi, którzy nie staną od razu w szeregach; zapewniał, iż „nikt nie rejestruje czasu zgłoszenia się" do Obozu, przekreślał przeszłość podkreślając równocześnie, iż każdy kto podziela poglądy OZoNu będzie p r z y j a c i e l e m „zupełnie niezależnie od tego w jakich szeregach dotychczas prze-

[1]) Cfr. *Przegląd Powszechny,* marzec 1937.

bywał". Jednym słowem wrota szeroko otwarte dla wszystkich „ludzi dobrej woli".

Wrota te usiłował trochę przymknąć pułk. Kowalewski w swoim głośnym wywiadzie na temat stosunku OZoNu do Żydów, to znowu w ostatnim swym wystąpieniu otwarł je bardzo szeroko, zapraszając do współpracy nawet socjalistów. Jak tego rodzaju ofertę można pogodzić z treścią deklaracji pułk. Koca a międzynarodówkę zmieścić w ramach zjednoczenia narodowego — jest dla nas zupełnie niezrozumiałą zagadką. Zresztą i sam pułk. Koc wyciągał prawicę do współpracy z Legionem Młodych, kokietował również dość jawnie chociaż pośrednio Związek Nauczycielstwa Polskiego. I znowu jawi się pytanie, jak ideologia tych organizacyj da się pogodzić z katolicyzmem deklaracji?

Nie brak więc ideowych zygzaków i częściowego załamywania się pierwotnego programu. Mimo to przyjmijmy przesłankę, iż istotna treść deklaracji nie uległa zmianie.

Od paru jednak miesięcy rozpoczęty został drugi a daleko ważniejszy rozdział pracy, mianowicie budowanie samej organizacji Obozu i związany z tym dobór ludzi. Można było przypuszczać, iż pułk. Koc, cieszący się w legionowych kołach, w gronie swych najbliższych przyjaciół przydomkiem „Szlachetny", będąc przy tym jednym z nielicznych ludzi obozu śp. Marszałka, którzy się politycznie dotychczas nie zgrali — nie natrafi w doborze ludzi na większe trudności. Tymczasem stało się zupełnie inaczej i to z najrozmaitszych powodów.

Przede wszystkim okazało się, iż to grono ludzi, z którego pułk. Koc czerpać może, jest bardzo ograniczone. Jeśli bowiem istotnie miała być stworzona atmosfera pojednania, to wszyscy ludzie bojowi, którzy dotychczas działali w obozie śp. Marszałka, a którzy siłą faktu musieliby się spotkać z żywą reakcją niechęci w prawicowych zwłaszcza kołach społeczeństwa, nie mogli być użyci do tworzenia owej atmosfery pojednania i narodowego skupienia.

Nie mogli to być również ludzie zaangażowani silnie po stronie dotychczasowej opozycji, bo z tymi, jak mówi deklaracja, antykwariuszami smutnej przeszłości nie chce mieć OZoN nic wspólnego, pozostawiając im troskę o dalszą nienaruszalność partyjnych murów.

Z drugiej jednak strony pionierami nowej ideologii zjednoczenia musieli być przecież ludzie budzący zaufanie w szerokich sferach społeczeństwa, ludzie energii i czynu a nie teoretycy od zielonego stolika, ludzie jasnych przekonań narodowych i katolickich a nie lawiranci ideowi czy oportuniści pełnego żłobu. Tymczasem od majowego przewrotu prawie wszystko, co ma krew w żyłach, co chce

i umie działać, co coś reprezentuje i znaczy... stanęło już dawno po tej lub tamtej stronie barykady, nasiąkło atmosferą walki, zesztywniało w ideologii partyjnej. Grono więc, z którego pułk. Koc czerpać może, jest w rzeczywistości bardzo szczupłe.

Niewątpliwie są jeszcze w narodzie drzemiące siły, nie brak ludzi, którzy nie mając obciążeń politycznych czy atawizmów partyjnych mogliby stanąć do apelu i rozpocząć organizacyjną pracę. Ale siłą rzeczy będą to ludzie nowi, nie otoczeni jeszcze aureolą zasług, muszą dopiero zdobywać nieodzowny kapitał sympatii i zaufania a zdobywać go przyjdzie w trudzie i mozole, często w ogniu walki z doświadczonym politycznie przeciwnikiem. Wszak powodzenie akcji pułk. Koca powinno przynieść jako pozytywny wynik połączenie i zjednoczenie narodu, to znaczy ogromnej większości społeczeństwa polskiego z różnych obozów, partyj, warstw i organizacyj społecznych, osią zaś skupienia ma być nowy program polityczny. Program ten musi rozpocząć walkę ideową z każdym innym programem od niego się odchylającym. W miarę więc rozwijania się akcji pułk. Koca musiałoby nastąpić zanikanie wpływów i kurczenie się szeregów dotychczasowych stronnictw politycznych tak z lewej jak i z prawej strony partyjnego wachlarza. Powodzenie akcji pułk. Koca to konsekwentnie wyrok śmierci dla niejednego ugrupowania politycznego jawnego a ogromne trudności dla organizacyj tajnych, szczególnie o charakterze międzynarodowym.

Rozumieją to doskonale wszyscy a od chwili związania się p. Prezydenta Rzeczypospolitej, Marszałka Śmigłego-Rydza i szeregu ministrów z całą akcją, wszelkie złudzenia w tym względzie musiały prysnąć. Dziś już argument, że zaangażowanie się decydujących w państwie czynników w akcję pułk. Koca zależnym będzie dopiero od jej powodzenia, musi odpaść, bo owo zaangażowanie się rządu jest już dokonanym faktem. Fakt ten wzmocniłby niewątpliwie szanse powodzenia akcji pułk. Koca, gdyby między czynnikami decydującymi w naszym państwie panowała pełna harmonia i celów i metod i gdyby w naszym rządzie istniała głębsza jednolitość ideologii. Że tak nie jest, o tym wiedzą wszyscy i to stanowi poważne minus w bilansie wysiłków pułk. Koca.

Równocześnie jednak oficjalne zsolidaryzowanie się najwyższych czynników z akcją pułk. Koca miało ten niewątpliwy choć niezamierzony skutek, iż wzmocniło i scementowało ataki wszystkich przeciwników nowego obozu. O ile jednak jest rzeczą psychologicznie zrozumiałą, iż przeciwnicy pomajowego reżimu wypowiedzieli zdecydowaną walkę akcji

pułk. Koca, uważając ją słusznie czy niesłusznie za nowe, lekko tylko zmienione wydanie sanacji, to groźną a symptomatyczną niespodziankę stanowi rosnące naprężenie i wewnętrzna walka wewnątrz samego obozu. Ta „dekompozycja" pomajowego obozu jest dziś niewątpliwym faktem a następstwa tych wewnętrznych fermentów i tego rozsadzania samej organizacji od wewnątrz muszą oczywiście fatalnie się odbić na wysiłkach płk Koca.

Walkę zewnętrzną z OZoNem prowadzą przede wszystkim stronnictwa polityczne, opierające się na szerokich masach społeczeństwa, a więc stronnictwo narodowe, ludowcy i socjaliści. Jedni zwalczają ideologię nowego obozu jako niedość narodową, niezdecydowaną w stosunku do Żydów a mdłą i nieszczerą w odniesieniu do katolickiego Kościoła. Drudzy zarzucają jej głównie niedostateczne uwzględnienie postulatów wsi i obciążają konto nowego obozu wszystkimi grzechami sanacji z Brześciem, banicją Witosa, niesprawiedliwymi wyborami, całkowitym usunięciem wsi od rządów w państwie. Socjaliści wreszcie odrzucają deklarację płk. Koca jako wybitnie faszystowską, antysemicką oraz katolicko-reakcyjną. Wszystkie te stronictwa łączy we wspólnej choć nieplanowanej wspólnie walce zdecydowana niechęć do ludzi z obozu śp. Marszałka, którzy ich zdaniem zawiedli na całej linii, pozostawiając w spuściźnie zmienioną w celach partyjnych Konstytucję oraz niesprawiedliwą ordynację wyborczą.

Otóż jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż obóz śp. Marszałka już od jedynastu lat dźwiga na sobie pełną odpowiedzialność za to, co się w kraju dzieje, a największy nawet optymista i zwolennik tych rządów nie może obiektywnie powiedzieć, że w Polsce jest dobrze — to argument ten jest niewątpliwie ważki i płk. Kocowi akcji ułatwić nie może.

Rozumie to doskonale płk Koc oraz jego ludzie i dlatego niejednokrotnie podkreślali oraz podkreślają, że OZoN tworzy się poza rządem, że nowy obóz ocenia krytycznie rozmaite pociągnięcia rządu. Wysuwa się nawet hasło zmiany obecnej ordynacji wyborczej. Ale wszystko to nikłe wydaje owoce. Wszak publicznym jest fakt oficjalnego wstąpienia kilku przynajmniej ministrów do obozu pułk. Koca. Tymczasem jeden z nich musi realizować znienawidzoną przez wszystkich reformę szkolną, wymyśloną przez Jędrzejewiczów; drugi przeprowadza pacyfikację wsi, burzącej się w obronie swych postulatów, zamyka w aresztach agitatorów partyjnych oraz partyjnych przywódców, a wiadomo z góry, że wszelka pacyfikacja niesie z sobą na marginesie różne rygory, które tak łatwo w partyjnej agitacji wyzyskać. Inny jeszcze minister musi przykręcać fiskalną śrubę, a nietakty czy nadużycia podległych mu organów zapisuje się na jego

konto. Otóż nie trudno zrozumieć z ilu to trudnościami borykać się musi akcja pułk. Koca w szerokim terenie. Dołączmy ataki na tych czy innych ludzi obozu, obniżanie ich autorytetu, dyskredytowanie ich i obrzydzanie im życia. A przecież metoda ta jest tak powszechnie przyjęta, z takim talentem uprawiana od lat, by nie powiedzieć od wieków, nikogo nie dziwi od góry do dołu, na niektórych ofiarach ataku nie robi wprawdzie żadnego wrażenia ale wielu innych zniechęca i zmusza do wycofania się z niewdzięcznej pracy.

A system ten może opozycja z tym większym powodzeniem stosować, gdyż utarło się twierdzenie, że akcja pułk. Koca to tylko nowe wydanie osławionego BBWR. Zarzut niewątpliwie przynajmniej częściowo nieuzasadniony, bo przecież inne były cele i zadania Bloku a do innych zmierza akcja nowego Obozu, ale przy tak bardzo średnim u nas wyrobieniu politycznym szerokich warstw a tak silnych namiętnościach partyjnych argument ten znajduje bardzo łatwo posłuch. Ponieważ zaś Blok w swych terenowych organizacjach był, zwłaszcza pod koniec swojego istnienia, powszechnie znienawidzony, przeto utożsamianie akcji pułk. Koca z renesansem Bloku działa wprost zabójczo. A pozorów czy powodów nie brak. Wszak OZoN w swym dążeniu do zjednoczenia, nie mógł pominąć w terenie wszystkich działaczy dawnego Bloku. Ułatwia to jednak znakomicie podjazdy opozycyjne i umacnia przekonanie, iż to ten sam diabeł, tylko że ubrany w ornat. Argument „bierze" tym bardziej, że istotnie tu i ówdzie przemknęli do obozu ludzie naprawdę skompromitowani.

Tę walkę zewnętrzną, której niektóre tylko fragmenty podaliśmy i to w silnym skrócie, a której napięcie i rozpiętość rośnie, obserwujemy codziennie i w prasie i w życiu.

Bardziej jednak symptomatyczne są echa walki toczącej się wewnątrz Obozu.

W skład obozu śp. Marszałka wchodził, jak wiadomo, cały szereg zorganizowanych grup politycznych. Polska partia zachowawcza stanowiła prawe skrzydło; partia pracy i tzw. „Naprawa", wspomagane przez dość silną grupę wiejską, stanowiły rodzaj centrum; dawna frakcja rewolucyjna PPS z Moraczewskim na czele zajęła lewy odcinek. Wszystko to trzymało się razem dzięki wytkniętemu celowi zmiany Konstytucji, dzięki umiejętnej taktyce pułk. Sławka, opartego o wielki autorytet Piłsudskiego, dzięki wreszcie niewątpliwym a różnym korzyściom płynącym z przywileju rządzenia. Ten ostatni moment, jakkolwiek etycznie i ideowo najsłabszy, odgrywał w praktyce zbyt doniosłą rolę. Niespodziewana a brzemienna w następstwa decyzja pułk. Sławka,

zarządzająca rozwiązanie Bloku zaważyła ciężko na losach tych ugrupowań. Pozbawione wygodnego aparatu Bloku, nie oparte na szerszych masach społeczeństwa, pozbawione nimbu „prorządowości" — ugrupowania te zawisły nagle w powietrzu.

Konserwatyści, zamknięci w bardzo ciasnym gronie, nie objawiają prawie żadnej akcji organizacyjnej, trzymając się tylko kurczowo *Czasu*, który w nowym redakcyjnym zespole wykazuje znaczną aktywność ale też coraz śmielej uderza w struny opozycyjne. Jeszcze odważniej szermuje red. Mackiewicz w wileńskim *Słowie*. Jakąż jest geneza tego dziwnego zjawiska? Otóż konserwatyści, z wyjątkiem grupy Mackiewicza, opowiedzieli się zaraz z początkiem dość skwapliwie za nowym obozem. Najwybitniejsi członkowie stronnictwa, z prezesem Radziwiłłem i sen. Rostworowskim na czele, zgłosili akces osobisty. Tymczasem regulamin OZoNu wyraźnie określa, iż „członek Obozu Zjednoczenia nie może należeć do żadnej innej organizacji politycznej jawnej lub tajnej". Wobec więc licznych akcesów ze strony członków stronnictwa zachowawczego, stronnictwo to powinno właściwie zakończyć swoje istnienie. Na razie ten punkt regulaminu nie jest stosowany z rygorem. Przeważa trochę oportunistyczne a podyktowane słabością początków, orzeczenie pułk. Kowalewskiego, że „obóz nie jest monopartią... będzie jednak dążył do tego, ażeby ci ludzie, którzy przychodzą, wystąpili ze swej partii". Ten decydujący moment nadejść jednak musi, o ile Obóz Zjednoczenia nie zechce przekreślić swojego programu. Życie z nieubłaganą konsekwencją zażąda i w tej sprawie jasnego rozstrzygnięcia i wówczas grupa zachowawcza stanie przed hamletowskim pytaniem: być albo nie być. Oto pierwsze źródło niepokoju. Istnieje jeszcze inne i bardziej zatrute. Jest rzeczą niewątpliwą, iż polityka rolna min. Poniatowskiego dziesiątkuje i niszczy materialnie i moralnie konserwatystów, związanych w wysokim procencie z wielką własnością. Tymczasem jakby dla ironii min. Poniatowski wstąpił do Obozu Zjednoczenia, tym samym konserwatyści znaleźli się ze swym „wrogiem" przy jednym warsztacie politycznej pracy. Nietrudno zrozumieć następstwa tego przymusowego zbratania. Opozycjonizm w odniesieniu do OZoNu rośnie, coraz też częściej rozlegają się na łamach prasy konserwatywnej sceptyczne głosy o ideologicznych zygzakach nowego Obozu.

O sanacyjnej grupie pracy i jej stosunku do nowego Obozu trudno coś konkretnego powiedzieć. Grupa ta bowiem popadła w organizacyjny marazm, choć wybitni jej przedstawiciele jak senator Evert i vice-marszałek Barański mają na terenie senatu dość dobrą pozycję.

Dawna frakcja socjalistyczna, która złączyła się z sanacją, przechodzi dziś gwałtowne wstrząsy i rozłamy. Jej wódz i twórca Moraczewski odwrócił się bez żenady od inicjatywy pułk. Koca, podkreślając wyraźnie, iż milszą mu jest walka klas niż zjednoczenie narodu.

Sanacyjna grupa ludowa tzw. „kadzichłopów" nie stanowiła żadnego zwartego stronnictwa. Poszczególni jej działacze wstąpili lub wstąpią niewątpliwie do Obozu, ale fakt ten nie może odegrać większego znaczenia.

Z ugrupowań zatem dawnego Bloku pozostaje jeszcze „Naprawa". Jest publiczną tajemnicą, iż pułk. Sławek z tą właśnie grupą miał najwięcej kłopotów. Jej tajna organizacja, nie określone bliżej cele polityczne, radykalne nastawienie społeczne, zdolność przenikania do rozmaitych środowisk i organizacyj, wybitny talent opanowywania licznych instytucyj a przy tym stałe podkreślanie patriotyzmu i „kultu dla wielkiego Marszałka", wysuwanie do pierwszych szeregów dawnych działaczy odznaczonych krzyżem niepodległości i legionistów względnie żołnierzy z Virtuti militari... — czyniła z „Naprawy" groźną dla całego Bloku organizację. Kto wie czy właśnie „Naprawa" i Naprawiacze nie przyczynili się najwięcej do utraty przez Blok resztek sympatii w społeczeństwie, a trudni do zwalczenia nie spowodowali decyzji rozwiązania Bloku. Mogło się zresztą wydawać, iż na tej decyzji wyjdą jak najlepiej i że oni sami sięgną po wyłączne rządy. Powstanie zatem OZoNu i zsolidaryzowanie się z nim decydujących czynników stało się dla „Naprawy" zabójczą dywersją. O szczerym przyjęciu programu pułk. Koca przez „Naprawę" nie może być mowy. Polska, w której zasada prywatnej własności ma być zachowana, w której dążyć się będzie do wytrzebienia klasowości, w której Kościół katolicki ma mieć zabezpieczone swe prawa i wolność — taka Polska nie może być ideałem Naprawiaczy, a ich zgłoszenie się do Obozu może jedynie być zapowiedzią tym groźniejszych fermentów i rozsadzania od wewnątrz.

Z tego pobieżnego zestawienia wynika dość jasno, iż OZoN w swej organizacyjnej pracy zjednoczenia natrafić musi na niesłychane trudności. Oscylujący w swym ideowym programie, zwalczany przez opozycję polityczną, opuszczony przez ugrupowania sanacyjne, rozsadzany od wewnątrz przez pozornych adherentów utrzyma się jako nowa partia, nie zdoła jednak stać się w najbliższej przyszłości instrumentem zjednoczenia społeczeństwa pod hasłem narodowo-katolickim.

To, też w miarę rozwoju akcji pułk. Koca w terenie rośnie i wzmaga się w kraju gorączka politycznych zabie-

gów, wystąpień i wichrzeń, tworzą się w szybkim tempie nowe ugrupowania i nowe programy.

W tej atmosferze podniecenia, rywalizacji i zabiegów słyszy się często zarzut, iż katolicyzm polski nie chce się odważyć na decydujący krok, iż polski Episkopat nie docenia powagi sytuacji, nie umie czy nie chce użyć swego olbrzymiego mimo wszystko autorytetu, by rzucić go na szalę tych czy innych umiarkowanych koncepcyj i ugrupowań. Tymczasem sytuację tę wyzyskują znakomicie wrogowie Kościoła, przygotowując konsekwentnie przegraną katolicyzmu i zepchnięcie go w życiu publicznym do roli kopciuszka. Nie brak i takich, którzy straszą perspektywami czerwonej Hiszpanii czy hitlerowskiego *Kulturkampfu*.

A skala pretensyj, żądań i ofert, kierowanych pod adresem Kościoła jest bardzo szeroka.

Jedni sugerują, iż Kościół katolicki powinien się związać z narodową prawicą i poprzeć ją całym swym autorytetem, bo polskość i katolicyzm wiążą się jak najściślej w dziejach naszego narodu; do ruchu narodowego należy zresztą niewątpliwie przyszłość a przykład narodowych Włoch czy Niemiec ma wymownie świadczyć o żywiołowej potędze i twórczej dynamice tego właśnie ruchu. Stronnictwo Narodowe, wcielając w sobie najpełniej te ideały pragnęłoby zawrzeć przymierze zaczepno-odporne z Kościołem, by jego autorytetem poprzeć swą polityczną akcję.

Równocześnie jednak Stronnictwo Ludowe zgłasza również swoje postulaty. Wszak wieś polska stanowi olbrzymią większość wyznawców Kościoła, daje mu element najbardziej wierny i najgoręcej przywiązany do wiary. Kościół powinien więc poprzeć na całej linii działalność tego stronnictwa, tym bardziej, iż wieś zaczyna się radykalizować, iż lewe skrzydło stronnictwa, gotowe przejść do ataku, iż apetyty wiciowców rosną a żądania ich znajdują zrozumienie w najwyższych sferach państwowych. Jeśli zaś radykalizm wiejski weźmie górę, to nie tylko przegrają dwory ale wyludnią się również kościoły. Audiencja p. Rataja u J. E. Prymasa ks. Hlonda oraz p. Solarza na Zamku są symbolem i echem ścierających się prądów. Najwyższy czas na energiczne posunięcie ze strony Episkopatu, tak przestrzegają ludowcy z prawicy.

Jeszcze bardziej uzasadnionymi mogą się wydawać pretensje Chadecji czy organizującego się stronnictwa katolicko-społecznego, które przecież występują pod hasłem papieskich encyklik.

A czyż zjednoczenie całego narodu w ramach chrześcijańskiego poglądu na świat nie powinno się spotkać

z pełną aprobatą i poparciem Kościoła? Czyż zatem opowiedzenie się wszystkich katolików, z hierarchią kościelną włącznie, nie jest najwyższym nakazem chwili, która cementuje w tak szybkim tempie wrogą dla katolicyzmu lewicę? Sam zaś koncentryczny atak na tworzący się pracowicie Obóz Zjednoczenia, z zamachem na pułk. Koca włącznie, czyż nie świadczy najwymowniej, iż chodzi tu o sprawę doniosłą, która ma przed sobą przyszłość o szerokim rozpięciu? Sprawa ta narodowo-katolicka ma chyba prawo domagania się poparcia ze strony najwyższych czynników Kościoła! — Tak mniej więcej wygląda postulat OZoNu.

Otóż nie ulega żadnej wątpliwości, iż w tych i innych postulatach tkwi dużo słuszności. Byłoby naiwnym złudzeniem zapoznawać oczywisty fakt konsolidacji elementów radykalno-lewicowych i silnego wzrostu ich wpływów. Ta aktywność polityczna i społeczna antykatolickiej lewicy, przy wzmożonej agitacji komunistycznych organizacyj stanowi dziś groźne niebezpieczeństwo, a wybory do sejmu, o ile by do nich doszło w obecnej atmosferze, nie wydadzą pożądanych rezultatów. Przy wzmożonym rozbiciu politycznym i postępującym radykalizmie zapewnią one tylko silny wzrost, jeśli nie przewagę, stronnictw radykalno-lewicowych.

Mimo to wszystko, ze względu właśnie na polityczne rozbicie katolickiego obozu, jest rzeczą wprost niemożliwą, by Kościół poparł swym autorytetem to czy inne ugrupowanie partyjne i z nim związał swoje losy. Położenie Kościoła w Polsce jest całkowicie w tym względzie odmienne, niż np. w Belgii, Holandii czy Austrii.

I mimo groźnych niebezpieczeństw, jawiących się na horyzoncie naszego politycznego życia, Kościół katolicki w Polsce i jego duchowieństwo musi w dalszym ciągu stać ponad partiami i walkami politycznych stronnictw.

Takim było nasze stanowisko w marcu, nazajutrz po ogłoszeniu ideowego programu OZoNu. Takim jest i dzisiaj po półrocznej ewolucji tegoż obozu, w rosnącej gorączce politycznej agitacji. Polityczne zjednoczenie narodu polskiego nie może być dziełem bezpośredniej akcji Kościoła, choć jest jego jak najgorętszym pragnieniem.

Tym bardziej zato należy skupić wszelkie wysiłki katolickiej pracy nad religijnym i moralnym odrodzeniem społeczeństwa. Tym odważniej należy przystąpić do zaktywizowania życia parafialnego z pomocą Katolickiej Akcji i licznych kościelnych organizacyj. Tym szerzej trzeba się zająć dziełem miłosierdzia i odważną obroną postulatów sprawie-

dliwości społecznej, których gwałcenie prowadzi do nieuchronnej radykalizacji wsi oraz sfer robotniczych.

Pełne przykładu cnót, poświęcenia i apostolskiej bezinteresowności życie duchowieństwa, jego duszpasterska praca w szkole, w parafii i w organizacjach kościelnych wydadzą bez wątpienia daleko bogatsze owoce w doniosłym dziele zjednoczenia i umoralnienia narodu niż najbardziej ożywiona akcja polityczna w ramach tej czy innej partii.

Po tej linii idą wskazania Ojca chrześcijaństwa, przy tym programie musimy mobilizować katolicką opinię.

W okolicach Paryża powstało w okresie powojennym całe mnóstwo robotniczych osad. W najbardziej opłakanych warunkach, w skrajnej nieraz nędzy wegetują wielotysięczne rzesze robotnicze, wydane na żer komunistycznej agitacji. Jeżeli nie zanikły tam ślady religii i prawego życia, to zawdzięczyć to trzeba bohaterskim kapłanom, którzy żyją obok tych ludzi w podobnych barakach, cierpiąc niedostatek, ubóstwo, prześladowanie, byle tylko głosić ewangelię miłości i sprawiedliwości w tej *banlieue rouge de Paris.*

Jeden z wybitnych przywódców komunistycznych na widok takiego poświęcenia i zapału tych bohaterów katolickiego frontu powiedział na publicznym zebraniu partii te słowa: „Wiara księdza jest jedyną siłą, z którą musimy się liczyć. Rządy wobec takiej wiary są niczym. Gdyby zabrakło rzymskiego Kościoła, rozsadzilibyśmy już dawno cały ustrój społeczny."

Te słowa francuskiego komunisty streszczają na swój sposób i nasz katolicki program.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Azja, floty i równowaga. — Moskwa, Palermo i Norymberga. — Rozbój i dekompozycja. — Czerwony śmiech.

Wojna nad Pacyfikiem, już od pierwszej chwili swego poczęcia wywarła, z inicjatywy sowieckiej, silny wpływ na położenie międzynarodowe. Referowaliśmy go w ub. miesiącu. Od tego czasu działania wojenne rozwinęły się w szerokim zakresie. Dopóki nie dają one stanowczej przewagi żadnej ze stron dopóty również na politykę europejską oddziaływują dwuznacznie, wytwarzając chaotyczny stan przejściowy i skłonność mocarstw do gry na dwa fronty. Ten stan niestałej równowagi może się raptownie zakołysać w tę lub drugą stronę, jeżeli by w przebiegu wojny na Dalekim Wschodzie nastąpił jakiś poważny zwrot. Dla-

tego należy przede wszystkim zwięźle określić miejscową perspektywę tej kampanii, oraz jej związek z układem interesów i sił nad Oceanem Spokojnym.

Natura położenia nasuwa Japonii dwa wielkie cele operacyjne, które gdyby Japończycy osiągnęli, to w zasadzie ubezwładniliby Chiny i wygrali wojnę z nimi. Cel pierwszy, to posunąć wojska japońskie na zachód od Pekinu i Kałganu tak daleko wgłąb Mongolii wewnętrznej, ażeby przeciąć karawanową komunikację, pomiędzy okupowaną przez Moskwę Mongolią zewnętrzną a obszarem Chin podległym rządowi w Nankinie. Wtedy Chiny nankińskie automatycznie zostałyby pozbawione rosyjskich dostaw materiału wojennego. Drugi cel, to opanować na stałe Szanghaj. Przez ten port bowiem przechodzi lwia część handlu zagranicznego Chin i z tego portu czerpie lwią część swoich dochodów skarb republiki nankińskiej. Trwała utrata Szanghaju rozbroiłaby więc rząd nankiński pod względem finansowym i oddała na łaskę i niełaskę okupantów Szanghaju. Stałoby się to tym pewniej, że spośród dwu innych wielkich portów chińskich Tientsin zdawna znajduje się w sferze panowania japońskiego. Kanton zaś na południu jest od Nankinu prawie niezależny, względnie Nankin od Kantonu więcej zależy, niżli na odwrót.

Plan japoński jest zatem prosty i jasny w stosunku do Chin. Wymaga jednak przełamania ich wojskowego oporu, co dotąd idzie trudno. Poza tym jest to plan niebezpieczny Japonii w stosunku do potęg trzecich, w Chinach zainteresowanych. Odcięcie komunikacji przez Mongolię postawiłoby na ostrzu noża sprawę pokoju i wojny między Japonią a Rosją. Okupacja zaś Szanghaju postawiłaby na ostrzu noża sprawę pokoju i wojny między Japonią a mocarstwami anglosaskimi. Szanghaj w ręku Japonii mógłby w wielkiej mierze zrealizować japońską dążność do gospodarczego podboju Chin i zamknąć dostęp do większej części ogromnego rynku chińskiego dla Anglii i Ameryki. Pomijając nawet kwestię już zainwestowanych przez anglosasów w Chinach kapitałów, która mogłaby znaleźć rozwiązanie ugodowe, samo niebezpieczeństwo utraty chińskiego rynku (poza Hong Kongiem i Kantonem) wystarcza, ażeby Anglia i Ameryka jak najgoręcej były przeciwne trwałej okupacji Szanghaju przez Japonię.

Konstelacje skrajnie przeciwjapońskie, mianowicie oparte na współdziałaniu z Moskwą jednego lub obu mocarstw anglosaskich, są jednak o tyle nieprawdopodobne, o ile śliskie dla samych Anglosasów. Czują się oni zagrożeni przewagą Japonii w Chinach, ale jeszcze niebezpieczniejszą mogłaby się okazać dla Ameryki i Anglii, po powaleniu Japonii, sowietyzacja Chin przez Moskwę. Muszą więc Anglosasi bronić swoich interesów przezornie i przewidująco. Najskuteczniej mogliby to uczynić, unikając rozszerzenia wojny, a równocześnie wysadzając Japończyków z Szanghaju, za pomocą pokojowej demonstracji połączonych morskich sił

zbrojnych, angielskiej i amerykańskiej. Co więcej, gdyby floty angielska i amerykańska pospieszyły z odsieczą do Szanghaju, to protekcja anglosaska przeciwko Japonii, okazałaby się dla Chin skuteczniejszą od sowieckiej. Mogłaby narzucić obu stronom walczącym pokój na warunkach kompromisowych, względnie nawet korzystnych dla Chin: np. ewakuację Pekinu i prowincyj północnych przez Japończyków, wzamian za pozostawienie w ich ręku Mandżurii oraz północnej części Mongolii wewnętrznej, dającej dostęp do Mongolii zsowietyzowanej.

W szerzej pojętym interesie mocarstw anglosaskich leżałoby, ażeby one same objęły protektorat nad Chinami i wzmocniły ten kraj na tyle, by się mógł stać równorzędnym z Japonią i Moskwą czynnikiem równowagi na Dalekim Wschodzie. Ponieważ takiemu dążeniu opierałyby się nie tylko Japonia, którą mocarstwa anglosaskie mogą poskromić na morzu, lecz także Moskwa, której dosięgnąć nie mogą, przeto siłą rzeczy narzucałaby się konieczność zaangażowania właśnie Japonii do usunięcia Moskwy z Chin. Musiałaby w tym celu Japonia stoczyć wojnę nie z Chinami lecz z Moskwą, nie wbrew, lecz przy poparciu finansowym mocarstw anglosaskich, oraz przy zapewnieniu z ich strony swobody ekspansji japońskiej na rosyjskich obszarach nad Pacyfikiem. Dotąd było wręcz odwrotnie. Ameryka krępowała Japonię wobec Moskwy tak silnie, że przez to zepchnęła Japończyków na linię mniejszego oporu, a więc do Chin. Teraz z kolei japońska ekspansja w Chinach weszła w stadium krytyczne, domagające się zasadniczego rozwiązania problematu równowagi azjatyckiej. Zwrot zatem w polityce amerykańskiej byłby nieodzowny, ażeby takie właśnie rozwiązanie osiągnąć.

Te perspektywy są w danej chwili o tyle przedwczesne, że punktem wyjścia zmian w układzie sił na Dalekim Wschodzie musiałaby się stać swoboda przesunięcia głównych sił marynarskich Wielkiej Brytanii z Morza Śródziemnego do bazy w Singapoore. Taką jednak swobodą W. Brytania obecnie nie rozporządza. Na przeszkodzie zaś stoi naprężenie w Europie, ściślej anglo-włoskie. Zapewne ażeby je usunąć przybył do Włoch amerykański wiceminister spr. zagr. p. Weles, który mógłby Italii oferować cenną pomoc finansową w Abisynii. Czy mu się ta misja powiedzie to raczej jest wątpliwe. Problemat równowagi międzynarodowej zaostrzył się do stopnia grożącego wojną i domaga się zasadniczego regulowania równocześnie na obu półkulach globu, wschodniej i zachodniej. W dalekiej Azji nagli do ustalenia stosunku Moskwy, mocarstw anglosaskich i Japonii pomiędzy sobą oraz wobec Chin. Na kontynencie europejskim nagli do ustalenia stosunku Moskwy, osi berlińsko-rzymskiej i mocarstw zachodnich, który to stosunek waha się dotąd niebezpiecznie pomiędzy Rapallo a paktem czterech. Oba te kryzysy, wschodni i zachodni, wchodzą między

sobą w zależność dwiema głównie drogami: lądową przez Moskwę, od Japonii do Niemiec, oraz morską, przez Wielką Brytanię, od Japonii do Italii. Stąd powstaje prawdopodobieństwo, że ani jednego, ani drugiego z tych przesileń nie da się pozytywnie rozwiązać inaczej jak w konstrukcyjnej łączności obu rozwiązań, w skali zatem równowagi światowej.

Tymczasem streścimy przebieg fluktuacyj jakie zaszły w Europie w ciągu pierwszego miesiąca wojny chińsko-japońskiej i w pośrednim z nią związku. Przerwaliśmy referat wrześniowy w chwili, gdy Niemcy przyjęły sowiecką ofertę nowego Rapallo dość obiecująco, choć jeszcze nie obowiązująco, i wykorzystały przede wszystkim dla „dywersyjnych" wespół z Moskwą wyczynów dokoła Polski. Sowiecka oferta i niemiecka wobec niej postawa zaniepokoiły nie tylko środkowy wschód Europy, lecz także Anglię. W drodze bowiem przewrotu na Dalekim Wschodzie te kroki zmierzały do rozwiązania rąk Moskwie na całym obszarze Azji oraz do wspólnego z Niemcami nacisku na imperia kolonialne mocarstw zachodnich. Projekt nowego Rapallo zaniepokoił jednak również i Włochy, bo ewentualne przymierze niemiecko-rosyjskie oraz jego przewaga nad Dunajem i na Bałkanie, mogłyby oś rzymsko-berlińską łatwo przeobrazić w zależność Rzymu od Berlina.

Nowa próba rapallitańska zachwiała więc ponownie solidarność włosko-niemiecką. Włochy zareagowały naprzód miłym przyjęciem angielskich propozycyj pojednawczych i mową Mussoliniego w Palermo. Porozumienie anglo-włoskie mogłoby zwolnić flotę brytyjską z Morza Śródziemnego na Daleki Wschód, a więc zapewnić mocarstwom anglo-saskim rozstrzygający wpływ nie tylko w zatargu chińsko-japońskim, lecz pośrednio także w stosunku chińsko-japońsko-sowieckim. Zdając sobie sprawę z wagi italskiego głosu w tych sprawach światowej równowagi, Mussolini zajął w Palermo postawę uprzejmą wobec Anglii, wyzywającą wobec Bolszewii, ostrzegawczą wobec Niemiec. Dla umiejących czytać swoisty szyfr tego rodzaju enuncjacyj z mowy w Palermo wynikało jasno, iż Włochy oświadczają Berlinowi: „Jeśli przyjmiecie nowe Rapallo według projektu Jureniewa, to rozerwiecie oś berlińsko-rzymską. Zastąpi ją nowy front Stresy. Flota brytyjska odejdzie na Daleki Wschód, w Europie Włochy obejmą ponownie straż nad niepodległością Austrii i Węgier. Francja i Anglia będą znów miały wolniejsze ręce na korzyść Czechosłowacji i Polski".

Było to uderzenie pięścią w stół, mocne, lecz tylko defensywne. Gdyby w duchu mowy z Palermo Mussolini odnowił bez zastrzeżeń protokuły rzymskie i objął „straż na Brennerze" wobec Austrii i Węgier, gdyby istotnie porzucił berlińską „oś", by przejść do frontu Stresy, to nie miałby mimo to pewności, że mu ten „front" wzamian przyzna Hiszpanię, a tym mniej Bałkan,

zwłaszcza Grecję. Raczej przeciwnie musiałby się z tymi widokami pożegnać. Tymczasem jednak w kilka dni po mowie palermitańskiej, padł w Hiszpanii Santander i cały rządowcowy front baskijski. Santander padł przy współdziałaniu orężnym Italii, zapieczętowanym formalnie wymianą depesz między Franco a Mussolinim. Ogólna pozycja Włoch wzmocniła się przez to jeszcze bardziej niżli przez same układy z W. Brytanią, i to zarówno wobec Niemiec, jak wobec tejże W. Brytanii. Kując żelazo póki gorące, Rzym przeszedł natychmiast do ofensywy. Nawiązał ponownie dyskretny, przez b. księcia Mikołaja, kontakt z dworem rumuńskim, zdeprymowanym na skutek przewagi nowego Rapallo nad odnowionym sojuszem rumuńsko-polskim. Włoskie sugestie wkraczały na ten sam szlak, z którego je wiosną wytrąciło zbliżenie rumuńsko-polskie. Włochy dążą do odnowienia swego paktu przyjaźni z Rumunią, w analogii z odnowionym już paktem włosko-jugosłowiańskim. Oba te pakty zamykają Niemcom dostęp na Bałkan. Ewentualnie mogą również służyć jako oparcie przeciwko nim także dla Węgier i Austrii, o których nie zapomniał Mussolini w swej mowie w Palermo.

W ten sposób zarysowała się znów przed Italią „rzymska wizja" panowania, albo przewagi nad trzema śródziemnomorskimi półwyspami Europy, apenińskim, iberyjskim i bałkańskim. Urzeczywistnieniu tej wizji zagrażać mogła od morza i od południa Wielka Brytania, od lądu zaś i od północy Niemcy. Rzym przeto faszystowski zaszachowawszy naprzód Niemcy przez Anglię, z kolei zapragnął tak ułożyć swój stosunek do Niemiec, ażeby nadal zachować możność szachowania Anglii przez Niemcy. Na najbardziej między Niemcami a Włochami spornym terenie austro-węgierskim Mussolini ponownie wysunął dawniejszą koncepcję *condominium* wpływów niemieckich i włoskich. Znalazła ona symboliczny wyraz w uroczystych manewrach armii austriackiej oraz obecności na nich trzech zaprzyjaźnionych misyj wojskowych, włoskiej, niemieckiej i węgierskiej. Oznaczać to mogło jakby ciche stwierdzenie zbrojnej neutralizacji Austrii i Węgier, a zarazem rezygnację Niemiec z *Anschlussu*. Na takiej podstawie można by wznowić nawet projekty przymierza wojskowego włosko-niemieckiego, które miało na celu neutralizację przez Włochy polskiego i czeskiego przymierza z Francją, oraz zapewnienie Niemcom wolnej ręki wobec Czechów i wobec nas. Należało jednak przed tym zapewnić sobie powolność Anglii tak wobec Niemiec jak zwłaszcza wobec Włoch w Hiszpanii. Poczem możnaby przystąpić do nacisku na Francję w kierunku realizacji zachodniego paktu czterech.

Wobec tej perspektywy wyraził już poniekąd uległość ostatni zjazd ministrów Małej Ententy w Bukareszcie, nie wspominając nic w swoim komunikacie o Francji, dopraszając się natomiast włączenia w nowy system paktów zachodnich. Tej perspektywie

służyć ma uroczysty przyjazd Mussoliniego do Berlina. Zapowiedź tej wizyty zdeprymowała w pierwszej chwili opinię angielską. Wywarła wrażenie jakby włoskiego odstępstwa od układów z Anglią na korzyść Niemiec. Istotnie oś rzymsko-berlińska, podzieliła w intencji Włoch środkowy europejski wschód na sfery przewagi wschodniej (Bałkan z Rumunią), *condominium* (Austro-Węgry) oraz przewagi niemieckiej (Czechosłowacja i Polska). Taki podział zabezpieczyłby Italię dostatecznie, ażeby mogła się zgodzić na nowe Rapallo niemiecko-rosyjskie i sama doń przystąpić. Wówczas wszystkie trzy dyktatury mogłyby w zasadzie podjąć solidarną ofensywę przeciwko kolonialnym imperiom zachodnich demokracyj. Jeśli przytem Włochy mogą decydować o tym czy flota brytyjska ma pozostać na Morzu Śródziemnym, albo też puścić ją wolno na Daleki Wschód, a nawet kontrolować politykę jakiejby ta flota miała na wodach chińskich służyć, to tym więcej zyskuje na sile ogólna pozycja międzynarodowa osi rzymsko-berlińskiej. Rozporządza ona w pewnej mierze swobodą wyboru między Rapallo a paktem czterech, między sojuszem z Moskwą przeciwko Zachodowi, lub sojuszem z Zachodem przeciwko Moskwie.

Tę swobodę ograniczają jednak dla obu mocarstw centralnych względy gospodarcze, dla Niemiec zaś także polityczne. Włoski sprzymierzeniec pragnąłby zabarykadować Niemcom szczelnie kierunek ekspansji na południowy wschód, pozostawiając drogę wolną tylko na północnym-wschodzie i na zachodzie. W tych warunkach mogłyby Niemcy w przymierzu z Moskwą liczyć na wschodzie najwyżej na jakiś nowy rozbiór w granicach historycznego precedensu, co dla nich byłoby stanowczo za mało. Przeciwko imperiom kolonialnym mogłyby Niemcy wystąpić tylko jako ariergarda Moskwy i Włoch, oraz jako siła szturmowa na północnym zachodzie, a więc w kierunku najtwardszego oporu. To się Niemcom nie uśmiecha. Chcąc prowadzić taktyczną grę na dwa fronty powinnaby oś rzymsko-berlińska maskować istotne cele i szachować Zachód widmem Rapallo, ażeby wytargować zwłaszcza w Hiszpanii lepsze warunki przystąpienia do paktu przeciwsowieckiego z Zachodem. Jednak nie utrzymał się w tej linii Mussolini, a jeszcze silniej wyłamał się z niej kanclerz Hitler w swych mowach na zjeździe partyjnym norymberskim. Domagał się wprawdzie ustępstw kolonialnych od Zachodu, ale z głównym impetem wznowił swe dawne hasło przeciwbolszewickie i przeciwżydowskie.

Impet był tak duży, że przekreślił możliwości gry na dwa fronty. Pokrzyżował grę osi rzymsko-berlińskiej wobec Zachodu i zwrócił się doraźnie przeciw Moskwie. We Włoszech ten zwrot zapewnie nie wywołał niezadowolenia, gdyż Włochy same dały Niemcom przykład orientacji przeciwsowieckiej. W międzyczasie zaś nie pozostawały bezczynne Sowiety.

O ile na Dalekim Wschodzie wypadki rozwijały się po myśli sowieckiej, o tyle w Europie mogły ją jak najżywiej niepokoić. Japonia krwawi i wyczerpuje się. Tego Moskwa oczekiwała i do tego dąży. Ale interwencja połączonych flot anglo-saskich mogłaby ten pożądany dla Rosji proces przerwać. Japonia mogłaby wyjść z tej próby mniej osłabiona niźli sobie Z. S. R. R. życzy. Co gorsza, mogłaby nawet zostać zwrócona przeciwko Sowietom. Co zaś dla nich najgorsze to, że ten zwrot mógłby nastąpić w związku z powstaniem paktu czterech oraz zachodniego bloku przeciwsowieckiego. Dopiero taka „stabilizacja" w Europie mogłaby zwolnić flotę brytyjską na Daleki Wschód. Dlatego, jeśli układy anglo-włoskie krzyżowały nowe Rapallo, to fakt ten mógł być wprawdzie nieprzyjemny dla Niemiec, ale o wiele bardziej zaniepokoić musiał Moskwę.

Reakcja obronna z jej strony była jednak nader trudna. Moskwa sama przyczyniła się do upadku Santander i umocnienia Włoch w Hiszpanii, ponieważ w związku z projektem nowego Rapallo ograniczyła swą pomoc dla czerwonej Walencji, skierowała zaś tę pomoc głównie do Chin. Umacniając Włochy i powstańców w Hiszpanii, Rosja tym samym ułatwiła układy Italii z Anglią, oraz ich ewentualne rozwinięcie w zachodni pakt czterech. Ażeby to choć częściowo odrobić nie pozostawał Moskwie żaden inny środek jak tylko swoiście bolszewicki — akcja dywersyjna. Zastosowała go też już od pierwszej chwili układów ambasadora Jureniewa z Hitlerem, początkowo w charakterze reasekuracji. Tajemnicze samoloty z nieznanymi godłami poczęły bombardować statki mocarstw zachodnich kontrolujących brzegi czerwonej Hiszpanii przed dostawą materiału wojennego. Później wystąpiły na widownię nieznanej narodowości łodzie podwodne. Atakowano znienacka okręty wojenne i handlowe przede wszystkim angielskie, później także francuskie i inne; w końcu nawet sowieckie handlowe, jednak nie takie, które wiozły materiał wojenny do Walencji, lecz płynące z neutralnym ładunkiem do neutralnych portów.

W stolicach Zachodu powstał alarm. Zaczęto podejrzewać Niemcy, że w ten sposób sabotują układy włosko-angielskie. Podejrzenie słabo uzasadnione, bo z niemieckiego stanowiska byłby to środek zbyt ryzykowny a wcale niekonieczny. Zarówno zasada *ille fecit cui prodest*, jak gwałtowne oskarżenia dyplomacji sowieckiej wobec Włoch, jak wreszcie cały charakter tej „wojny zakonspirowanej", anonimowej, podstępnej i przewrotnej aż do zatapiania własnych statków handlowych włącznie — wszystko to pasuje doskonale do metod i mentalności Kominternu i stanowi *pendant* do bomb w Małych Świdrach, oraz w Paryżu. Chodzi Sowietom o to, ażeby wywołać na Zachodzie jeszcze większe niż dotąd zamieszanie i zamęt, ażeby rozpalić na nowo antagonizm

anglo-włoski, udaremnić lub odwlec pakt czterech w Europie i wyjazd floty brytyjskiej na Daleki Wschód.

Te cele odpowiadające linii polityki sowieckiej od wybuchu wojny hiszpańskiej, a sprzeczne z dążeniami osi rzymsko-berlińskiej zostały na razie w pełni osiągnięte. Trudno przypuszczać, ażeby z powodu podrzędnej użerki w londyńskim komitecie nieinterwencji, Hitler i Mussolini uruchomili owe zakonspirowane rozboje morskie z tak uciesznym dla Sowietów i Walencji wynikiem. Sowiecki sukces sięgnął aż tak daleko, że oto W. Brytania zawiesiła kontrolę brzegów czerwonej Hiszpanii, ażeby niepodzielnie poświęcić swe siły na połów nieuchwytnych piratów na całym obszarze Morza Śródziemnego. Zachodzi wszelkie prawdopodobieństwo, że połów okaże się bezskuteczny, bo piraci zawieszą na kilka tygodni swoją działalność. Ale „zato" przez te kilka tygodni przeniknie do Walencji niejeden niewinny statek handlowy, naładowany materiałem wojennym i czerwona obrona Madrytu znów zdoła okrzepnąć. Nawet nie tylko Rosja, lecz i Anglia może sobie tego chwilowo życzy. Rosja dlatego, że oś rzymsko-berlińska zsabotowała ofiarowane Niemcom nowe Rapallo, choć Rosja dodawała doń dla Włoch Hiszpanię. Oś rzymsko-berlińska Hiszpanię wprawdzie przyjęła, ale raczej w celu zmontowania paktu czterech przeciwko nowemu Rapallo. Rosja więc chce Hiszpanię odebrać, bo to i paktowi czterech przeciwdziała i samą oś rzymsko-berlińską naraża na rozłam. Anglia ze swej strony nie może patrzeć przychylnie na projekty opanowania prawie całego południowego pobrzeża Europy, które Italia pragnęła zrealizować we współdziałaniu z Niemcami.

Polityka sowiecka zrewanżowała się w pełni za rozbite nowe Rapallo. W odwet rozbiła nie tylko niedoszły pakt czterech, zastępując go ponownym ostrym naprężeniem anglo-włoskim, ale podłożyła minę wybuchową pod samą oś rzymsko-berlińską. Wielki pożar na targach wiedeńskich nie zdaje się być dziełem Kominternu, lecz hitlerowców austriackich. Kojarzy się on dyplomatycznie z norymberską ofensywą Hitlera przeciwko Bolszewii. Hitler podąża na odsiecz Włochom, którym Moskwa pragnie znów Hiszpanię z rąk wyrwać, ale zdaje się, że chciałby za to otrzymać od Włoch zapłatę z góry w postaci zgody na *Anschluss* Austrii do Niemiec. Byłaby to bardzo istotna zmiana w warunkach podziału Europy środkowo-wschodniej wysuniętych przez Mussoliniego. Czy w obecnych warunkach Niemcy mogliby wiele Włochom w Hiszpanii dopomóc bez wojny z Moskwą, to rzecz wielce wątpliwa. Niewątpliwie natomiast *Anschluss* Austrii stałby się punktem wyjścia przewagi Niemiec na Bałkanie. Stąd bardzo ciekawą jest rzeczą jak się w tej sprawie porozumie Hitler z Mussolinim podczas swych odwiedzin w Berlinie.

Gdyby zaś nie załamała się, gdyby Hitler przyjął *condominium* z Italią nad środkowym Dunajem, to co wówczas? Dokąd

wtedy mogłaby prowadzić „oś" i świat ostatnia antybolszewicka mowa w Norymberdze?

Perspektywa ścisłego porozumienia się obu dyktatorów, w myśl ostatniej antybolszewickiej mowy *Führera* w Norymberdze, bardzo blisko dotyczy Polski, bo wtedy nacisk ekspansyjny niemiecki ze szczególną siłą skoncentrowałby się na nas i na Czechosłowacji. Z drugiej znów strony antybolszewicka postawa Niemiec przynosi nam odciążenie, gdyż odsuwa Rapallo i niebezpieczeństwo wojny na dwa fronty. Zasadniczo jednak nie należy tego „sukcesu" przeceniać. Nie wiadomo bowiem, jak na wiosnę będzie wyglądała sytuacja na Dalekim Wschodzie i czy nie przyniesie Sowietom spodziewanej zmiany ich pozycji międzynarodowej. Nie wiadomo również co wyniknie z coraz głębszej „dekompozycji" w jaką Moskwa z niepospolitym mistrzostwem i makiawelizmem umie pogrążać świat europejski.

Zgrał się i ustąpił z widowni pacyfizm. Obecnie zaczyna się zgrywać i przestaje panować nad coraz burzliwszym położeniem również dyplomacja. I to nie tylko ta zachodnia liberalna i defensywna, która do niedawna pracowała w pacyfizmie, lecz także dyplomacja zdobywcza wielkich dyktatur nacjonalistycznych, dotąd szczególnie rzutka i pełna inicjatywy. Obie one wikłają się i grzęzną w matni ciasnego, zoologicznego *egoismo sacro,* narzuconych przezeń jednostronnych racyj stanu, nie dość szerokich założeń i celów, oraz konstelacyj, które mu służyć mają. Nierealnym okazał się pacyfizm, ale nierealnym jest również pakt czterech, i sama oś rzymsko-berlińska na próżno wiatr w polu goni, chwiejąc się pod każdym jego mocniejszym podmuchem. Realniejsze są może, ale najzupełniej niewystarczające stare formacje ententy wielkiej i małej oraz przymierza francusko-polskiego. Stąd pochodzi w życiu międzynarodowym koszlawienie zadań i celów, których się nie formułuje należycie lecz opacznie. Stąd niemoc ich rozwiązania i coraz większy, coraz silniej rozdrażniony niepokój. Potrzebna jest w życiu międzynarodowym podobnie jak społecznym wielka przebudowa i wielka odnowa celów, dążeń, środków i pojęć.

Dopóki zaś tego nie ma dopóty katastrofa powoli nadciągnąć musi. Najinteligentniej, z gruzińską przebiegłością, ze stalową energią, konsekwencją i bezwzględnością zachowuje się wobec tej perspektywy czerwona Moskwa. Wie, że jej nie odwróci i odwracać już nie usiłuje. Wie również, że perspektywa katastrofy ciąży silnie ku temu, żeby ją, Moskwę, zniszczyć. Przeto cały wysiłek swej kierowniczej inteligencji zwróciła na to, żeby katastrofę celowo zorganizować i sprowokować tak by zniszczyła nie Moskwę lecz jej wrogów. Pewna przy tym zasada to mieć przewagę inicjatywy, początkować wypadki

wtedy najłatwiej nadać im bieg pożądany. Druga zasada to uprzedzać oczekiwane uderzenia i zanim one nastąpią puszczać w ruch przeciwuderzenia. Trzecia zasada, to zawczasu rozładowywać energię zaczepną i zdolność bojową najgroźniejszych przeciwników Moskwy w celowo prowokowanych starciach ze stronami trzecimi, tak ażeby wrogowie Moskwy doznali jak największego upływu krwi, zanim zwrócą się przeciwko Moskwie. Czwarta zasada, to jak najdłużej oszczędzać siły własne Moskwy nie uczestnicząc wprost w wywoływanych naokół zatargach, lecz podsycając je tylko ubocznie. Piąta wreszcie zasada jest parafrazą poprzednich zwróconą do wewnętrznego przygotowania Moskwy na wielką próbę. Wyraziła się najrozgłośniej w terrorze dziesiątkującym biurokrację cywilną i wojskową. Terror ten wskazuje odpowiedzialność i wymierza karę sferom rządzącym za niedostateczny rozwój wewnętrznej mocy gospodarczej kraju, względnie za jej stan krytyczny. Terror również uprzedza taktycznie i rozbraja możliwy bunt wewnętrzny.

W polityce międzynarodowej Moskwa zastosowała tę taktykę naprzód na Dalekim Wschodzie, żeby chińskimi rękoma zniszczyć tamtejszego japońskiego wroga. Wobec znacznie większej komplikacji układu sił w Europie, oraz wobec tego, że stąd zagraża Moskwie główne niebezpieczeństwo ich komasacji w blok przeciwsowiecki, próbowała Moskwa początkowo rozdzielić te siły, część ich związać ze sobą i wespół z nimi wystąpić przeciwko pozostałym. To propozycja nowego Rapallo, więc dwustronne natarcie na Polskę, a potem: Dunaj i Bałkan — Niemcom; Bliski Wschód azjatycki i cała w ogóle Azja — Moskwie; Hiszpania — Włochom, oraz wspólny front dyktatur przeciwko kolonialnym imperiom demokracyj. Gdy się ten projekt nie powiódł wdrożono natychmiast inny, analogiczny do już realizowanego na Dalekim Wschodzie. Postanowiono pogłębić rozdział Europy na dwa obozy, sprowokować wojnę między nimi, Moskwę zaś utrzymać w neutralności, dopóki Europa szykująca się do szturmu na Bolszewię, nie rozedrze się i nie wyrżnie nawzajem własnymi rękoma, jak to już czyni Azja. Wtedy by przyszła kolej na rozstrzygające natarcie czerwonej armii, by w Europie „nowy zaprowadzić ład".

Jeżeli azjatycki plan Moskwy znajduje się już w pełnym wykonaniu, to plan europejski ostatnimi czasy również znalazł się na jak najlepszej dla Moskwy drodze. Groziła wojna Włoch z Anglią z powodu Hiszpanii i „piratów". Gdyby wybuchła to Niemcy natychmiast położyłyby *main basse sur la Bourgogne* czyli zajęłyby Austrię, Czechosłowację i Węgry. Jeżeli Polska i Francja pospieszyłyby im z pomocą to wojna europejska byłaby gotowa. Wojna przewlekła o prawie równych siłach stron walczących. Wojna eksterminacyjna, aż do zupełnego wyczerpania. Wojna żywiołowa i ślepa, w której każde państwo dostrzegałoby tylko

bezpośredni swój bliski cel obronny lub zaczepny, lecz celu powszechnego nie byłoby żadnego, oprócz zniszczenia Europy.

Ten właśnie jednak cel szczególnie żywo interesowałby stojące na uboczu Sowiety. Nie wkroczyłyby już wtedy zapewne do Polski na pomoc Niemcom jak to wypadało do niedawna w myśl nowego Rapallo. Raczej przeciwnie Sowiety wobec nas dochowałyby bez zarzutu paktu o nieagresji z r. 1932. Więcej nawet, może by nam ofiarowały pomoc w materiale wojennym jak obecnie czerwonej Walencji lub żółtemu Nankinowi. Wszak po norymbergskiej mowie Hitlera siłą rzeczy walczylibyśmy z Niemcami jako *Pufferstaat* osłaniający przed nimi Bolszewię. Dopiero po należytym wzajemnym wyniszczeniu się państw europejskich wkroczyłaby Moskwa do Europy, po przez naturalny pomost polski, niezależnie od tego w czyim ręku by się on wówczas znajdował.

Są to perspektywy jeszcze bardziej godne uwagi i w Berlinie i w Warszawie niżli nawet „wojna mniejszościowa" i awantury gdańskie. Bardziej też godne są uwagi te perspektywy mocarstw zachodnich niżli pogoń za piratami i dąsy anglo-włoskie z tego powodu. Jednak perspektywy te bynajmniej nie absorbują konferencjonistów z Nyon i Genewy. Ślepe „dyplomatoły" ligowe (jak ich przezwał Nowaczyński) tracą głowę wobec podwodnych ataków podstępnej Eurazji, uganiają się po całym Śródziemnym Morzu za łodziami, denerwują naprężeniem z prostacką butą faszyzmów, strojących groźne miny z powodu tej „mobilizacji". Jedni i drudzy nie widzą ręki, która nad nimi zawisła i pomiędzy nich zarzuca hak zdradzieckiej wędy.

Jeżeli ten hak połkną... jakiż to demoniczny „czerwony śmiech" rozlegnie się wówczas w ponurych komnatach na stalinowskim Kremlu!

Andrzej Prawdzic.

Warszawa 25. IX.

„Pawilon Katolicki" na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu.

Widza, który z wyniosłej terasy, rozciągającej się u stóp *Palais Nouveau* na placu Trocadero, próbuje objąć rozległy teren wystawowy, uderza charakterystyczny obraz. Ponad zlewającą się linią pawilonów, rozłożonych po obu stronach środkowej alei, wznoszą się, jakby wieże, dwa symetrycznie nad Sekwaną rozstawione i frontem do siebie zwrócone gmachy, niemiecki i sowiecki. Patrzą na siebie jakby się chciały zmierzyć.

Lecz nie są same. Z boku, wśród zieleni drzew, wznosi się ponad nie trzeci olbrzym: smukła jak iglica, 75 metrowa wieża,

a przy niej kopuła z krzyżem, mieniąca się złotem w promieniach słońca. To „Pawilon Katolicki".

To niezwykłe zestawienie ma w sobie pewną symbolikę. Zauważył ją i podkreślił na łamach *Revue de deux Mondes* (15 maja br., str. 331) Louis Gillet, członek Akademii Francuskiej. „Nad brzegami Sekwany — pisał w swym artykule „Rzut oka na wystawę" — dwa pawilony bardziej okazałe, rywalizujące z sobą i zarazem symetryczne, zarysowują swe masywne kształty: pałac niemiecki i Z. S. R. R. Nie wiem, kto je tak ustawił naprzeciw siebie. Dwie te budowle spoglądają na siebie jak dwa sfinksy... dialog silniej naładowany elektrycznością niż dwie kule ogromnej machiny w Pałacu Odkryć... Poza tymi dwoma dynamizmami, trzecia potęga duchowa wznosi swą kopułę w formie tiary: to piękny pawilon Państwa kościelnego, dzieło p. Paul Tournon, twórcy wspaniałego kościoła Ducha św. To są te trzy potęgi, pomiędzy którymi rozgrywa się wielki dramat świata współczesnego".

Pawilon Katolicki jest rzeczywiście piękny i strukturą odbija silnie od obu swych rywali. To już nie olbrzymia hala, zapełniona eksponatami jednego kraju lub kłamliwymi hasłami drugiego. Ale jest to jakby kompleks budynków, rozłożonych wśród drzew na przestrzeni około 6.000 m^2. W środku stoi kościół, objęty z trzech stron skrzydłami gmachu; jedno z tych skrzydeł wysuwa się na front i otwiera tu główne wejście, ponad którym wznosi się strzelista campanilla, uwieńczona wykonaną z miedzi statuą Najśw. Panny z Dzieciątkiem Jezus, dziełem Roger'a de Villiers.

Wnętrze pawilonu składa się z licznych sal, połączonych w ten sposób, że każdy ze zwiedzających musi je przejść w porządku wyznaczonym. System ten, praktykowany także w niektórych innych pawilonach, jest tu podyktowany myślą przewodnią, jaka została przeprowadzona w Pawilonie Katolickim. Długi szereg sal ma być obrazem życia ludzkiego oraz zbawczej działalności Kościoła we wszystkich jego fazach. Widzimy, jak Kościół wchodzi w życie człowieka od pierwszych chwil jego istnienia na ziemi, jak towarzyszy mu w latach dziecięcych, młodości, w wieku dojrzałym i starości, jak pomaga w jego zajęciach zawodowych i w życiu społecznym, jak nie opuszcza w chorobie przy zgonie a nawet po śmierci. Myśl ta została starannie opracowana i przeprowadzona przez komitet organizacyjny Pawilonu Katolickiego, z ks. Reviers de Mauny T. J. na czele.

Stąd na wstępie początek życia przyrodzonego i nadprzyrodzonego. Niewielka, przycieniona rotunda, zakończona kopułą, na której wewnętrznych ścianach zamieszczono luźne obrazy, przypominające stworzenie świata. W środku rotundy stoi jakby mała kapliczka, a w niej chrzcielnica symbolizująca wprowadzenie człowieka do porządku nadprzyrodzonego. Na jej bocznych ścianach wypisane nazwy poszczególnych krajów, z datą przy-

jęcia przez nie chrześcijaństwa; między nimi Polska i jej Biały Orzeł.

Wiek dziecięcy, związane z nim prace opiekuńcze, rozrywki i pierwsze wychowanie umysłowe i religijne to przedmiot paru sal następnych. Zastajemy tu obrazy kolorowe na ścianach, wszelkiego rodzaju eksponaty, łączące się z dziełem wychowania, prace wykonane przez dzieci, literaturę dziecięcą, zwłaszcza z zakresu nauczania religii, różne instytucje i dzieła opieki nad matką i dzieckiem. Kończy to wszystko kapliczka z ołtarzem, poświęcona pierwszej Komunii św. dzieci; zamyka ona okres dziecięcy i z tą chwilą przechodzimy do działu młodzieży.

Dział ten jest może najbardziej interesujący. Dowiadujemy się, jak przedstawia się we Francji opieka nad młodzieżą, jej rozwojem fizycznym i duchowym. Ilustrują nam to głównie liczne obrazy, fotomontaże, zdjęcia fotograficzne, wykresy, napisy objaśniające i nieco literatury. Uderza zwłaszcza wspaniały rozwój katolickiego szkolnictwa prywatnego, które wobec laicystycznej szkoły państwowej jest ostoją wychowania religijnego. Obejmuje ono: 11'996 szkół elementarnych z 941'512 uczniami, 909 szkół średnich z 160'853 uczniami, oraz 14'971 uczniów w różnego rodzaju szkołach zawodowych. Drugą chlubą katolickiej Francji są liczne jej organizacje młodzieżowe, które można sprowadzić do pięciu zasadniczych grup: organizacje młodzieży uczącej się, robotniczej, rolniczej, młodzieży należącej do wolnych zawodów i zajętej w marynarce.

Za perłę spośród nich uchodzi organizacja młodzieży robotniczej: J. O. C. *(Jeunesse Ouvrière Chrétienne)*. Założona w r. 1925 w Belgii i przeszczepiona dwa lata później do Francji, a dziś zapoczątkowana także w różnych innych krajach, spotkała się z powszechnym uznaniem dzięki swemu rozmachowi działania i programowi, którym jest: podniesienie klasy robotniczej, materialne i duchowe, przez przeprowadzenie jej słusznych postulatów w sposób zgodny z etyką chrześcijańską, a w dalszym ciągu pozyskanie z powrotem warstw pracujących Chrystusowi. W r. 1935 organizacja ta zjednoczyła 100'000 młodzieży na swym pierwszym światowym kongresie w Brukseli, a w połowie lipca br. w dziesięciolecie jej istnienia we Francji odbył się drugi wspaniały kongres w Paryżu. Niezapomniane wrażenie pozostawiła zwłaszcza końcowa jego uroczystość w Parc des Princes, w której, obok wielotysięcznej rzeszy J. O. C.-istów z różnych krajów, wzięło udział około 50 członków episkopatu francuskiego i tłumy gości.

Lecz powróćmy do Pawilonu Katolickiego. Dział dorosłych uwzględnia dwa zwłaszcza zagadnienia: małżeństwa i rodziny, oraz pracy zawodowej i katolickiej organizacji pracowników C. F. T. C. (*Confédération Française des Travailleurs Chrétiens*), liczącej obecnie około pół miliona członków. Opieka nad siero-

tami, starcami chorymi, kalekami i więźniami, Caritas oraz oddające się tej pracy zgromadzenia zakonne, znajdują swój wyraz w salach następnych. Dział pracy kościelnej i pokaz przyborów liturgicznych stanowią ostatni etap głównej części pawilonu i wprowadzają nas do właściwego sanctuarium, do kościoła.

Kościół ten jest tylko prowizoryczny. Zbudowany na okres wystawy, jako część składowa Pawilonu Katolickiego, służy zarazem dla użytku wiernych, którzy mogą tu wysłuchać we święta mszy św. Ma on kształt wielkiego ośmioboku, którego górna część, wsparta na ośmiu 15-metrowych filarach, przechodzi w kopułę. Umieszczony w tejże potrójny szereg pięknych witraży, w większej części przeznaczonych potem do katedry Notre-Dame w Paryżu, rzuca lekko przyćmione, tęczowe światło, efektownie odbijające się w ścianach kościoła. W środku na wzniesieniu, do którego z czterech stron prowadzą schody, stoi ołtarz główny, a za nim organy. Absyda kościoła ozdobiona jest flagami państw, w których znajdują się katolicy, w głębi jest tron papieski, nad nim tiara i herb Piusa XI. Dokoła tej głównej nawy kościoła wznosi się jakby galeria, a w niej znajdują się kaplice poszczególnych krajów.

Z bramy kościoła wychodzi się na wcale obszerny dziedziniec, którego przeciwległy koniec zamyka znana nam campanilla, mieszcząca w sobie niewielką wystawę misyjną. Do dnia 10 sierpnia zarówno ten ostatni dział, jak i przeważna część wspomnianych przedtem kaplic nie były jeszcze gotowe, z powodu tych samych trudności, jakie dotknęły całą wystawę międzynarodową, a o których pisaliśmy w poprzednim zeszycie *Przeglądu*.

Co do Pawilonu Katolickiego jedno jeszcze pragniemy zauważyć. Zazwyczaj nosi on w prasie nazwę „papieskiego, watykańskiego"; również oficjalny *Przewodnik* po wystawie nazywa go *Pavillon Catholique Pontifical*. W określeniu tym tkwi jednak pewne nieporozumienie, gdyż w rzeczywistości jest to pawilon katolików francuskich, zbudowany ich staraniem i za ich pieniądze, którego głównym zadaniem jest zobrazowanie życia i dzieł katolickiej Francji. O innych krajach zastajemy jedynie skąpe wzmianki, np. z okazji prac różnych zgromadzeń zakonnych, lub francuskich dzieł misyjnych w Azji i w Afryce.

To ograniczenie zakresu wystawy okazało się bardzo korzystne, gdyż pozwoliło uniknąć małomówiących ogólników, a dało nam dokładniejszy obraz działalności katolików Francji, działalności, z którą warto się zapoznać ze względu na jej intensywność i szeroki zasięg. Każdego musi uderzyć np. wielka liczba organizacyj wszelkiego rodzaju, niekiedy tak specjalnych, jak osobna organizacja młodzieży marynarskiej, J. M. C. (*Jeunesse Maritime Catholique*), mająca 78 oddziałów i własne czasopismo, które liczy 5'000 abonentów. Katolickie związki sportowe młodzieży, skupione w *Fédération Gymnastique et Sportive des Patro-*

nages de France, obejmują 600.000 członków męskich i 25.000 żeńskich, i posiadają swój organ *Les Jeunes.* Osobny związek skautów katolickich liczy około 200.000 członków, młodszych i starszych. Dobrze rozwijają się organizacje młodzieży uczącej się, szkół średnich i wyższych, mające za zadanie wyrobienie religijne, społeczne i zawodowe członków, obronę ich interesów i pomoc materialną. Stowarzyszenie katolickich lekarzy *Société Médicale St. Luc, St. Côme, St. Damien* liczy 50 kół regionalnych i okrągło 3.000 członków.

W kraju, w którym rząd nie daje nic na cele wyznaniowe, finansowa strona akcji katolickiej stanowi jedno z ważnych i szczególnie trudnych zagadnień. Cały szereg instytucyj i organizacyj stara się oczywiście o samowystarczalność; składki członków, dochody z wydawnictw i przedsiębiorstw zaspokajają ich potrzeby. Pozostałe jednak utrzymują się głównie dzięki ofiarności społeczeństwa katolickiego, która we Francji jest rzeczywiście imponująca. Dość nadmienić, że na samo katolickie szkolnictwo prywatne łożą katolicy tutejsi rocznie około 8 milionów franków. Innym takim przykładem jest wzniesienie po wojnie światowej stu kościołów dla ludności katolickiej zaniedbanych dawniej przedmieść Paryża; ogromna mapa świetlna i szczegółowy wykaz uwidaczniają zwiedzającym to niezwykłe dzieło. Dużo daje się również na opiekę nad dzieckiem, chorymi i starcami. W r. 1936 same koła parafialne wysłały na wakacje 74.500 dzieci.

Nie brak też organizacyj dla specjalnych celów, jak np. dla kina i radia, które mają swój tygodnik *Choisir.* Także do urządzania większych, tzw. „narodowych pielgrzymek", istnieje tu parę osobnych organizacyj, a w r. 1932 powstał cetralny komitet, *Comité Général des Pèlerinages Nationaux,* który ma ponadto za zadanie koordynację poczynań na tym polu.

Wszystkie te i inne organizacje pracują na ogół sprawnie, a osoby im oddane ożywia szczery zapał i umiłowanie sprawy. Skoro jednak mówimy o ich ochotnej i skutecznej pracy, nie możemy pominąć milczeniem jednej okoliczności, która dużo się do tego przyczynia. Tajemnicą tą jest ustosunkowanie się oficjalnej „Akcji Katolickiej", która nie usiłuje „sama" wszystkiego robić, i nie miesza się do prac poszczególnych organizacyj, lecz pozostawia im samodzielność i zadowala się tylko nadrzędną rolą czynnika koordynującego i czasem inspirującego; dzięki temu stanowisku staje się ona pewną pomocą w pracy, a w każdym razie nie przeszkadza jej i nie hamuje. Na to zwrócono mi uwagę w paru poważnych ośrodkach pracy organizacyjnej w Paryżu.

Drugim dodatnim momentem, tym razem ze strony działaczy katolickich, są pewne cechy, które było by dobrze wszędzie naśladować. Są oni przede wszystkim optymistami, czasem wprawdzie zbyt wielkimi, ale dzięki temu nie wietrzą wszędzie

zła i nie patrzą zawsze czarno, ale wyszukują strony jasne, zabierają się do pracy z uśmiechniętą twarzą i z większym rozmachem. Po wtóre, częściowo dzięki temu optymizmowi, a może i dzięki twardej szkole, jaką przebyli, odnoszą się do wszystkich z większym poszanowaniem i wyrozumiałością. Nie sądzą, że, aby zwalczyć przeciwnika, trzeba go zmieszać z błotem, odmówić jakichkolwiek dobrych chęci i walić pięścią po głowie; przyznają mu i dobre strony, traktują grzecznie i tym właśnie sposobem wytrącają mu nieraz broń z ręki, zmuszając do wzajemności; a wtedy prawda łatwiej zwycięża.

Do ostatecznego zwycięstwa tej prawdy w życiu publicznym jest jednak we Francji jeszcze bardzo daleko i nie wiadomo, kiedy wybije ta godzina. Katolicy francuscy usiłują dziś odrobić to, co zaniedbali ich przodkowie, lecz to sprawa niełatwa. Łatwiej bronić stanu posiadania, niż zdobywać utracone pozycje. Postępy ich pracy są niezaprzeczone, ale idą żółwim krokiem. Obecna wystawa międzynarodowa w Paryżu jest nowym świadectwem przemożnej tu jeszcze potęgi ducha laicyzmu. Podczas gdy w rządowym pawilonie kolonialnym Konga belgijskiego na światowej wystawie w Brukseli złożono publicznie hołd pracy misjonarzy katolickich, to o olbrzymich zasługach misjonarzy w tylu koloniach francuskich panuje na wystawie paryskiej głuche niemal milczenie. Podobnie w pawilonach opieki społecznej i higieny zapomniano o ogromnym wysiłku katolików, o tysiącach osób zakonnych i świeckich w tym dziale zajętych i o milionach zebranych z ich kieszeni na cele opieki nad chorymi i potrzebującymi. Pominięto to wszystko, choć wyjawienia tych dzieł katolickiej Francji domagała się sama prawda i sprawiedliwość.

Wielką jednak pociechą jest dla niej fakt, że mimo wrogiej działalności różnych podziemnych czynników, zrozumienie znaczenia Kościoła i jego doniosłej roli w świecie dzisiejszym rośnie ciągle. Stwierdzić to można było zwłaszcza podczas niedawnej wizyty Sekretarza Stanu, kard. Eug. Pacelli. Od czasu kard. Consalvi i jego ostatniego pobytu w r. 1814 była to pierwsza oficjalna wizyta papieskiego legata *a latere* nad Sekwaną. Przyjęto go tu z honorami, należnymi panującym. Na dworcu Lyońskim, przybranym w zieleń i flagi papieskie i francuskie, stała straż honorowa gwardii republikańskiej, a na powitanie obok przedstawicieli Kościoła przybył minister spraw zagr. Yvon Delbos, prefekt departamentu Sekwany i dowódca okręgu wojskowego. W ogóle cały pobyt kard. legata, od 9—14 lipca br., był jednym triumfalnym obchodem, zgotowanym mu nie tylko przez katolików, ale i przez rząd Francji.

Zaraz po przyjeździe do Paryża był J. E. kard. Pacelli obecny na inauguracji Pawilonu Katolickiego na wystawie międzynarodowej, a dn. 11 lipca wziął czynny udział w procesji na zakończenie Narodowego Kongresu Eucharystycznego w Lisieux,

po czym — w obecności 5 kardynałów, 60 przedstawicieli episkopatu, ministra Louis Marin i około 250'000-ej rzeszy uczestników — dokonał poświęcenia nowej bazyliki, pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Godzinne przemówienie, jakie miał przy tej okazji i drugie, wygłoszone dn. 13 lipca w katedrze Notre-Dame w Paryżu, w obecności władz państwowych i samorządowych, wywarło niezatarte wrażenie na słuchaczach i pozostawiło po nim wspomnienie nie tylko głębokiego ascety, rozumiejącego równocześnie wszystkie aktualne zagadnienia, ale także świetnego mowcy, którego zestawiano z najsłynniejszymi kaznodziejami fraucuskimi.

Ks. St. Podoleński T. J.

Katolicka myśl społeczna w Polsce.

Kilka refleksyj na tle III-go Studium Katolickiego w Warszawie.

Tegoroczne Studium Katolickie, które się odbyło w Warszawie w dn. 5—10 września br., złożyło jeden dowód więcej, że katolicka myśl społeczna jest już wypracowana, rozwinięta, że posiada cechy życiowych postulatów. Przysłuchując się poszczególnym referatom i dyskusyjnym głosom, stwierdzało się z zadowoleniem, że myśl ta — według słów inauguracyjnego przemówienia J. E. Ks. Biskupa Szlagowskiego — jest prawdziwą odnową społeczności ludzkiej, gruntowną i powszechną. Niesprawdzony tylko zostaje trzeci najważniejszy przymiot: jej skuteczność. I tutaj — wbrew sceptycznym poglądom niektórych katolickich społeczników w Polsce, ulegającym społeczno-liberalnym nawykom, — Warszawskie Studium, skupiające kwiat polskiej katolickiej myśli społecznej, zdecydowanie opowiedziało się za młodzieńczą wiarą w katolicką przyszłość społeczną, taką jaką wykreśliły ostatnie lata katolickiej ewolucji, tj. w chrześcijański korporacjonizm czyli ustrój stanowo-zawodowy. Odrzucając możliwość i celowość zasadniczych rozbieżności we współczesnej myśli katolickiej, przekreślając nadzieję szukania innych dróg od dróg, wytkniętych przez społeczne encykliki ostatnich papieży, Warszawskie Studium kategorycznie stwierdziło, że *par excellence* katolickim ustrojem społecznym doby obecnej może być tylko chrześcijański korporacjonizm. Stanowisko to powinno raz na zawsze odebrać moc wspomianym liberalnym dążnościom w obozie katolickim w Polsce, upatrującym w korporacjonizmie jakąś kościelną „urzędówkę", narzuconą z góry „na wszelki wypadek", nieuwarunkowaną miejscowymi potrzebami danego kraju czy państwa, a zatem i niekonieczną, podległą dyskusji.

Jest rzeczą oczywistą, że nie istnieje katolicki ustrój społeczny jako taki, czyli innymi słowy — korporacjonizm jako

społeczny program nie jest koniecznością teologiczną, nie jest dogmatem, nie da się go wyprowadzić wprost z danych Objawienia. Rozumie to dobrze każdy nawet słabo wykształcony katolik. I tego nie mogło twierdzić Warszawskie Studium. Mogło natomiast twierdzić i mogło wykazywać — co też uczyniło aż nazbyt wymownie — że korporacjonizm jest konieczność ią historyczną.

Historyczna konieczność korporacjonizmu jako katolickiej organizacji zbiorowego życia narzuciło samo życie. Korporacjonizm pojęty jako urzeczywistnienie pewnych społecznych postulatów jest wytworem warunków, jest skutkiem zetknięcia się katolickich zasad obyczajowych z obecnymi warunkami społecznymi, rozwijającymi się z historyczną koniecznością, jest owocem zapłodnienia współczesnego życia przez zasady katolickiego poglądu na świat. Podkreśliliśmy słowo „współczesnego" życia, gdyż ze zmianą stosunków społecznych zmieni się prawdopodobnie i katolicki społeczny program. Obecnie jednak korporacjonizm jest koniecznym stosunkiem katolickiej myśli do współczesnych przejawów społecznego życia, ponieważ konieczność jego warunkują właśnie te przejawy. Religię katolicką można nazwać religią umiaru. Taka religia w zetknięciu się z dwiema społecznymi skrajnościami tj. z liberalizmem i indywidualizmem z jednej strony a kolektywizmem i uniwersalizmem społecznym z drugiej — musi wytworzyć pośredni sposób zorganizowania zbiorowego życia, jeżeli nie chce wyrzec się miana prawdziwej religii tzn. rzeczywistej siły, kształtującej i normującej życie. Liberalizm głosi bezwzględną wolność jednostki, dającą jej prawo do używania i nadużywania dóbr materialnych (liberalizm gospodarczy) i dóbr duchowych (libaralizm kulturalny) bez odpowiedzialności wobec społeczeństwa; kolektywizm zaś i totalizm przekreśla zupełnie prawa jednostki na rzecz zbiorowości. Obydwie te formy społecznej organizacji są faktami historycznymi. Dlatego korporacjonizm jako droga pośrednia między tymi skrajnościami jest historyczną koniecznością, domaga się urzeczywistnienia, o ile ma nastąpić zrównoważenie skrajności, prowadzących nieuchronnie do podważenia i zdezorganizowania całej dotychczasowej kultury ludzkiej.

Konieczność historyczna korporacyjnego ustroju społecznego, jakkolwiek dyktowana przez sam splot zewnętrznych warunków, nie jest jednak koniecznością czysto zewnętrzną, mechaniczną. Wypływa bowiem z samych głębin ludzkiej osobowości, zagrożonej niebezpieczeństwem popadnięcia w zaprzeczenie samej siebie. Współczesna katolicka myśl filozoficzna dochodzi do tych samych wniosków, do których doprowadza rozpatrywanie społeczno-gospodarczych stosunków (Sawicki, Stepa, Dembiński, Górski). Korporacjonizm jako program społeczno-gospodarczy jest odpowiednikiem chrześcijańskiego personalizmu i humanizmu w dziedzinie kultury.

Dlatego korporacjonizm jako wyraz katolickich zasad społecznych, opartych na prawie naturalnym i na Objawieniu, czyli jako katolicka doktryna społeczna nie jest zjawiskiem przejściowym, jakąś jednodniówką, lecz kryje w sobie stałą formę uspołecznienia ludzkości, ku której zawsze będzie ciążyć życie, gdziekolwiek zakwitną katolickie zasady (średniowiecze).

O ile jednak ustrój stanowo-zawodowy narzuca i doradza samo życie, zapłodnione katolicką myślą, o tyle urzeczywistnienie jego pozostaje w sferze wolnej woli i przedsiębiorczości jednostek. Tutaj już nie wystarcza wyczytać ogólne wskazania historii. Tu trzeba stworzyć jasny, szczegółowy program.

Jakże ta sprawa przedstawiała się na ostatnim Studium? Trzeba przyznać, że i pod tym względem uczyniono już wiele. Katolicka myśl społeczna posiada już własny program. Posiada zarys własnej gospodarki (stosunek kapitału i pracy, zawód jako podstawa gospodarczego ustroju, tworzenie trzeciego stanu polskiego, zasada narodowości, odżydzenie kapitału, uwłaszczenie mas drogą równania w górę, związanie miasta ze wsią, sprawa ingerencji państwa itd.). Posiada zaczątki nowego ustroju społecznego w postaci Akcji Katolickiej jako narzędzia do urzeczywistniania wymienionych wyżej postulatów. Budzi się już dynamika rozwojowa wśród ludzi świeckich. Ale to wszystko nie wystarcza w zestawieniu z tym, co już powinno było być dokonane. Przede wszystkim katolicki program społeczny nie dotarł jeszcze do świadomości mas. Samym szermowaniem — trudnym zresztą do wymówienia, nie mówiąc już o zrozumieniu — słowem: korporacjonizm nie porwie się mas, nie zapali się twórczej wyobraźni, tak niezbędnej w każdej przebudowie na dłuższą metę. Z drugiej strony szczyty społeczeństwa (uniwersytety, sfery rządzące) wykazują może nie mniejszy brak zainteresowania i zrozumienia dla katolickich prób przebudowy. Jak słusznie zauważył ks. J. Piwowarczyk — katolicka myśl społeczna odgrywa dotychczas w Polsce rolę skromną, zarówno jako ruch badawczy jak i realizacyjny.

Zarysowuje się więc przed polską katolicką myślą podwójna droga do przebycia: droga w dół i w górę. Obie drogi są bardzo ważne. Na razie bowiem stoimy pośrodku, jeżeli nie na boku. Zasady korporacjonizmu należy więc przetłumaczyć na język mas i jak najusilniej popularyzować jego postulaty, by wytworzyć w ten sposób samorzutny ruch od dołu, bez którego nie ma mowy o prawdziwym ustroju stanowo-zawodowym. Równocześnie katolicka myśl społeczna powinna zdobywać sobie należne stanowisko na naszych wyższych uczelniach oraz torować drogę do świadomości sfer rządzących. I tu dochodzimy do bodaj najważniejszego nerwu wszystkich posiedzeń Studium. Z każdego prawie wypowiedzenia się prelegentów i mówców przebijało jedno głębokie przekonanie, że sprawa katolickiej przebudowy społecznej to sprawą wychowawczej ewolucji, że słabą stroną a zarazem niezrównana

siłą katolickiego dynamizmu społecznego jest postulat organicznej przebudowy obecnego ustroju, a zatem postulat, wyłączający możliwość urzeczywistniania programu drogą gwałtownej przemiany, której tak łatwo czepiają się społeczne doły. Jak słusznie podkreślał p. Manteuffel w swoim referacie: „Problemy polskiego stanu średniego" — ustrój stonowo-zawodowy, oparty z jednej strony na przedsiębiorczości poszczególnych jednostek, wymagający temperamentu gotowego wydać ze siebie maximum wysiłku, zaś z drugiej strony karności społecznej i rozumnej uległości wobec czynników nadrzędnych, nie idzie po linii polskiego charakteru narodowego i z pewnością napotka na sprzeciwy ze strony psychiki przeciętnego Polaka. Małe odczucie powagi życia, brak głębszych życiowych ambicyj, pęd ku posadzie jako ku kresowi moralnej i fizycznej edukacji, pociągający za sobą zurzędniczenie psychiki, skłonność do kroczenia po linii najmniejszego oporu, polski oportuniżm, pochopny do przestawania na byle czym, wreszcie wrodzona niechęć do systematycznej pracy i przewidywania — oto główniejsze rysy polskiego charakteru narodowego, niesprzyjające zaprowadzeniu chrześcijańskiego ustroju w Polsce na miejsce obecnego gospodarczo-społecznego chaosu.

Dlatego też polski katolicki program społeczny wśród swoich naczelnych postulatów wysuwa żądanie bezwzględnie koniecznej przebudowy polskiej psychiki narodowej. Jest to wstępny a nieodzowny warunek przebudowy społeczno-gospodarczej. I ten postulat powinien dotrzeć do świadomości ogółu, zwłaszcza że dzisiejsze nastroje polskiego społeczeństwa idą na rękę wszelkim poważnym próbom wytworzenia nowego typu Polaka.

W ten sposób polska katolicka myśl społeczna staje przed ciężką i odpowiedzialną pracą wychowawczą, ale jednocześnie przed pracą wielką, zdolną porwać i zapalić wyobraźnie najbardziej żądne ofiary i poświęcenia, budzącą niezłomną otuchę w przyszłość, otuchę żyjącą wyczuciem sprzymierzeńca w samej logice dziejów. Wyrazem tej otuchy był coraz dobitniejszy radykalizm społeczny, jaki raz po raz dochodził do głosu podczas Warszawskiego Studium, a który nie tłumiony ślepo, lecz rozumnie pokierowany może przysłużyć się sprawie ogólnej polskiej przebudowy społecznej jako jej rozpędowa siła. Wobec tego, że katolicki korporacjonizm z doktryny staje się już społecznym programem, radykalizm ten tym mniejsze przedstawia niebezpieczeństwo, im łatwiej podlega kontroli. Za to może się stać skutecznym środkiem dotarcia do mas i rozruszania „dołów".

I mimowoli nasuwa się tu refleksja — pytanie, czy wobec dzisiejszych, jak dotychczas beznadziejnych prób zjednoczenia narodu na jednej wspólnej płaszczyźnie, katolicki program społeczny, łączący w sobie wszystkie główne postulaty społecznej sprawiedliwości, pełen przy tym odrodzeniowego dynamizmu, nie jest właśnie przeznaczony na taką wspólną płaszczyznę porozumienia?

Na koniec parę słów o zewnętrznej oprawie Studium. Pomijając stronę organizacyjną, która stała na wysokości swego zadania, z całym uznaniem należy podkreślić jako nader dodatnie zjawisko społeczne znaczny udział społeczeństwa świeckiego w ostatnim Studium. Daje to najlepszą rękojmię, że polska katolicka myśl społeczna wcieli się kiedyś w polski katolicki ustrój społeczny. I w przyszłych Studiach należało by zwracać na ten udział świeckich szczególniejszą uwagę.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 29 września 1937 r.

Kwadratura koła w polskiej pedagogice.

Dzień 4 października br. można śmiało nazwać czarnym dniem szkolnictwa odrodzonej Polski. W tym bowiem dniu część nauczycielstwa polskiego odważyła się na hańbiący czyn szkolnego strajku. Wszyscy pamiętamy szkolny strajk w „Kongresówce" i wszyscy widzimy w nim chlubny patriotyczny odruch polskiej młodzieży wobec przemocy zaborcy. Ostatni zaś strajk frakcji nauczycieli, stawiających w tępym zaślepieniu cele i dobro swej zawodowej organizacji wyżej niż autorytet państwa, niż świętość urzędniczej przysięgi, niż własny autorytet wobec młodzieży — spada piętnem hańby i zdrady na organizatorów rokoszu.

Olbrzymia większość społeczeństwa przyjęła z pełnym uznaniem zarządzenie p. ministra WR i OP, które, rozwiązując dotychczasowy zarząd ZNP, miało za cel usunięcie jaskrawych nadużyć niesumiennej kliki, która zawodową organizację nauczycielstwa polskiego usiłowała zepchnąć na tory partyjnej, dla interesów państwa i narodu szkodliwej roboty. Oświadczenie p. Premiera obarczyło dotychczasowy zarząd Związku doniosłym między innymi zarzutem dążności komunistycznych a społeczeństwo wie doskonale, iż zarzut ten jest głęboko uzasadniony. Tym większe za to musi ogarnąć zdumienie wobec faktu, iż zdyskredytowany poważnym oskarżeniem zarząd, pomimo prawomocnego zawieszenia, działa dalej, wydaje tajne instrukcje, organizuje „samorzutne protesty", zbiera składki, wzywa do „wytrwania w walce o postulaty zawodowe i organizacyjne". Wytwarza się więc wprost paradoksalna sytuacja, której tolerować żadną miarą nie można, bo w grę wchodzi najwyższy interes państwa i narodu.

Niejednokrotnie na łamach tego miesięcznika zwracano uwagę na destrukcyjną działalność zarządu ZNP i pewnej części jego członków; podnoszono śmiały zarzut o ścierających się wpływach masonerii i komunizmu; sygnalizowano zgubny radykalizm antykościelny a nawet antyreligijny. Wiemy doskonale, iż liczne przyczyny wpłynęły na takie właśnie ukształtowanie się ideowego oblicza Związku. Wielką winę w tym względzie ponoszą także wysoko postawione czynniki, które dzierżyły rządy przy Alei Szucha, my jednak pragniemy podejść do tego zagadnienia z innego, bardziej zasadniczego punktu widzenia, stawiając bolesne, a nie mające pozornie żadnego związku z tą sprawą, pytanie: co właściwie robią warsztaty pedagogiczne w zmartwychwstałej Polsce?

Bo to właśnie pytanie narzuca się nam żywiołowo, gdy rozważamy zgrzyty, tarcia, walki i rokosze, których terenem stała się w ostatnim czasie polska szkoła.

Przez szereg lat informowano szerokie koła polskiego społeczeństwa zupełnie nieściśle, jakoby tarcia i nieporozumienia na terenie polskiej szkoły sprowadzały się prawie wyłącznie do walki nauczycielstwa, zrzeszonego w ZNP, czyli tzw. „ogniskowców" z katolickim klerem. Elementy lewicowo-radykalne sugerowały opinię, iż chodzi w całej tej walce o zdrowy, prężny antyklerykalizm i ograniczenie rzekomej supremacji kleru na terenie szkoły. Uparta plotka powtarzała, iż nawet pewne czynniki oficjalne nie były niezadowolone, z takiego ustosunkowania się ZNP do katolickiego kleru. Kto jednak bliżej, dłużej a beztronnie, śledził przebieg tej walki, ten nie mógł nie zauważyć, że w całym tym sporze chodziło i chodzi właściwie o walkę dwuch kierunków pedagogicznych, które się wzajemnie wykluczają, których pogodzić nie można. Chodziło bowiem i chodzi o to, czy w polskiej szkole ma panować pedagogika chrześcijańska czy pedagogika niechrześcijańska?

I tu uważny obserwator wieloletniego sporu mógł zrobić ciekawe a doniosłe spostrzeżenie: oto polska pedagogika katolicka, nie mająca niestety w wolnej katolickiej Polsce żadnego warsztatu pracy naukowej — broniła się właściwie tylko swymi głębokimi korzeniami, które zapuściła

w psychice ludu polskiego. Pedagogika natomiast niechrześcijańska tkwi swoimi korzeniami głęboko w polskich warsztatach pracy pedagogicznej. Okazuje się coraz wyraźniej, że owe tak szkodliwe dla szkoły, dla państwa i Kościoła tarcia są ostatecznie tylko dojrzałym owocem tego, co przez długie lata rozsiewały polskie seminaria nauczycielskie, instytuty pedagogiczne oraz katedry pedagogiki. Przecież w wspomnianych warsztatach polskiej pracy pedagogicznej nie uczono zupełnie zasad pedagogiki chrześcijańskiej. Było kilka lekcyj dydaktyki nauczania religii, a o całokształcie katolickiej pedagogiki nie było w ogóle mowy, poza kilku nieścisłymi, szczątkowymi, niekiedy wprost tendencyjnymi wzmiankami o wychowaniu w średnich wiekach i o wychowaniu jezuickim.

Ale cała pedagogika, którą wpajano przyszłym nauczycielom, była w swych założeniach i w wszystkich zasadniczych kwestiach niechrześcijańska, a nawet w niejednym wypadku wprost sprzeczna z elementarnymi założeniami pedagogiki chrześcijańskiej. Absolwenci szkół pedagogicznych znają wprawdzie najrozmaitszych starszych a zwłaszcza nowszych pedagogów, posiadają gotowe formuły na temat znaczenia ich dla pedagogiki, ale zasady wychowawcze stworzone i wypróbowane przez Kościół, a oparte na nauce Chrystusa są im w swym całokształcie i potężnej logice zupełnie nieznane.

Jest to fakt równie smutny jak znamienny, iż pedagogika polska czerpie swe założenia światopoglądowe raczej z dzieł Rousseau'a, niż z Ewangelii. Ten przesłaniec Wielkiej Rewolucji, który nie zdołał w swym własnym życiu rozwiązać religijnego i moralnego problemu, a własnych swych dzieci nie umiał wychować — zatruł swym naturalizmem same podstawy nowoczesnej pedagogiki; mimo to jego *Emile*, zamieszczony przez Kościół na indeksie zakazanych książek, stanowi ciągle jeszcze źródło natchnień do urabiania poglądów w naszych pedagogicznych uczelniach. Możemy stwierdzić bez żadnej przesady, iż polska pedagogika czerpie swoje zasady i poglądy przeważnie z dzieł ludzi, którzy nigdy nie doszli do zrozumienia pełnego pozytywnego chrześcijaństwa (np. Kerschensteiner, Pestalozzi),

albo których założenia filozoficzne (pozytywizm Comte'a, pragmatyzm James'a, idealizm Kant'a) są sprzeczne z założeniami chrystianizmu. Nie brak wprawdzie za granicą wybitnych teoretyków pedagogii chrześcijańskiej ale o katolickich systemach naukowych zagranicznych, o wielkich katolickich naukowych wydawnictwach pedagogicznych panuje w naszych uczelniach głuche milczenie. Pedagogiczne i psychologiczne „tłumaczenia" zjawisk życia religijnego, podawane fragmentarycznie na różnych kursach i zjazdach pedagogicznych świadczą nieraz o całkowitej ignorancji naszych pedagogów, zapoznających zupełnie doniosłość i obiektywizm psychologii życia nadprzyrodzonego. Niejednokrotnie ma się wrażenie, jakoby polska pedagogika i psychologia szukały klucza do rozwiązania zjawisk katolickiego życia religijnego raczej w dziełach żyda Freuda i jego zwolenników, niż w dziełach naukowców katolickich.

W tej ideologicznej atmosferze naszej pedagogiki nietrudno zrozumieć i ocenić głośne fakty, oburzające do głębi każdego uświadomionego katolika. Wszyscy pamiętają, iż dyrektor państwowego pedagogium w Warszawie p. Spasowski wydał jako testament dla nauczycieli polskich książkę: *Wyzwolenie człowieka,* która jest stekiem obelg rzuconych na chrześcijaństwo. [1]) Absolwenci państwowego pedagogium utworzyli Koło uczniów prof. Spasowskiego, które tworzy lewe skrzydło radykalnego ZNP. Za główny cel uważa owo Koło Spasowiaków walkę z religią na terenie szkoły. Celem rozszerzenia antyreligijnej propagandy urządzali Spasowiący „konferencje pedagogiczne", na które schodzili się także nauczyciele nie należący do Koła. W biuletynie Koła Spasowiaków zamieszczono następujące streszczenie referatu wygłoszonego na jednej z takich „konferencyj pedagogicznych" przez dr. T. Orynga:

Wychodząc z założenia, że tzw. szkoła świecka nie usuwa dostatecznie wpływów religijnych, działających z różnych źródeł, domagamy się szkoły antyreligijnej, w której szeroko byłaby rozwinięta propaganda antyreligijna. W dzisiejszych warunkach trudno oczywiście marzyć o takiej szkole. Jednak przy dobrych chęciach

[1]) Zob. *Przegląd Katolicki,* 1934, str. 121.

nauczyciel ma możność przy nauce każdego przedmiotu prowadzić propagandę antyreligijną.

Kto wyszedł z naszej szkoły ten jest dobrze przygotowany do tępienia zabobonów religijnych. Szkoła bezwyznaniowa jest dla nas przeżytkiem: naszym celem jest szkoła antyreligijna; do tego idziemy i chwila realizacji tych naszych dążeń nadchodzi... Obecnie rozporządzamy do naszych celów w szkole: matematyką, przyrodą i fizyką. Historia i literatura mają charakter zachowawczy, ale niedaleką jest chwila, że i te przedmioty dostaniemy w ręce dla propagandy antyreligijnej.

P. Oryng doradzał nadto, by także rodzice przedstawiali uczniom kler jako wroga klasy pracującej, wyzyskującego lud roboczy ręka w rękę z burżuazją. Pod wpływem Koła Spasowiaków polecono w roku 1925 jako podręcznik szkolny książkę Nałkowskiego: *Zarys metodyki geografii,* w której jest mowa o „wypieraniu z umysłów dziecięcych, tkwiących w nich dziedzicznych lub przeszczepionych z ciemnego otoczenia pojęć przyczyn nadnaturalnych". Autor uważa wiele naszych świętych zwyczajów i poglądów za przeżytki, które zasługują na jak najprędsze wytępienie.

Odezwa Episkopatu Polskiego stwierdziła, że w r. 1930 na zjeździe Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krakowie „wygłaszano postulaty tak sprzeczne z wymaganiami zdrowego wychowania, tak nienawistne w stosunku do religii, do Kościoła i sług jego, że wzbudziły w społeczeństwie powszechne uczucie zgrozy i lęku o dusze naszej młodzieży szkolnej". [1]) Barycka, (pseudonim p. Zajchowskiej), napisała obrzydliwy paszkwil na duchowieństwo katolickie a ZNP gorąco książkę tę po dziś dzień poleca. [2])

Nauczyciele polscy, absolwenci naszych polskich seminariów nauczycielskich, należący do ZNP protestowali energicznie, na zjeździe w Krakowie w roku 1930 i w specjalnym memoriale przesłanym Rządowi Polskiemu, przeciw najbardziej podstawowym środkom wychowawczym pedagogiki katolickiej, tj. przeciw praktykom religijnym, które rozporządzenie ministerialne, zgodnie z postulatami pedagogiki

---

[1]) Zob. Dr M. Skrudlik, *Bezbożnictwo w Polsce,* Katowice, 1935, str. 97—103.

[2]) *Przegląd Powszechny,* 1934, str. 496, albo Skrudlik, tamże str. 108.

chrześcijańskiej, zalicza do całości wychowania szkolnego. A protesty te powtarzały się niejednokrotnie.

Warto więc zastanowić się nad tym faktem: Rząd polski, państwo polskie nakazuje wychowanie, oparte na zasadach chrześcijańskich, a nauczyciele polscy, wychowani przez państwowe zakłady pedagogiczne, protestują energicznie przeciw elementarnym postulatom pedagogiki chrześcijańskiej, na których państwo chce budować wychowanie religijno-moralne swoich obywateli. Państwo polskie chce zapewnić szkolnej młodzieży najwyższe wyrobienie religijno-moralne a zarząd organizacji nauczycieli polskich, wychowanych w seminariach nauczycielskich i pedagogiach państwowych wydaje drogą stwierdzonych niedawno nadużyć *Dziennik Poranny,* który przez całe miesiące, za pieniądze nauczycieli polskich, stara się możliwie obrzydzić tymże nauczycielom chrześcijaństwo za pomocą artykułów, które pod względem wyboru tematów i formy opracowania żywo przypominają występy antykościelne masońskie lub kryptokomunistyczne. W świetle tych faktów jest także rzeczą oczywistą, że *Płomyk* wydawany przez ten sam Związek Nauczycielstwa Polskiego, a wszelkimi środkami moralnej presji propagowany przez „ogniskowców" w szkołach polskich, bynajmniej nie przypadkowo w osławionym numerze 25 pokazał oblicze filobolszewickie.

Na rzeczy te można patrzeć optymistycznie lub pesymistycznie ale jedno jest pewne, a mianowicie to, że nie wolno myśleć, iż to wszystko nieprawda, przesada lub klerykalna nagonka.

Nas tu jednak interesuje pytanie, czy i jaki zachodzi związek pomiędzy warsztatami pedagogiki polskiej a tymi smutnymi faktami? Czy nasze polskie seminaria nauczycielskie nie ponoszą żadnej winy za te smutne fakty i nastroje? Czyż na niwie polskiego wychowania mogłyby się rozwinąć wyżej wspomniane zatrute kwiaty, tak charakterystyczne dla niechrześcijańskiej pedagogiki, gdyby w polskich uczelniach pedagogicznych wykładano pedagogikę chrześcijańską lub przynajmniej uwzględniano jej zasadnicze postulaty?

Można dalej sformułować pytanie: co zrobiły polskie seminaria nauczycielskie, pedagogia, katedry pedagogiki dla

pedagogiki chrześcijańskiej, katolickiej? Otóż trzeba wyznać ze wstydem, że przez te długie lata po zmartwychwstaniu Polski nie zrobiły dla niej nic. Tak dalece nic, iż p. prof. dr Kuchta mógł napisać:

Jakkolwiek jesteśmy narodem wybitnie katolickim, z przykrością skonstatować należy, że niestety nie znamy jednego z najbardziej podstawowych kierunków współczesnej pedagogiki, tj. pedagogiki katolickiej. Nie mamy nawet najmniejszego chociażby szkicu w polskiej literaturze pedagogicznej o współczesnej katolickiej pedagogice, ani jednej rozprawy o naszych pedagogach tak europejskiej miary jak chociażby ks. St. Dunin-Borkowski, ks. J. Lindworski... [1])

Charakterystycznym jest i to, że w Encyklopedii wychowania [2]) w obszernym a wartościowym artykule p. prof. B. Nawroczyńskiego, poświęconym współczesnym prądom pedagogicznym, jest wprawdzie mowa o pedagogice Foerstera, który, choć zbliża się w swych zasadach do katolicyzmu, katolikiem jednak nie jest, natomiast o pedagogice katolickiej, która Polaków-katolików najbardziej interesuje, znajduje się tylko ogólnikowa wzmianka w ustępiku liczącym 23 wiersze, i to jeszcze łącznie z „nauką o wychowaniu, głoszoną przez przedstawicieli różnych kościołów i wyznań chrześcijańskich".

Wytworzyła się więc w polskim wychowaniu paradoksalna sytuacja. Z jednej strony przepisy szkolne państwowe żądają od nauczyciela, by dał dzieciom katolickim najwyższe wyrobienie religijno-moralne, aby uważał praktyki religijne chrześcijańskie za element pedagogiczny należący do całości nauczania i wychowania szkolnego, aby pielęgnował korelację z nauką religii, z drugiej zaś strony w uczelniach, kierowanych przez państwo, wpaja się w polskiego nauczyciela pedagogikę, która w swoich założeniach jest sprzeczna z chrześcijaństwem, która praktyki religijne uważa jako czynniki wychowawcze, należące raczej do lamusa niż do wychowania, która świadomie zrywa wszelkie węzły, łączące etykę i wychowanie z dogmatami, najbardziej charaktery-

[1]) Przedmowa do: L. Siemieńska: „Główne kierunki współczesnej pedagogiki". Pedagogika katolicka w świetle badań Fr. de Hovre'a, Lwów, 1936.

[2]) Warszawa, 1934, tom I. zeszyt 9.

stycznymi dla chrześcijaństwa. Wystarczy wspomnieć o dogmacie życia nadprzyrodzonego, o grzechu pierworodnym, o odkupieniu, o celu nadprzyrodzonym człowieka, o Kościele jako mistycznym ciele Chrystusa Pana, o sakramentach. — Czyż to zatem nie kwadratura koła, którą ma rozwiązać polski nauczyciel?

Elementarna logika wymaga zatem, by pedagogika wykładana w obecnych liceach pedagogicznych, w pedagogiach, na katedrach pedagogiki była oparta na zasadach chrześcijańskich, by zdobycze psychologii, badań pedagogicznych i wszystkich nauk pomocniczych pedagogiki wbudowano, wraz z zasadami chrześcijańskimi, naukowo i gruntownie przestudiowanymi, w piękny system polskiej pedagogiki chrześcijańskiej.

Z drugiej strony musimy mieć pewność, że polscy pedagogowie zechcą, w myśl istniejących przepisów państwowych, przygotować jak najlepiej przyszłych wychowawców młodzieży, do spełnienia tych zadań, które im państwo polskie w szkole polskiej stawia.

Istniejący obecnie a tak zasadniczy rozdźwięk między teorią państwowych przepisów a praktyką pedagogicznych uczelni musi być usunięty. A więc przede wszystkim czynniki decydujące muszą zwrócić uwagę na zasadniczy pewnik, iż polskie szkoły pedagogiczne nie potrafią żadną miarą wychować chrześcijańskich pedagogów młodzieży szkół powszechnych i średnich za pomocą pedagogiki niechrześcijańskiej, czerpiącej pełnymi rękoma z źródeł niechrześcijańskich czy nawet antychrześcijańskich. Albo więc trzeba zrezygnować z państwowego programu wychowawczego, co stało by w sprzeczności z konstytucją i wolą narodu, albo zdecydować się na reformę ideową pedagogicznych uczelni.

Ogniskowcy, jak wynika z ich różnych publikacyj, chcą powyższy dylemat rozwiązać w ten sposób: iż należy w uczelniach wykładać pedagogikę, opartą na zasadach agnostycyzmu, naturalizmu, liberalnej neutralności, czyli wykładać pedagogikę niechrześcijańską i w duchu takiej samej pedagogiki wychowywać młodzież polską. Jest w tym oczywiście logika. Tylko, że ZNP a raczej jego zarząd to jeszcze nie Polska!

A Polska katolicka domaga się, w myśl państwowych przepisów szkolnych, wychowania opartego na zasadach chrześcijańskich oraz wykładania chrześcijańskiej pedagogiki w wszystkich szkołach pedagogicznych. A domaga się tego dla dobra państwa i narodu, bo zbyt dobrze wiemy czego się można spodziewać po pedagogice opartej na niechrześcijańskich zasadach naturalizmu. [1])

Najgorętszy nawet apel do harmonijnej współpracy pomiędzy zwolennikami pedagogiki chrześcijańskiej i niechrześcijańskiej, a nawet szczera wola takiej harmonijnej współpracy pomiędzy jednymi i drugimi nie może usunąć fatalnych zgrzytów i skutków, które na terenie wychowania szkolnego pojawiać się muszą, dopóki będą się ścierały w polskim wychowaniu dwa zupełnie sprzeczne prądy, chrześcijański i niechrześcijański.

Czyż zatem olbrzymia większość katolików miałaby ustąpić garstce wolnomyślicielskich doktrynerów? Dotychczas faktycznie ustępowała, gdyż w katolickiej Polsce nie ma ani jednej katedry pedagogiki katolickiej, jedyną bowiem, która istniała we Lwowie, zwinięto dla względów oszczędnościowych.

Państwowe szkoły pedagogiczne, jak wykazaliśmy wyżej, wykładają pedagogikę niechrześcijańską, zlaicyzowaną, opartą na założeniach filozoficznych, sprzecznych z filozofią chrześcijańską i dlatego też dla katolickiej pedagogiki nic pozytywnego dotychczas nie zrobiły. Państwowe szkoły pedagogiczne wychowują właściwie nauczycieli i wychowawców dla dzieci rodziców-niekatolików, bezwyznaniowców, lub religijnie obojętnych. W państwowych pedagogiach nie ma wykładów ani dogmatyki ani etyki chrześcijańskiej, z których słuchacze mogliby się zaznajomić z podstawami pedagogiki katolickiej. Jest przewidziana tylko jedna godzina tygodniowo dydaktyki religii w drugim półroczu drugiego roku!

Istniejące zatem w Polsce szkoły pedagogiczne przygotowują grunt do ciągłych i nieuniknionych konfliktów na terenie szkolnym pomiędzy pedagogiką chrześcijańską, opie-

---

[1]) Cfr. *Katolicka myśl wychowawcza*. Poznań 1937.

rającą się o 22 miliony katolików a pedagogiką niechrześcijańską, opierającą się o garstkę zwolenników filozofii agnostycyzmu i naturalizmu. [1])

Jakiż interes naukowy czy państwowy przemawia za tym, by polską pedagogikę budować na tak kruchych pod względem filozoficznym a tak obrażających katolików — bo sprzecznych z chrystianizmem — zasadach?

Można i trzeba rozbroić awanturnicze zapędy zarządu ZNP ale równocześnie trzeba zrozumieć, iż wszelkie środki administracyjne zawiodą, jeśli ideologia naszych szkół pedagogicznych nie ulegnie radykalnej zmianie.

Trzeba przede wszystkim usunąć z polskiej pedagogiki beznadziejną kwadraturę koła!

---

[1]) W najnowszym wydaniu znanej encyklopedii *Der Grosse Herder*, czytamy następującą uwagę o agnostycyzmie: „W filozofii można dziś agnostycyzm uważać za właściwie już pokonany, chociaż masy półinteligencji jeszcze pozostają pod jego wpływem a niektórzy przedstawiciele nauk przyrodniczych jeszcze nie zdołali się od niego oderwać". (Der Grosse Herder, Freiburg, 1931, tom I, 194).

Dr W. Jasiński.

Tomasz Garrigue Masaryk.
1850—1937

Człowiek, który dopiero co zeszedł z areny życia, wyrastał ponad ideę, której był wcieleniem, a trud i dzieło, jakie dźwignął swym długim żywotem, przerastało jego własne najśmielsze marzenia. Ten szlachetny uczony, lojalny myśliciel, patriota bez skazy kochał i głosił zawsze prostotę i szczerość; ma więc prawo do pośmiertnego wspomnienia, dalekiego od urzędowych panegiryków lub osobistych porachunków, dyktowanych przez niechęć, sięgającą nawet poza grób.

Nie mamy lepszego sposobu wyrażenia swych uczuć wobec Masaryka-człowieka nad pochylenie czoła przed tym niepospolitym człowiekiem, ożywionym najszlachetniejszymi porywami, przed jego dobrym, prostym, prawym i ujmującym charakterem.

W życiu prywatnym przedstawiał Masaryk typ człowieka naprawdę wszechstronnego, dorabiającego się wszystkiego własną pracą, a mimo to skromnego. Wrodzona wyższość łączyła się u Masaryka z manierami na wskróś demokratycznymi. Przenikliwa inteligencja znakomitego profesora z równą łatwością umiała opanować najprzeróżniejsze dziedziny. Równie swobodnie mówił w towarzystwie jak i z wysokości katedry lub na parlamentarnym posiedzeniu, zawsze głosem mistrza, pouczającego swych uczniów o świeżo odkrytej a nader doniosłej prawdzie. Umiał być pełen godności wobec panujących i wobec obcych mężów stanu; do swych współobywateli przemawiał z powagą, na-

kazującą szacunek i posłuch; budził zaufanie u równie mu drogiego ludu jak i wśród młodzieży.

Ktokolwiek zetknął się z Masarykiem na swej drodze życia, nie mógł znaleźć słów uznania dla jego cnót jako ojca rodziny, wiernego przyjaciela, ujmującego i towarzyskiego druha. Masaryk wprost uwielbiał swą matkę, prostą wieśniaczkę bez żadnego wykształcenia, ale za to odznaczającą się rzetelną i gorącą pobożnością; szanował swego ojca, z zawodu woźnicę cesarskiego dworu, sługę, żywiącego w swej duszy wyzwoleńczą nienawiść ku swym panom, którą — w uszlachetnionej postaci — miał przekazać swemu synowi, przyszłemu burzycielowi monarchii Habsburgów.

Małżeństwo młodego docenta z Amerykanką, nieprzeciętnie inteligentną osobą, obdarzoną wszystkimi zaletami i ciała i duszy, stanowiło wzór dobranego pożycia małżeńskiego. Nic więc dziwnego, że w ognisku tym wzrastały dzieci w tej samej atmosferze rodzinnej czułości, jaka później rozbłysła szczególniej w osobie Masaryka-dziadka.

Masaryk troskliwie dbał o swoich uczniów. Nie tylko zabiegał — jak opowiada jego uczeń i następca na najwyższym urzędzie Benesz we wspomnieniach poświęconych swemu mistrzowi — o ich wiedzę, lecz i o utrzymanie, o społeczne stanowisko, odpowiednie ich zdolnościom. Wszyscy bez wyjątku politycy, którzy w swej karierze spotkali się z czeskim leaderem, przyjaciele i przeciwnicy — bo wrogów Masaryk nie miał — zgodnie podnosili jego dżentelmeński sposób prowadzenia walki. Dodajmy, że ten szermierz bardzo jasnych i czystych idei z poszanowaniem odnosił się do każdego innego szczerego przekonania i do każdej innej szlachetnej sprawy. Bez zdrady własnych zasad głosił tolerancję wobec przekonań innych; szedł na ustępstwa, lecz nie na podejrzany kompromis. Słowem był to humanista, nie uznający żadnej zdrady czy choćby frymarczenia dobrami prawdziwej kultury duchowej.

* * *

Wychowanek austriackiego gimnazjum, z powodu trudności finansowych późno dopuszczony do magisterskiego stopnia, Masaryk musiał zarabiać na chleb jako kowalski

lub ślusarski czeladnik, później zaś podczas filozoficznych studiów na wiedeńskim uniwersytecie udzielaniem naukowej pomocy studentom. We Wiedniu syn słowackich proletariuszy zetknął się po raz pierwszy i zapoznał bliżej z uczonymi, którzy urabiali i prowadzili jego austro-niemieckich kolegów i uległ ich wpływom. W pierwszym więc okresie swego duchowego rozwoju będzie heglistą, zabarwionym z lekka socjalizmem „socjalistów z katedry" *(Kathedersozialisten)* w rodzaju Schaefflego i Brentano, którzy około roku 1880 panowali wszechwładnie na austriackich uniwersytetach.

Inny Brentano, filozof na miarę geniusza, który porywał młodzież swego kraju i który zwłaszcza zostawił świetną plejadę uczniów w Czechach, uchronił przyszłego prezydenta przed pogrążeniem się w materializmie. On to, Franciszek Brentano, były ksiądz, apostata lecz jeszcze teista, nostalgią za utraconą wiarą w swej duszy, rozbudził w Masaryku zaciekawienie dla zagadnień religijnych, zasiał w sercu tego sceptyka ziarno jakiejś wiary chrześcijańskiej, która miała wydać niedojrzały owoc w pół wieku potem.

Drugim doniosłym wypadkiem w duchowym rozwoju Masaryka stało się zetknięcie jego z Ameryką, z jej rzeczywistością i z anglosaskim realizmem. Masaryk ulega urokowi tej, która będzie jego żoną i w Lipsku oświadcza się Szarlocie Garrigue a poślubia ją w Nowym Jorku. Po powrocie do Europy nie zamyka się już w czterech ścianach biblioteki, lecz oddaje się życiu czynnemu, którym kierować będzie jego rozległa, pracowicie nabyta wiedza. Osiada na stałe w Pradze, otrzymuje kierownictwo konferencji na uniwersytecie czeskim i wchodzi w wir polityki. Zakłada czasopismo *Ateneum* i partię pod nazwą „Realistów". Członków partii i współpracowników pisma tworzą ci sami ludzie.

Łączenie myśli z czynem, praktyczne stosowanie wiadomości, przetwarzanie teoryj w przeżycie i doświadczenie — oto charakterystyczne w tym okresie cechy Masaryka, upojonego odczuciem rzeczywistości, owładniętego kultem uduchowionego utylitaryzmu Ruskina, Carlyle'a, w ogóle Anglików i Amerykanów. Baczny jednak obserwator Masaryka wyczuje i w tym okresie dość silną dawkę roman-

tyzmu, ukrytą pod powłoką nowoczesności i czynnego rozmachu. Podobni w tym do współczesnych sobie Polaków — choć mniej romantyczni od tych największych romantyków Słowian — Czesi stają się w tym okresie wrogami illuzyj, fanatykami pracy. Masaryk-polityk to równocześnie Bolesław Prus, twórca *Lalki* i *Emancypantek*, oderwany od swego biurka i książek i przeniesiony z Warszawy do Pragi, potem do parlamentu w Wiedniu, by tam popierać lub zwalczać projekty ustaw, a dla odmiany przemawiać wobec zgromadzonych tłumów.

Ustawiczna styczność Masaryka z rodzimą ziemią i krajem zmusza go do bliższego poznania narodowej przeszłości. Społecznik porzuca współczesną sobie epokę, by w przeszłości szukać drogowskazów na przyszłość. Stanowi to jeszcze jedną analogię z Polakami i innymi Słowianami środkowej oraz wschodniej Europy, pozbawionymi przez długie lata własnej państwowości, podległymi bądź Habsburgom, bądź Rosji, bądź władztwu Ottomanów. Wszystkie te narody ze wspomnień o dawnej niezawisłości, z marzeń o samostanowieniu czerpią siły do politycznego odrodzenia i usprawiedliwienia własnych niepodległościowych porywów i zmagań. Lecz wskrzeszając postacie przeszłości, Masaryk nie szuka w nich wyłącznie chwały i otuchy. Poczucie prawdy każe mu ustalać fakty i odsłaniać je w takim świetle, w jakim wychodzą z krytycznego badania źródeł, choćby cierpiała na tym narodowa duma.

Profesor Gebauer, wybitny filolog i przyjaciel Masaryka, niezbitymi dowodami zaatakował autentyczność sławnego rękópisu *Dvůr Králové*. Dokument, uchodzący do niedawna za najstarszy zabytek poezji czeskiej, odkryty w połowie XIX w. przez Hankę, jednego z artystów narodowego odrodzenia, bibliotekarza i archiwistę, okazał się nagle sztucznym zlepkiem przeróżnych urywków, podrobionych sprytnie przez tego, który miał go rzekomo wyrwać z zapomnienia zamierzchłej przeszłości. Masaryka i jego przyjaciół, którzy podzielali zdanie Gabauera, sponiewierano, wyśmiano, prawie że wyklęto z narodowej jedności. Oni jednak nie zważali na to z niezłomnym postanowieniem słuchania wyłącznie głosu sumienia. Wprawdzie ucierpiała na tym dalsza poli-

tyczna kariera uczonego profesora, nie została jednak złamana tą falą oburzenia, jaka spiętrzyła się dokoła burzyciela fałszywego sanktuarium. Przekroczywszy czterdziestkę, napiętnowany przez zbiorowy gniew swych ziomków, Masaryk przeszedł w tym roku krótką zaprawę do służby dyplomatycznej w austriackim parlamencie, jako członek młodej partii czeskiej, z którą dawniej realiści toczyli zacięte boje i zaraz potem wycofał się z politycznej widowni, choć już nigdy odtąd nie przestał zajmować się polityką.

Ostatnie lata XIX stulecia stanowią szczyt polityczno-naukowej działalności Masaryka. Był to okres, w którym rozwinął on podstawowe założenia swojej politycznej myśli. Uczynił to na łamach czasopisma *Naše Doba,* które zajęło miejsce *Ateneum* oraz w *Czasie,* gdzie przywódca realistów rozwinął swą naukę, śledził i tłumaczył bieg wypadków do roku 1893. W tym też okresie ukazały się jedna po drugiej rozprawy, a więc *Sprawa czeska, Obecny nasz kryzys, Nowoczesny człowiek i religia, Czeska idea narodowa u Palackiego, Kryzys naukowy i filozoficzny współczesnego marksizmu.*

W pismach tych znajdujemy filozofię historii czeskiej i zarys odrodzenia, opartego na wskazaniach wielkiej narodowej przeszłości. Głęboka przepaść dzieliła tę „Czeską Akcję" od monarchizmu i wszelkiej „reakcji".

„Cały sens naszej historii streszcza się w tym wskazaniu: zrozumieć moralne i kulturalne posłannictwo ludzkości. Nie siłą, lecz pokojowo i nie mieczem, lecz pługiem; nie przez krew, lecz przez pracę; nie przez śmierć, lecz przez życie dla życia... Oto odpowiedź czeskiego geniuszu narodowego, oto sens naszej historii i dziedzictwo naszych wielkich przodków." „Reforma czeska była wybitnie moralna, oto dlaczego oparła się Kościołowi i dlaczego wyzyskała Kościół przeciw państwu". „Sprawa społeczna jest sprawą moralności lub amoralizmu, to sprawa brutalnej przemocy lub ludzkiego działania".

Oto kilka wypowiedzeń się Masaryka o „sprawie czeskiej". Masaryk zdradza tu swe bliskie powinowactwo duchowe z husyckimi teoretykami, których ideologią karmił się od wczesnej młodości. Zresztą i teraz studiuje, pochłania

wprost i uwielbia ich pisma. Wydał w tym czasie pochwałę Jana Husa (rok 1896) i kontynuatora tradycji husyckiej Komeńskiego.

Jednak Masaryka-husytę przerobili już mocno pozytywiści i socjaliści XIX wieku oraz Anglosasi i przekonali go o konieczności wyzbywania się chimerycznych złudzeń. Dlatego obok tych płomiennych wezwań do moralności, sprawiedliwości, ludzkiego poczucia *(bon sens)*, spotykamy uwagi, że zupełna równość jest utopią. „Ludzie są nierówni. Nierówność istniała zawsze i zawsze będzie istnieć... Równość to nic innego, jak znośny stopień nierówności — według określenia Kanta". Z drugiej strony husycki spirytualizm uodpornia Masaryka przeciw sprzecznościom prawowiernego marksizmu. „Kto pojmuje państwo na sposób materialistyczny, natknie się na trudność wytłumaczenia społeczności, życia jako przejawów zbiorowych... Zastanawiając się uważnie, zrozumie przynajmniej to, że człowiek, że społeczność nie są jedynie nienasyconą maszyną, lecz także istotą, która czuje, myśli"... „Nasze odrodzenie musi być odrodzeniem duszy".

Spirytualizm ten zastrzegał się jednak przed religią objawioną. W jednym z przemówień na kongresie wolnomyślicieli w Bostonie Masaryk oświadczył, że wydobyty został z pochwy miecz na wszystkie kościoły i na wszystkich teologów. „Ten kto poznał metody naukowe, kto posiadł wiedzę i filozofię, nie potrafi przyjąć religii objawionej. Przejście z religii objawionej do nieobjawionej, oto rewolucja, jaka musi się dokonać. Porzucić wiarę objawioną — oto krok rozstrzygający. Nauka i filozofia poucza nas, że nie ma ani objawienia, ani cudów, że przyroda i społeczność kierowane są przez nieodwołalne prawo. Ten kto nie wierzy objawieniom, ufa tylko swemu rozumowi... Musi opierać się na samym sobie". Religia nieobjawiona natomiast jest możliwa, co znaczy, że jest konieczna, że stanowi owo *unum necessarium*, przekazane przez Komeńskiego swemu narodowi jako najświętszy obowiązek i najszczytniejszy przywilej. Naczelne przykazanie tej wiary w człowieczeństwo polega na szukaniu i obronie Prawdy, na miłowaniu i niesieniu pomocy podobnym sobie...

Masaryk nie przeczuł możliwości innego stanowiska, nie przełamał przesądów upojonego pseudo-wiedzą XIX stulecia. Pozostał na stopniu religii naturalnej, ale pozostał jej wierny do końca życia.

W roku 1907 wrócił do parlamentu jako poseł wybrany przez powszechne głosowanie i jako przedstawiciel partii liczącej... trzech członków. Nie przeszkadzało to jej jednak w odgrywaniu znacznej roli. Słuchano jej, budziła niewspółmierny lęk, ściągała na siebie przekleństwa. Ten sam Aerenthal, który odegrał rolę pewnego rodzaju luźnego sprzymierzeńca w zatargu z Rzymem, stał się zaciętym wrogiem Masaryka, z chwilą kiedy wykonał parę swych nieprzyjaznych posunięć w odniesieniu do Rosji i Serbii. Przy końcu kryzysu roku 1908/9 Masaryk współpracował z cesarską i królewską dyplomacją, usiłował doprowadzić stosunki do kompromisu, uspokoić swych przyjaciół z Belgradu i Zagrzebia, pełnił kilka poufnych misyj. Lecz sprawy pogarszały się z dnia na dzień. Masaryk z całą energią przeciwstawił się polityce Ballplatz'u, demaskował i piętnował antyslawizm i zaborczy imperializm austro-węgierski, zakładając jako trybun lub jako członek parlamentu tzw. „Delegację", gdzie omawiano sprawy zagraniczne i wszystko, co wiązało się z Austrią i Węgrami, dyskutowano nad codzienną czeską lub wiedeńską prasą.

Ta rozgrywka z Aerenthalem w sprawie serbskiej, zakończona kompromitacją dyplomacji wiedeńskiej, wciągniętej w pułapkę, zastawioną przez jakiegoś fałszerza dokumentów, jeszcze bardziej podniosła polityczne znaczenie Masaryka, który odegrał w niej zaszczytną rolę obrońcy prawdy. Następca ministra spraw zagranicznych hrabia Berchtold usiłował ułagodzić tego groźnego przeciwnika przez rzeczywiste ustępstwa i popieranie go w dyplomatycznej karierze. Wszelkie jednak usiłowania Masaryka, by doprowadzić Austro-Węgry do zawarcia trwałego kompromisu z narodami słowiańskimi, żyjącymi w granicach monarchii, nie przyniosły żadnego wyniku wskutek ciągle nieprzychylnego stanowiska kierowników wiedeńskiej polityki. Masaryk nie przekreślił jeszcze w tym okresie koncepcji Palackiego, według której Austria była jednym ze składników europejskiej karty

politycznej tak koniecznym, że należało by ją stworzyć, gdyby jej nie było. Kierunek ten zachował Masaryk prawie aż do śmierci Franciszka Józefa.

W tych właśnie burzliwych czasach wielki myśliciel wydał główne swe dzieło o Rosji, jej myślicielach i literaturze: *Rosja i Europa.* Napisał je po niemiecku i zdobył powszechne uznanie europejskiej krytyki. Dwutomowe to dzieło wyszło spod pióra niezrównanego obserwatora; odznacza się niepospolitą bystrością, ożywia je szerokie tchnienie humanizmu. Masaryk stykał się osobiście z rosyjskimi politycznymi i literackimi koryfeuszami, począwszy od Tołstoja — toteż stworzył obraz, wspaniałą panoramę, w której jednak tkwił zasadniczy błąd. Masaryk przedstawiał bowiem Rosję jako młodą, świeżą, naiwną Europę, gdy tymczasem Rosja była już wtedy tym, czym jest dotychczas, zaprzeczeniem Europy. Czeski mąż stanu wyczarowywał przed naszymi oczyma bogactwa wierzeń rosyjskich, rosyjskiego buntu i myśli, mówił o sztuce i literaturze, analizował zbiorową duszę i poszczególne wielkie osobowości, lecz pomijał zupełnie dwa podstawowe zjawiska, dzielące Rosję od Europy: wewnętrzny jej anarchizm i stadową karność, narzuconą przez pierwszego tyrańskiego przybysza. Słowianina, jakim był Masaryk, nie raziła jakoś pierwsza ujemna cecha rosyjskiej duszy: anarchizm; drugiej nie znał zupełnie ten typowy doktryner zachodniej kultury.

I „Słowianin" i „doktryner" zmusił patriotę czeskiego do zajęcia stanowiska przeciwnego państwom centralnym z chwilą rozpętania się powszechnej zawieruchy wojennej. Stary fanatyzm prawdy, miłość i żądza czynu skłoniła Masaryka do niezważania na bieg wypadków, do zaryzykowania wszystkiego, do porzucenia domu, rodziny, wygodnego stanowiska społecznego, jakie już zajmował, i puszczenia się na szlaki dobrowolnej tułaczki. Gdy przekraczał austriacką granicę, przywódca czeskiej rewolucji liczył lat 64. Wyszedł z naukowej pracowni i wkroczył na widownię wielkiej historii. Lecz nie wszedł tam dużymi drzwiami. Pierwsze kroki ku oswobodzeniu swego narodu stawiał w cieniu różnych kancelaryj, w siedzibie instytucyj o wątpliwej przyszłości, choć mocno „oświeconych" i postępowych.

Energia, jaką rozwijał Masaryk już jako starzec, bez liczenia się z własnymi siłami, budzić musi uznanie i podziw. Masaryk podróżował po świecie, stojącym w płomieniach wojennej pożogi, zjednywał dla swych zamysłów rządy i parlamenty, dwory i dziennikarzy. Dziś był gościem ministrów i ambasadorów, jutro więźniem Trójprzymierza, które dzielił z kilku swymi towarzyszami nieszczęścia. Roztrząsa swe tezy w gronie rutynowanych dyplomatów z *Quai d'Orsay* i *Downing Street,* z profesorem, swoim kolegą, rezydującym w Białym Domu w Waszyngtonie, z mużykami rosyjskimi i amerykańskimi *babbits.* Urzeczywistnia w tym czasie dzieło, które być może będzie drogo kosztowało jego ojczyznę, lecz które przechodziło najśmielsze oczekiwania najbardziej rozegzaltowanych Czechów — oswojenie się i zrośnięcie z ideą niezależnego zrzeszonego państwa, które już wtedy poczynają głosić słowaccy przedstawiciele za granicą, zwłaszcza w Ameryce. Doprowadza wreszcie do tego, że za taką Słowacją głosują już i wychodźcy Rusi Podkarpackiej.

Masaryk — wkrótce przy pomocy wyróżnianego swego ucznia Benesza i młodego Stefanika — rozbraja sceptycyzm Clemenceau i formalizm Poincaré'ego, potrafił przekonać Anglików i wzruszyć Yankesów, porozumieć się z Rosją carów, z republiką Miliukowa i Kiereńskiego, owszem nawet z Bolszewikami. Niweczy przede wszystkim dążności prohabsburskie, jakie istniały na dworach Małej Ententy i w ośrodkach wpływów francuskich i angielskich, co stanowiło szczyt jego politycznej zręczności.

Aż do zimy 1919 roku rozbiór austro-węgierskiej monarchii nie leżał w zamiarach Małej Ententy. Czternaście punktów Wilsona przewidywało wprawdzie dla słowiańskich narodów Austrii szeroką autonomię narodową, lecz nie było w nich żadnej wzmianki o zupełnej niepodległości. Z drugiej strony większość Czechów, Kroatów, Słoweńców i Rusinów zgadzała się na federalną konstytucję jako na maksimum żądań, którą mieliby zwycięzcy narzucić Austro-Węgrom. Postępowanie młodego cesarza Karola budziło nawet nadzieję, że takie właśnie rozwiązanie sprawy narodowościowej zatriumfuje z całkowitą zgodą panu-

jącej dynastii, która miała ostatecznie zerwać z Niemcami.

Masaryk i Benesz pozostawali w ustawicznej łączności z tajną organizacją *Mafią*, która informowała ich o wszystkim, co się działo w Austrii. Mieli swych szpiegów nawet w sypialniach ministrów cesarstwa. Taki czeski wywiadowca szperał w koszu na śmieci w pokoju ministra spraw wewnętrznych, naśladując w tym szczególe sławnego Sealnicky'ego z *Aiglon'a* Rostanda. Większość młodzieży uniwersyteckiej sympatyzowała z tą podziemną robotą, pewna część żołnierzy i oficerów była niezdecydowana; jedni buntowali się otwarcie i przechodzili w ogniu bitwy na stronę Rosji, jak 28 pułk piechoty; chłopi jednak nie zdawali sobie sprawy z antyhabsburskich poczynań Masaryka. Nie więcej wiedzieli o nich i robotnicy. W ten sposób dwie wielkie partie polityczne, agrariusze i socjaliści, nie mówiąc już o katolikach i konserwatystach, przyłączały się do haseł lojalistycznych i do prób reorganizacji Austrii na nowych podstawach federalistycznych. Masaryk miał do pokonania najgroźniejszego wroga swych marzeń: „austriacyzm" własnych rodaków. Wbrew powojennej legendzie czesko-słowackiej, większość mieszkańców Czech, Moraw i Śląska nawet nie marzyła o stworzeniu niepodległej republiki. Zupełnie zadowoliliby się względną autonomią. Nawet wśród polityków ci, co lękali się związków z Austrią, stanowili znaczną mniejszość. Masaryk więc powiedział sobie, że jedynym środkiem pozyskania wszystkich dla swych poczynań będzie stworzenie faktu dokonanego. Dlatego w porozumieniu z Wilsonem i dyplomacją angielsko-francuską przygotowywał uroczyste ogłoszenie czeskiej lub raczej czechosłowackiej niepodległości.

Dokument ten zredagowany w Ameryce miał być ogłoszony po ostatniej klęsce państw centralnych. Rzeczywiście katastrofa monarchii zbliżała się ustawicznie, by się stać wreszcie faktem w r. 1918. Cesarz Karol usiłował ocalić swój tron i istnienie podwójnej monarchii przez ogłoszenie 16 października przemiany Austrii na federację wolnych i samorządnych narodów. Przyszła chwila na kontrdeklarację. Masaryk ogłosił swój manifest, zrywający wszelką łączność z Habsburgami.

18 października 1918 roku Tomasz Garrigue Masaryk jako już szef tymczasowego rządu Czechosłowacji stwierdzał, że węzły, jakie łączyły naród czechosłowacki z dynastią, zostały zerwane, że naród ten odzyskiwał bezwzględną niezależność i że on Masaryk zbuduje czeską państwowość w ramach nowej demokratycznej republiki. W dziesięć dni potem proklamowano w Pradze tę Republikę na całym obszarze „historycznych krajów" korony św. Wacława, bez najmniejszego sprzeciwu ze strony cesarsko-królewskich autorytetów. 5 listopada czeska Rada Narodowa powtórzyła nieodwołalnie ten akt i kilka dni później Masaryk został wybrany na prezydenta młodej republiki.

Objęcia władzy dokonał w Pradze w dniu 21 grudnia 1918 roku. Od tego dnia aż do 14 grudnia 1935 roku pozostał Masaryk na tym najwyższym urzędzie państwowym. Konstytucja czechosłowacka, dzięki osobnej wstawce, zezwoliła w drodze wyjątku na dożywotnią wybieralną prezydenturę Masaryka, podczas gdy jego następcy będą mogli być wybierani co najwyżej dwa razy z rzędu. W wieku 68 lat, mógł teoretyk czeskiego odrodzenia poddać życiowej próbie tezy swej politycznej teorii. Życzenie Platona urzeczywistniło się w tym wypadku: filozof panował i rządził na Hradczynie, na starym zamku czeskich królów. Dodajmy, że panował i rządził z siłą, z niezwykłą powagą i z wielkim pożytkiem swego narodu. Musiał natomiast poddać rewizji większość swych poglądów, pochodzących z tego okresu, gdy był jeszcze profesorem, posłem i wychodźcą. Ale wielkie zalety charakteru, przenikliwa inteligencja i wspaniałomyślny humanizm Masaryka nie zawiodły także i podczas tych lat, w których piastował najwyższą władzę w swych rękach. Teorie socjologa, filozofa i męża stanu uległy poprawkom rzeczywistości życiowej, z którą umiał się liczyć stary realista. Minister jakobin nie został jakobińskim ministrem; prezydent husyta nie potrafił pozostać husyckim prezydentem. Masaryk zdecydowany pacyfista, nie entuzjazmujący się militaryzmem, od roku 1918 jako głowa państwa został głównodowodzącym armii i rzeczywiście pilnie zabiegał o rozwój sił zbrojnych swego kraju. Był wrogiem tyranii narzucanej ludziom, nie znoszącym obcego jarzma. A wła-

śnie Czesi pod jego wodzą zdobywali z bronią w ręku graniczne obszary zamieszkałe przez większość niemiecką, część polskiego Śląska i całą Słowację, należąca uprzednio do Węgier. Bez jakiegokolwiek umniejszania czci, należnej Masarykowi i jego pamięci, mimowoli doznaję pokusy zestawienia go w tej roli z rolą owego adwokata z farsy Courtaline'a, który uprzednio bronił niewinności oskarżonego, lecz nagle, dowiedziawszy się o swej nominacji na substytuta prokuratora, wypalił piorunującą mowę przeciw swemu klientowi...

Tam, gdzie Masaryk i jego współpracownicy obstawali z uporem przy całkowitej wierności ideom, wypieszczonym jeszcze przed prezydenturą, tam skutki były opłakane. Oto parę z nich najbardziej pożałowania godnych: niechęć do katolickiego Kościoła opłaciło państwo niepotrzebnym *Kulturkampf*'em; pobłażliwość dla socjalistów i rusofilskich nastrojów sprzyjała rozkwitowi komunizmu w Czechach; nienawiść do „reakcji" odstręczała od republiki szereg ważnych dla społeczności czynników; fobia przed Habsburgami przeszkadzała słusznemu rozwiązaniu austriackiego problemu; wreszcie a może przede wszystkim stanowisko Masaryka wobec Węgier gotowało Czechosłowacji powikłania, których groźne następstwa odsłoni niezbyt już może odległa przyszłość.

Sam prezydent posiadał na tyle samokrytycyzmu, by się przyznać do pomyłek i poprawić ze swych błędów, co jest jednym z najpewniejszych tytułów Masaryka do pośmiertnej chwały. Niewielu ludzi ma odwagę przyznania się do błędów, popełnionych w chwili sprawowania władzy. Masaryk przyznał się lojalnie do czterech wyżej wymienionych a tak zasadniczych błędów. Nie wiemy, czy zrozumiał swój błąd piąty, mianowicie swe pospieszne i nieprzemyślane *veto* przeciw przywróceniu Habsburgów. W innych zagadnieniach wielki mąż stanu uczynił wszystko ze swej strony, by naprawić to, co odtąd nie miało się już powtórzyć. Niestety w swych posunięciach nie miał już swobody; podobny w tym do początkującego czarnoksiężnika Goethego, nie miał już sił, by zakląć i ujarzmić duchy, które sam kiedyś rozpętał.

Dwie pomyłki mogły być naprawione: antykatolicki prąd z pierwszych lat republiki został zatamowany. Masaryk

i Benesz poczęli odnosić się do Kościoła i jego przedstawicieli ze zrozumieniem, a nawet z pewną życzliwością. Pokój między Rzymem a Pragą został zawarty, powrócił do Czechosłowacji nuncjusz apostolski, skąd jego poprzednik usunął się na znak protestu przeciw husyckiej napastliwości rządzących. W ostatnich dniach życia Masaryka nastąpiło nowe rozgraniczenie diecezyj z woli Stolicy Apostolskiej, która w ten sposób zaznaczyła swą życzliwość wobec republiki. Mgr Kaspar, kardynał-arcybiskup Pragi, cieszy się zaufaniem rządu i utrzymuje jak najlepsze stosunki z prezydentem Beneszem. Kilka razy odwiedzał Masaryka, uczcił zmarłego przez nakaz żałobnego dzwonienia w całej archidiecezji. Masaryk rozbroił zresztą przez różne posunięcia te ataki, które kiedyś kierował w stronę Kościoła. Dzięki swym najróżnorodniejszym stosunkom zrozumiał wybitną rolę katolicyzmu i papiestwa w historii cywilizacji, więc wykazywał on, dawny mówca kongresu wolnomyślicieli, konieczność religijnego nauczania w szkołach i z rosnącym wciąż wzruszeniem podkreślał piękno, szlachetność i prawdę chrystianizmu. Lecz poszlibyśmy za daleko, gdybyśmy chcieli dopatrywać się w tych gestach i słowach ostatecznego nawrócenia się tego wielbiciela Husa i pozytywistów. Masaryk wrócił do bardzo wyraźnego teizmu, odrzucił wojujący antyklerykalizm, ale nie wrócił na łono Kościoła katolickiego, ani też nie przyjął prawdy objawionej wiary. Trudno zresztą przeniknąć tę sprawę tak bardzo osobistą, która rozegrała się między tą duszą a jej Stwórcą. To, co dla nas jest ważne, to niewątpliwy fakt, że Czechosłowacja przestała wojować z Kościołem pod wpływem Masaryka i jego ucznia Benesza.

Stwierdźmy dalej, że zniesiono ostracyzm stosowany wobec „wyższych warstw", że arystokracja i kler już nie są wystawieni na pastwę gniewu taniej demagogii i że właśnie jeszcze Masaryk użył swego wpływu, by scementować ze społeczeństwem te dwie przodujące warstwy. Niestety dwa groźne błędy istnieją nadal: Czechosłowacja jest dotąd ofiarą filosowieckich złudzeń, które ułatwiają ataki ze strony Trzeciej Rzeszy i uniemożliwiają Czechosłowacji szczere pojednanie się z Polską. A na odcinku pożycia z Węgrami Czechosłowacja bawi się w dalszym ciągu w szczęśliwego

gracza na międzynarodowej loterii, choć zabawy tej poniechała już na innych odcinkach.

I na tym stosunku do Węgier zaciążyła błędna koncepcja polityczna Masaryka. Wielki ten mąż stanu odczuwał głęboką niechęć do Węgrów. Będąc sam przez swych przodków po mieczu pochodzenia słowackiego widział w Węgrach ciemiężycieli Słowaków. Czechów zaś, do których należał z własnej woli i przez swą matkę Czeszkę, łączył ze Słowakami w jednej miłości. Fantastyczna teoria, upatrująca w Czechach i Słowakach dwie gałęzie jednego narodu, rozdzielonego przez długie lata polityczną granicą lecz jednego i nierozerwalnego, opanowała całkowicie umysł Masaryka. W czasie swej profesorskiej i parlamentarnej działalności sam popierał młodą literaturę słowacką — osobliwy więc to naród, który posiada dwie literatury: czeską i słowacką. — Później w okresie wersalskich przetargów przekonywał wszystkich, iż sprawiedliwość wymaga przywrócenia i zjednoczenia państwa Czechów i Słowaków, rozdartego przez „węgierską nieuczciwość".

Ten mit narodowy czesko-słowacki wymija zgrabnie jakieś 900 lat historii, podczas których Czesi i Słowacy należeli do politycznych społeczności zupełnie oddzielnych; nie określa bliżej trwania politycznej spójni obu tych narodów; wcale nie trapi się oddzielnym rozwojem dwóch języków, lecz po prostu wyrokuje: Czesi i Słowacy tworzą jeden naród. Otóż ta legenda o tożsamości narodowej Czechów i Słowaków propagowana usilnie przez Kollara i Masaryka, stała się polityczną rzeczywistością dzięki przeróżnym okolicznościom, a przede wszystkim dzięki nadzwyczaj zręcznej interwencji pierwszego prezydenta republiki Czechosłowackiej. Lecz jak się wyraził *Pester Lloyd* w pełnym taktu i uszanowania wspomnieniu pośmiertnym, poświęconym wielkiemu zmarłemu — „oblubienica była zbyt przystojna", albo jak mówi stare francuskie przysłowie: „kto za dużo obejmuje, ten za mało ściska". Sprawdziło się to dosłownie na nowej republice. Aneksja Słowacji z jej słowacką, węgierską, niemiecką i żydowską ludnością, a zwłaszcza wcielenie do republiki Rusi Podkarpackiej z taką samą mozaiką ludnościową, ten republikański, pacyfistyczny imperializm

zgotował tylko państwu śmiertelną nieprzyjaźń okaleczonych Węgier a niezadowolenie głębokie Słowaków.

Zamiast skupić swoich tylko współplemieńców lub nawet trzymać się tylko historycznych granic krajów korony św. Wacława, Czesi zagarnęli pod swoje panowanie zbyt rozległy obszar, by mogli go obronić tak z punktu strategicznego widzenia jak i moralnego.

Szkoda, że Masaryk, człowiek o czystym i lojalnym sumieniu, bezlitosny krytyk historycznych legend i falsyfikatów, oszukał tym jednym razem swój zmysł etyczny i swój przenikliwy umysł. Zanotujemy i to: Czesi, zakładając swe państwo, mogli oprzeć się albo na zasadzie narodowościowej i wtedy złączyliby wszystkie dzielnice zamieszkałe przez swych braci języka i cywilizacji. W tym wypadku Niemcy z Czech, Moraw i Śląska, Węgrzy ze Słowacji, Polacy z Cieszyna i cała Ruś Podkarpacka nie weszliby w skład republiki, rządzonej przez Pragę. Albo trzeba już było oprzeć się na tradycji historycznej. W tym drugim założeniu tylko austriackie „kraje korony", które wchodziły ongiś ściśle w skład dawnego czeskiego królestwa, a więc Czechy właściwe, Morawy i czeski Śląsk złożyłyby się na nową republikę. Tymczasem Masaryk i jego ministrowie złączyli w jedną republikę i to na rzekomym prawie historycznym wszystkie kraje innoplemienne, a Słowaczyznę zagarnęli w imię narodowościowej tożsamości. Co więcej granice te zostały jeszcze rozszerzone na podstawie trzeciej zasady: obronności i strategii. A wynik tego był prosty: według nawet urzędowych danych Czechosłowacja obejmuje 36% mniejszości narodowych, a większość 64% istnieje tylko dzięki fikcji narodowej identyczności Czechów i Słowaków.

Tego mitu o jedności Masaryk nie wyrzekł się nigdy; za to zdał sobie sprawę z konieczności wyrównania granic na korzyść Węgier, którym by przypadły kraje zamieszkałe przez Węgrów. Szczególnie bolał nad stanem tej ukrytej wojny, chronicznie dolegającej w ogóle całej Europie środkowej, a basenowi dunajskiemu w szczególności. Domagał się też dla mniejszości wcielonych do Czechosłowacji rządu o szerokiej autonomii kulturalnej, a nawet i politycznej. Benesz i Hodża pracują obecnie nad wykonaniem tego zo-

bowiązania, jakie nałożył na nich Prezydent-Oswobodziciel. Posłuszni też są jego wskazaniom, gdy utrzymują jak najlepsze stosunki z Austrią i gdy unikają drażnienia potężnego niemieckiego sąsiada.

Czyż więc dzieło życia filozofa-prezydenta ogranicza się do tych kilku popełnionych błędów, które w części naprawił w sposób dlań bardzo zaszczytny? Bynajmniej.

Pozytywny dorobek Masaryka jest naprawdę imponujący i zapewnia mu wieczną wdzięczność u czeskiego narodu. Jako szef państwa używał swej władzy nadzwyczaj taktownie i dyskretnie; wzniósł się ponad partie, a nawet ponad narody. Właśnie dzięki temu, że uosabiał ideę sprawiedliwości i niepodzielnej powagi, uzyskał w Zgromadzeniu Narodowym w czasie ostatnich, czwartych wyborów na prezydenta 327 głosów na 420. Słowacy wstrzymali się od głosowania, ale za to Niemcy dali głos na Masaryka. Komuniści głosowali przeciw, lecz socjaliści połączyli się z partiami burżuazji, by oddać w ten sposób hołd czczonemu przez wszystkich prezydentowi. Przez długi czas Zamek był mocno krytykowany przez opozycyjną prawicę, skupioną dokoła osoby niedawno zmarłego Kramarza. Podczas jednak ostatnich lat „królowania" prezydenta nawet najzawziętsi jego wrogowie milczeli. Czescy hitlerowcy pod wodzą Henleina chylili się kornie przed najwyższym przedstawicielem państwa czechosłowackiego, a Węgrzy przyznawali mu dobrą wolę przywrócenia im sprawiedliwości.

Międzynarodowe znaczenie Masaryka oddało ogromne usługi zagranicznej polityce jego kraju. Jak długo mógł udźwignąć ciężar swego sędziwego wieku, osobiście wyjeżdżał za granicę w celu konferowania z francuskimi, angielskimi i włoskimi mężami stanu. Bywał więc we Francji, we Włoszech, na Bliskim Wschodzie, podejmował w gościnie suwerenów, mężów stanu, potem czuwał, a radą swą służył prawie do przede dnia swej śmierci Beneszowi, swemu ministrowi spraw zagranicznych, a w końcu swojemu następcy.

Zorganizowanie państwowej administracji, nauczania i szkolnictwa, opieki społecznej i higieny, przemysłu i handlu — wszystko to zawdzięcza Czechosłowacja w dużej mierze inicjatywie tego naprawdę wszechstronnego człowieka.

Popierał zadziwiający eksperyment genialnego szewca — Baty, a równocześnie ułatwił szereg naukowych przedsięwzięć, torował drogę dla artystycznych i literackich talentów. I na stanowisku prezydenta pozostał Masaryk nadal uczonym, myślicielem, pisarzem, bacznym obserwatorem codziennego życia.

Na hradczyńskim zamku nie zabrakło czasu temu niestrudzonemu pracownikowi na napisanie kilku poważnych książek, w niczym nieustępujących dawniejszym jego pracom. Dwie z nich zwłaszcza, *Słowianie po wojnie* i *Światowa rewolucja,* były żywo omawiane i dyskutowane. Bardzo liczne rozprawy i odezwy Masaryka, pochodzące z czasów jego prezydentury, ukazały się w wydaniu zbiorowym pt. *Droga demokracji.* Ostatni tom długiej wspaniałej serii pism wyszedł w roku 1934, w przeddzień czwartego wyboru autora na prezydenta.

Ostatnie dwa lata starości pozwoliły twórcy państwa czechosłowackiego przypatrywać się pracy swego następcy, wybranego ogromną większością przez Zgromadzenie Narodowe w grudniu 1935 roku, dzięki przede wszystkim wskazaniom Masaryka. Masaryk, zaszczycony tytułem Prezydenta-Oswobodziciela, usunął się na zamek w Lanach, który wdzięczny naród przyznał mu na dożywotnią siedzibę. Żył tam, otoczony rodziną, przyjmując rzadkich gości, spośród których najczęstszym był nowy szef państwa Benesz. Czytał, dyktował jak za czasów swej profesury, bawił się krytycznymi spostrzeżeniami o przeszłości oraz o obecnej epoce.

Stary demokrata osądzał bez litości, ale też i bez goryczy lub nienawiści nowe systemy polityczne, nowych panów i władców wojny. A czynił to tym dobitniej, gdy chodziło o ułomności i schorzenia zestarzałego parlamentaryzmu. Długie doświadczenie wyniosło Masaryka ponad wszelką grę partyjną.

Zgasł w pełni swej chwały, żałowany przez swoich i przez obcych, przez zwolenników oraz dawnych przeciwników. Pamięć tej wielkiej postaci przeżyje jej dzieła, zbyt może nacechowane duchem epoki, z której wyrosły. Dzieło polityczne Masaryka przeżyje dzieło husyckiej Czechosłowacji, znajdującej się obecnie w obliczu przemiany, w obli-

czu konieczności przemyślenia na nowo wszystkich formuł swego dotychczasowego *credo*. Przez ciekawą ironię historii pierwszy prezydent republiki czechosłowackiej będzie dla potomnych nie wybitnym uczonym, czy wysokiej klasy pisarzem, przenikliwym myślicielem, ani nawet politycznym zawodnikiem z przedwojennych lat, lecz pozostanie przede wszystkim „starym, dobrym panującym", „ojcem narodu", uosobieniem ojczyzny, najwyższym rozjemcą, symbolem państwa, władcą na Zamku stolicy, tym, który przeszedł przez wszystkie cierpienia i wszystkie próby, wzniosłym gerontem, chwytającym za serce narodu, władającym językami podległych sobie plemion cesarstwa... *lapsus linguae* — republiki. Wejdzie do Panteonu jako uprawniony przez swą wrodzoną godność sobowtór i następca Franciszka Józefa, którego zwalczał przez pół wieku, a którego być może nauczył się rozumieć i poważać, gdy sam dotarł do szczytów własnej kariery...

Czyż ci dwaj ludzie — symbole nie uosobiają w równym stopniu prawdy, że Czechosłowacja została nie tylko spadkobierczynią, ale i kontynuatorką Austrii i jej losów?

Stawiając to pytanie, dotykamy najbardziej bolesnego nerwu osobistości Masaryka. Umierając w apoteozie, Prezydent-Oswobodziciel zostawia wzór wspaniałego życia, blask olbrzymiego wysiłku; wszelako rozwiązanie, którego dokonało szczęście, geniusz i poświęcenie niezwykłego człowieka, będzie musiało przejść próbę przyszłości, która zapowiada się trwardo i groźnie.

Tomasz Garrigue Masaryk rozwiązał problem powstania Czechosłowacji, ale nie rozwiązał ostatecznie problemu jej istnienia.

Prof. dr Otto Forst de Battaglia.

Beniowski W. Sieroszewskiego.

Ilekroć stykam się bliżej z odgłosami odnawianej co jakiś czas dyskusji o źródłach twórczości Wacława Sieroszewskiego, przypomina mi się zabawna karykatura Zdzisława Czermańskiego, reprodukowana przed laty w jednym z warszawskich tygodników literackich. Artysta przedstawił Sieroszewskiego, brodzącego po śnieżnych pustaciach w wygniecionych pantoflach i obszernej burce podróżnej, z mnóstwem książek u boków. Zgoła przejrzyście upostaciowano tu znamienną w twórczości Sieroszewskiego ograniczoność tematyki i uporczywe zmechanizowanie krajobrazowego jej tła. Cóż znaczył zaś ten osobliwy bagaż pisarza-podróżnika? Jeśli nie ulegam tu sugestii jakichś niedalekich skojarzeń — mieścił się w nim nie tyle przypadkowy jakoby rekwizyt malarski, ale raczej dosadna charakterystyka metody tworzenia i najpoufniejszych sekretów twórczości Sieroszewskiego: wyraźnie niekiedy książkowych zasobów jego inspiracji. Trafność tego satyrycznego chwytu Czermańskiego potwierdziły później szczegółowe badania genetyczne, dzięki którym można by już zaopatrzyć w tytuły niektóre z elementów tej pomocy źródłowej pisarza.

Tytułów tych zresztą nie znamy dotychczas zbyt wiele. Nieco odrębną ich grupę stanowią obfite zapożyczenia u pisarzy staropolskich w powieści o Twardowskim, swego czasu wskazane z grubsza przez Leona Piwińskiego. Mocno kwestionowaną pozycją „wpływologiczną" jest szeroko ostatnio dyskutowane zagadnienie stosunku jednej z *Bajek* pisarza do zbioru braci Grimmów, w niezwykle drastycznej i bodajże przejaskrawionej formie poruszone przez T. Z. Hernesa. [1])

[1]) *Orędownik*, 1937, nr 169 i 171.

Wręcz odmienny ciężar gatunkowy posiadają dwa dalsze źródła Sieroszewskiego: rosyjski pamiętnik dra Piaseckiego i polska wersja dziennika przygód Beniowskiego. Wiadomość o pierwszym przyniósł rewelacyjny artykuł Piotra Grzegorczyka, ogłoszony w listopadowym zeszycie *Ruchu Literackiego* z roku 1929. Znany badacz warszawski ujawnił tu źródło głośnej powieści Sieroszewskiego pt. *Jan-hun-tsy* (Zamorski diabeł), wydanej w tomie *Powieści chińskich.* [1]) Źródłem tym okazała się obszerna, dwutomowa rewelacja podróżnicza lekarza rosyjskiego dra Pawła Piaseckiego z wyprawy naukowo-handlowej do Chin środkowych, zorganizowanej w roku 1874 przez rząd rosyjski. W zwięzłym i bodajże zbyt oszczędnym wywodzie Grzegorczyk uwydatnił, co i w jakim stopniu powieść Sieroszewskiego zawdzięcza dziennikowi podróży Piaseckiego. Dobitną zwłaszcza wymowę posiada fakt, że całkowity niemal zespół motywów statycznych powieści, w tej liczbie jej chińszczyznę: a więc to wszystko, co składa się na koloryt egzotyczny dzieła, główny zarazem jego urok i tytuł do odrębności — powieściopisarz polski przejął z rosyjskiego źródła. Szczegół ten nie wyczerpuje całokształtu ujawnionej zależności pisarza, jest jednakże niezmiernie charakterystyczny dla oceny autentyczności jego egzotyki.

Sprawa to wcale nie błaha, wywołała też liczne, a bardzo nieraz pesymistyczne rozhowory prasowe o granicach oryginalności w pisarstwie sędziwego twórcy. Dyskusja ta staje się odtąd coraz natarczywsza. Lada impuls powoduje zazwyczaj wrzawę, której temperatura jest zgoła niewspółmierna z pozytywnymi ustaleniami. A jednak ten huczek jest zjawiskiem wielce symptomatycznym. Poza bowiem pozorami nagonki politycznej kryje się tu coś więcej: niedwuznaczny wprost wskaźnik bardzo zaiste osobliwej atrakcyjności twórczości Sieroszewskiego w dobie ostatniej, przechodzącej bodaj w fazę odpływu i zmierzchu.

Analiza źródła nieukończonej trylogii powieściowej Sieroszewskiego o Beniowskim przyniosła rezultaty ważkie i nadspodziewanie obfite: przejrzysty i wyczerpujący rodowód dzieła. Zanim jednak rodowód ten wywiodę, spróbuję

[1]) Warszawa, Gebethner i Wolff, 1903.

przed tym rozważyć celowość obszerniejszego zajęcia się wymienionymi powieściami pisarza. Dlaczego to czynię? Z przyczyny dość prostej. W poprzednim bowiem wypadku Grzegorczyk sprawę tę rozstrzygnął w sensie negatywnym: i temu to właśnie zawdzięczać należy przesadne skąpstwo jego ujawnień. Nie myślę pójść za jego przykładem. Uzasadnienia zaś swego stanowiska nie będę szukał w dziele samym, lecz poza nim: w wartościach, przypisywanych temu dziełu — z zewnątrz.

A o to będzie stosunkowo bardzo łatwo. Przede wszystkim zaś powołam się tu na osobiste wyznanie głośnego twórcy, które przynosi ciekawy wskaźnik wartościowania dzieła, dotyczy zatem materii niezwykle drażliwej, bo niekwestionowanych nigdy praw twórcy do samookreślania się. Istotnie, było by bardzo trudno prawom tym negować. Przywykło się jednak w sposobie korzystania z nich widzieć nie tylko sygnał rozpoznawczy samowiedzy, ale i miarę delikatności i osobistego taktu pisarza. I jedno i drugie śledzić warto we wspomnianej wypowiedzi Sieroszewskiego. Odnajdujemy ją w wywiadzie współpracownika warszawskiego *Głosu Prawdy* z b. wachmistrzem ułanów Beliny. Oto na zapytanie o zamierzenia pisarskie na przyszłość Sieroszewski udzielił następującej odpowiedzi: „Chciałbym jeszcze pojechać na wschód i do Madagaskaru, aby ukończyć epos o Beniowskim..." [1]) Informacja z pozoru małoznaczna. Uważnego jednakże czytelnika zastanowić musi nie przypadkowe zapewne użycie szacownego miana eposu. Ciężar gatunkowy tego określenia wyraża najwymowniej skalę autorskiej samooceny dzieła. Sugestie te były zgoła wyraźne, nic tedy dziwnego, że udzieliły się wkrótce usłużnej krytyce. Określenie powieści o Beniowskim jako „eposu Sieroszewskiego" pojawia się w trzytomowym dziele Kazimierza Czachowskiego o współczesnej literaturze polskiej. Arcypochlebną tę denominację poprzedza o parę wierszy ogólna charakterystyka wspomnianych utworów pisarza: „Morze stało się też tłem największego dzieła epickiego Sieroszew-

[1]) K. Briesen: „Jak i nad czym pracuje Sieroszewski", *Głos Prawdy*, 1927, nr 43.

skiego, jego powieści historycznej o Beniowskim (1913), której część pierwsza jest niejako syntetycznym uwieńczeniem cyklu powieści i opowiadań syberyjskich, część zaś druga pt. *Ocean* (1914) w ramach doskonale zespolonych wątków przygody i morza dała autorowi najszersze i wszechstronnie wyzyskane pole do pokazania bohaterskiej woli człowieka w walce z żywiołem..." W dytyrambicznym rozpędzie sięgnął wytrawny krytyk również do argumentów bardzo wątpliwego pokroju, przed kilku laty stosowanych niekiedy w ocenie zjawisk literackich. Liberyjny ów komplement brzmi następująco: „W Beniowskim Sieroszewski poniekąd przeczuł, jeśli bohatera swego nie opierał na blisko mu już w rzeczywistości znanym wzorze, — wodza, na którego wówczas Polska dopiero oczekiwała..." [1])

Szczerze jestem zażenowany wysokością tej skali zgoła osobliwego wartościowania. A jednak interes badacza źródeł jest oczywisty i wyraźny: chodzi tu przecie o największy i najwybitniejszy utwór pisarza, reprezentujący najistotniejsze elementy i najwyższe jakoby osiągnięcia jego pisarstwa. Dokładniejsza jednak ocena roli, którą pamiętnik Beniowskiego odegrał w genezie historycznego „eposu" Sieroszewskiego, nie będzie nigdy zupełna, jeśli nie uprzytomnimy sobie istotnego przebiegu przygód i wierzytelnych rysów tej postaci, w filtrze najnowszych badań historycznych odczyszczonych z namułu legendy. Jest to tym konieczniejsze, że nie wolno nam poddać się sugestii pamiętnikarskiego przekazu, w którym prawda mieszała się na przemian z fikcją, piękno przygód z fałszem i bezceremonialną przesadą. A ten nacisk jego sugestii bardzo łatwo mógłby wystąpić przy szczegółowej analizie zależności pisarza od źródła, którego wiarogodność nie zostałaby zakwestionowana. Należy więc z góry przed tym się zabezpieczyć.

Postać Beniowskiego budziła przed półtora wiekiem niemałe zaciekawienie. Niezawodną legitymacją ogromnego rozgłosu była tu zasobna różnolitość pojawów i niezwykłe uroki jego przygód. Żołnierz i awanturnik niepospolitego

[1]) Kazimierz Czachowski: *Obraz współczesnej literatury polskiej*, 1884 — 1933. Tom pierwszy: Naturalizm i neoromantyzm, Lwów 1934, str. 70 — 71.

typu, zapalony podróżnik i niespokojny łowca przygód, ścigał poprzez dalekie światy nieuchwytną chimerę. W gorączce tego pościgu zatracił godziwą miarę i wszelkie skrupuły: ukoiła ją dopiero daleka mogiła, którą znalazł o wiele lat za wcześnie, w pełnym bowiem rozkwicie lat męskich. Już wkrótce wytworzyła się dokoła niego piękna legenda, urzekająca poetów, rozwiewana dokumentarnie przez historyków. Pomysłowym jej zaczynem i współczynnikiem niesławnego zmierzchu były jego własne pamiętniki. Przetłumaczone na wiele języków, po okresie bezkrytycznego powodzenia wywołały wielojęzyczną literaturę, dyskredytującą szczegółowo wierzytelność ich relacji. Do lamusa pospolitych wymysłów złożono bajeczkę o hrabiostwie rodziny Beniowskiego, stopniu generalskim ojca i bliskich koneksjach na Litwie, o starostwie polskim, otrzymanym z poręki stryja itp. Wyolbrzymiony w pamiętnikach jego udział w konfederacji barskiej sprowadzono do roli bardzo przyprzypadkowej i nieznacznej. Z biografii Beniowskiego ubył przeto argument jego ścisłych związków z Polską, który oczarował wyobraźnię Słowackiego i spowodował poetycką nobilitację tego międzynarodowego awanturnika, Węgra z pochodzenia. Nie lepiej pod skalpelem poszukiwań archiwalnych wyszły dalsze epizody jego pamiętnikarskiego przekazu. Zdarto zeń laur odkrywcy nieznanych lądów, zdobywcy i pacyfikatora, pozbawiono go również okrasy miłosnych podbojów, przez stwierdzenie całkowitej mistyczności Afanazji, córki naczelnika Kamczatki, kpt. Niłowa. Z olśniewającej brawurą epopei pozostał ostatecznie jeno chemicznie przeprany z pamiętnikarskiej przesady, suchy szkielet biografii tego ambitnego awanturnika XVIII stulecia. Jednakowoż nie brakło nigdy obrońców legendy Beniowskiego. „Dziś jeszcze — pisze obiektywny jego biograf — zdania są o nim podzielone. Dla jednych był to bohater znamienity o wielkim sercu i rycerz nieustraszony, dla drugich awanturnik, intrygant, człowiek bez czci i wiary..." [1])

[1]) Teofil Emil Modelski, artykuł o Beniowskim w *Polskim Słowniku Biograficznym*, t. I., Kraków, 1935, Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, str. 431.

Żywot pozgonny Beniowskiego to osobna karta jego biografii. Początkową jego datą było ogłoszenie z papierów pośmiertnych, które znalazły się w posiadaniu organizatorów ostatniej wyprawy, angielskiej wersji dziennika podróży Beniowskiego (Londyn 1790). Interes pamiętnikarskiego opisu i dramatyczny dostatek jego fikcji zadecydowały o rozległym zasięgu poczytności pamiętnika: była to sensacja w skali naprawdę światowej.[1]) Te same wartości pobudziły niezwykle silnie i zapłodniły wyobraźnie wielu różnojęzycznych pisarzy i poetów. Nazwiska ich, przynależne do różnych klas pisarskich i pięciu różnych literatur narodowych, zestawił sumarycznie kronikarz *Polskiego Słownika Biograficznego*. Pełnym blaskiem jaśnieje wśród nich nazwisko Juliusza Słowackiego. Wspaniały jego poemat związał na zawsze postać Beniowskiego z dziejami wielkiej poezji polskiej, przyswoił ją naszej pamięci trwalej, aniżeli potrafiłaby to uczynić i zasługuje na to pamięć przygodnego jego udziału w rycerskich bojach Polski szlacheckiej. Nie z innego przeto, lecz z tego właśnie względu wybitny historyk literatury polskiej pomieścił nawet Beniowskiego wśród pamiętnikarzy polskich XVIII wieku.[2]) Dlaczego jednak kto inny znów uznaje w nim po dziś dzień jednego z pierwszych przedstawicieli polskiej idei kolonialnej — trudno mi, doprawdy, odgadnąć.[3])

Interesujące sensacje przygód głośnego awanturnika nie wymagają dodatkowej rekomendacji. Wiadomo jednakże, że

---

[1]) Świadczy o tym również powodzenie polskiego przekładu pamiętników Beniowskiego. Pierwsza jego edycja ukazała się w Warszawie, już w roku 1797. Bezpośrednio najbliższe pojawiły się w latach 1802 i 1806. *Polski Słownik Biograficzny* wylicza jeszcze pięć edycji przekładu polskiego, późniejszych. — W pracy mej posługuję się wydaniem krakowskim *Dziennika podróży i zdarzeń hrabiego M. A. Beniowskiego na Syberyi, w Azyi i Afryce,* ogłoszonym w czterech dziesięcioarkuszowych tomikach Czytelni Polskiej (t. XI do XIV, Kraków. Staraniem S. Szczepanowskiego i A. Potockiego, 1898). Nie jest wykluczone, że tym samym wydaniem posługiwał się Wacław Sieroszewski.

[2]) Stanisław Dobrzycki, *Historia literatury polskiej,* T. I. Literatura Polski Niepodległej, w Poznaniu 1927, nakładem autora, str. 542.

[3]) Janusz Stępowski, radiowy szkic literacki pt. *Przebłyski idei kolonialnej w naszej literaturze,* wygłoszony przed mikrofonem stacji warszawskiej w dniu 23 listopada 1936.

sam temat w utworze nie odgrywa nigdy roli decydującej, ale jego twórcze ujęcie przez pisarza. Wobec tego zaś, że w powieści o Beniowskim Sieroszewski oparł się na jego pamiętniku, zagadnienie organizacji tworzywa artystycznego jest właściwie zagadnieniem stosunku powieści do pierwowzoru. Cyfrowa wymowa tego stosunku jest bardzo przejrzysta, uwydatnia się bowiem w 1200 stronicach powieści wobec 400 stronnic bezpośrednio dotyczących partii w krakowskiej, skróconej edycji pamiętnika. Porównawcza wędrówka po tych kartach wymagała tedy sporo czasu i trudu, była jednakże dostatecznie pożyteczna i kształcąca, by sowicie opłacić te niestracone zachody badacza.

* * *

Pierwsza powieść o Beniowskim nie od razu wprowadza nas w wątek opowiadania.[1]) Wstępem i podmalowaniem tła opowieści jest obraz śnieżycy, szalejącej u brzegów Kamczatki, zaliczony przez Feldmana do „najmocniejszych w tonie, jakie wyszły spod pendzla artysty".[2]) Wbrew jednakże powyższej, nie zupełnie osamotnionej opinii krytyka — wspomniany pejzaż bynajmniej nie zadowala. Zasługuje on na wzmiankę w pracy, poświęconej źródłom „eposu" Sieroszewskiego, jest bowiem wyraźnie naśladowany z liryzowanych pejzażów morskich — Żeromskiego. Odtwórczy wysiłek Sieroszewskiego dostrzegam w samym typie pejzażu, jego frazach słownych, a nawet leksyce, wchłoniętej gdzieniegdzie w częściowo zaledwie odmiennym sformułowaniu. Nie mogę tu wdawać się w szczegóły i dokładne zestawienia. Kto ciekaw, sprawdzi sobie osobiście drobną tę uwagę „wpływologiczną". Jeśli jednak chodzi o rezultaty tego zapatrzenia się w obce wzory — według mnie nie były one pociągające. Tani bowiem polot obrazowania pisarza nie wzmocnił zgoła

---

[1]) Tu i w dalszym ciągu powołuję się na zbiorowe wydanie *Pism* Wacława Sieroszewskiego, ogłoszone przed laty nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska", w którym *Beniowski* zajmuje tom XI (Warszawa, 1924, str. 567 + 1 nlb), *Ocean* zaś tom XII (Warszawa, 1934, str. 626).

[2]) Wilhelm Feldman, *Współczesna literatura polska*, wydanie ósme, Kraków 1930, str. 159.

swej spoistości w mdłym sosie ulirycznienia, a ten znów nie zastąpił rzeczowości w elementach opisu, spodziewanej u konsekwentnego naturalisty. Nieliczne przeto szczegóły krajobrazowe są tu spięte klamrami metaforyki, bardzo podrzędnego gatunku. Wspominam o tym mimochodem, poprzestanę przeto na jednym tylko przykładzie. To ów nieporównany zaiste „biały anioł śmierci, zapatrzony w jemu tylko wiadomy cel..." (s. 2). Trudno doprawdy o lepszy argument nikłej zaradności opisowej Sieroszewskiego.

Dość nieoczekiwane te koneksje literackie i wyraziste łatwizny czołowego pejzażu nie budzą zbyt wielkiego entuzjamu dla „epicznych" osiągnięć dzieła. A czy potrafią go wzbudzić bezpośrednie związki powieści z pamiętnikiem? już wkrótce przecie i one pojawią się w kontekście utworu. Zrazu bowiem w tej jego części wstępnej stosunek utworu do źródła jest bardzo luźny, trwale natomiast zacieśnia się z momentem wprowadzenia bohatera tytułowego. Wstępna scena tego epizodu przedstawia się następująco w brzmieniu pamiętnika Beniowskiego i powieści:

Pamiętnik:

Koło południa ujrzeliśmy na rzece kilka czółen, które ku nam płynęły... Znajdował się na nich jeden oficer z sześciu Kozakami. Wysłał go gubernator kamczacki po ekspedycyę ze dworu i aby nas wygnańców wziął pod swą eskortę. Uskuteczniwszy ów Moskal swoje na okręcie zlecenie, przybył potem do naszej chaty i natychmiast dawniejszą wartę swoimi Kozakami zluzował. Przystąpił więc ku nam, a spostrzegłszy mnie między innymi, widać postawą moją uderzony i ciekawością pobudzony, zbliżył się do mnie i grzecznie powitawszy, zapytał uprzejmie, ktobym był.

„Żołnierz jestem, krótko mu odpowiedziałem, niegdyś generał, dzisiaj niewolnik".

Zwięzła ta moja odpowiedź, jak mi potem przyznał się, zdziwiła go i od tego momentu szanować mnie począł... (I. s. 52.)

Sieroszewski:

Kiedy nazajutrz porucznik Norin, wysłany z sześciu Kozakami po pocztę i wygnańców, wszedł do więziennej izby na przystani, zauważył odrazu w kupce powstałych na jego przybycie mężczyzn wysmukłego, zgrabnego młodzieńca z czarnym podkręconym wąsem, w przystojne odzianego szaty. Domyślił się, że to ten właśnie, o którym krążyła legenda, i przystąpił doń z pewną nieśmiałością:

— Czy to ty zwiesz się Beniowski?

— Tak, to ja!...

— A ktoś ty?...

Beniowski błysnął oczami i milczał przez chwilę.

— Żołnierz jestem. Niegdyś jenerał, dzisiaj niewolnik!... — odszepnął wreszcie cicho.

Norin cofnął się i wyprostował bezwiednie... (XI. s. 17).

Cytowany powyżej moment wprowadzenia postaci Beniowskiego ma swoją wagę osobliwą: po prostu pozwolił

pisarzowi przesiąść się od razu na cudzą podwodę. Cóż to znaczy? Odpowiem krótko: równocześnie bowiem z bohaterem tytułowym utworu usadowił się w nim na stałe materiał anegdotyczny jego pamiętnika, a nawet z miejsca rozrósł się w osnowę obydwu powieści Sieroszewskiego. Stwarza to okoliczności zgoła wyjątkowe, uniemożliwiające prześledzenie krok za krokiem rozległego toku współzależności. Co jednak było by bezprzedmiotowe w całej jego rozciągłości, staje się mniej trudne w grubym skrócie i na niewielkim odcinku powieści. Wybór tego odcinka nie nastręczy trudności, gdy porównanie obydwu wątków rozpocznę od przytoczonego punktu wyjścia.

Tymczasem zaś notuję pierwszą niezgodność powieści ze źródłem, świadczącą o pewnej celowości w użytkowaniu przez pisarza zapożyczonego materiału fabularnego. Już oto następną z kolei wzmiankę pamiętnika o zaproszeniu Beniowskiego z towarzyszami na „krajowy obiad" o mało urozmaiconym jadłospisie Sieroszewski pomija: widocznie bowiem ten drobny szczegół wydaje mu się przesadą — pamiętnikarza. Zgodnie atoli brzmi dalszy ustęp, przedstawiający załadowanie przybyłych na łodzie i spotkanie ich w drodze ku miastu z gromadą zesłańców, z dawna na Kamczatce osiadłych.

Pamiętnik:

Po obiedzie, za rozkazem oficera, po dwóch wsiedliśmy na jedno czółno, i tak z nami popłynięto do miasta, które nazywa się Bolszoj-Ostrog.

Kilka wiorst jeszcze nie uszliśmy, aż tu widzimy szparko ku nam płynące cztery czółna, na których znajdowało się do kilkunastu dobrze przybranych ludzi. Zrównawszy się z nami stanęli, z upragnieniem pytając, co się też w Europie dzieje? Lecz gdy im straż nasza oświadczyła, iż wygnańcami jesteśmy, smutne ich i posępne figury, niewymownie radować się poczęły. Zdziwił nas niemało takowy ich postępek; a w pierwszym momencie biorąc te niewczesne ich radości oznaki za istne szyderstwo, i czując się nim sprawiedliwie obra-

Sieroszewski:

Norin... kazał wszystkim zbierać rzeczy i siadać do łodzi, aby odpłynąć do miasta, do „Bolszija Ostroga".

— Czy tam zostaniemy? — spytał Beniowski.

— Niewiadomo. Tam wam powiedzą, co z wami zrobią. Tego nie wie nikt, ino ten papier!

Uśmiechnął się i pokazał zesłańcom kopertę, zapieczętowaną wielką woskową pieczęcią.

Wsiedli do trzech czółen, po dwóch wygnańców i po dwóch Kozaków do każdego, i wolno, kołysząc się w chybotliwych stateczkach i omijając gęsto płynące kry, pomknęli w górę rzeki.

O parę stajań przecięły im drogę cztery bajdary, pełne ludzi odzianych w futra, wywrócone włosiem do góry.

żonymi, jużeśmy poczęli im grozić przykładną zemstą, jeżeli dłużej naigrawać się będą z naszej niedoli, gdy wtem oficer przełożony nad nami, objaśnia nas, iż owi mniemani nasi przeciwnicy, podobnież jak my są wygnańcami, i że to szczególnie nadzieja znalezienia w naszym towarzystwie jakowej pociechy i ulgi, tak nagłą i wesołą sprawiła w nich odmianę. Po takiem doniesieniu, nie było już czego kłócić się, a spór nasz zastąpiła przyjaźń i użalenie się nad wspólną niedolą.. (I. s. 53).

— Co słychać na świecie?... Skąd jedziecie!? — krzyczeli im z oddala, gdyż Kozacy nie puszczali ich blisko, wołając:

— Poszli precz!... Nie wolno z przestępcami rozmawiać!...

— A oni kto są?...

— Oni też są zesłańcy!...

Łodzie nie oddalały się bynajmniej... (XI. s. 19).

W powieści następuje teraz dłuższa partia dialogowa, wypełniona powitalnymi okrzykami zesłańców, o tyle nieskładnymi, że nie objaśnia ich najmniejsza bodaj informacja autorska. Sieroszewski zaznajamia czytelnika w tej formie z nazwiskami towarzyszów Beniowskiego, znanymi z poprzednich ustępów pamiętnika (I. s. 36). I znów jednak modyfikuje częściowo dalszy przebieg tego spotkania, bo oto słusznie zbywa milczeniem mało prawdopodobną relację pamiętnikarza o z miejsca jakoby przez niego podjętej agitacji spiskowej wśród danych zesłańców, szerzej natomiast powiadamia za źródłem („wystawili nam oni swą nędzę i srogie z nimi obejście") o ich sytuacji życiowej na Kamczatce. Dowódca konwoju kładzie kres utyskiwaniom zesłańców:

Pamiętnik:

Widząc oficer straż mający nad nami, iż się nasza rozmowa nie kończy, a lękając się, iżby nas noc nie zaskoczyła, wskazał nam, iż czas byśmy się w dalszą puścili podróż. Trzeba go było usłuchać... (I. s. 54).

Sieroszewski:

— Dość, dość!... Ruszajcie już!... Widać miasto!... Doniesie kto naczelnikowi!... Będzie mi wymawiał! — Powiedziałem, że dość!... Hej, chłopcy, odpędźcie ich... Wiosłami po łbach! (XI. s. 20).

Dobijają wreszcie do miasta. Eskorta kozacka doprowadza zesłańców i zamyka na noc w więzieniu fortecznym. Nieco odmiennie od źródła, które trochę wcześniej przyniosło zbliżone rozważania pamiętnikarza, powieściopisarz polski każe teraz przybyłym zastanawiać się nad położeniem i sposobami działania w nowych warunkach niewoli, przy czym wzmianka o sprawie Hoffmana i podrobionym liście

do gubernatora Ochocka, znanych nam z wcześniejszych ustępów pamiętnika (I. s. 35—42) stanowi coś w rodzaju *Vorgeschichte* działalności spiskowej Beniowskiego i jego towarzyszy. Nazajutrz rano zesłańcy zgłaszają się u naczelnika Kamczatki Niłowa, szczegóły zaś tej odprawy w powieści są przedstawione szerzej, ściśle jednak według recepty źródła. Jedyną różnicą jest inne uporządkowanie szczegółów tego epizodu. W pamiętniku naczelnik kraju (zwany tam gubernatorem) wyraża najpierw Beniowskiemu „podziękowanie za trudy i starania, których nie skąpiłem, ratując okręt od niechybnej zguby", potem dokonuje przeglądu zesłańców, a wreszcie wygłasza do nich przemówienie, które zaczyna od słów: „Idźcie teraz do kancelaryi sekretarza Sudejkina, da on panom obszerniejszą informacyę o obowiązkach waszego stanu..." (I. s. 56). W powieści inaczej: nasamprzód odbywa przegląd przybyłych, później wygłasza do nich przemówienie, które kończy słowami: „A teraz idźcie do kancelarji, gdzie sekretarz Sudiejkin da wam szczegółową instrukcję waszych obowiązków i zachowania się..." (XI. s. 28), a na końcu dopiero omawia przebieg akcji ratowniczej Beniowskiego w czasie burzy na okręcie (znanej nam również z poprzednich kart pamiętnika, I. s. 49—50, do których Sieroszewski tu nawiązuje), oraz udziela pochwały „za dzielne spełnienie obowiązku", nie bez zachęty na przyszłość.

Dwadzieścia wierszy obejmuje oryginalna wstawka Sieroszewskiego: Beniowski wymienia z towarzyszami wrażenia z pobytu u Niłowa, obserwacje o urodzie dziewczęcych postaci, wyzierających ku nim z poza drzwi domu naczelnika, oraz o sile drewnianych obwarowań fortecy. Ale już w następnym ustępie zanika ten wskaźnik epizodycznej niezależności pisarza od źródła:

Pamiętnik:

Przeczytawszy Sudejkin jakoweś pismo, które mu dał służący gubernatora, rzekł do nas:

„Dziękujcie Bogu i za największe wasze poczytujcie szczęście, iż Kamczatka jest miejscem waszego wygnania, którego kraju gubernator

Sieroszewski:

Przeczytawszy list wręczony mu przez naczelnikowego ordynansa, podniósł do góry zwiędłą, zielonkawą twarz „biurowego szczura" i szepnął słodziuchno:

— Dziękujcie, panowie, Bogu i za największe poczytajcie sobie szczę-

najlepszym człowiekiem jest na ziemi; ja zaś, gubernialny sekretarz, który dobrego urodzenia jestem i szczególniejszą ufność N. Imperatorowej posiadam, oświadczam wam, iż we wszelkich okolicznościach znajdziecie we mnie gorliwego obrońcę i protektora". (I. s. 56.)

ście, że miejscem waszego wygnania wyznaczono wam Kamczatkę, której naczelnik jest najlepszym, najlitościwszym, najdobrotliwszym, najwspaniałomyślniejszym, najtkliwszym, najszczodrzejszym na świecie. Ja go znam dobrze. Ja również jestem szlachcicem i pamiętajcie, że zostałem naznaczony na urząd sekretarza gubernjalnego ukazem osobistym Jej Cesarskiej Mości, Wszech Pani Rosji, Wielkiej Księżny Moskiewskiej, Carowej Kazańskiej i Astrachańskiej, Władczyni Wszech Syberji oraz innych tysiące imion. Czekam wakansu po Sergjuszu Mikołajewiczu Nowosiłowie, Rzeczywistym Radcy Stanu, Sekretarzu gebernjalnym, urzędniku ósmej klasy..., którego obowiązki tymczasem pełnię... On tu rzadko przychodzi, ale ja w jego imieniu uczynię wszystko, aby złagodzić wasz los... (XI. s. 29—30.)

Nierównomierność obydwu wersji bynajmniej nie przeszkadza, że treściowo pokrywają się one bez reszty. I dlatego to powyższy wypadek uwydatnia bardzo przejrzyście, jak znikoma była swoboda pisarza w stosunku do brzmienia źródła, wyrażająca się co najwyżej w wydłużaniu własnego jego kontekstu ponad potrzebę i sens artystyczny.

Omawiany epizod w ogóle dostarcza sporo uwag w tym względzie. Tuż bowiem po owej wylewnej oracji Sudiejkin odczytuje zawartość instrukcji dla wygnańców, wcieloną przez powieściopisarza w brzmieniu prawie dosłownym. I znów przesadną tę zaborczość Sieroszewskiego dyktuje raczej zbytnia jego u l e g ł o ś ć wobec źródła, aniżeli jakikolwiek uzasadniony interes artystyczny.

P a m i ę t n i k:

...prosiłem go zarazem, by raczył nam donieść o naszych obowiązkach i sposobie postępowania, podług którego odtąd mieliśmy się zachować. Poczem oznajmił nam co następuje:

1. Że dnia następującego zostaniem wypuszczeni na wolność i opatrzeni w żywność na trzy dni, po których upłynionych do nas już należeć będzie myśleć o dalszem naszem utrzymaniu.

S i e r o s z e w s k i:

Wyjął arkusz drukowany z pliki papierów i odczytał głosem nosowym, spoglądając znacząco na wygnańców po każdym okresie:

„W dniu uwolnienia z pod straży wygnańcy zaopatrywani są ze składów rządowych w żywność na trzy dni, po upływie których obowiązani są sami myśleć o swojem utrzymaniu".

„Każdy dostaje z kancelarji rządowej muszkiet, grot oszczepu, funt

2. Że każdy z nas odbierze w kancelaryi muszkiet i dzidę, funt prochu, cztery funty ołowiu, siekierę, kilka nożów i różne narzędzia ciesielskie do zbudowania sobie chałupy; że wybór miejsca na nasze mieszkania, upodobaniu naszemu zostawiony, aby jednak nie bliżej jak o milę od miasta; w nagrodę zaś rządowi za wydatek przez niego uczyniony na broń i potrzebne narzędzia, obowiązani jesteśmy zapłacić mu w futrach zaraz pierwszego roku, walor stu rubli.

3. Że każdy z nas jeden dzień w tygodniu ma odbywać służbę przy gubernii; żaden zaś nie może się oddalać dłużej jak przez dwadzieścia cztery godzin od swego siedliska, bez wyraźnego pozwolenia gubernatora.

4. Że każdy z wygnańców powinien corocznie oddawać do kancelaryi sześć skór sobolich, pięćdziesiąt skór królików, dwie skóry lisie i dwadzieścia cztery gronostajowych. (I. s. 57.)

prochu, cztery funty ołowiu, siekierę, kilka nożów, oraz różne narzędzia ciesielskie do zbudowania sobie chałupy".

„Wybór miejsca zamieszkania dowolny, byle nie bliżej jak 7 wiorst od miasta".

„Za otrzymaną broń i narzędzia wygnańcy obowiązani są w tymże roku pobrania wnieść do kasy rządowej 100 rubli futrami".

„Każdy wygnaniec obowiązany jest odrabiać przez jeden dzień w tygodniu wskazaną mu robotę rządową, aż po kres ustanowiony prawem".

„Żaden wygnaniec bez specjalnego pozwolenia naczelnika kraju nie ma prawa oddalać się ze swego mieszkania dłużej jak na dwadzieścia cztery godziny".

„Każdy wygnaniec prócz tego obowiązany jest płacić corocznie podatków do kancelarji miejscowej: sześć skórek sobolich, pięćdziesiąt skórek zajęczych, dwie skórki lisie i dwadzieścia cztery gronostajowe". (XI. s. 30—31.)

Chwila uwagi należy się jeszcze końcowemu etapowi tego rozdziału powieści. „Z kancelaryi poszliśmy prosto do magazynu — notuje pamiętnikarz — wziąć naszą broń i inne narzędzia; a że już nam tamtejsze zwyczaje poniekąd wiadome były, przeto dawszy słowo strażnikowi magazynowemu, że go udarujemy futrami, pozwolił nam wybrać ze składu co najlepszy towar..." (I. s. 57.) W transpozycji powieściowej Sieroszewskiego trochę odmiennie: w kancelarii rządowej zesłańcy z góry kwitują odbiór rzeczy; do magazynu towarzyszy im kozak; prawo swobodnego wyboru rzeczy okupują u strażnika — nie poprzestając na obietnicy — srebrnymi rublami; nie otrzymują przewidzianej porcji żywności, o czym zresztą i w pamiętniku ani wzmianki; gdy Panow wszczyna o to kłótnię, zesłańcy uprowadzają go pod ręce i uchodzą spiesznie z twierdzy. Różnice to drobne, nie dziwne w przekładzie relacji pamiętnikarskiej na równoległy epizod powieści.

Z grubsza zaledwie, lecz krok za krokiem przebrnąłem przez półtora rozdziału powieści, i na tym kończę pouczającą tę wędrówkę porównawczą, boć dalsze przedłużanie jej

miałoby znaczenie tylko ilościowe, w niczym atoli nie potrafiłoby zmienić jakościowej fasady zjawiska, dostatecznie już teraz widomej. Nie szukałem tutaj, ani nie miałem zamiaru wykazywać zbieżności słownych, które by mogły figurować i naprawdę znajdują się nieraz w zestawianych ustępach, bo to sprawa raczej uboczna i objaw drugorzędny. Dość mi było przygodnie niekiedy zwrócić na to uwagę. Jeżeli zaś co interesowało mnie przede wszystkim, to najoczywistsza tożsamość motywów, które są przecie niepodzielnymi elementami jednolitych szkieletów tematycznych obydwu rozpatrywanych całości. I otóż stwierdzić muszę, że kompletny zespół tych motywów pamiętnika, które tu wchodzą w grę, jako chronologicznie równoległe, zupełnie analogicznie do omówionego odcinka znalazł się w obydwu tomach „eposu" Sieroszewskiego o Beniowskim, powtórzony na wiarę i w bezpośredniej kolejności źródła. Jak zaś się to stało? Bardzo naturalnie i po prostu: statyczny z natury rzeczy materiał biograficzno-anegdotyczny pamiętnika wszedł do powieści z całym dobrodziejstwem inwentarza, rozparcelowany zaledwie na rozdziały, sytuacje, opisy i dialogi, mniej lub więcej ściśle odpowiadające identycznym relacjom źródła, gdzieniegdzie jeno poprzerywane wydłużonym zatorem zmyślenia. I już to wyznacza odpowiednią rangę utworu i jedynie bodaj właściwe miano: transpozycji dziennika przygód Beniowskiego na kategorię powieści. Ale i ten tytuł nie przesądza jeszcze ze wszystkim o obiektywnej wartości dzieła.

* * *

Gdy przykładowo szkicowałem powyżej nieprzerwany tok współzależności i trwały stosunek obydwu powieści Sieroszewskiego o Beniowskim do pamiętnika jego bohatera, lojalnie zarazem notowałem wszelkie odchylenia pisarza od źródła. Na czym one polegają i jaka ich rola w transpozycji powieściowej Sieroszewskiego? Są to przede wszystkim opuszczenia niektórych drobnych i małoznacznych motywów pamiętnika, przytłaczającego na ogół ogromem szczegółów treściowych, które czasem z tych czy z innych przyczyn nie znalazły się w powieści. Wyjątkowo tylko Sieroszewski opu-

szczał obszerniejsze ustępy pamiętnika. I tak na przykład pomija milczeniem echa i okoliczności uwolnienia z więzienia, za wstawiennictwem Beniowskiego, kupca Kazarinowa, które pamiętnikarz przedstawia szeroko i z dużą satysfakcją własną (I. s. 112—115), powieściopisarz zaś relacjonuje w kilku tylko wierszach (XI. s. 316). Zadecydował o tym luźny związek tego epizodu z centralnym interesem powieści. Te same względy wpłynęły zapewne na pominięcie dziwacznego procederu wróżb szamana Kamczadalów, specjalnie w tym celu przywołanego przez Beniowskiego w czasie inspekcyjnej jego podróży na Lopatkę (II. s. 5—6). Gdzie indziej znów znajduje się w pamiętniku taka oto wiadomość, wręcz fantastyczna w swym nieprawdopodobieństwie:

Tegoż samego dnia, podał rządowi kanclerz swój raport, tyczący się pozwolenia ode mnie żądanego do założenia osady rolniczej w Lopatce; po krótkiej rozwadze stanęła rezolucya, mocą której pomoc rządową zaręczono mi w tem mojem przedsięwzięciu. Aktem tym nietylko zupełną mi moc nadano założenia kolonii z wygnańców złożonej, ale wolnością udarowano tych wszystkich, którzyby pod moim przewodnictwem poświęcili się rolnictwu. Miłość którą sobie w rządzie zjednałem, tak daleko i gubernatora i przedniejszych asesorów, w tłumaczeniu ukazów cara Piotra, uczyniła biegłymi, iż mieli się za upoważnionych do ogłoszenia wolnemi wszystkich wygnańców, którzy tylko osiądą w Lopatce dla uprawy roli; a to na mocy oczywistego jakoby prawa, które podług nich wyraźnie mieć chciało, iżby każdy wygnaniec, który odda prawdziwe państwu usługi, lub takie któreby się ściągały do jego całości i konserwacyi, odzyskuje tem samem swą wolność... (I. s. 109.)

Tłumacz dziennika przygód Beniowskiego na język powieści nie celował bynajmniej krytycyzmem wobec źródła. A jednak i dla niego było za dużo jaskrawej przesady tej relacji. Z czystym więc sumieniem opuszcza niewiarogodne perypetie tej sprawy, jak również dalsze epizody pamiętnika, od niej pochodne. Lecz wypadki tego rodzaju są dość rzadkie, bez wpływu właściwie na faktyczną pojemność „eposu".

Nie znaczy to jednak, aby wszystkie bez wyjątku motywy źródła przedostały się do powieści w niezmienionej postaci. W grę tu przecie wchodzi sama natura odmiennych gatunków literackich, wymagająca transpozycji elementów treści pamiętnika na technikę powieści. Lecz pomimo powieściowego przestylizowania różnice tego typu nie naruszają jedności tematycznej motywów pierwowzoru. Trafiają się jednak poza tym wypadki, które polegają na odmiennym

ujęciu przez pisarza niektórych relacji źródła. I tak na przykład pamiętnikarz notuje z zadowoleniem, że po jakimś przyjęciu (pominiętym również, nawiasem mówiac, w powieści) u któregoś z kupców w Bolszerecku, rodzice Afanazji, podówczas już jego narzeczonej, zatrzymują go u siebie,

pod pozorem jakoby troskliwości o moje zdrowie. Przystałem na jego radę, nie wiedząc jej celu. Lecz jakżem się zdumiał, gdy gubernatorowa wprowadziwszy mię do pokoju Afanazyi, zostawia mię w nim i rzecze:

„Ufam, że na złe nie zażyjesz tej wolności, lecz że potrzeba, ażebyście się przyuczyli żyć razem, przeto nie sądzę, ażebyś mógł wygodniej gdzieindziej noc swą przepędzić, jak u mej córki".

To powiedziawszy, życzyła nam dobrej nocy i poszła. Zdziwiony tak osobliwymi wyrazami, a bardziej jeszcze tak dziwnym postępkiem, wręcz przeciwnym europejskim zwyczajom, począłem zagłębiać się w liczne nad tak śmiesznym trafunkiem uwagi; lecz piękna moja kochanka rozpędziła te myśli... (I. s. 117.)

Romansowe te przechwałki pamiętnikarza wyraźnie kolidują z zabiegami pisarza o utrzymanie swego bohatera na wyższym poziomie moralnym. Już przedtem wszak uczynił go odpornym na putyfarowe zaloty naczelnikowej (XI. s. 190), w tym celu zresztą wymyślnie dlań przygotowane, bo bez odpowiednika w źródle. I teraz więc statecznie łagodzi jaskrawość sytuacji:

Dopiero na samem wyjściu zawołała pani Niłowowa Beniowskiego do pokoju córki i jęła mu wyłuszczać, jak pilne jest, wobec gotujących się zmian i możliwej dalekiej wyprawy, przyśpieszenie wesela:

— Żebyście się mogli choć sobą nacieszyć przed twoim tam wyjazdem. Chcesz a skłonię męża, żeby dom i całe uekwipowanie własnym ci sprawił kosztem, żebyś mógł nie czekać na budowanie osady... (XI. s. 339.)

Ale krótko trwał ten przykładny powściąg moralny pisarza. Już bowiem w drugim tomie powieści bez skrupułów skorzystał z powyższego motywu źródła (XII. s. 185), gdy przyszło mu dowolnie wypełniać lukę wiadomości tej części pamiętnika o udziale Nastazji w podróży morskiej wygnańców. Lecz to wypadek zgoła wyjątkowy. Inne atoli modyfikacje motywów źródła ostają się w powieści na stałe, mają zaś na celu uzgodnienie nierzadkich ich sprzeczności lub brzmienia z wymogami iluzji powieściowej. Przykładów nie braknie. Oto córka naczelnika odkrywa plany ucieczki zesłańców, w pamiętniku przy pomocy garderobianej, którą łączył bliski stosunek z Iwanem Kudrynem, jednym ze spiskowców (II. s. 32), w powieści zaś dowiaduje się o tym

z listu zazdrosnego do szaleństwa rywala Beniowskiego, Stiepanowa. Scena wymówek wywiedzionego w pole dziewczęcia i zasadniczej rozmowy kochanków i tu i tam jest zgodna w ogólnym zarysie. Wręcz różny tylko finał logiczny rozmowy: w pamiętniku Beniowski decyduje się uprowadzić ją z sobą (II. s. 35), w powieści natomiast przyrzeka zniknąć niebawem z jej życia, jak „zły sen"... (XI. s. 483.) Nie od rzeczy będzie zaznaczyć przy sposobności, że na swój również sposob Sieroszewski ukształtował okoliczności, bezpośrednio poprzedzające narzeczeństwo Beniowskiego z Nastazją. Według źródła przyszło to dość spokojnie i jak gdyby po prostu: wyznanie Afanazji, gniew gubernatora, perswazje otoczenia (I. s. 96—97). Powieściopisarz w zamian przesolił w efekcie: afera z madrygałem, wyznanie Nastazji, uwięzienie Beniowskiego, turma (XI. s. 280—297). Do głosu tu bodaj doszła niewczesna skłonność pisarza do melodramatycznych sytuacji zamiast wzbogacenia, trywializująca wątek jego powieści.

Cyfrowy stosunek stronnic, przytoczonych powyżej w nawiasie, o tyle jest nierealny, że po stronie powieści znajduje się tutaj obszerniejsza wstawka epizodyczna, ustanawiająca mocno zmienione proporcje. Takich wstawek własnych pisarza jest więcej, powstawały zaś one niejako na kanwie materiału treściowego pamiętnika, jednakowoż bez jakiegoś bezpośredniego tam odpowiednika. Przeznaczeniem ich funkcja epizodu. Należą do nich sceny z życia domowego naczelnika, skreślone nieraz żywo i wdzięcznie. W drugim tomie transpozycji powieściowej Sieroszewskiego takimi epizodycznymi wstawkami są sytuacje związane z osobą Nastazji, stanowiące łatwe i efektowne przedłużenie romansowego wątka na tę część powieści. Szczególnie obszerny jest epizod „sztelu" w czasie ucieczki wygnańców przez ocean, wydłużony na parę rozdziałów (XII. s. 309—354). Jego urozmaiceniem i okrasą jest scena religijnego obrzędu rosyjskich sekciarzy, majtków Chołodiłowa, połączona z zamierzonym rzuceniem Nastazji do morza, jako ofiary na „zmożenie ułud Antychrystowych dla odkupienia powszechności", okupiona niewymyślnością taniego sadzenia się na „grozę". Z takich to właśnie i podobnych im przyczyn powieściowa przydat-

ność tych epizodycznych wstawek jest bardzo nierówna i raczej problematyczna, nierzadko kompozycyjnie nieumotywowana. Lecz i ten zarzut trafia raczej w próżnię, gdyż nawet kompozycja obydwu powieści jest tu własnością wspólną: w sposób nieodparty przecie narzuca ją chronologia materiału biograficznego pamiętnika. Niezaprzeczonym poniekąd — skoro już o tym mowa — wkładem konstrukcyjnym Sieroszewskiego jest rezygnacja z dążenia do zupełności biograficznego malowidła, ograniczenie się natomiast do tego fragmentu przygód Beniowskiego, które rozgrywały się na terenie tylekroć przez niego opiewanym i bliskim, wykazując uderzającą zaiste zbieżność z tematyką własnej jego twórczości.

To samo, co o walorach kompozycyjnych powieści, stwierdzić po części można o galerii jej figur powieściowych, pokrywających się niemal bez reszty z katalogiem postaci pamiętnika. Z jednym tylko wyjątkiem: epizodyczna postać niani Mironowny nie ma w źródle odpowiednika ani najmniejszej wzmianki. Imiona niektórych ulegają czasem korekcie pisarza: Krustyew na Chruszcow, Stefanow na Stiepanow, Afanazja na Nastazja itp. Technika charakteryzowania postaci powieściowych wielce osobliwa: niektóre tylko powieściopisarz przygodnie wyposaża w konwencjonalne maski, mniej lub więcej zadowalające, większości jednak nie wyodrębnia najdrobniejszym bodaj znakiem rozpoznawczym z katalogu istot nie zróżnicowanych, nazwanych jeno z imienia i doraźnej funkcji w beznadziejnym i płaskim dialogu lub sytuacji, które w miarę potrzeby przydziela im z nakazu źródła; wyprowadza je też w pole świadomości czytelnika najczęściej wedle wskazówek i zgodnie z narastającym wątkiem pamiętnika. Również bohater tytułowy utworu jest raczej transmisją wydarzeń pamiętnika, aniżeli samodzielnym i artystycznie uprawnionym partnerem powieści. W ujęciu jego postaci i przygód Sieroszewski przyjmuje na siebie nie zawsze wdzięczną rolę *popleczn ika legendy Beniowskiego*. Stanowisko, jak na powieściopisarza historycznego, nazbyt uproszczone i łatwe, tym nie mniej zgoła naturalne. Legendę bowiem, pojętą (za prof. Julianem Krzyżanowskim) jako popularny, oparty zaś wyłącznie na przesłankach emocjonalnych sąd o pewnym zjawisku historycz-

nym — można przyjąć lub odrzucić, oprzeć się lub poddać jej urokowi, nie można jednak czynić tego połowicznie: urok legendy, jeśli by mu się poddać, pochłania bez reszty. Co jednak o tym zadecydowało? Nic innego bodaj, jeno uprzednie rozciekawienie się pisarza w sensacjach fabuły pamiętnika, które też przywiodło go w prostej drodze do podporządkowania się urokowi legendy Beniowskiego. Była to zresztą pozycja najwygodniejsza i koniunkturalnie wielce sposobna, już choćby przez wzgląd na zastały prawdopodobnie nurt jego twórczości, skoro tak skwapliwie wyczekiwał ożywienia i łatwej pożywki z zewnątrz.

* * *

W recenzji którejś z powojennych powieści Wacława Sieroszewskiego Adam Grzymała-Siedlecki sięgnął mimochodem do źródeł naszego rozciekawienia się w utworach literatury egzotycznej. Świetny krytyk ujął zagadnienie mody na egzotyzm w przenikliwą i dowcipną formułę: ile w tym jest sukcesu talentu, a ile niezwykłości jazdy na wielbłądzie? Sugestywna obrazowość tego określenia zapewnia znaczne usługi praktyczne, przydatne może i przy konkluzji dotychczasowych moich wywodów. Zmierzam ku niej niespiesznie, rozważając z różnych stron acz pokrótce zagadnienie stosunku pisarza do źródła. A narzucające się wnioski końcowe stanowią właśnie nawiązanie do cytowanej formuły Grzymały-Siedleckiego, przynosząc rozstrzygnięcie jego dylematu na własnym przynajmniej odcinku. Nie chodzi tu przecież o sam fakt posługiwania się źródłem, jakże naturalny i konieczny w powieściopisarstwie historycznym, ale o sposób, w jaki autor to źródło wyzyskał i podporządkował mu się prawie bez reszty, z niepokojącą uległością i w proporcjach, znamionujących silny niedowład jego inwencji twórczej. Stąd więc, cokolwiek zamierzył dać w obydwu swoich utworach, i jakkolwiek je kroił: na „epos" czy inaczej — wyszła z tego swobodna przeróbka powieściowa dziennika przygód Beniowskiego, i nic więcej ponad to. Trudno klęskowy ten efekt ambitnego zamierzenia twórczego nazwać sukcesem talentu Sieroszewskiego.

Wiktor Doda.

Rezultaty dwudziestu lat panowania komunizmu w Rosji.

Komunizm w Rosji obchodzi 20-lecie swego panowania, czyli dostatecznie długiego okresu czasu, aby można już dziś mówić o rezultatach jakie przyniósł krajowi, którym samowładnie rządzi. Marksizm, w odmianie komunistycznej, jest ruchem dynamicznym, to znaczy prądem psychicznym, obejmującym szerokie masy, które oprzeć mu się nie są w stanie.

Doktrynę Marksa wyznaje bardzo wiele ugrupowań socjalistycznych i komunistycznych różnych odcieni, jednakowoż jedynie odmiana bolszewicko-ortodoksyjna pochwalić się może dynamizmem, ciągłością i metodą w realizacji wskazań marksowych. Ta żywotność w realizacji spowodowała, że marksizm bolszewicki poszczycić się może aż 20-letnim panowaniem nad 170 milionowym narodem, lub raczej zlepkiem kilkudziesięciu niedorozwiniętych narodowości, pod patronatem narodu rosyjskiego.

Marksizm odegrał w XIX w początkach XX wieku, aż do czasów wojny światowej, znaczną rolę nie tylko w charakterze organizatora życia klasy robotniczej, lecz również z powodu przemożnego wpływu jaki wywierał na bardzo znaczną część młodzieży inteligenckiej niemal wszystkich krajów Europy, i to przez fakt, że protestował przeciwko szkodliwym, a nawet śmiało powiedzieć można, antyludzkim wybujałościom ustroju kapitalistycznego.

Któż, spośród wybitniejszej polskiej młodzieży uniwersyteckiej, z końca XIX wieku — pisał przed kilku laty jeden ze statecznych konserwatystów polskich — nie był socjali-

stą? Marksizm dla pokoleń inteligenckich u schyłku XIX wieku i w początkach XX był szkołą myślenia w sprawach społecznych. Jeśli młode umysły zauważały wady panującego ustroju społecznego, to szukając na nie zaradczego środka, wpadały, częstokroć siłą inercji myśli, w orbitę światopoglądu socjalistycznego, aby następnie w większości wypadków, po wejściu w życie szybko zeń się wycofać. Jest to przykład typowy socjalizmu intelektualnego.

Umysły potężne, jak Józefa Piłsudskiego i Benito Mussoliniego, z chwilą wejścia na drogę czynów, zarzuciły kompletnie światopogląd socjalistyczny. Piłsudski, w dobie przedwojennej, unarodowił polski ruch socjalistyczny, wysuwając na pierwsze miejsce programu działania zdobycie niepodległości Polski i stwarzając polski dynamizm niepodległościowy, ale z chwilą osiągnięcia tego celu, jak sam się wyraził „wysiadł na stacji" zwącej się Niepodległość Polski, podczas gdy ci z socjalistów, którzy nie poszli jego śladami, „pojechali dalej" na ślepe tory klasowej anarchii. Benito Mussolini, z chwilą kiedy stanął na czele potężnego a twórczego ruchu, zerwał definitywnie z marksizmem. Wreszcie Hitler, który wprawdzie doczepił do słowa „narodowy" słowo „socjalizm", od samego początku swojej działalności był zdecydowanym przeciwnikiem marksizmu.

Szerokie masy socjalistów zachodnio-europejskich, zarówno przedwojennych jak i powojennych, przesiąknięte są mniej lub więcej marksizmem intelektualnym i jego frazeologią, przy równoczesnym braku elementu dynamicznego, a jeżeli niektóre żywioły spośród nich zaczynają przejawiać energię czynu marksowskiego, to automatycznie niejako wchodzą w orbitę działania i sposobu myślenia ortodoksyjno-bolszewickiego (np. Hiszpania). Socjalizm wprowadzany konsekwentnie w życie staje się komunizmem, tak samo jak można nazwać socjalizmem komunizm czysto intelektualny i bezdynamiczny.

Można naliczyć wiele milionów marksistów poza Rosją; czyż jednak można ich porównywać moralnie i myślowo do marksistów, realizatorów idei swego mistrza? Marksizm intelektualny, rosnący w atmosferze i otoczeniu kultury chrześcijańskiej i swobody myślenia, czyli obarczony „ata-

wizmem dorobku myśli, trudu, znoju i ducha ludzkiego wielu wieków", skrępowany podświadomie nakazami moralnymi wyssanymi z piersi matek tych, którzy go wyznają, jest dziecinną zabawką, czasami nawet pożyteczną i oddającą pewne usługi, wobec nieskrępowanego żadnym „atawizmem" marksizmu realizowanego, czerpiącego swe siły, dynamikę, prężność i metody działania z niezamąconego niczym źródła doktryny, wiedzy i wiary Marksa.

Między intelektualną zabawą w marksizm, a realizacją marksizmu otwiera się cała przepaść. Posługiwanie się frazeologią, dość już zużytą i zdyskredytowaną i to jeszcze posługiwanie się nią „od święta", a nie na użytek codzienny, nie stwarza tych wartości, które powołuje do życia wprowadzenie doktryny w czyn. Stąd też, nawet ortodoksyjny marksista-komunista na Zachodzie, padający plackiem przed każdym rozkazem pochodzącym od najwyższej dla niego władzy — z Kremla, często nawet przygotowany psychicznie do działania według metod dobrze wypróbowanych w Rosji, tej ojczyźnie proletariatu światowego, jest jeszcze zupełnie czymś innym od autentycznego komunisty w Rosji, który przeszedł przez Rubikon czynu marksowego i znajduje się w orbicie wpływu dynamiki marksizmu. Niejeden, przechodząc nawet przez ten Rubikon, stanie w jego połowie, coś go będzie wstrzymywało a może nawet zawróci w pół drogi.

Czy jednak to, co dzieje się w Rosji, realizuje się rzeczywiście według doktryny Marksa? Trockiści (IV międzynarodówka) twierdzą, że Stalin „zdradził rewolucję", innymi słowy sprzeniewierzył się doktrynie Marksa. Gdy trockiści znaleźli się „pod wozem", zauważyli niejedno i to dość trafnie, natomiast o ile chodzi o dowodzenie, iż Stalin „zdradził" doktrynę Marksa, jest ono przeprowadzone w sposób dosyć naiwny i wcale nie przekonywujący. Zresztą tam, gdzie nie ma ustalonych ścisłych wytycznych postępowania, gdzie pierwszy totalny realizator teorii Marksa, Lenin, uczynił tak ważne odstępstwo od doktryny, wprowadzając Nep i nikt z tego powodu spośród ortodoksyjnych marksistów nie stawiał mu zarzutów, trudno jest w podrzędnych pociągnięciach taktycznych Stalina dopatrywać się prawdziwej zdrady.

Jeżeli towarzysz Stalin kogo zdradził, to nie doktrynę marksowską, a tylko pewne sfery możnowładztwa i arystokracji komunistycznej, które na pewne kwestie inaczej się zapatrywały niż on, lub zagrażały jego wyłączności. Zresztą swój bezkrwawy zamach stanu przeprowadził zupełnie legalnie z punktu widzenia obowiązującej naówczas konstytucji, mając ogromną większość wszechsowieckiego kongresu za sobą w pamiętnym roku 1927, która to większość potępiła nieprawomyślne wobec sprawy proletariatu odchylenie opozycjonistów. Następnie zaś, w myśl postulatów zgnębionej opozycji i dla naprawienia przez Lenina faktycznego a dokonanego odstępstwa od dogmatów Marksa, zniósł Nep i przeprowadził kolektywizację rolnictwa.

Aby wykazać „zdradę" wobec rewolucji marksowskiej, należałoby dowieść, że Stalin działał wbrew światopoglądowi Marksa, a to nie jest rzeczą łatwą. Marks twierdził, że rozwój człowieka zależy wyłącznie od spraw gospodarczych i jego dobrobytu materialnego, wszystkie inne kwestie jak religia i związana z nią wiara w życie pozagrobowe, moralność zabarwiona religią wyrosły na podłożu własności prywatnej, odciągając człowieka od prawdziwych jego realnych przeznaczeń i prawdziwego postępu. Wysiłki pracy i umysłu ludzkiego zmierzające do osiągnięcia celów innych, niż zdobycie wszechstronnego dobrobytu dla mas ludzkich, są nie potrzebne, a nawet szkodliwe. Człowiek musi zrozumieć, że uzyskanie dobrobytu materialnego dla najszerszej masy ludzkiej jest głównym jego celem.

Marks znosząc istniejącą moralność i etykę, które wyrosły z chrześcijaństwa, nie podał swym wyznawcom innej, nowej. Wytworzyło się więc *vacuum*, szybko przy realizowaniu jego doktryny wypełnione, przez niczym nieokiełznaną swawolę ludzką. W Rosji, z zaprowadzeniem rządów marksowskich, znikło pojęcie człowieka, które zastąpione zostało dwoma pojęciami: proletariusza i „burżuja". Pierwszemu wszystko wolno, drugi jest skazany na „zlikwidowanie".

Litość — pisze w *Siedm lat w szponach G. P. U.* Franciszek Olechnowicz — w społeczności gepistów traktowaną jest... jako wada, jako burżuazyjne dziedzictwo i nosi specjalne miano: „inteligienckaja miahkotiełosc", zaś Alia Rach-

manowa notuje w swoim pamiętniku, wydanym pt. *Ehe im rofen Sturm* następujące zwierzenia czekisty: „Jest wielką przyjemnością, jeśli się wie, że można z każdym człowiekiem zrobić co się chce", a nieco dalej dosłownie odtwarza perorę świeżo upieczonej komsomołki Filipowej, głoszącej z emfazą: „Komunista nie powinien mieć litości; my komuniści powinniśmy być twardzi, jak stal." W części pierwszej swej na pamiętnikach opartej trylogii *(Studenten, Liebe, Tcheka und Tod)* podaje Rachmanowa wynurzenia, swej dawnej przyjaciółki, a w roku 1918 czekistki Gryzeldy, która mówi: „Wieczorami słyszę jakieś głosy i jęki. Musiałam widocznie w czasach ostatnich za dużo zabijać. Jestem zmęczona wskutek krzyków, wołań, jęków i płaczów. Ale bez tego nie mogę żyć, muszę co dzień kogoś dręczyć i męczyć"...

Zniesienie wszelkich hamulców moralnych, wyrzucenie poza nawias uczuć ludzkich, przy równoczesnym wzniecaniu nienawiści do wszystkiego, co przed tym uznawanym było jako wartościowe lub lepsze, spowodowało wielką orgię najniższych namiętności ludzkich, wyzwalających się przy realizacji doktryny Marksa. Znaną jest absolutna obojętność Lenina dla spraw natury moralnej, wszak był on kompletnym analfabetą w tej dziedzinie, cóż więc dziwnego, że wprowadzenie w życie idei marksowskiej pociągnęło za sobą przeolbrzymi łańcuch zbrodni, skoro zarówno ideolog Marks jak i realizator Lenin byli ludźmi amoralnymi, czyli negującymi istnienie praw moralnych, rządzących społeczeństwami ludzkimi, a niezależnych od woli człowieka.

Człowiek rzeczywisty wciśnięty został w wąskie ramy swoistego światopoglądu ekonomicznego, jego bytowanie skrócone zostało do malutkiej trumienki kilkodziesięcioletniego życia ziemskiego, trumienka ta zaś ogłoszoną została za cel wszelkich zabiegów człowieka. Poza tą trumienką nie ma nic. Skutki działania człowieka są tylko bezpośrednie i widoczne, skutków pośrednich i niewidocznych nie ma. Zabija się człowieka, „likwiduje się go", człowiek przestaje istnieć i na tym koniec, żadne dalsze, ukryte jakieś konsekwencje, z tego faktu nie mogą wyniknąć.

Grzech jest fikcją, którą „klasy posiadające" straszyły z dobrym skutkiem „nieuświadomiony proletariat", aby go

trzymać w ryzach i bezpiecznie wyzyskiwać. Mogą wprawdzie istnieć przewiny i te nawet w dużej ilości istnieją, ale są to przewiny wyłącznie wobec rządu dyktatury „uświadomionego proletariatu". „Naszym zadaniem nie jest karać, ale tylko poprawiać" — powiedział sędzia śledczy G. P. U. badanemu przezeń, za przestępstwo zamiaru ucieczki z ojczyzny proletariackiej, Iwanowi Sołoniewiczowi, a wskazawszy przez okno na dziesiątki skazańców, pracujących nad doprowadzeniem do porządku gmachu G. P. U. dodał, że ci właśnie zmazują przez swą pracę przewiny wobec rządu sowieckiego.

Najwyższa więc władza nad człowiekiem została sprowadzona na ziemię, skoro nic ponad widoczną, ziemską władzą nie istnieje. Marksowski komunistyczny rząd wszedł niejako w atrybuty praw kosmicznych, skoro on znajduje się u szczytu światopoglądu świata marksowskiego, jest jego podniebnym, szczytowym sklepieniem. Orzeczenia jego są bezapelacyjne, a żadne wyroki i nieprzewidziane skutki ich działania nie istnieją i istnieć nie mogą. Rząd proletariatu karze za przewiny popełnione wobec siebie, a spowiednicy jego, ci z G. P. U., czuwają, aby wszystkie grzechy winowajców w stosunku do proletariatu i jego rządu zostały sumiennie wykryte.

Procent winowajców wobec rządu dyktatury proletariatu jest wielokrotnie wyższy od procentu przestępców w krajach nie podlegających władzy komunistycznej. Iwan Sołoniewicz, który, przebywając w obozach Bałtycko-Białomorkiego Kombinatu, jako inteligent pracujący umysłowo, miał dostęp do statystyk biurowych, stwierdza, że w czerwcu 1934 r. w samym tylko B. B. K. po wysłaniu wielkich mas internowanych do B. A. M. (Bajkalsko-Amurskij magistral) było 286.000 internowanych. Według jego obliczeń, w samych tylko obozach koncentracyjnych na terytorium całej Rosji było wówczas 5.000.000 ludzi, a po dodaniu do tej liczby innych kategorii skazanych, a więc przebywających w więzieniach sowieckich, „specpieresieleńców", oddanych pod nadzór administracji obozów koncentracyjnych i tzw. „wolnossylnych", otrzymamy liczbę około 7 milionów ludzi, czyli prawie 4% całej ludności imperium proletariackiego. Według

obliczeń Sołoniewicza 10% dorosłej ludności męskiej znajdowało się w owych czasach w obozach koncentracyjnych, lub „około nich".

O ile całe kategorie przestępstw, uważanych za takie w państwach niekomunistycznych, w ojczyźnie proletariackiej przestępstwami nie są, o tyle wiele postępków ludzkich obojętnych w krajach nie rządzących się ideologią Marksa, w Sowietach stanowi ciężkie przewiny poddanych wobec rządu dyktatury proletariatu. Stąd właśnie pochodzi ogromna cyfra uwięzionych, których *gros* stanowią członkowie klas chłopskiej, robotniczej i rzemieślniczej. Franciszek Olechnowicz, skazany na szereg lat obozu koncentracyjnego, za nieznane mu bliżej przewiny, w samych Sołówkach dostał dwa tygodnie aresztu za „nielegalnuju poczinku obuwi" — za nielegalne naprawienie obuwia. W tych warunkach ilość przestępstw wzrasta oczywiście niepomiernie.

Ponieważ wszystko jest upaństwowione, (aby nie było „wyzysku pracujących") każda czynność gospodarcza musi przechodzić przez machinę państwową. Omijanie urzędowej drogi jest surowo karane. Robotnik i rzemieślnik, wyzyskiwani do ostatecznych granic przez państwo w fabrykach i warsztatach państwowych, pracują w nich niechętnie, a dla uchronienia się od głodu starają się dorabiać prywatnie, na ukrytym wolnym rynku pracy. Zarówno pracujący prywatnie, jak i kupujący produkt pracy prywatnej podlegają surowej karze.

Chłop był karany za to, że jako „kułak", posiadał ziemię i niechętnie ją oddawał rządowi dyktatury proletariatu. Alia Rachmanowa pisze w swym pamiętniku, że chcąc uchronić swoją rodzinę od śmierci, szła, z narażeniem życia, kraść węgiel, strzeżony przez żołnierzy czerwonej armii. „Co miałam robić? Państwo wszystko nam zagrabiło". Jest to odwrotna strona medalu realizacji hasła „grabienia zagrabionego", z tym zastrzeżeniem, że o ile nieprawdą było jakoby przed rewolucją każda prywatna własność pochodziła z grabieży, o tyle przejście majątku narodowego rosyjskiego w posiadanie przez rząd komunistyczny, odpowiada ściśle temu pojęciu.

Kradzież, w ojczyźnie komunistycznej, rozrosła się do nigdzie indziej nie spotykanych rozmiarów, a to po pierwsze z powodu, że pojęcie własności zostało podważone, przez oficjalnie zachwalaną i praktykowaną grabież, po drugie poddany sowiecki, czyli przeszło 90% jego masy, jest tak biedny, bo w straszny sposób wyzyskiwany przez rząd marksowski, że dla utrzymania się na powierzchni życia musi kraść. Nie pomogło tu wiele ogłoszenie w 1932 r. własności kolektywnej „nietykalną świętością", za naruszenie której, nawet w drobnych wypadkach, grozi kara śmierci, gdyż kradzież z musu weszła w nieodzowny, w stosunkach sowieckich, nałóg. Chłopi kradną zboże i inne produkty z pól i składów sow- i kołchozów; robotnicy kradną z fabryk, a rzemieślnicy z warsztatów rządowych co się da, aby na wolnym, ukrytym rynku, rzeczy skradzione odsprzedać tajnej klienteli, względnie zużyć dla swojej prywatnej potrzeby.

Wiktor Serge[1]) (Kibalczyc), komunista trockistowiec, pisze: „Artel zatrudnia rzemieślnika 8 godzin dziennie, za zarobek zawsze mniejszy od zarobku na wolnym rynku. Rzemieślnik czuje się w nim pozbawionym wolności, wyzyskiwanym i oszukiwanym, pracuje w nim źle... Po powrocie do domu, wieczorem, pracuje potajemnie dla swojej klienteli prywatnej, wówczas pracuje uczciwie. Artel staje się miejscem do przeprowadzania różnych „kombinacji"... Jego buchalteria jest zawsze fałszowana".

Robotnik i rzemieślnik traktuje często swoje zajęcie w fabryce, czy w komunistycznym warsztacie, jedynie jako coś pobocznego, ustalającego jego stan prawny w państwie i dającego mu środki i możliwości do zarobkowania na własną rękę. „Żyje się — dodaje Kibalczyc — drobnym faworytyzmem, „kombinacjami", małymi spekulacjami i pracą potajemną dla wolnego rynku".

Państwo w ustroju komunistycznym, jest tym olbrzymim kapitalistą — monopolistą, wyzyskującym w nieprawdopodobny sposób całe społeczeństwo. Państwo — według komunisty Kibalczyca — zakupuje zboże za $^1/_5$—$^1/_7$ tej ceny, za którą sprzedaje chleb. Stąd „olbrzymia większość chłopów

[1]) Victor Serge: *Desfin d'une Révolution.*

żyje o wiele biedniej, aniżeli przed kolektywizacją, na stopie niższej aniżeli przed wojną". Zaś Iwan Sołoniewicz, który do czasu swej ucieczki za granicę, przez kilkanaście lat przebywał w państwie socjalistycznym sprawując nawet dosyć wysokie stanowiska, jako „spec" inteligent, w hierarchii państwowej i sam uważa, że jemu samemu dzięki różnym okolicznościom, nie działo się w Sowietach tak źle, w ten sposób maluje położenie w Rosji spod znaku zaciśniętej „pięści", „sierpa i młota".

„Poziom życia inżyniera sowieckiego jest kilkakrotnie niższy od poziomu robotnika finlandzkiego, a rosyjski robotnik prowadzi żywot na pół głodny... O niszczeniu inteligencji pisze cała światowa prasa... ale jakie to w rzeczywistości głupstwo, jaki drobiazg owo niszczenie inteligencji... to nie mieszczaństwo, nie fabrykanci, nie profesorowie opłacają lwią część „wydatków rewolucji", opłaca je przede wszystkim chłop; to on zdycha milionami... z głodu, tyfusu, obozów koncentracyjnych, kolektywizacji i prawa o „świętej socjalistycznej własności", z wszelkiego małego i wielkiego budownictwa Związku Sowieckiego, z wszelkich tych stalinowskich cheopsowych piramid, zbudowanych na jego chłopskich kościach... ze mną liczono się w więzieniu i będą liczyć się w obozie koncentracyjnym. Posiadam tysiące możliwości „wykręcenia się" — możliwości zupełnie niedostępnych dla chłopa. Z chłopem nie liczą się wcale i nie posiada on żadnych możliwości wykręcenia się". [1])

„Mnie, dobrze czy źle, ale sądzą. Chłopa rozstrzeliwują i zsyłają, albo zupełnie bez sądu, albo według sądu, o którym trudno mówić, że jest sądem. Widziałem takie „sądy": trójka niepiśmiennych i pijanych komsomolców skazuje rodzinę, w ciągu dwóch trzech godzin i niszczy ją, albo likwiduje z korzeniami... inteligencja jest jednakże potrzebną... Chłop... znajduje się w położeniu o wiele gorszym, aniżeli w najgorszych, najbardziej mrocznych czasach pańszczyznianych. Jest on pozbawiony wszelkich praw... jak niewolnik jakiegoś kacyka afrykańskiego..."

I dalej dodaje, że jeśli stosunek władzy sowieckiej do inteligencji można przyrównać do „szpilkowania", to „chłopa biją maczugą w łeb".

Trockistowiec Wiktor Serge podaje w swej ciekawej książce wysokość zarobków „uprzywilejowanej" klasy robotniczej, z czego wynika, że robotnik w Moskwie, a więc

[1]) Iwan Sołoniewicz: *Rossija w konetagierie.* 2 tomy.

tam gdzie jest najwyżej płatny, zarabia 100—120 rb. miesięcznie, robotnik wykwalifikowany 250—400 rb. „stachanowiec" 500—2000 rb. Istnieją natomiast na prowincji setki tysięcy robotników zarabiających zaledwie 70—90 rb. miesięcznie. Płace pracowników umysłowych kształtują się następująco: ekonomista zarabia 350 rb., dyrektor biura 400—800 rb., dyrektor fabryki 500—1500 rb. pracownik naukowy, pracujący w kilku instytucjach około 1200 rb. a „spec" od 1000—10.000 rb. miesięcznie. Najniżsi funkcjonariusze partii otrzymują tylko 250 rb. lecz jako członkowie partii korzystają z szeregu udogodnień (bony na ubranie, różne zniżki itd.) Wszyscy urzędnicy komunistyczni otrzymują pobory do 10.000 rb. miesięcznie oraz korzystają z całego szeregu udogodnień. Kobiety, np. posługaczki w szpitalach, zarabiają zaledwie 52 rb. miesięcznie.

Istotna wartość powyższych płac może być oceniona dopiero wówczas jeżeli je zestawimy z ceną chleba. 1 kg białego chleba kosztuje 4,50—7,50 rb. zaś 1 kg chleba razowego 1 rb. a zatem robotnik w stolicy proletariackiej zarabia miesięcznie 100—120 kg razowego, sowieckiego chleba. Przeliczając to według cen chleba w Polsce, robotnik sowiecki zarabia 30 zł. miesięcznie czyli za 8 godz. dzień pracy utrzymać się musi za złotówkę dziennie. Wyżej wskazane zarobki są zarobkami *brutto*, od tej sumy rząd potrąca 15—20%, tytułem podatków, składek, pożyczek przymusowych itd. Prócz tego za różne przewinienia rzeczywiste i urojone, stosowane są bardzo szczodrze „kary" dochodzące przy 100 rb. miesięcznie do 30 rb., tak że zarobek 100 rb. po przeprowadzeniu jednych i drugich potrąceń, spada dość często do 50% *brutta*. Inne ceny, wciąż według trockisty Kibalczyca, są następujące: 1 kg wołowiny 6—8 rb., 1 kg wieprzowiny 9—12 rb., 1 kg masła 14—18 rb., 1 kg kawy 40—50 rb., litr wódki 12 rb., buty 80—150 rb., ubranie wełniane 600—1000 rb. itd.

Według Trockiego 85—88% ludności żyje w skrajnej nędzy, zaś hierarchia uprzywilejowanych, której doły są bardzo źle płatne, obejmuje zaledwie 12—15% ludności. Kto składa się na tę arystokrację czy też plutokrację komunistyczną? Przede wszystkim kadry G. P. U., partii, państwa,

wojsk specjalnych, syndykatów, przemysłu i handlu, armii i floty, następnie różni „spece", doktorzy, profesorowie uniwersytetów, uczeni, artyści, malarze i pisarze, a wreszcie szara brać komunistyczna, lub z tak zwanego „aktywu" (czyli dorabiających się awansów i czekających na przyjęcie do partii), administrująca w liczbie 1 miliona ludzi 250.000 kołchozów.

Jednakowoż nie nędza materialna szerokich mas, przy bardzo skomnym dobrobycie warstw uprzywilejowanych, jest główną bolączką wszystkich poddanych imperium proletariackiego. „Jeżeli — pisze Iwan Sołoniewicz — pod groźbą rewolweru, żądają oddania spodni to można to jeszcze wytrzymać, ale jeżeli pod groźbą tegoż rewolweru, żądają oprócz spodni jeszcze entuzjazmu — życie staje się zupełnie niemożliwym". Oprócz mąk materialnych, biedy, nędzy, niedostatku i głodu, poddany imperium, w którym zagnieździła się w rządach doktryna marksowska w wydaniu komunistycznym, podlega całemu ogromowi mąk moralnych i psychicznych.

Jeżeli można powiedzieć, że w Rosji sowieckiej około 1% ludności czyli szczyty komunistycznego społeczeństwa żyją we względnym dobrobycie materialnym, to w dobrobycie moralnym i psychicznym żyje 0% ludności, gdyż nikt, na najwyższych nawet szczeblach hierarchii państwowo-komunistycznej, nie jest pewny swego jutra. Psychoza lęku i strachu opanowała wszystkich bez wyjątku. Komunizujący pisarz francuski André Gide, po swym powrocie z Rosji, gdzie był uroczyście przyjmowany, oznajmił: „Wątpię, żeby dziś w jakimkolwiek kraju, nawet w Niemczech Hitlera, człowiek był mniej wolny, bardziej upoddaniony". Radek wyraził się, będąc w 1934 r. przejazdem w Warszawie o stosunkach w Rosji następująco: „dziś się jest Stalinem, jutro prochem", co ma oznaczać, że tam w Rosji, można z dnia na dzień, z najwyższego nawet stanowiska runąć i przez taką czy inną „likwidację", stać się od razu „niczym".

Uczucie strachu jest nieodstępnym apanażem obywatela ojczyzny komunistycznej. A wiele przyczyn się złożyło na to zjawisko. Przede wszystkim brak wszelkiej stałości, co znowu jest wynikiem zmienności dekretów i posunięć poli-

tyczno-administracyjnych, nie umiejących niczego uszanować ani uczuć religijnych, ani rodzinnych, ani własności prywatnej, ani godności, honoru i charakteru człowieka, czyniąc zeń jakąś niewolniczą istotę do służenia wyimaginowanej doktrynie, mającej rzekomo przynosić człowiekowi szczęśliwość. Antyludzkość reżimu zmuszająca rządzących do stałego stosowania przemocy i tropienia jej wrogów rzeczywistych lub urojonych za pośrednictwem przeogromnej sieci szpiegowskiej i drugiej armii „likwidującej" winnych wobec władz. Wreszcie brutalne metody działania, nie skrępowanego ani nakazami moralności, ani też logiki. Wszystko to razem odbiera spokój ducha oraz pewność siebie i przyszłości. Nikt, poczynając od najwyższych a kończąc na najniższych członkach społeczeństwa komunistycznego, nigdy nie wie co dzień następny przynieść może.

„Nie można — pisze Iwan Sołoniewicz — ujmować zagadnienia w ten sposób, że z jednej strony znajdują się kaci, a z drugiej niewinne jagnięta. Kaci są również niewolnikami". Takie jest już prawo natury, że wówczas gdy niewolnik dochodzi do władzy, staje się tyranem, zaś gdy tyran traci władzę i zamienia się w podwładnego, staje się od razu niewolnikiem. Wiejski kacyk komunistyczny, postrach dla podległego sobie zniewolniczonego chłopstwa, jest najuleglejszym niewolnikiem bez czci i honoru wobec najniższego przedstawiciela władzy państwowej. Gromowładna zaś, dla całego podległego sobie dołu, władza powiatowa jest niewolniczą wobec wyższej instancji itd. aż po same szczyty, a ponieważ instytucją w praktyce najsilniejszą a najwięcej mającej do powiedzenia w ojczyźnie proletariatu jest G. P. U., wszyscy zawsze drżą przed G. P. U. i jej szpiegami denucjatorami, którzy znajdują się wszędzie i to często nie z chęci zysku, lecz dla ratowania samych siebie.

Alia Rachmanowa notuje w swoim pamiętniku, że na jej męża złożył doniesienie jego kolega, profesor uniwersytetu. Autorka nie czuje do niego żalu, bo wie, że ten słaby człowiek salwuje w ten sposób swoją sytuację, a może i życie. Belina-Podgaetsky,[1]) ideowy komunista, którego wieloletni

[1]) Nicolas Belina-Podgaetsky: *L'ouragan rouge* 1937 r..

pobyt w Rosji proletariackiej uleczył radykalnie z komunizmu (po ucieczce za granicę przeszedł na katolicyzm), notuje w swojej książce następujące zdanie: „P. postawiono jasno kwestię: albo ma być rozstrzelanym, wiedząc, że żona z trojgiem dzieci będzie zesłaną, albo też musi stać się szpiegiem swego własnego brata. P. ugiął się".

Franciszek Olechnowicz, wspominając o „seksotach" (sekretnych sotrudnikach) i „Iso" (inspekcyjno-śledczy oddział) pisze:

„Przy tym systemie jest duże pole do porachunków osobistych... więcej ma zaufania u swoich przełożonych „seksot", niż oskarżona przez niego ofiara. To też ludzie, najlepsi nawet przyjaciele, nie rozmawiają ze sobą o najpotoczniejszych rzeczach, inaczej jak szeptem, by przypadkowo podsłuchującemu „seksotowi" nie dać kanwy do zmyślonych donosów".

Tyrania rodzi niewolnictwo, a niewolnictwo wzmacnia tyranię, czyli rządzenie za pomocą przemocy, bez jakichkolwiek stałych wytycznych i reguł moralnych. Staje się to, czego władza pragnie, nie dlatego że coś jest lepszym, lecz że władzy się tak podoba. Niewolnik nie powinien samodzielnie myśleć, ważyć, dochodzić do prawdy i doskonałości, ale wczuwać się i zgadywać, co kapryśna władza w danym momencie od niego żąda.

Nie marksizm zaprowadził w Rosji tyranię, istniała ona tam od wieków, lecz przez wprowadzanie wszędzie biurokracji i jeszcze większe uzależnienie jednych ludzi od drugich, a z drugiej strony przez dozwolenie na wyzbycie się przez człowieka wszelkich hamulców moralnych — wzmocnił tyranię, uczynił ją o wiele bardziej zbrodniczą, aniżeli za czasów carskich.

Długie wieki panowania caratu wychowały naród niewolników i właśnie dzięki temu mogła despotyczna doktryna Marksa zdobyć władze nad już zniewolniczałym w ciągu wieków narodem, aby następnie tyranię podnieść do kwadratu. Kiereński, ten historyczno-demagogiczny trybun ludowy, torujący nieświadomie drogę do władzy Czerwonym Carom, miał raz, przemawiając do tłumu, przebłysk realnego jasnowidztwa, gdy zadał głośne pytanie: „Czyż jesteście zbuntowanymi niewolnikami?"

Między powstaniem myślących i kulturalnych obywateli przeciwko złej władzy tłumu, a buntem przeciwko władzy ciemnych, nie umiejących samodzielnie myśleć niewolników istnieje ogromna różnica. Niewolnik nigdy nie pójdzie za przygotowującym się do objęcia władzy rządem wolnościowym, lecz pójdzie zawsze za demagogiem tyranem, który zjedna go swoją demagogią, ziejącym z niej okrucieństwem i niewykonalnymi obiecankami. Głupiego, nie przyzwyczajonego do samodzielnego myślenia niewolnika, stokrotnie jest łatwiej oszukać, aniżeli obywatela, odznaczającego się kulturą myśli.

„Zaprowadzono na Sołówkach — pisze Olechnowicz — tego rodzaju system, że każdy, kto posiadał jakąkolwiek władzę, gnębił swoich podwładnych: dziesiętnik był bez litości dla zwykłego robotnika, zarządzający przedsiębiorstwem był postrachem dla całego etapu podległych mu pracowników. Każdy starał się przypodobać zwierzchności, uzyskać jakieś ulgi... każdy chciał się wysunąć na widoczne miejsce, przypodobać się swej władzy, zyskać jej sympatię"...

Podlizywanie się władzy i bezwzględne gnębienie podwładnych jest zasadniczą cechą każdego despoty-tyrana, na jakimkolwiek by się znajdował szczeblu hierarchii rządzącej. Już poseł angielski, na carskim dworze w Moskwie, w końcu XVI wieku, Fletcher zauważył rodzące się cechy tyranii rosyjskiej. Pisze on:

„Widząc grubiańskie i okrutne postępowanie z sobą urzędników i naczelników, postępują ci ludzie również nieludzko jedni z drugimi, zwłaszcza z podwładnymi i niższymi, tak, że ubogi chłop, pełzający przed możnym jak pies i zlizujący pył z jego nóg, staje się nieznośnym tyranem, gdy tylko otrzyma nad kimś władzę"...

Współcześnie cała Rosja jest olbrzymim obozem koncentracyjnym, kierowanym przez przeogromną hierarchię urzędniczą i przez setki tysięcy „uzależnień" w despotyzmie jednych od drugich. Między życiem w obozie a na wolności nie ma tak wielkiej różnicy, odzwierciedla go aforyzm więźniów na Sołówkach: *Wchodiaszczyj — nie grusti. Uchodiaszczyj nie radujsia.* Wchodząc do obozu nie smuć się, a wychodząc nie raduj się.

Iwan Sołoniewicz, który przebył w Rosji komunistycznej „na wolności" kilkanaście lat, a w obozie koncentracyjnym względnie krótko, pisze:

„Życie w obozie koncentracyjnym nie odróżnia się niczym zasadniczym od życia na wolności. Jeżeli w obozie jest gorzej, to już nie o wiele... Wszystko to, co dzieje się w obozie, ma miejsce i na wolności i na odwrót. W obozie jednakowoż wszystko występuje bardziej przejrzyście".

Życie w obozie oparte jest na darmowej ciężkiej pracy na rzecz państwa komunistycznego. Na wolności praca ta jest za pół darmo, z wyjątkiem kilku procent ludności na stanowiskach kierowniczych, lecz — zauważa Sołoniewicz, często w obozie jest lepiej, aniżeli na wolności, bo „władze obozów koncentracyjnych są bądź co bądź zainteresowane w stosunku do swego bydła roboczego" i karmią je, a w zwykłej wsi, na wolności, obrabowany przez rząd komunistyczny chłop ginąć może z głodu milionami i nic to nikogo nie obchodzi.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że internowani w obozach wysyłają często do swych rodzin na wieś zaoszczędzoną przez siebie żywność, aby uchronić je od śmierci głodowej. Człowiek na wolności może być człowiekiem zbędnym (liszeńcem) jako „burżuj", kapitalista, kułak, białogwardzista itd., którym nie tylko nikt się nie opiekuje, lecz każdy może go zastrzelić jak psa; natomiast w obozie, zarządy prowadzące różne roboty, mniejsza o to czy małe czy gigantyczne, są zainteresowane, aby otrzymane bydło robocze żyło, w przeciwnym bowiem wypadku, zarządy te nie będą się mogły pochwalić wobec władz, ni uzyskać gratyfikacji i awansów, owszem przeciwnie będą narażone na przyjazdy komisji śledczych, badania i rozstrzelanie za roztrwonienie socjalistycznej siły roboczej. Stąd też „opieka" nad internowaną siłą roboczą istnieje niejako z musu.

Tak zwane „budownictwo socjalistyczne", budowa owych wielkich kanałów, po których następnie nikt prócz władz komunistycznych nie jeździ, konstrukcja gigantycznych linii kolejowych czy oranżerii w strefie podbiegunowej, opiera się głównie na obozowej darmowej sile roboczej. „Obóz... zamienił się w gigantyczne przedsięwzięcie — pisze Sołonie-

wicz — do eksploatowania darmowej siły roboczej, znajdującej się w zawiadywaniu Głównego Zarządu Obozami G. P. U. (Gławnawo Uprawlenja Łagierami Gpu.) tak zwanego Gułaga". A dalej uzasadniając tezę, że obóz jest tylko jedną z form życia, pracy i działalności ludzkiej, nie różniącą się wiele od innych form pracy w państwie proletariackim, tenże autor zaznacza: „Granice między obozem a życiem na wolności zacierają się coraz bardziej. W obozie przejawia się zjawisko wyzwalania internowanych, na swobodzie natomiast upańszczyźniania mas". Sam Sołoniewicz, dzięki zawrotnej karierze, którą udało mu się zrobić w życiu obozowym, mógł wskutek uzyskanej dość dużej swobody ruchów, szczęśliwie uciec zagranicę, co mu się nie udało, gdy próbował tego dokonać z wolnej stopy. Właśnie ta nieudana próba ucieczki sprowadziła go do obozu.

Skutki panowania komunizmu w Rosji są tak ogromne i tak różnorodne, że trudno nawet bardzo pobieżnie je zobrazować. Bardzo oryginalnym przejawem życia w państwie komunistycznym jest powstanie nowej klasy społecznej, tak zwanych „społecznie bliskich", według oficjalnej terminologii sowieckiej, czyli klasy przestępców kryminalnych, którzy zorganizowali się w karne i posłuszne dla swoich „pachanów" (naczelników) bandy, a grabiące niemiłosiernie wynędzniałą ludność państwa komunistycznego.

Rząd sowiecki jest specjalnie dla nich łaskaw, gdyż wychodzi z założenia, że przestępstwo jest tylko wynikiem złych warunków socjalnych, te pozostałości po ustroju kapitalistycznym, który zmusza do przestępstwa; w ustroju zaś komunistycznym przestępcy kryminalni przestaną nimi być i poprawią się, zostaną „przekuci" na porządnych ludzi, dlatego też nazywa ich „społecznie bliskimi". Zapomina się jednak, że ogromna większość tych przestępców rekrutuje się spośród „bezprizornych", dzieci opuszczonych przez rodziców, co w ścisłym pozostaje związku z panowaniem reżimu komunistycznego.

„Społecznie bliscy", inaczej „urki", są specjalnie dobrze traktowani w obozach koncentracyjnych, w przeciwieństwie do różnych „kaerów", czyli kontr-rewolucjonistów, występujących pod nazwami trockistów, sobotażystów, szkod-

ników, *(wreditieli)* wściekłych psów faszystowskich itd. i mają wszelkie szanse do zajmowania stanowisk, zwłaszcza w milicji uzbrojonej w karabiny, dla pilnowania więźniów w obozach, w tak zwanym Worch'u. „Społecznie bliscy" są rzeczywiście ustosunkowani lojalnie do rządu komunistycznego i nie kradną „świętej własności socjalistycznej", lecz tylko prywatną biedotę sowiecką, poza obozami koncentracyjnymi i w obozach, zwłaszcza w tych ostatnich są straszną plagą, kradnąc ostatni kawałek chleba, strzępy ubrań i bielizny *(sowietskoje rwanie)* obywateli sowieckich itd. „Rządowego nie ruszamy — zwierza się „pachan" Sołoniewiczowi — za kopiejkę ukradniesz, a za całego rubla odpowiedzialności", nie ma w tym żadnego interesu.

Franciszek Olechnowicz tak charakteryzuje „socjalnie bliskich": „Na tle ogólnej bierności „kaerów", młodociani złodzieje, zbóje, podpalacze, gwałciciele stanowią jaskrawą plamę przez swą junakierię, buntowniczość, igranie z niebezpieczeństwem..." siebie uważają za „wybrańców losu, rodzaj ludzki, któremu wszystko wolno, drudzy — to heloci, niezdolni do niczego lepszego. Pierwszych obowiązuje swoja własna etyka, nie mająca zastosowania w stosunku do drugich".

Sołoniewicz czyni następujące na ten temat uwagi: „Wszyscy oni są rezultatem strasznej selekcji... pozostali tylko najmocniejsi... z wilczą nienawiścią odnoszą się do całego świata, który wygnał ich dziećmi na wielkie drogi głodu... Wszelkiej wypadkowej i skłóconej ze sobą publice, która dostała się do kazamatów G. P. U. przeciwstawia się zespolona i „klasowo solidarna" gromada „urków". Mają oni swoją organizację i organizacja ta dusi i grabi. Zresztą taka sama organizacja istnieje i na wolności. Ta uciska i grabi cały kraj... Z wszystkich ludzkich uczuć, pozostało u nich tylko jedno — solidarność wilczej gromady, od dzieciństwa wyrzuconej z ludzkiego społeczeństwa. Jakiż inny kraj i inna epoka pochwalić się może obecnością milionowej armii ludzi, oderwanych od wszelkiej podstawy społecznej i pozbawionych wszelkiego społecznego uczucia, wszelkiej moralności. Tych „urków" jest w obozach od 750.000 do 1.500.000, a ilu ich przebywa na wolności?"

„My wszyscy — mówi „pachan" Sołoniewiczowi — jesteśmy gromadą „bezprizornych". Od matczynej piersi poszliśmy wprost do „bezprizornych". Ja, prawdę mówiąc, od dzieciństwa jestem złodziejem, i złodziejem umrę... ...wy kaerzy jesteście klasowymi wrogami, stąd też i ustosunkowanie do was jest odpowiednie, my zaś urki jesteśmy elementem socjalnie bliskim. Dlatego też jesteśmy przeciwko własności... wy wszyscy jesteście stadem baranów, a my to organizacja..."

Urki pochodzący z bezprizornych tworzą prawdziwie nową rasę ludzką, mogącą w przyszłości odegrać nawet pewną rolę polityczną, jako klasa energiczna, zwarta, ożywiona jednym i tym samym duchem.

Panowanie komunizmu w Rosji stworzyło niewątpliwie wiele nowych form społecznych, inne dawniejsze, jak np. stosunek dzieci do rodziców przetworzyło kompletnie. Nawet sam sposób myślenia mas uległ radykalnym zmianom; niektóre bowiem pojęcia nie imają się już człowieka w Sowietach i na odwrót pewne pojęcia gdzie indziej zwalczane zagnieździły się w jego umyśle na stałe.

Z drugiej strony wpływ myślowo-psychiczny ośrodka rosyjskiego na cały niemal świat jest ogromny a trudno zjawisko to przypisać wyłącznie pośrednictwu marksistów intelektualistów.

Na pierwszy rzut oka można by więc mówić o ideowym przodownictwie komunistycznej Rosji we współczesnym świecie. Głębsza jednak analiza tych przodowniczych elementów komunistycznej kultury prowadzi do smutnych a nawet bardzo smutnych refleksyj. W bilansie historycznego rozwoju ludzkości, dwudziestolecie panowania komunizmu w Rosji stanowić będzie niewątpliwie pozycję ujemną, pozycję duchowych, kulturalnych i społecznych deficytów.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Prawica, lewica i niepodległość.

Genealogia teraźniejszości.

Im głośniej brzmi hasło konsolidacji, tym przekorniej „dekomponuje" się rzeczywistość polska. Pośród rozgwaru coraz gorętszej walki wszystkich ze wszystkimi coraz trudniej zdać sobie sprawę z zasadniczych przyczyn chaosu. Trzeba więc sięgnąć okiem pod powierzchnię zjawiska, ujawnić źródła i naturę sił, które je wprowadzają w burzliwy ruch. Trzeba się w tym celu cofnąć wstecz, by z uzyskanej perspektywy lepiej ogarnąć całokształt położenia.

Pierwsza Polska Rzplita Szlachecka minęła na progu długotrwałego okresu „burz i naporów", który w rewolucji francuskiej, wojnach napoleońskich i przewrotach późniejszych odwracał falę dziejową od absolutyzmu do liberalizmu; a także jednoczył niescalone jeszcze państwowo narody. Ten przewrót ustrojowy i zjednoczenia narodowe były podówczas nieuniknioną koniecznością. Absolutyzm bowiem w ciągu trzech wieków renesansu opanował wprawdzie chaos późnego średniowiecza i potroił ludność mocarstw zachodnich, zwłaszcza Francji, jednak, właśnie dlatego, sztywnością swojej organizacji stanowej stanął z kolei w poprzek dalszemu rozrostowi życia. Zapewnić go mogło tylko wywrotowe wyładowanie nagromadzonej energii w masowej produkcji przy wolnym współzawodnictwie. Do tego koniecznym się stawał liberalizm polityczny i gospodarczy. Niemniej koniecznymi były zjednoczenia narodowo-państwowe ponieważ zagęszczenie ludności w Europie wzmagało nie tylko pionową, społeczną walkę klas o podział bogactw (dochodu społecznego)

lecz także poziomą międzynarodową „walkę ras" (narodów) o podział ziemi.

Druga Polska Rzplita Mieszczańska powstała z martwych na progu nowego, długotrwałego okresu „burz i naporów". W światowej wojnie 1914 r. i tej która obecnie nadciąga, w rewolucji bolszewickiej, rewolucjach faszystowskich oraz Rooseveltowskich próbach „nowego podziału" społecznego odwraca się ponownie fala dziejowa od liberalizmu ku absolutyzmowi, aczkolwiek nie biurokratycznemu i politycznemu, lecz związanemu monoideistycznie z rządzonymi. Równocześnie faszyzmy napierają w kierunku nowego podziału ziemi na globie. Jeden i drugi przewrót zarówno ustrojowy jak międzynarodowy staje się obecnie nieuniknioną koniecznością. Liberalizm bowiem i kapitalizm w ciągu półtora wieku, które mijają od wielkiej rewolucji francuskiej i wielkiego sejmu polskiego, wyładowały wprawdzie olbrzymią masę energii gospodarczo i technicznie twórczej, umożliwiając przez to znów potrójny rozrost ilościowy życia w Europie, ale właśnie skutkiem tego rozrostu, oraz technicznemu wzmożeniu produkcji powyżej potrzeb rynków miejscowych, obrót wytwórczo-spożywczy uległ zasadniczej komplikacji. Nie może już nadal być regulowany li tylko wolną grą ekonomiczną między popytem a podażą, ani powierzać inicjatywy wytwórczej wyłącznie gospodarującym dla osobistego zysku jednostkom, ani polegać na wolnej między nimi konkurencji. Te bowiem czynniki w nowych warunkach utraciły już przeważnie swą zdolność regulacyjną procesów ekonomicznych, natomiast coraz niebezpieczniej je chaotyzują. Z pierwszego planu konieczności rozwojowych życia ustępuje zatem liberalne hasło *laisser faire, laisser passer* oraz równoległe *enrichissez vous*, gdyż grożą pogrążeniem społeczeństw w anarchii.

Jako nagląco aktualna konieczność wysuwa się znów na ich miejsce zasada celowego sprzężenia wysiłków, oraz planowego kierownictwa całokształtem gospodarstw narodowych. Wymaga to autorytatywnej władzy państwowej, ale zarazem czynnego z nią współdziałania społeczeństw zorganizowanych w korporacjach zawodowych. Wymaga też zasadniczych zmian w zakresie funkcji społecznej środka obro-

towego w szczególności pieniądza. W tym więc kierunku zdąża nadciągający nowy przewrót ustrojowy.

Równocześnie i równolegle niebywałe stłoczenie rozmnożonego życia ludzkiego w Europie (zwłaszcza w krajach w epoce liberalizmu narodowo zjednoczonych) wywiera gwałtowny nacisk w kierunku przestrzennej ekspansji na nowe ziemie. Jeden i drugi, ustrojowy i międzynarodowy napór w kierunku koniecznych zmian spotyka się z zaciętym oporem ze strony warstw i państw, którym zagrażać może, niezależnie zresztą od tego czy ich stany posiadania są etycznie uzasadnione lub nie. Podobnie było i w poprzednim przełomie dziejowym. Podobnie więc jak wówczas zanosi się na długo trwały okres *Sturm und Drang,* którego wyniku z góry przewidzieć się nie da. Może być cywilizacyjnie twórczy lub niszczący, zależnie od tego czy przeżyte formy ustrojowe zostaną złamane i zastąpione nowymi, lub też przeciwnie ostoją się, redukując jednak, w takim razie, stopień rozwoju życia do nieprzekraczalnej dla tych form miary.

Położenie kraju.

Rzplita Szlachecka runęła na progu poprzedniego dziejowego przełomu dlatego, że w rozwoju społecznym i gospodarczym nie dotrzymała kroku Europie, zwłaszcza swym wielkim sąsiadom. Gdy na zachodzie absolutyzm dojrzał już do rozkładu na rzecz liberalizmu, na wschodzie trzymał się jeszcze potężnie, oparty na bogactwie swoich miast, zasobności skarbów i licznych, stałych armiach. Rzplita zaś od XVII wieku decentralizowała się na rzecz magnackich potęg prowincjonalnych, utrzymujących własne wojska i patronujących licznej klienteli szlacheckiej. Jest to typowy proces formacyjny wczesnego, przedmieszczańskiego feudalizmu. Społeczeństwa w tym stadium rozwoju, jednostronnie rolnicze nie są zdolne utrzymać kosztownej administracji centralistycznej i stałej, silnej armii. Opierają więc swój ustrój na wielkich latyfundiach rolnych, które własnym sumptem dostarczają miejscowych sił zbrojnych i dzielą między sobą władzę państwową.

W obliczu przeto „aliansu czarnych orłów" Polska znajdowała się w pozycji niemal takiej, jak niedawno Abisynia, również feudalna, wobec faszystowskich Włoch. Po pierwszym rozbiorze daremnie usiłowała Rzplita „podciągnąć się wzwyż" w zakresie urbanizacji, industralizacji i militaryzacji. Nie wydążyła w tym wysiłku na czas przełomu. Gdy Wielki Sejm uchwalił pobory na stutysięczną armię, to po paru latach okazało się, że nawet tego nieodzownego *minimum* ciężarów wojskowych kraj finansowo nie udźwignie. Z trudem dociągnięto do 60 tysięcy żołnierza. Zaciągnięto pożyczkę zagraniczną, lecz ani jej zrealizować nie zdążono, ani nie mogła ona zapewnić obrony kraju na stałe. Rzplita Szlachecka upadła dlatego, że zapóźniona w swym społecznym rozwoju, nie była zdolna ekonomicznie sprostać zadaniu obrony niepodległości.

Upadek Polski spowodował potężną dywersję, która ocaliła rewolucję francuską przed sprzymierzonymi przeciwko niej absolutyzmami. Stał się ujemnym biegunem wielkiego dziejowego przełomu na rzecz liberalizmu, podnosząc alians czarnych orłów do godności świętego przymierza kontrrewolucji. Zacofanie jednak społeczno-gospodarcze rozwoju Polski utrwalił, choć nie zapobiegł przeniesieniu go na wyższe piętro ustrojowe i wyższy poziom stanowy. Mocarstwa zaborcze wprowadziły nasz kraj w gospodarkę kapitalistyczną, państwowość mniej więcej liberalną, ale w warunkach zabójczych dla jego prawidłowej ewolucji w duchu tego ustroju. Gdyby Polsce danym było rozwijać się społecznie z podstawy Konstytucji 3 maja, to chcąc dotrzymać kroku potędze ekonomicznej i militarnej sąsiadów, oraz utrzymać własny potężny przyrost ludności, musiałaby się urbanizować, uprzemysłowiać i gromadzić kapitał w tempie szczególnie forsownym. Gdy zaś obszar państwowy i gospodarczy Polski, rozdarty na niewielkie strzępy, włączony został w charakterze prowincyj kresowych w ogromne organizmy obce, warunki jego rozwoju zmieniły się diametralnie. Znikł bodziec utrzymania niepodległości państwowej i niezawisłości gospodarczej. Ciężar budżetów mocarstw rozbiorowych stosunkowo słabo dotykał ludność polską, zwłaszcza w Rosji. Otwarły

się łatwo dostępne rynki dla rolnictwa w zaborze pruskim, dla przemysłu w rosyjskim. W najbardziej ekonomicznie upośledzonej Galicji inteligencja zbiurokratyzowała się, żyjąc na koszt Wiednia, włościaństwo zaś pogrążyło się w niebywałym zubożeniu swych karłowatych gospodarstw.

Te warunki sprzyjały bardzo liczebnemu wzrostowi życia na miarę epoki kapitalistycznej, nie sprzyjały jednak bynajmniej montowaniu wielkokapitalistycznej aparatury gospodarczej, zdolnej utrzymać wielkie masy ludności i wielkie siły zbrojne. Mnożył się więc nasz naród „jak króliki polskie" częściowo korzystając z koniunktur i urządzeń kapitalistycznych zaborców, częściowo zaś sposobem takim jak w Azji, Rosji, lub przedrewolucyjnej Francji: wytrzymałością wobec nędzy. Doświadczenie uczy, że tą ostatnią drogą dają się osiągnąć wysokie nawet stopnie ludnościowego rozrostu, jednak tylko równolegle z głęboką barbaryzacją gospodarczą i kulturalną, oraz z tym, że gdy zostanie pogwałcone *minimum* fizycznej egzystencji, to nadmiar zaludnienia ścinają automatycznie głody, epidemie, klęski żywiołowe i krwawe zamieszki. Oczywistą jest rzeczą, że kraje zagęszczając swą ludność w takich warunkach mają mało szans we współzawodnictwie ekonomicznym i militarnym z wielkimi mocarstwami kapitalistycznymi. Mogą więc, do czasu egzystować jeszcze w Azji, lecz nie w Europie.

Polska Rzplita Mieszczańska wynurzyła się jednak z niewoli właśnie w najniebezpieczniejszym punkcie Europy, rywalizując z jej mocarstwami liczbą ludności, głęboko zaś wstecz za nimi pogrążona w strukturze społeczno-gospodarczej. To od razu stawiało tragiczny znak zapytania nad „zdolnością do niepodległości" wskrzeszonego państwa polskiego w warunkach europejskich. Czy zszyte z trzech kresowych prowincyj mocarstw zaborczych w samoistny obszar polityczny i gospodarczy zdoła ono wyżywić i utrzymać na poziomie kultury europejskiej swą mocarstwową ludność bez mocarstwowej aparatury wielkokapitalistycznej? Oraz odwrotnie, czy ludność ta zdoła w tych warunkach udźwignąć ciężar ekonomicznej wielkomocarstwowej potęgi militarnej, bez której nie może być niepodległości?

Ponure, przerażające cyfry statystyk zdają się wróżyć drugiej Polsce niemniej złowrogą odpowiedź na te pytania niźli ją otrzymała Rzplita Szlachecka. Oto od czasu Stanisława Augusta na obecnym obszarze naszego kraju ludność wzrosła z 9 milionów do 34, gdy we Francji z 26 na 42, a w Niemczech z 24 na 65. Rozrost ludnościowy Polski zajmuje więc jedno z czołowych miejsc w Europie i tylko Wielka Brytania może się z nim mierzyć, bo przed rewolucją francuską liczyła 14 milionów obywateli, obecnie zaś 45. Równocześnie gęstość zaludnienia w Polsce przewyższa wprawdzie francuską, ale odsetek mieszkańców większych (powyżej 10 tysięcy głów) miast w Polsce wynosi 20, we Francji 40, w Niemczech 50%. Dochód społeczny na głowę ludności w Polsce 900 złotych, we Francji 2100, w Niemczech 2500, w Anglii 4200. Obroty handlu zagranicznego na głowę w Polsce 53 złote, w Niemczech 270, we Francji 300. Stan kapitalizacji w kasach oszczędności Polska 1,2 miliarda złotych, Francja 14,6 miliardów, Niemcy 30; w bankach prywatnych Polska 500 milionów, Francja 9 miliardów, Niemcy 13 miliardów. Dochody skarbowe w Polsce 180 milionów miesięcznie, we Francji 900 milionów, w Niemczech 1800 milionów, czyli dziesięćkroć więcej, przy dwakroć wyższej liczbie ludności. Nie dziw przeto że budżet państwowy Polski mało przekracza 2 miliardy rocznie, gdy francuski dosięga 12 (w złotych); w czym wydatki na armię w Polsce 750 milionów, we Francji zaś dwakroć więcej niż roczny koszt utrzymania całej państwowości polskiej, mianowicie 4 miliardy złotych. Nie dziw też, że Niemcy wydali na zbrojenia w okresie hitlerowskim 40 miliardów złotych, gdy w ciągu tychże 4 lat suma naszych budżetów wojskowych wyniosła 3 miliardy, *plus* obecnie świeżo od Francji pożyczony miliard czwarty.

Doświadczenie dwudziestu lat naszej niepodległości daje tedy odpowiedź wyraźnie przeczącą na pytanie czy Polska w tym stanie społeczno-gospodarczego rozwoju w jakim przywrócona została do niepodległości, zdolną jest wytrzymać współzawodnictwo ekonomiczne i militarne z mocarstwami wielkokapitalistycznymi. Równocześnie przyrost 6—7 milionów ludności w Polsce odrodzonej wchodzi w nie-

mniej ostrą kolizję z liczbami wyżej przytoczonymi. Stąd zdaje się wynikać odpowiedź przecząca także na pytanie dotyczące zdolności naszego narodowego gospodarstwa do zatrudnienia i wyżywienia tej ludności.

Polska w ciągu dwudziestolecia postąpiła wprawdzie w niektórych dziedzinach poważnie naprzód. Rozwinęła się armia, szkolnictwo, sieć kolejowa, powstała Gdynia. Ale to wszystko bezwzględnie nie wystarcza, ażeby równocześnie odrobić katastrofalny wiekowy niedorozwój, oraz dotrzymać kroku dalszemu rozrostowi biologicznemu narodu i rywalizacji obcych potęg. Wielkokapitalistyczną gospodarkę Polska mogłaby podźwignąć u siebie do miary nieodzownej w walce o samoistny byt narodowy jedynie wtedy gdyby się odrodziła państwowo na tle niczym niehamowanego rozkwitu kapitalistycznej gospodarki światowej. Gdyby nie 5 czy 7 miliardów złotych owego kapitału inwestowano u nas, lecz 50, jak to miało miejsce po wojnie w Niemczech, gdyby obrót handlu międzynarodowego bez przeszkód wzrastał i pociągał nas za sobą, wtedy zapewne odrodzona Polska w ciągu 20 lat zdołałaby wytworzyć kapitalistyczne gospodarstwo narodowe na miarę swych potrzeb wewnętrznych oraz konieczności obrony narodowej. Ale Polska wynurzyła się ponownie na widownię dziejów na progu kataklizmu, który ustrój i gospodarkę kapitalistyczną prowadzi do zagłady. Dlatego pozostawiona została przez rozkładające się kapitalistyczne gospodarstwo światowe nieomal własnym tylko siłom. Dlatego nie mogła dopędzić w rozwoju kapitalistycznym tych, którzy go już dawno przeszli i z jego kolein są właśnie wytrącani. Tym samym druga Polska nie zdała egzaminu ze swych uzdolnień do niepodległości w ramach ustroju i gospodarki kapitalistycznej.

Wyrównać swe zacofanie, dynamizować się ekonomicznie i militarnie, zapewnić byt swej ludności i prześcignąć współzawodników mogłaby Polska jedynie wówczas gdyby zaprzodowała światu na drodze, którą mu wskazuje kataklizm dziejowy. Gdyby nie mogąc ostać się przy kapitalizmie wkroczyła śmiało pierwsza w ustrój i warunki nowe. Zasadniczą odmianę urządzeń musiałaby jednak poprzedzić odmiana pojęć i dążeń w narodzie. A tego dotąd nie ma.

Walka klas.

Odrodzona Polska wniosła w swe nowe państwo materialny „posag" zniszczeń wojennych, przeludnienia wsi, słabego przemysłu i ubóstwa kapitałów. Wniosła jednak również „posag" duchowy, zapożyczony od zachodniego kapitalizmu, w postaci nieodłącznej odeń walki klas, związanych z nią doktryn społecznych, marksistowskiej i liberalnej, a także pewnej skłonności do walki ras, związanej z nacjonalizmem. Jeżeli współdziałanie gospodarcze światowego kapitalizmu z Polską okazało się skromne z powodu jego postępującej dezorganizacji, za to walka klas wtargnęła do nas z tym większą intensywnością im bardziej zniszczenie i niedorozwój społeczny potęgowały nędzę mas ludzkich. Świadomość tego niedorozwoju istniała wprawdzie w opinii, ale karmiono się nadzieją, że ją wyrówna domniemany rozkwit światowej gospodarki, na tle nie zmąconego pokoju, który zapewni przewaga demokracyj zachodnich nad Niemcami.

W praktyce przeto pierwszych lat życia wewnętrznego Polski odrodzonej na miejsce naczelne nie wysunął się bynajmniej wysiłek forsownej budowy narodowego gospodarstwa, którego stan już wówczas kwestionował trwałość niepodległości. Było to co prawda zadaniem iście syzyfowym przy ustroju kapitalistycznym, a braku kapitałów. Jednak można się było na tej drodze posunąć dalej niźli to nastąpiło w rzeczywistości, gdyby lwiej części energii nie pochłaniała walka klas. Dzięki niej osią życia publicznego polskiego nie stało się powiększenie ubogiego polskiego dochodu społecznego, lecz właśnie i przede wszystkim jego podział, niezależnie od jego wysokości.

Doświadczenie, zwłaszcza bogatych krajów anglosaskich uczy, że dobrobyt mas ludowych w dobrze rozwiniętym ustroju kapitalistycznym, znacznie więcej zależy od ogólnej wysokości dochodu społecznego, niźli od jego mniej lub więcej sprawiedliwego podziału. W warunkach polskich zarówno to doświadczenie jak sam zdrowy rozsądek wskazują, że nędzę przeludnionej wsi zwalczyć można skutecznie jedynie przez przesunięcie kilku milionów małorolnych wło-

ścian do miast i przemysłu. Podstawowym warunkiem poprawy bytu robotników jest również rozwój przemysłu, z deficytów bowiem nie można podwyższać robocizny, a przy słabym obrocie nie można rozszerzać stanów zatrudnienia.

W społeczno-gospodarczej ewolucji nowej Rzplitej Polskiej te aksjomaty nie odegrały jednak decydującej roli. Najwybitniejsze piętno położyły w niej przewagi odniesione przez partie chłopskie i robotnicze w walce klas o podział, nie zaś powiększenie dochodu społecznego. Stąd powstały reforma rolna i zdobycze świadczeń społecznych. W obu tych dziedzinach a zwłaszcza w drugiej zaprzodowaliśmy Europie radykalizmem przeprowadzonych ustaw. Ze stanowiska sprawiedliwości społecznej były one zasadniczo słuszne. Niemniej jednak nosiły wyraźną cechę destrukcji nie tylko w stosunku do kapitalizmu, lecz także do gospodarstwa narodowego, ignorując i pogłębiając jego zacofanie. Atakowały większą własność rolną pomimo, że ona jedynie reprezentuje wyższą technikę produkcji, żywi miasta, armię i eksportuje. Produkcję zaś przemysłową świadczenia socjalne obciążyły znacznie przy notorycznej niedostateczności kapitału obrotowego w kraju.

Był to pyrrusowy tryumf walki klas prymitywnej, żywiołowej, ślepej. Odpowiedzialność zań obciąża jednak nie tylko naszych radykałów typu marksistowskiego lub pokrewnego. Przyczynił się tu również sam katastrofalny stopień gospodarczego zacofania kraju, prowokujący wraz ze zniszczeniem wojennym, nędzę mas ludowych. Przyczyniła się niemoc polskiego kapitalizmu w podźwignięciu naszego narodowego gospodarstwa na stopień odpowiadający koniecznościom życiowym kraju. Na tle ogólno polskiej narodowej nędzy zbiegły się więc i współdziałały dwie destrukcje: czynna: proletarjacka i bierna: burżuazyjna. Pogrążone w zaciętej między sobą walce klasowej pozostawiły na uboczu sprawę zasadniczo decydującą o uzdolnieniu narodu do niepodległości, sprawę dynamizacji gospodarczej kraju. Jeżeli poczyniła ona pewne, choć najzupełniej niedostateczne wobec potrzeb postępy, to tylko dzięki odbudowie zniszczeń wojennych kosztem inflacyjnego przesunięcia kapitałów z wie-

rzycieli na dłużników. Albo też dzięki pierwszej i obecnie drugiej fali koniunktury międzynarodowej, niezdrowej, sztucznej i dochodzącej do Polski wąskim dopływem jej szczupłego zagranicznego obrotu.

Kosy, pogromy i reformy.

Zajadła walka klas, tłumacząca się politycznie na walkę partyj, wypełniła więc po części świadomość i życie społeczne Polski za sejmowładztwa. Po przełomie majowym batutę liberalizmu gospodarczego przejął od narodowej demokracji rządzący obóz piłsudczyków. Oczarowany wzrostem obrotu handlowego z zagranicą w okresie między strejkiem angielskich węglarzy, a paktem Younga, nowy polski reżim oddał się naprzód „radosnej twórczości", podnosząc ciężary publiczne, łącznie z samorządowymi, do 5 miliardów rocznie. Była to kwota przewyższająca cały zasób zaoszczędzonego kapitału w kraju, nie mówiąc już o obiegu pieniężnym, ale w sukurs przychodził na razie kredyt zagraniczny. Gdy zaś po paru latach sztuczna koniunktura pacyfistyczna załamała się w bankructwie Niemiec i wielki kryzys począł ją „nakręcać" w duchu antyliberalnym, polska państwowa polityka gospodarcza z niemniej żywiołową namiętnością skoncentrowała się na deflacyjnym zaciskaniu pasa na brzuchach społeczeństwa, politycznie zresztą nadal trzymanego za buzię.

Życie zaś nieubłaganie posuwało się tymczasem naprzód w swoich koniecznościach wpędzając coraz głębiej w impas gospodarkę kapitalistyczną tak w świecie jak w Polsce. Wielki kryzys przez wielkie mocarstwa został chwilowo i częściowo opanowany jedynie za pomocą odstępstw od liberalizmu gospodarczego, nieurodzajów i — przygotowań do nowej wielkiej wojny. Stąd druga powojenna fala koniunktury, którą by jednak raczej przedwojenną nazwać należało. Polska polityka gospodarcza chwyciła się jej jak deski zbawienia przed deficytem budżetowym i poczęła odbijać od dna kryzysowego. Koniunktura okazała się łaskawą, nie odmówiła sukcesów, jednak takiej tylko miary, że w stosunku do konieczności rozwojowych oraz do konieczności obrony narodowej czynią wrażenie tragikomiczne.

Oto bowiem „z otuchą w sercu" możemy stwierdzić, że w tej czy owej dziedzinie produkcji nie tylko odbilimy już od dna, ale nawet zbliżamy się już ponownie do poziomu przedkryzysowego, czyli do poziomu, któryśmy już osiągnęli, za czasów pierwszej koniunktury, a więc przed dziesięciu laty. Ten sukces wyda się jeszcze bardziej tragiczny niż komiczny, jeśli się zważy, że odrodzona Polska wynurzyła się na widownię dziejową w takim stanie społecznego rozwoju, który od razu kwestionował trwałość jej nowej niepodległości: że podciągać się wzwyż na drodze gospodarki kapitalistycznej zaczęła w szyku potrójnej destrukcji: inflacyjnej, reformistyczno-rolnej i zdobywczo-socjalnej; że odrodzonej Polsce przyrosło 6 czy 7 milionów nowej ludności, dzięki czemu nacisk niedorozwoju urósł do stopnia zagrażającego niszczeniem życia; oraz wreszcie, że w ostatnich latach Hitler wydał na zbrojenia 20 miliardów marek, a Polska 3 czy 4 miliardy.

Są to wszystko fakty o druzgocącej wymowie, które nie pozostawiają żadnych niedomówień w zakresie doskonałego *reductio ad absurdum* liberalnej polityki gospodarczej w Polsce, widoków budowy kapitalizmu polskiego, oraz ochrony przezeń życia mas i niepodległości państwa.

Jednak w tej właśnie perspektywie obraca się nadal nie tylko gospodarcza polityka państwa, lecz także jego wewnętrzna polityka *tout court*. Od jesiennych deficytów budżetowych 1935 r. poczynając, wystąpiła ona z inicjatywą koordynacji wysiłków rządu i społeczeństwa w zakresie walki z kryzysem. Na razie posunięcie to zmierzało do osłodzenia rządzonym nowych zabiegów deflacyjnych, wymagających jeszcze forsowniejszego zaciśnięcia pasa. Później jednak — gdy przyszła w pomoc koniunktura i zaczęto odbijać od dna, z drugiej zaś strony coraz niedwuznaczniej rosły zagrożenia od wewnątrz, rozszerzono hasło konsolidacji. Jako jej podstawę programową wysunięto liberalizm gospodarczy i częściowo polityczny. Rzeczywistość odpowiedziała dekompozycją.

Nie ma w tym nic dziwnego. Inaczej być nie mogło. Liberalizm w obecnych warunkach jest ścisłym odpowiednikiem konserwatyzmu z czasów poprzedniego przełomu

ustrojowego, sprzed 150 lat. Zmierza do zachowania istniejących urządzeń i stosunków; względnie, jak w Polsce, do wyprowadzenia ich z niedorozwoju za pomocą środków zgodnych z ich naturą, choć niezdolnych już sprostać koniecznościom życia. Z natury rzeczy inicjatywa tego rodzaju musiała wywołać podwójny efekt. Po pierwsze jako ruch zachowawczy, czyli „prawicowy" spowodowała reakcję ze strony lewicy żądnej zmian postępowych, w duchu wolnościowym i społeczno-radykalnym. Samo więc wysunięcie tego rodzaju programu, jaki dedukować można z deklaracji płk. Koca oraz gospodarczych uzasadnień wicepremiera Kwiatkowskiego nosiło w sobie potencjalnie lewicową kontrakcję, czyli musiało wywołać dekompozycję. Leży to bowiem w naturze liberalizmu jak i kapitalizmu, że na gruncie wolności rozpętuje walkę klas, czy pochodną od niej walkę prawicy z lewicą, konserwy z postępem, przywileju z demokratyczną równością.

Po wtóre program liberalny pozostawał w tak jaskrawej dysproporcji z coraz gwałtowniejszymi koniecznościami ochrony życia i obrony niepodległości polskiej, że nie miał najmniejszych widoków rozentuzjazmowania do siebie szerszych warstw ludności, które na własnej skórze, co dzień boleśniej tę jego niedostateczność odczuwają. Z tej strony przeto również nastąpiła reakcja dekompozycyjna i to szczególnie głęboka, nie tyle związana z konsolidacyjnymi posunięciami rządu, ile wywołana samorzutnie przez katastrofalny stan faktyczny. Zasadniczą oś zacofania polskiej budowy społecznej stanowi niedorozwój miast i przemysłu, oraz przeludnienie i zubożenie wsi. Na skutek stałego przyrostu ludności w odnowionym państwie, a powolnego tempa postępu gospodarczego nędza wsi dosięgła tego kresowego napięcia, które nie tylko nęka cierpieniem, lecz poczyna na coraz bliższą metę zagrażać życiu mas. Jest to stan, który mobilizuje zbiorowy instynkt samozachowawczy, budzi inicjatywę i nastawia ją bojowo. W takim stanie rzeczy i ducha masy gotują się do rozegrania walki o swój byt wszelkimi środkami, jakie się dla nich mogą okazać dostępne, nie mają bowiem już nic do stracenia. W razie gdyby pozostały bierne, lub zostały pokonane, znacznej ich części grozi za-

głada, jak to bywa w przeludnionych państwach azjatyckich. Masy w takiej sytuacji wybierają więc nieraz ryzyko śmierci w domowych walkach orężnych.

W polskiej wsi tragiczne napięcie przeludnienia nie mogło być w poważnej mierze złagodzone ubogimi półśrodkami dotychczasowej polityki zarówno liberalnej, jak radykalnej. Nie pomogła ani dość szeroko już zrealizowana reforma rolna, ani tym mniej koniunkturalna poprawa cen rolnych. Ta ostatnia ożywiła tylko inicjatywę poszukiwania ratunku, dając chłopu w rękę trochę grosza. Stąd na polskiej wsi częściowo odżył żywiołowy pęd parcelacyjny skierowany przeciwko większej własności. Jeszcze znamienniej wystąpił oryginalny, samorzutny prąd nowy, naporu do miast i miejskiego drobnego handlu. Jedno zaś i drugie otrzymało swój równoleżnik polityczny we wznowionym dążeniu włościaństwa do władzy w państwie. Władza ta może stanowić cel sam w sobie dla przywódców, ale dla mas jest tylko środkiem do takiej zmiany państwowej polityki społeczno-gospodarczej, która by zdolna była wyprowadzić lud z tragicznej matni w jakiej się znalazł.

Ważne a ciekawe to zjawisko samorzutnej „inicjatywy ludowej" jest jaskrawym aktem „wództwa z dołu" społecznego, który w ten sposób usiłuje zastąpić wództwo z góry, ponieważ go ono zawiodło. Żywiołowy napór tej inicjatywy rozwija się na szlakach prymitywnego odruchu bezpośredniej obrony zagrożonego istnienia, nie liczy się więc z następstwami jakie stąd wyniknąć mogą dla całokształtu narodowego gospodarstwa i państwa. To też wznowiony napór wsi na większą własność ziemską oraz nowy napór na drobny handel miejski ze stanowiska ogólnych interesów społeczeństwa wykazuje cechy niecelowe a nawet destrukcyjne. Te odruchy nie mogą rozwiązać zasadniczo problemu przeludnienia wsi, chyba że doszedłszy do władzy w państwie lud wprowadziłby na nowe tory jego politykę, która dotąd również tego problemu rozwiązać nie zdołała. Kilku milionom nadmiaru zubożałej ludności włościańskiej nie zapewni się bytu na dłuższą metę ani przez wyrwanie straganiarstwa z rąk żydowskich, ani przez zupełne nawet zniesienie większej własności ziemskiej. Rozwiązać ten problem może jedynie

rozbudowa potężnego przemysłu w Polsce, podwojenie odsetka ludności miejskiej, oraz wielokrotna dynamizacja życia gospodarczego w ogóle.

W takiej zaś postaci w jakiej samorzutnie wystąpiła włościańska dążność do społecznej przebudowy Polski, dążność ta wprawdzie wyprzedza urzędowe odbijanie od dna kryzysu, które do przebudowy nigdy by nie dotarło, ale zarazem wywołuje destrukcyjne komplikacje. Reformą rolną godzi w aprowizację kraju i państwa, oraz zdolność podatkową rolnictwa. Naporem zaś ku „spolszczeniu miast" wywołuje wewnętrzną „wojnę żydowską". Jeżeli nawet istotnie zdoła ona w pewnej mierze przesunąć handel w ręce polskie, pomimo niedostatecznych z naszej strony kapitałów, to jednak nie usunie Żydów z Polski, przynajmniej w bliskiej przyszłości. Żydzi zagraniczni nie sfinansują emigracji żydowskiej z Polski dla tych samych przyczyn, dla których w ogóle zamarł wielki kredyt międzynarodowy. Sfinansować tę emigrację można by tylko w razie odrodzenia i wysokiego rozkwitu światowej gospodarki kapitalistycznej, co nie ma żadnych widoków; albo też w razie przejścia Polski i świata na nowy ustrój, co by otworzyło nowe możliwości, także kredytowe i emigracyjne. W obecnej jednak sytuacji i na bliską metę „wojna żydowska" zdolna jest jedynie wyodrębnić grupę etniczną żydowską w Polsce w zamknięte *ghetto* gospodarcze i polityczne.

Niestety wyodrębnianie to ghetta nie jest jeszcze ujęte w jakieś formy prawne i dlatego zawiera w sobie pierwiastek nie tylko gospodarczy lecz również gra na namiętnościach, szczuje nienawiść, podnieca do gwałtów, ćwiczy w pałkarstwie. To wszystko wyładowuje się tu i ówdzie w zajściach o charakterze programowym, nie zawsze sprowokowanym przez Żydów; w dalszym zaś rozwinięciu tych nastrojów także w politycznym bandytyzmie między samymi już Polakami. Ta „wojna" nie jest obojętną także od strony międzynarodowej. Żydzi starają się ją zwrócić przeciwko nam w różnych państwach, a głównie na gruncie Ameryki, która się stała obecnie główną stronniczką ciężko zagrożonego pokoju, równocześnie zaś zamanifestowała nie bez-

wartościowe zainteresowanie wobec nas. Państwo zaś nasze, zarówno ze względu na swe położenie międzynarodowe jak stan wewnętrzny ma większe niż ktokolwiek powody do obaw w razie wybuchu wojny, a niebezpieczeństwo tego wybuchu staje się coraz realniejsze.

Niemniej zresztą niepokojące są napady polityczne międzypolskie w miastach, oraz kosy osadzone na sztorc wedle tradycji powstańczej w ostatnich rozruchach chłopskich w Małopolsce. Wszystko to świadczy wymownie, że dekompozycja, ktora obecnie ujawniła się od strony społecznego dołu, nosi inny charakter, niż dotychczasowa opozycja partyjna przeciwko reżimowi. Ta nowa dekompozycja oznacza, że wytrzymałość mas ludzkich na warunki bytowania w Polskiej Rzplitej Mieszczańskiej zbliżyła się już bardzo do swego ostatecznego kresu. Niebezpieczeństwo jest tym groźniejsze, że i zdolność do samodzielnej orężnej rozprawy tejże Rzplitej, położonej pomiędzy, uzbrojonymi po zęby i zindustrializowanymi w piatiletkach wielkimi sąsiadami pozostawia jeszcze dużo do życzenia.

Postawa jaką wobec tych objawów zajmuje władza rządząca jest niemniej znamienna. Nie wyrzeka się ona swej konserwatywnie liberalnej polityki gospodarczej, zwłaszcza iż doły społeczne jej bezpośrednio nie atakują. Natomiast ujawnia skłonność asymilowania rozpaczliwych prób przebudowy, wychodzących od tychże dołów w duchu, w jąkim zostały wychowane, a więc klasowym i rasowym. Wśród tych odruchów zajmuje pokaźne miejsce także silny ferment strajkowy pośród robotników, z powodu zagrażającego wzrostu cen rolnych, a więc i kosztów utrzymania. Krzyżuje to deflacyjną politykę niskich cen i nie przedstawia dogodnego pola dla wygodzenia warstwie robotniczej i opinii publicznej. Kroki więc konkretne nastąpiły przede wszystkiem w sprawie żydowskiej, w cichej tolerancji ostrych form bojkotu, ustępstwach uniwersyteckich, oraz na terenie miedzynarodowym Ligi Narodów, w kierunku poparcia emigracji żydowskiej. Podobno zanosi się również na konkretne posunięcia także w sprawie radykalnej reformy rolnej.

Polska N. I. R. A.

Otóż na tej drodze nie zostanie osiągnięta konsolidacja ani odłamów społeczeństwa między sobą, ani zapewne społeczeństwa z państwami. Po części dlatego, że forytując dążenia płynące z ducha walki klas albo walki ras, państwo pozyskać może jedną tylko część ludności ale odpycha drugą. Ważniejszym jednak, prawie że rozstrzygającym jest szkopuł drugi. Ani rządzący liberalizm, ani opozycyjny radykalizm i jego żywiołowe ataki na strukturę społeczną nie są w stanie wyprowadzić kraju z matni.

Społecznymi zdobyczami marksistów w pierwszych latach powojennych nie tylko nie osiągnięto poprawy bytu robotników, lecz obciążając ubóstwo kapitalistyczne polskiego przemysłu, pogłębiono tylko kryzys i wzmożono bezrobocie; aż w końcu „zdobycze" stały się przysłowiowym kwiatkiem u kożucha. Podobnie też reforma rolna przeprowadzona irracjonalnie pod naciskiem rozpaczliwych nastrojów wsi więcej może wyrządzić szkody produkcji rolnej i gospodarstwu narodowemu, niż ulgi przynieść małorolnemu włościaństwu. Także i w kwestii żydowskiej zachodzą poważne niebezpieczeństwa, które ominąć by można jedynie decydując się otwarcie na *ghetto*, konsekwentnie organizując je i normując prawnie jego stosunki do kraju. To jednak nie leży w duchu ani liberalizmu, ani radykalizmu, lecz odpowiada raczej koncepcji ustroju stanowego.

Liberalizm bowiem i radykalizm mieszczański, marksistowski czy rasistowski z jednego się wywodzą ducha, w tym samym obracają się kręgu pojęć, chociaż współzawodniczą i rywalizują ze sobą wzajemnie. Tragedia rzeczywistości rozwija się na zewnątrz tych pojęć i uczuć, które im towarzyszą. Istotę tej tragedii stanowi w Polsce śmiertelnie groźny stopień niedorozwoju budowy społecznej, niemożliwy do opanowania środkami tak liberalizmu jak marksizmu czy rasizmu. Wszystkie przeto programy społeczno-polityczne mające obecnie praktyczny kurs w Polsce są zarówno zgrane, zużyte i bezsilne. Szlaki inicjatywy ludowej jak i polityka gospodarcza rządu sięgają

w rzeczywistość zbyt płytko i dawać mogą efekty jedynie powierzchowne, o ile nie wręcz ujemne. Gdyby doszło do kontaktu między tymi dwoma prądami, rządowo-liberalnym i społeczno-radykalnym, to byłby on na razie kontaktem jedynie dwu destrukcyj: biernej, która się zadowalnia odbijaniem od dna, gdy trzeba wdzierać się na szczyty oraz czynnej, która na oślep uderzając w wadliwą budowę społeczną prędzej może ją zrujnować niż zreorganizować.

Nie dziw przeto, że świadomość publiczna w Polsce popada w coraz większy chaos, wszystkie bowiem drogi, którymi usiłuje wydobyć się z matni są ślepe. Mimo to obecny ferment wewnętrzny w Polsce ma także swoją stronę dodatnią. Przełamuję bowiem bierność, dynamizuje energię, aczkolwiek na razie jeszcze niszczy ją w starciach lub wyładowuje w kierunkach nie wiodących do celu. Ażeby wyjście z matni otworzyć, należało by świadomość publiczną wyprowadzić z błędnego koła. Należało by w tę świadomość wpoić przekonanie, iż tragicznie groźnej rzeczywistości nie da się opanować żadnymi dotąd stosowanymi metodami, ani też od strony partykularnego interesu jakiejkolwiek grupy społecznej. Należało by nakreślić zupełnie nowy plan strategiczny wielkiego szturmu na całej linii bojowej polskiego zagrożenia. Należało by w nim uruchomić dźwignie przełomu tak potężne, by zdołały podważyć, wydobyć z trzęsawisk i oprzeć na nowych fundamentach całą rzeczywistość społeczną polską. Należało by skonstruować nowy program społeczno-polityczny i rozwinąć realnie nowe metody gospodarcze w tak heroicznej skali, żeby wstrząsnęły, olśniły, porwały i wyrwały świadomość publiczną ze ślepych ścieżyn na których dotąd błądzi. Wtedy za świadomością poszłyby także budzące się już, lecz jeszcze rozstrzelone energie. Wtedy by się skupiły w wielkiej rozstrzygającej bitwie o dynamizację gospodarczą Polski w takim tempie, by mogła stawić czoło nowej burzy dziejowej; a zarazem wyważyć wrota wielkiego przełomu gospodarczego.

Trzeba na to nowego, nic wspólnego z liberalizmem ani marksizmem nie mającego programu. I trzeba nowej postawy duchowej również nic nie mającej wspólnego z drogimi dotąd sercom polskim ideami ginącego świata. My Po-

lacy nie lubimy jednak nowych dróg. Lubimy procedury, lubimy ażeby zawsze ktoś gdzieś już przed nami odważył się wyjąć kasztan z ognia. Nie darmo wszak samiśmy się, ustami wieszcza, przezwali papugą narodów. Tą naszą słabość zaspokoić może i powinien precedens amerykański. Gdy przed paru laty było tam bardzo źle, nie bawiono się w żadne ideologie ani doktryny, nie rozżarzano walki klas ani walki ras. Otwarto tylko szeroko oczy na straszliwą rzeczywistość bezrobocia i zastoju, obrano wodza i za nim ruszono entuzjastycznie do wielkiej ofensywy narodowej przeciwko klęsce. Odparto ją na jakiś czas, więc psychika i gospodarstwo narodowe znów powróciły w starą kolej. Jednak wódz pilnie dalej zważa na rozwój rzeczywistości, pewien że, jeśli zajdzie potrzeba, to znów stanie za nim cały naród jak jeden mąż i znów nie cofnie się przed niczym co tylko prowadzi do celu.

O taką postawę duchową narodu woła dziś w Polsce wielkim głosem tragiczna groza położenia kraju. Powinna być ogłoszona i wdrożona polska N. I. R. A.: program nie dreptań po utartych ścieżkach, nie podciągań i odbijań od dna, nie paroksyzmów walki klas i ras, lecz wielkiego porywu do wielkiego czynu. Na tę orlą perć wskazała Polsce Ameryka, lecz Polska musi się tam wedrzeć wyżej niż Ameryka. Musi pierwsza wdrożyć przełom ustrojów i epok. Musi potężnym twórczym wkładem w dzieje świata uzasadnić rację swego narodowego bytu.

Na to trzeba, ażeby się Polska otrząsnęła z papużenia idei ginącego świata i podjęła starodawny swój orli lot. Wierzyński w pięknym pozgonnym wierszu na cześć Piłsudskiego kładzie jego cieniom w usta groźną wypowiedź: „Skazuję was na wielkość! Baczcież, zewsząd zguba!" Przodownikiem i panem Polski stanie się ten, kto z niej wykrzesze tę wielkość ducha i wielkość czynu na miarę wielkości chwili dziejowej.

St. Szczutowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Ksiądz Arcybiskup Józef Teodorowicz: Od Jahwy do Mesjasza. Księgarnia św. Wojciecha. Poznań, 1936. Str. XII+354.

W całej światowej literaturze nie ma chyba dzieła, które by było przedmiotem takich studiów, krytyk i napaści jak Księgi Pisma Św., zwłaszcza wchodzące w skład Starego Testamentu. Krótkowzroczny racjonalizm niemiecki niezdolny do objęcia szerszych horyzontów, które by mu mogły odsłonić wspaniałą historię „śladów" Boga w dziejach ludzkości, nie chce i nie umie uznać Bożego tchnienia zawartego w świętych Księgach. Tym się też tłumaczy owe długie szeregi zarzutów skierowanych pod adresem Starego Przymierza. Prąd ten tak niebezpieczny dla całokształtu katolickiej wiary i jej dogmatycznych podstaw znalazł i w Polsce swego pioniera w osobie wybitnego znawcy literatury i kultury grecko-rzymskiej prof. T. Zielińskiego. Powaga, jaką słusznie cieszy się nasz uczony rodak na międzynarodowym terenie studiów nad kulturą klasyczną, może zaważyć ujemnie w sferach naszej niedość uświadomionej religijnie inteligencji na niekorzyść Starego Testamentu. Nie wszyscy bowiem czytelnicy są przygotowani do tego, by rozpoznać i zakreślić granicę niewątpliwej fachowości i niemniej niewątpliwego dyletantyzmu, jakie w dziełach wybitnego profesora przejawiają się w niesamowitej syntezie.

Wykazać zatem błędy w zrozumieniu Pisma Św., wyjawić wadliwość metody racjonalistycznej, uchronić umysły przed tej metody zaraźliwym duchem było zadaniem J. E. Ks. Arcybiskupa Teodorowicza. I z tego zadania wywiązał się dostojny Autor doskonale. Nie było nawet rzeczą trudną dla znakomitego pisarza wskazać na właściwą przyczynę wynoszenia politeistycznej kultury starożytnej ponad Księgi Starego Zakonu.

Przyczyną tą jest między innymi nieznajomość ducha ożywiającego Stary Testament, brak zrozumienia Boskiego wybrania, przejawiającego się w przedchrystusowych dziejach Izraela, pomieszanie faktów historycznych, notowanych przez pisarzy Ksiąg

z ich nauką moralną i treścią Bożego natchnienia. Przyczyną również i to nie ostatnią jest błędne posługiwanie się talmudem jako częścią składową Starego Testamentu i co za tym idzie, podawanie za myśl Boga tego, co jest tej myśli zniekształceniem albo wypaczeniem.

Nawet najmniej obeznani z Pismem Św., czytając książkę ks. Arcybiskupa zrozumieją łatwo właściwy charakter Starego Zakonu, powołanie Żydów, ich wielkość i małość. Ci zaś, którzy niechętnie myślą o węzłach łączących chrystianizm z cywilizacją staro-żydowską, poznają czy i o ile te niechęci i obawy są uzasadnione. Autor bowiem rozróżnia pomiędzy żydostwem, jako rasą a jego posłannictwem w pewnym okresie historii i ta okoliczność pozwala mu stwierdzić paradoksalny fakt, że w pewnym znaczeniu „jest Stary Testament książką najbardziej antysemicką", właśnie wskutek tych nieśmiertelnych i Boskich wartości jakich jest skarbnicą. Ponadto powadze p. T. Zielińskiego, ubóstwiającego Helladę, przeciwstawia autor cały szereg uczonych znawców kultury grecko-rzymskiej, którzy mitygują zbyt entuzjastyczne uniesienia polskiego hellenisty. Najbardziej jednak sugestywne są te części dzieła, w których autor czuje się niezależnym od obcej powagi i na polu czystej egzegezy uchyla uderzenia skierowane w St. Testament.

Szerokie spojrzenie na problem, przystępne ujęcie, styl i wymowa, tak dobrze znane polskiemu społeczeństwu, powinny tę książkę uczynić popularną w najlepszym tego słowa znaczeniu. Każdy katolik, kochający swą religię, powinien w niej szukać odpowiedzi na własne trudności i niepokoje oraz na zarzuty, pochodzące z przeciwnego obozu. Zagadnienia poruszone przez J. E. Ks. Arcyb. Teodorowicza powinny wejść w program uświadomienia katolickiego, do którego Kościół w obecnych czasach tak usilnie nawołuje.

Ks. Jan Rosiak T. J.

Stanisław Łempicki: Polskie tradycje wychowawcze. „Nasza księgarnia", Warszawa 1936, str. 256.

Podręczniki historii wychowania zajmują się postaciami pedagogów — teoretyków i praktyków, ideami i kierunkami pedagogicznymi, rozwojem form wychowania i szkolnictwa w ciągu wieków itd., tym wszystkim, co na przestrzeni dziejów oddziaływało na tę dziedzinę. Są tam rzeczy ważne i mniej ważne, skuteczne i bezowocne, przemijające bez śladu lub też utrzymujące się przez czas dłuższy. Niektóre tylko idee i ich realizacje przenoszą się z pokolenia na pokolenie, stają się zatem tradycją. Źródłem ich były czasem jednostki, lecz najczęściej zbiorowość; ona też przechowała je jako przekonania znacznej części narodu.

Aczkolwiek tradycje wychowawcze stanowią część dziejów wychowania, wykraczają jednak poza ich ramy, gdyż powstają i utrzymują się nie tylko dzięki ideom i instytucjom pedagogicznym i pedagogom *ex professo*, lecz także na tle innych dziedzin życia narodu, jak życie religijne, umysłowe, społeczne i — w naszych zwłaszcza warunkach — polityczne, nieraz zupełnie poza właściwymi czynnikami i procesami wychowawczymi.

Tę właśnie część polskiego dorobku pedagogicznego przedstawia, w jego rozwoju dziejowym, książka lwowskiego historyka kultury i wychowania, prof. St. Łempickiego. Zestawia zatem to, co jako szczególnie wartościowe było świadomie przekazywane potomności i co przetrwało próbę życia. Z mnóstwa idei i faktów robi więc autor pewien wybór, a jako kryterium wartościowania ustala dzisiejszą polską rzeczywistość.

W świetle tych założeń odbywamy przegląd naszej przeszłości dawnej i bliskiej. Niezmienne i przez długie wieki bezproblemowe tradycje wychowawcze zaczynają się ożywiać i wzbogacać pod koniec naszego bytu niepodległego. Czasy i warunki niewoli wprowadziły pewien ferment i rozdwojenie, które trwa nadal po odzyskaniu niepodległego państwa. Tym więc i zmienionymi okolicznościami tłumaczą się wysiłki ostatnich lat, zmierzające do stworzenia nowego polskiego ideału wychowania, który by się stał tradycją na przyszłość.

Przy sprawach ostatnich zatrzymuje się autor stosunkowo długo, zapewne dlatego, by pracę swą zaktualizować, lecz czyni to niezupełnie zgodnie ze swymi założeniami. Wszak w myśl jego własnej definicji nie można jeszcze zaliczyć do tradycyj wychowawczych różnych idei i pomysłów z niedawnych lat, a tym mniej ich nieszczęśliwych realizacyj, gdyż ani nie stały się one własnością znacznej części narodu ani też nie wykazały żywotności, przynajmniej w swej najbardziej wysuwanej koncepcji. Gdyby prof. Ł. drukował swe dzieło choćby kilka miesięcy później, zapewne byłby mógł uwzględnić korektury tych pomysłów, jakie do nich wniosło życie, a które zostały sformułowane w różny sposób czy to przez poszczególne jednostki (gen. Sosnkowski, ref. Kołaczkowski) czy też całe grupy. — Jeżeli chodzi o sprawy dalsze, oglądane z perspektywy historycznej, umie autor być wszechstronny i obiektywny wobec różnych przejawów życia polskiego. — W bardziej zwartej formie, z lepszym nawet zachowaniem proporcyj przedstawił prof. Ł. swój temat w artykule pod tym samym tytułem w I tomie Encyklopedii Wychowania (Warszawa 1936, Nasza Księgarnia, str. 1024—1080), której jest redaktorem.

Z braków technicznych książki należy podnieść mało przejrzysty podział na rozdziały i brak spisu rozdziałów, co bardzo utrudnia orientację. Przydało by się także podawanie źródeł cytatów (zaznaczono je tylko w drugiej części rozdziału o Marsz.

Piłsudskim). Mimo te niewątpliwe braki książka niniejsza stanowi konieczne uzupełnienie każdej historii wychowania w Polsce.

Ks. K. Werbel.

Ignacy Czuma. Ustrojowe podstawy skarbowości na tle konstytucji kwietniowej. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tom 18. Lublin 1937. Str. 438.

Dość równomiernie dzieli autor swój wykład na cztery części: Dobro Powszechne, Istota Gospodarstwa, Istota Skarbowości i Instytucje Skarbowe. Skarbowość stanowi temat naczelny, jednak nie w niej samej mieści się punkt ciężkości zainteresowań autora oraz ideowej tendencji jego pracy. Jako prawie równorzędny współtemat występuje konstytucja kwietniowa, nad nimi zaś obu góruje rozwinięciem oraz naciskiem, zagadnienie podstaw moralnych stosunku zbiorowości i jednostki w życiu państwowym, społecznym i gospodarczym. Część pierwszą książki poświęca autor rozważaniom filozoficzno-moralnym pojęć dobra absolutnego, dobra powszechnego (społecznego), dobra jednostkowego, dóbr materialnych i duchowych, ich hierarchii, zasadniczej roli społecznej państwa, prawa i przymusu prawnego, wreszcie ujęcie jakie tym sprawom daje obecnie obowiązująca ustawa konstytucyjna. Część druga zawiera podobną analizę filozoficzną, zjawisk życia gospodarczego oraz ich stosunku do zasad moralnych, do prawa i państwa. Część trzecia rozważa naturę i funkcje „gospodarstwa na rzecz dobra powszechnego", jakim jest skarbowość. W końcu część czwarta, w ściślejszym jeszcze niż poprzednie związku z tekstami prawa konstytucyjnego 1935 r. i częściowo ustaw dawniejszych, rozpatruje i krytykuje poszczególne urządzenia jak podatek, przedsiębiorstwa państwowe, budżet państwa i jego równowagę, kontrolę skarbową.

W takim ujęciu książka obejmuje znacznie szersze widnokręgi niźli zazwyczaj traktaty o skarbowości. Rzec można, iż daje ogólny teoretyczny rzut oka na państwo, społeczeństwo, gospodarstwo społeczne i gospodarstwo państwowe. Oświetlenie tych zjawisk nosi charakter wybitnie spirytualistyczny, katolicki. Podstawowym założeniem autora jest, że wzajemny stosunek praw i obowiązków między jednostką a zbiorowością, rządzonymi a rządzącymi, społeczeństwem a państwem posiada przede wszystkim naturę moralną, że zatem przymus w tym stosunku winien odgrywać rolę jedynie bezpiecznika dla wypadków anormalnego oporu. Przeciwstawia się autor rozpowszechnionym w nauce definicjom państwa jako związku przymusowego, w konsekwencji zaś także określeniom świadczeń na rzecz państwa, jako przymusowych. Z naciskiem podnosi, iż według katolickiej doktryny społecznej, lojalne współdziałanie społeczeństwa z państwem wynika z prawa natury, stanowi tegoż społeczeństwa moralny obo-

wiązek, winno być zatem z jego strony praktykowane z dobrej woli. Podobnie też podatek obowiązuje przede wszystkim „w sumieniu", o ile jest sprawiedliwy i nie przekracza sił płatniczych obywatela. Oczywiście równoległe obowiązki moralne wobec społeczeństwa posiada również państwo. Przymus w ich wzajemnym stosunku powinien zajmować jak najmniej miejsca.

Drugą podstawową dążnością autora jest wykazać, iż Konstytucja Kwietniowa w wielkiej mierze tak właśnie, a więc na gruncie w pierwszej linii moralnym, stawia stosunek społeczeństwa do państwa. W tym celu autor starannie interpretuje „dekalog" zasad ogólnych, który otwiera ustawę konstytucyjną, podkreśla zwłaszcza odpowiedzialność prezydenta przed Bogiem i dowodzi jak bardzo ta zasada jest z katolickiego stanowiska doniosłą. W przedmowie zaznacza, iż pragnął przyczynić się do poważniejszego zgłębienia tych właśnie moralnych podstaw Konstytucji Kwietniowej przez społeczeństwo.

Znaczną część książki może niemniej jak $^1/_4$, wypełniają przypisy z różnych autorów, niekiedy polskich, przeważnie francuskich i niemieckich, w tekstach nietłumaczonych. Stanowią one duże urozmaicenie wywodu autora i ciekawy przegląd opinii w poszczególnych kwestiach. Są też wymowną ilustracją tego typu myśli, który obecnie panuje w naukach społecznych i społeczno-filozoficznych. Metoda analizy zjawisk i pojęć, metoda „rozcinania włosa na czworo", dialektyki i abstrakcyjnej spekulacji, króluje tu prawie niepodzielnie. Werner Sombart pojęcie produkcyjności rozszczepia na dziesięć różnych odmian, prof. Czuma zaś zauważa, że ta klasyfikacja nie objęłaby jeszcze całej różnorodności rzeczywistych zjawisk. To też kto inny ścisłe pojęcie różniczkuje na dwadzieścia czy więcej rozmaitych postaci, a prof. Czuma radzi wtedy tego pojęcia wcale nie używać lecz zastąpić odmiennym. W całym tym ogromnym wysiłku umysłowym uderza jego niesłychane oderwanie od dynamiki tragicznych zmagań człowieczeństwa z obecnym jego przełomem ustrojowym. Myśl naukowa pozostaje doskonale statyczna, z olimpijskim spokojem snuje swoje wielorakie, z reguły rozbieżne wywody. *Pereat mundus fiat scientia!*

Prof. Czuma cytuje obce opinie nie tylko dla ilustracji swego wykładu i poinformowania czytelnika. Często różni się w poglądach z innymi uczonymi, zwalcza je, polemizuje. Wykład autora jest żywy i jasny, ale metoda ta sama jaka powszechnie w tej gałęzi wiedzy panuje. Stąd nie można powiedzieć ażeby „Ustrojowe podstawy skarbowości" były lekturą łatwo dostępną dla szerszych kół inteligencji. Przeznaczone są raczej dla specjalistów.

St. Szczutowski.

Ks. Jan Kobierski: Ideał Kapłana w pojęciu współczesnych. Włocławek. 1937. Str. 71.

Książeczka drobna ale cenna i aktualna dla kapłanów. Opiera się na Encyklice Piusa XI i na pasterskim liście J. Em. ks. kardynała Kakowskiego a ujmuje ideał kapłana w pojęciu ludzi świeckich współczesnych. Z wielkim ciepłem kładzie nacisk na osobistą świętość i wiedzę, przede wszystkim teologiczną i duchową, ale nie pomija potrzeby znajomości nauk świeckich, zwraca uwagę na postępowość w zapatrywaniach i sposobach działania a nadto na oderwanie od troski o rzeczy ziemskie. Czy jednak nie za daleko posuwa się autor w żądaniach wyrzeczenia się, kiedy np. chce, by kapłan-duszpasterz ograniczył swe mieszkanie do jednego tylko pokoju a resztę przeznaczył na cele parafialne, społeczno-charytatywne i oświatowe? Czy przemyślał wszystkie następstwa swego żądania, by kapłani zrzekli się wszelkich opłat za posługi duchowne a zadowalali się jedynie dobrowolnymi ofiarami wiernych? Naszym zdaniem, należy w tych zagadnieniach utrafić w złoty środek a nie popadać w skrajności. Jest rzeczą oczywistą, iż kapłan nie powinien razić wystawnością życia czy mieszkania, ale trudno nałożyć mu ograniczenia franciszkańskiej celi; również opłaty za posługi muszą być małe, dostępne dla średnio zamożnych a dla prawdziwie ubogich posługi winny być bezinteresowne, ale ograniczenie wszelkich świadczeń na kościół li tylko do dobrowolnych ofiar uniemożliwi proboszczowi, jak doświadczenie uczy, rozwinięcie skutecznej akcji społeczno-charytatywnej. Intencje autora są niewątpliwie szlachetne i idealne, może jednak za mało życiowe.

Ks. Wład. Rejowicz T. J.

Dr D. Joseph Holzner: Paulus. Ein Heldenleben im Dienste Christi, im religionsgeschichtlichen Zusammenhang dargestellt. Mit 47 Abbildungen auf 16 Tafeln, 8 Textzeichnungen und 1 Übersichtskarte, gr 8^0 (X u. 458 S.) Freiburg im Breisgau 1937, Herder. Geheftet 5.60 M; in Leinen 7.40 M.

Wprost rewelacyjna książka o św. Pawle, napisana — jak Autor zaznacza na wstępie — jako „dar jubileuszowy" w tym roku, w którym Kościół obchodzi 1900 letnią pamiątkę nawrócenia Szawła z Tarsu, późniejszego „Apostoła narodów".

Z dzieła, a raczej z arcydzieła, ks. prof. Holznera z Monachium, można się przekonać, co to znaczyło być „apostołem narodów" w epoce, w której judaizm, poganizm i młody chrystianizm zmagały się na polu dogmatu, filozofii i etyki. Czytając „Paulusa" zdajemy sobie sprawę, jak ogromny zasób wiedzy historycznej, etnograficznej, teologicznej, jaką znajomość wszechstronną kultury ówczesnej musi posiadać Autor, aby móc tak

wniknąć w ducha epoki i dać tak żywy, barwny, tak wierny równocześnie obraz krajów i ludzi na przełomie dwóch cywilizacyj.

Ma się wrażenie, iż otwiera się nam na oścież wielka brama na ten zamierzchły świat na progu chrześcijańskiej ery: tajemniczy Wschód ze swymi zabobonami i tajnymi kultami; dogorywający judaizm, trzymający się kurczowo przepisów prawa Mojżeszowego i krępujący rozwój prężnego chrystianizmu narzucaniem mu praktyk i obserwancyj żydowskich, już pozbawionych znaczenia; przekwitająca kultura hellenistyczna; Rzym światowładczy zarażony sceptycyzmem greckim i rozwiązłością Wschodu; wielkie miasta portowe Azji Mniejszej o rozległych stosunkach handlowych, jak Antiochia, Efez, Tars lub Troada; środowiska nauki i sztuki jak macedońska Tessalonika, Korynt lub Ateny ówczesne — oto barwne tło, na którym Autor kreśli sylwetki swych *personarum dramatis:* Piotra, Jakuba, Barnaby, Tytusa, Tymoteusza, Marka, Akwili, Pryscylli, Lydii, Tekli i innych, które poznajemy jakby w bezpośrednim obcowaniu.

Nade wszystko zaś postać św. Pawła staje się nam tak bliską, tak drogą! Psychologia Apostoła jest po mistrzowsku ujęta: jego silna osobistość, przenikliwy rozum, jego niezrównana znajomość serca ludzkiego, delikatna dobroć przy wrodzonej gwałtowności charakteru występują wyraziście na tle „Dziejów Apostolskich" i Pawłowych listów. To właśnie nadaje książce dr. Holznera tę prawdę, ciepło, życie, tę bezpośredniość, które wprost przykuwają czytelnika i sprawiają, że z żalem żegna się z tą książką na 452 stronicy.

Wiele istnieje dzieł o św. Pawle (Autor wylicza ich 71 w bibliografii podanej na końcu książki), lecz wątpię, czy która posiada ten przedziwny urok cechujący „Paulusa", ew. życie bohaterskie w służbie Chrystusa, jakie nam dał monachijski profesor. Szczególnie znamienny jest sposób (Autor nazywa go *religionsgeschichtlicher Zusammenhang*), w jaki wplata on listy św. Pawła w jego życie: są one organicznie z nim związane, wyrastają najnaturalniej z jego wewnętrznych przeżyć, niemniej jak z zewnętrznych wypadków i okoliczności. Tok myśli każdego listu staje się nam jasny i zrozumiały, trudne zwroty rozwiązują się jakoby same z siebie i czytelnik poraz pierwszy nie podziela zdania św. Piotra, że „najmilszy brat nasz Paweł, piszący wedle danej mu mądrości, jest niekiedy trudny ku wyrozumieniu" (II a Petri III 15—16).

Paulus ks dr. Holznera może oddać nieocenione usługi duszpasterzom, miłośnikom Pisma świętego, rekolektantom, zgromadzeniom zakonnym oraz katolickiej inteligencji świeckiej i zasługuje, jak mało która książka, na kongenialny przekład polski.

Spotkanie się z wybitną indywidualnością jest niemałą korzyścią; zetknięcie się ze Świętym — nieocenioną łaską, powiedział ktoś słusznie. Otóż dzięki Autorowi zbliżamy się do wiel-

kiego i świętego bohatera Chrystusowego, Apostoła Pawła, tak blisko i poufnie, iż zapominamy, że nas 1900 lat od niego dzieli.

S. M. R.

Wilhelm Sieber: Das frühgermanische Christentum, Felizian Rauch, Innsbruck—Leipzig, 1937, str. 384.

Dziś, gdy hitleryzm dąży do wyrwania z duszy narodu niemieckiego XII wiekowego chrystianizmu, by powrócić do „nordyckiego" kultu Wodana, Thora i Freji, — książka Siebera jest tym ciekawsza i tym bardziej na czasie. Autor opiera swe dzieje „wczesno-germańskiego chrystianizmu" przeważnie na współczesnych źródłach, które obficie przytacza, oraz na tradycji historycznej i na udowodnionych faktach. Dzieło swoje rozpoczyna bardzo pouczającym wstępem o ustroju politycznym plemion germańskich w epoce przedchrześcijańskiej. W następnych rozdziałach omawia działalność misyjną apostoła Niemiec, św. Bonifacego († 755), potem przedstawia panowanie i działalność cywilizacyjną Karola Wielkiego; ciekawy jest rozdział o klasztorach, zwłaszcza o dwóch najbardziej wpływowych opactwach benedyktyńskich St. Gallen na południu i Fuldzie na północy. Autor opisuje powolne przetwarzanie się społeczeństwa pod wpływem nauki i przykładu świątobliwych i pracowitych mnichów, rozkwit budownictwa w epoce Karolingów od wspaniałej romano-bizantyjskiej kaplicy pałacowej Karola W. w Akwizgranie (stąd francuska nazwa Aix la Chapelle), która stała się jądrem późniejszego gotyckiego tumu, — do słynnej katedry w Hildesheim, która powstała na miejscu, gdzie syn Karola W., Ludwik Pobożny, zawiesił swój relikwiarz na krzaku dzikiej róży [1]). Benedyktyni uprawiali w swych opactwach rzeźbę, malarstwo na szkle, brązownictwo, złotnictwo, emalię, i wprzęgli wszystkie te sztuki w służbę liturgii. Św. Benedykt pozostawiał bowiem swoim synom zupełną swobodę rozwijaniu talentów, jakie otrzymali od Boga, pod warunkiem, że oprą się na jednej, zasadniczej cnocie: na pokorze (Regul. cap. LXII). Dziś jeszcze muzea i kościoły niemieckie szczycą się wspaniałymi zabytkami klasztornej karolingskiej sztuki. Muzyce kościelnej i śpiewowi poświęcił Sieber cały bardzo zajmujący rozdział, jak również i szkolnictwu wczesnego średniowiecza, które pozostawało głównie w ręku synów św. Patriarchy, słusznie zwanych „wychowawcami Europy".

Książka Siebera jest solidnie zbudowana, sumiennie i gruntownie opracowana, lecz nieco sucha i ciężka w stylu. Może

[1]) Ten tysiącletni krzak różany pokrywa dziś jeszcze całą południową ścianę hildesheimskiej katedry.

oddać wielkie usługi fachowcom, nauczycielom historii, zwłaszcza kościelnej, ale dla przeciętnego czytelnika polskiego będzie mało przystępna i pociągająca.

S. M. R.

Abbé Charles Grimaud: Lui et nous: un seul Christ, Paris, Téqui 1937; 324 pages, prix 12 fr.

„On i my: jeden Chrystus". — Dogmat o Ciele mistycznym, dogmat fundamentalny dla życia duchownego tak dla jednostek jak i społeczeństw, zawarty jest w Ewangelii, a rozwinięty przez św. Piotra, św. Jana a zwłaszcza św. Pawła, tak że się niejako zrósł z jego imieniem. Dogmat ten głosili ojcowie i doktorowie Kościoła przez szereg wieków. Potem zaćmił się on na długi czas pod wpływem protestantyzmu i jansenizmu. Dziś zajaśniał w nowym blasku i stał się jedną z głównych dźwigni życia wewnętrznego naszych czasów, a zwłaszcza podwaliną Akcji Katolickiej: jest on bowiem walną bronią przeciw zakusom nowożytnego pogaństwa.

Wiele pisano w ostatnich latach o Ciele mistycznym. W pierwszym rzędzie należałoby wymienić dwutomowe dzieło ks. Mura (*Le Corps mystique du Christ, sa nature et sa vie divine,* z przedmową o. Garrigou-Lagrange O. P.) wydane świeżo w Paryżu już w drugim, powiększonym wydaniu; jest to wspaniała synteza dogmatyczna, ascetyczna i mistyczna, lecz nie nadaje się dla szerszego ogółu. Książka ks. Grimaud, na skromniejszy rozmiar zakrojona, jest łatwa i przystępna, a przy tym głęboka i solidna; zwraca się, jak mówi Autor na wstępie, „do wszelkiej duszy miłującej Chrystusa i pragnącej współżycia z Nim".

Część I nosi tytuł: „Nasza głowa" i wykazuje, jak Chrystus jest „głową ciała Kościoła" (Kol. I. 18) z woli Ojca niebieskiego, której się poddał, „stawszy się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej" (Filip II. 8). Przez to nas zbawił, wszczepiając nas w jedność swego ubóstwionego człowieczeństwa.

Część II mówi o naszej łączności z Głową. Co nas łączy z Chrystusem? Jaka moc spaja nas z Nim? Co by się stało, gdybyśmy od Niego odpadli?

Część III opisuje stan członka złączonego z Chrystusem i cudowne przeobrażenie, jakie ta łączność sprawia w duszy, czyniąc nas „uczestnikami Boskiej natury" (II. Piotr. I. 4.) i „synami Bożymi" (Jan, I. 12).

Dalsze części omawiają godność naszą w Chrystusie: królewską, kapłańską, sądowniczą i ofiarną; udział nasz w macierzyństwie Maryi, gdyż będąc Matką Chrystusową, Najśw. Panna przyjęła na siebie macierzyństwo „Chrystusa totalnego", tj. Jego Ciała mistycznego.

Na koniec Autor ukazuje nam nasze życie wieczne w Chrystusie. Celem bowiem ostatecznym Ciała mistycznego jest nasza

wiekuista szczęśliwość, w łączności z Głową naszą w królestwie Bożym.

Dziełko ks. Grimaud, — dedykowane „członkom Ciała mistycznego" — znajduje swe dopełnienie w drugim, równie godnym polecenia, a przełożonym już z 22 wydania na najgłówniejsze języki europejskie; jest to *Ma Messe,* książka wydana również w Paryżu u Téqui, w tej samej cenie i ciesząca się zasłużonym powodzeniem.

S. M. R.

Notatki bibliograficzne.

August Kardynał Hlond, Prymas Polski: Listy pasterskie. Nakładem Naczeln. Inst. Akc. Kat. Poznań. 1936. Str. 203.

Bogato i estetycznie wydany zbiór listów J. Em. ks. Kard. Prymasa zawiera 13 następujących orędzi pasterskich: Pierwszy list pasterski, O Ojcu świętym, O życiu katolickim na Śląsku, W sprawie Roku Jubileuszowego, W sprawie Akcji Katolickiej, O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem, O chrześcijańskie zasady życia państwowego, O życiu parafialnym, O ducha chrześcijańskiego w Polsce, W sprawie Jubileuszu Odkupienia, Z życia Kościoła Chrystusowego, O kościelnych sprawach majątkowych, O katolickie zasady moralne.

Kardynał Faulhaber: Żydostwo i chrystianizm. Kazania adwentowe. Nakł. Nacz. Inst. Akc. Kat. Poznań. 1936. Str. 91.

Dostojny Kaznodzieja wykazuje wartości zawarte w Starym Testamencie i ich urzeczywistnienie w Nowym. Cały sens swój czerpie Stary Testament z Nowego. Dlatego nie można do antysemityzmu włączać i niechęci do Ksiąg św. Starego Testamentu, gdyż stoi on w ścisłym stosunku z Nowym Przymierzem i wiele jego moralnych wartości obowiązuje i obowiązywać nas będzie zawsze, skoro Chrystus je przyjął i uświęcił.

Michał Wiszniewski: Charaktery rozumów ludzkich. Wydał i wstępem zaopatrzył Stefan Szuman. Warszawa. Nakładem Tow. Ped. Str. L. 213.

100 lat w tym roku upływa od pierwszego wydania pracy filozoficznej uczonego polskiego. Rozeszła się w Polsce w 3 wydaniach a była też przez autora napisana w odpowiedniej przeróbce w języku angielskim. Oczywiście przy rozwoju obecnym psychologii doświadczalnej i pedagogiki nie przedstawia ona dzisiejszego stanu wiedzy. Dobrze się jednak Tow. pedagogiczne przysłużyło wznawiając wydanie tej książki, bo widać jak nasz

rodak genialnie przeczuł wiele prawd, które dopiero późniejsze doświadczenia stwierdziły.

Wydanie obecne opiera się na dwu pierwszych, dokonanych przez samego autora, i uwzględnia jego poprawki, czyni więc zadość naukowym wymaganiom.

B. Pawlak: Czerwone niebezpieczeństwo. Prawda o komunizmie. Nakładem Komitetu Międzynarodowego Kongresu Chrystusa-Króla. Poznań. 1937. Str. 56.

„Wielką godziną" nazywa Autor obecne czasy. W uświadamianiu jak najszerszych mas o grożącym niebezpieczeństwie ze strony czerwonej Moskwy obiera Autor drogę odsłaniania słabych stron komunizmu, które nie zdały egzaminu życia oraz pouczania o sposobach walki, stosowanych przez wojujący komunizm. Broszurkę kończą praktyczne wskazówki, jak skutecznie przeciwstawić się czerwonemu niebezpieczeństwu oraz uwagi o komunizmie w Polsce.

Ks. J. Rogiński: Encyklika *Rerum Novarum* o sprawie robotniczej (opracowana w formie pytań i odpowiedzi). Nakł. Diec. Inst. Akcji Kat. w Łomży. Str. 42.

Bardzo dobry pomysł uprzystępnienia zawartych w encyklice zasad katolickiego rozwiązania sprawy robotniczej. Metodę tę powinno się stosować w pracy Akcji Katolickiej nad uświadomieniem stanu robotniczego w Polsce. Dlatego warto się zapoznać z tym społecznym katechizmem.

Adam Gocławski: Katolicy i radio. Biblioteczka Akcji Kat. Nr 48. Poznań. 1937. Str. 20.

Garść uwag bardzo na czasie, pisanych żywo, z optymizmem, przekonywująco. Radiofonizacja katolicyzmu — według wyrażenia Autora — dokona się na drodze kompetencji, organizacji i koordynacji. Zastanawia tylko, dlaczego Autor mówiąc o koordynacji katolickiej akcji radiowej w Polsce nie wspomniał ani słowem o zapoczątkowanym w Krakowie Związku Katolickich Radiosłuchaczy, który pierwszy rzucił hasło zorganizowanej akcji na polu radiofonii. Czyżby w czasie pisania rozprawy nie istniał jeszcze ten związek?

Edward Jamrozik: Na bezdrożach. O nielegalnej działalności Związku Nauczycielstwa Polskiego. Bibl. Akcji Katolickiej. Nr 49. Poznań. 1937. Str. 19.

Gdyby naprawdę chodziło Związkowi Nauczycielstwa Polskiego o zaszczepienie kultury i demokracji w narodzie polskim, musiałby on ocenić wartości katolicyzmu i zająć wobec nich jasne stanowisko. Tymczasem — jak dowodzi Autor — walka z klerem,

jaką głosi Z. N. P. jest tylko nieudolnie maskowaną walką z chrześcijaństwem i Kościołem katolickim. Dowodzenie swe opiera Autor na faktach i dokumentach.

Jerzy Braun: Kultura polska na bezdrożach. O nowy kształt polskiej kultury narodowej. Warszawa. 1937. Biblioteka Zet. Str. 24.

Obok ujemnych zjawisk, które zaistniały w polskiej współczesnej kulturze, jak zacofanie ekonomiczne, analfabetyzm mas, niski poziom kultury polityczno-prawnej, paradoksy struktury socjalnej, kulminujące w problemie żydowskim i w problemie przeludnienia, uderzają również inne ujemne przejawy jak prymitywizm techniczny w porównaniu ze zmodernizowaną organizacją techniczną sąsiednich narodów, dysproporcje w środkach obrony, jakimi rozporządzamy w porównaniu z takimi np. Niemcami i Rosją, zanik inicjatywy prywatnej obok przerostu etatystycznych improduktywów, tragedia nowej generacji, dla której brak miejsca w życiu gospodarczym i politycznym Polski współczesnej. — Autor szuka nowych dróg dla współczesnej kultury polskiej w świadomości historycznego jej posłannictwa i w świetle tych dróg szkicuje głębsze niedomagania obecnej struktury kulturalnej Polski.

Elina Pepłowska: Metody i dynamika akcji komunistycznej we Francji. Centralne Biuro Porozumienia Antykomunistycznego, Warszawa. 1937. Str. 21.

Rozprawa zawiera dużo cennych uwag i wiadomości, przydatnych nie tylko do zbadania komunizmu francuskiego, lecz w ogóle całego ruchu komunistycznego w świecie. Ze względu na aktualność tematu rzecz godna polecenia.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu r. 1937.

Ks. dr Fr. Sawicki: Założenia filozoficzne katolickiej myśli społecznej, str. 19.
Ks. Jan Stepa: Wpływ nauki Kościoła na kształtowanie się myśli społecznej, str. 15.
Ignacy Czuma: Sprawiedliwość i miłość jako zasady chrześcijańskiego ustroju społecznego, str. 20
Marian Manteuffel: Problem polskiego stanu średniego, str. 19.
Ks. dr Ferdynand Machay: Problem wsi polskiej jako zagadnienie społeczne, str. 15.
Ks. dr Antoni Szymański: Wyzwolenie proletariatu, str. 16.
O. Stanisław Wawryn T. J.: Praca i kapitał w katolickiej myśli społecznej, str. 20.
Prof. dr Ludwik Górski: Własność prywatna, jej znaczenie i granica. str 24.
Dr Czesław Strzeszewski: Współczesne tendencje rozwojowe gospodarstwa światowego i ich znaczenie dla realizacji nowego ustroju, str. 20.

Ks. dr Antoni Roszkowski: Korporacjonizm, str. 15.
Leon Całka: Granice polityki społecznej, str. 20.
Dr Henryk Dembiński: Jednostka a społeczeństwo, str. 15.
Eugeniusz Myczka: Swoistość struktury społecznej i ekonomicznej Polski oraz możliwość jej reformy, str. 38.
Ks. dr Edward Kozłowski: Współczesne próby przebudowy ustroju społecznego a postulaty katolickie, str. 30.
Dr Józef Sułkowski: Rola wychowania społecznego w przebudowie świata, str. 15.
Brunon Sikorski: Zagadnienia polskiego stanu średniego, str. 15.
Dr Andrzej Niesiołowski: Metody realizacji wychowania społecznego, str. 31.
Józef Konieczny: Problemy stanu robotniczego a katolickie postulaty społeczne. str. 19.
Ks. dr Jan Piwowarczyk: Przyszłość myśli katolicko-społecznej i możliwość jej realizacji, str. 23.
Ks. Józef Kobyliński: Eksperymenty gospodarcze w świetle etyki katolickiej, str. 15.
Ks. prof. dr A. Wóycicki: Tendencje rozwojowe związków zawodowych w Polsce. str. 36.
Ks. dr Ferdynand Machay: Rola Akcji Katolickiej w naprawie stosunków społecznych, str. 16.
Ks. dr Stefan Wyszyński: Zasięg i charakter zainteresowań katolickiej myśli społecznej, str. 24.
Eugeniusz Myczka: O polską ideę czynu, str. 87.

Nakładem Wydawnictwa Instytutu Śląskiego w Katowicach:

Roman Lutman: Silesian Affairs. No. 1. Reprinted from vol. III No. 2. 6. May 1937 *Baltic and Skandinavian Countries,* str. 75.
Aleksander Birkenmajer: Astronomowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich, 1937, str. 40.
Aleksander Groza: Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku, 1937, str. 64.
Wykaz literatury bieżącej o Śląsku. R. III. Styczeń-marzec 1937, nr 1.

Nakładem różnych:

Stanisław Hubert: Rozbiory i odrodzenie Rzeczypospolitej. Zagadnienia prawa międzynarodowego. Nakł. Zakładu Prawa Politycznego i Prawa Narodów U. J. K. Lwów 1937, str, 284.
Ks. dr Zygmunt Skowroński: Dyskusje o czyścu na Soborze Florenckim. Odbitka z „Wiadomości Diecezjalnych Łódzkich". Łódź 1937, str. 13.
Tenże: Stanisława Hozjusza nauka o usprawiedliwieniu. Nakł. Polskiego T-wa Teologicznego w Warszawie. Warszawa 1937, str. 67.
Zofia Lassotówna: Opodatkowanie rodziny w Polsce. Z przedmową prof. Czumy. Lublin. Towarzystwo Naukowe K. U. L. 1937, str. 60.
Marian Henryk Serejski: Idea jedności karolińskiej. Studium nad genezą wspólnoty europejskiej w średniowieczu. Warszawa. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego z zasiłku Ministerstwa W. R. i O. P. 1937, str. 177.
Eryk M. R. v. Kühnelt-Leddin: Jezuici, burżuje, bolszewicy. Powieść. Wydawnictwo „Kultura". Poznań. 1937, str. 480.
Stanisław Bełza: Wśród ruin Grecji. Warszawa 1937, str. 162.

Zenon Klemensiewicz: Język polski. Wybór wiadomości wskazanych w programie nauki języka polskiego w liceum. Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa 1937, str. 95.

Stefan Turnau: Ku lepszej przyszłości. Zbiór wykładów społecznych dla młodzieży na podstawie encykliki *Quadragesimo Anno*. Nakładem Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Poznań 1937, str. 161.

Stefan Kawyn: Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza. 1890—1898. Lwów. Z zasiłku Min. W. R. i O. P. Nakładem *Filomaty* 1937, str. 229.

Scena Polska. Organ Związku Artystów Scen Polskich. Pamiętnik nadzwyczajnego walnego zjazdu delegatów Z. A. S. P. poświęconego sprawom i zagadnieniom artystycznym pod redakcją Tymona Terleckiego. Warszawa 1937. Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa, str. 249.

Tymon Terlecki: Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego. Biblioteka „Kroniki Miasta Poznania" nr 5. Poznań 1937, str. 284.

Jerzy Ryx: Wiara a wiedza. Studium biologiczne jako dowód zgodności wiary z wiedzą. Nakładem autora. Lwów 1937, str. 325.

Tatiana Czernawina: Zbiegowie z G. P. U. Autoryzowany przekład z rosyjskiego Marii Czapskiej. Inst. Wydawn. „Biblioteka Polska". Warszawa 1937, str. 372.

Walenty Zieliński z Łążyna: Refleksje po pielgrzymce ziemiaństwa do Częstochowy. Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie 1937, str. 62.

Ks. Stanisław Marchewka: Konferencje i kazania misyjne i rekolekcyjne. Praktyczny podręcznik dla księży parafialnych i rekolekcjonistów. Kielce 1937, str. 355.

Ks. dr Józef Smoczyński: Eklezjologia Stanisława Hozjusza. Pelplin. Nakładem stolicy biskupiej 1937, str. 110.

Czesław Ksawery Jankowski: Sieć z czerwonej przędzy. Nakładem Biblioteki Dobrych Książek. Łomża 1937, str. 239.

Edmund Osmańczyk: Wolność jest słoneczna. Opole 1937, str. 61. Skład główny na Niemcy: „Nowiny" Opole (Oppeln O/S., Niemcy); Skład główny na Państwo Polskie: Dom Książki Polskiej, Warszawa.

Józef Kowal-Lipiński: Ideologia, program i światopogląd Narodowo Radykalnego Ruchu Uzdrowienia. Katowice—Warszawa 1937, str. 86.

Ks. Kazimierz Niesiołowski: Sprawa alkoholizmu w zarysie. Nakł. Katol. Związku Abstynentów, Poznań 1937, str. 34.

Kardynał Aleksander Kakowski, metropolita warszawski: List pasterski o trzeźwości i abstynencji. Nakł. Katol. Związku Abstynentów. Poznań 1937, str. 12.

Alphonse de Parvillez S. J.: Les sacrements, Richesses méconnues. Editions Spes, Paris 1937, str. 93.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowe wybory. — Zmiana ordynacji wyborczej.

Trudno jeszcze w chwili obecnej określić, kiedy odbędą się najbliższe wybory do sejmu oraz senatu. Natomiast wydaje się rzeczą prawdopodobną, jeżeli nie pewną, że będą one przeprowadzone już na podstawie nowej, zmienionej ordynacji wyborczej.

Z jednej bowiem strony odczuwa się wyraźnie silny i coraz silniejszy nacisk opinii publicznej w tym właśnie kierunku, a z takim naciskiem obecny rząd liczy się coraz więcej, z drugiej zaś strony coraz bardziej zanikają wszelkie wątpliwości, iż doświadczenie z obowiązującą ordynacją zawiodło na całej linii. Obecny stan rzeczy nie odpowiada nikomu; ani stronnictwom opozycyjnym, które w zupełności zostały usunięte poza nawias pracy ciał ustawodawczych, ani rządowi, który nie ma silniejszego oparcia w rozproszkowanym ideowo sejmie, a nawet sam sejm niemniej jak i senat odczuwają bardzo wyraźnie zanik swojego znaczenia i powagi w kraju.

Nic też dziwnego, że tyle się dziś i mówi i pisze o zmianie ordynacji wyborczej, że nie ma stronnictwa politycznego, dla którego temat ten byłby obojętny, że nie ma prawie zebrania politycznego, na którym by na ten właśnie temat nie uchwalano jakichś żądań i rezolucyj. Mimo to w tej powodzi słów i artykułów rzadko można spotkać bardziej sprecyzowane określenie tego zagadnienia, diagnozę w czym leży zło i konkretny projekt, w jakim kierunku powinny iść nieodzowne zmiany.

Wynika to zresztą poniekąd z natury politycznej sytuacji całego kraju. Wszak jasną jest rzeczą, iż wśród gło-

szących z taką emfazą konieczność zmiany ordynacji wyborczej istnieją głębokie, często zasadnicze różnice na temat, jak ta przyszła ordynacja ma wyglądać? Zmiana bowiem ordynacji jest zagadnieniem nawskróś politycznym i każde stronnictwo ma w tej kwestii swoje własne a jakżeż różne i rozbieżne interesy! Inaczej będzie do tych zmian podchodzić dobrze zorganizowane, o szerokie masy oparte Stronnictwo Narodowe, inaczej stronnictwo nieliczne tak zwane „sztabowe", zasobne tylko w fachowców oraz fundusze, jak np. Stronnictwo Zachowawcze, inaczej jeszcze Stronnictwo Ludowe, które liczy na jak największą ilość mandatów w okręgach wyłącznie wiejskich, a jeszcze inaczej stronnictwo robotnicze, które ma największe szanse jedynie w silnych centrach przemysłowych. Jest więc rzeczą całkiem zrozumiałą, iż każde z tych stronnictw, przedstawiając swój pogląd na tak doniosłe zagadnienie, owijać go będzie starannie w najbardziej wzniosłe i szlachetne teorie, będzie szermować ideowymi względami na dobro państwa, jego mocarstwowość i przyszłość narodu, aby tylko dymną zasłoną pełnych patosu frazesów okryć istotną i realną troskę o zabezpieczenie sobie jak największej ilości mandatów.

Należyte zorientowanie się w tych wszystkich zawiłych teoriach oraz partyjnych arkanach, odrzucenie plewy frazesów od zdrowego ziarna idei kierującej czynem, wypośrodkowanie, co naprawdę leży w interesie państwa oraz całości narodu a co w wyłącznym interesie partii i klasy — jest rzeczą nader trudną, szczególnie dla naszego politycznie niewyrobionego jeszcze społeczeństwa. To też nie służąc interesom żadnego stronnictwa i wolni od posądzeń o chęć zdobycia mandatów, uważamy za obowiązek sumienia uprzytomnić naszym Czytelnikom powagę sytuacji oraz ważność zagadnienia. Wszak nie wolno nam zapominać o fakcie, iż szereg spraw pierwszorzędnej doniosłości dla katolicyzmu w Polsce czeka jeszcze na ustawodawcze uregulowanie, że wspomnimy tylko o prawie małżeńskim oraz szkole wyznaniowej. Decyzje w tym względzie zależeć będą od przyszłego sejmu, którego charakter nie może nam być obojętny. A charakter ten zawisł w wysokiej mierze właśnie od nowej ordynacji wyborczej. Dlatego troska o jakość tej ordynacji jest dla nas nie tylko sprawą państwa i narodu ale i „sprawą Kościoła", której obrona jest naszym obowiązkiem katolickim i obywatelskim.

Czynimy zaś to tym śmielej, że już uprzednio, gdy chodziło o zmianę konstytucji, Episkopat polski uważał za wzkazane rzucić autorytet swego głosu na szalę dyskusji i w zbiorowym liście z dnia 21 kwietnia 1931 r., skierowanym do marszałków senatu i sejmu oraz prezesów stron-

nictw, porúszył doniosłą sprawę ordynacji. Ujmując zagadnienie z najszerszego punktu widzenia i uważając, że udział w wyborach do ciał ustawodawczych jest dla katolików kwestią sumienia, wzkazali Księża Biskupi na fakt, że przy systemie głosowania na numery list, a nie na osoby kandydatów, wyborcy katolicy mogą stanąć w konflikcie z sumieniem, jeżeli choćby jeden z kandydatów umieszczonych na liście nie daje gwarancji, że w swej pracy parlamentarnej będzie zgodnym z zasadami wiary i etyki Kościoła katolickiego. Z tych samych powodów wypowiedział się Episkopat przeciw listom państwowym; chcąc zaś ułatwić stworzenie większości parlamentarnej wyraził swą wątpliwość co do stosunkowego prawa wyborczego.

Z całą bezstronnością musimy stwierdzić, że twórcy obecnej ordynacji wyborczej uwzględnili wszystkie uwagi Episkopatu; nie ma w niej głosowania na numery list, nie ma list państwowych, nie ma proporcjonalności. Ale chociaż te najbardziej, z katolickiego punktu widzenia, niebezpieczne postanowienia poprzedniej ordynacji zostały usunięte, popadliśmy w nowe błędy o niemniej z pewnością doniosłym znaczeniu.

Poprzednia ordynacja wyborcza wykluczała możność uzyskania mandatu przez kogoś, kto nie miał za sobą poparcia stronnictwa; dawała ona sztabom partyjnym prawie że nieograniczony wpływ na dobór kandydatów i na stanowienie o ich szansach wyborczych; wyborca był w sytuacji bez wyjścia, mógł bowiem głosować tylko na numerki partyjne, nie zaś na ludzi. A ponieważ żadne ze stronnictw nie było na tyle silne, aby przy najintensywniejszej nawet agitacji zdobyć w kraju bezwzględną większość mandatów, byliśmy po wyborach świadkami niemoralnych targów i gorszących kompromisów. Ci, którzy jeszcze w przeddzień wyborów odsądzali się wzajemnie od czci i wiary, tworzyli już nazajutrz po wyborach większość, sztuczną, słabą, skłóconą i wzajemnie sobie nie ufającą, aby tylko dojść do władzy, aby tylko utworzyć rząd i otrzymać jak największą liczbę tek ministerialnych. Rząd taki musiał być z natury rzeczy słaby i niezdolny do żadnej energicznej i programowej akcji politycznej na długą falę. Na taki luksus sejmowładztwa i nieustannych kryzysów gabinetowych nie można było sobie pozwalać pod grozą najsmutniejszych następstw. Zabawa ta na szczęście się skończyła i nikt uczciwy nie może pragnąć jej powrotu.

Unikając jednak szkopułu trwałego nierządu, posunęliśmy się w gorliwości za daleko i wpadli tym samym w drugą ostateczność. Oto nowa ordynacja wyborcza oddała całkowity wpływ na dobór kandydatów a poniekąd i na sam wy-

nik wyborów w ręce administracji. Minister spraw wewnętrznych, w większym od niego stopniu wojewoda, a w największym starosta decydują dzisiaj o składzie zgromadzenia okręgowego, które ustala kandydatury i oni przez swoje wpływy rozstrzygają właściwie o rezultacie głosowania. Z tak pomyślanej i przeprowadzonej ordynacji wyborczej otrzymaliśmy sejm ideowo nie zorganizowany, często zastraszony, niezdolny do dania rządowi należytego oparcia, bo sam go w społeczeństwie nie posiada. Równocześnie nie jest zdolny do spełnienia jednego z najważniejszych swoich zadań, a mianowicie do skutecznej kontroli nad działalnością i poczynaniami rządu. Któż bowiem liczyć się ma z posłem, o którym wiadomo, że swój mandat zawdzięcza nie tyle swej popularności i swoim zasługom w okręgu, ile przychylnemu ustosunkowaniu się starosty do jego osoby!

Eksperyment pułk. Sławka zawiódł więc na całej linii. Obecna ordynacja wyborcza sejmowa znienawidzona przez wszystkie bez wyjątku stronnictwa, nie znajdując nigdzie obrońców, dostarczyła tylko wszystkim popularnego hasła: jak najprędszej zmiany. Nawet OZoN, borykający się ciężko z trudnościami swej akcji organizacyjnej, uznał za rzecz nieodzowną, wysunąć również to hasło. Z tą chwilą los obecnej ordynacji, jak się nam zdaje, został przesądzony.

Chcąc należycie zdać sobie sprawę z tego, w jakim kierunku zdążać powinny zmiany w obecnej ordynacji wyborczej sejmowej, trzeba przede wszystkim jasno ustalić, jakiego to sejmu życzy sobie polskie katolickie społeczeństwo? Otóż, zdaniem naszym, ponad wszystkie dążenia partyjne skupia się zgodna opinia społeczeństwa dokoła trzech zasadniczych punktów.

Sejm powinien być odbiciem najważniejszych prądów politycznych, nurtujących społeczeństwo; po wtóre winien być zdolnym do wyłonienia z siebie trwałej większości, która by mogła dać oparcie silnemu rządowi; wreszcie mniejszości narodowe nie powinny w nim nigdy odgrywać roli języczka u wagi.

Tak powinien wyglądać sejm i ordynację wyborczą sejmową tak by należało zmienić, aby osiągnięcie tych warunków mogło być w całej pełni osiągnięte.

Jest rzeczą całkiem naturalną, iż ułożenie takiej ordynacji wyborczej, która by w rezultacie dała wierne odbicie wszystkich choćby i najmniejszych, istniejących w społeczeństwie prądów politycznych, było by w naszych warunkach rzeczą wprost fatalną. Nie mniej przeto musi być dana grupom obywateli zorganizowanym w wielkie stronnictwa polityczne możność wyboru swych przedstawicieli. Cośmy

zyskali na tym, że takie Stronnictwo Narodowe, ludowcy lub choćby socjaliści nie mają swoich przedstawicieli w teraźniejszym sejmie? Czy przez to przestali istnieć jako zorganizowana grupa? Czy zanikła lub choćby osłabła reprezentowana przez nich ideologia polityczna? Czy rząd nie potrzebuje się liczyć z tymi stronnictwami? Jest przeto rzeczą konieczną, aby takie ugrupowania polityczne mogły zgłaszać swoich kandydatów i aby wyborca miał możność swobodnego i niezależnego wyboru.

Nie tylko jednak istniejącym wielkim stronnictwom, ale także i wybitnym w okręgu jednostkom nie może być odjęta możność uzyskania mandatu, jeżeli sobie tego życzy poważna ilość wyborców choćby partyjnie nie zorganizowanych i taką właśnie kandydaturę wysunie. Czyż było rzeczą słuszną, że w czasie ostatnich wyborów, bardzo poważna ilość wyborców nie mogła tu i ówdzie postawić kandydatury miejscowego wybitnego i zasłużonego działacza tylko dlatego, że nie podobał się panu staroście? Czy słuszną z drugiej strony było by rzeczą zmuszać wybitne jednostki, które mogą oddać ojczyźnie niemałe usługi na terenie sejmu, by pracę swą musiały oddać koniecznie pod komendę tej czy innej politycznej partii?

Technicznie są te zmiany ordynacji wyborczej sejmowej nie trudne do przeprowadzenia, ale szczegółowe omawianie techniki wyborczej wykracza poza ramy naszych zamierzeń. Formułujemy więc jedynie nasz ogólny postulat, że poważnej grupie niezależnych wyborców musi być, podobnie jak politycznym stronnictwom, przyznana możność wysuwania również swego kandydata.

Sejm powinien być dalej zdolny do wyłonienia ze siebie większości, mogącej dać dostateczne oparcie silnemu rządowi.

Jakiż jest dzisiejszy stan rzeczy? Rząd gen. Składkowskiego, tak zresztą jak i rząd jego poprzednika, nie ma wyraźnego oblicza politycznego; to też nie może być mowy o jakiejś jednolitej linii politycznej, a przeciwnie widzimy bezustanku ruch wahadłowy, raz na prawo, raz na lewo. Rząd stoi zaufaniem p. Prezydenta i p. Marszałka, bierność, a raczej sypkość sejmu trwanie to mu ułatwia. Ale równocześnie najwyższe czynniki w państwie w głębokim zrozumieniu, że społeczeństwo winno być w swojej większości zjednoczone i zorganizowane, dały swoje *placet* na rozpoczętą w tym kierunku akcję OZoNu. A przecież rozumować można, iż zjednoczone i zorganizowane społeczeństwo, to także w logicznym następstwie należycie zorganizowany sejm, którego większość wyznająca jasny program polityczny daje dostateczne oparcie silnemu rządowi realizu-

jącemu ten właśnie a nie inny program. Nie wiemy w tej chwili czy akcja OZoNu się uda, wyraziliśmy nawet na ten temat dość uzasadnione wątpliwości, [1]) patrząc jednak z ufnością w przyszłość Polski, którą Opatrzność przy wysiłku najlepszych w narodzie do nowego życia powołała, wierzymy niezachwianie, że jednak do takiego narodowego zjednoczenia dojdzie. Dzisiejszy stan partyjnej i ideowej dekompozycji uważamy za przejściowy i dlatego ordynację wyborczą trzeba tak zmienić, aby temu ugrupowaniu, które zjednoczenia na zasadzie narodowo-katolickiej dokona, pozwalała ona na osiągnięcie zdecydowanej większości przy wyborach do sejmu. Zdajemy sobie doskonale sprawę z faktu, że techniczne zrealizowanie tej znów tezy, przy systemie głosowania nie na numery i listy, ale na osoby, z zapewnieniem możności swobodnego wyboru z pośród kandydatów, jest rzeczą ciężką i skomplikowaną, niemniej jednak osiągalną, rzecz jasna tylko w okręgach wielomandatowych.

Ale tylko o takich okręgach może być mowa przy zmianie ordynacji wyborczej sejmowej, jeżeli mamy osiągnąć trzeci postulat wysunięty przez nas pod adresem sejmu, aby mniejszości narodowe nie mogły w nim nigdy odgrywać roli języczka u wagi. Nie potrzeba się chyba rozwodzić, jakimi niebezpieczeństwami dla państwa może grozić pozostawianie mniejszościom roli arbitra, wygrywającego swą pozycję dla odrębnych niepaństwowych celów. Naród polski jest z prawa natury gospodarzem w swoim kraju, szanując prawa mniejszości, nie powinien z tego tytułu rezygnować ze swych prerogatyw. I dlatego wydaje nam się rzeczą sprawiedliwą i konieczną, aby nasz element polski na Kresach, w niektórych okolicach słaby, mógł mimo to, zabierać głos w sejmie. Tylko należy to przeprowadzić jasno i uczciwie, a nie uciekać się do marnych kruczków wyborczych. Jeżeli przy poprzedniej ordynacji na 5 posłów w jakimś okręgu wołyńskim z jednej i tej samej listy B. B. W. R. wychodziło 3 Polaków i 2 Rusinów, to takie wybory były tak samo niemoralne, jak i przy obecnej ordynacji wyborczej, gdy jeden z okręgów poleskich o dwu mandatach reprezentuje dwóch Polaków, jeden przemysłowiec z Warszawy, a drugi sędzia z Wilna! Czyż nie uczciwiej i sprawiedliwiej powiedzieć otwarcie, że w każdym kresowym okręgu wyborczym jeden mandat musi przypaść w udziale Polakowi? Naród polski jest panem u siebie, a nie widzi w tym żadnej krzywdy dla mniejszości, którym równocześnie zapewnia swobodę wybrania swoich przedstawicieli. A jeżeli w tych warunkach nastąpi gdzieś na Kresach wybór pewnej liczby kryptoko-

[1]) Zob. *Przegląd Powszechny,* październik br. „Sprawy Kościoła".

munistów, to znaczniejsza szkoda z tego nie wyniknie, bo w dobrze zorganizowanym sejmie przy silnym rządzie, nie będzie to stanowić żadnego niebezpieczeństwa.

Przyjęcie więc zasady ogólnej, że jeden mandat w okręgach trzymandatowych musi przypaść Polakowi, wydaje się nam dostatecznym środkiem, przy rozważaniu kwestii narodowych mniejszości.

Równocześnie, należy zwrócić uwagę na błąd, powtarzający się we wszystkich dotychczasowych ordynacjach wyborczych, a tkwiący w faworyzowaniu zachodu w stosunku do wschodu, gdzie jeden mandat przypada na daleko większą liczbę mieszkańców. Uważamy to postanowienie za wysoce drażniące a zupełnie zbędne. Trzeba natomiast postawić zasadę, że nasze większe miasta, siedziba mieszczaństwa i inteligencji, oraz silne centra przemysłowe winny być reprezentowane przez większą ilość posłów i tutaj obniżenie ilości mieszkańców na jeden mandat będzie zupełnie słuszne oraz usprawiedliwione. Tymbardziej, że tylko w ten sposób da się możność elementowi robotniczemu wyboru swoich przedstawicieli, bo przecież robotnik winien się czuć w Polsce tak samo dobrze jak inteligent czy wieśniak.

Rozumiemy dobrze, że wszystkie omawiane przez nas zmiany muszą pociągnąć za sobą zwiększenie obecnej liczby posłów. Ale bo też dzisiejsza ilość nie stoi w żadnym logicznym stosunku do naszego zaludnienia; zwiększenie jej ułatwi przede wszystkim tak zwane zagadnienie geometrii wyborczej oraz wpłynie dodatnio na sprawność prac komisyjnych w sejmie.

Nasze tradycje polskie przekazały nam pamięć senatu złożonego ze stukilkudziesięciu (ostatnio za Stanisława Augusta ze 136) dożywotnich członków; szereg arcybiskupów i biskupów, wszyscy wojewodowie i kasztelani, oto dawni członkowie senatu. Dziś podobny senat jest w polskiej rzeczywistości nie do pomyślenia. Dlatego tę hipotezę pomijamy całkowicie.

W przekonaniu naszym: Senat powinien reprezentować polską rację stanu, tradycję i kulturę, powinien być czynnikiem umiaru, rozwagi i politycznej mądrości, stanowiąc przekrój społeczeństwa w innym wymiarze niż sejm.

W tym też sensie należało by ułożyć ordynację wyborczą, aby osiągnięcie tego celu umożliwiała; a nie będzie to rzeczą trudną, zadanie jest nawet znacznie łatwiejsze niż przy ordynacji wyborczej sejmowej.

Konstytucja nasza w art. 47 postanawia, że $^1/_3$ część członków senatu powołuje pan Prezydent a $^2/_3$ pochodzą

z wyboru. Jaka ma być ogólna liczba senatorów i w jaki sposób mają być wybrani, konstytucja bliżej nie określa, zostawiając to ordynacji wyborczej. Takie postawienie sprawy ułatwia ogromnie przeprowadzenie drogą zwykłej ustawy wszystkich niezbędnych zmian.

Czy są one wskazane i jaką winny przybrać formę? Otóż przede wszystkim podkreślić należy dziwne zjawisko, że o ile o zmianie ordynacji wyborczej do sejmu wiele się i pisze i dyskutuje, o tyle o ordynacji wyborczej do senatu jest prawie że głucho. Nie wynika jednak z tego bynajmniej, aby ordynacja senacka miała być znacznie lepsza od ordynacji wyborczej sejmowej i by nie budziła w społeczeństwie żadnych zastrzeżeń; jest może nawet wprost przeciwnie. Obojętność wobec senatu tłumaczymy sobie faktem, iż senaty w latach poprzednich, będąc właściwie zmniejszonym wydaniem sejmów i ograniczone w swoich kompetencjach, nie potrafiły zwrócić na siebie większej uwagi społeczeństwa. Także i obecny senat nie zorganizowany podobnie jak sejm, dzieli los swoich poprzedników. Zupełnie jednak niesłusznie, bo konstytucja z 1935 r. wzmacnia jego znaczenie, zwiększa kompetencje i wyznacza senatowi ważką rolę w państwie, nie mówiąc już o bardzo doniosłej roli samego marszałka senatu. I dlatego właśnie ordynacja wyborcza senacka powinna budzić co najmniej takie same zainteresowanie jak sejmowa a jej zmianę należy traktować z równą starannością.

Postanowienie konstytucji, daje p. Prezydentowi prawo powołania $^1/_3$ części senatorów. W tym uprawnieniu nie jest Prezydent Rzeczypospolitej właściwie niczym skrępowany to też powołuje do tej wysokiej godności obywateli, do których sam przede wszystkim posiada całkowite zaufanie. Otóż to postanowienie konstytucji powinno, zdaniem naszym, mieć doniosły wpływ na sposób wyboru pozostałej reszty senatu. Bo nie wolno przecież zapominać, że ta jedna trzecia, będzie miała zawsze a przynajmniej mieć może bardzo silne oparcie w autorytecie i osobie p. Prezydenta, którego władza wedle nowej konstytucji jest olbrzymia. Pozostałe więc $^2/_3$ senatorów powinny mieć również za sobą jakieś poważne poparcie. Zależeć to zaś może tylko i wyłącznie od sposobu ich wyboru. I tutaj od razu podkreślić należy z całym naciskiem smutny fakt, że obecna ordynacja wyborcza zagadnienie to rozwiązała właśnie jak najgorzej. Wprowadziła bowiem przy wyborach senackich pośredniość. Obywatele mający czynne prawo wyborcze do senatu, nie mają wcale prawa wybierania spośród siebie senatorów ale tylko delegatów, w bardzo zresztą ograniczonej liczbie a ci dopiero bez żadnych dyskusyj wybierają senatorów. Zdarza

się więc, że kandydat jest delegatom zupełnie nieznany i to nie tylko w okręgach kresowych ale i centralnych. Jakież oparcie może mieć senator, wybrany w takich warunkach?! Czym czuje się związany ze swoimi wyborcami, co w ogóle łączy go z okręgiem? I jeżeli sam nie jest jakąś szczególnie wybitną jednostką to i autorytet jego równa się zeru; żaden rząd nie będzie liczyć się z jego znaczeniem politycznym, a w obecnym rozproszkowanym senacie nie posiada on za sobą nawet grupy politycznych przyjaciół.

Ten rozpaczliwy stan rzeczy krzyczy po prostu o zmianę. A zmiana ta pozostawać musi w ścisłym stosunku do ogólnej tezy, jaką sformułowaliśmy zaraz na początku naszych uwag o roli senatu. Ma on więc, wedle naszych głębokich przekonań, reprezentować polską rację stanu, polską tradycję i kulturę, winien być czynnikiem umiaru, rozwagi i politycznej mądrości. A więc przede wszystkim trzeba dać wszystkim senatorom z wyboru również mocne i szerokie oparcie, czy to w społeczeństwie pojętym ogólnie, czy w najpoważniejszych instytucjach tegoż społeczeństwa. Gdyby $^1/_3$ senatorów była wybierana w wyborach bezpośrednich przez wszystkich, którym przyznano prawo wyborcze czynne do senatu, to senatorowie w ten sposób wybrani będą niewątpliwie mieć odpowiednie oparcie w szerokich sferach społeczeństwa, będą mogli na kogoś się powołać i do kogoś w razie potrzeby odwołać. Trzecią wreszcie część senatu powinnyby wybierać te instytucje naczelne, do których nasze społeczeństwo żywi pełne zaufanie i które zdały egzamin życiowy. Mamy na myśli nasze np. uniwersytety i wyższe uczelnie oraz izby i związki zawodowe z robotniczymi włącznie. Byłaby to konkretna zapowiedź korporacjonizmu i jego próba na małym odcinku. Jeżeli w demokratycznej Anglii stary uniwersytet w Oxfordzie może mieć prawo wyboru posła do parlamentu, to chyba równym autorytetem i powagą cieszyć się będzie senator polski wybrany przez najstarszy uniwersytet krakowski czy inną wyższą uczelnię.

Tak dobrany senat, będąc na pewno innym przekrojem społeczeństwa niż sejm, może śmiało pokusić się o reprezentowanie polskiej tradycji i kultury. Stanie się też czynnikiem umiaru i rozwagi a zdolny do wmyślenia się w polską rację stanu i dziejowe nasze posłannictwo nie dopuści, aby *salus rei publicae aliquid detrimenti patiatur.*

Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że najprawdopodobniej rozważania nasze i uwagi na powyższy temat nie spodobają się pewnym stronnictwom i pewnym ideologiom. Jesteśmy na to bezwzględnie przygotowani. Ale uważaliśmy za obowiązek sumienia podkreślić wobec naszych

Czytelników powagę i doniosłość poruszonego problemu. Ich rzeczą będzie zrobić z tych uwag dalszy właściwy użytek, a mamy na myśli przede wszystkim posłów i senatorów katolików, których głos niewątpliwie na szali losów przyszłej ordynacji wyborczej zaważy. Jeżeli choćby jedna lub druga nasza sugestia dopomoże do pomyślnego rozwiązania tego tak doniosłego dla narodu i Kościoła zagadnienia, to będziemy mieć pełną satysfakcję, żeśmy obowiązek nasz w miarę sił należycie spełnili.

Gdyby przy sposobności tych zmian można było dodatkowo jeszcze nałożyć jakieś ustawowe pęta na zwyrodniałą najczęściej u nas formę walk wyborczych, uważalibyśmy to za wielki sukces na drodze moralnego rozwoju naszego społeczeństwa. Jeszcze w październiku 1930 r. ks. Jan Urban T. J., w rozważaniach swoich przedwyborczych, w bardzo plastyczny sposób odmalował nasze rozgrywki wyborcze, gdzie nikt nie przebiera w środkach, nikt nie liczy się z jakimiś moralnymi prawidłami a każdy usiłuje oczernić i zbeszcześcić swego przeciwnika, odsądzając go od czci i wiary. Na wiecach, w prasie, na plakatach i ulotkach więcej usłyszeć i wyczytać możemy złego o przeciwnikach niż realnego o kandydacie. Otóż nic nie stoi na przeszkodzie, aby nasi posłowie i senatorowie katolicy zdobyli się na wysiłek przeprowadzenia ustawy o usunięciu przynajmniej tych form walki wyborczej, które urągają elementarnym zasadom katolickiej etyki.

Powiedzieliśmy na samym początku, iż trudno dziś przewidzieć termin najbliższych wyborów i związanej z nimi zmiany ordynacji wyborczej. Pragniemy na zakończenie podkreślić, że również droga do zrealizowania tej zmiany najeżona będzie nie małymi trudnościami. Naszkicujmy jednak wszystkie możliwości.

Otóż przede wszystkim w sposób najbardziej stanowczy należy wykluczyć ewentualność przeprowadzenia zmian w ordynacjach wyborczych metodą niekonstytucyjną. Droga tych czy innych przewrotów czy zamachów stanu powinna być w Polsce raz na zawsze wolą całego narodu zamknięta.

Ponieważ zaś artykuł 55 konstytucji wyraźnie wyklucza możność dokonania zmiany ordynacji wyborczej dekretem p. Prezydenta, pozostaje więc tylko jedyna droga legalna, przeprowadzenie tych zmian przez sejm i senat.

Jakież są w tym względzie szanse powodzenia?

Obecny sejm i senat są pierwszym ciałem parlamentarnym, wybranym na podstawie obecnej ordynacji wyborczej, o której jej twórca pułk Sławek mówił, że ma być eksperymentem a o którym znów życie powiedziało, że się

ten eksperyment nie udał. Znikoma ilość obecnych posłów i senatorów piastowała swoje mandaty w poprzednich izbach, ogromna większość to *homines novi* na parlamentarnej arenie. Otóż ludzie ci, którzy tej ordynacji zawdzięczają po raz pierwszy swoje mandaty, a którzy z powodu braku opozycji w sejmie czują się na swoich fotelach bezpiecznie, nie będą może zbyt skorzy do reformowania systemu wyborczego, który im właśnie zapewnił mandaty. Jest to rzecz zupełnie ludzka, nikomu nie można brać tego za złe, ale z tym trzeba się liczyć.

Drugą okolicznością, bynajmniej nie ułatwiającą przeprowadzenie zmiany to polityczna dezorganizacja sejmu. Zwarta bowiem grupa polityczna, która kierunek zmiany ordynacji wytycza, może w interesie partii skłonić swoich posłów do osobistej ofiary, obiecując im zresztą nowe mandaty. W obecnym sejmie nikt tego uczynić nie zdoła. Prawda, że i w obecnym sejmie istnieją pewne ideowe grupy, ale najpierw żadna z nich nie ma większości a po wtóre oficjalnie nie mają one charakteru politycznego, choć niektóre z nich jak grupa działaczy społecznych (Naprawa) stworzona została wyłącznie dla celów politycznych. Jeżeliby która z tych grup wystąpiła z takim wnioskiem, to uczyni to raczej z demonstracji politycznej, bez głębszej jednak wiary w możność zrealizowania swoich postulatów. Nie można bowiem zapominać, iż obecny sejm ma przed sobą jeszcze trzy lata legalnego bytu.

Można przypuszczać, iż sytuacja uległaby znacznej zmianie, gdyby płk. Kocowi udało się zmontować OZoN. Wszak zaraz po deklaracji płk. Koca cały szereg posłów i senatorów zgłosiło swoje przystąpienie do obozu. W tym wypadku mogłaby więc powstać dość silna grupa polityczna, która zdecydowałaby się na zmianę ordynacji. Trudno, jednak wątpić, iż zmiana ta polegałaby wówczas na nieznacznych tylko przeróbkach istniejącego obecnie systemu.

Tak przedstawiają się realne możliwości zmian ordynacji wyborczej sejmowej i licząc się z nimi formułowaliśmy ostrożnie nasze postulaty.

Daleko łatwiej przedstawia się zmiana ordynacji wyborczej senackiej, gdyż inicjatywa zmian wychodzi od sejmu i gotowy już projekt przychodzi do senatu, który może w nim wprawdzie poczynić zmiany, ale na pewno go nie odrzuci. Racja stanu znajduje bowiem w senacie siłą faktu znacznie głębsze zrozumienie, a doświadczenie życiowe senatorów wyraźnie im pokazuje sztuczność i słabość dotychczasowego systemu.

Ale może się zdarzyć, że mimo wszystko nie uda się skłonić obecnego sejmu do przeprowadzenia koniecznej

zmiany ordynacji. Teoretycznie istnieje wówczas możliwość, że rząd wystąpiłby z odpowiednią inicjatywą i wniósł gotowy projekt ordynacji do sejmu. Wydaje nam się jednak rzeczą wątpliwą czy w takich warunkach znalazłaby się dla tego przedłożenia przewidziana większość. Wówczas konstytucja nasza daje p. Prezydentowi prawo rozwiązania parlamentu, przy czym wedle art. 32 winien on wskazać narodowi powód rozwiązania. Powodem tym było by stwierdzenie niezdolności sejmu do uchwalenia koniecznej w interesie państwa zmiany ordynacji wyborczej. Wybory zaś przeprowadzone pod tym właśnie hasłem dałyby może, nawet bez wysiłku administracji, zespół nowych posłów, którzy by zechcieli tego zadania dokonać.

Możliwości tej oraz środków zaradczych czy to w formie inicjatywy rządu czy p. Prezydenta na podstawie art. 32 konstytucji — wolimy jednak nie rozpatrywać, gdyż w jednym i drugim wypadku nie obeszłoby się bez niepożądanych wstrząsów. Natomiast podkreślamy raz jeszcze z naciskiem, iż tylko drogę uchwalenia koniecznych zmian ordynacji przez obecny sejm uważamy za jedynie odpowiednią.

Społeczeństwo polskie, katolickie powinno przez odpowiednie formowanie i nacisk opinii publicznej pracę tę doniosłą ułatwić. Bo jeśliśmy zdecydowali się na poruszenie tak ważnego zagadnienia, to uczyniliśmy to jedynie dlatego, by inicjatywa reformy pozostała w rękach narodowo-katolickich, a nie tych czy innych „demokratycznych fołksfrontów".

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Konsekwencje zjazdu dyktatorów w Berlinie. — Niemcy gotują się do skoku. — Ameryka, pokój i Polska. — Rzut oka na zasadniczą linię polityki polskiej.

Przerwaliśmy referat poprzedni w przeddzień zjazdu dyktatorów w Berlinie. Zjazd był manifestacją tak patetyczną, że choćby ze względów demagogii, która w ustrojach totalnych nie mniejszą gra rolę jak terror, musiał wyładować się w jakichś energicznych poczynaniach zewnętrznych.

Jakoż istotnie, prawie równocześnie ze zjazdem rozbiegła się na łamach dzienników wieść, że Mussolini wypowiedział w Wiedniu i Budapeszcie traktat handlowy oparty na preferencyjnym uprzywilejowaniu celnym wymiany towarowej między Italią oraz Austrią i Węgrami. Traktat ten, ekonomicznie dla obu ostatnich państw cenny, stanowił realną podstawę tzw. protokułów

rzymskich, które rząd faszystowski zawarł z Austrią i Węgrami jeszcze przed wojną abisyńską. Owe protokuły wasalizowały centralne państwa naddunajskie wobec Włoch, wytwarzając wraz z nimi i Bułgarią blok miejscowy, który osaczał Jugosławię, rozsadzał Małą Ententę, oraz osłaniał niepodległość Austrii przed *Anszlussem* Niemiec.

Usunięcie tedy najważniejszej materialnej podstawy tego związku, jaką stanowił preferencyjny traktat handlowy, oznaczało, że Włochy cofnęły faktycznie koncepcję polityczną, związaną z protokułami rzymskimi. Wkrótce po zjeździe berlińskim postawiła „kropkę nad i" nowa wieść: że Włochy, nie tylko w prasie lecz nawet urzędownie przez swoje poselstwo w Budapeszcie popierają zbliżenie Węgier z Małą Ententą. Z zestawienia tych dwóch wiadomości wynika wyraźnie, iż między Mussolinim a Hitlerem stanął układ, mocą którego Italia i Niemcy jeszcze raz zmieniają linię graniczną swoich sfer wpływu na obszarze naddunajskim. Protokuły rzymskie pochodzą z czasu przed osią rzymsko-berlińską i noszą charakter antyententowy, a na punkcie Austrii antyniemiecki. Od roku z górą tj. w okresie wojny hiszpańskiej i osi berlińsko-rzymskiej jawiły się nad Dunajem dwie na przemian postacie rozgraniczenia wpływu włoskiego i niemieckiego: jedna to *condominium* włosko-niemieckie w Austrii i na Węgrzech, druga to przekazanie obu tych krajów wyłącznie pod wpływ niemiecki, ku czemu się Włochy skłaniały w razie przewagi Rosji nad Niemcami nad Bałtykiem i w Polsce. Wreszcie obecnie wdrożona została koncepcja czwarta, którą by można sformułować tak: Polska, Czechosłowacja i Austria mają przejść pod wpływ Niemiec, natomiast Węgry mają być przyłączone do bloku włosko-bałkańskiego, to znaczy, że musiałyby zbliżyć się bezpośrednio przede wszystkim do Jugosławii i Rumunii, ta ostatnia zaś winnaby zawrzeć z Włochami pakt przyjaźni, podobnie jak to już uczyniła Jugosławia. Jeżeli przy tym mówi się o pośrednictwie Włoch między Węgrami a Małą Ententą, to po części ze względów taktycznych, ponieważ Jugosławia i Rumunia jeszcze nie zerwały swego przymierza z Czechosłowacją; a także dlatego, że dotąd pozostaje niewyjaśnionym, czy w zaprojektowanej w ten sposób ewolucji Słowacja miałaby być odstąpiona Węgrom czy też miałaby przejść pod wysoką rękę Niemiec.

W ścisłym związku z tym wewnętrznym, śródlądowym porozumieniem Niemiec i Włoch pozostaje koordynacja celów i działań na szerszym terenie, zwłaszcza w Hiszpanii. Tutaj oba mocarstwa centralne postanowiły *viribus unitis* dołożyć wszelkich starań, ażeby nareszcie doprowadzić do zwycięstwa gen. Franco, przy czym stosunek Niemiec i Włoch wobec Hiszpanii odchyla się znów od jednostronnej przewagi włoskiej, a zbliża do *condominium*. Stało się tak zapewne na skutek doświadczenia, że Włochom na własną rękę trudno jest w Hiszpanii pokonać równo-

czesny opór mocarstw zachodnich oraz Rosji Sowieckiej. Hiszpania zresztą jest wartościową pozycją dla obu mocarstw osi rzymsko-berlińskiej, zarówno jako źródło surowców i jako strategiczny punkt wyjścia nacisku na Francję i Anglię.

Na takim tle rozwinęła się w ub. miesiącu silnie naprężona, skomplikowana i niebezpieczna gra dyplomatyczna o Hiszpanię między Anglią i Francją z jednej, Włochami i Niemcami z drugiej strony, do której z ubocza wtrącały się Sowiety, a w końcu wmieszała się pośrednio nawet Ameryka. Prawie równocześnie z wieścią o nowym niemiecko-włoskim programie naddunajskim, rozeszła się inna pogłoska, o włoskim korpusie ekspedycyjnym w sile 20 tysięcy ludzi, przygotowanym na Balearach dla desantu pod Barceloną i koncentrycznego z armią gen. Franco natarcia na czerwoną Katalonię. Anglia z Francją zareagowały wspólną notą do Włoch, zapraszającą je na konferencję na której miano by ułożyć plan wycofania z Hiszpanii „ochotniczych" wojsk posiłkowych, walczących po obu stronach, białej i czerwonej. Dano przy tym nawet poznać, że ewakuacja musiałaby być forsowniejsza od strony powstańczej, ponieważ otrzymała ona znaczniejsze posiłki.

Włochom przyszedł wtedy z pomocą Hitler, w myśl ugody związanej ze zjazdem berlińskim. Przed tym zjazdem, gdy sowiecki rozbój podwodny prowokował na Morzu Śródziemnym Anglię i Francję przeciwko Włochom, Hitler w mowie norymberskiej atakował wprawdzie Zachód o kolonie, ale z dużo większą siłą wystąpił przeciwko Sowietom, posuwając się nawet do przejrzystej aluzji najazdu na Moskwę. Przeciwnie, gdy w Hiszpanii przeciwstawiły się Włochom w pierwszym rzędzie Anglia i Francja, wtedy Hitler wystąpił z mową „dożynkową" w Bueckeburg, w Bawarii, podnosząc głównie surowcowe i żywnościowe ogłodzenie Niemiec oraz żądając zwrotu kolonij. Wobec Moskwy zajął postawę defensywną zamkniętą w biernej pogróżce, że gdyby Sowiety zechciały napaść na Niemcy to się załamią na fortyfikacjach nad Odrą.

W oparciu o ten sukurs niemiecki Mussolini zwlekał z odpowiedzią na notę anglo-francuską. Powstało bardzo ostre napięcie między osią rzymsko-berlińską a ententą anglo-francuską. Wtedy ktoś, komu bardzo zależało na dolaniu oliwy do tego ognia i spowodowaniu wybuchu, postarał się, ażeby po dłuższej przerwie, ponownie podwodny pirat zaatakował kontrtorpedowiec angielski, krążący u brzegów czerwonej Hiszpanii. Torpeda chybiła, ale gdyby kontrtorpedowiec został wysadzony w powietrze, to zachodziło najwyższe niebezpieczeństwo, iż opinia publiczna zachodnich mocarstw demokratycznych nie wytrzymałaby tej próby; że uznałaby tę torpedę za włoską awangardę ofensywy z Balearów na Barcelonę i że nastąpiłby wybuch nie tylko pod kontrtorpedowcem, lecz na całym Morzu Śródziemnym. Ponieważ jednak

mógłby on raczej zniweczyć włoskie szanse w Hiszpanii niźli je poprzeć, przeto zdaje się być wykluczone ażeby to miała być torpeda włoska. Cała logika sytuacji przemawia (zgodnie z naszym poprzednim referatem), iż była to torpeda sowiecka w służbie czerwonego rządu Walencji. Że ten rząd rozporządza łodziami podwodnymi tego dowodzi fakt, iż je naprawia w portach francuskich; co się nie bardzo zgadza z francuską neutralnością i gdzie też łodzie te zostały zaatakowane przez „piątą kolumnę" gen. Franco, z dużym rozgłosem, choć bezskutecznie. Na uboczu głównego nurtu wydarzeń zanotować należy również znamienne dla wytężonej akcji dywersyjno-prewencyjnej Sowietów na zachodzie, porwanie z Paryża wodza białych emigrantów rosyjskich, gen. Millera.

Napięcie między mocarstwami zachodnimi a centralnymi w Europie sięgnęło szczytu po odmownej odpowiedzi Włoch na notę anglo-francuską. Nota proponowała naradę nad ewakuacją ochotników w zamkniętym zespole Anglii, Francji i Włoch, zastrzegając dla nich w razie konieczności prawo zbiorowej interwencji w Hiszpanii, ale wyłączając od niej Niemcy. Ten przede wszystkim punkt odrzuciły Włochy oświadczając, że o Hiszpanii rozmawiać mogą tylko w zespole obejmującym Niemcy, oraz że proponują, by to uczynić w londyńskim komitecie nieinterwencji. Był to kulminacyjny, do chwili gdy piszę, moment naprężenia. Wtedy zainterweniowała Ameryka, oświadczając po raz trzeci w przemówieniach prezydenta Roosevelta i sekretarza stanu Hulla, że nie pozostanie neutralną wobec agresji mocarstw totalnych, tak w Europie, jak i w Azji, oraz że przyłączy się do wspólnego frontu europejskich demokracyj. Anglia i Francja ośmielone tym poparciem odwołały urlopy w marynarce, zarządziły ostre pogotowie flot, a nawet w portach francuskich Morza Śródziemnego ogłoszono stan wojenny. Zaczęto mówić o okupacji wyspy Minorki przez Francję i Anglię.

Oś rzymsko-berlińska odpowiedziała na to rozszerzeniem swej własnej okupacji na dwie jeszcze pomniejsze, ale strategiczne ważne wyspy Balearów. Równocześnie zaś wystąpiła z dywersją dyplomatyczną, oświadczając przez usta ambasadora włoskiego w komitecie nieinterwencji, że Italia godzi się na układy w sprawie wycofania ochotników. To posunięcie zmierza do zaskoczenia i zdezorientowania przeciwnika, oraz powstrzymania go od kroków stanowczych na czas paromiesięcznych układów, w ciągu których gen. Franco zdąży zwyciężyć czerwonych. Że się na to zanosi świadczy na hiszpańskim teatrze wojny odparcie rozpaczliwego szturmu czerwonych na Saragossę, oraz całkowite opanowanie przez powstańców Asturii.

W ścisłej zależności z rozwojem działań niemiecko-włoskich na odcinku hiszpańskim, a także z rozwojem sytuacji wojennej

na Dalekim Wschodzie, pozostają kroki Niemiec w Europie środkowej. Wobec postawy Ameryki, mocarstwa centralne mniej niż kiedykolwiek kwapią się do wojny zaczepnej na froncie zachodnim. Systematycznie natomiast przygotowują sobie od tej strony zabezpieczenie tyłów. Jeżeli opanują Hiszpanię, to pozyskają ważny atut wojskowy i polityczny, którym krępować będą mogły mocarstwa zachodnie, siebie zaś może jeszcze wspomogą hiszpańskimi surowcami. Niemiecki układ z Belgią, gwarantujący jej neutralność, zmierza do tego, ażeby ten mały ale strategicznie ważny kraj wyłączyć ze współdziałania przeciwko Niemcom, gdyby mocarstwa zachodnie wystąpiły w obronie zaatakowanego przez Niemcy Wschodu. Coraz ostrzej prowokacyjna wobec Polski niemiecka polityka mniejszościowa w Gdańsku i w Rzeszy, potem zaś również prowokacyjny szturm prasy niemieckiej na Czechosłowację świadczą, że Niemcy pragną swój stosunek do tych dwu sąsiadów wschodnich wprowadzić w stan takiego naprężenia, żeby w dogodnej dla siebie chwili łatwo mogli doprowadzić do wybuchu. W stosunku do Polski otwarte np. włączenie Gdańska do Rzeszy, albo też takie zaostrzenie prześladowań żywiołu polskiego w Niemczech, które by nas zmusiło do poważnej retorsji wobec niemieckiego żywiołu w Polsce, stoją każdego czasu do dyspozycji niemieckiej, gdyby Berlin życzył sobie wywołać *casus belli* z nami. Prawdopodobniejszym jednak się wydaje, że na pierwszy ogień poszłaby raczej Czechosłowacja; po czym gdybyśmy nie pospieszyli jej z pomocą i złamali tym samym sojusz z Francją, zaproponowano by nam zapewne odstąpienie praw naszych w Gdańsku, Pomorza i Śląska wzamian za Śląsk cieszyński i Karwinę, może jakiś podział Słowaczyzny z Węgrami, może Litwę Kowieńską, jako dostęp do morza. Podobne sugestie już nieraz wysuwane były w prasie niemieckiej. Przymierze z Niemcami przeciw Rosji oraz prawo przemarszu wojsk niemieckich na wschód przez nasze ziemie stanowićby musiały zasadniczy warunek tego rodzaju „porozumienia" naszego z Trzecią Rzeszą. Równocześnie wymowna, szczera i lojalna manifestacja zjazdu pradziejowców niemieckich w Elblągu stwierdza jak Niemcy wyobrażają sobie trwałe współżycie z Polską w szerszej perspektywie historycznej. Mówią nam wyraźnie już nie o Pomorzu tylko i Wielkopolsce, lecz wołają bez osłon: „fora z nad Wisły w bagna poleskie!"

Sygnałem na który zdają się oczekiwać Niemcy ażeby uderzyć na Czechosłowację a potem przycisnąć i nas, może się stać albo zwycięstwo gen. Franco w Hiszpanii i przejście tego kraju pod protektorat włosko-niemiecki, albo uwikłanie się Moskwy w wojnę z Japonią, (gdyż i samo niebezpieczeństwo tej wojny bardzo zachęca Niemcy do agresywnej postawy wobec Sowietów), albo wreszcie jedno i drugie. Nawiasowo dodajmy, że winowajcą tych perspektyw jest w wielkiej mierze polityka mocarstw zachodnich,

zwłaszcza radykałów francuskich. Wprawdzie Francja nie chciała i nie chce dać Niemcom kolonij, ale „za to" popełniła samobójczy nonsens w okresie pacyfizmu wydając im Nadrenię. W okresie zaś wojny hiszpańskiej, w myśl ideałów demo-liberalnych, Francja nie chciała poprzeć gen. Franco przeciwko Walencji i przez to dopuściła do objęcia protektoratu nad Hiszpanią przez oś rzymsko-berlińską. Teraz francuska opinia publiczna czuje się zmęczona i zaczyna się skłaniać do kapitulacji wobec osi rzymsko-berlińskiej, byle szarpanina hiszpańska tak czy owak się zakończyła. Dyktatury mają mocniejsze nerwy niż demokracje.

Przejdźmy teraz do azjatyckiej, eurazjatyckiej oraz amerykańskiej strony położenia światowego. Na Bliskim Wschodzie wielki niepokój rozwija się w Palestynie i dokoła niej. Anglia, biorąc pod uwagę sugestie polskie na Lidze Narodów a przede wszystkim własną rację stanu, usiłowała zmienić na korzyść Żydów podział Palestyny, lecz zamiary w tym kierunku napotkały na zacięty opór Arabów, popieranych przez Egipt i Włochy. Projekt zatem wzmocnienia angielskiej straży nad Kanałem Sueskim przez silne państwo żydowskie wytworzył na razie tylko nowe komplikacje dla Anglii.

Na Dalekim Wschodzie wojna japońsko-chińska w pewnym momencie przechyliła swą szalę na korzyść Japonii o tyle poważnie, że wywołała silny niepokój w Rosji i Ameryce. Było to wtedy gdy wojska japońskie na froncie północnym zdołały posunąć się dość głęboko ku południowi od Pekinu wzdłuż obu linij kolejowych jakie stamtąd wiodą na Nankin i Hankou. Równocześnie lotne oddziały japońsko-mongolskie dotarły wówczas w kierunku zachodnim w prowincji Seijuan, do szlaku karawanowego z Mongolii Sowieckiej do Chin centralnych, nankińskich, zagrażając wstrzymaniem dostaw materiału wojennego z Rosji dla armii chińskiej. Wtedy w Moskwie powstała myśl bardziej czynnej niż dotąd interwencji w działaniach wojennych. Jako jej formę możliwie dyskretną, pozwalającą uniknąć konieczności natychmiastowej, bezpośredniej wojny rosyjsko-japońskiej, uznano w Moskwie formalny zwrot Chinom Mongolii zewnętrznej, silnie uzbrojonej przez Sowiety, ale teoretycznie należącej dotąd do imperium chińskiego. Militarnie oznaczałoby to, że 100 tysięczna armia konna mongolska dobrze zaopatrzona w materiał wojenny i prowadzona przez dowództwo rosyjskie, wystąpiłaby w obronie drogi karawanowej do Chin, uderzając na tył prawego skrzydła armii japońskiej. Podobnie jak w Europie owe 20 tysięcy żołnierzy włoskich na Balearach potencjalnie zawarło w sobie niebezpieczeństwo wojny mocarstw zachodnich z centralnymi o Hiszpanię, tak na Dalekim Wschodzie owe 100 tysięcy Mongołów stało się symbolem niebezpieczeństwa wojny japońsko-rosyjskiej.

Podobnie też jak w Europie niebezpieczeństwo to narazie osłabło, częściowo z powodu interwencji amerykańskiej, przede wszystkim zaś ze względu na obrót działań wojennych. Sowieckim doradcom głównego dowództwa armii chińskiej udało się zaprojektować i wykonać udatny manewr strategiczny, który na tyły zachodniego skrzydła wojsk japońskich wprowadził znaczne siły komunistycznych dywizyj chińskich. Japończycy przeto zmuszeni zostali powstrzymać swą ofensywę i z trudem muszą się wycofywać z niebezpiecznej sytuacji. Rosja i Ameryka odetchnęły swobodniej. Wymarsz konnicy mongolskiej na pomoc Chinom narazie powstrzymano. Japonia organizuje swoją część Mongolii, ażeby w niej wytworzyć osłonę przeciwko Mongolii Sowieckiej. Na Dalekim Wschodzie zdaje się zarysowywać możliwość wzajemnego unieruchomienia Chin, Japonii i Rosji, co dla sprawy pokoju mogłoby się stać korzystnym.

Osobno należy omówić wystąpienie Ameryki gdyż wywarło ono silny wpływ na bieg wydarzeń a może wywrzeć jeszcze znaczniejszy w bliskiej przyszłości. Zdaje się, że zwłaszcza w Europie, Ameryka wręcz uratowała doraźnie pokój, bo gdyby nie głos Roosevelta i Hulla, który nieco onieśmielił oś rzymsko-berlińską, to prawdopodobnie Włosi już by lądowali w Katalonii, Francuzi okupowaliby Minorkę i otworzyli granicę pirenejską dla poparcia czerwonych Hiszpanów, a wojna hiszpańska zaczęłaby się przeobrażać w wojnę zewnętrzną mocarstw.

Interwencja Ameryki podjęta została z właściwym jej szerokim, światowym gestem i rozwinęła się w trzech kierunkach: Dalekiego Wschodu, europejskiego Zachodu, oraz polskiego centrum Europy i Eurazji. Najbliżej, bezpośrednio interesował Amerykę Daleki Wschód, w szczególności obrona Chin przed zdającą się już zwyciężać Japonią. Tutaj więc wystąpienie Ameryki przybrało postać najkonkretniejszą. Departament stanu w Waszyngtonie ogłosił obszerny komunikat, w którym powołuje się na dawniejsze swe protesty i ostrzeżenia pod adresem stron wojujących w Azji, wyrzuca Japonii złamanie waszyngtońskiego układu 9 mocarstw o *status quo* na Pacyfiku, popiera protest Ligi Narodów i podejmuje inicjatywę ponownej konferencji tychże mocarstw na której by uregulowano pokojowo zatarg chińsko-japoński. Konferencja ma być otwarta w Brukseli 30 października, przy czym Japonia na razie odmówiła swego w niej udziału. Rosja również nie ma być tam reprezentowaną, jednakże oświadczyła w półurzędowym komunikacie, że powstrzymała akcję zbrojną Mongolii w oczekiwaniu na wynik tej konferencji, oraz że wiąże z nią nadzieję łącznego nacisku, względnie zbrojnej interwencji przeciwjapońskiej ze strony zainteresowanych mocarstw.

Przeciwko agresji grożącej ze strony europejskich mocarstw totalnych zwrócił się w swych przemówieniach sam prezydent Stanów Zjednoczonych. W postaci imiennie niesprecyzowanej, ale

niedwuznacznej, zapowiedział solidarność Ameryki z obozem demokracyj w obronie wolności i bezpieczeństwa międzynarodowego. Specjalny akcent wzmacniający a zarazem pewne rozwinięcie kierunkowe nadała tym oświadczeniom manifestacja amerykańsko-polska. Przypomniała ona poniekąd wilsonowskie na rzecz Polski deklaracje z czasu wielkiej wojny. W nowym rooseveltowskim wydaniu deklaracje amerykańskie zawdzięcza Polska, jak się zdaje, kontaktowi w jakim w sprawie obrony pokoju, od dłuższego czasu pozostaje z Białym Domem w Waszyngtonie nie kto inny tylko Watykan. W każdym razie stosunek ten znamiennie podkreśliły odwiedziny złożone po mowie chicagowskiej przez prezydenta Unii kardynałowi Mundeleinowi, którego antyhitlerowskie wystąpienie dostarczyło Niemcom, ubiegłą wiosną, pretekstu do faktycznego zerwania stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską.

Ciekawe światło na dążenia światowej polityki amerykańskiej, w związku z konferencją 9 mocarstw w Brukseli, rzucił wywiad udzielony przez delegata amerykańskiego Normana Davisa. Wywiad bardzo uprzejmy dla Japonii wywiera wrażenie skłonności do ratowania Chin i pokoju europejskiego kosztem Moskwy. Ameryka mogłaby istotnie odwrócić Japonię od Chin i rzucić ją przeciwko Moskwie, tym samym jednak automatycznie rzuciłaby również Niemcy przeciwko Polsce i Czechosłowacji, jako geopolitycznej barykadzie ochronnej Moskwy. Jeżeli tego rodzaju tendencja nie jest obcą praktyce amerykańskiej, to oczywiście musiałaby silnie zaniepokoić nie tylko Polskę lecz i Moskwę. Moskwa też powstrzymała się na razie od dalszego awansowania swej interwencji w wojnę chińsko-japońską i zajęła postawę wyczekującą wobec narady brukselskiej. W wypadku rzeczywistego przeciwsowieckiego zwrotu polityki amerykańskiej Moskwa nie pozostawałaby całkowicie bezbronną, ale musiałaby zrezygnować z aspiracyj do pogromu Japonii i dążyć do uniknięcia starcia z nią, gdyż ono sprowadziłoby wybuch w Europie i zwróciło go ze strony Niemiec przeciw Moskwie. O ile by więc Japończycy nie zostali przez Chińczyków rozbici bez jawnej pomocy Sowietów, co się wydaje nieprawdopodobnym, to wypadłoby Moskwie zadowolnić się albo połowicznym sukcesem wzajemnego unieruchomienia na Dalekim Wschodzie, albo też wręcz kapitulować i oddać Chiny etnograficzne Japonii, zatrzymując dla Rosji Mongolię z Turkiestanem. Ewentualność porozumienia rosyjsko-japońskiego w sprawie Chin ma za sobą precedens w traktacie z r. 1928 i może w ręku Moskwy stanowić oręż dyplomatyczny, gdyż zadałoby klęskę Ameryce w Chinach.

Czy jednak odwrót Moskwy z Azji powstrzymałby rozpęd agresywny Niemiec i uratował pokój w Europie przynajmniej na najbliższą wiosnę? Wydaje się to wątpliwym ze względu na krytyczny stan wewnętrzny czerwonego imperium, który przecież,

jak to referowaliśmy niedawno, był głównym powodem sprowokowania przez Moskwę wybuchu na Dalekim Wschodzie, jako też dążeń do odwrócenia wybuchu europejskiego od Moskwy w kierunku zachodnim. Jeżeli więc, jak przypuszczać należy, Ameryka nie dąży do osłony Chin przed Japonią i przed Sowietami, przez rozpalenie wojny między nimi, lecz raczej pragnie ocalić pokój światowy, któremu zagraża w pierwszym rzędzie niemiecka agresja w kierunku wschodnim, to musiałaby Ameryka pacyfikację Dalekiego Wschodu przeprowadzić nie tylko kompromisowo dla Moskwy, lecz także podtrzymać ją wielkim kredytem międzynarodowym. W danym wypadku kredyt ten musiałyby otrzymać również Chiny a być może nawet Japonia, choćby na zagospodarowanie Mandżurii.

Kierunek i skuteczność amerykańskiej inicjatywy pacyfikacyjnej obchodzi niezmiernie blisko Polskę zarówno pod kątem grożących jej doraźnie niebezpieczeństw, jak i zasad naszej dotychczasowej polityki międzynarodowej. Najbardziej naglące jej zadanie stanowi organizacja zbiorowego odporu wobec agresji na bliską metę, do której się Niemcy wobec nas gotują.

Ta sprawa, niestety, inaczej się przedstawia według naszej zasadniczej linii politycznej, inaczej zaś ze stanowiska doraźnych możliwości, aczkolwiek pod tym ostatnim względem może jeszcze trudniej niż pod pierwszym. Nie brakuje nam precedensów w zakresie naszego udziału we wzajemnych stosunkach Ameryki, Niemiec i Moskwy. Olbrzymie kredyty, które Ameryka swego czasu władowała w Niemcy miały za ich pośrednictwem posłużyć odbudowie całej Europy, zwłaszcza wschodniej, a zarazem odciągnąć Niemcy od sojuszu z Moskwą i włączyć je w blok przeciw-sowiecki. Niemcy jednak tego sojuszu wówczas nie zerwały, kredytów po Europie środkowo-wschodniej rozprowadzić nie chciały, zużyły je na techniczną racjonalizację swego przemysłu, oraz luksus społeczny i wreszcie zbankrutowały.

Zanim jednak jeszcze do tego doszły, udały w pakcie Younga, że przystępują do bloku przeciw-sowieckiego i godzą się z Polską. Wtedy po konferencji haskiej w r. 1930, w nadziei polsko-niemieckiego odprężenia, Ameryka zainteresowała się dość ostentacyjnie wielkimi inwestycjami w Polsce i Rumunii, jako państwach forpocztowych domniemanego bloku, które mogły Ameryce otworzyć także Rosję, gdyby blok nad nią osiągnął przewagę. Tego jednak nie życzyły sobie Niemcy; odprężenie więc z Polską zsabotowały i odstraszyły Amerykę od jej zamierzeń kredytowo-inwestycyjnych.

Jeszcze później gdyśmy w obawie przed nadciągającym w Niemczech przewrotem hitlerowskim zawarli pakt nieagresji z Rosją, rozbijając jej sojusz z Niemcami, Ameryka znów się poczęła nami interesować, kapitalistycznie i politycznie, wdraża-

jąc równocześnie układy o gospodarcze i polityczne zbliżenie z Moskwą. Kierowało się ono wtedy przeciwko japońskiemu najazdowi na Mandżurię, gdy równocześnie z polsko-rosyjskiego paktu nieagresji rozwijał się groźny dla dzisiejszej osi berlińsko-rzymskiej, blok wschodni. Zarówno temu blokowi jak projektom amerykańsko-rosyjsko-polskim położył kres drugostronny niemiecko-polski układ pokojowy, który Niemcom przywrócił swobodę ruchów wobec Europy, ponownie zaś skrępował Rosję wobec Japonii.

Był to najbardziej czynny i triumfalny okres polskiej powojennej polityki międzynarodowej, a zarazem szczyt czynu dziejotwórczego zmarłego marszałka Piłsudskiego. Staliśmy się podówczas osią obrotową zmiany układu sił w Europie i nastawiliśmy ten układ wedle własnego planu. Przyjęliśmy zasadę dwustronnych paktów i dwustronnej równowagi między Niemcami a Rosją. Nie dopuściliśmy do jej kapitalistycznego zapłodnienia przez Amerykę, bo to by musiało w szerszej perspektywie historycznej wytworzyć potęgę eurazjatycką, a wespół z Ameryką, potęgę panimperialistyczną tak przeogromną, że w stosunku do niej szybko zeszlibyśmy do roli drobnego wasala.

Zapobiegliśmy temu i wkroczyliśmy na dumny szlak bezwzględnej niepodległości. W warunkach geopolitycznych, w jakich znajduje się Polska, taka aspiracja pociągała jednak za sobą bardzo ciężkie obowiązki. Wymagała szybkiego i czynnego podjęcia dawnej idei jagiellońskiej zwłaszcza na jej niezrealizowanym ongiś odcinku, na zbałkanizowanym obszarze bałtycko-adriatycko-czarnomorskim. Wymagała ta aspiracja czynnego na tym obszarze państwowo-twórczego przodownictwa. Wymagała ponadto i przede wszystkim potężnej dynamizacji społeczno-gospodarczej samej Polski, zdolnej co najmniej dotrzymać kroku piatiletkom i zbrojeniom Bolszewii i hitlerii. To wszystko nie tylko nie zostało wypełnione, lecz naodwrót samobójczy skurcz deflacyjny wtrącił kraj w stan półparaliżu ekonomicznego, a więc i politycznego.

Z tragicznej dysproporcji sił, która na skutek tego powstała między nami a Niemcami i Moskwą nie ma zasadniczo innego pozytywnego wyjścia jak gwałtowna dynamizacja gospodarcza kraju. Ale na to wyjście może już zabraknąć czasu, jeżeli nie zostaną znalezione środki, które by doraźnie, na najbliższą wiosnę nie dopuściły do wybuchu wojny, przeciwstawiając Niemcom zorganizowany i dostateczny opór. Osiągnięcie tego celu nie wydaje się możliwym inaczej jak na linii wskrzeszenia wielkiego bloku wschodniego z r. 1933, chociażby to wymagało przyciągnięcia Ameryki, groziło odrodzeniem potęgi rosyjskiej i niepokojącymi stąd horoskopami dla dalszej przyszłości naszego kraju. Wobec straszliwej teraźniejszości musi ten wzgląd ustąpić

na plan drugi, podobnie jak odnowione niedawno bezskuteczne lecz znamienne ciążenie Moskwy do sojuszu przeciwpolskiego z Niemcami.

Zdaje się też, że ta myśl nie jest obcą naszej dyplomacji, tym bardziej, iż daje się skojarzyć z apelem p. Rose w Lidze Narodów o międzynarodową gospodarkę kierowaną i współdziałanie kapitalistyczne. Ameryce mogłaby ta myśl odpowiadać, idzie bowiem po linii odrodzenia światowej gospodarki kapitalistycznej. Inna rzecz, że kryje w sobie dla Ameryki perspektywy niemniej choć nieco odmiennie niepokojące niżli sprawa długów wojennych alianckich, oraz sprawa powojennych kredytów niemieckich.

Wspomniane w dziennikach konferencje ambasadora polskiego z prezydentem Rooseveltem, odwiedziny w Warszawie min. spr. zagranicznych Austrii, wyjazd do Rumunii na uroczystość dworską Naczelnego Wodza Wojsk Polskich — mogą tej sprawie służyć ze strony polskiej. Najwięcej jednak światła na istniejące w tym kierunku widoki rzuci zapewne konferencja 9 mocarstw w Brukseli oraz dalszy przebieg wojen w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie.

Andrzej Prawdzic.

Warszawa 25 X 1937.

Międzynarodowy Kongres Ludnościowy w Paryżu.

Wśród powodzi kongresów, jakie towarzyszą dziś każdej wystawie światowej, poważne miejsce zajął Międzynarodowy Kongres Ludnościowy, *Congrès International de la Population,* jaki się odbył w Paryżu w dniach od 29 lipca do 1 sierpnia br. Miarą zainteresowania był udział przeszło 300 delegatów z 40 blisko krajów i wszystkich części świata, co wobec specjalności tematu i ograniczonego koła fachowców jest liczbą stosunkowo wysoką. Zebranie inauguracyjne, które odbyło się w pięknej sali amfiteatralnej Instytutu Chemicznego, zaszczycił swą obecnością prezydent Francji, Albert Lebrun, a w rzędzie mowców znalazł się również minister oświaty, Jean Zay.

Ten liczny zjazd gości i żywy udział w obradach, oraz pokaźna liczba referatów, które tylko dzięki surowym ograniczeniom zdołały się zmieścić w ramach zjazdu, były zresztą zrozumiałe. Zagadnienia ludnościowe, zwane także demograficznymi lub populacyjnymi, zaprzątają dziś umysły zarówno ludzi nauki, jak mężów stanu, a w ostatnich czasach wysuwają się w niektórych krajach na pierwsze miejsce, obok najdonioślejszych problemów politycznych, gospodarczych i społecznych. W świetle bowiem nowych badań, a po części już doświadczeń, coraz jaśniej staje przed oczyma współzależność tych zjawisk i ścisłe powiązanie

z najżywotniejszymi interesami państw i narodów. W tych warunkach kongres, który zgromadził elitę znawców z całego świata, musiał spotkać się z żywym zainteresowaniem i ogólnym życzliwym poparciem.

Kongres obecny był lepiej obsadzony od poprzedniego, który odbył się w Berlinie, w dniach od 26 sierpnia do 1 września 1935 r. Szereg uczonych angielskich i amerykańskich nie wziął wówczas udziału „ze względów politycznych"; Stany Zjednoczone Am. Pn. reprezentował jedynie prof. Hankins. Obawy te, jak się później pokazało, były jednak przedwczesne. Mowcy niemieccy unikali poruszania jakichkolwiek tematów nienaukowych lub drażliwych; bronili tylko, podobnie jak i teraz, stanowiska rządu niemieckiego w sprawie ochrony zdrowia i rasy. Nie dotknęli również w Berlinie kwestii żydowskiej i tę samą powściągliwość zachowali w Paryżu, choć mimo to o mało nie przyszło tu do ostrej scysji na jednym z posiedzeń sekcyjnych.

Na kongresie paryskim Anglia i Stany Zjednoczone Am. Pn. były dobrze reprezentowane. Wszystkich przewyższyła jednak delegacja niemiecka, która liczyła 47 osób; był to rewanż za liczny udział Francuzów w kongresie berlińskim. Nawiasem mówiąc, delegacja niemiecka miała w Paryżu stanowisko wprost uprzywilejowane, tak że budziło to więcej nawet niż zdziwienie u przedstawicieli niektórych państw obcych. Delegacja polska składała się z 14 osób (z Warszawy i Krakowa) i znajdowała się, wraz z belgijską, na szóstym miejscu pod względem liczby członków. Przewodniczącym jej był prof. Stefan Szulc, nacz. wydziału ludnościowego w Gł. Urzędzie Statystycznym; delegatem rządu był prof. Jerzy Smoleński (Kraków). Reprezentacja Polski wypadła bardzo dobrze, zarówno co do ilości wygłoszonych referatów, jak ich poziomu.

Wbrew przyjętym zwyczajom paryski Międz. Kongres Ludnościowy nie miał żadnej liczby porządkowej, pomimo że był właściwie piątym z rzędu. Pierwszy bowiem kongres demograficzny odbył się w Genewie, a następne kolejno w Paryżu, Rzymie (i równocześnie w Londynie), w Berlinie w r. 1935 i znowu teraz w Paryżu. Trudność numeracji pochodzi prawdopodobnie stąd, że nie wiadomo, który z powyższych zjazdów uznać za pierwszy tej serii. *L'Union Internationale pour l'Etude Scientifique des Problèmes de Population,* która organizuje obecne kongresy, została założona dopiero na pierwszym zjeździe paryskim, czyli drugim z rzędu kongresie ludnościowym. Komitet wykonawczy i centralne biuro tej Unii, do której należy i Polska, ma swą siedzibę w Londynie (London School of Economics, Houghton Street, London, W. C. 2); prezesem jej jest Charles Close (miał ustąpić w tym roku?), sekretarzem gen. George Pitt-Rivers.

Kongres tegoroczny nie był zacieśniony do jakiegoś specjalnego zagadnienia, choć dwa tematy zaproponowano jako szcze-

gólnie godne rozważenia i poświęcono im oba posiedzenia plenarne. Na pierwszym z nich przemawiał H. Bunle (Paryż) o najlepszej metodzie wykrywania i obliczania tendencji naturalnego ruchu ludności. Na drugim p. Weinberg (Viroflay) wygłosiła odczyt o biometrii dyferencjalnej i biotypologii, jako metodach klasyfikacji jednostek i grup. Pozostały materiał kongresu, który rozdzielono pomiędzy pięć sekcyj, obracał się dokoła ilościowych i jakościowych zagadnień ludnościowych, jak obecny stan demografii, metody badania, stan ludności i ruchu ludnościowego, związane z tym problemy gospodarcze i społeczne, kwestie wchodzące w zakres biometrii, biotypologii, etnologii, dziedziczności i eugeniki. Niektóre odczyty, wygłoszone na te tematy, wniosły dużo ciekawych myśli i nowego materiału. Pewnym utrudnieniem dla wielu prelegentów było znaczne skrócenie czasu przemawiania; zarządzenie to było jednak konieczne ze względu na wielką liczbę zgłoszonych odczytów i tylko dzięki dość bezwzględnemu przestrzeganiu go zdołano na ogół wyczerpać zakreślony program.

Ani kongres jako całość, ani poszczególne sekcje nie uchwalały żadnych rezolucyj. Zostało to zastrzeżone z góry. Kongres chce pozostać czysto naukowym, oświadczył we wstępnym przemówieniu inauguracyjnym prezes p. A. Landry; nie przeszkadza to zaś wcale, że wyniki jego będą mogły zapewne służyć praktyce.

I rzeczywiście tak było, bo najżywszym chyba udziałem i dyskusją cieszyły się te tematy, które stanowią dziś główny punkt styczny pomiędzy demografią jako wiedzą, a aktualnymi potrzebami państw i narodów. Malejąca od początku XX wieku na Zachodzie liczba urodzeń, grożąca w bliższej lub dalszej przyszłości wyludnieniem „przeludnionych" obecnie niektórych krajów Europy, była przedmiotem szczególnie obszernych i interesujących obrad. Nie zatrzymywano się nad wykazywaniem tego stwierdzonego już faktu, ilustrowano go jedynie przykładami, a główną uwagę skupiono na dochodzeniu przyczyn tego groźnego zjawiska i szukaniu środków zaradczych.

Co się tyczy przyczyn obecnego ograniczania urodzeń przyjęto, że są one zbiorowe, jako główne wymieniono jednak: trudności natury gospodarczej, które wpływają na zmniejszenie liczby małżeństw i urodzeń; warunki obecnego życia, zwłaszcza pracę zawodową kobiet; czynniki psychologiczne, duchowe, które, rzecz znamienna, uznano za najważniejsze.

Delegat czeski, Antonin Bohac, choć głównie zajął się wykazaniem związku pomiędzy kryzysem ekonomicznym a spadkiem urodzeń, oświadczył jednak, że głównej tegoż przyczyny należy szukać w psychice dzisiejszego społeczeństwa. Omawiając przy innej okazji stosunki na wsi czeskiej, gdzie za jego młodych lat rodzina miała przeciętnie 5—8 dzieci, a dziś zaledwie 1—2, podkreślił, że przyczyniły się do tego nie tyle względy ekonomiczne, ile zmiana nastrojów i poglądów na punkcie rodziny, dzieci, ko-

biety. Ten sam moment podnosili i inni. Friedrich Burgdörfer (Niemcy) wymienił jako najważniejsze warunki podniesienia liczby urodzeń: „zaufanie" do władz w dziedzinie gospodarczej i przede wszystkim chęć posiadania dziecka; brak tych dwóch czynników był do niedawna powodem gwałtownego spadku urodzeń w Niemczech, a obecność ich zmieniła do niepoznania sytuację w Niemczech dzisiejszych.

Niemało, jak podniósł E. Wieth-Knudsen (Norwegia), przyczynił się do złego także nowoczesny feminizm, dzisiejsze stanowisko kobiety i jej praca zawodowa. Ta ostatnia stanowi zresztą już sama z siebie poważną przeszkodę dla rozrodczości. Kobieta bowiem, mówił H. Harmsen (Niemcy), która się jej oddaje i równocześnie chce być matką, jest prawie potrójnie obciążona i dlatego tak trudno przychodzi jej pogodzić macierzyństwo z pracą zawodową.

Ustalenie przyczyn spadku urodzin — do których dołączono jeszcze egoizm, objawiający się w szukaniu wygodnego życia, a unikaniu wszelkich ciężarów, oraz upadek religijności — poszło więc łatwiej. Ale jak im zaradzić? — Tu dopiero wyszła na jaw cała trudność zagadnienia. Zgodzono się wprawdzie na ogół, na jakim polu trzeba szukać rozwiązania, ale gdy chodziło o najważniejsze środki, wysuwano najczęściej ogólniki, nie podano żadnej ścisłej recepty co do sposobu postępowania, a ze słów pewnych mowców przebijało niemal poczucie bezsilności.

Nie względy gospodarcze — przemawiał w dyskusji prof. L. Hersch (Genewa) — lecz kwestia kobieca jest głównym momentem w zagadnieniu spadku urodzeń. Dawny podział pracy między mężczyzną a kobietą ustąpił, kobieta chce dziś żyć życiem indywidualnym i nikt jej nie może odmówić tego prawa. Jest to źle, lecz mowca nie widzi sposobu wyjścia: „Jak zmienić ten bieg rzeczy? Jak prowadzić kobietę z powrotem w służbę gatunku?"

A jednak, mówiono, musi się znaleźć jakiś sposób, gdyż taki bieg rzeczy nie jest przecież nieuchronną koniecznością. Emancypacja kobiety, jej samodzielność i praca zawodowa są niezawodnie jedną z przyczyn złego — mówił v. Ungern-Sternberg (Niemcy) — ale nie tłumaczą dostatecznie, dlaczego kobieta nowoczesna „nie chce" mieć dzieci! Dlatego, wskazywali inni, należy dążyć do zmiany psychiki społeczeństwa w ogóle i jego ustosunkowania się do rodziny i dziecka. Trzeba w tym kierunku mobilizować opinię publiczną, budzić w masach poczucie obowiązku troski o przyszłość narodu i odpowiedzialności za jego spełnienie. Tylko taka duchowa przemiana, mówił E. Wieth-Knudsen, może nas uratować. „Wszystko zależy od ducha!" To samo podnosili zgodnie delegaci niemieccy i z dumą wskazywali, że w ich ojczyźnie tą właśnie drogą osiągnięto w ostatnich paru latach bardzo znaczną zwyżkę urodzeń. Dzieci, mówił z emfazą Fr. Burgdörfer, są u nas dziś

„chciane"; ludzie którzy mają mniej niż troje dzieci, wstydzą się tego; istnieje *Wille zum Kind,* a to jest najważniejsze, bo kwestia urodzeń jest przede wszystkim kwestią woli, *Geburtenfrage ist Willensfrage,* nie tylko w Niemczech, ale w każdym kraju cywilizowanym.

Czy Niemcy, którzy — dodajmy to od siebie — walczą dziś z chrześcijaństwem i burzą tym samym główną podstawę tej woli, zdecydowanej do pójścia drogą praw moralnych i praw natury, są pewni, że obecna zwyżka liczby urodzeń i „chęć dziecka" będzie u nich trwała? — Zdaje się, że nie bardzo. Kiedy L. Hersch podniósł w dyskusji wątpliwość, czy dzisiejsza poprawa w Niemczech nie jest tylko „jedną fazą fluktuacyj ludnościowych", po której znowu nastąpi spadek urodzeń, to Fr. Burgdörfer przyznał mu w odpowiedzi, że ma słuszność, bo nie ma tu nic pewnego; zaznaczył jedynie, że trzeba mieć „ufność", że stan obecny przetrwa, a to dzięki zmienionej w stosunku do rodziny i dziecka mentalności obecnego społeczeństwa niemieckiego.

Jak widzimy, zarówno referaty jak dyskusja nad kwestią spadku urodzeń i znaczenia zdrowej i licznej rodziny były ogromnie pouczające i dały pogląd na dzisiejszy stan tego zagadnienia w świecie. Tego, co usłyszeliśmy tu z ust ludzi reprezentujących wszelkie narodowości, wyznania i światopoglądy, nie zastąpią żadne książki ani specjalne kursy. Pod tym względem kongres ostatni był nieoceniony.

Bardzo interesujące były również sesje, poświęcone zagadnieniom eugeniki i rasy. Niepodzielnie panowali tu Niemcy, którzy starali się zwłaszcza uzasadnić swe poglądy na dziedziczność i słuszność ustawy sterylizacyjnej. Rüdin, O. Verschuer, Fr. Zahn, H Harmsen, K. Conrad i inni zabierali w tej kwestii głos. Eugenika negatywna, jako wykreślająca ze społeczeństwa te jednostki, które są dziedzicznie obciążone, ma dodatnie znaczenie dla kraju, ponieważ „poprawia" jego ludność; luki zaś przez nią poczynione, muszą zostać wypełnione przez eugenikę pozytywną — tak brzmiał ich ostateczny wniosek (Rüdin).

Kilka pracowitych dni zjazdu minęło nam szybko. Fakt, że pomimo atrakcyj, jakie dawał Paryż i wystawa światowa, obrady były uczęszczane bardzo pilnie, że uchwalano niekiedy ich przedłużenie w celu dokończenia dyskusji, prowadzonych jeszcze poza tym prywatnie, świadczy dostatecznie, że obecny Międz. Kongres Ludnościowy stał na wysokości zadania. Jego komitet organizacyjny — z prezesem prof. Adolfem Landry na czele i z niestrudzonym a nadzwyczaj uprzejmym sekretarzem, dr G. Mauco (Paryż) — spotkał się pod tym względem z pełnym uznaniem uczestników. Tym ostatnim starano się ponadto ułatwić wszelkie sprawy pobytu i podróży, oraz przygotowano kilka miłych niespodzianek, jak przyjęcie towarzyskie, koncert, wycieczka autokarami do Fontainebleau i przedstawienie w *Comédie Française.*

Ze swej strony miasto urządziło w ratuszu przyjęcie dla członków kongresu, poprzedzone okolicznościowymi przemówieniami i koncertem, w którym wystąpiła słynna orkiestra Gwardii Republikańskiej.

Podczas zjazdu delegacja nasza wniosła, za zgodą rządu Rzeczypospolitej P., zaproszenie następnego Międz. Kongresu Ludnościowego do Polski. Czy odbędzie się on u nas, czy, jak pierwotnie projektowano, w Japonii, w tej chwili jeszcze nie wiemy.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Zgon tygodnika „Sept".

Już dawno żadne zdarzenie we francuskim świecie dziennikarskim nie wywołało tak potężnego echa, jak świeże zwinięcie *Sept*'u. Nie jest rzeczą łatwą określić dokładnie wpływy i znaczenie, jakimi się cieszył ten tygodnik OO. dominikanów z Juvisy nie tylko we francuskich sferach katolickich, ale nawet wśród francuskich polityków. Śmiało jednak można go postawić w jednym rzędzie z pismami *Avenir* i *Univers*, które orężem publicystyki wiodły duchowe boje o katolicki pogląd na świat w wieku XIX. Podobnie jak ci jego poprzednicy był także i *Sept* namiętnie zwalczany i atakowany; jak ci również skupił dokoła siebie wybitne grono talentów a jego zamierzenia były równie czyste, możliwości tak samo znaczne, jak i czystość intencyj i znaczenie pisarzy i polityków, grupujących się niegdyś dokoła Lamennais i Veuillota.

Lecz także podobnie jak tamte pisma nie był *Sept* wolny od pomyłek i to nie tylko taktycznych. Lamennais zawiodły jego szlachetne złudzenia na szlaki prowadzące wprost do obozu najzaciętszych wrogów Kościoła, pchnęły go w objęcia pionierów najradykalniejszego przewrotu. Veuillot dzięki okolicznościom i swemu usposobieniu poszedł bardziej na prawo; jednak i ten porywczy, zapalny duch wyrządził dużo szkody, zwłaszcza w spadkobiercach swej myśli, którzy nie dorośli do jego wielkości i tylko szli za jego gestami, niezdolni, by wniknąć głębiej w ich wnętrzną treść i posłannictwo.

Przypomina się dalej *Sillon* i jego dziś już prawie zapomniany przywódca Marek Sagnier.

Już na podstawie tych trzech przykładów można sobie zdać sprawę, na jakie niebezpieczeństwa wystawiona jest francuska kultura, z chwilą gdy narodowa zaleta Francuzów: skłonność do wielkodusznego fanatyzmu sprawiedliwości i do deduktywnego myślenia, nie troszczącego się zbytnio o praktyczne następstwa, skojarzy się z narodową wadą doktrynerskiego uporu i głęboko zakorzenionego indywidualizmu.

Raz po raz we Francji usiłują mądre skąd inąd i gorąco wierzące osoby „pojednać" Kościół katolicki z kierunkami czasu, uchodzącymi za najbardziej niepokonalne i zdobywcze.

I raz poraz padają ci pionierzy „postępu" jako ofiary swych szlachetnych złudzeń; tylko tragiczny ich los wstrząsa myślącym człowiekiem, zmuszając go nie tylko do współczucia, ale i do pochylenia głowy nie przed ideą, lecz przed jej obrońcami.

W ostatnich latach podjęto poważne próby wprowadzenia katolicyzmu na tory jeszcze bardziej zdecydowanej rewolucji, wspartej na skrajnym indywidualizmie, upojonym poczuciem wolności. Złożyło się na to sporo przyczyn. Z jednej strony niechęć do faszyzmu i niemieckiego nacjonalizmu, z drugiej zaś naiwna wiara, że pod chropowatą i odstręczającą łupiną bolszewizmu kryje się piękne ziarno prawdy — doprowadziły pewien odłam francuskich katolickich intelektualistów do przyjęcia poglądu, iż rewolucja w kierunku lewicowym przedstawia mniejsze zło i że w ogóle rewolucję należy uważać za cenne dobro społeczne.

Praktyczni ludzie czynu, jak Pierre Cot albo Georges Izard nie zatrzymali się na tej intelektualnej ewolucji i mocno poszli także i w życiu na lewo, na samą granicę komunizmu.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że ten radykalny minister lotnictwa, *le sinistre de l'air,* jak go nazwał jeden z dowcipnych karykaturzystów, przyjaciel Moskwy i protektor czerwonej Hiszpanii, zaczynał swą karierę w szeregach *de la jeunesse catholique.* Izard, naczelny szef bolszewizującego milionera Bergery, wyszedł z otoczenia Péguy, którego życiorys napisał przy udziale syna tego szlachetnego entuzjasty. Trzeci wreszcie z tych twórców nowego poglądu na świat, Emanuel Mounier, stworzył rodzaj chrześcijańskiego komunizmu, który odżegnuje się wprawdzie kategorycznie od wszelkich komunizmów a rewolucji, koniecznej do urzeczywistnienia swego systemu, nie śmie nazwać po imieniu, osłaniając jej istotną treść eufemizmem wygodnej przydawki: *communautaire,* bardziej jednak wnikliwe umysły ustosunkowały się nieprzychylnie do tego kierunku, gdyż w tym personalistycznym, indywidualistyczno-kolektywno-sentymentalnym zlepku nie mogą się dopatrzyć nawet śladów katolicyzmu.

Esprit, czasopismo Mouniera, doskonale zresztą redagowane, wywołało ostatnio wiele zgorszenia swoją zwłaszcza postawą wobec wypadków w Hiszpanii, stając zdecydowanie po stronie czerwonych i korzystając z każdej sposobności, by w nieprzychylnym świetle przedstawić obóz gen. Franco. Na spółkę z Osorio y Galiardo, Semprun'em, Bergamin'em i innymi „katolikami" rządu walenckiego, *Esprit* szermuje w obronie baskijskiego separatyzmu, pod pokrywką nakazanej przez moralność bezpartyjności atakuje rząd narodowy, za którym przecież niedwuznacznie opowiedział się hiszpański episkopat, choćby w swym ostatnim orędziu pasterskim.

O podobną rafę myślową rozbił się i *Sept*. Wprawdzie tygodnik ten był bardziej powściągliwy i oględny w formułowaniu swych tez, wprawdzie błąd był bardziej ukryty, ale w istocie był to ten sam błąd Mouniera, głoszony z nie mniejszym zapałem. W zeszycie pożegnalnym z dnia 27 sierpnia (po kilkutygodniowym opóźnieniu) oznajmił *Sept* raz jeszcze, że Kościół nie powinien iść ani na prawo ani na lewo i że za zasługę należy poczytać fakt, iż katolicy w czasie lutowych wyborów 1934 roku nie związali się z żadną partią (czytaj: z prawicą, z reakcją). O tym „pełnym zasługi" postępowaniu różnie jednak sądzono i różnie się je osądza dotychczas. Czy rzeczywiście było wskazane pomnażać zastępy zwolenników mocno niekościelnych i niechrześcijańskich programów przez tę wyborczą abstynencję i przez uszczuplanie szeregów bądź co bądź pozytywnie chrześcijańskich odłamów politycznych albo przynajmniej chrześcijaństwu życzliwych — nad tym można śmiało dyskutować. Również bardzo wątpliwą wartość miała krucjata za neutralnością w hiszpańskim konflikcie, jak gdyby strony walczące, a więc z jednej strony mordercy tysięcy księży, podpalacze kościołów, nie uznający żadnego obrządku religijnego, wyznający światopogląd sprzeczny we wszystkim z katolicyzmem, z drugiej zaś ludzie, których wola i postępowanie wykazuje wyraźną życzliwość i chęć przysłużenia się Kościołowi — przedstawiali jednakową wartość moralną. Bezwzględna większość francuskich katolików wypowiedziała się też w tej sprawie zupełnie inaczej niż *Sept*. I wszystko zdaje się wskazywać na to, że autorytatywne władze kościelne nie tylko przyjęły ten sąd większości za swój własny, lecz zdecydowały się nadto na wyciągnięcie z niego zupełnie praktycznych wniosków.

Sept wychodził począwszy od 10 marca 1934. Przez trzy lata istnienia i działalności tego tygodnika Francja przeżyła dużo wewnętrznych przemian. A więc naprzód rządy mieszczaństwa, tego naprawdę zgrzybiałego już „regimentu", broniącego nieudolnie swych upadających placówek pod wodzą Doumergue'a; następnie rządy rozpaczliwej ekipy Sarraut; dalej eksperyment Bluma i wreszcie przejściową dyktaturę finansisty Benneta, osłoniętą parawanem Chautemps'a, a tańczącą nad przepaścią zupełnej gospodarczej ruiny. Otóż dominikański tygodnik stawał w obronie tych wewnętrznych przeobrażeń po l e w e j stronie. Jego wpływy były tym skuteczniejsze, im jaśniejsza aureola apolityczności i ponadpartyjności otaczała *Sept*. Sławny wywiad u ówczesnego premiera Leona Bluma, podczas którego podsuwał tenże pomysł aliansu katolików z folksfrontem, był ukoronowaniem prowadzonej od dłuższego czasu, świadomej kampanii.[1]) W krytyce literackiej doszli do głosu wyraźnie lewicowi pisarze,

[1]) Sprawę tę omówiono obszernie w *Przeglądzie Powszechnym*. Cfr. Czerwiec z 1937, Sprawy Kościoła. Str. 399 i nast.

dość niedwuznacznie natrząsający się z mieszczańskiej „poczciwości" katolicyzmu konserwatywnego.

Sept zagalopował się niewątpliwie w swej gorliwości o rzekomą bezstronność sądów i wolność od przesądów. Popełnił szereg publicznych „gaff".

Ostateczną jednak przyczyną upadku było niewątpliwie niefortunne stanowisko w sprawie hiszpańskiej. Przed paru tygodniami zamieścił *Sept* na swoich łamach list hiszpańskiego episkopatu w autentycznym tłumaczeniu francuskim, przejętym z świetnego belgijskiego czasopisma *Revue catholique des Idées et des Faits*. Komentarz *Sept'u* do tej gorącej skargi hiszpańskich biskupów wyjaśniał i przedstawiał ją tak, jakby miała ona stanowić ogłoszenie obiektywnej neutralności między Valencją a Salamanką. Było to oczywiście całkowitym wypaczeniem myśli i zamiarów hiszpańskiego episkopatu. Należy zaznaczyć, że, jak podają informacje z bardzo poważnego źródła, już w czasie paryskiej wizyty kardynała Pacelli'ego *Sept* był przedmiotem troskliwych obrad najwyższych czynników kościelnych.

Faktem jest, iż z początkiem roku szkolnego ten nieoficjalny organ „lewicowego katolicyzmu" we Francji został zawieszony. Pozornie z własnej inicjatywy. Być może, że i względy finansowe odegrały w tym wypadku pewną rolę; wskutek bowiem rosnącej krytyki liczba czytelników zaczęła gwałtownie opadać. Przypuszczalnie jednak do uratowania *Sept'u* wystarczyłby jeden apel do przyjaciół, gdyby w rachubę wchodziły tylko... deficyty. Wszak jeszcze przed paru miesiącami szybka subskrypcja sympatyków przyniosła tygodnikowi trzysta tysięcy franków zapomogi. Podkreślmy nadto pewien poważny a znamienny głos z za granicy, który wyraził życzenie, by czyste zamiary i wielki talent ludzi z dawnego *Sept'u* wypowiadały się nadal, w innej formie i na innych łamach.

De mortuis nihil nisi bene?

Koło intelektualistów z Juvisy zanadto jest zrośnięte z życiem, by miało stracić rację bytu wraz ze zgonem swojego organu. Przez wydanie wyroku na *Sept*, wydano wprawdzie w znacznej mierze wyrok i na jego współpracowników. Lecz nie zamykając oczu na braki, nie można zapomnieć o rzeczywistych zasługach tego tygodnika pełnego inicjatywy, odznaczającego się wysoką kulturą duchową. On to pobudził warstwy stojące zdala od Kościoła do zainteresowania się katolicyzmem i do oddania hołdu jego współczesnym zapatrywaniom i formom działania.

Tygodnik osiągnął wysoki poziom w dziale swych literackich przyczynków i rozpraw. Na łamach *Sept'u* pisał Claudel, Mauriac, Maritain, Bernanos, Gilson, Goyau, Rops, Casin, Scherer. Niestety polityczne stanowisko *Sept'u* odstręczyło stopniowo wielu wybitnych współpracowników, którzy początkowo i talent swój i fachowość oddali na jego usługi. Zrażeni i rozczarowani wyco-

fali się ze współpracy podobnie jak wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób padli ofiarą lekkomyślnych podejrzeń o „reakcję", od d' Ormesson'a począwszy a skończywszy na Robercie d' Harcourt.

Zapiszmy w końcowym bilansie *Sept*'u tę obiektywną, jak się nam zdaje, ocenę: *Sept* chciał niewątpliwie dokonać czegoś wielkiego; pragnął utorować drogę nowym, twórczym ideom; rzeczywiście przyniósł dużo dobrego; — zgubił go nieprzemyślany w swych skutkach a podejrzany w swej ideowej treści radykalizm.

Dr F. B.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 2 listopada 1937 r.

Katolicyzm polityczny, jego słabość oraz perspektywy.

W chwili tworzenia się nowych form ruchu chrześcijańsko-społecznego, jak przede wszystkim Stronnictwa Pracy, warto zastanowić się nad przyczynami dotychczasowych niepowodzeń katolickich stronnictw politycznych. Chodzić nam będzie o teren polski, lecz odpowiedź wymaga szerszych rzutów oka także na inne tereny.

Zmarnowany kapitał.

Pytanie o przyczyny niepowodzenia stronnictw katolickich — szczególnie ruchu chrześcijańsko-społecznego — ma swój głębszy sens. Mogło się bowiem wydawać, że jeśli gdzie to właśnie na terenie polskim, ideologia ta miała zasadniczo wyjątkowe szanse powodzenia. Szanse te można by wydedukować z całego szeregu czynników sytuacyjnych. Najpierw wymienić trzeba fakt, że masy są u nas w ogromnej, przytłaczającej większości wierzące. Wiarę tę można nawet odnaleźć tam, gdzie się jej już trudno było spodziewać. W zbadanych dotąd życiorysach robotników, zebranych przez Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu, stwierdziliśmy, że nawet rewolucjoniści z PPS, operujący rewolwerem i bombą, to ludzie nie wyzuci z wiary, którzy przy całej niechęci do kleru, a częściowo już i do całego Kościoła, nadal jednak wierzą w Boga i w Chrystusa. Również inteligencja nasza nawet ta z pokolenia przedwojennego, o radykalnych zapędach nie przyjęła na ogół materializmu. Młode pokolenie, jak wiadomo, jest w przytłacza-

jącej większości zdecydowanie religijne. Religijność naszego ludu wiejskiego jest ogólnie znana i wypróbowana.

Drugim momentem zasadniczym jest nasza tradycyjna postawa wobec innych narodów, daleka od egoistycznej ekskluzywności. Polacy byli zawsze niezdolni do gnębienia słabszych i odczuwali w tym kierunku naturalny wstręt. Tradycje unii tkwią tak głęboko w naszych duszach, że choć załamać się musiały pozbawione realnych warunków próby jej wskrzeszenia, podjęte przez Piłsudskiego w związku z wyprawą kijowską, to jednak umiarkowana forma nacjonalizmu, opartego na zasadach etyki chrześcijańskiej, miała zawsze daleko większe szanse trafienia do duszy narodu, niż hasła skrajnego egoizmu narodowego. Są jakieś miękkie strony duszy polskiej, które można było ująć i przekuć na realną zupełnie postawę ideologiczną, równie daleką od marzycielstwa i ustępliwości jak i od brutalnego egoizmu, który jedynie na krótką metę zapewnić może siłę i powodzenie.

Ważnym niezmiernie momentem było i to, że kwestia społeczna, dzięki opanowaniu większości naszego życia gospodarczego przez element obcy, szczególnie Żydów, z natury rzeczy winna się była u nas powiązać z programem narodowym. Można się było spodziewać, że program, głoszący walkę o sprawiedliwość społeczną, zgodną z nakazami etyki chrześcijańskiej, a równocześnie dążący do unarodowienia życia gospodarczego bez użycia gwałtu, niezgodnego z naszą postawą chrześcijańską i wrodzoną nam miękkością, winien porwać za sobą zarówno masy jak inteligencję. Dołącza się jeszcze fakt, że wobec braku wyraźnego programu społecznego w ruchu nacjonalistycznym Polski, a narodowej obcości marksizmu, jego kompromitacji realizacyjnej na terenie pobliskiej nam Rosji oraz jawnego sojuszu socjalizmu z Żydami, nie było po prostu innego programu społecznego jak właśnie chrześcijański. Wszak pojawiające się inne próby stanowiły tylko mniej lub więcej udolne kompilacje i kompromisy między pokutującymi wciąż jeszcze dążnościami socjalistycznymi, ograniczającymi się na ogół do tak bardzo już skompromitowanego etatyzmu, a zasadami nacjonalistycznymi lub katolicką ideą społeczną.

Program natomiast chrześcijańsko-społeczny, który w ostatnim ujęciu encykliki *Quadragesimo Anno* stał się programem o wyraźnej przewadze cech konstruktywnych i bojowych wobec dzisiejszej rzeczywistości — w przeciwieństwie do przewagi postawy konserwatywnej, przejawiającej się jeszcze w *Rerum Novarum* — stał się obecnie właściwie jedynym programem, który wnosił nowe elementy i nowe idee, nie tylko bardzo atrakcyjne, jak walka o zmianę systemu najemnego na spółkowy, ale zarazem jedyną koncepcją, jeszcze nie skompromitowaną przez życie. Łącząc zupełnie realne, choć może jeszcze nie dosyć skonkretyzowane koncepcje ustrojowe korporacjonizmu z hasłami odrodzenia moralnego, dające ogromne pole dla konkretnej pracy, powinien był ten właśnie program nęcić wszystkie elementy, odznaczające się postawą twórczą. Obrona egzystencji samodzielnego warsztatu pracy przed etatyzmem czy socjalizacją, a z drugiej strony wysuwanie najbliższych interesów warstwy robotniczej, to wszystko stwarzało realne podłoże interesu dla hasła korporacyjnego uzgodnienia i powiązania pionowego solidarności interesu pracodawcy i pracobiorcy.

Zarówno sukcesy marksizmu, wywołujące odruch samoobrony, jak i jego błędy i nadużycia, jego osławione rządy w „Kasach chorych" i jawne przymierze z Żydami, wszystko to stwarzało atmosferę pomyślną dla powstania potężnego, narastającego jak lawina ruchu chrześcijańsko-społecznego, który mógł zjednoczyć naród na jednej płaszczyźnie i dać mu ustrój, odpowiadający zarówno jego mentalności jak i jego interesom.

Jakże smutną była w zestawieniu z tymi możliwościami rzeczywista historia ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce!

Spróbujmy dla nauki następców wniknąć nieco w przyczyny tego załamania czy niedorozwoju.

Struktura i rozwój ruchu chrześcijańsko-społecznego.

Chcąc zrozumieć przyczyny niepowodzenia ruchu chrześcijańsko-społecznego w Polsce musimy z konieczności rzucić okiem na jego rozwój i strukturę.

W przeciwieństwie do socjalizmu, który możemy określić jako ruch jednofrontowy, skierowany przeciw „burżuazji", która jest zasadniczym wrogiem, wobec którego inni przeciwnicy mają znaczenie tylko wtórne — ruch chrześcijańsko-społeczny ma dwa główne fronty zewnętrzne: liberalizm i socjalizm. W okresie późniejszym dołączył się trzeci front: skrajny nacjonalizm. Dochodzi tu jednak nadto niemniej istotny „front wewnętrzny" walka z własną słabością moralną; walki tej nie wymaga ideologia marksowska, nastawiona jedynie na wroga zewnętrznego i opierająca się na założeniu, że zmiana warunków automatycznie rozwiąże i problematy moralne. Ta wielofrontowość, tkwiąca w samym założeniu ideologii chrześcijańsko-społecznej, stanowi niewątpliwie moment niezmiernie doniosły. Jest to ogromne utrudnienie koncentracji sił na jednym odcinku. Dla porównania dodamy, że również nacjonalizm ma na ogół jeden tylko front co najwyżej dwa, w każdym zaś razie nie włącza, a przynajmniej nie wysuwa na czoło swego programu postulatów etycznych i nie stawia tak wysokich wymagań. Postulaty moralne „dobrego narodowca" są stosunkowo łatwe do zrealizowania. Domagają się one przede wszystkim solidarności narodowej, ofiarności, bojowości, karności a dopiero jakby wtórnie podkreślają pozytywny stosunek do religii i moralności, nie zajmując się jednak bliżej ani religią, ani moralnością, najwyżej w sensie politycznym, jako „obrona" tych dóbr, zagrożonych przez prądy rozkładowe. Ta „obrona" odbywa się jednak zasadniczo jedynie w płaszczyźnie zewnętrznej, a nie w dziedzinie realizacji. Socjalizm jest oczywiście w położeniu daleko jeszcze wygodniejszym, bo jego etyka naturalistyczna nie uznaje w ogóle nakazów moralnych, dyktowanych człowiekowi przez etykę chrześcijańską, a nawet i naturalną. Pomijając zagadnienie prawa własności możemy np. podkreślić, iż w tak życiowo doniosłej dziedzinie seksualnej marksista ma wielką swobodę. Skrajne kierunki głoszą nawet zasadę ideowej walki z „obłudną" „pruderią burżuazyjną". Rozwiązłość płciowa zyskuje aprobatę ideologiczną. Ruch, opierający się zdecydowanie i programowo na zasadach chrześcijańskich, jest w położeniu o wiele trudniejszym. Przyjmując chrześci-

jaństwo, musi on uznać i jego nakazy moralne i narzucać swym wyznawcom wzory moralne, zgodne z etyką Chrystusową. Ideologia ta z natury rzeczy musi uważać odrodzenie moralne człowieka za rzecz najistotniejszą. Nie może ona wierzyć w to, że zmiana warunków *ipso facto* zmieni także naturę człowieka, bo uznaje zubożenie tej natury przez grzech pierworodny i głosi zasadę wolności woli. Warunki zewnętrzne mogą przy takim ujęciu sprawy stanowić jedynie o zmniejszeniu lub zwiększeniu się szans upadku moralnego. Najlepszy ustrój nie zda się na nic, o ile się nie odrodzi człowieka — oto aksjomat podstawowy każdej ideologii katolickiej.

Kto głosi takie zasady, ten z natury rzeczy musi zwrócić uwagę na wartość moralną swych wyznawców, przede wszystkim zaś przywódców. Równocześnie jednak ta wielość frontów, wymagająca zwiększonej energii i obrotności, zmusza ruch ten do rozwijania największej bojowości i stawia przywódcom i szeregowym jak najdalej posunięte wymagania. Niekonsekwencja w postępowaniu daje broń do ręki przeciwnikom, którzy brak życiowej logiki łatwo mogą podpatrzyć oraz napiętnować. Nawet jednak w tym wypadku, gdy ci przeciwnicy, świadomi własnych błędów, nie będą tak bardzo patrzeć na palce (co się zdarza — ale nie często, bo w polityce używa się zwykle etyki głównie po to, by jej miarą mierzyć postępowanie tylko... przeciwnika), nawet wtedy niekonsekwencja wobec głoszonych haseł musi działać rozkładowo na wewnątrz, podcinając wiarę w szczerość zasad, w wartość ruchu i jego wodzów.

Natrafiliśmy tu na trudność główną, strukturalną, samej ideologii. Lecz jak się przedstawiała sama rzeczywistość?

Musimy z góry stwierdzić, że nie bardzo wesoło. Przyjrzyjmy się najpierw tej naszej religijności. Stwierdziliśmy wielkie przywiązanie ogółu naszego narodu do katolicyzmu, a przynajmniej do chrześcijaństwa. Niestety było to dotąd na ogół więcej „przywiązanie" niż przejęcie się samymi zasadami. Nasz katolicyzm, jak to już nieraz podnoszono, miał charakter statyczny a nie dynamiczny. Przejawiało się to wielką skłonnością do odruchów obronnych, protestów,

skoro się tylko zdawało, że wiara jest zagrożona. „W obronie wiary" zawsze łatwo było Polaków skupić. Lecz tak pojęta wiara nie przeszkadzała bynajmniej, że byliśmy narodem, którego etyka życia osobistego i publicznego stała wcale nisko. Statyczny katolicyzm był wobec tego stanu rzeczy zupełnie bezsilny. Nawet ludzie praktykujący, którzy się spowiadali ze swych grzechów, aż nazbyt często traktowali spowiedź jako coś w rodzaju psychoanalizy, jako „oczyszczenie sumienia", które po takim wymazaniu wszystkiego można było na nowo... zapisywać. Nie znaczy to nawet, że taki człowiek szedł świętokradzko do sakramentów. Nie, on w chwili danej szczerze myślał o poprawie, a przynajmniej żałował. Tylko, że te wzory realne, z którymi się w życiu spotykał, były silniejsze od tego zinstytucjonalizowanego żalu. Większość naszych „katolików", tych gorliwych „obrońców wiary" z dawniejszego pokolenia, nie trudziła się zbytnio „praktykami", co najwyżej wypełniała nakazane prawem kościelnym minimum, uważając to już za wysoki poziom „doskonałości". *De facto* ludzie tego pokolenia uważali raczej religię za cenny zabytek, za ostoję ładu, której trzeba bronić, może i za pewną postawę, która się historycznie związała z narodowością polską, ale nie brali sami swej niby-wiary na serio. Sprawę komplikował dobór ludzi, którzy się pod tymi sztandarami w niepodległej Polsce skupili. Niewątpliwie nie brakło tu jednostek cennych, wierzących na serio i stojących na pewnym poziomie moralnym. Na ogół były tu jednak dwie alternatywy. Z jednej strony garnęli się w szeregi tego ruchu ludzie zacni, ale słabi. Byli wśród nich nawet tacy, których już nie można nazwać bez krzywdy statycznymi katolikami, bo starali się oni żyć wedle możności po Bożemu. Ci ludzie „pobożni" rzadko jednak potrafili z tą pobożnością pogodzić dzielność życiową, bojowość postawy duchowej, wytrwałość — no i... poziom umysłowy. Wszak nie było w Polsce warunków dla intelektualizacji naszego katolicyzmu. Nawet najcenniejsi z tych ludzi nie wznosili się jednak na poziom heroicznego chrześcijaństwa czynu, nie dążyli do świętości. Ten typ „pobożny", który aż nazbyt często kojarzył się z obrazem „fujary" (dla którego istniał nawet pewien wzór fizyczny),

odgrywał z natury rzeczy zwykle rolę podrzędną. Był to bierny „wyznawca" lub podoficer od „czarnej" (bo niewdzięcznej i nie wynagradzanej) roboty. Na czoło wysuwali się zbyt często ludzie zupełnie inni, pozbawieni skrupułów gracze, intryganci, ambitni karierowicze, którzy ten teren uważali za dobry, bo wytworzyła się opinia, że w chrześcijańskim stronnictwie „biorą każdego", że tu jest potrzeba przywódców a wymagania nie są wysokie. Tak pojęta centrowa partia nie wymagała też nadmiernego eksponowania się, była to droga wygodnych kompromisów. Gdy tacy ludzie poczęli ton nadawać, rychło nawet ci, którzy przyszli z zasadami, poczęli się demoralizować. Nie interesowano się zbytnio etyką życia prywatnego, a już zupełnie nie umiano poskromić wybujałych animozyj osobistych i osobistych ambicyjek. Wymagało się realnie jedynie aktywności czysto zewnętrznej. Inne postulaty życia wewnętrznego, prawdziwie katolickiego były nawet nieraz negatywnie oceniane jako „świętoszkostwo" czy „dewocja", „niegodna poważnego działacza politycznego".

Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że inne ruchy polityczne w Polsce wytworzyły wyższy moralnie typ. Nie można też zaprzeczyć, że nasza Chadecja skupiła także znaczny zastęp ludzi naprawdę dzielnych i ofiarnych, którzy nawet nie sięgali po przedwczesne zaszczyty albo zyskiwali je jako naturalny wynik ich prac, lecz i ci ludzie cenni byli narażeni na demoralizujący wpływ atmosfery i promieniujący z niej bezwład moralny. Wobec struktury ruchu, opartego na ideologii, postulującej reformę moralną jako cel najważniejszy, te niedociągnięcia musiały prędzej czy później cały ruch załamać. Niezgodność wzoru faktycznego i idealnego musi każdy ruch w końcu rozsadzić.

Rozwój Chadecji przeszedł kilka etapów. Zrazu linia rozwojowa szła dosyć stromo w górę. Gdy w sejmie ustawodawczym ilość posłów wynosiła 26, drugi sejm dał Chadecji już 43 mandaty poselskie i 8 senackich. Był to okres prezesury ks. Stanisława Adamskiego, obecnego biskupa śląskiego. Po ustąpieniu ks. Adamskiego zaczyna się stopniowy upadek stronnictwa. Brak nam historycznej perspektywy, by oceniać ludzi żyjących i działających. Możemy jednak śmiało

stwierdzić, że ten i ów działacz chadecki mógł się wybić na każdym terenie ale nie tam, gdzie musiało się stosować sprawdziany etyczne, wynikające z programu. Siła sama i inicjatywa nie wystarczy, musi z nią iść w parze nadprzyrodzona chrześcijańska dobroć; dopiero synteza tych dwu cech może wydać polityka naprawdę chrześcijańskiego, który by potrafił nie tylko prowadzić akcję polityczną, ale i ludzi do siebie przykuć. Postulat taki może się nawet wydać błędnym, gdyż ludzie przywykli do rozdzielania dziedzin życia i uznawania, że działalność polityczna i moralno-wychowawcza, to dwie rzeczy różne a może i sprzeczne. A jednak jeśli gdzie, to w ideologii chrześcijańsko-społecznej właśnie te dwie dziedziny są nierozerwalnie ze sobą związane.

Przewrót majowy odebrał stronnictwom w Polsce faktycznie podstawę ich egzystencji, gdyż nie miały one już realnej drogi do władzy. Ich funkcją społeczną było odtąd *de facto* stanowić klapę bezpieczeństwa, najmniej niebezpieczną formę wyładowania się fermentów politycznych. Reżim majowy musiał jednak dążyć do zyskania sukcesów wyborczych nie tylko dla uzyskania sankcji moralnej, ale i dlatego, że, dopóki nie przeprowadził zmiany konstytucji, potrzeba mu było posłusznego sejmu. Doprowadziło to do systemu uzależnienia i metody „robienia wyborów". Życie polityczne kraju poczęło ulegać coraz większej korupcji. Gdy odsunięte od władzy stronnictwa zacięły się w uporze i negacji, „sanacja" poczęła je systematycznie rozsadzać. Groźniejsze było jednak samorzutne działanie beznadziejności sytuacji stronnictw skazanych na czysto negatywną pracę krytykowania, bez możności wpłynięcia na rzeczywistość, która po wypaleniu się ognia brzeskiego zaczęła, mimo wszystko, tak się układać, że coraz mniej było podstaw rzeczowych do bezwzględnej i „zasadniczej" negacji. Ujawniła się tu słabość strukturalna ruchu z założeń centrowego, który nie był przyzwyczajony do walki bezwzględnej, nie miał, jakby to nazwać można „temperamentu negacyjnego". Temperament taki może mieć podłoże rzeczowe albo w samych stosunkach, albo i podłoże osobiste, w tej zaciętej pasji odsuniętych, dla których ideologia jest tylko

„derywacją" (termin Pareta) czyli maską, zasłaniającą cel istotny: dążenie do władzy jakiejś tworzącej się lub — dodamy — odsuniętej elity politycznej. Dopóki negacja rzeczowo uzasadniona mogła się opierać na pasji czy nadziejach osobistych, tak długo ruch mógł zachować dynamikę i uniknąć konfliktów. Gdy jednak rzeczowe względy zaczęły się zacierać a w każdym razie pojawiły się wątpliwości, czy negacja jest nadal rzeczowo wskazaną, wtedy musiał się zarysować konflikt.

Gorzej, bo tymczasem zaczął się tworzyć oportunizm przeciwny ideologii. Skoro negacja przestała dawać szanse dla korzyści osobistych władzy, a pasja odruchu negacyjnego, silna w okresie brzeskim, poczęła się stopniowo wypalać, rzeczowe argumenty za zmianą postawy skrajnie opozycyjnej zyskały sukurs w motywach oportunistycznych. Dołączenie się antagonizmów osobistych między przywódcami musiało rozłam pogłębić. Zamiast szukać wspólnie drogi wyjścia i wewnętrznego porozumienia, zaczęto przez obustronne insynuacje powoli rozbijać jedność moralną grupy. Chwile takie zdarzają się w życiu każdej prawie organizacji politycznej. Jest to chwila próby moralnej. Chodzi o to, czy obozy potrafią się „pięknie różnić", co na tym głównie polega, by u strony drugiej zawsze zakładać dobrą wolę, co przecież nie przeszkadza w realnym rozumieniu pobudek i interesów. Chodzi o to, by najpierw badać swe własne sumienie, a potem dopiero cudze, a nie odwrotnie. Niestety o własnym sumieniu zapomina się najczęściej zupełnie. Jeśli taki będzie stan rzeczy w grupach, które uznają jedynie zasady „walki o byt" czy nadczłowieczeństwa, to nie będzie nas to dziwić. Gorzej, jeśli taki sam stan rzeczy zastaniemy w obozie, który ogłosił wzory moralne Ewangelii jako swoje ideały. Taki wewnętrzny rozbrat musiał się skończyć załamaniem moralnym tych, którzy zasady te brali na serio i stanęli wobec alternatywy wyboru: albo ucieczka z życia politycznego, jako „jednego wielkiego bagna", albo też dostosowanie się do warunków i norm faktycznych tego środowiska. Nie mogąc przełamać zła, ludzie ci stają wobec dylematu: albo poświęcić politykę, albo moralność.

Nie będziemy tu opisywać historii rozłamu w Chadecji. Za wcześnie jeszcze i na to. Stwierdzić możemy tylko tyle, że wykazał on jaskrawo smutny fakt, że katolicy polscy nie dorośli moralnie do prowadzenia akcji politycznej pod własnym sztandarem. Sztandar ten wymaga więcej, stokroć więcej, niż którykolwiek inny. Katolicyzm nie nadaje się na przedmiot licytacji na rykowisku politycznym. Można swój egoizm sprząc ze służbą dla ruchu klasowego czy nawet nacjonalistycznego. Parawany ideologiczne mogą mieć różne zabarwienie. Stwierdza wprawdzie już wielki teoretyk realizmu politycznego, Pareto, że bez pewnej dozy wiary w głoszone zasady nawet najzdolniejszy gracz polityczny nie będzie mieć powodzenia. Lecz wiara ta zjawia się łatwo. Nie trudno jest sobie samemu wmówić idealizm. Tymczasem ideologie katolickie mają swoistą strukturę wewnętrzną, która sprawia, że nie można na nich bezkarnie żerować. Przyjmując te zasady, które wszystko uzależniają od jakości moralnej jednostki, polityk wkłada sobie na szyję pętlicę, za którą każdy może pociągnąć łatwo i skutecznie. Zgodność postępowania z głoszonymi przez siebie zasadami jest warunkiem nie tylko prestiżu moralnego u swoich i obcych, ale i tej jednolitości wewnętrznej, moralnej, bez której nie jest możliwą długodystansowa działalność na tak trudnym, moralnie eksponowanym terenie jak polityka. O tę jednolitość wewnętrzną łatwo jest tam, gdzie wymagania moralne, wynikające z zasad, nie są wysokie. Warto pod tym kątem widzenia analizować postacie Lenina, Hitlera, czy nawet Mussoliniego. Ludzie ci mogli zidentyfikować się ze swoją ideą, oddać się jej zupełnie i pozostać w zgodzie ze sobą nawet wtedy, gdy do zwycięstwa kroczyli po trupach. Dla polityka katolika ta droga, tak nieraz skuteczna i efektowna, jest bezwzględnie zamknięta. Może on tylko róść, potężnieć i tworzyć swą pracą, nie wolno mu piąć się *per fas et nefas.* To pięcie się dla niewierzącego czy niekonsekwentnego w swej wierze może być zgodne z sumieniem, jeśli mu się wydaje, że ma jakąś misję do wykonania. Katolicki polityk może misję swą brać tylko od Boga a to znaczy — bez krwawych czy choćby brudnych cyrografów. Duszy swej nie wolno mu dawać jako zapłatę

polityki, bo wtedy wie on już doskonale, że to nie Boża woła go wola.

Nie małe są to wymagania. Płyną one jednak z nieuchronną logiką z samych założeń systemu. Zrozumiemy teraz, dlaczego można bez obawy, że będzie to nadmiar pesymizmu, powiedzieć, że ten ideał katolickiego polityka nie tylko, że nie został jeszcze u nas zrealizowany, ale nawet nie uprzytomniono go sobie jeszcze w całej pełni. Zdawało się na ogół, że program chrześcijański jest jak każdy inny, tylko, że lepszy, prawdziwszy. Z prawdą i dobrem jest jednak tak, że nie mogą one być nigdy narzędziem. Wymagają one, by im służyć, a same służyć nie chcą do innych celów podrzędnych. Kto obserwował bezstronnie dawną Chadecję, ten przyzna, że ze stanowiska tych właśnie wymagań ruch ten był na wielu odcinkach smutną parodią politycznego katolicyzmu.

Trudności zasadnicze katolickiego ruchu politycznego.

Wyłania się teraz pytanie, czy katolicki ruch polityczny wobec tak wielkich wymagań jest w ogóle możliwym?

Nie chcąc sprawy rozstrzygać apriorycznie, musimy tu spróbować porównawczego rzutu oka na stan rzeczy w innych państwach.

Chodzić nam będzie wyłącznie o katolicyzm społeczny, gdyż stronnictwa katolickie o charakterze zachowawczym czy liberalnym musimy uznać w dobie obecnej za przejaw niedorozwoju politycznego oraz moralnego. Katolicyzm bowiem w naszych czasach n i e m o ż e mieć innego programu, niż ten, który został zakreślony (ramowo) przez encykliki społeczne. Wiązanie się z interesami jakiegoś *ancien regime'u* jest już *ipso facto* wyrokiem na danych katolików, którzy nie zrozumieli wymagań swej epoki.

Nie możemy sobie w ramach tego artykułu pozwolić na rozprowadzenie badań porównawczych. Musimy zadowolić się stwierdzeniem takiego mniej więcej faktu, że jednak poziom katolicyzmu na Zachodzie jest bez porównania wyższy niż u nas. Zagrożenie katolicyzmu było tam znacznie

większe, więc i obrona musiała się zdobyć na inny jakościowo wysiłek. W Polsce, można to śmiało powiedzieć, katolicyzm nigdy nie był zagrożonym na serio, bo brutalne prześladowania rosyjskie, podobnie jak naiwne metody *Kulturkampfu,* wytworzyły jedynie nierozerwalny związek między katolicyzmem a polskością, a marksizm wyżywał się głównie w płaszczyźnie polityczno-społecznej, nie wychodząc na ogół poza powierzchowny antyklerykalizm. Nasze wolnomyślicielstwo jest tak jakościowo jak ilościowo całkowicie nędzne. Inaczej tam, gdzie z jednej strony zagrażał potężny napór ideologii masońskiej, wolnomyślicielstwa, filozoficznego agnostycyzmu i liberalizmu, z drugiej potężna fala bezbożniczego marksizmu, a z trzeciej wreszcie sekciarstwo i protestantyzm, może nie bardzo już aktywny, ale zawsze jeszcze zabójczy swym indywidualizmem religijnym. Napór ten istniał zarówno w krajach katolickich jak Austria, gdzie błędy katolickiej dynastii szły na konto religii, lub Włochy, gdzie tradycje Mazziniego przetrwały aż do nowej, cięższej jeszcze próby, jaką jest dla Kościoła faszyzm — mimo zawartej ugody, narażający go na trudne sytuacje, jak wreszcie i tam, gdzie rządzili protestanci lub wolnomularze. Wszędzie w tych krajach, oprócz chyba Hiszpanii, katolicy umieli lepiej niż w Polsce walczyć o swe prawa polityczne i wydawać wodzów, którzy może pozostawali jeszcze daleko od nakreślonego tu ideału, ale w każdym razie zbliżali się do niego o wiele bardziej, niż nasi politycy.

Mimo wszystko powiedzieć musimy, że oprócz Austrii, Holandii i Portugalii, która znalazła w Salazarze swego naprawdę Bożego męża, nigdzie katolicy nie potrafili ugruntować swej władzy, czy choćby na dłuższy okres ją zdobyć. Zupełne załamanie Centrum niemieckiego, które zdawało się do niedawna jeszcze blokiem granitowym, impotencja katolików francuskich na terenie politycznym, mimo wspaniałej elitarnej roboty organizacyjnej, niezaprzeczalna słabość wewnętrzna katolicyzmu austriackiego, która nam każe z trwogą patrzeć na przyszłość tworzącego się tam państwa korporacyjnego, różne przykre i gorszące skandale belgijskie, wszystko to i wiele innych spraw, których tu nie możemy analizować, każe nam postawić pytanie, czy jednak nie ist-

nieje jakaś wspólna i zasadnicza przyczyna, która prowadzi fatalnie i jakby niechybnie do anemii politycznej stronnictw katolickich?

Przyczyn takich jest niewątpliwie kilka. Jedną z nich omówiliśmy już wyżej. Leży ona w tym, że ze względu na wysoki ideał moralny katolicyzmu jest rzeczą niezmiernie trudną uniknąć rozdwojenia między zasadami a czynami. Tymczasem dążność do doskonałości moralnej i zainteresowania polityczne, to dwie postawy bardzo od siebie dalekie. Normalną postawą polityka, jak stwierdza Edward Spranger w swej psychologii strukturalnej, [1]) to dążenie do narzucenia swej woli innym. Postawa ta może ulec sublimacji etycznej i zamienić się w dążenie do narzucania pewnych zasad i ideałów obiektywnie uzasadnionych. Niemniej jednak nawet na wysokim poziomie pokusa pychy jest wielka. Na niskim zaś wytwarza się owa nieokiełzana ambicja, dla której hamulce etyczne prawie nie istnieją. Z wszystkich terenów pracy na niwie Bożej, polityka jest niewątpliwie gruntem moralnie najbardziej śliskim. Toteż nawet dobrze się zapowiadający politycy często się załamują w politycznym życiu. A cóż dopiero powiedzieć o takich, którzy nawet jeszcze nie zrozumieli, czego się wymagać musi od tego, który chce walczyć o Prawdę i Dobro?

Druga trudność zasadnicza leży — zakrawa to na paradoks — właśnie w tym, że katolicyzm jest systemem tak d o b r z e u p o r z ą d k o w a n y m, że nie ma w nim miejsca na zboczenia. Polityk, trzymający się zasad katolickich, nie tylko nie wpadnie nigdy w żadne krzywdzące jednostronności, ale też nie będzie on mógł nikomu obiecać więcej, niż mu się należy. Tymczasem ruch polityczny ma na ogół za realną siłę motoryczną właśnie te krzywdy oraz obietnice. Nie brakło wprawdzie nieraz i w katolickiej polityce demagogii, ale występowała ona w tym stopniu, w jakim ten ruch zbaczał z drogi, przez Ewangelię wytkniętej. Katolicka polityka albo przestaje schlebiać czy podburzać, a wtedy nie jest ona już „współczesną, realną" polityką (pojętą jako wy-

[1]) E. Spranger: *Lebensformen. Geisteswissenschaftliche Psychologie und Ethik der Persönlichkeit.* Halle 1924.

grywanie istniejących sił), albo przestanie ona być polityką katolicką.

Trzecia trudność, z tą związana, leży w dziedzinie programu. Program ten będzie w stronnictwach katolickich normalnie odgórny, dedukcyjny, będzie w nim na ogół więcej komentatorstwa, niż twórczości. Nawiązuje on zwykle do zasad i ideałów, a nie do danej rzeczywistości, do dążeń żywiołowych epoki. Jego pragnieniem będzie korygować swój czas, przywracać zachwianą równowagę, a nie iść z nim, grzeszyć jego grzechami i błądzić jego błędami. Jest on poza czasem, a nie w nim. A powodzenie ma tylko to, co idzie z prądem. Korektorzy, moralizatorzy nigdy nie będą popularni. Nie trafią oni do serca mas, bo nie będą z nich, będą ponad nimi. Tłum chce też mieć nad sobą swych wodzów, ale tylko takich, którzy w gruncie rzeczy są z niego i jego pieśń śpiewają.

A teraz: *last but not least*: owa dwufrontowość, o której już była mowa powyżej. Katolik zawsze ma wrogów — na zewnątrz oraz na wewnątrz. Inni mogą się sprzymierzyć z własnymi namiętnościami, wprząc je w służbę swych dążeń. Katolik musi je zwalczać, bo jemu wolno tylko bezinteresownie Bożej sprawie służyć. Jego nagroda w życiu przyszłym, a w tym tylko wtedy, jeśli mu będzie dana „w dodatku". Musi więc polityk katolicki swą energię zawsze jak gdyby rozdwajać. Gorzej może jeszcze, że i na zewnątrz będzie on miał więcej frontów, niż inni, bo jako ruch, dążący zawsze do przywrócenia czy zachowania równowagi, ma obowiązek zwalczać przerosty różnych kierunków. Dużo też i często będzie miał trudności pochodzących od tych niby swoich, którzy jeszcze nie zrozumieli, czego od nich ich religia naprawdę wymaga.

Nie jest łatwo po Bożemu ziemskie sprawy urządzać.

Nil desperandum.

A jednak nie chcielibyśmy zakończyć akordem zwątpienia. Trudno nam się z tym pogodzić, że trzeba rządzenie światem zostawić siłom ciemności. Tym bardziej trudno, że nie wierzymy przecież w tezę liberalizmu, że ta wolna

gra egoizmów wyda w rezultacie dobry wynik. Wierzymy przeciwnie, że i w polityce zło i błąd sumuje się z błędem i z tego właśnie wyrasta to straszliwe moralne zabagnienie zbiorowego życia narodów. Rządy nieokiełzanych żywiołów muszą się skończyć jakimś straszliwym kataklizmem, wobec którego może wojna światowa była dopiero przygrywką. Tylko więc skoordynowanie dobrej woli i nowa infiltracja prawdy do zaciemnionych zaułków naszej polityki dzisiejszej może nas jeszcze ocalić. Wiemy do czego doprowadziła Rosję pseudochrześcijańska zasada niesprzeciwiania się złu. Na katolikach dzisiejszych ciąży straszliwa odpowiedzialność za prawdy, które posiadają, a których nie umieją wcielać w życie choćby w skromnych wymiarach.

Czy nie są to jednak zbyt wygórowane ideały, któreśmy powyżej sformułowali? Czy takie stawianie sprawy nie oznacza właśnie rezygnacji z ich osiągalności? Czy nie jest to skazywanie się na wieczną dwoistość rzeczywistości i norm uznawanych?

Faktem jest, że katolicyzm, który dla każdej dziedziny życia posiada dziś realne, sankcjonowane wzory w swych świętych, jakoś nie mógł sobie poradzić z tą dziedziną. O ile pominiemy różne, dla nas już zbyt odległe postacie jak św. Ludwik, to istotnie trudno znaleźć jakiegoś świętego polityka. Ideał taki wydaje się prawie już *contradictio in adiecto*. A jednak mimo wszystko mamy już dziś ludzi, którzy do tego ideału się zbliżają. Przytoczymy tu przykład mało u nas znanej postaci zmarłego w kwietniu 1936 byłego premiera holenderskiego Ruys de Beerenbrucka. Zapoznaliśmy się z nim bliżej z okazji warszawskiego kongresu antyalkoholowego, którego zmarły był inicjatorem. Ze zdumieniem śledziliśmy kontury duchowe tego katolickiego polityka. Był to człowiek, który miał to wielkie odczucie realności tamtego świata, jakie cechuje mistyków, miał ten żywy stosunek do Boga, który wyraża się potrzebą wewnętrzną codziennego przystępowania do stołu Pańskiego, miał przy tym serce miękkie na niedolę ludzką, miał tę cudowną prostotę w obcowaniu z maluczkimi, która cechuje prawdziwych, w najlepszym słowa tego znaczeniu arystokratów (głośna historia o swetrze, który przywiózł jakiejś

poczciwej babulince, korzystając z „okazji") — a równocześnie był to ten „silny człowiek", opatrznościowy w okresie czerwonego zalewu, nieugięty mąż stanu, który pewną i mocną ręką przeprowadził swą ojczyznę przez okres burzy i zamętu. Beerenbruck, mimo swego arystokratycznego pochodzenia — podkreślamy to „mimo" — umiał przełamywać tradycyjne formy zrywając z tak przyjętymi w świecie dyplomatycznym zwyczajami alkoholowymi. Swoje przekonania i zasady abstynenckie potrafił wpoić w międzynarodową „Caritas" katolicką. Jego rola w ruchu antyalkoholowym była tak wielka, że wybrano go pierwszym prezesem nie tylko założonej przez niego Katolickiej Międzynarodowej Ligi Przeciwalkoholowej, ale i ogólnego światowego związku. Człowiek ten potrafił rozwiązać jedno z zasadniczych zagadnień katolicyzmu — pogodzić ascezę z radością życiową światowca w najlepszym tego słowa znaczeniu. Beerenbruck był najmłodszym i najdłużej rządzącym z premierów holenderskich, stał on trzykrotnie na czele rządu, ogółem przez lat jedenaście. On, katolik, rządził protestancką w dwóch trzecich Holandią i był niezastąpionym mężem zaufania protestanckiej królowej. A był on przy tym równocześnie przywódcą katolików holenderskich. I kto wie, czy nie on zaważył decydująco w tym fakcie, że katolicy holenderscy pod względem tempa swego zwycięskiego pochodu w wszerz i w głąb wysunęli się na czoło narodów.

Beerenbruck nie pchał się do władzy, nie szedł do niej po trupach, umiał on jednak pokonać marksizm holenderski w chwili jego największej ekspansji, i pokonać go w ten sposób, że przed trumną swego pogromcy pochylili nawet marksiści swoje czerwone sztandary.

Wspaniała ta postać czeka jeszcze na historyka i na popularyzatorów.

Jest więc możliwy katolicki polityk. Poszukajmy a znajdzie się ich więcej. Mieli i Niemcy swego Windhorsta i Kettelera, miała Austria Seipla, ma Portugalia wspaniałą postać dyktatora, który nie potrzebuje się opierać na terrorze.

Czyżby Polska była niezdolna do wydania takich ludzi?

Nie można niestety hodować wielkich ludzi ani ich sztucznie „robić". Można jednak stwarzać atmosferę dla ich

rozwoju, można walczyć o uzdrowienie klimatu politycznego, w którym ma się kształtować polski katolicyzm polityczny. Klimat ten wtedy będzie zdrowy, gdy zwycięży teza, z którą wchodzi powoli w życie nowe pokolenie, nie pamiętające już czasów pozytywizmu i wyznające zasadę, że hasła nie są maskami w stylu Pareta, lecz normami, które obowiązują przede wszystkim tych, którzy je głoszą. Zdaje się, że oderwanie się katolicyzmu od fatalnego sojuszu z „warstwą tradycyjną", która właśnie reprezentuje katolicyzm statyczny, obrządkowy, dla którego moralność jest narzędziem do utrzymania ładu społecznego i zabezpieczenia prawa do wyzyskiwania słabszych i wygody życiowej konsumenta, musi otworzyć dostęp do tych prawie w rzeczywistości dotąd nietkniętych praźródeł duszy narodowej i tych wielkich rezerw politycznych, którymi są bierne jeszcze albo tylko odgrywające dotąd rolę poruszanych przez demagogię statystów — masy robotnicze czy ludowe. Wielkie poruszenie, wywołane w kraju pewnymi hasłami rzuconymi na III Studium Katolickim w Warszawie, świadczy o tym, że jakaś nowa treść zaczyna dojrzewać w łonie katolicyzmu polskiego. Nie będzie to już owo odgórne, martwe komentatorstwo, które swą abstrakcyjną, oderwaną od życia postawą nie potrafiło wzbudzić żywego ruchu i mimo woli dostarczało broni tym, którym chodziło albo jedynie o obronę zagrożonych interesów klasy posiadającej, olbo też o żerowanie na katolicyzmie jako pokupnym programie, dającym możność łatwej kariery czy osobistej rozgrywki.

Czy można organizujące się Stronnictwo Pracy uważać za wyraz tych nowych prądów? Przy największej nawet życzliwości trudno snuć na ten temat zbyt różowe horoskopy. Francuz powiedziałby może, że jest to *une aliance des ressentiments*. Sam w sobie tego rodzaju osąd nie byłby jeszcze bynajmniej wyrokiem, skazującym na niepowodzenie. Wszak tego *ressentiment* jest dziś bardzo dużo w kraju. Bunt przeciw złu może być twórczy. Poczucie potrzeby zmiany osób jest niewątpliwie duże. Chodzi tylko o dwie rzeczy zasadnicze. Najpierw, że nie może to być nawrót do przeszłości. Wprawdzie za przedmajowym sejmowładztwem tęsknią niektórzy byli posłowie, wspominający złote czasy

swego „suwereństwa", totalizm jednak nie został w Polsce zrealizowany, to też zawcześnie na reakcję w imię „zdeptanej wolności". Ruchy młodych, a te są sygnałami epoki, idą w kierunku większego zbliżenia się do ustrojów totalnych, jest to rzecz pewna i może słusznie budzić głęboki niepokój. Zapobiec jednak totalizmowi politycznemu i uratować wolność sumienia można tylko przez stworzenie a raczej udoskonalenie ustroju o przewadze zasady autorytetu i silnej władzy, byle by ten autorytet godził się na współudział rozsądnie uregulowanej samorządności. Nie to jednak jedynie wydaje nam się istotne. Trudno nam jakoś uwierzyć w twórczość ludzi przeszłości. Znane nazwiska mogą wprawdzie skupić pewną siłę, ale by siła ta szybko nie zwiędła musi się okazać, że ci dawni ludzie nauczyli się dużo nowego. Bo ramy stronnictwa siłą faktu musi wypełnić już młode pokolenie. A ma ono już — chwała Bogu — inne wymagania. To też słychać głosy, że za wcześnie jeszcze w Polsce na czysto katolicki i oficjalnie katolicki ruch polityczny. Trzeba jeszcze, by nowe pokolenie doszło do pełnego głosu i narzuciło swe wymagania moralne. Wtedy wyrosną może i u nas przywódcy, którzy potrafią jak Beerenbruck pojmować politykę jako służbę a nie jako drogę do kariery i potrafią złączyć polityczny realizm z religijnym mistycyzmem. Zanim ta chwila nadejdzie musimy czekać bez pesymizmu i z góry powziętych uprzedzeń, co zrobią dla katolicyzmu różni jego opiekunowie polityczni, których mu przecież wśród dzisiejszych stronnictw nie brak.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Chrystus a medycyna.

„...Głoście coście słyszeli i coście widzieli, oto niewidomi odzyskują wzrok, chromi zdolność ruchów, trędowaci czystość ciała, głusi słuch"..
(Ewang. św. Mat. XI. 4—6)

„najwyższa podwaliną lecznictwa jest miłość".
(Paracelsus)

Początki medycyny sięgają w czasy zarania ludzkości. Jak grzmot i piorun, jak huragan i trzęsienie ziemi, tak i choroba szczególnie nagła przejmowała praczłowieka lękiem dlatego, że nie umiał sobie jej podobnie jak kataklizmów natury wytłumaczyć. Lęk i groza tych dopustów skierowywała umysł jego ku siłom nadprzyrodzonym, nakazując mu u nich doszukiwać się przyczyny niezrozumiałych dlań zjawisk. Ponieważ choroba łączyła się z cierpieniem i sprowadzała nieraz śmierć, więc nie mógł sprawstwa jej przypisywać dobrym demonom a natomiast tylko złym. Demonów tych począł się lękać, zarazem jednak rychło wpadł na pomysł zjednywania ich sobie, względnie przebłagania ich w gniewie, objawionym przez nasłanie choroby. Skoro zaś miał w swoim gronie takich, którzy z demonami umieli się w sposób tajemniczy porozumiewać a byli nimi wróżbici, zaklinacze i inni czarownicy, zatem do nich zwracał się w swej potrzebie z prośbą o pośrednictwo przy przebłaganiu zagniewanych bóstw względnie o udzielenie rad lub środków do zażegnania choroby. W ten sposób stali się tedy pierwszymi lekarzami kapłani i wróże, od których nazwy pochodzi rosyjska nazwa lekarza *wracz*. Związku lecznictwa z czynnikami nadprzyrodzonymi dowodzą nam jeszcze inne terminy. I tak wyrażenia niemieckie: *heilen* (leczyć, goić), *Heiland* (Zbawiciel), *Heilkunde* (nauka leczenia) wywodzą się ze słowa *heilig* = święty. Opisana w spo-

sób klasyczny przez Hipokratesa padaczka (epilepsia) ma już u niego nazwę choroby demonicznej, bo dosłownie „świętej" (he nosos hiera, *morbus sacer*) a nowocześniej nazywanej trafniej „wielką". Stosunek swój nawiązany z kultem w zaraniu ludzkości zachowała medycyna aż po dzień dzisiejszy. Dowodem tego stosunku są stosowane dotąd modły i nabożeństwa z prośbą o wyzdrowienie a poza tym zgromadzenia duchowne różnowyznaniowe i zakony, które się zajmują pielęgnowaniem i leczeniem chorych.

Wielki swój rozwój na podwalinach Hipokratesa zawdzięcza medycyna przede wszystkim jednak chrześcijaństwu, któremu było przecież dobrze znane życie swego Boskiego Twórcy, życie, które się przedstawiało i przedstawia jako niemal jedno pasmo uzdrawiań chorych, „nieczystych" wskutek trądu, „ruszonych" powietrzem, „lunatyków", chromych, ciemnych, głuchych i niemych, wreszcie wskrzeszania z martwych. Chrześcijaństwo pomne słów Chrystusa wypowiedzianych w chwili ustanowienia Najśw. Sakramentu Ołtarza: „czyńcie to na moją pamiątkę", musiało się poczuć do obowiązku czynienia także tego wszystkiego, co się łączyło z działalnością Chrystusa na ziemi, zatem także do obowiązku zaopiekowania się chorymi. Zresztą na obowiązek ten Chrystus wskazał ludzkości wprost swą opowieścią [1]) o Samarytaninie, który wzruszony widokiem pokaleczonego przez rozbójników opatrzył jego rany i zaopiekował się dalszym jego losem.

Jeżeli obowiązek, dobra wola czy chęć naśladowania Chrystusa skłoniły chrześcijaństwo do niesienia pomocy chorym a przez to wpłynęły korzystnie na rozwój medycyny, to w stopniu o wiele wyższym uczyniły to słowa Chrystusa, którymi poprzedził swą opowieść o miłosiernym Samarytaninie, słowa proste, głoszące nieznane dotąd w świecie prawo, które nadało człowiekowi istotne cechy człowieczeństwa. Słowa te brzmią: „będziesz miłował Pana Boga swego z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił i myśli swoich a bliźniego swego jak samego siebie". Prawo to zapowiedział był Chrystus już w swym kazaniu [2]) na górze:

[1]) Por. Ewang. św. Łuk. 10. 25—37.

[2]) Ewang. św. Mat. 5. 44—46.

„miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy mają was w nienawiści... abyście byli synami Ojca waszego, ...który każe słońcu swemu wschodzić dla dobrych i złych i spuszcza deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych", a wreszcie utwierdził je w pożegnalnej swej rozmowie z uczniami w wieczerniku: „przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, jakom ja was umiłował". [1]) Jeżeliby do chwili ogłoszenia tego prawa przez Chrystusa nie istniała wiedza lekarska, pouczająca o sposobach niesienia chorym pomocy, to musiałaby teraz powstać. Skoro zaś wiedza ta istniała już wtedy, zatem musiała się odtąd pogłębić i rozwinąć, albowiem jak to już Hipokrates zauważył: „gdzie jest miłość do ludzi, tam jest także miłość do sztuki (lekarskiej)". Medycyna, która dąży do należytego spełnienia swego zadania, nie może się zaprzeć obowiązku, płynącego z *charitas* chrześcijańskiej, z której się wywodzi współczesna nasza opieka społeczna. Medycyna bowiem, parafrazując słowa Paracelsa, wielkiego lekarza Odrodzenia (1493—1541), „wzrasta w sercu (tj. w miłości bliźniego), pochodzi od Boga, jest częścią naturalnej światłości, doświadczenia".

Zakon Mojżeszowy wniósł liczne trafne i wielce pożyteczne przepisy dotyczące pielęgnowania zdrowia i leczenia chorób, np. trądu; mimo to wpływ jego na rozwój wiedzy i sztuki lekarskiej był nikły, prawie że znikomy, a to dlatego, że głosił równocześnie prawo zemsty wedle słów „oko za oko, ząb za ząb", [2]) że nakazywał „będziesz miał w nienawiści nieprzyjacioły twoje". [3])

Widomym po wszystkie czasy znakiem miłości bliźniego, podniesionej do godności Boskiego prawa przez Chrystusa, stały się instytucje stworzone przez chrześcijaństwo, zakłady, bez których medycyna jako nauka, opierająca się na obserwacji i na doświadczeniu, nie byłaby się nigdy tak rozwinęła, jak się nam obecnie przedstawia. Zakładami tymi stały się szpitale, kliniki i przytułki dla chorych i kalek. Zakłady te nazywane w dawnych wiekach *xenodochia, hospitalia, nosocomia* nie były znane ludzkości w czasach przedchrześci-

[1]) Ewang. św. Jana 13. 34.
[2]) Ewang. św. Mat. 5. 38.
[3]) Ewang. św. Mat. 5. 43.

jańskich. Utworzone przez ludzi przejętych prawem Chrystusowym miłości bliźniego ratowały od nieuchronnej śmierci pozbawionych opieki pielgrzymów, podróżnych, ubogich, nawiedzonych przez choroby, kobiety brzemienne i rodzące itd. Tymi, którzy te szpitale i przytułki tworzyli i którzy poświęcali w nich swe życie trudowi niesienia pomocy chorym, byli zakonnicy różnych reguł przyjmujących te obowiązki w zakres swych ślubów. Zakonnikami takimi, szczególnie u nas w Polsce, byli kanonicy od Św. Ducha czyli tzw. Duchacy, zniesieni u nas dekretem ks. prymasa Michała ks. Poniatowskiego w r. 1783, kanonicy Stróże św. Grobu zwani u nas Bożogrobcami lub od swej siedziby Miechowitami, dalej Szpitalnicy św. Jana Jerozolimskiego zwani krótko Joannitami, w późniejszym zaś czasie istniejące dotąd Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia zwanych szarytkami (od słowa *charite* = miłosierdzie), Braci Miłosierdzia zwanych bonifratrami itd. Jak doniosłymi dla rozwoju medycyny jako nauki i dla zdrowia chorych stały się te zakłady, które z biegiem czasu doskonaliły się coraz bardziej, zbytecznie się rozwodzić. Powstałe z początku uprzedzenia do tych zakładów z czasem zniknęły, a dziś nikt, ubogi czy bogaty nie tylko nie waha się skorzystać z niedostępnych inaczej a kosztownych urządzeń leczniczych itp. środków, jakimi zakłady te rozporządzają, ale odnosi się do nich z zupełnym uznaniem i z wdzięcznością za odzyskanie zdrowia. Oto wspaniały owoc Chrystusowego posiewu miłości bliźniego, owoc, którego doniosłości nie zapoznaje medycyna współczesna bez względu na jakość wyznania swych przedstawicieli i do którego odnosi się z najwyższym uznaniem. Niejako dla zaznaczenia swego pochodzenia z chrześcijańskiego miłosierdzia zakłady te noszą najczęściej stosowne nazwy, jak np. szpitala Dzieciątka Jezus, Bożego Miłosierdzia, Św. Ducha, św. Łazarza itd.

Pierwsi na prawie miłości bliźniego wychowani lekarze zaliczali się przeważnie do stanu duchownego. Z gruzów świata starożytnego unieśli zakonnicy bezcennej wartości rękopisy dawnych mężów nauki, między nimi i lekarzy, do swych zacisznych eremów i tutaj je przechowali, chroniąc od zagłady; tutaj zapoznawali się z ich treścią, którą swymi

pomysłami i doświadczeniem pogłębiali, stąd także nieśli zgłaszającym się o pomoc chorym ocalenie i w ten sposób rozszerzali sławę miłosierdzia Chrystusowego. Jak się ci skromni wykonawcy woli Chrystusowej zasłużyli tak pod względem charytatywnym jak i naukowym, uczą dzieje medycyny. Takiego zakonnika odtwarza Szekspir w swej tragedii *Romeo i Julia* w postaci O. Wawrzyńca, który o świcie zbiera „w koszyk z sitowia zioła tak zbawcze jak zgubne dla zdrowia" i wie, że „moc to pełna cudów, co się mieści w sokach ziół, krzewów, w martwej kruszców treści". Podobnymi sługami woli Chrystusowej a zarazem pomnożycielami doświadczenia naukowego byli u nas między wielu innymi w w. XIII dominikanin z Montpellier zwany Mikołajem z Polski, lekarz Leszka Czarnego, w w. XV Stanko Jan wybitny lekarz i przyrodnik, biegły szczególnie w stosowaniu leków prostych tzw. simpliciów, Maciej Miechowita zmarły w r. 1523, najwybitniejszy profesor Akademii krakowskiej z okresu niepodległości, w w. XVI Syreniusz Szymon autor *Zielnika*, zasłużony botanik. W wieku XIX zdobyli wielki rozgłos augustianin z Berna morawskiego O. Mendel (1822—1884), który odkrył prawa dziedziczności, znane w nauce pod nazwą „prawa Mendla" i ks. Sebastian Kneipp (1821—1897), który udoskonalił wodolecznictwo zapoczątkowane przez Priessnitza w Gräfenbergu. W Krakowie cieszył się opinią „najlepszego i najszczęśliwszego praktyka" [1]) lekarza dr medycyny i filozofii ks. Jacek Augustyn Łopacki, prałat i archiprezbiter kościoła N. P. Maryi w połowie w. XVIII a biskupi krakowscy Zadzik, Trzebicki, Lipski i inni złożyli w swych protokółach z wizytacji szpitali krakowskich dowody zdumiewających nieraz na owe czasy wiadomości z zakresu zakaźności chorób np. gruźlicy płuc. Uderzającą jest też rzeczą, jak często wielcy lekarze rozpoczynali swe studia od studium teologii. Do tych lekarzy należeli F. Rabelais (1483—1553) znany głównie jako satyryk, Girolamo Cardanus (1501—1596) autor pierwszej pracy o durze plamistym, który nazwał od plam na skórze podobnych do plamek po ukłuciu pchły *febris pulicularis,*

[1]) *Przyjaciel ludu.* 1840, str. 303.

H. Boerhaave (1668—1738) twórca medycyny klinicznej, Filip Pinel (1755—1826) twórca nowoczesnej psychiatrii, Jan F. Dieffenbach (1792—1847) mistrz techniki chirurgicznej, który pierwszy stosował narkozę eterową, Jan Müller (1801—1858) twórca nowoczesnej fizjologii i biologii, Dubois-Raymond (1818—1896) znakomity fizjolog berliński i Ludwik Teichmann (1823—1895) wielki anatom krakowski.

Dobry lekarz lecząc chorobę ciała, nie śmie zapominać o krzepieniu duszy chorego, która jako sprzęgnięta za życia z ciałem, musi z nim współcierpieć. Od zdolności oddziaływania lekarza na stan psychiczny chorego zależy stosunek, jaki się nawiązuje między nim a chorym. Stosunek ten polega na zaufaniu chorego z jednej strony do wiedzy lekarskiej w ogóle, a z drugiej strony do osoby samego lekarza. Zaufanie jest niezmiernie ważne, pouczyło bowiem doświadczenie, że np. jedno i to samo lekarstwo podane przez lekarza cieszącego się zaufaniem chorego działa zbawiennie, podane zaś przez lekarza nie posiadającego tego zaufania okazuje się zupełnie bezskutecznym lekiem. Uznając wagę zaufania chorego do lekarza, Majmonides, głośny lekarz i matematyk z w. XII, zamieścił następującej treści prośbę w swej modlitwie porannej, zbliżonej duchowo do roty przysięgi Hipokratesa: „udziel (Boże) chorym zaufania do mnie i do mojej sztuki, aby słuchali moich poleceń i rad". Zaufanie opiera się na uczuciu i rodzi się z uczucia w sposób nieświadomy, dlatego też uchyla się spod analizy rozumowej. Axel Munthe, lekarz autor głośnej „Książki z San Michele" zauważa trafnie, że „zdobywania sobie zaufania chorych nie można się nauczyć z żadnej książki". Nazywa on je „czarodziejskim klejnotem, danym jednemu od urodzenia, drugiemu zaś poskąpionym", to też jego zdaniem „lekarz, który ten dar posiada, potrafi niemal przywracać zmarłych do życia". Hipokrates dowodził, że lekarzem, który chce pomyślnie spełniać swe zadanie, może być tylko ten, kto jest psychologiem a przede wszystkim dobrym (uczuciowym) człowiekiem. Liek, głośny chirurg w Gdańsku, żąda od lekarza, aby łączył wiedzę z dobrocią, energię z wyrozumiałą cierpliwością. Winien on być znawcą ludzi, wychowawcą i pocieszycielem chorych i dusz złamanych.

Biegański lekarz i filozof powiada, że „na chore ciało stosujemy lekarstwa i inne zabiegi, na cierpiącą wskutek choroby ciała duszę winniśmy stosować ciepłe słowa pociechy i serdecznego współczucia" i dodaje, że „wyniki leczenia polegają w znacznym stopniu na zaufaniu".

Zaufanie spotęgowane tworzy to, co zwiemy w szerszym znaczeniu wiarą, a z wiary, jak wiemy, rodzi się cud, który wedle Goethego „jest wiary najmilszym dziecięciem". Wiara w lekarza, w środki przezeń stosowane, w miejsce dokonania leczenia, doprowadza do wyleczenia z choroby, które Zweig [1]) nazywa „wyleczeniem przez ducha". Przypadki takiego wyleczenia przez ducha znane są w Niemczech i w Ameryce północnej jako osiągane przez modły (tzw. u Niemców *Gesundbeten*), również znane są takie uzdrowienia w miejscowościach głośnych z cudownych uleczeń, np. z Lourdes. Cudownymi były przede wszystkim uzdrowienia, o których głoszą Ewangelie święte. Uzdrowienia te czynił Chrystus zawsze zależnymi od wiary w uzdrowienie, objawionej przez chorego lub przez jego najbliższe otoczenie. I tak „w jednym mieście człowiek dotknięty trądem ujrzawszy Jezusa i padłszy przed nim na kolana, prosił go: Panie, jeźli zechcesz, możesz mnie oczyścić. A Jezus dotknął go i rzekł: chcę, bądź oczyszczony. I zaraz trąd go opuścił". [2]) Synowi Tymeusa, ociemniałemu Bartymeuszowi w Jerychu na jego prośbę, by mógł przejrzeć, Jezus przywraca wzrok, mówiąc: „idź, wiara twoja cię uzdrowiła". [3]) Pewnej kobiecie, cierpiącej od lat 12 na krwotok nieuleczalny, wierzącej głośno, że odzyska zdrowie, jeźli się dotknie szaty Chrystusa i ozdrowionej po tym dotknięciu, oświadcza Jezus: „Córko, wiara twoja uzdrowiła cię, idź w pokoju a bądź zdrowa od swej choroby". [4]) Kiedy w Kafarnaum wniesiono przez dach człowieka „ruszonego powietrzem", tj. porażonego, spoczywającego na łożu, przed oblicze Jezusa z pełną wiarą, że Jezus go wyleczy, rzekł doń Chrystus: „mówię tobie wstań, weź łóżko swe a idź

[1]) Por. G. Pick: *Medizin, Kranke, Aerzte*. Aussig 1936.
[2]) Ewang. św. Łuk. 5. 12—14.
[3]) Ewang. św. Mar. 10. 46—52.
[4]) Ewang. św. Mar. 5. 25—35.

do domu swego". Po czym ozdrowiony wstał i wyniósł łóżko swoje.[1]) Wierzącym w pomoc Swą, Jezus przywraca głuchoniememu słuch i mowę,[2]) świekrze Szymonowej usuwa doraźnie gorączkę,[3]) człowiekowi z „ręką uschniętą", tj. porażoną i bezwładną, przywraca pełną władzę,[4]) Jairowi, któremu donoszą, aby nie trudził Mistrza, gdyż córka jego już zmarła, powiedział Jezus: „wierz tylko a (córka twoja) będzie zdrowa". I Jezus udawszy się do domu śmierci, przywraca córkę Jaira[5]) do życia słowami: *„Thalitha kumi*, co znaczy: dzieweczko wstań", jednego z dziesięciu uleczonych trędowatych, który przyszedł złożyć dziękczynienie za odzyskanie zdrowia, odprawił Jezus słowami: „idź, wiara twoja cię uzdrowiła".[6]) I wiele jeszcze innych przykładów możemy znaleźć w tej mierze w Ewangeliach świętych.

Ewangelie św. wymieniają różne choroby, które Chrystus usuwał, nie wspominają jednak nigdzie o chorobach umysłowych a choćby tylko o padaczce opisanej tak klasycznie na przeszło cztery wieki przed Chrystusem przez Hipokratesa. Nasuwa się tedy pytanie, czy ludność Palestyny w czasach Chrystusowych znała choroby umysłowe. Na pytanie to daje nam odpowiedź historia medycyny. Oto poucza ona, że Hipokrates znał choroby umysłowe i co więcej, że uważał je za choroby mózgu, albowiem jego zdaniem „mózg jest organem duszy. — Wszystkie choroby duszy są gwałtownym obłędem, w którym fałszywe wyobrażenia i wybujałości fantazji znoszą jasną świadomość". Na innym miejscu powiada Hipokrates, opisując padaczkę: „tak zwana święta choroba nie jest niczym więcej boska i święta i nie ma też innej przyczyny niż wszelkie inne choroby. Gdyby atoli była boską przez swą niezwykłą groźność objawów, w takim razie istniałaby nie jedna tylko choroba boska", zresztą wedle Hipokratesa, „wszystkie choroby są pochodzenia boskiego... jak w ogóle wszystkie

[1]) Ewang. św. Mar. 2. 3—12.
[2]) Ewang. św. Mar. 7. 31—37.
[3]) Ewang. św. Łuk. 4. 38—40.
[4]) Ewang. św. Mar. 3. 1—6.
[5]) Ewang. św. Mar. 5. 35—43.
[6]) Ewang. św. Łuk. 17. 11—19.

rzeczy są na równi boskie". Mity starożytnej Hellady o królu Lykaonie, Edypie, Ajasie Telamończyku, Bellerofonie, córkach króla Pretusa itd. oraz historyczne dane, np. o królu Saulu i Dawidzie lub o Nabuchodonozorze[1]) dowodzą, że choroby umysłowe znała ludzkość od dawna, tylko tłumaczyła je sobie różnie. Od początku ery chrześcijańskiej aż do końca w. XVIII uważano umysłowo chorych przeważnie za nawiedzonych przez złego ducha, tym samym za groźniejszych dla społeczeństwa od największych zbrodniarzy. To też umieszczano ich zwykle razem z zbrodniarzami w ponurych kaźniach i przykuwano ich łańcuchami do oślizgłych od wilgoci ścian. Z więzień tych uwolnił ich dopiero w r. 1792 francuski przyrodnik, filozof i lekarz-psychiatra w jednej osobie Filip Pinel. Ku chlubie naszej trzeba podnieść, iż w Krakowie powstał pierwszy przytułek dla umysłowo chorych *(Praepositura hospitalis furiosorum SS. Fabiani et Sebastiani Martyrum)* za Nową Bramą na mocy dekretu erekcyjnego wydanego przez biskupa Tylickiego w r. 1534; a gdy budynek przytułku jako drewniany z czasem zniszczał, utworzył biskup Trzebicki w r. 1688 nowy zakład w kamienicy zwanej Serwakowską przy ul. Szpitalnej, aby liczni umysłowo chorzy, wałęsający się po ulicach „jak dzikie zwierzęta" mieli gdzie znaleźć schronienie. Haur[2]) pisze, że kamienica ta „wystawiona *a fundamentis* ze wszelkim przestrzeństwem, porządkiem, warunkiem i wygodą dla pacarellów, *alias* dla szalonych ludzi", sięgała bokiem swym w ulicę Świńską zwaną obecnie ul. Św. Krzyża. Nasz zasłużony członek Zakonu Braci Miłosierdzia w wieku XVIII Ludwik Perzyna występuje ostro w swym popularnym dziełku przeciw wierze w opętanie przez złego ducha, zaznaczając słusznie, że było by niegodnym Boga posługiwać się czartem dla ukarania ludzi. W Niemczech jeszcze w pierwszej połowie w. XIX „spirytualistyczna" szkoła

[1]) „Tejże godziny wypełniło się słowo nad Nabuchodonozorem i od ludzi wyrzucon jest i trawę jadł jako wół i rosą niebieską ciało jego jest zmoczone, aż włosy jego na kształt orlich piór urosły a paznokcie jak u ptaków. A po skończeniu dni ja Nabuchodonozor podniosłem w niebo oczy i rozum był mi przywrócon". Proroctwo Daniela. 4. 30—32.

[2]) *Skarbiec ekonomii.* 1693, str. 159.

psychiatrów z Idelerem i Heinrothem na czele uważała chorobę umysłową za wyłączne następstwo grzechu i polecała pokutę jako jedyne na nią lekarstwo. Nie może zatem ulegać wątpliwości, że za czasów Chrystusowych wydarzały się choroby umysłowe, zwłaszcza zaś padaczka, które były uważane za opętanie przez czarta. Opis choroby zamieszczony w Ewangelii św. Marka[1]) odpowiada najwierniej atakowi epileptycznemu: oto do Chrystusa zbliżył się pewien ojciec z prośbą pełną wiary o wygnanie czarta z jego syna i podał, że „gdziekolwiek go (syna) duch napadnie, rzuca go o ziemię i pieni się i zgrzyta zębami a schnie... a przydarza mu się to od dzieciństwa". Ewangelie św. jako pochodzące od osób współczesnych lub prawie współczesnych Chrystusowi musiały z natury rzeczy odzwierciedlać ówczesne zapatrywania, zatem mogły identyfikować choroby umysłowe z opętaniem przez czarta. Obecne zaś przemianowanie ówczesnych opętań przez choroby umysłowe nie umniejsza w niczym cudów i Boskości Chrystusa, albowiem uleczenie choroby umysłowej tak, jak to uczynił był Chrystus, jest co najmniej równym jeżeli nie większym cudem od wygnania czarta. Zresztą mogły się także zdarzyć autentyczne uzdrowienia przez Chrystusa opętanych. Nie mamy zamiaru temu zaprzeczać, albowiem wypadki te trudne są do określenia i wyróżnienia.

Przy wydalaniu czarta domagał się Chrystus od opętanych albo od osób, które ich do Niego doprowadzały, objawienia wiary w pomyślny skutek swego działania. Tak np. ojcu wspomnianego już syna dotkniętego opętaniem rzekł Chrystus, że mu pomoże, jeżeli uwierzy, dodając słowa, że „wierzącemu wszystko jest możliwe". Gdy zaś ojciec ten zawołał natychmiast z głęboką wiarą: „wierzę", Chrystus wydalił złego ducha z opętanego. „I wyszedł z niego (duch), bardzo go stargawszy, iż stał się jakby umarły". Zatem Chrystus domagał się od tych, których miał uzdrowić Boską swą mocą, aby w uzdrowienie, będące dowodem Jego Boskości, naprzód już uwierzyli. Zarazem Chrystus uzdrawiał chorych doraźnie za pomocą wyrzeczenia

[1]) Ewang. św. Marka 9. 17—21.

słów odpowiednich, dotknięcia lub stosownego zabiegu. Zabiegi te jednak nie stały nigdy w żadnej proporcji do osiągniętego skutku. Natomiast lekarze, jako tylko ludzie, zdani na ludzkie tylko środki, umieją usuwać choroby jedynie zwolna, to też ich leczenie i zabiegi wymagać muszą więcej „wiary", a raczej zaufania do nich, do ich rozpoznania, leków i zabiegów. Tymczasem dziś wyklucza się lub co najmniej ogranicza się w znacznej mierze bezcenny wpływ zaufania chorych do lekarzy przez to, że się etatyzuje stan lekarski i że się pozbawia chorych wolnego wyboru lekarza wedle swego uznania i zaufania. Ze zawodu, który się oparł o najszczytniejsze prawo Chrystusowe, prawo miłości bliźniego, robi się martwy urząd, nic dziwnego wszak dla dzisiejszej ludzkości, wedle trafnego sądu M. Rodziewiczówny, [1]) prawo miłości bliźniego „pozostało hasłem ust, nie serca i czynu".

[1]) *Ragnarök.*

Dr L. Wachholz.
Prof. U. J.

Działalność franciszkanów polskich w wiekach XVI—XVIII.

Polska prowincja franciszkańskiego zakonu, a z nią całe katolickie społeczeństwo, obchodzi w br. podniosły jubileusz. Oto mija już 700 lat od przybycia na ziemie polskie pierwszych synów św. Franciszka.

Warto przy tej okazji rzucić okiem, w syntetycznym skrócie, na dziejowy wycinek pracy tego zakonu zasłużonego w swych pracach dla Kościoła w Polsce.

W życiu religijnym i kulturalnym polskim najświetniejszy okres franciszkański stanowi średniowiecze, zwłaszcza wieki XIII i XIV. W tych stuleciach „bracia mniejsi" górują, dzieląc zresztą to nadrzędne stanowisko z dominikanami. Oni dostarczają najliczniejszego zastępu świętych, pod ich znakiem rozwija się życie duchowe społeczeństwa, oni podejmują wielką akcję misyjną na Wschodzie, pracując nad nawróceniem Rusi na katolicyzm a Litwy na chrześcijaństwo. To wszystko, co się dzieje w Polsce, wiernie zresztą odzwierciedla stan rzeczy panujący w ośrodkach cywilizacji Zachodu: we Włoszech i Francji; wystarczy przypomnieć imiona św. Tomasza z Akwinu i Jana Duns Szkota.

W późniejszym średniowieczu od połowy w. XV punkt ciężkości przesuwa się u nas na bernardynów. Wiek XVI stoi w ogniu rewolucji religijnej i obrony starej wiary. Wreszcie Sobór Trydencki daje początek restauracji katolickiej przezywanej tendencyjnie przez niemieckich prote-

stantów kontrreformacją.[1]) W niej dominuje nowy zakon jezuitów i to w Polsce w wyższym jeszcze stopniu niż na Zachodzie. Podnieść należy z całym naciskiem, że ta jezuicka hegemonia duchowa dotyczy nie tylko życia publicznego i szkolnictwa, nie tylko nauki i kaznodziejstwa, ale obejmuje tak samo życie duchowne i ascetyczne w ścisłym tego słowa znaczeniu. Czynnikiem najważniejszym stały się w tej dziedzinie *Ćwiczenia Duchowne* św. Ignacego i warto zajrzeć do pamiętnika Wielewickiego, aby się przekonać, z jakim zachwytem klaryski sądeckie na początku w. XVII przyjęły takie pierwsze rekolekcje dawane przez jezuitów. Więc i z nielicznych ówczesnych świętych polskich na ołtarze wyniesiono niemal tylko jezuitów: Stanisława Kostkę i Andrzeja Bobolę. Z takiego stanu rzeczy franciszkanie nasi zdawali sobie doskonale sprawę. Kiedy generał zakonu Montanari, przebywając w Krakowie w r. 1622, ułożył podręcznik dla ćwiczeń duchownych, z rękopisu włoskiego na łacinę tłumaczony przez Bratkowica, nie omieszkał zalecić braciom, aby korzystali z rekolekcyj w domach jezuickich. Nieco później zarząd prowincji ruskiej, gdy zabrakło profesorów teologii, postanowił uprosić ich od Towarzystwa Jezusowego, lub ewentualnie od bernardynów.

[1]) Termin ten, używany przez naszych historyków zależnych od niemieckiej mentalności, uważamy za rzeczowo błędny. I to nie tylko dlatego, że punkt ciężkości rozwoju religijnego przesuwa na protestantyzm, będący jakoby naprawą religii i na katolicką przeciw niemu reakcję. Taka formuła, z tym oczywiście, że protestantyzm nazywa się tylko reformacją, ale w rzeczy samej jest rewolucją, da się zastosować w odniesieniu do Niemiec. Atoli Niemcy stanowią tylko część i to bynajmniej nie górującą w życiu religijnym. Istotną *reformatio in capite et in membris* przeprowadził Sobór Trydencki a protestantyzm dał nie co innego, jak bezpośredni tylko impuls do tego wielkiego dzieła. Niewątpliwie i bez niego naprawa trydencka, dogmatycznie taka sama, historycznie wyglądałaby inaczej. Naprawa katolicka nie poprzestała bynajmniej na odparciu protestantyzmu, ale sięgała nierównie dalej i wydobyła niezależnie od Trydentu religijne wartości życia katolickiego zgoła nieoczekiwane, choćby dzieło ascetyczne św. Ignacego albo mistyczne św. Teresy. Punkt ciężkości tego odrodzenia katolickiego leży w krajach romańskich. Otóż wyrażenie „kontrreforma" tego wszystkiego zgoła nie oddaje, a przeciwnie wykrzywia prawdziwy rozwój dziejowy. Używamy więc zamiast tamtego terminu słowa „restauracja", podług analogii historii politycznej, nazywającej restauracją okres burboński po rewolucji francuskiej.

Ta przewaga jezuitów na terenie życia religijnego w ówczesnym świecie katolickim, a w wyższym jeszcze stopniu w Polsce nie oznacza oczywiście ani unicestwienia, ani nawet upadku innych zakonów. Przeciwnie, wszystkie one, chociaż utraciły górujące ongiś znaczenie, trwają jednak, rozwijają się i dokonywują dzieł niepoślednich. W wszystkie te zakony restauracja potrydencka wlewa strumień ożywczy odnowienia duchowego. Wiek XVII oznacza ponowny okres rozkwitu, czy to dla dominikanów i bernardynów, czy dla franciszkanów, karmelitów, reformatów, czy dla innych mniejszej wagi zgromadzeń zakonnych.

W dziejach Polski i Kościoła polskiego, w dziejach zakonów polskich widzimy te same objawy rozwoju i przeobrażeń, które można zauważyć w Kościele powszechnym oraz w historii powszechnej. Więc i u naszych franciszkanów konwentualnych zapisać należy przesilenie w XVI stuleciu, spowodowane przewrotem religijnym innowierstwa, w XVII rozkwit potrydencki, w XVIII stopniowe obniżenie doby saskiej, które w kraju doprowadziło do rozbiorów, w dziejach powszechnych do katastrofy wielkiej Rewolucji, a potem wolno wyróżnić znowu pewne podniesienie za doby Stanisławowskiej.

W tym ogólnym schemacie nie zbywa jednak na cechach właściwych tylko samemu zakonowi minoryckiemu w Polsce, nadających mu charakter indywidualny, odróżniający od innych zgromadzeń. W w. XVI, jako moment dodatni niezwykłej doniosłości podnieść wypada działalność Marka a Turre (1517—45). Znany przede wszystkim, jako sekretarz Bony, z nią razem popadł w złośliwe a niesłuszne osławienie. Obecnie kiedy szczegółowe badania doprowadziły do rehabilitacji królowej i każą nam upatrywać w niej jedną z najdodatniejszych postaci na tronie polskim — tak samo i jej pomocnik występuje w jasnym świetle, mając niepośledni udział w jej poczynaniach. Skąd inąd poznajemy go, jako zakonnika gorliwego i sumiennego, nawet nad zwykłą miarę wymagań reguły zakonnej. Ale nas obchodzi najbardziej, jako światły i energiczny rządzca prowincji franciszkańskiej w Polsce. Nie tylko zreorganizował ją, podnosząc z upadku, ale też umiał natchnąć taką siłą wewnętrzną

że nawet odstępstwo i przejście w szeregi nowowiercze następcy jego na prowincjalstwie: Franciszka Lismanina (1538—54), pomimo zadanych jej ciosów, nie zdołało jej zniszczyć. Następcy prowincjała apostaty, przede wszystkim Stanisław z Opoczyna († 1570) potrafili zachować w wierności dla Kościoła ogół zakonników i wszystkie konwenty, torując nawet drogę do przyszłego odrodzenia.

Reforma prowincji wzięła początek w akcji nuncjuszów; a prowadzili ją najpierw zakonnicy sprowadzeni z Włoch, przede wszystkim zaś profesor uniwersytetu krakowskiego Kamil Tachetti. Warto tu nadmienić o żywym udziale Batorego i Zamoyskiego w tym dziele odrodzenia i rozwoju. Od tego też okresu mnożą się konwenty, powstają nawet nowe prowincje, 1625 ruska i 1687 litewska. Franciszkanie podejmują na nowo misję wschodnią, zwłaszcza także poza granicami kraju na Wołoszy, dostarczając zastępu biskupów bakowskich.[1]) Ale także na północy i zachodzie nasi minoryci rozwijają ożywioną działalność, bądź nawracając protestantów, bądź też utwierdzając katolików w wierze i pobudzając ich do praktyk pobożności. W dawnej kustodii pruskiej odzyskali pod koniec w. XVI Chełmno, w połowie w. XVII założyli nadto Chełmżę. W kustodii ongiś opolskiej, w pierwszych latach w. XVII, otrzymali Opole i Bytom a zachowali te konwenty śląskie przez cały czas zamieszek wojny trzydziestoletniej aż do pierwszej ćwierci następnego wieku. Klasztory te stanowiły równocześnie redutę polskości wobec naciskającej germanizacji a zabór ich przez zakonników Niemców z prowincji czeskiej oznaczał zarazem klęskę narodową polską.

W życiu publicznym tych wieków minoryci nasi udziału nie biorą, można by tylko wymienić kapelanów obozowych, z których najgłośniej zasłynął ojciec duchowny Lisowczyków Wojciech Dębołęcki (1585—1650?). Obejmują za to i obsłu-

[1]) Franciszkanami byli: Goski Adam 1618—27, Dłuski Jakub Franciszek 1681—3, Biegański Stanisław Franciszek 1698—1709, Skrzetuski Krzysztof Adrian 1715—6, Parysewicz Jozefat 1717—32, Karwosiecki Dominik Piotr 1782—89. Chronologia biskupów bakowskich i dzieje tegoż biskupstwa przedstawiane są dotychczas z wielu błędami; spodziewamy się zająć szczegółowo w przyszłości tym tematem.

gują szereg parafij, głównie na Litwie i Rusi. Na tych ziemiach każdy konwent franciszkański, w ogóle każdy dom zakonny stanowi równocześnie placówkę państwowości polskiej i cywilizacji łacińskiej. Kościoły zaś budowane w XVII w. należą nieraz do przedniejszych dzieł architektonicznych jak np. Holszany. Ścisły ten związek franciszkanów, jak zresztą całego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, z krajem ojczystym i losami Rzplitej sprawiał znowu, że i oni ucierpieli od wrogów i najeźdźców. Pochody Szwedów i Tatarów, Kozaków, Węgrów znaczyły się pożogą klasztorów i mordowaniem zakonników. Sławne męczeństwo bł. Andrzeja Boboli znajduje odpowiedniki w owych kilkudziesięciu franciszkanach, z samej tylko prowincji polskiej, których śmierć opisał Remigiusz Cizemski w swoim *Laurus Triumphalis* (Kraków 1660). Ciężkie klęski poniosła prowincja ruska, bardziej i dłużej wystawiona na najazd wrogów, niestety nie zapisano tych szczegółów i dzisiaj są one nam już niedostępne. Niedola ta trwała przez lat kilkadziesiąt aż do pacyfikacji po ustąpieniu Turków z Podola a i potem ziemie ruskie, a z nimi i klasztory, były wystawione na napady hajdamaków.

Minoryci starają się podnieść i pogłębić wykształcenie swych kleryków, udzielane im w studiach zakonnych. Prócz tego często wysyłają najzdolniejszych braci do Włoch. W całym kraju wykonywują duszpasterstwo nadzwyczajne, każąc, spowiadając, a także egzorcyzmując obyczajem wieku. Intensywność w pracy ascetycznej przejawia się u nich najsilniej w bractwach, osobliwie Męki Pańskiej i Paska św. Franciszka; dla członków tych bractw piszą i przekładają specjalne podręczniki. Każdy konwent staje się też ośrodkiem ówczesnej elity religijnej.

Wielki też nacisk kładą minoryci na rozwój muzyki kościelnej, może nawet także i świeckiej. Kapelmistrzem Władysława IV jest franciszkanin Wincenty Scapita. Niestety dzieje dawnej muzyki polskiej jeszcze ciągle są dość słabo zbadane; z franciszkanów zaledwie twórczość Dębołęckiego doczekała się opracowania. Poza tym, Jędrzej Chyliński ogłaszał drukiem utwory muzyczne; innych muzyków franciszkańskich znamy tylko z imienia. Wiadomo wszakże, że cały zakon braci konwentualnych uprawiał z zamiłowaniem

muzykę i wydał w niej dzieła niepoślednie. Przeświadczeni jesteśmy, że szczegółowe wniknięcie w dawny dorobek muzyki polskiej da znamienite wyniki także i co do twórczości minorytów.

W piśmiennictwie zalecają się raczej jakością niż ilością. W ciągu w. XVII wydali doskonałe dzieła teologii polemicznej Adrian Bartkowic († 1639) i Marek Korona († 1645/50), uderzające między innymi rzeczową obiektywnością i taktownym traktowaniem przeciwników, nawet Żydów. Walerian Gutowski († 1693) zasłynął jako kaznodzieja. Jeszcze szerszą sławę zdobył w kraju poprzednik mesjanizmu Dębołęcki, za granicą Kazimierz Biernacki († 1725), najznamienitszy w swoim czasie dziejopis w całym zakonie franciszkanów konwentualnych. Z radością pisze doń uczony Franchini, że na koniec *in ultima Sarmatia* znalazł męża, jakiego szukał daremnie po wszystkich prowincjach, napotykając jednak tylko na człowieczków.

Samemu Dębołęckiemu oddał ongiś sprawiedliwość Wiszniewski, ujemnie a jednostronnie opisał go J. Bartoszewicz. W rzeczy samej niezwykły to człowiek i pisarz, muzyk, statysta, pamiętnikarz i historiozof, znamienity przy tym przedstawiciel baroku polskiego. Już dla współczesnych stanowił postać stojącą w ogniu spornych sądów w zakonie i poza nim. Pisma jego napadał złośliwie nie tylko arianin Wiszowaty; sam zaś autor *Wywodu jedynowłasnego państwa* odgryzał się zoilom w dziwacznych wierszach.

Wiek XVIII należy do najposępniejszych, czy to w dziejach kraju czy Kościoła powszechnego, a to obniżenie ogólne nie mogło też nie oddziaływać ujemnie i na zakon franciszkański. Uwydatnia się ten stan pod rozmaitymi względami, czy to jako wyjałowienie kaznodziejstwa, czy w ogóle obniżenie poziomu intelektualnego i utrata łączności z rozwojem nauki dokonywującym się na rozmaitych polach na Zachodzie w tym właśnie stuleciu. Jest rzeczą znamienną, że rozporządzenia kapituł i prowincjałów zabraniają nauczać filozofii *recentiorum*.

Już w w. XVII religijność polska przybiera cechy okazałości zewnętrznej, której z biegiem czasu coraz mniej od-

powiada wewnętrzne wyrobienie ducha. W w. XVIII religijność ta staje się coraz bardziej fasadą, a pod nią ukrywa się zgnilizna czasów Augusta Mocnego, którego życie według jego własnych słów było nieustannym grzechem. Na zewnątrz kościoły i klasztory franciszkańskie rozkwitają jeszcze coraz bardziej. Na początek w. XVIII przypada działalność artystyczna braci Swachów, Antoniego i Adama, malarska i snycerska, której pewnie najwspanialszy pomnik stanowi wnętrze kościoła franciszkańskiego w Poznaniu. W prowincji litewskiej buduje się takie kościoły, jak Pińsk, Sienno, Giełwany, przyozdabia się i ulega przebudowie kościół w Wilnie; występuje tutaj architekt Kazimierz Kamieński, albo nieznany z imienia malarz fresków minoryckich w Pińsku.

W cieniu tych murów klasztornych, w wnętrzu tych wspaniałych kościołów, zakonnicy rozwijają ciągle jeszcze wydatną działalność duszpasterską. Co więcej, kwitną cnoty domowe, spotyka się nawet surową ascezę. Zasłynął tutaj Rafał Chyliński († 1741), którego tylko dlatego nie oglądamy na ołtarzach, że rozbiory kraju i rewolucja nie pozwoliły doprowadzić do końca procesu beatyfikacyjnego. Atoli wpływu duchowego Chyliński nie wywarł na współczesnych, nawet w samym zakonie nie zaznaczył się wybitniejszym oddziaływaniem na swoich współbraci. Znowu dalecy tu jesteśmy od świata zachodniego, który w tym samym czasie wydał takiego św. Alfonsa Liguorego, męża nie tylko cnót heroicznych, ale także uczonego doktora Kościoła oraz twórcę żywotnego ciągle i doniosłego w życiu religijnym zakonu redemptorystów. Atoli oczywiście Rafał Chyliński nie mógł być zjawiskiem zupełnie oderwanym od podglebia. Jego świątobliwość świadczy dobrze o szkole duchownej, z której wyrósł i o środowisku, w którym się obracał.

Najwybitniejszą postacią tej doby był pochodzący spod Opola Ludwik Miske (1691—1768) pisarz i kaznodzieja, restaurator konwentu poznańskiego, prowincjał i pierwszy asystent polski w Rzymie. [1])

---

[1]) Przedstawiliśmy osobę jego szczegółowo w *Kronice m. Poznania* 1937. 205—21.

Franciszkanie tego wieku nie biorą, podobnie jak i w wieku poprzednim, czynnego udziału w życiu publicznym. Ale niedola, jakiej kraj doznał ze strony wrogów ościennych i wewnętrznych zaburzeń, ich także staje się udziałem. Ofiarą Koliszczyzny padają wymordowani w Łysiance bracia. Podczas Konfederacji Barskiej, sympatyzując z konfederatami i pomagając im według możności, cierpią prześladowanie od wojsk rosyjskich. Pruskie żołdactwo zamordowało jednego z braci.

Echa tych przejść jeszcze długo potem rozbrzmiewają wśród potomnych i znajdują uwiecznienie w poezji. Nie kto inny jak Słowacki mówi o „krwawych różach, świętego Franciszka pasach", franciszkaninem jest również rezoner *Snu srebrnego Salomei,* Pafnucy.

Oświecenie stanisławowskie znamionuje odrodzenie Polski, przede wszystkim intelektualne. Jeżeli świeckie duchowieństwo bierze w nim żywy udział, to większość zakonów, zachowuje się odpornie, niezawodnie dlatego, ponieważ wraz z nim przychodził wrogi religii encyklopedyzm i wolterianizm. Nie zbywało jednak na zgromadzeniach, umiejących przejąć dobre czynniki i impuls dodatnich właściwości epoki a uniknąć ujemnych, jak jezuici, pijarzy, misjonarze. Do nich wypadnie też zaliczyć franciszkanów konwentualnych. Kazania Kasjana Korczyńskiego († 1784) są i uczone i poważne, wprawdzie stosownie do wymagań czasu moralistyczne, ale za to oczyszczone całkowicie z napuszystości, pseudoerudycji i mimowolnej śmieszności doby saskiej. Bonawentura Bujalski († 1781) wydaje szereg rozpraw teologicznych, stojących w całej pełni na poziomie ówczesnej nauki dogmatycznej i biblistycznej. Zachowane tylko w rękopisie pisma historyczne Bonawentury Makowskiego (1701 † 1795) odznaczają się wnikliwym krytycyzmem, jaki w świecie naukowym zapoczątkowali Maurini a do Polski przeszczepił J. J. Załuski — pilnie też ten franciszkanin korzystał z jego biblioteki. A znowu stosownie do ducha epoki cechuje go swoisty racjonalizm w metodzie, że niekiedy rozumowanie bierze górę nad dokumentacją.

Już ten pobieżny przegląd wskazuje, że życie u franciszkanów polskich toczyło się pokojowo bez zamieszek

i zaburzeń. W pierwszej połowie w. XVII zachodzą pewne niesnaski w związku z prądami reformistycznymi, nurtującymi w zakonach św. Franciszka, jednak daleko im do walk wrących równocześnie u obserwantów pomiędzy bernardynami a reformatami. Pod koniec stulecia wydzielenie konwentów litewskich, w odrębną od ruskiej prowincję, wywołało pewne tarcia.

W stosunku do głównego zarządu zakonu prowincja, względnie prowincje polskie, zajmowały ciągle stanowiska podrzędne. Nie jest to zresztą objaw wyłącznie minorycki, ale da się zauważyć w całym Kościele polskim. Atoli u franciszkanów konwentualnych uderza o tyle wydatnio, że po katastrofie z r. 1517 prowincja polska stała się jedną z większych, może największą, a później grupa trzech polskich prowincyj z blisko stu konwentami stanowiła jedną z ważniejszych części składowych zakonu. Mimo to nigdy w Polsce nie odbyła się kapituła generalna, nigdy generał ani jego asystenci nie byli wybrani spośród polskich zakonników. Do Polski w początkach w. XVII przyjeżdżali kilkakrotnie generałowie zakonu, jeden pod koniec stulecia, ale ojcowie polscy tylko wyjątkowo zostawali komisarzami obcych prowincyj, tym częściej za to zagraniczni wizytatorowie przyjeżdżali do Polski. Było to może potrzebne w końcu w. XVI dla reformy prowincji. W pierwszej połowie w. XVII bogata podówczas Polska pociągała Włochów w nie bardzo zresztą idealnych celach, chociaż źródła nie mówią o wyzyskiwaniu konwentów polskich w tym stopniu, jak tego dopuszczali się komisarze włoscy u bernardynów. Marek a Turre, Lismanin i jeszcze Stanisław z Opoczna podpisywali się jako komisarze także czeskiej prowincji, był to jednak zdaje się tylko honorowy tytuł; rzecz rozświetlić może dopiero zbadanie dziejów czeskich minorytów w w. XVI, dotychczas niemal nieznanych.

Kiedy od połowy w. XVIII (właściwie od r. 1731) do zarządu całego zakonu, składającego się z generała, dwóch asystentów i prokuratora, dodano jeszcze trzech asystentów narodowych, jednym z nich bywał stale Polak. Czynności jego, o ile możemy stwierdzić, polegały jednak raczej na reprezentacji domów polskich i załatwianiu ich spraw niż na udziale w zarządzie całego zakonu.

Jeżeli za czasów potęgi państwowej w XVI i XVII w. czynniki polskie nie zdołały zapewnić sobie równouprawnienia w sprawach kościelnych, to tym gorzej wyglądała ta sprawa w czasie upadku kraju za doby saskiej. Pod naciskiem cesarza Karola VI generał zakonu odebrał polskiej prowincji oba klasztory śląskie: Opole i Bytom, przyłączając je do prowincji czeskiej, opanowanej przez Niemców. Nic tu nie pomogła przeszło stuletnia wytrwała praca zakonników polskich w obronie wiary katolickiej, wykonywana z niezmiernym pożytkiem dusz; nie liczono się również zupełnie z faktem, że Niemcy wcale nie będą w stanie obsłużyć ludności polskiej Górnego Śląska.

Pokojowo na ogół układały się stosunki z duchowieństwem świeckim i biskupami, zgodnie życie z innymi zakonami. Do zatargów przychodziło jedynie z bernardynami. Przewrót, dokonany r. 1517 w zakonie braci mniejszych na rzecz obserwantów, nie mógł nie rozgoryczać braci konwentualnych. Walki toczyły się wprawdzie głównie na Zachodzie, ale siłą faktu oddziaływały na Polskę. W XVI w. chodziło o drobne stosunkowo sprawy przechodzenia zakonników z jednej do drugiej gałęzi. Atoli w w. XVII franciszkanie pomagają reformatom przeciw bernardynom a wzrósłszy w siły zaczęli zakładać swoje konwenty po miastach, gdzie z dawna mieli je tamci. Zwłaszcza o poznańską fundację przyszło do zaciętych walk trwających lat kilkadziesiąt. Przelano o to wiele atramentu, a gdyby tak Biernacki swój trud, obrócony na zwalczanie „bigotów", jak minoryci nazwali obserwantów, poświęcił był pracy ściśle historycznej, wiedzielibyśmy dziś nierównie więcej o chwalebnej przeszłości zakonu. Czas przyniósł i tutaj uspokojenie i w XVIII w. wzajemne stosunki stają się mniej więcej normalne, ile że przyczyn do zaognienia sprawy było u nas mniej, niż po innych krajach.

Jeśli na koniec zapytamy, czy i ile zachowali nasi franciszkanie z tego, co dzisiaj nazywamy duchem franciszkańskim, to odpowiedź na to wypadnie dość niejasno. Owo radosne przejęcie Bogiem i przyrodą, które tak znamiennie cechuje św. Franciszka i wiosenną gromadkę jego towarzyszy, nie leżało bynajmniej w duchu restauracji potrydenc-

kiej. Zamiast radosnej ufnej beztroski nadszedł czas raczej przezornej pokuty, *timor Dei* zamiast *gaudium Domini*. Niewątpliwie pobrzmiewają pewne echa radości franciszkańskiej, zwłaszcza w niektórych kolędach, jakkolwiek trudno dzisiaj stwierdzić, czy powstały one w minoryckim środowisku. Ale w żadnej nie występuje to tak wyraźnie jak w owej kolędzie ze *Złotej Czaszki: Chrystus Pan się narodził*... zrodzonej co prawda pod natchnieniem murów franciszkańskich w Krzemieńcu. Słowacki bowiem w tym wypadku nie tworzył, tylko przypominał. Na ogół jednakże mentalność naszych franciszkanów znamionuje coś innego. Owi biczujący się kapnicy z Arcybractwa Męki Pańskiej, (nabożeństwo tak właściwe restauracji w. XVII), znajdują najbardziej wewnętrzny oddźwięk u naszych zakonników. Dyscyplina, co tydzień z ceremoniami odprawiana, należy do ich ulubionych i charakterystycznych dewocyj. Nic też dziwnego, iż w drugiej połowie stulecia zakładają franciszkanie Kalwarię w Pacławiu, jedyną na Rusi Czerwonej, tłumnie odtąd odwiedzaną. Cześć św. Franciszka ciągle u nich jest żywotna, żywotniejsza może niż w innych gałęziach zakonu braci mniejszych. Wszelako jest to już nie ten Franciszek, który układał hymny o stworzeniach i o słońcu, ani nawet ten, którego malował Giotto lub przyrównał do Chrystusa Pana Bartłomiej Pizańczyk, ale ten, którego ciało podług legendy cudem stoi w grobowcu asyskim. Taką zaś wizję mógłby tylko rzucić na płótno surowy El Greco, przyprawiając o nagłą śmierć nadmiernie ciekawych.[1]) Nie historycznego też Franciszka opisał renesansowym heksametrem Malipiero, a nieznany poeta, wierszem wzorowanym na Kochanowskim, oddał ten utwór po polsku w r. 1594 pt.: *Wzory cnót albo przedziwny żywot anielskiego y błogosławionego św. Franciszka*. Bernardyni wydrukowali pierwsi ten poemat ale przedruku dokonał franciszkanin Hipolit Lyricius i dla swojego zakonu zagarnął. Rozwój kultu św. Franciszka ulega z czasem coraz większym odchyleniom od dawnej tradycji a od połowy w. XVII kult św. Antoniego, padewskiego cudotwórcy, przyćmiewa w znacznej mierze cześć św. Franciszka.

[1]) Wśród fresków b. klasztoru franciszkańskiego w Pińsku znajduje się też obraz wyobrażający tę legendę.

Jedną jednak cechę naszych franciszkanów należy może przypisać ciągle działającemu wpływowi świętego założyciela, ale wpływowi raczej nieuświadomionemu, jakby podziemnemu. Jest to pewnego rodzaju świeżość, wrażliwość na prądy duchowe, działające w świecie, swego rodzaju aktualność nie tylko w dodatnim ale i poważnym tego słowa znaczeniu. W w. XVI przejmują się franciszkanie humanizmem, humanistą jest Marek a Turre — co prawda w osobie Lismanina płacą za to zbyt wysoką cenę. Niebawem ogarnia ich atmosfera restauracji potrydenckiej. I tutaj znowu pilną uwagę zwracają na sprawy oraz zagadnienia aktualne. Nie piszą wielkich tysiącstronicowych dzieł teologicznych jak dominikanin Żydek albo bernardyn Poznański, tylko rozprawy polemiczne na tematy najbardziej dyskutowane, o czci świętych, o Eucharystii pod jedną postacią, o Jezusie jako Mesjaszu i Bogu przeciw arianom i Żydom, o *Filioque* przeciw schizmatykom. Cała działalność Dębołęckiego należy właściwie do zakresu publicystyki, czy to jego pamiętnik o Lisowczykach, czy plan pomnożenia biskupstw, nawet jego *Wywód*. Aktualna jest także jego praktyczna akcja jak zorganizowanie stowarzyszenia celem wykupu jeńców z niewoli muzułmańskiej. Korona znowu usiłuje spolszczyć terminologię w logice a jest to pierwsza tego rodzaju próba. Lecz i w historycznych pismach Biernackiego nie brak tej samej aktualności, przejawiającej się w polemice, której ostrze zwrócone przeciw bernardynom w obronie starożytności i pierwotności braci konwentualnych: *Propugnaculum antiquitatis*.

Jeżeli dzisiejszemu czytelnikowi wywody te mogą się wydawać stratą czasu, to w opinii współczesnej stanowiły najprzedniejszą zaletę, kto wie, czy bez tego polemicznego podglebia byłyby dzieła Biernackiego w ogóle ujrzały światło dzienne. Te same objawy przejmowania nowszych prądów stwierdzić można i w w. XVIII. I tak jako jeden z pierwszych kaznodziejów, Korczyński otrząsa się ze złych nawyków napuszystości saskiej. Uderzający krytycyzm stulecia racjonalistycznego wykazują wywody historyczne Makowskiego a nawet teologia Bujalskiego. Tak więc franciszkanie idą z prądem czasu i z uderzającą giętkością i świeżością wykazują zrozumienie dla aktualnych potrzeb ówczesnego społeczeństwa.

Staraliśmy się określić w silnym skrócie zasięg i znaczenie franciszkanów konwentualnych w Polsce w w. XVI—XVIII. Należało by jeszcze dać ocenę jakościową, ustalić znaczenie wagi gatunkowej tego zakonu w dorobku cywilizacji polskiej tych wieków. Niestety postulatu tego nie można jeszcze zrealizować w dzisiejszym stanie naszej znajomości dziejów życia religijnego tych czasów. Najpierw trzeba by opisać i ocenić prace i znaczenie innych zakonów, zwłaszcza dominikanów, oraz udział duchowieństwa świeckiego. Bez szczegółowego opracowania tych dziedzin staropolskiej kultury religijnej wszelkie syntetyczne oceny byłyby przedwczesne, jak chybionymi byłyby próby oceny oddziaływania wzajemnego rozmaitych czynników, na istotę staropolskiej cywilizacji się składających, z pominięciem tak doniosłych w swej roli spraw religijnych. Tyle wszakże, choć ogólnikowo, wolno nam powiedzieć, że w naszej kulturze dawnych wieków, zwłaszcza XVII i XVIII, franciszkanie odegrali na wielu odcinkach doniosłą rolę.

Ks. Emil Kantak.

Dzisiejsze Węgry.

Podczas gdy założenia zewnętrznej polityki węgierskiej nie ulegają żadnej dyskusji a różnice w zapatrywaniach tak najskrajniejszej prawicy, jak i lewicy w stosunku do najbardziej palącego zagadnienia, jakim jest rewizja traktatu w Trianon, polegają zaledwie na odcieniach, to w dziedzinie wewnętrznej polityki Węgier występują w jaskrawym kontraście dwie bardzo różne orientacje: jedna demokratyczno-parlamentarystyczna, druga autorytatywna, sprzyjająca dyktaturze.

Dyktatura pod Gömbösem była bliską osiągnięcia pełnego zwycięstwa. Zmarły premier, bezwzględny admirator Niemiec, nie tylko w odniesieniu do ich kultury oraz polityki wszechświatowej, uważał również za godny naśladowania ich nowy porządek społeczny, oparty na narodowym socjalizmie. Czynił zatem przygotowania celem zaprowadzenia i na Węgrzech takiego systemu, który by zastąpił dotychczasowe tysiącletnie królestwo konstytucyjne, wraz z jego faktycznie rządzącą partią (arystokracją rodową i gospodarczą, prałatami i politykami zawodowymi) przez ustrój totalny. Znakomici współpracownicy, tej miary co posłowie Marton i Antal, pomagali premierowi w jego zamiarach; z żywą sympatią popierały go również grupy skrajnej prawicy, trwające wciąż poza nawiasem rządzącej „partii jedności"; podtrzymywała go z przekonaniem chętna do czynu młodzież ze sfer inteligentnych i rolniczych. Przekształcenie miało dokonać się bez przewrotu, z samego wewnętrznego rozpędu i według niemieckiego wzoru, zatem w ramach legalności parlamentarnej. Izba poselska, wybrana pod naci-

skiem kierowanych przez premiera urzędów administracyjnych, a pokrywająca milczeniem swoją istotną bezsilność, byłaby bez oporu uchwaliła samobójcze rozwiązanie. Władza byłaby przeszła na grono ludzi w pełni sił i rozkwitu młodości, rekrutujących się spośród zubożałej szlachty, urzędników i zawodów wolnych. Zamierzali oni oprzeć się na rolnikach oraz drobnym mieszczaństwie, prócz tego mieli nadzieję pozyskania sobie rzesz robotniczych. Odsunięcie natomiast groziło episkopatowi, magnaterii i silnie zażydzonym sferom wielkomieszczańskim.

Na tym tle nie trudno zrozumieć fakt, że poczynania Gömbösa natrafiły na gwałtowny opór przede wszystkim ze strony czynników przez niego zagrożonych. Niechęć ich była tym większą, że zmarły premier był zdecydowanym wrogiem dynastii habsburskiej oraz idei restauracji; dotychczasowi zaś przywódcy publicznego życia na Węgrzech z uczuciowych i rozumowych pobudek wyznawali legitymizm. Spodziewali się bowiem, że wraz z przywróceniem króla odżyje w całej rozciągłości kierunek „avitystyczny". Jak wszystko na Węgrzech tak i walka Gömbösa z przeciwnikami tkwiła korzeniami w tradycji. Sam premier, kalwin i szlachcic wcielał tradycję „kurucz'ów", protestanckich przeciwników Habsburgów. Kurucz'e zamieszkiwali dawniej środkową równinę węgierską, Węgry górne i Siedmiogród, a woleli trzymać z Turkami niżeli z cesarzem. Stronnictwo legitymistów odpowiadało dawnym „labancz'om", ogniskującym niedyś swe siły w zachodniej, katolickiej części Węgier i broniącym sprawy królestwa habsburskiego.

Jednakże niesłusznym było by mniemanie, że rzeczy dadzą się sprowadzić do takiej mało skomplikowenej postaci: z jednej strony Gömbös, pospołu z ewangelicką częścią narodu oraz aryjską inteligencją drobnych mieszczan i rolników z Alföldu, chcą zbudować węgierskie państwo totalne, podczas gdy — z drugiej — arystokracja, wyższe duchowieństwo oraz Żydzi w połączeniu z zachodnią, katolicką częścią kraju obstają przy powrocie Ottona i przy monarchii konstytucyjnej. Istniejąca bowiem pośrodku między legitymistami a pionierami państwa totalnego trzecia grupa obejmowała przeważającą większość narodu, stanowili zaś ją

zarówno katolicy i protestanci, którzy, nie odrzucając całkowicie idei restauracji, nie widzieli w niej przecież najbardziej naglącego zagadnienia chwili. Byli to więc mężowie „sprawiedliwego środka", realnie myślący a na Węgrzech szczególniej liczni. Nie sądzili, aby śmiały eksperyment zupełnej przebudowy ustroju był rzeczą wskazaną, lecz równocześnie myśleli to samo i o upartym trzymaniu się tradycji. Ci ludzie, rozważni, ostrożni i oględni, znajdowali się we wszystkich warstwach społecznych, sama zaś ich obecność powstrzymywała Gömbösa od zbyt pośpiesznych posunięć. Historycznie wskazaną formą ustroju państwowego miał być dla Węgier — ich zdaniem — parlamentaryzm oraz obwarowana przezornymi zastrzeżeniami demokracja; dalszy zaś rozwój tego ustroju winienby postępować jedynie drogą powolnej ewolucji. Wymienione stronnictwo przyszło ostatnio do władzy w osobie obecnego premiera, Darányi; konsekwentnie stara się ono dzisiaj przeprowadzić Węgry bez wstrząsów poprzez ciężkie chwile przełomu.

Z powyższego wynika samo przez się, że ludzie ci odrzucają koncepcję państwa totalnego, nie myślą o żadnej radykalnej zmianie kierunku; poza tym znikła naturalnie z najbliższego planu działania idea restauracji. W programie tych mądrych kunktatorów leży załagodzenie antagonizmów wyznaniowych, utrzymanie pokoju w łonie społeczeństwa, cierpliwe powstrzymanie krzykliwych marzycieli od wybuchów. Nie hołdując wprawdzie gwałtownemu antysemityzmowi o barwach rasizmu, ale równocześnie nie godząc się na powrót złotej epoki żydowskiej przewagi, usiłują, bez nienawiści i bez namiętności, tak ułożyć najdrażliwsze sprawy, że wprawdzie nikt nie jest zupełnie zadowolony, ale też niczyje interesy życiowe nie ponoszą większej szkody.

Premier uosabia madziarski *common sense* w tym znaczeniu, w jakim lord Baldwin określał polityczny rozum angielskiego mieszczaństwa. Darányi nie jest zapewne osobistością świetną ani porywającą; jest za to człowiekiem mocnego charakteru, dobrej woli i niemałego doświadczenia. Jako szlachcica ze sfery średniego ziemiaństwa, żadna przepaść stanowa nie dzieli go ani od arystokracji ani od drob-

nych junkrów; posiada on wiele zrozumienia dla klasy włościańskiej i w życiu swym zdołał zgromadzić zasób gruntownych wiadomości, będąc nie tylko z zawodu prawnikiem, ale również sprawując funkcje urzędnika administracji państwowej, obowiązki posła oraz gospodarza na roli. Wielkie znaczenie ma fakt, że ten pośredni plan postępowania przyjęty przez obecną głowę węgierskiego rządu poparli dwaj najwybitniejsi przedstawiciele węgierskiego parlamentaryzmu mianowicie: hr. Bethlen, który jako premier kierował losami Węgier przez dziesięć lat z górą oraz przywódca drobnych właścicieli ziemskich, Tibor v. Ekhardt. Pierwszy z nich, protestancki magnat z Siedmiogrodu, drugi katolik, szlachcic niemieckiego pochodzenia, obydwaj są przeciwnikami państwa totalnego, obydwaj natomiast bronią zdecydowanie formy rządów parlamentarnych i umiarkowanie demokratycznych; obydwaj też podzielają pogląd, że restauracja monarchii Habsburgów nie jest sprawą aktualną mimo, że przedstawia ona dla Węgier z jednej strony niezniszczalne prawo, z drugiej zaś — obowiązek moralny.

Darányi kieruje z pełnią autorytetu rządową „partią jedności", w której dawni doradcy Gömbösa, Marton i Antal, nie mają już teraz rozstrzygającego głosu. Bethlen reprezentuje jedynie samego siebie i swój własny wysoki autorytet polityczny; za Ekhardem stoi rdzeń włościaństwa, jego część rozumna, uświadomiona, majętna. Wszyscy ci, ludzie zgadzają się z sobą we wszystkich istotnych punktach polityki wewnętrznej. Na drodze wspólnego porozumienia załatwiono sprawę zarządu państwem. Prawo, uchwalone na poprzedniej sesji parlamentarnej, nadało regentowi adm. Horthy pełnomocnictwa niekoronowanego monarchy, zarazem uregulowało kwestię ewentualnego następstwa po nim. Podobnież wspólnymi siłami przygotowuje się reformę ordynacji wyborczej, mającą zapewnić Węgrom powszechne, równe, bezpośrednie i tajne prawo głosowania; nie będą przy tym zaniedbane środki ostrożności na wypadek możliwych wystąpień radykalizmu z lewej strony lub z prawej. Parlament przyszły będzie już obierany podług nowego systemu; jemu to wypadnie uskutecznić reformę rolną, trzeci punkt programu, będącego tematem wzajemnych

narad i dyskusyj pomiędzy rządem a opozycją. W tym trzecim punkcie chodzi o obdzielenie gospodarzy małorolnych i wiejskiego proletariatu ziemią uzyskaną — za odszkodowaniem — z wywłaszczenia wielkiej własności.

Pomimo tak rozważnego postępowania umiarkowani politycy węgierskiego „centrum" muszą się nieustannie bronić przed krytyką prawicy i lewicy, a rząd dokłada wszelkich starań, by krytyka ta nie zamieniła się w rewolucyjny przewrót. Prawnie rzecz biorąc, stanowisko premiera jest nienaruszalne. Naczelnik państwa, adm. Horthy darzy go życzliwością i sam, własną inicjatywą, przechylił szalę zwycięstwa centrum nad dążeniami skrajnymi. Izba panów, trwająca za Gömbösa w ciągłej opozycji, odnosi się z całkowitym zaufaniem do obecnego kursu polityki rządowej. W izbie posłów rozporządza Darányi olbrzymią większością, złożoną z jego własnej „partii jedności" oraz z większej części lub przynajmniej z poszczególnych grup „mniejszości". Tak więc premier ma faktycznie za sobą dwie trzecie izby poselskiej.

Tymczasem niesforne żywioły przenoszą walkę poza granice klubów parlamentarnych i usiłują za pomocą intryg podburzyć posłów przeciwko ich własnemu wodzowi, nade wszystko zaś zjednać opinię dla radykalnych rozwiązań we wszystkich ośrodkach „partii jedności" oraz wśród małorolnych chłopów. Dla celów agitacji posługują się organizacjami już istniejącymi, aby tworzyć z nich ogniska przewrotu. Na koniec nie brak również nowopowstałych stowarzyszeń zakonspirowanych, których działalność zwraca się przeciw obecnemu reżimowi.

Wśród tych, organizacyj nielegalnych nie brak oczywiście komunistów. Sami przez się nie posiadają oni siły ofensywnej. Przy tym ani stalinizm ani trockizm nie znajdują posłuchu wśród ludności osiadłej. Natomiast nie należy zapominać, jaki oddźwięk wywołał bolszewizm u Żydów, cyganów, włóczęgów i innych „out-law'ow", którzy stali się propagatorami pojęć komunistycznych między robotnikami oraz między najuboższym włościaństwem.

Silniejszym wszakże nad moskiewski jest węgierski komunizm agrarny, zabarwiony narodowo a szerzący się

pod wpływem ugrupowań skrajnej prawicy. Zabarwiony bezwzględnym antysemityzmem, zwraca się on również przeciwko „reakcji" tzn. szlachcie oraz mieszczańskiemu kapitalizmowi, fatalne zaś stosunki gospodarcze przysparzają mu adeptów wśród sproletaryzowanej inteligencji, a więc w szczególności wśród urzędników, studentów, b. wojskowych oraz zubożałego ziemiaństwa. Z tych to właśnie środowisk rekrutują się stronnicy byłego oficera gen. sztabu mjr. Szálasi. Człowiek to nieprzeciętnie uzdolniony, który raz po raz przebywa w więzieniu, a wypuszczony na wolność wraca do swej działalności i podejmuje na nowo swą wywrotową akcję. Akademicy gromadzą się wokoło znanego powszechnie nauczyciela gimnazjalnego bez posady, który również przebywa na przemian na wolności albo w więzieniu, wędrując ustawicznie tam i spowrotem. To są straże przednie. Za nimi szeregują się „ligi", jako trzon hufców skrajnej prawicy, a za tym: Pfeilkreuzlerzy, Sensenkreuzlerzy oraz madziarscy wielbiciele socjalizmu, nie brak wśród nich i arystokratów, jak hrabia Festics; wybitnych publicystów, jak beniaminek izby poselskiej, Rajniss; profesorów uniwersytetu i innych osobistości, cieszących się stanowiskiem i poważaniem ogółu. Skala przesuwa się w ten sposób nieznacznie ku prawemu skrzydłu rządzącej „partii jedności", ku wzmiankowanym już parokrotnie posłom Martonowi i Antalowi z najbliższego otoczenia Gömbösa.

Otóż podczas gdy nic nie hamuje walki z wrogimi państwu wichrzycielami z lewicy, o obcym pochodzeniu lub nastawieniu międzynarodowym — podczas gdy rząd nie potrzebuje się wahać przed użyciem siły przeciwko III albo IV międzynarodówce, to przeciwnie, czuje się on bardzo skrępowanym w stosowaniu odpowiednich środków przeciwko skrajnej prawicy. Nie jest bowiem rzeczą łatwą atakować dzielnych oficerów, hołdujących radykalizmowi jedynie z nadmiernego umiłowania własnego narodu. Również nie jest łatwo pozbawiać wolności literatów i wysoko uzdolnionych chłopów, którzy czynią sprawiedliwe zarzuty ustrojowi kapitalistycznemu i jeżeli czym grzeszą, to tylko formą oraz zbytnim zapałem, zwróconym przeciwko pisanemu prawu. Nade wszystko zaś ciężko jest występować przeciwko związ-

kom obrony narodowej i organizacjom wojskowym, które obaliły w swoim czasie rewolucyjny rząd Bela Kuny, teraz zaś skłaniają się częstokroć ku poglądom radykalnej prawicy.

Darányi znalazł, przynajmniej dotychczas, właściwą pośrednią drogę postępowania między niesprawiedliwą twardością, a równie fatalną słabością. Przede wszystkim więc zabiega on o wykazanie czynem, że w ramach dzisiejszego społecznego ustroju jest możliwa zasadnicza reforma gospodarcza. Jak już wspomnieliśmy, przyszły parlament, ma nadać prawne formy reformie rolnej. To, co demagodzy wysuwają na pierwszy plan tj. przejście na system gospodarstw małorolnych kosztem wielkiej własności ziemskiej, mającej podlec wywłaszczeniu, jest na razie mniej koniecznym, aniżeli wzmożenie produkcji gospodarczej oraz zdobycie nowych obszarów pod uprawę rolną. Przed swym ostatnim wyjazdem za granicę, regent Horthy wygłosił mowę w mieście Szolnok i podniósł w niej znaczenie nawodnienia równiny Alföldu, słusznie uważając je za jedno z wielkich dzieł węgierskiej teraźniejszości, gdyż tym sposobem stworzone zostały podstawy bytu dla dziesiątków tysięcy istnień ludzkich. Można by to dzieło porównać z osuszeniem Zuider-See; na Węgrzech bowiem woda jest przyjacielem człowieka, inaczej niż w Holandii, gdzie trzeba poskramiać i opanowywać jej żywioł. W każdym razie Węgrzy mogą być dumni ze swego triumfu nad przyrodą. Jeszcze jednym krokiem naprzód jest rozpowszechnienie współczesnych metod gospodarczych, do czego potrzeba środków pieniężnych a prócz tego odpowiednio wykształconych ludzi. O obydwa te czynniki rząd troszczy się nie bez powodzenia. Na koniec należy zapewnić klasom pracującym odpowiednie wynagrodzenie za pracę: rolnikom przez ustalenie sprawiedliwego minimum cen za zboże; robotnikom przez również sprawiedliwy i wystarczający na utrzymanie wymiar minimum zapłaty. I to także zdaje się już znajdować na jak najlepszej drodze do realizacji. Przez tego rodzaju posunięcia rządu, lewicowy oraz prawicowy komunizm agrarny tracą grunt pod nogami. Wieśniak bowiem węgierski był zawsze z natury indywidualistą oraz stróżem prawa własności i jedynie nędza mogłaby go zepchnąć na tory przewrotu.

Przezorna troskliwość o potrzeby włościaństwa sprzyja utrzymaniu wewnętrznego pokoju na terenie wsi, podczas gdy po miastach pokój ten nie jest poważnie zagrożony, choć to ostatnie twierdzenie zakrawa trochę na paradoks. Socjaliści węgierscy różnią się niewiele od pozostałych resztek mieszczańskiej lewicy tj. od wielkomiejskich demokratów. Nie ostatnią przyczyną ich mało rewolucyjnej postawy jest fakt, że robotnicy oraz drobni rzemieślnicy nie mają żadnego słusznego powodu do atakowania istniejącego porządku rzeczy. Chętnych do rozruchów należy szukać głównie w Budapeszcie poza ludźmi pracującymi normalnie, a więc wśród armii bezrobotnych oraz w niemniej licznych gromadach „praco-fobów". Otóż rząd węgierski zastosował odpowiednie środki do każdej z dwu powyższych grup: walcząc energicznie z ogólnym bezrobociem, stara się z najzupełniejszą słusznością zapewnić posady przede wszystkim jednostkom najbardziej niebezpiecznym, bo inteligentnym — a więc pracownikom umysłowym. Tutaj narzuca się konieczność planowej akcji wobec zastępu głodujących studentów i ludzi z uniwersyteckim wykształceniem, z tytułami ale bez środków do życia; wobec „doktorów", którzy jako najemni tragarze muszą uskarżać się na tragiczny los; wobec inżynierów, żyjących z dorywczych naprawek technicznych; wobec nieszczęśliwej i rozgoryczonej rzeszy, o której można czytać rzeczy wprost przerażające w znakomitej powieści Kühnelt'ta: *Über dem Osten Nacht!* Rozumie się, że tym kandydatom na posady nie wolno stawiać zbyt wielkich wymagań, ani co do rangi przydzielanego im zajęcia, ani co do wysokości dochodów. I tak, widzimy prawnika z doktoratem jako detektywa policji obyczajowej; byłych oficerów sztabu zajętych wypłacaniem pensji robotnikom; zaszczytnie wyróżnianych uczonych przy okienkach kasowych, po bankach, szczęśliwych że zarabiają po 60 fr. szw. miesięcznie.

Na takie zło żaden rząd nie jest w stanie znaleźć radykalnych środków. Są to wyniki rozczłonkowania kraju przez traktat w Trianon. Można jedynie złagodzić niedolę przez podniesienie poziomu sił duchowych i moralnych, które uszlachetniają wszelką nędzę i pomagają ją znosić.

Tutaj też przypada osobliwa rola religii. Na Węgrzech daje się zauważyć obecnie równie zdumiewające jak budujące odrodzenie uczuć szczerej pobożności. Ogarnęła ona nie tylko stany wyższe, dawniej jedynie dla pozoru asystujące ceremoniom kościelnym, ale także spoganiały proletariat, nade wszystko zaś wykształcone, a tak długo trwające w obojętności klasy średnie. Dodatni objaw, wzorowej tolerancji wobec ludzi inaczej myślących, towarzyszy powyższemu odrodzeniu wiary. Zdarzyło się to po raz pierwszy w historii Węgier, że luteranie połączyli się w jednej wspólnej organizacji z wyznawcami kościoła reformowanego celem uroczystego uczczenia pamięci katolickiego króla św. Stefana, któremu Węgry zawdzięczają chrześcijaństwo. Po raz pierwszy duchowieństwo ewangelickie w otoczeniu wybitnych świeckich przedstawicieli gmin i w charakterze zespołu, złożyło wizytę w opactwie benedyktyńskim w Pannonhalma: Debreczyn, serce Węgier kalwińskich, przybył do najdostojniejszej świątnicy węgierskiego katolicyzmu. Mowy, wymienione między opatem Kelemenem a przywódcą protestantów węgierskich, min. Lazárem, uświetniły podniosły moment chrześcijańskiego braterstwa.

A więc i na tym także odcinku triumfuje zasada umiarkowania i sięga poza i ponad ściśle wyznaniowy punkt widzenia, ku idei tolerancji i harmonijnego współżycia, celem obrony przed wspólnym wrogiem. Ta węgierska tradycja przemówiła ostatnio przez usta kard. prymasa Węgier, Serédi, potępiającego zdecydowanie rasistowską pychę. Tak więc wobec silnej tradycji umiarkowania zbędnymi wydają się gwałtowne represje nawet wobec bolszewizmu czy antynarodowej doktrynerskiej demokracji. Właśnie przez swe namiętne afirmowanie pokoju, tradycja ta działa w duchu wielkiego poety węgierskiego, Madách'a — i w tymże duchu pracuje, podejmując ufną walkę tylko tam, gdzie trzeba i wtenczas, kiedy potrzeba.

Prof. dr Otto Forst Battaglia.

Zasady komunizmu a rzeczywistość.

Dokonany przez Lenina przewrót w Rosji, przeprowadzony został w imię dobrobytu szerokich mas ludzkich. O systemie rządzenia trudno jest sądzić bezpośrednio po nastaniu nowego reżimu, gdyż każdy rząd przyjmuje stan po swoim poprzedniku z dobrodziejstwem inwentarza, z jego plusami i minusami. Jeżeli minusy przeważają i położenie jest ciężkie, wyprowadzenie mas ludzkich na lepszą drogę wymaga dłuższego czasu. Otóż wielkie zadania stanęły przed Leninem, gdy obejmował władzę, lecz w rezultacie jego rządów, położenie jakie po sobie zostawił było gorsze od tego, które otrzymał w spuściźnie po carach. Ten właśnie fakt świadczy o Leninie i jego doktrynie na wskróś negatywnie.

O wartości reżimu można sądzić również *a priori,* gdyż jeśli zna się światopogląd i ideologię jego ludzi, wprawne oko historyka-socjologa z dość dużą dokładnością przewidzieć może dalszy bieg wypadków. Tak się już jednak utarło na świecie, że mówienie o wypadkach przyszłych, o ile przepowiada sukces to ściąga na siebie zarzut propagandy, o ile zaś zapowiada przyszłe klęski jest podejrzane o negatywne ustosunkowanie się do danej ideologii i jej ludzi. Wymaga się więc oceny opartej na faktach, a nie nawet na jak najbardziej chociażby udokumentowanych przypuszczeniach. Otóż właśnie dwudziestolecie panowania komunizmu w Rosji daje nam tak ogromną ilość faktów, że do oceny doktryny marksowej w jej realizacji nie potrzebnym jest uciekanie się do jakichkolwiek bądź apriorystycznych przypuszczeń.

Położenie materialne wielkich mas ludzkich, w Rosji bolszewickiej, jakkolwiek wszystko niby czyniono aby je podnieść, uległo wręcz katastrofalnemu pogorszeniu i to nie z powodu jakichś klęsk żywiołowych, lecz w związku z posunięciami administracyjno-politycznymi nowych władców kraju. Na rządach komunistycznych ucierpiały materialnie wszystkie klasy społeczne,[1]) a mianowicie: inteligencja, chłopi, robotnicy i rzemieślnicy. Zyskali materialnie, jeżeli o zyskach mówić tu można, ci którzy dawniej albo nic nie mieli, albo bardzo nie wiele, a w Rosji komunistycznej doszli do piastowania wyższych godności partyjnych, lub państwowych, lecz procent tych ludzi, w stosunku do ogółu ludności jest znikomy. Tak więc, cel dla osiągnięcia którego rewolucja została przeprowadzona i tyle krwi przelano, pomimo dwudziestoletniego posiadania pełni władzy przez rząd komunistyczny, nie został osiągnięty, wręcz przeciwnie, oddalono się od niego bardzo znacznie.

Nie samym jednak chlebem i mięsem człowiek żyje. Jakkolwiek więc doktryna Marksa niedostatecznie tę prawdę życiową uwzględnia, faktem jest stwierdzonym przez życie, iż oprócz dobrobytu materialnego potrzebny jest człowiekowi przede wszystkim dobrobyt moralny i duchowy, nie mówiąc już o innych warunkach, pozwalających człowiekowi dążyć stale „wzwyż". Otóż dobrobyt moralny i duchowy poddanych państwa marksowskiego, w jego komunistycznej realizacji, ucierpiał znacznie więcej, aniżeli dobrobyt materialny. Trudno jest bezpośrednio i statystycznie tę „linię spadku" określić i dlatego innymi metodami należy ją wypośrodkować.

Jakkolwiek doktryna Marksa tego nie ujawnia, a komunistyczni jej zwolennicy założenie to zaprzeczą, jest rzeczą bezwzględnie pewną, że każdy czyn człowieka, oprócz widocznych i materialnych skutków, pociąga za sobą skutki inne, głębsze, których konsekwencje ponosi się znacznie później, jak też i skutki psychiczne, dające się odczuć dość bezpośrednio zarówno jego sprawcy jak i otoczeniu. W świa-

---

[1]) Patrz *Przegląd Powszechny,* listopad 1937 r., „Rezultaty dwudziestu lat panowania komunizmu w Rosji".

topoglądzie chrześcijańskim są te pojęcia zupełnie określone i ugruntowane, a brak ich w wąskim światopoglądzie marksowskim musi u marksisty dynamicznego siłą rzeczy spowodować w pierwszym rzędzie inne ustosunkowanie się człowieka do bliźnich.

Alia Rachmanowa [1]) notuje w swoim pamiętniku następujące powiedzenie komunisty, które przez swą zwięzłość i jasne określenie zasługuje na przytoczenie:

> Nie należy — mówi niewysoki wprawdzie rangą, lecz już dobrze przez swych zwierzchników wyuczony komunista — pytać, co będzie potem (po uczynku), należy tak żyć, jak gdyby to „później" nie istniało.

W umysł zatem komunistów, dla których teoria Marksa ma być alfą i omegą w dziedzinie poglądu na świat, wpaja się zasadę, iż z życia, które jest tak krótkie, należy brać to, co się komu podoba, nie myśląc o tym, co z tego w przyszłości może wyniknąć. Wyeliminowanie całkowite myśli o zaświatach, o odpowiedzialności moralnej stanowi o pełnowartościowym, wyzwolonym i szczęśliwym człowieku, pozbawionym wszelkich burżuazyjno-moralno-religijnych przesądów klasowych. To tylko jest niedozwolonym czego zakazuje rząd komunistyczny.

W podobnym światopoglądzie jednostka czuje się zupełnie nie skrępowaną moralnie; postępowaniem jej nie kieruje intelekt jako norma moralności, lecz chwilowa żądza, zachcianki i kaprysy; a ponieważ na drodze do osiągnięcia celu wyłaniają się różne przeszkody w postaci innych ludzi, więc spontanicznie rodzi się nie przebierająca w środkach walka, w której zwycięża najbardziej wyzuty z sumienia i z uczuć ludzkich osobnik.

Jedną z tajemnic zdobycia w Rosji władzy przez Lenina był właśnie jego kompletny „brak skrupułów" w postępowaniu. Alia Rachmanowa przytacza w swym pamiętniku rozmowę prof. Rosakowa z Leninem. Profesor zwracał czerwonemu dyktatorowi uwagę na niesłychane rozwielmożnienie się łotrostwa w reżimie komunistycznym, na co Lenin cy-

---

[1]) Alia Rachmanowa: *Ehe im roten Sturm.*

nicznie odpowiedział, że „łotr często dlatego właśnie może być pożytecznym, że jest łotrem".

W wyniku podobnych pojęć człowiek staje się niejako z musu brutalnym egoistą. Jeżeli bowiem wolno robić wszystko, co tylko nie stoi w kolizji z zarządzeniem rządu, to siłą faktu następuje u mnóstwa moralnie słabych jednostek wyuzdanie wszelkich najniższych instynktów. Ponieważ zaś wyuzdanie to zagraża jednostkom innym, przeto nie ludzki już ale wprost zwierzęcy instynkt samozachowawczy każe tym zaatakowanym jednostkom nie przebierać w środkach w walce o byt. W tych bowiem warunkach idąc tylko podstępnie i brutalnie po trupach, można samemu utrzymać się przy życiu; trzeba „likwidować" innych, albo samemu dać się „zlikwidować", *tertium non datur.*

Literatura pamiętnikarska ludzi, którzy przez dłuższy czas przebywali w Rosji komunistycznej, przepełniona jest nie pozostawiającymi żadnych złudzeń powiedzeniami poddanych sowieckich, którzy zdają sobie sprawę, że aby utrzymać się przy życiu trzeba tropić, denuncjować i wysyłać innych na śmierć, by się samemu przed śmiercią obronić. Sania Mulmenko, córka popa oświadcza bez ogródek Rachmanowej, że jeżeli pracuje w „Czeka", to tylko dlatego, że wynagrodzenie jest tam dobre i że „rozsądniej jest aresztować drugich, aniżeli być aresztowaną". Wszelkiego rodzaju „czystki" w ogromnej większości wypadków schodzą na drogę porachunków osobistych, bo pod pozorem działania w myśl komunistycznej racji stanu, bardziej silni, przebiegli i przestępczy usuwają ze swej drogi, słabszych, lub chwilowo bardziej obezwładnionych, sami przez to utrzymując się na powierzchni.

Instynkt samozachowawczy człowieka każe mu, nie tylko dla swego ocalenia się, usuwać z drogi innych, ale ślepo wykonywać rozkazy silniejszych od siebie, dla uniknięcia posądzenia, o niechęć wykonania rozkazów. Rządy dyktatury proletariatu są rządami typowo wykonawczo-wojskowymi, które z samej swej struktury muszą w życiu cywilnym wprowadzać zadrażnienia i niesprawiedliwości ponad normalną miarę. A jeśli dodamy do tego brak obowiązujących

stałych wytycznych postępowania, otrzymamy makabryczny obraz wewnętrznych stosunków w Rosji.

„Górze" jest np. potrzebne usunięcie z partii 25% członków, celem zdławienia gotującego się spisku, lub zasugerowania szerokim tłumom opinii, że złe położenie państwa jest wynikiem wrogich sił, które przeniknęły do partii. Władza niższa musi ten rozkaz wykonać i owych 25% szkodników, sabotażystów, trockistowców czy jakichś innych, jak się dawniej mówiło, wrogów proletariatu, a obecnie narodu, usunąć i skazać na tę czy inną likwidację. Można być skazanym za trockizm lub bucharinizm, lub jak ów starozakonny Gendelsman za przynależność „do Sokoła" [1]) nie mając nic wspólnego z taką ideologią. Jedyną podstawą jest mniej więcej gołosłowne oskarżenie tych, którzy „czystkę" przeprowadzić muszą i pod jej pokrywką likwidują swoich osobistych wrogów, lub obojętnych, którym zarzuca się te lub inne zbrodnie, aby tylko wykazać się przed władzami sprawnym spełnieniem rozkazu. Nie umiejący bowiem wykryć wrogów ludu, automatycznie narażają się sami na represję, a przeprowadzający opieszale przepisaną czystkę sami narażają się na jej odwet.

Powyższe stosunki są regułą w państwie komunistycznym, od samego szczytu aż po sam dół hierachii rządzącej i wielkiej masy rządzonych, przechodząc przez wszystkie dziedziny życia sowieckiego z nauką, sztuką i literaturą włącznie. Odbywają się „czystki" wśród steroryzowanych reżimem uczonych geologów, za ukrywanie, a zatem sobotaż, naturalnych bogactw ojczyzny proletariackiej, bakteriologów, za nie wydajną pracę, nad podniesieniem higieny ludu, pisarzy za wprowadzanie „pesymizmu" w masy, filozofów za wypaczanie ideologii Marksa, itd.

Iwan Sołoniewicz,[2]) który przez szereg lat zajmował dość wysokie stanowiska w hierarchii sowieckiej pisze:

Kłamię wówczas, gdy pracuję jako tłumacz... kłamię, gdy piszę raporty o pożytku kultury fizycznej... kłamię, zestawiając

---

[1]) Patrz *Przegląd Powszechny*, październik 1937 r., „Dwudziestolecie Rosji Sowieckiej".

[2]) Iwan Sołoniewicz: *Rossija w Konctagierie*.

statystyki o rozwoju sowieckiej kultury fizycznej, kłamię całkowicie i bez żenady, wysysając, wraz z towarzyszami mej pracy, liczby z wszystkich naszych palców, ponieważ „góra" żąda wysokich liczb... na export za granicę... W Moskwie, w większości wypadków, liczb się nie zestawia, ale się je wymyśla.

W Sowietach trzeba umieć kłamać i kłamać na wielką skalę, aby się móc utrzymać na powierzchni życia. Geolog, zdający raport na zasadzie przeprowadzonych badań, może być oskarżonym o sabotaż, za nie wynalezienie potrzebnych rządowi, chociażby tylko ze względów propagandowych, bogactw podglebia sowieckiego, natomiast sprytny laik, udający naukowca, w istocie zaś rzeczy orientujący się dobrze w sytuacji, zasygnalizuje w swym raporcie tyle bogactw, że może liczyć na niewątpliwy awans, aż do czasu, w którym ktoś sprytniejszy od niego nie przelicytuje go w ten lub inny sposób, oskarżając np. o umyślne wprowadzenie w błąd władzy przez wygórowane raporty.

Alia Rachmanowa, biorąca udział w jednej z prowincjonalnych wystaw, miała przy swoim stoisku 459 interesantów, zaś znajdujące się obok stoisko „propagandowe" tylko 31. Jakie więc było jej zdziwienie, gdy w urzędowym sprawozdaniu na jej stoisko przypadło 31 klientów, zaś na „propagandowe" 459. Zapytany o tę pomyłkę szef, odrzekł, że podanie prawdy grozi wszystkim straceniem posad, zaś po przenicowaniu prawdy spodziewać się można nagród, za postawienie „na wysokim poziomie komunistycznej akcji propagandowej". Jest to jeden z wielu sposobów „ulepszania statystyki".

Trockistowiec Kibalczyc, a więc komunista i to ze starej gwardii, zauważa, że statystyki dotyczące ilości „wojujących bezbożników" nie odzwierciadlają wcale prawdy i są również sporządzane na eksport za granicę. Jest wielu — pisze — wierzących bezbożników, to jest ludzi, którzy dla kariery, a raczej dla uchronienia się od zagłady, zapisani są do związku, płacą składki i ukrywają skrzętnie swoją wiarę, chyłkiem jednak jeśli się to tylko uda podążają nieraz dziesiątki kilometrów do cerkwi.

Kłamstwo, blaga, robienie wszystkiego na pokaz, stwarzanie pozorów, mających zasłonić rzeczywistość, oto środki

i metody składające się na atmosferę życia sowieckiego. Życie to jest tym bardziej zakłamane, że nie ma w nim żadnej swobody przekonań i opinii, zaś zygzaki po których błądzi myśl rządzących, zmieniających raz po raz swoje zapatrywania, uniemożliwia każdemu obywatelowi sowieckiemu, obojętnie czy znajduje się on na samej górze hierarchii rządzącej, czy też na samym jej dole, utrzymanie się przy życiu i karierze nie innym sposobem jak tylko sprytnym oszustwem.

Jeśli poddanemu państwa komunistycznego postawi się pytanie, jak się on zapatruje na daną kwestię bieżącą, odpowiada, że jeszcze „gazet nie czytał". To jeden z objawów lęku przed wygłoszeniem jakiegokolwiekbądź sądu, lub opinii własnej, która by mogła stać się powodem do denuncjacji, albo posądzenia o nieprawomyślność.

Oto jak naświetla to ponure zjawisko komunizujący pisarz francuski André Gide,[1]) po swym powrocie z Rosji:

„Co rano *Prawda* naucza ich co mają wiedzieć, co myśleć i w co wierzyć. Jest rzeczą niebezpieczną wychodzić poza te ramy. W ten sposób ilekroć rozmawia się z Rosjaninem, to tak, jakby się rozmawiało z wszystkimi... Czego się obecnie żąda od obywateli, to akceptowania wszystkiego i wyrażania zgody. Wymaga się aprobaty dla wszystkiego co się dzieje w Związku sowieckim i dąży się do tego, aby ta aprobata nie była zrezygnowaną, ale szczerą i entuzjastyczną... Z drugiej zaś strony najmniejszy protest, najdrobniejsza krytyka ściągają na siebie najsroższe kary i są natychmiastowo zduszone.

Komunista-trockistowiec rosyjski Victor Serge[1]) zaświadcza:

Nie ma obecnie mowy, aby w łonie samej partii komunistycznej (to jest w łonie klasy uprzywilejowanej) można było swobodnie wyrazić jakąś opinię, jakieś samodzielniejsze zdanie, głosować niezależnie, powziąć jakąś inicjatywę... hierarchia rządzących żąda wykonawców uległych i gorliwych, trzymanych jednakowoż zawsze w podejrzeniu. W jakimkolwiek stopniu byliby uległymi, wykonawcy ci nie czują się bynajmniej bezpiecznymi... Członkowie komórek partyjnych zbierają się dla przestudiowania wspólnie przemówień swych wyższych szefów,

[1]) André Gide: *Retour de l'U. R. S. S.*
[2]) Victor Serge: *Destin d'une Revolution.*

czyli dla wysłuchania czytanych tekstów, (gdyż nikt nie ryzykuje komentowania ich według własnego ujęcia sprawy) i do powtarzania następnie, jeden po drugim, ich urywków. Obawa przed herezją jest tak wielką, że dosłowne powtarzanie tekstów oficjalnych stało się zwyczajem... Żaden podmuch myśli nie przechodzi przez partię, która jest pogrążona w uczuciach bałwochwalczych dla szefa... Stalin jest uznawanym za szefa genialnego, wodza proletariatu światowego, „największego człowieka wszystkich czasów", „największego człowieka, największej epoki w historii".

Nie wszystko oczywiście można i należy kłaść na karb ideologii marksowskiej, gdyż przy tworzeniu w Rosji sowieckiej obecnego położenia, wchodzi w grę zarówno charakter narodowy Rosjan, wychowywanych w ciągu szeregu wieków przez despotycznych carów, jak i cechy indywidualne charakteru zarówno Lenina, jak i Stalina. Ci dwaj najwięksi realizatorzy marksizmu na ziemi, wychowali się bezwątpienia w ideologii Marksa ale trudno nam stwierdzić i rozstrzygnąć czy w realizowaniu myśli i zamierzeń twórcy socjalizmu stanęli na wysokości swego zadania. Można nawet przypuszczać, iż sam Marks nie byłby wcale zachwycony tym prymitywnym i dzikim sposobem wprowadzania w czyn jego teorii.

Zastrzeżenie to w niczym nie umniejsza faktu, że nie kto inny ale Marks ponosi dziejową odpowiedzialność za to co się dzieje obecnie w Rosji. Zarówno bowiem Lenin jak Stalin starali się możliwie dokładnie wczuć w światopogląd swego mistrza; posiedli tę samą co i on pogardę dla spraw natury moralnej i religijnej, tą samą zapałali miłością do wyimaginowanego pojęcia, któremu na imię: proletariat; tą samą odznaczają się nienawiścią do wszystkiego co rzeczywiście, czy pozornie, przeciwstawia się światowej rewolucji proletariatu i wreszcie tę samą żywią pogardę dla niektórych dziedzin rozwoju ludzkiego ducha.

Sama doktryna Marksa zawiera w sobie szereg przeciwieństw, niedopowiedzeń, a nawet nielogiczności, które muszą się zemścić na tych, którzy ją realizują. Radykalne zwalczenie wyzysku klasy robotniczej przez przedsiębiorców, fabrykantów i w ogóle wszelkich pracodawców jest ideą przewodnią całego marksizmu. Ten *spiritus movens* marksizmu jest sam w sobie ideą szlachetną; ma więc zapew-

nioną linię rozwoju w historii ludzkości. Nieszczęście jednak chce, że tę ideę rzeczową i szlachetną złączono organicznie z całym szeregiem nonsensów, a realizacja nawet najlepszej idei przy nonsensownych pojęciach przynieść musi zawsze opłakane rezultaty.

Pojęcie wyzysku w doktrynie Marksa nie zostało określone, a raczej nie oznaczono w stosunkach pracy najemnej, gdzie się kończy godziwa zapłata, a gdzie zaczyna się wyzysk. Przy istnieniu wolnego rynku pracy, gdy jedni ludzie pracują dla drugich, w ich prywatnych zakładach, wyzysk pracy zawsze istnieć będzie — oto pierwsza teza marksizmu, zupełnie zresztą błędna tak w swym założeniu, jak i w skutkach. Wyzysk pracy ustanie dopiero z chwilą, gdy z owoców pracy korzysta sam pracujący, względnie cała społeczność, której robotnik jest tylko członkiem. Wszyscy zatem pracować muszą na rzecz wszystkich. Oto druga teza marksizmu, jeszcze bardziej złudna od poprzedniej. Można być jej zwolennikiem tylko w pełnym zapoznaniu psychiczno-duchowej struktury świata, w którym żyje człowiek.

Otóż w Rosji komunistycznej „wszyscy pracują na rzecz wszystkich", a wyzysk pracy ludzkiej jest tam jednakowoż stokroć większy, aniżeli w krajach, gdzie nie rządzą marksiści i gdzie istnieje wolny rynek pracy. Taką jest strona faktyczna tego zagadnienia; natomiast z punktu widzenia doktryny Marksa, w Rosji nie ma wyzysku pracy i jest to nawet jedyny szczęśliwy kraj na świecie, gdzie wyzysk pracy ludzkiej nie istnieje. Kto zawinił w tym całkowitym rozbracie rzeczywistości z doktryną? Naszym zdaniem, nie tyle realizatorzy doktryny, ile sam jej twórca Marks, który puścił w świat idee niezgodne z prawdą, rządzącą ludźmi i otaczającymi ich wypadkami.

W Rosji gdzie panuje kapitalizm państwowy, wprowadzono taką samą rachunkowość, jak w krajach kapitalistycznych. Natknięto się również na zagadnienie kapitalizacji, owych zysków, jak w danym wypadku przemysłu państwowego, z których teoretycznie korzystają wszyscy obywatele państwa proletariackiego. Tworzące się kapitały państwowe, w związku z pracą przemysłu państwowego, nazwano „akumulacją socjalistyczną", widocznie tylko w tym celu, aby

uniknąć podejrzanej z punktu widzenia marksowskiego nazwy, „kapitału socjalistycznego".

Jeżeli kapitał prywatny, ten rozdrobniony i znajdujący się w milionach rąk posiadaczy, ma tendencję do wyzysku pracy ludzkiej, cóż dopiero trzeba powiedzieć o bezimiennym, monopolistycznym i znajdującym się w rękach politycznych „kapitale socjalistycznym", którym przecież zarządzają i kierują jednostki, a nie „cała społeczność socjalistyczna". Moralność socjalistyczna poucza: „Każdy ma obowiązek pracować dla dobra wszystkich, nie przez miłosierdzie chrześcijańskie, ale przez solidarność obywatelską". Pomijając nawet pojęcie miłosierdzia chrześcijańskiego, zgodzić się można ostatecznie na „solidarność obywatelską", ale jeśli chodzi tu nie o frazesy, to musi się wyłonić pytanie: jakie to realne siły psychiczno-duchowe mają stać na straży tej „solidarności obywatelskiej", w imię której działać mają „obywatele"?

Obowiązki obywatelskie wynikają z życia jednostki w społeczeństwie, które jest naturalną rozbudową życia w rodzie, ustanowionego przez naturalne węzły krwi. Obywatel, dla ogólnego dobra, poświęca często nie tylko sprawy i interesy swej rodziny, ale i siebie samego, leży to bowiem w linii rozwoju człowieczeństwa. Nadbudowa jednak państwowa nie może stać w sprzeczności z samą naturalną budową rodowego życia społecznego, gdyż w tym wypadku zabija nie tylko ją, lecz godzi w siebie samą. Ten właśnie wypadek występuje z całą wyrazistością w państwie sowieckim.

Obowiązki obywatelskie tylko wówczas są spełniane dobrze i z pożytkiem dla całości, jeżeli są spełniane w zgodzie z myślami i uczuciami obywateli, w przeciwnym wypadku brutalny przymus może wycisnąć tylko pewną sumę posunięć wówczas, gdy władza pilnuje, równocześnie jednak, w eksploatowanym człowieku stwarza tym razem dynamiczną siłę odrazy dla całej gniotącej go społeczności państwowej.

Doktryna marksowska, zapędzająca poszczególnych „obywateli" do pracy na rzecz „wszystkich", nie jest w stanie wykrzesać spontanicznych sił dynamicznych działania altruistycznego, chociażby panowała lat 200 a nie 20.

Trzeba się liczyć ze światem i człowiekiem, z ich naturą i rządzącymi prawami natury i nic tu nie pomoże powiedzenie Lenina, który rzekł: „jeżeli świat jest przeciwko nam, tym gorzej dla niego, zmienimy go".

Praw rządzących światem, człowiekiem i jego społecznością, człowiek nie zmieni, tak jak nie zmieni tabliczki mnożenia. Oczywiście człowiek może robić obliczenia w których 2×2 równa się raz 5, a w innych razach 7, lecz jakie w tym wypadku będą rezultaty jego działań? Na pewno nie te, których się spodziewa. Będą one przede wszystkim kłamliwe i niezgodne z obiektywną rzeczywistością. I ten właśnie wypadek zachodzi w Rosji, której rząd marksowski w wydaniu komunistycznym łudzi siebie i innych, (o ile oczywiście są tam jeszcze ludzie, którzy po 20 latach panowania komunizmu podlegają podobnym złudzeniom), że cały czas działa na dobro „wszystkich" w celu podniesienia dobrobytu materialnego i moralnego mas. W rzeczywistości jest coraz ciężej i gorzej. Zapowiadane ściągnięcie nieba na ziemię, po odrzuceniu mrzonek moralnych i religijnych, nie następuje, a jeśli już coś zeszło na ziemię to chyba piekło; na miejsce dobrego Pasterza zjawił się władca inny; świat nie toleruje próżni.

Doktryna Marksa jest więc w znacznym stopniu odpowiedzialna za popełnione w Rosji okropności i zbrodnie, co nie przeszkadza twierdzeniu, że cały splot sposobów ciemiężenia i dręczenia ludności oraz metody rządzenia zostały w komunistycznym reżimie przejęte podświadomie przez nowych władców od ich poprzedników, carów, z tą tylko różnicą, że każda dawna okropność podniesiona została za rządów komunistycznych do „planetarnej skali". Śmiało można powiedzieć, że linia despotycznego caryzmu nie została przez bolszewików złamana, lecz przeciwnie wzmożona i spotęgowana do wyższego stopnia.

Jeżeli Jan Kucharzewski [1]) pisze, że: „nie ma takiej potworności w okresie petersburskim, która by nie miała swego pierwowzoru, w bardziej barbarzyńskim kształcie, w epoce moskiewskiej", to można powiedzieć z kolei, że nie ma ta-

[1]) Jan Kucharzewski: *Od Białego Caratu do Czerwonego*, t. I.

kiej potworności w okresie carskim, która by nie ujawniła się w okresie rządów bolszewickich i nie została przez nowych władców, niewolniczonego przez wieki narodu, podniesiona do „skali planetarnej".

Historyk Kluczewski odnajduje pierwowzory metod i stosunków bolszewickich w XVI wieku carskiej Moskwy:

Odnajdujemy tam, — pisze — strona po stronie rzeczywistość obecną. Brak pojęć prawnych, nędzę narodu, przebiegłość wielkich, ich nieufność w stosunku do zagranicy, dążność do stworzenia imperium zamkniętego, tendencję do izolacji w wyniku świadomości niższości Rosji wobec swych sąsiadów zachodnich.

A I. Sołoniewicz, który sam przeszedł gehennę ucieczki z Rosji zaznacza:

Żadne państwo na świecie nie ochrania tak starannie przed zbiegami swojej granicy, jak Związek sowiecki.

Ustawa z 9 czerwca 1935 r. grozi karą śmierci za usiłowanie ucieczki z komunistycznego raju. Do tego stopnia — jest tam miło i dobrze.

Od XVI wieku — ciągnie dalej historyk Kluczewski — carowie zakładają, przy pomocy specjalistów zagranicznych, wzorowe gospodarstwa, sprowadzają narzędzia, lecz we wszystkich przedsięwzięciach ponoszą klęskę, odpowiedzialność za to zrzucają na podwładnych, których męczą i ścinają.

Skutki tępienia w Rosji bolszewickiej t. zw. szkodnictwa i sabotażu, spadają w znacznej ilości wypadków na jednostki, nie mające nic wspólnego z właściwym i świadomym sabotażem, czy szkodzeniem państwu; jest to tylko kara za ogólne złe funkcjonowanie przedsięwzięć państwowych, gdzie zawsze należy znaleźć jakieś kozły ofiarne. Kozłami ofiarnymi rabunkowo-katastrofalnego przeprowadzania kolektywizacji padły jednostki spośród średnich i niższych władz komunistycznych, które ją ściśle według instrukcji otrzymanych z góry przeprowadzały, aż do chwili, w której Stalin uznał, że „dostały zawrotu głowy od powodzenia". Kluczewski pisze w swej historii:

Carowie, zakładają monopol handlu futrami, rybami złowionymi w Wołdze, drogimi tkaninami. Rybacy i myśliwi winni składać całkowity owoc swej pracy faktorom monarszym. Władze

lokalne żyją ze zdzierstwa. Przez ponure intrygi władza przechodzi z rąk jednych potentatów do drugich, wyrugowani są skazani na deportację, wraz z rodzinami, do tych samych stron co współcześnie... Klasztory jak suzdalski i sołowiecki, gdzie wysyłano dawniej heretyków, stały się obecnie „miejscami izolacyjnymi" dla heretyków socjalistycznych. Zapadłe wsie w śniegach północy, dokąd w ciągu wieków carowie zsyłali swoje sługi w niełasce, są obecnie zaludniane przez zesłańców politycznych. Jak w czasach zamierzchłych, zsyła się ich wraz z rodziną, bo w społeczności rosyjskiej prawa jednostki nie są szanowane, z jednostką nie liczą się wcale. Piotr I żąda, aby bojarowie własnoręcznie brali udział w egzekucjach, którym osobiście przewodniczył na Placu Czerwonym. Stalin żąda, aby wszyscy obywatele domagali się kary śmierci dla tych, których chce się sam pozbyć. Biada tym, którzy w obu tych wypadkach, odmówią posłuszeństwa.

Jak za czasów Aleksego Michajłowicza (1645—76) i Mikołaja I, zbrodnią jest chcieć wyjechać za granicę i jest się od razu podejrzanym za samą czynność korespondowania z Londynem, czy Paryżem. Mikołaj I zatwierdził na całą Rosję typy cerkwi. Obecnie poczynając od druku gazet, a przechodząc poprzez budowę klubów robotniczych i więzień, wszystkiego dokonywa się według wzorów podawanych przez rząd centralny. Im więcej obawiano się cara... tym większymi były pochwały otaczających go dworaków... Trzeba było aż rozstrzeliwania najstarszych towarzyszy Lenina, ażeby prasa oficjalna nazwała Stalina „Naszym Słońcem".

Carosławie było jedną z cech samodzierżawnej doktryny rządzenia. Bałwochwalcza ta cecha została atawistycznym nawykiem wyolbrzymiona w Rosji bolszewickiej, oczywiście w odniesieniu do wodza proletariatu. Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe. Wszechmocny na ziemi car, będący równocześnie głową kościoła prawosławnego, uchodził bądź co bądź za pomazańca Bożego, w imieniu którego sprawował rządy na ziemi. Ze zniknięciem samego pojęcia Boga, szczytem w światopoglądzie marksowskim o podszyciu atawistycznym samodzierżawno-carskim, mogła zostać tylko najwyższa ziemska władza, to jest wódz proletariatu. Tak się też i stało. Stalin stał się tym imperatorem nad imperatorami, uzyskując najwyższe tytuły jaki marksowski światopogląd mógł mu nadać, chwalba zaś jego osiągnęła szczyty nieznane, nawet za czasów carskich.

Ponieważ człowiek, jak by go nie poniżać, ograniczać i upadlać, mimo wszystko zawsze pozostaje człowiekiem

i myślą swą, nawet zupełnie nieświadomie, wybiegać będzie w sfery pozaziemskie, dlatego też chwalba wodza proletariatu światowego wybiegła z kręgu czysto ziemskiego i wyraziła się w pojęciach kosmosu ducha. *Izwiestia* z dnia 15 sierpnia 1936 r. drukuje panegiryk poety kozackiego Djambula[1]) na cześć Stalina, w którym czytamy słowa: „Stalinie ukochany, mieszkańcu mojej duszy. Wieszcze nie wiedzą z kim cię porównać. Poeci nie mają dosyć pereł aby cię opisać". Zaś lotnik Czkałow, w innym numerze tegoż dziennika: „gdzie zjawia się Stalin, ciemności się rozpływają i słońce świeci". *Izwiestia* z 23 sierpnia 1936 r. pisze: „Stalin nasze słońce i jego geniusz". *Prawda* z 23 sierpnia 1936 r. publikuje poemat uzbecki:

O wielki Stalinie, o wodzu narodów,
Ty, coś stworzył człowieka,
Ty, coś zapłodnił ziemię,
Ty, co odmładzasz wieki,
. . . . . .
Ty, wspaniałości mojej wiosny, o Ty
Słońce odbijające się w milionach serc.

Górnicy, w jednym z adresów wiernopoddańczych piszą w następujący sposób:

To twoja wielka miłość ogrzewa nas i zsyła natchnienie. Natchnieni przez ciebie, nasz mądry mistrzu... budujemy nasze życie, wolne, szczęśliwe i cywilizowane... serca wszystkich pracujących... przepełnione są gorącą miłością dla ojczyzny, dumą z wielkich zwycięstw socjalistycznych, miłością i poświęceniem bez granic dla kochanej naszej partii komunistycznej i dla ciebie, nasz kochany mistrzu i wodzu, towarzyszu Stalinie.

Stalin, dzierżący w swych dłoniach najwyższą władzę w państwie komunistycznym, nie potrzebuje specjalnie zabiegać o honory i czołobitność swych poddanych, przychodzą one same przez się do niego, ścieląc się u jego stóp. Czołobitność ta i „miłość" do niego, oparte są na panicznym strachu małych, zgniecionych towarzyszy przed towarzyszem wodzem, którego władza przewyższa władzę rzymskich imperatorów, czy faraonów egipskich.

[1]) Cytuję za Kibalczycem.

Płynność i niesprecyzowanie poglądów na formę rządzenia ułatwia Stalinowi jego krwawą dyktaturę.

Stalinizm — pisze G. Welter[1]) — to kadry elastyczne, w które włożyć można, zarówno jak i wyjąć, wszystko co się tylko chce.

Można było przez lat kilkanaście uznawać socjalistów zachodnio-europejskich za „pachołków kapitalizmu", a potem nagle uznać ich za pobratymczych sprzymierzeńców, dla zlansowania koncepcji frontów ludowych. Uznając socjalistów Zachodu równocześnie gnębi się ich stale w Rosji, na równi z wszystkimi kontr-rewolucjonistami. Można przez długie lata uznawać urządzanie „choinki" za zbrodnię przeciwko ustrojowi komunistycznemu, aby pewnego pięknego poranku uznać „czerwoną choinkę" za obowiązek każdego prawowiernego komunisty. Można było przez kilka lat w drakoński sposób przeprowadzać kolektywizację rolnictwa, by nagle ją wstrzymać, a „winnych nieumiejętnego przy zawrocie głowy" przeprowadzania jej potępić i ukarać.

Przykładów podobnych można cytować dziesiątki. Ale też nie można się dziwić poddanemu państwa komunistycznego, że zapytany w jakiejś kwestii o zdanie, odpowiada ostrożnie, że jeszcze „dzisiejszych gazet nie czytał". Obywatel rosyjskiej komuny nie może wiedzieć co dzisiaj uznane ma być za obowiązujące i czy wczorajsze czarne nie jest dziś uznawane za białe. A może pytający jest po prostu prowokatorem i denuncjantem? Oto atmosfera „wolnej niezależnej myśli".

Bucharin, długoletni czołowy ideolog, filozof i dogmatysta marksowski, obecnie pogrążony w niełasce, pisał swego czasu:

Moralność każdej religii prowadzi wiernych drogą określoną. Między nakazami taktyki komunistycznej, a wskazaniami religii są bardzo często sprzeczności nie do pogodzenia, dlatego też komunista musi być bezwyznaniowcem i dla pozyskania zwolenników komunizmu trzeba zwalczać religię, która stwarza w człowieku odrazę do sprawiania bólu; kiedy człowiek pozbędzie się skrupułów, pozyskany będzie dla sprawy rewolucji.

---

[1]) G. Welter: *Histoire de la Russie communiste.*

A w innym miejscu, wraz z Tomskim, nauczał:

Pod dyktaturą proletariatu mogą istnieć dwie, trzy, cztery partie, pod warunkiem, że jedna będzie u władzy, a drugie w więzieniu.

Ze swej strony Łunaczarski głosił zasadę:

Miłość chrześcijańska jest przeszkodą w rewolucji. Precz z miłością bliźniego! Nienawidzimy i potrafimy nienawidzieć!

Przy podobnych pojęciach i równoczesnym braku „określonej drogi", rządzić muszą tłumem ludzkim chwilowe kaprysy myślowe czy nastroje władzy, która nie ma przed sobą żadnych ograniczeń i realizuje to, co najsilniejszy w danej chwili zrealizować zamierza. Najsilniejszym zaś od szeregu lat jest Stalin, stąd jego przemożny jakkolwiek bynajmniej niekonsekwentny wpływ na kształtowanie się stosunków w marksowskiej Rosji. Oczywiście z tej samowładnej dyktatury wyniknąć musiało nie notowane dotychczas w historii świata, uciemiężenie setek milionów ludzi, doprowadzanych stopniowo do stanu kompletnej prostracji i niezdolności do samodzielnego myślenia, we wszystkich dziedzinach, mających jakąś łączność z poglądem na świat. Każde bowiem „odchylenie" myślowe od tego co w danym momencie obowiązuje, grozi tą czy inną „likwidacją" odważającej się myśleć jednostki.

Obecnie, po dokonanych czystkach w gronie najtęższych filozofów komunizmu, istnieje tylko czterech ewangelistów ortodoksyjnego marksizmu: Marks, Engels, Lenin i Stalin, których wolno komentować tylko do pewnego stopnia, ale bezpieczniej jest jedynie „cytować". Toteż myśl sowiecka znajduje się jak w klatce, w której myślowy pacjent nie może nawet swoich członków rozprostować, nie mówiąc o tym, aby mógł tę klatkę opuścić. Oczywiście stan ten może być tylko przejściowym i wszystko raczej przemawia za tym, że tak właśnie będzie, w przeciwnym razie marksizm idąc po obecnej linii myślowej niewoli, zadusiłby się znacznie prędzej, aniżeli na to inne oznaki wskazują.

Tak więc dynamiczny marksizm realizowany w swej formie totalnego komunizmu ma swoją wielką, aczkolwiek arcydramatyczną rolę do wypełnienia na arenie świata i póki

ta jego „misja" się nie wypełni, trwać musi. A upadek jego działania nie jest jeszcze wcale bliski. Marksizm dynamiczny posiada bowiem do swej dyspozycji własną ogromną organizację państwową, olbrzymią armię, trzyma w swych szponach blisko 200 milionowy naród, nie licząc milionów ćwierć, pół i całkowitych zwolenników poza granicami Rosji. Zwolennicy ci pracują dalej świadomie, lub nieświadomie na rzecz moskiewskiej tyranii, a pomoc ta znaczy bardzo wiele, zwłaszcza wobec ogólnego ideowego rozkładu na świecie.

I dlatego bilansując dwudziestolecie sowieckiego komunizmu nie ośmielamy się wieścić jego rychłego upadku, pomimo tworzenia się potężnego bloku państw totalnych, jednoczących się na platformie walki z komunizmem.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Polityczna i gospodarcza konsolidacja.

Zefiry pokojowe.

Ginący świat kapitalizmu zawisnął między pokojem a wojną. W ciągu lata wzmagało się niebezpieczeństwo nowej powszechnej rzezi, zdolnej zniszczyć Europę wiele gruntowniej niż poprzednia. Jesienią niebezpieczeństwo to sięgnęło punktu kulminacyjnego. Zdawało się, że nic już nie zdoła powstrzymać rozszerzenia na cały ląd eurazjatycki pożogi, która ogarnęła jego krańce, Hiszpanię i Chiny.

Doraźne *remedium* jednak się jeszcze znalazło. Zaalarmowana bezpośrednio na Dalekim Wschodzie, pośrednio na naszym kontynencie, ogólnie zaś prawdopodobieństwem wybuchu nowej zawieruchy światowej już na najbliższą wiosnę, Ameryka, podparła równowagę międzynarodową globu. Ogień podłożony przez komunę na zachodzie, w Hiszpanii, zdołano przygasić. Tym groźniej wzmógł się on na Dalekim Wschodzie i stamtąd nadciąga nadal niebezpieczeństwo. Ale wiatr od Atlantyku, powiał łagodniejszy, pokojowy.

Ginący świat kapitalizmu, opanowawszy doraźnie, przynajmniej od zachodniej strony, straszliwe niebezpieczeństwo jakie nad nim zawisło, zdobywa się obecnie na najwyższy wysiłek, by osiągnięty sukces rozszerzyć i utrwalić. Mocarstwa zachodnie rewidują swą dotychczasową politykę wobec Europy środkowej i wschodniej, szukają nowych dróg, zdają się być gotowe do szerokich inicjatyw także w dziedzinie międzynarodowo-gospodarczej, ażeby ekonomicznie usprawnić swoich sprzymierzeńców wschodnich, podnosząc tym samym ich potęgę militarną. Jeżeli się te zamiary powiodą,

to można by stąd oczekiwać zarazem politycznego odprężenia w Europie, nowej fali światowej „dobrej koniunktury", oraz co najważniejsza „podciągnięcia" państw środkowowschodnich na drodze rozwoju gospodarki kapitalistycznej. Jeżeli się, powtarzam, zamiary te powiodą, to tym samym ginący świat kapitalizmu, ratując się przed wojenną zagładą, przedłużyłby swój żywot w ramach ustroju, który mu tak długo zapewniał pomyślność; równocześnie zaś dopomógłby do zmontowania tego ustroju na środkowym wschodzie, gdzie dotąd jeszcze znajduje się on w stadium pierwotnym.

Jeżeli więc świat kapitalizmu zawisnął obecnie między pokojem a wojną, to znaczy, że zawisnął nie tylko między zachowaniem się lub zniszczeniem materialnym społeczeństw lecz także ich dotychczasowego ustroju. Trzeciej, organicznej drogi przebudowy kapitalizmu na ustrój inny, nowy, powiedzmy korporacyjny, świat dotąd nie odkrył pomimo przedsiębranych w tym kierunku prób.

Nie inaczej też jest u nas w Polsce. Ewolucja położenia międzynarodowego, obok przyczyn miejscowych, wywarła silny pływ na przebieg naszego wewnętrznego dramatu społeczno-politycznego w ostatnich latach. Jeszcze w r. 1935 wystąpiły pierwsze, wewnętrzne i zewnętrzne, bodźce przemian w postaci zgonu marszałka Piłsudskiego oraz wprowadzenia nowej konstytucji. W kilka miesięcy później, jesienią, skutkiem zbyt powolnego „przemijania kryzysu" w gospodarstwie światowym, zagroził nam deficyt budżetowy. Został on opanowany po części za pomocą drakońskiego zaciśnięcia pasa państwowej gospodarczej polityki deflacyjnej, jeszcze bardziej zaś dzięki przyśpieszeniu tempa „dobrej koniunktury" światowej opartej na zbrojeniach i nieurodzajach. Równolegle i zgodnie z tymi fluktuacjami położenia ekonomicznego przeobrażały się prądy polityki wewnętrznej ze strony państwa i społeczeństwa. Jesienią r. 1935, w obliczu depresji gospodarczej usunięto od steru rząd „pułkownikowski". Nie bez kolizji z duchem wprowadzonej przezeń ordynacji wyborczej oraz wyłonionego z niej sejmu, proklamowano rząd pseudo-liberalizmu według koncepcji Kościałkowski — Kwiatkowski. Szło o to, ażeby społeczeństwu osłodzić zaciśnięcie pasa, a zarazem zapewnić

sobie jego współdziałanie i współodpowiedzialność w borykaniu się z przeciwnościami.

Na wiosnę r. 1936 kryzys gospodarczy „już minął" to znaczy, że drogą zwiększonego obrotu zagranicznego dotarły do Polski dodatnie wpływy „powrotnej fali" koniunktury światowej, wyżej wspomnianej. Deficyt budżetowy opanowano. Z drugiej strony społeczeństwo naprzód sprowokowane ordynacją wyborczą, następnie zaś ośmielone „kiereńszczyzną" zareagowało żywym fermentem publicystycznym o nastrojach wybitnie sejmowładnych. W oparciu o poprawę gospodarczą postanowiono temu położyć kres. Wiosną 1936 nastąpiła „militaryzacja reżimu" przez buławę marszałkowską dla Naczelnego Inspektora Sił Zbrojnych oraz dekret zapewniający mu stanowisko drugiego po Prezydencie Rzplitej zwierzchnika władzy państwowej. Na czele rządu stanął generał Składkowski. Naczelne Dowództwo Armii w swej nowej roli nie omieszkało wkrótce wystąpić czynnie, zarówno na wewnętrznej jak zewnętrznej widowni politycznej. Dążność do zbliżenia władzy państwowej ze społeczeństwem została utrzymana. Pomimo, iż przeszła teraz w ręce wojskowe, nie wiele nawet zmieniła się w metodach, bądź co bądź, nieco przypominających rządy Kiereńskiego w Rosji. W takim właśnie stylu wypadł zwłaszcza słynny zjazd ze stronnictwem ludowym w Nowosielcach. Nie bezpodstawnie pisano o nim później w prasie, że autorytetowi władzy niezbyt się ten zjazd przysłużył. Znacznie poważniejszym i skuteczniejszym okazał się zabieg zagraniczny w postaci wymiany odwiedzin pomiędzy Naczelnymi Wodzami Wojsk polskich i francuskich. Z tej wymiany zrodził się jak wiadomo, znaczny kredyt francuski dla Polski, przede wszystkim wojskowy, który obecnie stanowi jedną z najważniejszych naszych odskoczni w „odbijaniu od dna" kryzysu.

Ten udatny krok dokonany został pod wybitną presją coraz groźniejszego położenia międzynarodowego. Ono też nagliło w pierwszym rzędzie do dalszych energicznych wysiłków w zakresie gospodarczego „podciągnięcia Polski wzwyż". Hasło to stało się przewodnym dla „zmilitaryzowanego" reżimu; w oparciu zaś o „powrotną falę" koniunktury i uzyskany we Francji kredyt skonkretyzowało się na wio-

snę br. w „wielkim planie" wicepremiera Kwiatkowskiego, oraz w projekcie budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego w sandomierszczyźnie. Na pierwszy plan polityki wewnętrznej polskiej, włącznie z wzajemnym stosunkiem władzy i społeczeństwa, wysuwać się teraz poczęły naglące i ogromne zadania w charakterze wybitnie rzeczowym, od których zależy zarówno zdolność kraju do wyżywienia swej ludności, jak zdolność państwa do obrony niepodległości. Równolegle i zgodnie z tą orientacją „para-militarną" naszej polityki gospodarczej wdrożono urzędowy kurs konsolidacji społeczeństwa z państwem w programie i organizacji „Ozonu".

Powściągliwy, umiarkowanie liberalny, ten program wespół z niemniej powściągliwą i zachowawczą polityką gospodarczą państwa, wywołały na razie w społeczeństwie efekt raczej przeciwny zamierzonemu. Zamiast konsolidacji poczęła się wzmagać dekompozycja. Stało się to przede wszystkim dlatego, że poczynaniom obozu rządzącego brakowało dynamiki czynu dość heroicznego, by sprostać olbrzymim niebezpieczeństwom gospodarczym i politycznym gromadzącym się wewnątrz i zewnątrz państwa. Toteż rzeczowość haseł wysuniętych przez Ozon i program państwowej polityki gospodarczej nie podziałała dość pociągająco na opinię. Przewagę w niej zachowały dawne niechęci partyjne i emocjonalne sympatie ideowe, prawicowe lub lewicowe, nacjonalistyczne lub klasowe. Wydawało się przez czas dłuższy, że nie ma innej drogi dla obozu rządzącego, która by doprowadzić mogła do harmonijnej współpracy z rządzonymi, jak tylko opowiedzieć się za którymś z haseł ideologicznych, jakie je zdawna dzieliły na wzajemnie sobie wrogie odłamy.

Między nacjonalizmem a radykalizmem klasowym jako popularnymi prądami społecznymi wybór w Polsce jest jednak szczególnie trudny. Nacjonalizm zwraca siły społeczeństw przede wszystkim na zewnątrz, ku międzynarodowej lub narodowościowej walce o byt; marksizm przede wszystkim ku wewnętrznej, pionowej, społecznej walce klas. Stąd owe prądy stosunkowo łatwo i totalnie mogły opano-

wać Niemcy i Włochy, których główną konieczność życiową stanowi ekspansja, albo Rosję, która ekspanji nie potrzebuje, ale zdawna więcej niż inne narody cierpiała wskutek niedorozwoju i niesprawiedliwości społecznej. W Polsce zaś równolegle i coraz groźniej wzmaga się zagrożenie zewnętrzne i wewnętrzne, międzynarodowe, społeczne i gospodarcze.

Toteż w swej akcji konsolidacyjnej Ozon, teoretycznie wprawdzie, zachowywał stanowisko centrowe. Zgodnie z tradycją marszałka Piłsudskiego, akcentował ideotwórcze dążności samoistne w kierunku „polonizmu" i demokracji kierowanej. Gdy to jednak nie chwytało, próbowano przechylić się w kierunku prądów i ugrupowań nacjonalistycznych. Stąd nastąpiła reakcja lewicowa w łonie samego obozu rządzącego i w ciągu lata Ozon wstąpił w okres dość rozpaczliwych szamotań się między istniejącymi prądami społecznymi, co tylko wyraźnie pogłębiło dekompozycję.

Centralny okręg i centrowy zwrot.

Rozstrój ten osiągnął dotychczasowy swój szczyt latem znów dzięki przede wszystkim rzeczowej ewolucji wewnętrznego i zewnętrznego położenia kraju. Pogarszało się to położenie alarmująco od strony międzynarodowej w sensie zagrożenia pokoju i niepodległości polskiej. Ale zaostrzało się też od strony społecznej, gdyż ekonomiczne „odbijanie od dna" przez państwową politykę gospodarczą najwidoczniej niedostatecznie przeciwdziałało niezmiernej nędzy mas ludzkich, zwłaszcza na wsi. Na takim tle wzmogły się fermenty idące z dołu, od rządzonych ku rządzącym. A więc przede wszystkim nacjonalistyczna samoobrona przed zatłoczeniem przez żywioł żydowski zawodów inteligenckich (uniwersytety) oraz drobnego handlu (spolszczczenie miast). To znowu rozruchy chłopskie i ponowne ożywienie dążeń do „reformy rolnej". Władza państwowa reagowała na to przeważnie ustępliwością, niekiedy, jak przy rozruchach chłopskich — represjami. Autorytet nie zawsze z tych opałów wychodził bez uszczerbku, zwłaszcza na terenie uniwersyteckim. Na ogół wobec coraz bliższego niebezpieczeństwa wojny, którą zdawały się zapowiadać zwłaszcza prowokacje niemieckie, przewagę tak

w łonie obozu rządzącego, jak w społeczeństwie począł osiągać prąd nacjonalistyczny. Zwrot w tym kierunku, zaznaczył się najwyraziściej w kontakcie Ozonu z pewnymi grupami młodzieży nacjonalistycznej, oraz w interwencji władzy państwowej przeciwko lewicowemu zarządowi ZNP.

Całokształt tej dekompozycji rozwijał się przede wszystkim na tle niedostateczności środków materialnych stosowanych przez politykę państwową dla walki z wewnętrznym zagrożeniem społeczno-gospodarczym, oraz zewnętrznym zagrożeniem wojennym. Cechował jednak tę pozycję Ozonu również niski stopień uświadomienia w zakresie tej jej przyczyny zasadniczej. Stąd prymitywizm i niecelowość metod walki z niedorozwojem społeczno-gospodarczym, czerpanych jedynie z arsenału liberalizmu lub walki klas czy walki ras. Podobnie jak w stosunkach międzynarodowych nikt dotąd nie dostrzega konstruktywnego wyjścia z impasu, pomiędzy wojną a kapitalizmem, tak też i w naszych wewnętrznych stosunkach polskich nie dostrzegamy, a przynajmniej nie śmiemy wkroczyć na żadną inną drogę, jak tylko budowa kapitalizmu od podstaw, albo radykalizm klasowy czy rasowy. Pewne postępy uświadomienia w tym zakresie ujawniają się już wprawdzie tak ze strony obozu rządzącego, jak również społeczeństwa. Godzi się tu zwłaszcza wspomnieć o zwołanym przez rząd zjeździe inżynierów we Lwowie, gdzie wyraźnie przebijała skłonność do rzeczowej radykalizacji naszej polityki kredytowej i walutowej. Jednak te postępy są jeszcze zbyt słabe ażeby zaciążyć na rozwoju sytuacji. Ważny w niej zwrot nastąpił znów pod wpływem jedynie zmian rzeczowych, spowodowanych w pewnej części celowo polityką gospodarczą państwa, ale w stopniu, który może się okazać rozstrzygającym, uruchomionych znów od strony międzynarodowej.

Tym czynnikiem zwrotu, rzeczowym pozaemocjonalnym, więc może dlatego właśnie zdolnym do złagodzenia fermentu rozbieżności ideologicznych okazał się naprzód Centralny Okręg Przemysłowy. Jak wiadomo jest to „paramilitarna" gospodarcza koncepcja osobista wojskowego wicesuwerena Polski, marszałka Śmigłego. W uzasadnionej trosce o potencjał przemysłowy kraju jako podstawę jego wojennej

zdolności obronnej podjął tę inicjatywę Naczelny Wódz, zeszłoroczną zaś podróżą do Francji i uzyskanym tam kredytem zapewnił jej realizacyjne wdrożenie. „Powrotna fala" koniunktury, wzrost dochodów skarbowych i „wielki plan" min. Kwiatkowskiego pozwoliły już dosyć poważnie rozwinąć budowę tego nowego zagłębia. Ten fakt wywarł na społeczeństwie niewątpliwie dodatnie wrażenie i w porę przybył z odsieczą przeciwko „dekompozycji".

Skuteczność wprawdzie tej odsieczy pozostawała problematyczną, dopóki nie było nadziei ażeby budowa okręgu mogła posunąć się naprzód szybciej jak tylko w tempie, na który pozwalają właśnie siły i środki Polski, mobilizowane w drodze deflacyjnej polityki gospodarczej. Jednak w tym właśnie względzie może przyjść z pomocą niebywały *Deus ex machina*, jeżeli zracjonalizowana międzynarodowa reakcja pacyfistyczna, o której wspominałem na początku, istotnie osiągnie swój cel. W tym bowiem wypadku może nadciągnąć do Polski kapitał międzynarodowy w ilościach bardzo znacznie przewyższających jego dotychczasowy u nas stan posiadania.

Gdyby się tak stało to Centralny Okręg mógłby istotnie zostać zmontowanym w ciągu paru lat, w drodze procedury wielko-kapitalistycznej, a więc bez przebudowy ustroju. Nie jest to jeszcze perspektywa pewna, jednak na tyle realna, że warto bliżej rozważyć zarówno jej doraźny efekt, jak dalsze możliwości i następstwa.

Dwie drogi Polski.

Doraźny efekt okazał się dość znacznym. Rozwinął się dwutorowo: od strony bezpośredniego wpływu zmian zachodzących za granicą, oraz od strony pośrednich nadziei gospodarczych, jakie z tych zmian zdają się powstawać dla Polski. Zmiany zagraniczne dotknęły Polskę bezpośrednio po raz pierwszy w jesiennej manifestacji polonofilskiej prezydenta Rooselvelta, a więc wkrótce po oświadczeniach solidarności Ameryki z demokracjami europejskimi przeciwko totalizmom, oraz w widocznym z nimi związku. Chociaż realne wyniki tej solidarności nie od razu się ujawniły,

jednakże jakby w przeczuciu, że mogą się poważniej rozwinąć, zapoczątkowały je same Niemcy w znanej wymianie pojednawczych deklaracyj mniejszościowych z Polską. Nieco później, gdy wpływ nowego „trójporozumienia demokracyj" zachodnich zaznaczał się coraz silniej w Hiszpanii, a równocześnie żywo rozwijała się dyplomatyczna wymiana zdań pomiędzy tymże trójporozumieniem a Polską, wypadło tę ewolucję międzynarodową przyjąć w rachubę także w polskiej polityce wewnętrznej. Odtąd ze względu na obiecujące współdziałanie nasze z demokracjami zachodnimi, było by niezręcznie kurs polityki wewnętrznej państwowej, a nawet ozonowej, orientować w kierunku totalizmu nacjonalistycznego, czy tym mniej klasowego.

To wskazanie szło więc do Polski naprzód torem od zewnątrz. Tym bardziej nie mogło ono pozostać bez skutku, że na torze wewnętrznym również ujawniła się konieczność jakiegoś wyjścia spośród coraz ostrzejszej dekompozycji zwłaszcza w samym obozie rządzącym. Czynnikiem rzeczowym, który umożliwił zwrot, stało się wewnątrz kraju naprzód poważne zapoczątkowanie prac nad budową Centralnego Okręgu Przemysłowego. Czynnikiem zaś psychologicznym, który ten zwrot poparł stała się od zewnątrz idąca perspektywa dalszego szybkiego postępu tej budowy w oparciu politycznym i ekonomicznym o „trójporozumienie demokracyj". Pod wpływem tego zespołu bodźców myśl konsolidacyjna obozu rządzącego zawróciła dość ostro z kierunku nacjonalistycznie totalizującego, w którym się poczęła angażować idąc naprzeciw nastrojom przeważającym w społeczeństwie. Złagodzono stosunek do ZNP, pan Prezydent Rzplitej przyjął na długim posłuchaniu liczną delegację PPS. Nie oznaczało to jednak głębszego zwrotu na lewo, lecz tylko przywrócenie równowagi centrowej. Przewodnia myśl orientacji ozonowej (pierwotnie, w deklaracji płk. Koca również bardziej centrowej niż nacjonalistycznej) została teraz w tym swoim charakterze odnowiona, podkreślona i sformułowana na „odprawie" w Prezydium Rady Ministrów pod hasłem „bez socjalistów i bez endeków". W tej skorygowanej wersji myśl polityczna Ozonu zdołała rozbroić dotąd tak żywą opozycję lewicową w środowisku legionowym i po zjazdach

lwowskim i wileńskim osiągnęła doraźnie upragniony cel konsolidacji przynajmniej w obrębie rządzącego obozu.

Nie jest to może przełom, ale jest w każdym razie ważki zwrot w naszym wewnętrznym położeniu politycznym. Obóz rządzący odzyskuje doraźnie swą zwartość ideową i organizacyjną oraz zdolność do jednokierunkowego czynu. Teraz może w zasadzie znów wyruszyć ku społeczeństwu by je przyciągnąć do współpracy na swojej linii. Jakaż to linia?

Zasadniczo ta sama, którą wskazała deklaracja płk. Koca, a którą wciela w czyn polityka gospodarcza wicepremiera Kwiatkowskiego. Ogniskuje się ona przede wszystkim w niespornej dla nikogo koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego. Umocniła się o tyle, że obecnie może się oprzeć na pewnych na tym gruncie osiągniętych już wynikach, oraz, że pozyskała, wydające się być realnymi, widoki poprowadzenia tego dzieła narodowej obrony we właściwym tempie i we właściwej mierze. Te widoki nadciągnęły ku Polsce z zagranicy i pozostają w związku z wszczętą przez wielkie demokracje zachodnie akcją ratowania pokoju oraz podźwignięcia światowej gospodarki kapitalistycznej.

Istotnie w tym kierunku zarysowuje się jedna z dwóch dróg wyjścia ze śmiertelnego impasu w jaki zabrnął świat kapitalizmu, a z nim także i Polska. Droga to zachowawcza. Mocarstwa zachodnie pragnęłyby na niej ocalić pokój za cenę możliwie minimalnych zmian w międzynarodowym podziale terytoriów kolonialnych oraz, możliwie bez zmian terytorialnych w Europie. Pragnęłyby również wprowadzić gospodarkę światową w nowy okres rozkwitu nie naruszając jej kapitalistycznego ustroju. Jednym z najważniejszych środków, które by miały do tego celu prowadzić, jest gospodarcze podniesienie środkowego-wschodu Europy.

W tej perspektywie powstają i dla Polski widoki, że mogłaby ona w tak ujętym współdziałaniu międzynarodowym, nie porzucając ustroju kapitalistycznego, wyprowadzić swe gospodarstwo narodowe z zacofania do stanu proporcjonalnego z zasobnością, a tym samym i potęgą mocarstw zachodnich. Nie ulega wątpliwości, że jest to perspektywa ponętna dla społeczeństwa, które się zżyło z liberalizmem politycznym i gospodarczym, a które po-

dobnie jak sfery rządzące bardzo niejasno przedstawia sobie możliwość odmiennego ustroju i metod stworzenia dobrobytu. Jest to droga zachowawcza odpowiadająca najlepiej konserwatyzmowi rozpowszechnionych pojęć i dlatego też wydaje się najdostępniejszą. Zachowawczą jest ta droga dla Polski również w znaczeniu wewnętrzno-politycznym. Władza państwowa, która zdoła zapewnić rządzonym dobrobyt i bezpieczeństwo narodowe utrwala swoje podstawy i zapewnia własną swą polityczną przyszłość najzupełniej niezależnie od tego jaką metodą, zachowawczą czy rewolucyjną ten cel osiągnie.

Gdyby po miliardzie kredytu francuskiego nadeszło do Polski jeszcze parę miliardów kredytów nowych, gdyby Centralny Okręg wyrósł w tępie niemniej „amerykańskim" jak Gdynia, całe zaś życie gospodarcze kraju ruszyłoby z miejsca z nieznanym dotąd u nas impetem, redukując szybko bezrobocie, przesuwając nadmiar ludności wiejskiej do rozwijającego się przemysłu — to wszystkie dotychczasowe tarcia społeczne i polityczne straciłyby w wysokim stopniu na sile. Rozrósłby się i okrzepł kapitalizm w Polsce, a wraz z nim także ten umiarkowanie liberalny ustrój państwowy, który Polska obecnie posiada; wreszcie wzmocniłby się także ten układ sił politycznych jaki obecnie istnieje, ta elita rządząca, która by wtedy mogła być dumna z dokonanego dzieła. Zdałaby wszak egzamin ze zdolności rządzenia, zyskując zaufanie większości społeczeństwa.

Ta właśnie droga zdaje się obecnie o tyle nabierać aktualności, że przysłania drugą, bardzo od niej odmienną, która jedynie pozostawała otwartą jeszcze na schyłku ostatniego lata. Pisaliśmy o niej niejednokrotnie. To droga przebudowy ustroju, która jedynie mogłaby uzdolnić Polskę do wydźwignięcia się z otchłani nędzy gospodarczej oraz słabości politycznej — o własnych siłach. Droga to niewątpliwie bardzo dostępna tak pojęciowo, jak praktycznie. Droga raczej rewolucyjna niż ewolucyjna, mało zachowawcza w sensie wewnętrzno-politycznym. Obóz rządzący nie ma chęci, nie ma również tych właściwości psychicznych i umysłowych jakimi by rozporządzać musiał, ażeby na tę stronę drugą kraj wprowadzić.

Nadzieja z zastrzeżeniami.

Którą z tych dwu dróg pójdzie szukać swego ratunku świat i Polska, to pozostaje jeszcze kwestią otwartą, pomimo chwilowego wzrostu widoków drogi zachowawczej. Ten wzrost jest nader pożądanym, może nawet zbawczym zrządzeniem Opatrzności, przede wszystkim dlatego, że doraźnie odsuwa bardzo już przedtem bliskie niebezpieczeństwo wojny. Mógłby się okazać pożytecznym gdyby się należycie rozwinął i dopomógł krajom ekonomicznie zacofanym w odzyskaniu równowagi sił gospodarczych z krajami przodującymi; gdyby tym krajom zacofanym pozwolił nabrać rozpędu rozwojowego metodami które im są znane, nie zmuszając z góry do niebywałych w tej dziedzinie odkryć.

Nie należy się jednak łudzić, iż taki zwrot zachowawczy okazałby się zdolnym do odrodzenia liberalizmu gospodarczego, oraz konserwacji związanych z nimi układów sił i form ustrojowych — na stałe. Mógłby oddać człowieczeństwu cenne usługi jedynie przez to, żeby je ocalił przed natychmiastową katastrofą wojenną, wytwarzając pewien uzupełniający okres przejściowy rozwoju społecznego. Teoretycznie biorąc nie jest wyłączone, że mógłby to być okres stosunkowo dość długi, może zgodny z życzeniami w tej mierze wygłoszonymi przez pp. ministrów Kwiatkowskiego i Becka. Pierwszy z nich oświadczył przed kilku miesiącami, że wielkie zadania dziejowe czekają Polskę dopiero za 20 lat, w ciągu których ma ona do nich dorosnąć budując swój kapitalizm wedle klasycznych reguł ekonomiki liberalnej. Drugi powiedział niezbyt dawno amerykańskiemu dziennikarzowi, iż należy zaoszczędzić okropności przejść wojennych, żyjącemu pokoleniu; co się mniej więcej z terminem p. min. skarbu pokrywa.

W praktyce ta rzecz nie jest ani już zapewniona, ani nie przedstawia się tak prostolinijnie. Kapitalizm się przeżył i przestał być zdolnym do regulowania życia gospodarczego przede wszystkim tam gdzie już dokonał swoich najwyższych osiągnięć, w wielkich demokracjach Zachodu. Nadmiar swej zdolności produkcyjnej mogą one utrzymywać w równo-

wadze tylko za pomocą destrukcji, jawnej lub zamaskowanej jak nieurodzaje, zbrojenia, dawniejsze długi międzysojusznicze: kredyty dla Niemiec, wreszcie dewaluacje waluty. Wielki kredyt międzynarodowy zwłaszcza inwestycyjny, którego by te mocarstwa udzieliły komukolwiek, natychmiast wywołuje ciernistą sprawę transferu spłat ze strony dłużników na rzecz wierzycieli. Spłacać dług można tylko czynnym bilansem płatniczym, a zwłaszcza handlowym, dłużnika wobec wierzyciela. Jednak wierzyciel w takim razie musiałby ograniczyć własną produkcję, nie naruszając równocześnie stanów zatrudnienia i zdolności spożywczej swego ludu. To jest nieosiągalne bez zmiany społecznej funkcji pieniądza, co się z kapitalizmem nie zgadza i na co się nikt w dostatecznym stopniu nie odważył. Dopóki zaś to nie nastąpi, dopóty kredyt międzynarodowy może być tylko faktycznie bezzwrotny.

Cierniste kwestie tego rodzaju powstać mogą i muszą w układach kredytowych między mocarstwami zachodnimi a państwami środkowego wschodu Europy, podobnie jak i w stosunku do Niemiec. Jeśli nie powstaną z góry i kredytu nie uniemożliwią, to powstaną siłą konieczności po pewnym czasie i wtedy zwichną ponownie obrót międzynarodowy zamykając go w ramach autarkii, tylko może na wyższym niż obecnie poziomie ilościowym.

Przejściowe ożywienie światowej gospodarki za pomocą kredytu mogłoby być tym trwalsze im szerszy objęłoby zakres. To znaczy że powinno by być uniwersalne i włączyć również Rosję. Jest to jednak zagadnienie polityczne najeżone olbrzymimi trudnościami od strony Niemiec; a także trudnościami natury psychologicznej, bo Moskwa szczególnie teraz mało budzi zaufania. Ponadto łatwiej można sobie wyobrazić podciągnięcie Polski w rozwoju kapitalistycznym w ciągu jego obecnej aktywizacji, niż np. osiągnięcie trwałego *modus vivendi* z Niemcami i Włochami. Ich przeludnienie domaga się ekspansji terytorialnej na wielką skalę. To jednak grozi wojną oraz nowymi komplikacjami gospodarczymi, zwłaszcza jeżeli nie zostanie skojarzone z przebudową ustrojów i metod gospodarki tak w poszczególnych krajach, jak międzynarowym planie.

Dlatego to trzeba się strzec nadmiaru liberalnego optymizmu w obliczu perspektyw pacyfikacji i międzynarodowej odbudowy gospodarczej jakie się obecnie zarysowały. Życzyć by sobie należało ażeby one nie zawiodły ale i przewidywać zarazem, że wkrótce najeżą się z kolei nowymi przeszkodami, których pokonać w ramach kapitalizmu się nie da. Trudności te wzrastać będą w miarę osiąganego postępu gospodarczego w krajach zacofanych, przechodząc tylko od swych obecnych postaci, związanych z niedorozwojem gospodarczym, do postaci przekwitowych, dziś spotykanych na zachodzie. Jeżeli więc te perspektywy nie zawiodą i przyniosą poprawę to jej okres należałoby wyzyskać celem pogłębienia znajomości zjawisk gospodarczych i lepszego przygotowania zasadniczych dróg do przejścia na nowy ustrój. Bezkrytyczny zachwyt nad odrodzeniem liberalizmu byłby bardzo niebezpieczny a Polsce może on zagrażać w obliczu nowej nadziei. Pomijając niebezpieczeństwo jakie tkwi w nadmiernym uzależnianiu kraju od kapitału obcego.

Trzeba przede wszystkim uzbroić się w przezorność co do samej realizacji tych prób ratowania ginącego świata kapitalizmu jego własnymi metodami jakie się zarysowały ostatnio. Podjęto je bowiem tak późno, w sytuacji międzynarodowej tak zaognionej, że łatwo mogą one w ogóle spełznąć na niczym. Wtedy zaś nie tylko nie przyniosłyby nam pomocy, lecz wyrządziłyby ciężką krzywdę, powstrzymując nas od wejścia na drogę ratunku o własnych siłach.

St. Szczutowski.

Jan Józef Welamin Rutski.

(1573—1637)

(W trzechsetną rocznicę śmierci)

W tym czasie, kiedy Kościół grecki przyzwyczailiśmy się mierzyć kategoriami bizantynizmu, strupieszałości, zaniku duchowej treści religijnej, kiedy to jego władycy prowadzą ze sobą walki „prawem i lewem", nie mówiąc o upadku duchowieństwa niższego, rośnie w szczeblach hierarchii kościelnej dostojnik niewspółmierny swemu duchowieństwu, otoczeniu i w ogóle sposobowi myślenia współczesnych. Wielkie osobiste walory metropolity Rutskiego, czasy gorących walk i antagonizmów religijnych czynią, że odcinek dziejów, na który przypada jego działalność, stanie się interesującym i bogatym. Dlatego literatura w kilku językach chętnie tematy te poruszała i wiele szczegółów zostało już wyświetlonych. Ciekawą jest przede wszystkim jego osobowość, wychowana na innym podłożu, przeszczepiona później w organizm Kościoła greckiego. Metropolita, europejczyk, wszechstronnie wykształcony, władający kilku językami, z łatwością piszący dysertacje teologiczne, reformator życia zakonnego, gorliwy arcypasterz w jednej osobie nie jest zjawiskiem codziennym w dziejach Kościoła ruskiego. Jest to chyba pierwszy władyka od szeregu wieków, który się bliżej związał, nie tylko z Kościołem katolickim, ale i tradycjami łacińskimi, który wszystko, co najlepsze w Kościele rzymsko-katolickim, starał się przeszczepić w unię. Każdy zastrzyk budzi reakcję. Dlatego nie dziwi nas brak zrozumienia dla jego planów, a nawet żywa z nim walka, obfitująca często w momenty wprost dramatyczne.

O ile późniejszy okres działalności na stolicy metropolitalnej jest nam znany dzięki większej ilości materiałów, o tyle wiadomości z jego młodych lat są bardzo skromne. Literatura przedmiotu nie jest zgodna w kwestii pochodzenia Welamina Rutskiego. Jedni uważają, że Rutski jest pochodzenia ruskiego, inni że moskiewskiego. W każdym razie fakt, że nazwisko nosił moskiewskie, że krewni jego brali udział w wyprawach Samozwańca na Moskwę, a rodzony brat leżał pogrzebany w kaplicy moskiewskiej pod Warszawą, że sam do Moskwy jeździł i w późniejszej działalności ustawicznie snuł plany o jej nawróceniu, posiadają swoją wymowę. Nie jest wykluczonym, że ojciec Jana, Feliks, choć wyznania kalwińskiego, zachował jeszcze jakieś zrozumienie dla tradycji moskiewskich, skoro dziecko najstarsze urodzone w 1573 roku w Rucie, pozwolił ochrzcić duchownemu prawosławnemu. Matka Rutskiego Bogumiła z Korsaków, była gorliwą kalwinką, nie nawróciła się nawet wówczas, gdy syn był już biskupem katolickim. Z kroniki Rafała Korsaka [1]) — można by wnioskować, że była to osoba poważna, surowych obyczajów, o despotycznym usposobieniu. Usposobienie takie było zapewne wynikiem wychowania w kalwinizmie, któremu wówczas hołdowało wiele rodzin na Litwie, który też w specyficzny sposób urabiał pobożność, zwłaszcza kobiecą. Między matką a najstarszym synem nie było jakiejś czułostkowej zażyłości. Już w latach dziecięcych oddano go pod opiekę nauczycieli kalwińskich i kształcono w szkołach anabaptystów (sic). Za rektora Walentego Fabrycjusza studiował na uniwersytecie w Wilnie. W tym czasie prawdopodobnie zbliżył się do zakonu oo. jezuitów, którzy częściowo byli profesorami wszechnicy, a także zasłynęli jako znakomici kaznodzieje. Problemy religijne absorbują wówczas umysły w o wiele wyższym stopniu, niż dziś; szczególnie jednak absorbowały Rutskiego, jako młodego, zdolnego i myślącego człowieka.

---

[1]) Rafał Korsak następca Rutskiego na stolicy metropolitalnej (1637—41) napisał jego życiorys znany nam pt. *Vita Rutsci.* Życiorys ten jest zawarty w rękopisie z XVII w. znajdującym się w bibliotece klasztoru oo. bazylianów.

Nie marzył jednak ojciec o karierze uczonego czy też kaznodziei dla swego syna. Chciał go zapewne widzieć dygnitarzem na dworze królewskim, który by potrafił podnieść znaczenie licznej, średniej szlacheckiej rodziny. Dlatego przez protekcję znajomego Świętosławskiego, dostaje się Rutski na dwór księżny Ostrogskiej, gorliwej katoliczki. Tu czas jakiś prowadzi życie dworskie. Więcej jednak, niż wystawne zjazdy i zabawy, pociągają go poważne dysputy religijne. Obawiając się o jego przekonania religijne, nakazują mu rodzice powrót do domu. Wkrótce umiera ojciec. By się uwolnić spod despotycznej opieki swej matki, emigruje młody Rutski na studia zagraniczne. Czas jakiś przebywa w Pradze. Tu składa wyznanie wiary katolickiej w ręce rektora kolegium jezuitów, o. Teofila Kristaneusa. Z Pragi udaje się do Würzburga, gdzie po kilku latach studiów otrzymał absolutorium. Nie doktoryzował się jednak, mając na uwadze zwyczaje ojczyste. Myśli obecnie poważnie o studium teologii. Gdy się matka dowiedziała o nawróceniu, nakazuje mu powrót do domu. Rutski jednak już jest w kontakcie z zakonem oo. jezuitów. Zbuntował się i zamiast na Litwę za poradą o. Boksy poszedł pieszo do Rzymu z listami polecającymi do przełożonych w Collegium graecum. Miał widocznie poważną protekcję, skoro go tam przyjęto bez uprzedniego złożenia przysięgi, że wytrwa do śmierci w obrządku greckim. Przez cztery lata studiował teologię pod o. Viteleschi'm. Nie przyjął w tym czasie żadnych święceń.

Przed opuszczeniem kolegium widzi się znów z o. Boksą, obecnie prowincjałem litewskim. Ten zapewnie upatrzył sobie w Janie tęgiego pracownika, skoro w bardzo zdecydowany sposób domaga się złożenia przysięgi na wytrwanie w obrządku greckim. Gdy osobisty wpływ zawiódł, użył powagi papieża Klemensa VIII. Tym razem Rutski się ugiął i przysięgę złożył. Do Wilna przybył Jan około 1606 r. Zdecydował się oddać do dyspozycji ówczesnego metropolity kijowskiego, ongiś kasztelana, który niemal z fantazją żołnierską utrwalał niedawno zawiązaną Unię. W Pocieju jednak nie wzbudził dość zaufania. Kilkakrotnie przecież zmieniał swoje wyznanie, był też może przesubtelniony w swoich przeżyciach

religijnych. Zresztą Pociej dobrze był poinformowany, jakie to pobudki skłaniały Rutskiego do wejścia w szeregi Unii. Obawiał się też metropolita, że przyjęcie Rutskiego do kleru wzbudzi ponowne podejrzenia w szeregach schizmatyków, że pod pozorem unii uprawia się latynizację. Po śmierci Piotra Teodorowicza Suromiatnyka obejmuje Jan obowiązki dyrektora kolegium greckiego w Wilnie. Ale i w tej roli nie czuł się dobrze. Kolegium podupadło, brak było w nim profesorów, mnóstwo trudności finansowych obrzydziło mu tę posadę. Pracując jednak w kolegium, zacieśnia swój kontakt z kilku ojcami Tow. Jezusowego, którzy tam pełnili funkcje profesorów. Ci zapewne zwrócili jego uwagę na klasztor bazyliański Św. Trójcy i przebywającego w nim Józafata Kuncewicza. Józafat łaciny nie znał. Kształcił się w języku ojczystym. Jednym z jego nauczycieli, a później też przyjacielem pozostał Rutski. W r. 1605 przejeżdżał przez Wilno ze specjalną misją na Wschód karmelita bosy, o. Paweł Szymon od Jezusa i Maryi z towarzyszami. Nie wiadomo ściśle dla jakich powodów odbywa z nim Rutski podróż do Moskwy. Być może, że podróż ta była związana z jego planami reformy bazylianów. By się zapoznać z życiem zakonu na Wschodzie, zbadać jego niedomagania, ewentualnie tradycje dotychczas tam zachowane, trzeba było odbyć wówczas trudną ze względów politycznych i niebezpieczną drogę. Poselstwo o. Tomasza znakomicie Rutskiemu tę podróż ułatwiło.

Po powrocie do Wilna wyjeżdża wkrótce do Rzymu, gdzie swoje plany naprawy kościoła greckiego przedstawia kardynałom Kongregacji. Plany jego idą w kierunku wychowania i wykształcenia kleru, tak zakonnego, jak i świeckiego, w tym duchu, jaki ożywiał Kościół katolicki. Był głęboko przekonany, że odrodzenie cerkwi zależało jedynie od odpowiedniego wychowania kleru, wzorowanego na przykładach i instytucjach zachodnich. Reformę kleru należało zacząć od naprawy życia zakonnego. Wszystkie bowiem stolice biskupie były wówczas na Rusi obsadzone przez zakonników. Jeśli zatem Ruś będzie miała dobrych zakonników, będzie też miała dobrych biskupów. Do przeprowadzenia reformy przeznaczono dwa zakony, albo jezuitów, albo

karmelitów bosych. Rutskiego zwolniono z przysięgi na wierność obrządkowi greckiemu pod warunkiem jednakże, że wstąpi do jednego z wyżej wymienionych zakonów. Stało się jednak inaczej. Inicjatywę w tej sprawie podjęli oo. jezuici. Swoim wpływem skłonili Rutskiego do przyjęcia sukni bazyliańskiej zapewniając mu na każdym odcinku pracy poparcie. Wydelegowali kilku ojców w charakterze kierowników życia duchownego, względnie profesorów, dali szereg miejsc dla młodych adeptów zakonu św. Bazylego w swoich zakładach w kraju i za granicą. W 1607 r. przyjmuje Rutski suknię zakonu i święcenia kapłańskie. Klasztor Św. Trójcy, w którym zamieszkał i z czasem go odbudował, staje się pepinierą reformy bazyliańskiej.

Wprowadzono studium i regulamin, wzorowany na formach jezuickich. Z pięciu kleryków tam zamieszkałych w kilku latach liczba wzrasta do 50. Przychodzi jednak reakcja. Metody wychowania Rutskiego nie były aprobowane przez jego bezpośredniego przełożonego, archimandrytę Sienczyłłę, w duchu sprzyjającego schizmie. Niemniej jednak cała młodzież zakonna z Józafatem jest swym przełożonym zachwycona. Przy tym cieszy się teraz Rutski zupełnym zaufaniem Pocieja. Sienczyłło widząc się w klasztorze zaledwie tolerowanym, broni swej pozycji, starając się pozbyć Rutskiego za wszelką cenę. Nie udały się fałszywe oskarżenia przed Pociejem, ani też formalny zamach, by mistrza i jego nowicjuszów usunąć z klasztoru Św. Trójcy. Echo tej sprawy obija się o dwór królewski w Warszawie. Pociej dobrze poinformowany usuwa Sienczyłłę, a Rutskiego mianuje wikariuszem generalnym *cum iure succesionis,* a w krótkim czasie także i archimandrytą klasztoru Św. Trójcy w Wilnie. Wilno staje się obecnie terenem formalnych walk między unitami a partią schizmatycką, reprezentowaną przez bractwa dyzunickie [1]) i Sienczyłłę, oraz Zankowskiego, zadraśniętego w ambicji osobistej nominacją Jana Józefa [2]) na wikariusza generalnego.

---

[1]) Bractwa, tworząc swego rodzaju element religijny niezawisły od hierarchii cerkiewnej w miejscu, bojąc się o swe przywileje, zawsze walczyły z unią, która przyjęła zwartą budowę hierarchiczną Kościoła katolickiego.

[2]) Imię Józef otrzymał jako imię zakonne.

Walkę tę prowadzi bractwo „prawem i lewem", zawsze pobijane bądź to czujnością Rutskiego, za którym stały władze polityczne i miejskie, bądź też w sądach nieorientujących się w mnóstwie protestacji i zażaleń. Walka o klasztor Św. Trójcy, miała epilog niemal tragiczny, bo zakończyła się krwawym zamachem na Pocieja. Na szczęście z zamachu wyszedł Pociej z życiem, choć poraniony i okaleczony. Zadecydowało to ostatecznie o zwycięstwie Rutskiego. W cztery lata po tym umiera metropolita Pociej. Dnia 29 czerwca 1614 r. urządza Rutski swój ingres do Wilna, jako metropolita kijowski.

Że on właśnie będzie następcą Pocieja nikt nie wątpił, był przecież wikariuszem generalnym *cum iure successionis,* a za ostatnich lat Pocieja sam rządził metropolią. Dlatego prace zaczęte dawniej nie tylko nie giną, ale potężnieją. Jako metropolita kijowski stara się o nowe miejsca w bursach papieskich dla swoich kleryków, sam zakłada nowe szkoły w kilku miejscowościach przy klasztorach bazyliańskich. Bardzo ważną instytucją, powołaną do życia w r. 1616 przez młodego metropolitę, to zorganizowanie nowicjatu w Byteniu. Gromadzi się tam nie tylko młodzież, ale i wszyscy zakonnicy starsi, którym duch reformy Rutskiego był obcy, którzy jednak życiu zakonnemu w Kościele unickim poświęcić się chcieli. W ten sposób przez szereg lat szkoli Byteń nowe kadry zakonne, zaprawione do życia zorganizowanego i karnego. Z niesłychaną pracowitością przygotowuje obecnie Rutski nową regułę zakonną, opartą na konstytucjach św. Ignacego. W znakomity sposób wiąże w niej wartości ascetyczne reguły św. Bazylego, wraz z zwartą organizacją zachodnią, opartą na wzorach zakonu jezuitów. Mając konstytucje przygotowane, pewną ilość zakonników wykształconych za granicą, częściowo też w kraju, zwołuje metropolita pierwszą kongregację wszystkich unickich klasztorów bazyliańskich w Rucie w r. 1617. Kongregacja ta pod nazwą nowogródzkiej stanowi dla zakonu bazylianów niemal erę. Przyjęto na niej konstytucje, przygotowane przez Rutskiego, które dały zakonowi spoistą i prężną organizację. Konstytucje te są tak zbliżone do konstytucji św. Ignacego, a szkielet organizacyjny w obu regułach jest tak łudząco

podobny, że zakon bazyliański w ujęciu Rutskiego stał się niemal ekspozyturą Tow. Jezusowego. Jedna zasadnicza różnica dzieli jednak obydwa zakony. Tow. Jezusowe było zakonem demokratycznym, nie przyjmowało godności hierarchicznych, reforma Rutskiego utworzyła natomiast z bazylianów zakon prałatów. Wszyscy bowiem dostojnicy w Kościele unickim niemal do naszych czasów z tego zakonu będą się rekrutowali. Tak się zresztą bieg rzeczy ułożyć musiał, gdyż kler unicki żył w małżeństwie, a zakonnicy pod każdym względem przodowali życiu religijnemu.

Za życia Rutskiego podobnych kongregacyj było jeszcze pięć, a to: Ławryszowska 1621, Rutska 1623, II Ławryszowska 1626, Żyrowicka 1629, Wileńska 1636 r. Żadna z nich nie posiada jednak tego znaczenia co kongregacja nowogródzka. Były one uzupełnieniem kongregacji pierwszej, obrady ich dawały obraz ostatnich wydarzeń, prostowały to co było nierealne, lub też wprowadzały specyficzne reguły podyktowane potrzebą ostatnich lat, albo miesięcy.

Kongregacja nowogródzka, ufundowanie nowicjatu w Byteniu zapewniły zakonowi bazylianów byt i rozwój na dalekie lata przyszłości. Myśli Rutskiego idą obecnie w innym kierunku. Uwagę jego jako arcypasterza pochłania troska o wychowanie duchowieństwa parafialnego. Miał już kandydatów na biskupów i prałatów, nie miał jednak proboszczów. Unia, idąc od góry, nie porwała mas, nie przekonała ani nie nagięła do swego sposobu myślenia szeregów duchowieństwa parafialnego. W początkach niewykształcone i zdezorientowane duchowieństwo, poszło za swymi arcypasterzami. Z czasem jednak, gdy powstała nowa hierarchia dyzunicka, kreowana przez patriarchę jerozolimskiego Teofana w 1620 r., znalazło się ono na rozdrożu. Duża jego część odpadła, nie będąc w swych przekonaniach nigdy z katolicyzmem głęboko związana. Lata 1620—30 wykazały na jak kruchych podstawach budowano unię w 1596 r. Zagrożona ponownie przez utarczki schizmatyków, traci unia tysiące wiernych i setki kapłanów. Odpada przede wszystkim znaczna część duchowieństwa świeckiego, która przechodzi na prawosławie. Lata próby i ciężkich chwil Kościoła unickiego potwierdziły

obecnie tezę Rutskiego, że odbudowę życia religijnego na Rusi można przeprowadzić jedynie przez stworzenie młodego w duchu katolickim i zachodnim wychowanego duchowieństwa. Dlatego myśl stworzenia wielkiego seminarium dla kształcenia duchowieństwa świeckiego staje się ideą przewodnią jego działalności od r. 1622 do samej prawie śmierci. Rutski był człowiekiem o horyzontach szerokich, dlatego projekt utworzenia seminarium na Rusi łączy ściśle z ekspansją misyjną katolicyzmu na wschodzie, predestynując do tej roli unię i Rusinów. Moment ten też zadecydował przede wszystkim wówczas, gdy unia stanęła przed możliwością likwidacji, zachwiana opinią episkopatu łacińskiego i wrogą koniunkturą polityczną. „Potrzebną jest unia, pisze sekretarz propagandy w instrukcji dla nuncjuszów Polski i Niemiec, ponieważ przez nią można nawrócić schizmatyków Rusi, Moskwy, Litwy, Mołdawii i Wołoszczyzny, trzeba tylko podnieść dyscyplinę w zakonie i czystość intencji w szafowaniu sakramentów". [1]) Wynikiem korespondencji w tej sprawie w latach 1622—1626 było przysłanie przez Propagandę 1000 skudów. Nieco później wysyła Rzym profesorów. Czwarta kongregacja w Ławryszowie opodatkowała na ten cel poszczególne klasztory, tak że całość świadczeń zakonu obejmowała znaczną część jego dochodów. Prócz sum przydzielanych, ofiaruje zakon jeden z klasztorów mińskich wraz z dobrami doń należącymi. W sprawie seminarium obradował też synod w Kobryniu 1626 r. Zgromadził on wszystkich biskupów unickich, duchowieństwo świeckie, przedstawicieli poszczególnych klasztorów. Każdy z biskupów za przykładem metropolity, który zadeklarował olbrzymią podówczas sumę 10.000 zł, zobowiązuje się do wpłacenia znacznych kwot na cele mającego powstać seminarium. Podobne daniny nałożono na proboszczów. Równocześnie uchwalono, że opłaty będą uiszczały diecezje zależnie od ilości kształconych w seminarium kleryków. Za inicjatywą Rutskiego postanowiono przenieść do Mińska bibliotekę z klasztoru św. Trójcy jako zaczątek biblioteki seminaryjnej.

---

[1]) Szmurło: *Le Saint Siège et l'Orient orthodoxe.* Appendice, str. 14.

Bardzo aktualną była wówczas sprawa rewindykacji majątków kościelnych, które po zaprowadzeniu unii zagarnęli różni panowie. Postanowiono majątki te poodbierać i utworzyć z nich fundusz seminaryjny. W tej sprawie odnosi się metropolita kilka razy do Rzymu z prośbą o zainteresowanie nią króla.

Mimo powolnego ściągania funduszów i wielu starań o erekcję gmachu, instytucja ta, zakrojona na wielką miarę, nie powstała za życia Rutskiego. Niemniej jednak duża ilość kapłanów świeckich i zakonnych otrzymała wykształcenie w klasztorze mińskim. Część młodzieży kształciła się też w Nowogródku w gmachu kurii biskupiej. Już samo pomieszczenie młodzieży świadczy, z jakimi trudnościami musiano walczyć.

Tymczasem nadciągają chmury. Władysław IV uczynił formalne ustępstwo w r. 1633 na rzecz prawosławia, legalizując istniejącą już od roku 1620 hierarchię dyzunicką i przydzielając prawosławnym szereg obiektów kościelnych i klasztornych, które się znajdowały w rękach unitów. Trzeba było bronić stanu posiadania. Nie było więc mowy o tworzeniu nowych placówek, gdy unia traciła grunt pod nogami. Jak Rutski w tej groźnej chwili dla bytu unii pracował i walczył, chlubne świadectwo w swej relacji daje mu nuncjusz Visconti w liście do kardynała Barberini: „roztropność i gorliwość metropolity Józefa Welamina Rutskiego są Waszej przewielebności skądinąd znane, ale w tej okoliczności stały się godnymi nieśmiertelnej sławy. Pracował jak drugi Eliasz, nie tylko, by odeprzeć zamysły nieprzyjaciół, ale i swych podtrzymać na duchu... W wieku podeszłym a bardziej jeszcze starganym pracą, nie usuwał się przed żadnym trudem w obronie sprawy Bożej i szedł tam, gdzie było największe niebezpieczeństwo. Jego męstwo świadczyło jak wielką jest ufność sprawiedliwego. Byłem zbudowany jego stałością i z prawdziwą pociechą łączyłem moje starania z jego trudem".[1]) Równocześnie król przygotowuje się do wojny tureckiej. Poczyniono liczne zaciągi, na które skarb państwa nie miał pieniędzy. Zebrane sumy pożyczył

[1]) Albertrandi „Relacje Nuncjuszów". T. II, str. 256.

Rutski prawdopodobnie skarbowi, tak że wśród późniejszej zawieruchy wojennej przepadły zupełnie. Takiego seminarium, jakie było jego wymarzoną ideą, nie stworzył. Podobne do tego o jakim marzył powstało znaczniej później i to nie w Wilnie, ale po upadku Polski, we Lwowie.

Akcja misyjna zdaje się być ideą przewodnią całego życia Rutskiego. Umysł szeroki, głęboki nie mógł się ograniczyć do zwyczajnej działalności jedynie w ramach diecezji. Sam ustawicznie odbywa podróże, naucza, wielu nawrócił, widzi jednak, że apostolstwo indywidualne dla warunków politycznych, uporu, często złej woli nie wyda większych owoców. Dlatego podejmuje myśl zwołania synodu, na którym katolicy i prawosławni uzgodniliby swe poglądy. Synod taki naturalnie byłby połączony z dysputą. Dla swych zamiarów pozyskał króla i dygnitarzy świeckich. Z punktu widzenia polskiej racji stanu synod taki wydawał się bardzo korzystnym. W jednej chwili zlikwidowałoby się pasmo antagonizmów na Wschodzie i zrobiłoby się też wielki krok do rozwiązania problemu kozaczyzny, a może stworzenia ligi antytureckiej. Rzym jednak do tego rodzaju zebrania odniósł się bardzo sceptycznie. Mimo, że nuncjusze starają się zapał Rutskiego hamować i organizacji tego rodzaju zjazdu przeszkodzić, zamierzony synod miał dojść do skutku we Lwowie 28 X 1629 r. Przedstawiciele strony schyzmatyckiej jednak się nie stawili.

Ze sprawą synodu łączy się ściśle sprawa patriarchatu, jaki miał powstać na ziemiach polskich dla ludności ruskiej. Jeśli Rutski sprawą tą zajął się, to nie z myślą o sobie. Łudził się nawróceniem Piotra Mohyły, metropolity dyzunickiego. Jemu to ewentualnie przypadła by ta godność. Myślą tą rzeczywiście był czas jakiś Mohyła zaabsorbowany. I ze względów politycznych utworzenie patiarchatu wydawało się ze wszechmiar rzeczą korzystną. Odciążałoby to, raz na zawsze grawitację Rusi w stronę Carogrodu i Moskwy. Najśmielsze i najpiękniejsze plany Rutskiego zniweczyła jednak strona dyzunicka, stawiając dogmatycznie warunki nierealne.

Działalność Rutskiego ujęta w perspektywie to nie tylko walka o ziemskie prawa Kościoła tak nieugięta, posu-

suwająca się krok za krokiem, jaką prowadzi Pociej, jest to raczej lot orli, mierzony na przestrzeń wieków, którego pole widzenia zawsze szerokie, nawet wtenczas, gdy pełni jakieś drobne realnie zadanie. Ten polot myśli łączy się z naturą prostolinijną, do głębi przesyconą religijnością. Wiara w swe posłannictwo jest u Rutskiego źródłem tego entuzjazmu, który go uzdolni do najwyższych ofiar. W latach młodzieńczych stoimy przed nim, jako człowiekiem pełnym zagadkowych przeżyć, szlachetnym marzycielem, czasem niezdecydowanym, czasem kierującym się nastrojami, ale zawsze wybitnie indywidualnym. Przejście pewnego rodzaju przesilenia w życiu wewnętrznym, walka, w której się zaprawia pod kierunkiem Pocieja, wyrabiają charakter mocny i aktywny. Trudne lata jego pasterzowania pozwoliły mu rozwinąć jego niesłychaną aktywność i pracowitość. Nuncjusze ustawicznie zajęci jego sprawami czasem się aż irytują. Tematy posiedzeń Kongregacji *de Propaganda Fide* to wyłącznie prawie projekty i prośby Rutskiego, dla których przychylność chciałby uzyskać drogą szerokiej korespondencji osobistej. Na wydanie jego listów złoży się kilka tomów. Pozostawił poza tym dwa dzieła apologetyczno-polemiczne, regułę zakonną osobno dla bazylianów i bazylianek, zachował się też jego traktat w sprawie obrony kościoła greckiego i jedna mniejsza rozprawa dogmatyczna.

Najbardziej udałym efektem jego prac jest niewątpliwie reforma zakonu bazyliańskiego. Ilości klasztorów, pozyskanych przez Rutskiego, dokładnie określić nie można, ponieważ wiodły one ustawiczną walkę, raz były unickimi, to znów powracały do schizmy. Poza tym biskupi ordynariusze niechętnie wyzbywali się nad nimi jurysdykcji. Niemniej jednak za jego życia powstało trzydzieści kilka klasztorów bazylianów i kilkanaście bazylianek, złączonych w jedną kongregację. W klasztorach tych pracowało ponad trzystu zakonników, wychowanych już w regule zreformowanej, przedstawiających element zdrowy i silny. Zapewnił Rutski unii przyszłość, stwarzając poza zakonem episkopat niczym nie ustępujący zachodniemu. Lata jego pasterzowania wypadły na okres w dziejach naszego kraju ciekawy i trudny. Dlatego ćwierć wieku jego pracy na stolicy metro-

politalnej, zakończona śmiercią 7 lutego 1637 r. w Dermaniu, obfituje w chwile jasne, ale też ciemne, a czasem ponure. Nie zmienił biegu historii. Niemniej jednak, dzięki swej bezgranicznej ofiarności i umiłowaniu swego powołania, uczynił więcej, niż na to stać zwykłego śmiertelnika.

Ks. mgr Marian Rechowicz.

Przegląd piśmiennictwa.

Alina Świderska: Królowie, powieść z życia i epoki Wagnera, część pierwsza: Król bez ziemi (Kraków 1937, skład główny: Biblioteka polska). — Teodor Parnicki: Aecjusz, ostatni Rzymianin (Rój). — Maria Kuncewiczowa: Dni powszednie państwa Kowalskich (Rój). — Wanda Karczewska: Ludzie spod żagli (Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej, Instytut wydawniczy Biblioteka polska). — Jerzy Strzemię-Janowski: Karmazyny i żuliki (F. Hoesick).

Królowie Aliny Świderskiej to druga książka z cyklu książek o Wagnerze tejże autorki. Mówię „z cyklu", a nie „ciąg dalszy", bo choć *Królowie* są dalszym ciągiem życia Wagnera w znaczeniu chronologicznym, stanowią jednak pod względem kompozycji, jako powieść, całość w sobie zamkniętą. Lekkimi rzutami retrospektywnymi dopełnia autorka wiedzę czytelnika o epoce życia Wagnera, która nie wchodzi już w ramy tej powieści, zaczynającej się od pobytu Wagnera w willi p. p. Wesendonck „Azylu", a kończącej się na wkroczeniu w życie kompozytora „króla z bajki" Ludwika Bawarskiego. Pod względem muzycznym epoka ta obejmuje komponowanie „Trystana i Izoldy" i „Meistersingerów". Ta „partia" życia Wagnera tak samo jak i jego początek w *Prometeuszu i perliczce* ujęta jest w formę powieści. Omawiając *Prometeusza i perliczkę* na tym miejscu omawiałam dość szeroko ten „genre" literacki, wykazując jego braki i strony niesympatyczne. Nie chcąc się więc powtarzać podkreślę, że tutaj ten brak zaufania czytelnika co do wiarogodności podawanych przez autorkę szczegółów z życia opisywanego bohatera (choć autorka zaznacza znowu na wstępie, że w jej książce wszystko jest autentyczne, czerpane ze źródeł i tylko przez nią „układane") odnosi się głównie do dziennika Wagnera. W dalszym ciągu podawane listy Wagnera i pani Wesendonck są drukowane kursywą, co zdawałoby się wskazywać, że są to po prostu listy autentyczne. Ale dziennik zajmujący dużą część książki nie odróżnia się graficznie od „partii powieściowych", i nie wiemy, czy jest to dziennik w całej rozciągłości

autentyczny, czy też według źródeł „układany", zwłaszcza, że wiemy ile w tym słowie: „układany" może się mieścić. A jest to różnica kapitalna. Takie powiedzenia jak: „Natura nigdy nie jest święta, chyba że sama się dźwignie w górę, przez zaparcie siebie"; „będę z tego korzystał, aż póki nie wykończę cudownego dzieła"; „zdaje mi się zresztą, że wszyscy, którzy się ze mną stykają obecnie, odnoszą wrażenie piękne i podniosłe" i wiele, wiele innych, mają całkiem inne znaczenie, inną barwę, inny „smaczek", jeżeli są autentycznymi, dosłownymi wypowiedzeniami Wagnera, a inny jeśli są tylko w jego duchu ułożonymi frazesami. Co prawda trzeba przyznać, że nawet jeżeli je ułożyła pani Świderska, są ułożone doskonale i bardzo po wagnerowsku, i w końcu czytelnik porwany żywym tokiem opowiadania, macha ręką na te dociekliwe badania i mówi sobie *si non e vero e ben trovato*. A jeżeli tak zrzędzę nad niesympatyczną dla mnie formą biografii upowieściowanej, to właśnie dla wysokich i nieprzeciętnych zalet tej książki. Jeżeli ją rozważać tylko jako powieść, trzeba przyznać, że jest to powieść pasjonująca, którą się czyta z zapartym oddechem od deski do deski, a w epoce gdy jeszcze bardziej od *vie romancée,* modne są książki nudne i niezrozumiałe, taka książka, łącząca dziecinną niemal prostotę i przejrzystość formy z wysoką kulturą, jest prawdziwą gratką dla czytelnika, nie obciążonego snobizmem zawiłości. Ale *Królowie* są czymś więcej, jak pasjonującą, żywą powieścią. Są głębokim wnikliwym studium o Wagnerze, jego charakterze, uzdolnieniu, mentalności i twórczości. To też na plan drugi schodzą takie zalety książki jak żywość narracji, doskonałe sylwetki Wagnerowskich przyjaciół i wrogów, doskonałe oddanie epoki i dziwnego, zakonspirowanego świata muzycznego. Nad wszystkimi tymi zaletami „tła" góruje ciągle olbrzymia postać Wagnera. Poznajemy go osobiście. Wiemy jak wyglądał, jak mówił, jak się ruszał, znamy jego zwyczaje, dziwactwa, humory, jego gwałtowność i dobroć, jego prostotę i pychę, jego lekkomyślność i wyrachowanie, naiwność i chytrość, delikatność i nahalstwo, jego „sui generis" uczciwość i brak wszelkich skrupułów finansowych. A co najważniejsze, poznajemy — o ile te rzeczy w ogóle poznać można — mechanizm jego twórczości. Autorka zna „nad podziw" dobrze tę najbardziej zakonspirowaną, najnieuchwytniejszą organizację ludzkiej duszy, organizację twórczą, zna jej kaprysy, załamania, wybryki, jej sublimacje, niespodziewane kojarzenia, ten cały przedziwny alchemiczny warsztat, który produkuje dzieła sztuki. I te wszystkie dziwne a niespodziewane drogi wagnerowskiej twórczości przedstawia nam z przedziwną subtelnością i przekonywującą prawdą. Ukazuje nam nagłe przypływy i odpływy siły twórczej wielkiego kompozytora-poety, ukazuje nam wrażenia drzemiące nieraz latami w jakimś lamusie duszy i wybuchające nagle, bez widomej przyczyny, w pieśni i melodii. I tak asystujemy

przy dziwnych fluktuacjach tworzącego się Trystana, widzimy jak wysnuwa się z miłości do Matyldy Wesendonck, jak ją uzupełnia, zastępuje, przeobraża, widzimy jak płomień przygasa i nagle niespodziewanie wybucha znowu. Widzimy potem reakcję po tych prawie już anielskich wzlotach, reakcję humoru i groteski w Meistersingerach, widzimy jak dopływają do tego dzieła motywy i wrażenia przeróżne, jak się plączą, łączą i komponują. I twierdzę, że w mało której biografii, czy to biografii historycznej, czy powieściowej, autor ukazał nam tak głęboko duszę swego bohatera, a raczej źródła jego dzieła, że rzadko kto, potrafił nam ukazać tak ścisłe zespolenie życia i dzieła artystycznego. Książka pani Świderskiej to jakby „genezis z życia" wagnerowskiego dzieła; pozwala ona nam poznać nie tylko człowieka genialnego, ale lepiej pojąć i rozumieć jego sztukę, wykazując te nici, które dzieło wiążą z życiem, pokazując tajemniczą a ciekawą współzależność tych dwóch dziedzin. To jest największa i najbardziej doniosła zaleta tej pięknej książki. Zalety te posiadała już i część pierwsza *Prometeusz i perliczka,* ale *Królowie* są wielkim krokiem naprzód, są od *Prometeusza* jakby książką bardziej dojrzałą, szerszą, głębszą. Autorka zdaje się obracać w zagadnieniach wagnerowskich pewniej, śmielej i swobodniej. A przede wszystkim uderza w *Królach* wielki postęp językowy. W *Prometeuszu* raziły nas od czasu do czasu pewne barokowości językowe, pewna afektacja stylu. Tu nie ma śladu tych błędów. Język jest prosty, poważny, czysty, a przez tę jego przejrzystość i prostotę książka zyskuje wiele na powadze i na kulturalnym poziomie. I czytając tę ze wszech miar udaną, pod każdym względem dobrą, zajmującą i kulturalną książkę, nie można się oprzeć zdziwieniu, że nie zyskała ona sobie więcej rozgłosu i szerszej poczytności. Czyżby obowiązywała jeszcze u nas moda na towar zagraniczny? Takby się zdawać mogło, gdy uprzytomnimy sobie, jak czytane, chwalone i rozchwytywane są monografie powieściowe Andrzeja Maurois, Ludwiga i wielu innych autorów zagranicznych. Nie wydaje mi się, by wagnerowska monografia Świderskiej stała od tamtych niżej. Oczywiście, może w pewnych punktach nie dorównuje im, ale są strony, którymi je stanowczo przewyższa. A do autorki możemy mieć jedynie pretensje o to, że zbyt długo czekaliśmy na *Królów* po *Prometeuszu*, i możemy ją prosić byśmy nie musieli czekać tak długo na dalszą część *Królów.*

W swojej książce *Aecjusz, ostatni Rzymianin* wprowadza nas Teodor Parnicki w świat bardzo ciekawy, w świat dogorywającego imperium rzymskiego. Cesarstwo zachodnie, otoczone blaskami raweńskich mozaik, przystrojone we wschodnie dalmatyki i klejnoty, upojone swą teoretyczną potęgą, rządzone władcami na modę wschodnią „wiecznymi", „świętymi", „semper Augustami" jest już właściwie tylko pojęciem — ideą. Wojsko

jego składa się w większej części z barbarzyńców, barbarzyńcy zaciskają coraz węższy pierścień dookoła jego kurczących się granic, często też barbarzyńcy piastują najwyższe w państwie urzędy i godności, „wieczni" imperatorzy oddają barbarzyńskim królom „święte osoby" swoich córek i sióstr za żony. Bohater książki Parnickiego, Aecjusz, jest sam na pół barbarzyńcą: u barbarzyńców wychowany, z córką barbarzyńcy żonaty, z królem Hunów Rugilą najwyższą złączony przyjaźnią. I choć nazywa go poeta Karyzjusz, a za nim i autor, ostatnim Rzymianinem, jest on Rzymianinem tylko może z męstwa, z twardej bezwzględności, z pychy, z zachłanności na władzę. Ale nie ma w nim żadnej z tych cech, które kulturę rzymską stanowiły, nic nawet z tej szlachetnej rzymskiej *virtus,* z tej rzymskiej szlachetności, samoofiary i poświęcenia siebie dla dobra ojczyzny, z tego pełnego zaparcia się bohaterstwa, które (może zresztą niesłusznie) za synonim „rzymskości" uważamy. Postać Aecjusza potężnie zarysowana jest nam bliska i zrozumiała, jak wszystko zresztą w tej interesującej i żywej książce. Z ciekawością śledzimy zawrotną karierę tego mezyjskiego chłopa, dźwigającego się powoli do najwyższej na świecie godności rzymskiego patrycjusza, chwytającego w swoje silne ręce najwyższą władzę dyktatorską nad zachodnim cesarstwem, a więc nad prawie że całym ówczesnym światem. Aecjusz rządzący jak władca absolutny, mimo, a często wbrew, nienawidzącej go cesarzowej Placydii, potem obok dziecinnego, nieudolnego Walentyniana III, jest postacią bardziej współczesną niż rzymską, zresztą może nie tyle postać Aecjusza, ile talent autora czyni nam tę odległą epokę bliską, aktualną i zajmującą, bo także czytając o sławnej *Pax romana,* o której wszyscy mówią, której wszyscy bronią, a która jest tylko słowem urągającym ustawicznym wojnom, zamieszkom, rzeziom, najazdom i gwałtom, nie możemy się oprzeć nasuwającym się nam analogiom. Te analogie narzucają nam się zresztą same, autor nie bawi się w żadne porównania, w żadne historiozoficzne wywody. Widać, że cały zatopił się i wtopił w opisywaną epokę, że nią żyje i oddycha. Ujmuje ją bardzo wszechstronnie i od strony stosunków politycznych i od strony obyczajowej (w paru scenach z jaskrawym, za daleko posuniętym realizmem) i od strony można by powiedzieć religijnej, a raczej historycznie religijnej. Żywo, a mam wrażenie bardzo prawdziwie, przedstawia ówczesne, zaiste dość dziwne chrześcijaństwo, to chrześcijaństwo, które kazało cesarzowej Placydii codziennie ranić nogi w pokutniczym marszu po ostrym żwirze, ale które także pozwalało jej nasyłać zbirów na swoich wrogów, mścić się na nich i nienawidzieć ich z całej duszy. Zasługą Parnickiego jest, że wniknąwszy w ducha epoki, nie przedstawił jej jednostronnie pod względem typów, mentalności i psychologii. I tak jak stawiał obok siebie postacie o charakterach i zapatrywaniach najróżniejszych, tak samo obok tych półdzikich

i właściwie zupełnie pogańskich chrześcijan, ukazał nam i postacie inne: św. Augustyna, Leona narbońskiego (późniejszego papieża) Bonifacjusza, człowieka wprawdzie słabego i grzesznego, ale z ducha i serca chrześcijanina, a przede wszystkim piękną i wzniosłą postać biskupa Egzuperancjusza, który rozumie, że „tylko Bóg ma prawo rozporządzać życiem ludzkim", który mówi, że „gdyby zjawił mi się Anioł Boży i powiedział, że za cenę krzywdy jednego człowieka wróci na ziemię raj, powiedziałbym: nie trzeba raju". Ten święty biskup woła do swoich zwaśnionych i wzajemnie się nienawidzących owieczek: „Czyż nigdy nie przestaniecie mieszać Boga i wiary do swych swarów, żądz i nienawiści"! Bo oczywiście — i wtedy, jak dzisiaj, obrona wiary bywała często tylko pretekstem osobistych i politycznych rozrachunków. Katolicy, wedle koniunktury, albo zwalczali Arian w imię walki z herezją, albo się z nimi łączyli w imię walki z herezją inną. A tylko charakterystyczną cechą epoki, doskonale przez Parnickiego uwydatnioną, były gwałtowne i niekończące się spory dogmatyczne, roznamiętniające nie tylko teologów, ale świat cały, kobiety, uczonych, wojowników, mężów stanu. O wartości historycznej książki Parnickiego orzekli lub orzekną oczywiście historycy; my laicy możemy tylko być zdumieni erudycją młodego pisarza, jego swobodą i pewnością z jaką się w tym olbrzymim, skomplikowanym świecie obraca, i możemy mu być wdzięczni, za barwność, za sugestywność, z jaką nam go przedstawił, w formie nie tylko zajmującej, ale wprost pasjonującej.

Forma powieściowa, którą może szczęśliwie dla swej monografii o Aecjuszu obrał, wykazuje tylko pewne braki na początku i na końcu książki. Pierwsze rozdziały są dla nas trochę niejasne, gdyż autor operując chwytami powieściowych efektów, wprowadza nas bez przygotowania w świat i stosunki nam bardzo dalekie i nieznane, i na skutek tego nie od razu możemy się i w tych stosunkach i w epoce rozpoznać. Także koniec jest raczej powieściowy niż biograficzny. Opowiadanie urywa się w chwili najwyższej świetności Aecjusza, na jego zwycięstwie nad Frankami w roku 446. Wiemy, że Aecjusz żył jeszcze lat 8 i dopiero w roku 454 padł zamordowany na rozkaz Walentyniana. Powieść Parnickiego, urywając się na zwycięstwie Aecjusza, ma wprawdzie tak miły zawsze dla czytelnika *happy end* ale jednak wolelibyśmy znać całą, aż do końca, historię Aecjusza. Czy Parnicki traktując swą pracę rzeczywiście tylko jak powieść, chciał nam oszczędzić historii upadku i śmierci swego bohatera, czy też w tomie drugim da nam historię tych jeszcze 8 lat jego życia — nie wiadomo. W każdym razie obie ewentualności nie wychodzą książce na dobro. Ale sam fakt, że nie jesteśmy zadowoleni ze zbyt szybkiego zakończenia tej grubej książki, świadczy wymownie, jak bardzo nas wzięła i zainteresowała. Toteż w autorze, którego znaliśmy dotąd jedynie z prac krytycznych, musimy powitać

z radością doskonałego pisarza historycznego. Ufamy, że da nam cały szereg prac równie jak ta, ciekawych i wartościowych.

Świeżo wydana książka p. Marii Kuncewiczowej *Dnie powszednie państwa Kowalskich* to rzecz jako zjawisko literackie zupełnie nowa, bodaj że w literaturze świata pierwsze. Jest to powieść radiowa, dialogowana z krótkimi tylko komentarzami od autora, rzekomego „podsłuchiwacza" rozmów pp. Kowalskich. W ciekawym wstępie tłumaczy pani E. Grocholska genezę, cel i założenie tej radiowej powieści, która miała ilustrować zwyczaje i obyczaje naszego życia w różnych jego środowiskach i momentach. Gdy czytamy tę powieść z takim powodzeniem mówioną przez radio, przychodzi nam na myśl, że powiedzenie Pisma św. o rozwijaniu się każdego bytu „wedle gatunku swego", ma zastosowanie także i w literaturze, bo niewątpliwie dzieło p. Kuncewiczowej było lepsze w słuchaniu niż w czytaniu. Nie jest to zarzut, lecz stwierdzenie faktu, prawie że koniecznego. Weźmy chociażby stronę techniczną: w audycjach radiowych można się było bez trudności orientować kto mówi, podczas gdy w książce, pisanej dialogiem, bez podawania mówiącej osoby na modłę pisanych dramatów, często musimy się zastanawiać i rozstrzygać kto ma głos, Paweł czy Irena. Oprócz tego w czytaniu brak nam co chwilę komentarzy, tego rozszerzenia i pogłębienia, do którego w powieści przyzwyczajeni jesteśmy, a którego nie brakowało nam w słuchaniu. Mimo tych i innych niedogodności czytania tego, co miało być słuchane (choćby występująca w czytaniu pewna monotonia, której nie było w audycjach), zalety świetnego pióra p. Kuncewiczowej występują w całej pełni, podkreślone jeszcze faktem, że zdobywają teren, który nie miał być terenem pióra. Może najmniej przekonywująco wypadło to, co zaczęło się wyłamywać z nakreślonych radiowym programem ram, sam konflikt państwa Kowalskich. Ten wydaje nam się zbyt naszkicowany, niepogłębiony, zbyt błahy i raczej przypomina kłótnie rozkapryszonych dzieci, niż poważny konflikt dwojga dojrzałych ludzi. Wolimy część obyczajową. Wieloma cechami przypomina ta książka M. Kuncewiczowej jej „Dyliżans warszawski". P. Kuncewiczowa jest bystrą obserwatorką życia miasta i ulicy, życia powszedniego, a co więcej jest jego poetką. Ludzie tłoczący się w tramwaju i „stołówkach" (czyż to rdzennie polskie ale tak niefonetyczne słowo ma zastąpić niepolskie ale jakżeż zadomowione słowo „restauracja"?) panie grymaszące w magazynie konfekcji, zgrywające się u fryzjera, ludzie śpieszący na ulicy, jedzący makaron z szynką u siebie w domu — to dla Kuncewiczowej nie tylko charakterystyczny i barwny kształt życia, to rodzaj palimpsestu, z którego z wielką intuicją, odczytać umie istotny sens życia, istotę ludzkich dramatów. Sobie tylko znanym kunsztem umie, nie opowiadając nic ponadto co widzą

wszyscy, powiedzieć jednak tak niezmiernie wiele o tym, czego zwykli ludzie nie wiedzą i nie widzą, nie umiejąc patrzeć naokoło siebie wszystkowidzącym okiem poety.

Niedostrzegalnymi muśnięciami pędzla umie p. Kuncewiczowa podnieść państwa Kowalskich — a także i nasze — dni powszednie do dni intensywnie przeżywanej poezji, do intensywnego napięcia dramatycznego i melancholijnej zadumy. Do tej zadumy i refleksji, zabarwionej poezją, skłania nas nie tylko gdy kreśli nam szereg typów, scen obyczajowych i charakterystycznych, ale także tam, gdzie dialogi jej dotyczą zagadnień sztuki, jej znaczenia i doniosłości dla życia. Ten „Dyliżans" obwozi nas już nie tylko po Warszawie, ale po całej Polsce i co ważniejsze po wszystkich zakamarkach naszej duszy. I czytając tę książkę nie przeznaczoną właściwie do czytania, stwierdzić raz jeszcze musimy, że pióro p. Kuncewiczowej umie ożywić, nadać barwę i blask każdemu tematowi, którego się dotknie.

Coraz więcej wchodzi w modę literacki regionalizm, i to regionalizm nie tylko geograficzny, ale i „tematyczny". Wytwarzają się literatury pewnych okolic, pewnych środowisk, pewnych fachów. Mamy już speców od literatury Śląskiej, od literatury lotniczej, marzymy o specach od literatury morskiej. Bo regionalizm morski jest dziś jednym z najmodniejszych, a przyznajmy także jednym z najwdzięczniejszych. Jest to całkiem zrozumiałe: zbudowaliśmy Gdynię, postawiliśmy flotę, chcemy zdobyć morze także i na „odcinku" literackim. Tęsknimy za zaślubieniem morza przez czarodziejski pierścień sztuki. I oto triumfalnie, a dość niespodziewanie, wjechała w sine fale Bałtyku — młoda kobieta i dotąd nam nieznana pisarka, W a n d a K a r c z e w s k a. W nasze życie morskie rzuciła ciekawą powieść *Ludzie spod żagli*. Książka ta zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie powieściowym Ligi Morskiej i Kolonialnej. Ta nagroda świadczy wymownie o technicznych, „morskich" zaletach książki. Przez tę nagrodę znawcy morza orzekli, że Wanda Karczewska nie jest morskim „amatorem", lecz że morze, statek, marynarza, że morskie życie i pracę, zna naprawdę i gruntownie. Autentyzm jej języka, a także całej książki, poręczony dla nas laików przez „jury" Ligi Morskiej i Kolonialnej, to dla książki zaleta duża i bardzo poważna.

Ale, każda książka, nawet „regionalna", należy nie tylko do literatury „specjalnej", ale także do literatury w ogóle, do literatury bezprzymiotnikowej, i każda musi być badana nie tylko pod kątem jej autentyzmu, jej ścisłości i wierności technicznej, ale także pod kątem zalet czy błędów natury ogólniejszej, natury czysto estetycznej i literackiej. Wiele książek o tematach specjalnych, o bardzo ściśle określonym terenie akcji (ostatecznie każda powieść dzieje się w ściśle określonym środowisku i miejscu) rozsadza jednak ramy tego regionalizmu tak, że zalety tech-

niczne, zalety autentyczności lokalnej czy zawodowej schodzą na plan drugi. Tak właśnie stało się np. z Kadenowskimi „Czarnymi skrzydłami", [1]) których dynamizm i horyzonty wyprowadzają czytelnika daleko poza teren stosunków kopalnianych, tak że ta książka, choć stosunki Dąbrowy i zagadnienia kopalniane tak wiernie oddaje, żadną miarą nazwą powieści regionalnej czy specjalnej lub fachowej określoną być nie może. Tak samo dzieje się z całą morską literaturą Konradowską, której morski autentyzm jest tylko jednym ze szczegółów. Autor każdy, chcąc badać życie i człowieka musi patrzyć w jego kształt określony i zdefiniowany, musi swą wizję umiejscowić. Ale jednak pisarz prawdziwy, patrząc w to, jakby z konieczności zacieśnione zwierciadło, umie je rozszerzać w nieskończoność, umie przez szczegół mówić o zagadnieniach ogólnych, umie, badając marynarza czy górnika, mówić po prostu o człowieku. I na tym właśnie polega sztuka, wielka sztuka pisarska. To jest miara poziomu artystycznego książki. Oczywiście, to wyłamanie barier regionalizmu nie umniejsza w niczym autentyzmu książki, jej fachowości czy technicznej „wierności w terenie" — przeciwnie. Chcę tylko powiedzieć, że książka, na to by naprawdę mogła należeć do literatury musi te bariery przełamać, że punkt jej ciężkości musi leżeć gdzie indziej, a raczej wyżej, niż w doskonałej wierności technicznej, niż w głębokiej nawet znajomości środowiska. I tej właśnie próby wyprowadzenia poza ramy „powieści morskiej", książka Wandy Karczewskiej, mimo wszelkich swych zalet, nie wytrzymuje. Najbardziej uderzającą jej wadą ogólną, literacką, jest jej bardzo zresztą młodociana „literackość" i przestylizowanie. Metaforyczny do ostatnich granic język „Ludzi spod żagli" jest dziś co prawda bardzo modny, ale nie zdaje mi się, by to była moda szczęśliwa. Język Wandy Karczewskiej jest już prawie barokowy, jest męczący w czytaniu, często niezrozumiały, przeładowany obrazowaniem, a przez to nieplastyczny. Stanowczo za wiele tu porównań, za wiele „pni sosnowych kolumn", „konarów rei", „pnączy lin", „korzeni kilów", „żyznej gleby" morza, „grząd tygodni". Za mało słów, za mało pojęć, stoi o własnych siłach, za dużo podpór, porównań. To jest męczące. Ten barokowy styl odbija się z konieczności i na strukturze powieści. Fabuła jej, jest trochę nikła, trochę konwencjonalna, ale to było by jeszcze najmniejsze. Gorzej, że ta fabuła nie zawsze jest zrozumiała, że jest sztucznie zaciemniana dla tym większego efektu. Chwilami po prostu trudno zrozumieć co się stało: czy Lars wpadł do wody czy nie, czy skaleczył Hopkinsa czy nie. Trzeba ufać, że autorka lecząc się z tej najbardziej uroczej wady ludzkiej, z młodości, wyleczy się także z tej tak bardzo młodocianej maniery,

[1]) Powieść ta pojawiła się niedawno w wydaniu trzecim, przejrzanym i poprawionym przez autora. Nakład Gebethner i Wolff. Warszawa.

z tej zbytecznej „literackości" i sztuczności. Ale na to by została prawdziwą pisarką, nie tylko w klasie morskiej ale także w klasie literackiej, ma jeszcze przed sobą pracę dłuższą i trudniejszą, niż otrząśnięcie się z tej trochę dziecinnej afektacji, z tej zabawy w literackość. Musi — i nawet na to by pogłębić swój stosunek do morza i morskiego człowieka — wyjść poza morze. Musi pójść głębiej w ten ocean najbardziej niezgłębiony i najpełniejszy groźnych zasadzek, w samego człowieka, w jego duszę i w zagadkę jego bytu. Bo tego właśnie ludzkiego pogłębienia książce jej brak. „Morskość" jej książki nie jest tylko tłem, lecz istotą i osią „Ludzi spod żagli" i to jest ich błąd największy i najbardziej zasadniczy, to nie wypuszczanie książki z klatki „regionalizmu". I jeżeli już pominąć pisarza najbardziej autentycznie morskiego a jednak tak nam blisko „ziemskiego", jeśli pominąć tego największego władcę mórz, Konrada, i ograniczyć się do porównań z polskiej literatury morskiej, to przyznać musimy, że książka Wandy Karczewskiej nie pobiła rekordu polskiej marynistyki, „Opowieści morskich" Salińskiego. Ta tak niesłusznie przemilczana, tak prędko pokryta zapomnieniem książka, pozostaje dotąd najlepszą naszą książką o morzu, bo jest piękna nie tylko „po morsku" ale i po literacku, po ludzku. A nie może definitywnie zwyciężyć książka „na odcinku w terenie" jeśli nie wygra bitwy na wielkiej arenie czysto literackiej. I dopiero jeśli p. Karczewska „wyjdzie z morza", jeśli na to morze i na jego ludzi spojrzy z wysokiej góry sztuki z dalekiego ludzkiego horyzontu — dopiero wtedy dzieło jej nabierze tchu i rezonansu, dopiero wtedy wejdzie pełnymi żaglami w literaturę.

Książkę Jerzego Strzemię-Janowskiego: *Karmazyny i żuliki* można określić jednym, w ocenach literackich tak rzadko używanym słowem: „książka zabawna". Człowiek czytając ją śmieje się „od miejsca do miejsca"... P. Janowski sportsmen, jeździec, myśliwy, hodowca — koniarz i psiarz całą gębą, opowiada nam swoje niezliczone przygody, a także przygody i historie wszystkich swoich tak licznych przyjaciół czworonożnych. Ten cały niemy pozornie świat, rozumie doskonale, nie po literacku, lecz po ludzku, po sąsiedzku. Rozumie i kocha tych swoich „młodszych braci", miało by się ochotę powiedzieć po franciszkańsku, gdyby to określenie nie raziło w zestawieniu z pełną kawalerskiej fantazji, rozmachu, szaławiłstwa i szałapuctwa postacią autora. A choć p. Janowski ma literaturę w najwyższej pogardzie, choć ma w pogardzie wszystkie badania, dociekania i filozofię, powiedział nam o tajemniczym świecie zwierząt o wiele więcej, niż bardzo mądrzy literaci, badający psychikę zwierząt całym aparatem psychologicznym i naukowym. Po przeczytaniu „Karmazynów i żulików" całkiem inaczej patrzymy na naszych codziennych towarzyszy i współpracowników: zwierzęta. Na tle

tego dziwnego świata jawi się i świat ludzki, świat sportowy, koński i wyścigowy. I tak jak przyjemnie jest zrobić podróż w jakąś nieznaną, egzotyczną dżunglę, tak samo przyjemnie jest znaleźć się na chwilę w tym, bardziej od masońskiego, zakonspirowanym świecie koniarzy. Człowiek myśli sobie, że znowu świat nie jest tak skomplikowany a życie tak trudne, jeżeli można tak pasjonować się zagadnieniem, po jakim ojcu i dziadku jest jakaś szkapa, tak obmyślać „psie pedigri". „Nie miał pan większych kłopotów" — pyta czytelnik autora? Nie miałem, odpowiada oburzony autor, bo dla niego rzeczywiście ważniejszych zagadnień nie ma. Ale czytelnik nie oburza się; poprzez wesołość i śmiech, jak przez każdy zdrowy i szczery śmiech, przebija się tu lekka nuta melancholii a nawet nuta zadumy. I spostrzegamy się, że ten świat zwierząt jest światem nie tylko zabawnym, ale także światem dobrym i rozumnym. Dobre i rozumne wydają się nam nie tylko pana Janowskiego psy i konie, dobrym i rozumnym człowiekiem wydaje nam się i sam Autor. Widać że życia uczył się nie z książek drukowanych, ale z wielkiej księgi przyrody, a to jest księga ze wszystkich najmędrsza. Toteż choć cieszymy się tą miłą beztroską książką, zamykając ją myślimy ze szczerym współczuciem: „na co mu też biedakowi przyszło, żeby i on książki pisał"...

Zofia Starowieyska-Morstinowa.

Kawyn Stefan: Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza 1890—1898. „Badania literackie" t. X. Lwów 1937. Str. 244.

Dwie daty, stanowiące ramy studium Kawyna o Mickiewiczu — nie są okresem chronologicznie przypadkowym czy też etapem jego kultu, dowolnie wybranym. Rok 1890 — to sprowadzenie zwłok wieszcza do krypt podwawelskich, rok 1898 — to wzniesienie pomnika w Warszawie. Jeśli chodzi o ewolucję programów i partyj politycznych, ośmiu lat ostatniej dekady XIX w., to oznaczają one przełom w życiu polskim. Narodziny P. P. S. (1892), Polskiego Stronnictwa Ludowego (1894) i Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego (1897) dokonują się w tym czasie; dokonuje się również poza tymi faktami szereg wydarzeń niezwykle doniosłych na polu kultury i gospodarstwa rodzimego. Nie zawsze jednak ewolucja polskiego życia pokrywała się z zasadniczym interesem polskiej „racji stanu": dążeniem do niepodległości i suwerenności politycznej; przeciwnie — ewolucja ta w wielu wypadkach świadomie i z naciskiem od tej linii odstępowała. Kto miał czuwać nad tą ryzykowną, choć nieraz żywiołowo rozwijającą się drogą polskiego pielgrzymstwa? Czy należało to do polityków, czy ekonomistów, czy poetów? Czy były wśród żywych tak potężne autorytety, by mogły przebić kordon

granic rozbiorowych, objąć swym wpływem wszystkie dzielnice Polski, wszystkie warstwy społeczne, wszystkie pola działania?

Odpowiedzią na te pytania jest książka Kawyna, tym właśnie wyróżniająca się wśród mnóstwa naukowych prac o Mickiewiczu, że zjawiska literackie wtórne a więc formy kultu poety — przenosi na pole dociekań socjologicznych i politycznych, tak mało u nas nawet w odniesieniu do Mickiewicza rozwiniętych. Kawyn więc podjął się trudu pionierskiego do pewnego stopnia i dał wyniki naprawdę ciekawe i dotąd nieznane. Zebrał z niezwykłą skrupulatnością i krytyczną selekcją wszystkie te dane, które oświetlają kształtowanie się kultu mickiewiczowskiego w wszystkich trzech zaborach i na emigracji. Że potraktowanie całego obszaru nie jest równe (np. stosunku Wielkopolski i Wilna do sprowadzenia zwłok do Krakowa), to z jednej strony tłumaczy się brakiem podstaw źródłowych, z drugiej strony rolą tych obszarów w ewolucji myśli politycznej w Polsce. Że w niejednym punkcie interpretacja faktów, naprowadzonych przez Kawyna, idzie zbyt po linii pewnych obozów politycznych — to dowód, jak sugestywną była ideologia pewnych odłamów, oparta o autorytet wielkiego wieszcza. I tak autor, mówiąc o stosunku ks. kard. Puzyny do sprawy umieszczenia zwłok w podziemiach Wawelu (45) nie popiera swej relacji żadnym źródłem, podobnie jak bez bliższych wyjaśnień stwierdza, że opinia o Kościuszce jako „ostatnim obrońcu niepodległości" — to „oficjalny pogląd rosyjski, nie uznający powstań późniejszych" (str. 44). Z drugiej strony naginanie ideologii wieszcza przez przewódców partyjnych do ściśle i wyłącznie partyjnych założeń czy to socjal. demokracji czy międzynarod. socjalizmu (Mickiewicz — „misterny robotnik wierszy" i „socjalista międzynarod." str. 198) wymagało by może więcej krytycznego rozbioru, niż to zawiera obiektywne omówienie publicystyki ówczesnej. Może interpretacja głosów współczesnych pisarzy i działaczy — traci niemało na tym, że wiele pierwszorzędnych momentów walki politycznej o kult wieszcza sprowadził autor do przypisów, traktując je tym samym bardziej szkicowo i zwięźlej. Zmiana terminu pogrzebu Mickiewicza (str. 51), sprawa dokumentu erekcyjnego pomnika Mickiewicza w Warszawie (str. 112), stosunek prasy socjalist. do uroczystości mickiew. (str. 200) wymagałyby naszym zdaniem — miejsca w tekście właściwym, natomiast zbyt szczegółową analizę różnych ulotek i pism (np. ludowych) można by raczej przenieść do przypisów. Ta uwaga natury konstrukcyjno-metodycznej nie może obniżyć oczywiście wartości pracy pod względem merytorycznym. Omawiana bowiem książka przynosi niezwykle bogaty plon studiów i inicjuje nader ciekawą i aktualną, nawet z punktu widzenia dzisiejszych stosunków politycznych w Polsce — metodę badania oddziaływań poezji na życie całego narodu.

Dr Marian Tyrowicz.

Terlecki Tymon: Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego. „Biblioteka kroniki miasta Poznania", nr 5. Poznań, 1937. Str. 11+296.

Wzmagający się w ostatnich latach zapał do badania dziejów Wielkopolski zarówno w zamierzchłej erze przedhistorycznej, jak i z czasów Polski niepodległej, a następnie porozbiorowej, wydał już wiele pożytecznych owoców, wśród nich przede wszystkim godną zanotowania *Bibliografię Historii Wielkopolski* A. Wojtkowskiego. W zakresie badań literackich, dotyczących tego obszaru, ukazało się również ostatnio nader ciekawe studium Terleckiego o jednym z najwybitniejszych pisarzy a równocześnie działaczu politycznym ks. Poznańskiego — R. Berwińskim (1819—1879). Terlecki, który już szereg prac pomniejszych poświęcił tej postaci podjął się niemałego trudu rekonstrukcji tych warunków politycznych i kulturalnych, wśród których rodził się i dojrzewał talent pisarski Berwińskiego. Wzbogaciwszy ten obraz warunków tłem obyczajowym i drobiazgową analizą środowiska, dał on w sumie „rodowód literacki" i ewolucję poglądów poety, odzwierciedlającą się w jego utworach. Bardzo misterna to robota zazębiająca się co krok o dzieje polityczne, zwłaszcza ten ich dział, który osłania najgrubszy płaszcz tajemnic i pogmatwań — dzieje konspiracji. Zawiłe filiacje wpływów literackich, gdzieniegdzie sieć kulturalnych oddziaływań a nade wszystko wewnętrzne psychologiczne rozrastanie się nawarstwień emocjonalnych i intelektualnych — oto te czynniki opisu „rodowodu", które szczególnie w pierwszej połowie XIX w. i szczególnie na terenie wielkopolskim, leżącym w orbicie promieniowania spekulacyjnej filozofii neohegeliańskiej, stwarzając istny „węzeł gordyjski" badania literackiego. Wszystkie te wpływy indywidualne i zespołowe, polskie i obce, wywodzące się z świata myśli i konkretnych czynów — ujął Terlecki niezwykle oryginalnie w trzy sploty etapowe. Dzieciństwo i młodość (rozdz. I. „Juvenilia") zamykają się w zespole pierwszych utworów relacyjnych, budowanych na ludowych klechdach wielkopolskich. Etap drugi („Droga ku pierwszej syntezie") uwieńczony jest „Boginką na Gople", poematem o pierwiastkach romantycznych i ludowych; etap trzeci („Narodziny poety rewoluc.") daje tom „Poezyj" (1844), w którym wyczuwa się podmuch idei nie tylko niepodległościowych, ale i wyzwoleńczych z ogólno-ludzkiego punktu widzenia.

Powyższe trzy etapy rozwojowe dają pierwszy okres życia poety tak mało znany (nawet nie dość rozwinięty w ostatnim ujęciu życiorysowym „Pol. Słownika Biogr.", t. I. 471), ochrzczony przez autora „epoką przedlutową" ze względu na ruinę przygotowań powstańczych przedwiośnia 1848 r. Przewija się tu cały świat konspiracji (Edw. Dembowski, Brudzewski W. Stefański i wielu in. z elity umysłowej. E. Raczyński, A. Cieszkowski,

H. Kamiński i in.) scharakteryzowany z zastanawiającą trafnością i lapidarnością zwłaszcza od strony założeń ideologicznych i metod działania (świetny konterfekt duchowy Edw. Dembowskiego).

Pewne drobne szczegóły dostarczają materiału dyskusyjnego. Trudno pogodzić się z poglądem, że „epokę przedlutową" Wielkopolski cechuje „absolutna daremność usiłowań" (str. 91), trudno też widzieć w twórczości Berwińskiego wyraźny ślad „bałagulstwa" (typowego, kresowo-ukraińskiego ruchu obyczajowego) na równi przez autora postawiony z wpływem niemieckiej „burszerii" (str. 183). Sprostować należy, że w działalności konspiracyjnej w Galicji zetknął się Berwiński nie z Edwardem ale Adolfem Bobrowskim w Grójcu (str. 179 — por. artyk. w „Pol. Słown. Biogr." II. 158).

Język którym się posługuje Terlecki, uderza swą niecodziennością, nieoczekiwanymi zestawieniami, powagą. Przeciwstawia się jeszcze takiemu traktowaniu tematu tu i ówdzie występujące odwoływanie się do dzisiejszości z zakresu kryteriów porównawczych literackich (technika powieści Wallace'a, terminologia Chwistka, psychika Conrada itd.) Cechą charakterystyczną konstrukcji Terleckiego — to przerost przypisów, które objętościowo górują nad właściwym tekstem, choć wzbogacają one zasadniczo tezy autora i oświetlają je wskazówkami bibliogr., rozbijają nieraz oś centralną problemu książki.

Dr Marian Tyrowicz.

Św. Cyprian. Pisma I, Traktaty. Z łacińskiego przetłumaczył, wstępami i komentarzem zaopatrzył ks. dr Jan Czuj. (Pisma Ojców Kościoła w polskim tłumaczeniu pod naczelną redakcją prof. Uniwersytetu Pozn. dra Jana Sajdaka. Tom XIX). Poznań 1937. Str. 402+10.

Ks. docent dr Jan Czuj, któremu poznańskie wydawnictwo pism Ojców Kościoła zawdzięcza już sześć (ogłoszonych) tomów przekładów, wydał ostatnio przekłady traktatów św. Cypriana (w wyborze), jako tom I pism tego świętego; tom II, obejmujący listy, gotowy jest już do druku i spodziewać się należy, że wyjdzie niebawem. Wybór pism umieszczony w I tomie, obejmuje traktaty: Do Donata, że bałwany nie są bogami, Do Kwiryna, O stroju dziewic, O jedności Kościoła katolickiego, O upadłych, O Modlitwie Pańskiej, O śmiertelności, Do Fortunata, Do Demetriana, O uczynku i jałmużnach, O pożytku cierpliwości, O zazdrości i zawiści i wreszcie zdania biskupów w liczbie 87 o chrzcie heretyków. Na początku tomu, we wstępie, daje tłumacz dość obszerny (str. 5—53) „życiorys św. Cypriana"; jest to przedruk rozprawy (w formie nieco zmienionej — jak zaznacza sam autor w przypisku na str. 5), drukowanej w *Ateneum Kapłańskim*, R. 21, t. 36, str. 113—135 i 266—273. Po tym wstępie następują przekłady: „żywotu Cecyliusza Cypriana", przypisywanego zazwyczaj

Poncjuszowi Diakonowi (str. 56—75), oraz „akt prokonsularnych", dotyczących męczeństwa Świętego (str. 77—80); jeden i drugi przekład poprzedzony jest krótkim wstępem informacyjnym (str. 54—55 i str. 76). Podobneż wstępy, uwzględniające niezbędną bibliografię przedmiotu i nasuwających się kwestyj, znajdują się przed każdym z przełożonych traktatów. Są one bardzo pożyteczne, tym więcej, że poza monografią, ogłoszoną przez ks. Czuja pt. „św. Cyprian na tle epoki" (Włocławek 1934), nic wyczerpującego nie mamy w języku polskim o tym Świętym Męczenniku i jego pismach. Szczupły komentarz, zamieszczony pod tekstem, daje nieraz niezbędne wyjaśnienia do lepszego zrozumienia treści. Przekład, o ile mogłem stwierdzić (zestawiając go z oryginałem w wiedeńskim wydaniu W. Hartel'a w *Corpus Script. Ecclesiast. Latin.*), pod względem filologicznym na ogół jest wierny, nieraz może pod względem językowym aż za dokładny, co w rezultacie odbija się niekorzystnie na stylistycznej gładkości języka polskiego i za mało niekiedy pomaga do zrozumienia trudniejszych zwrotów oryginału. Ale przekład pism Cypriana, nie pozbawionych retorycznych nawyczek i kwiecistości stylistycznej, nie jest rzeczą łatwą! Dlatego też księdzu Czujowi, który przyswoił naszej literaturze część pism św. Cypriana, winniśmy wdzięczność szczerą i zasłużoną.

Dr Stan. Seliga.

Maria Szurek-Wisti: Miriam-tłumacz. Wydawnictwo Kasy Mianowskiego. Warszawa, 1937.

Książka Marii Szurek-Wisti daje nam przez swój obszerny wstęp znacznie więcej niż obiecuje tytuł. We wstępie tym bowiem kreśli nam autorka niezmiernie ciekawą historię „ruchu tłumaczeniowego" i niemniej ciekawą „trylogię tłumaczy". Po tym interesującym wstępie czytamy z tym większym zainteresowaniem szczegółową analizę tłumaczeń Miriama, zestawienia jego tłumaczeń z tłumaczeniami innych pisarzy i poetów. Oczywiście praca pani Szurek-Wisti jest pracą bardzo specjalną, ale nawet czytelnik laik przeczyta ją z zainteresowaniem. Dzisiaj tylu ludzi pisze (często zdaje mi się, że więcej jest piszących jak czytających), tylu ludzi tłumaczy, że właściwie tą specjalną książką powinny się zainteresować „szerokie rzesze" ludzi piszących i tłumaczących. Zwłaszcza dla tłumaczy jest ona bardzo i ciekawa i pouczająca. Otwiera ogromne perspektywy na arkany tej trudnej a ciekawej sztuki, ukazuje tłumaczeń wady, zalety, systemy i metody. Ale oprócz tego interesu natury ogólnej, jaki przedstawia, oprócz tego „obroku duchownego", jaki wielu z niej wyciągnąć może, jest także książka ta ciekawa przez ukazanie ogromnych zasług i ogromnej pracy Miriama-Przesmyckiego, pracy tłumacza i pracy krytyka, jest ciekawa przez ukazanie ogromnych zasług

tego pisarza dla kultury naszej. Bardzo inteligentnie i bardzo interesująco ukazuje też autorka wpływ jaki miał na Miriama Norwid; przekształcania się jego stylu a nawet słownictwa przez zetknięcie z wielkim poetą, którego „odkrył" i którego kult i znajomość z takim nakładem pracy i entuzjazmu szerzył. Specjaliści ocenią na pewno pracę pani Szurek-Wisti wedle jej wartości, my laicy możemy tylko podziwiać ogrom pracy i erudycji włożony w ten stosunkowo niewielki tomik, a podziwiamy go tym chętniej, że ta erudycja dobrze opanowana i przyswojona nie przygniata nas i nie nuży, dając nam tylko sam kwiat, sam owoc wielkiej i mozolnej pracy autorki.

Zofia Starowieyska Morstinowa.

Dr Jan Muszkowski: Życie książki. Nakładem „Naszej Księgarni", Warszawa 1936, str. 346.

Jest to właściwie powieść o książce, z taką żywością i tak przystępnie opisuje Autor ewolucję pojęcia książki i technikę jej powstania. Przed oczami czytelnika przesuwają się, jak w filmie, pierwsze nieudolne znaki ryte w kamieniu przez pierwotnego człowieka, by w końcowym rozwoju dostać się na walec nowoczesnej maszyny rotacyjnej. O tym pisze Autor zaraz na wstępie, później opowiada o wytwarzaniu i obiegu druków, a więc wszystkie kwestie związane z autorstwem, z nakładem i handlem księgarskim, z bibliotekarstwem i służbą informacyjną. Nie trzeba jednak myśleć, że *Życie książki* jest czymś w rodzaju *Manuel d'Edition et de Librairie* Gastona Zelgera. Jej celem jest wzbudzić wśród społeczeństwa zamiłowanie do książki, szanowanie jej, rozpowszechnianie. Dlatego ostatnie rozdziały mówią o stosunku książki do oświaty, widać od razu, że włożył w nie Autor długoletnie doświadczenie i miłość z takim pietyzmem opisywanych książek jak również miłość do społeczeństwa, wśród którego chciałby wzbudzić jak najwięcej przyjaciół drukowanego słowa. Już dla tych samych nawet rozdziałów końcowych o oświacie książkę p. Muszkowskiego trzeba gorąco polecić.

Ks. Br. Wójcik T. J.

M. l'Abbé Coudurier: Vie de la Bienheureuse Lidwine. Pierre Téqui. Paris 1936, str. 322.

Nowe wydanie tego żywotu (pierwsze ukazało się w 1862 r.) trzeba przypisać prawdopodobnie powszechnemu i ciągle jeszcze trwającemu rozgłosowi, jakim się cieszy sprawa Teresy Neumann. Trudno bowiem nie łączyć tych dwóch wielkich zjawisk z dziedziny głębokich przeżyć religijnych, chociaż dzieli je pięciowiekowy okres czasu. Podobnie jak Teresa z Konnersreuth, Lidwina

stygmatyczka na wiele lat przed swą śmiercią zaprzestała przyjmowania wszelkich pokarmów, jedynym źródłem jej siły była Eucharystia. A to wszystko połączone ze strasznymi cierpieniami jej rozkładającego się ciała, z ciągłą bezsennością, z nieufnością otoczenia i szykanami wrogów. Cierpienia, których siła i przeciąganie się mogą doprowadzić do obłąkania albo do świętości; u błogosławionej Lidwiny skończyło się to nadzwyczajnym złączeniem z Bogiem. Autor nie żałował opisów zachwytów i wizyj — czytelnik jest mu za to wdzięczny, bo w ten sposób złagodzone trochę zostało realistyczne przedstawienie wszelkich objawów choroby Lidwiny. Acta Sanctorum Bollandystów (De B. Lidwige sive Lidwine virgine Schiedami in Holandia, Act. Sanct. aprilis t. II, str. 266—365), z których też Autor korzystał, są bezwzględniejsze, przytaczają bowiem świadectwa otoczenia Błogosławionej, świadectwa z piętnastego wieku, a to dużo mówi.

Wartość książki ks. Couduriera jest oczywiście niewielka, wydana w okresie walki z racjonalizmem razić nas musi swym trochę naiwnym ujęciem, swą szablonowością zwłaszcza, przy kreśleniu duchowego rozwoju Lidwiny, swym sentymentalizmem. Trzeba więc przestrzec wydawnictwa przed jej tłumaczeniem. Dobrze jednak się stało, że przynajmniej w ten sposób przypomniano światu losy stygmatyczki ze Schiedam. Może który z hagiografów wyda jej żywot naprawdę krytyczny, bez naiwnego ujęcia ks. Couduriera i bez zbytniego poetyzowania K. Huysmansa (Sainte Lydwine de Schiedam, Stock, 1901).

Ks. Br. Wójcik T. J.

P. Karl Egger S. J.: — Seele im Sturm, Kriegserleben eines Feldgeistlichen, s. 244, Felizian Rauch, Innsbruck—Leipzig 1936.

Nie jest to dziennik żołnierski, ani powieść wojenna, lecz żywe i malownicze opowiadanie przeżyć kapelana wojskowego w armii austriackiej na froncie włoskim, w latach 1916—1918. Autor jest Tyrolczykiem, młodym, wesołym, opierającym się na silnej ufności w Bogu, optymistą. Stawia nam przed oczy, w krótkich barwnych rozdziałach, dzikie alpejskie krajobrazy, okrutne a niebezpieczne walki na zawrotnych szczytach skalnych, kreśli rozmaite typy młodych, beztroskich oficerów, wytrzymałych szeregowców, lekarzy i sanitariuszów. Usprawiedliwiony jest tytuł książki *Dusza wśród burzy,* gdyż autor wraca ciągle do tego, jak reaguje dusza na te potworne wydarzenia i straszne przewroty. Widzimy działalność duszpasterską dzielnego „Feldkurata"; słyszymy jego rozmowy religijno filozoficzne z oficerami owładniętymi zwątpieniem i defetyzmem. Na str. 15 autor czyni słuszną uwagę: „gdyby wojna była trwała kilka miesięcy, byłaby wielce ludzi poprawiła; ale że trwała kilka lat, rozluźniła więzy moralności,

zniszczyła cywilizację europejską, a u wielu podkopała, a nawet całkiem zniszczyła wiarę".

Tragiczny jest koniec książki: upadek ducha w wojsku, rewolucja bawarska w listopadzie 1918 r., upadek monarchii Habsburgów, dezorganizacja u góry i u dołu, podłość jednych, tchórzostwo drugich, wzajemne obwinianie się o katastrofalny wynik... My Polacy wieleśmy przelali krwi, synowie nasi i bracia padli na polu chwały, wsie nasze i dwory poszły z dymem, magnackie fortuny runęły, ludzie niegdyś zamożni stali się żebrakami, — ale wiemy przynajmniej jaki był cel tej krwi i tych łez: Polska zmartwychwstała!

Tam zaś, gdy ustała wojenna zawierucha, tyrolski jezuita snuje smutne rozważania: „Wojna! pełen grozy koszmar. Oto idą ślepcy ze zgasłymi na wieki oczyma, zagazowani z krwawą pianą na ustach, widma rozszarpane szrapnelami i granatami, kaleki bez rąk i nóg... w dali majaczą szubienice z kołyszącymi się na nich wisielcami..." Lecz nagle zmienia się sceneria: „Wypasieni panowie we frakach ze złotymi łańcuszkami od zegarków na opiętej kamizelce; na ich rumianych twarzach błyszczy uśmiech zadowolenia: świetne bowiem porobili interesy! Są to bohaterowie giełdy, redaktorowie, dziennikarze, politycy i finansiści obcorasowi aferzyści, zabawiający się przy ostrygach i szampanie, podczas gdy biedny żołnierz marznie lub moknie w błocie rowów strzeleckich, ginie z nędzy i głodu. A żony lub kochanki tych panów noszą kosztowne suknie, brylanty w uszach i pierścionki na palcach. Wszyscy są syci i bezczelni, — a nasi nieznani bohaterowie i ich rodziny cierpią nędzę, głód i rany. Hieny ohydne, wampiry wojny!" (str. 229) Nie kończy jednak autor tym beznadziejnym dysonansem. Na ostatnich kartach książki wyraża tę myśl: Austria spełniła swą misję dziejową, jej czas minął. Nie płaczmy nad ruinami: Bóg obróci tę katastrofę na dobro tych, co go miłują. Dotąd hasłem naszym było: „Z Bogiem za cesarza i ojczyznę!" W przyszłości niech będzie: „Za Boga i ojczyznę!"

S. S. R.

Filofický Slovnik. Sestavili: dr Josef Kratochvil, dr Karel Černocký, a Otokar Charvát. Čtvrté vydání, zcela přepracované a značne rozšířené. V Brne 1937. Wielka oktawa. Str. 636.

Czescy filozofowie, o katolickim poglądzie na świat, chlubią się słusznie, że oni pierwsi wśród Słowian zdobyli się na nowoczesny Słownik filozoficzny. Powodzenie tego słownika jest wielkie. W r. 1929 ukazało się pierwsze jego wydanie, w roku obecnym już czwarte, całkiem na nowo opracowane i rozszerzone. Różni autorowie omawiają zagadnienia filozoficzne, ujęte w „hasła", zestawione alfabetycznie. Wydanie trzecie obejmowało 2626 takich wyrazów, o 773 więcej niż wydanie drugie; wydanie

zaś czwarte zawiera już 4623 haseł, zatem o 1997 więcej niż trzecie. Niektóre z tych wyrazów są jedynie przekładem na czeskie terminów filozoficznych, zwłaszcza łacińskich i greckich, inne podają krótki opis danego hasłą czy jego określenie, inne jeszcze przytaczają pewne dane historyczne o jakimś autorze czy filozofii danego kraju lub narodu.

Są i braki w tej pracy. Np. nie znajdziemy pod *anima*-dusza określenia duszy, a pod *duše*-dusza, znajdziemy za to za wiele, nie należących ściśle do tematu rzeczy. Filozofia indyjska omówiona na 6 stronach, francuska na 4 a angielska na jednej; cała scholastyka na jednej stronie, za to czeska na 6, a polska na 10. Autorowie jednak zdają sobie sprawę z braków i proszą o życzliwe uwagi. Nagrodą ich trudów jest uznanie, z jakim spotkała się ich praca, zwłaszcza ich wpływ na ujednostajnienie czeskiego słownictwa filozoficznego. Wypada powinszować naszym pobratymcom, że wcześniej dokonali z powodzeniem tego, co jak dotychczas jest tylko pragnieniem tylokrotnych już polskich narad filozoficznych.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Notatki bibliograficzne.

Kardynał A. Kakowski: List pasterski o trzeźwości i abstynencji. Poznań 1937. Nakł. Kat. Związku Abstynentów. Str. 16. Cena 30 gr.

Świeżo ukazał się w osobnym wydaniu list pasterski J. Em. ks. kardynała Kakowskiego ogłoszony z okazji Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego. Pięknie ujęte orędzie, pełne głębokiej treści, przedstawia całe zagadnienie alkoholizmu na tle dzisiejszych stosunków i bolączek. W mocnych słowach wzywa wszystkich do walki z alkoholizmem. Omawiając metody walki J. Em. ks. Kardynał stawia na pierwszym miejscu zasadę abstynencji zupełnej i poleca zakładanie organizacyj przeciwalkoholowych, podkreślając ich potrzebę i znaczenie.

Jerzy Grudziński: W obronie prawdy. Odparcie zarzutów, sprostowania nieścisłości i naświetlenie „odpowiedzi" publicystyki protestanckiej w Polsce. Cieszyn 1937. Nakładem Dziedzictwa błog. Sarkandra. 8^0, str. 110, egz. 1 zł.

Cięta ta rozprawka, napisana żywo, została opublikowana jako odpowiedź na zarzuty i sugestie ze strony protestanckiej w Polsce, skierowane w stronę katolików a sformułowane w broszurach: *Droga do prawdy historycznej* i *Hallo, Hallo! Protestanci a Polskie Radio.* Autor rozpatruje poszczególne pretensje protestantów, ze szczególnym uwzględnieniem stosunków cieszyńskich. Wydanie książki staranne.

Ks. K. Niesiołowski: Sprawa alkoholizmu w zarysie. Poznań 1937. Nakł. Kat. Związku Abstynentów. Str. 36. Cena 50 gr.

Autor zwięźle podaje całokształt metod zwalczania alkoholizmu. I to stanowi bodaj najcenniejszą zaletę tej książeczki.

Treść: Czym jest nowoczesny alkoholizm. — Rozwiązanie sprawy alkoholizmu. — Akcja ratownicza. — Akcja zapobiegawcza: I. Praca naukowa i oświatowa. II. Środki wychowawcze w walce z alkoholizmem. III. Czym zastąpić napoje upajające. — Zakończenie.

Dr Jan Galicz: Z minionych lat. Przyczynki do historii ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1937. Nakładem i drukiem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra". 8^0, str. 149 cena egz. 1.80 zł.

Przyczynki te zainteresują z pewnością miłośników narodowej przeszłości. Oto treść książki: 1. Język polski w dawnym szkolnictwie powszechnym na Śląsku Cieszyńskim. 2. Początki prasy narodowej *(Tygodnik Cieszyński* i *Gwiazdka Cieszyńska)*. 3. Józef Lompa i Karol Miarka jako współpracownicy *Gwiazdki Cieszyńskiej*. 4. Język polski w dawnych gimnazjach cieszyńskich. 5. Najstarsze czytelnie. 6. Polski teatr amatorski w Cieszynie (1852—1914). 7. Manifestacje narodowe na Śląsku Cieszyńskim. (Kartka z niedawnej przeszłości). 8. Dawny Związek Śląskich Katolików (1884—1918) w świetle swoich publikacyj. 9. *Jedność*. (Garść wspomnień z okazji 50-lecia jej założenia.

Wincenty Zieliński z Łążyna: Refleksje po pielgrzymce ziemiaństwa do Częstochowy. Skład Główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie. 1937, str. 62.

Autor przeżywa po raz wtóry podniosłe chwile jasnogórskiego ślubowania polskiego ziemiaństwa, stara się ocenić ich plon i wysnuć z nich wnioski na przyszłość.

Scena Polska. Organ Związku Artystów Scen Polskich. Pamiętnik nadzwyczajnego walnego zjazdu delegatów Z. A. S. P., poświęconego sprawom i zagadnieniom artystycznym pod redakcją Tymona Terleckiego. Warszawa 1936. Skład Główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa, str. 249.

Wydawnictwo niniejsze pragnie spełnić podwójne zadanie: udostępnić jako materiał naukowy, samokształceniowy, pedagogiczny, historyczny, referaty wygłoszone w czasie tego Zjazdu, z drugiej zaś strony zobrazować sprawozdawczo przebieg obrad w streszczeniach dyskusji nad poszczególnymi problemami, w przytoczeniu wysuniętych postulatów i uchwalonych wniosków. „Pamiętnik" pierwszego w Polsce Zjazdu poświęconego niemal wyłącznie sprawom artystycznym teatru ukazuje się jako zapowiedź wznowienia organu związkowego *Sceny Polskiej* w tym jej cha-

rakterze zewnętrznym i w tym wewnętrznym ujęciu, jaki miała w latach 1924—26 pod redakcją dra Władysława Zawistowskiego.

Jan Piętka: Wit Stwosz. Wielki artysta średniowiecza, Polak krakowianin. Nakład i druk Braci Albertynów. Dochód ze sprzedaży przeznaczony na cel beatyfikacji Brata Alberta. Warszawa 1936, str. 110.

Książeczka ta jest streszczeniem życiorysu, opracowanego naukowo przez tegoż autora, na podstawie dokumentów archiwalnych, spoczywającego dotąd w rękopisie z powodu trudności wydawniczych. Wydana na dobrym papierze, z licznymi reprodukcjami dzieł artysty, książeczka ta powinna znajdować chętnych nabywców, zwłaszcza że przyświeca jej tak szlachetny cel, godny poparcia ze strony wszystkich Polaków.

Edmund Ginalski: Na froncie i na tyłach. Warszawa 1936. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Str. 91.

Na froncie i na tyłach to XXXI tomik Biblioteki Żołnierza Polskiego. Znana jest wartość bojowa i męstwo żołnierza polskiego. Lecz by ten żołnierz mógł zwycięsko walczyć, by mógł znieść wyczerpujące zmagania wojenne, niewygody, ciężkie walki pozycyjne, by miał się czym bronić... musi ktoś czuwać nad nim, musi go ktoś zaopatrzyć w żywność, odziać i uzbroić. Tę czynność tak doniosłą spełniają lekceważeni często przez żołnierzy frontowych a nawet cywilów „ludzie na tyłach". Tworzą oni jednak całą armię nie mniejszą od armii frontowej, jest to armia zaopatrzeniowa i olbrzymi przemysł zmobilizowany na usługi żołnierza.

Dlatego też kto chce się dowiedzieć, jakie koleje i jaką podróż musi odbyć bochenek chleba, ciepła strawa, broń, by dojść do okopów, jak działa tabor i dostawa do frontu, jakie są losy rannego żołnierza, niech przeczyta niniejszą książkę. Zawiera ona 8 pogadanek barwnie i żywo przedstawionych, urozmaiconych szkicami i okraszonych humorem.

Wielką usługę odda ten tomik nie tylko samym żołnierzom, ale również organizacjom P. W. oraz tym wszystkim, którzy żywią szczerą sympatię dla armii.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie:

Sophie Abramowicz: Études sur les hymnes homériques. Wilno 1937, str. 94.

Materiały do dziejów literatury i oświaty na Litwie i Rusi. Z archiwum Drukarni i Księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie z lat 1805—1865. Zebrał Tadeusz Turkowski. Wilno 1937. Tom I. str. 321, t. II. str. 296.

Nakładem Nacz. Diec. Instyt. Akcji Kat. w Płocku:

Ks. dr J. Piwowarczyk: Kościół wobec współczesnych kierunków społecznych. 1939, str. 22.
Ks. dr Stefan Wyszyński: Stanowisko i zadania duszpasterza wobec współczesnych ruchów społecznych. 1938, str. 46.
Ks. dr F. Sawicki: Filozofia ducha w walce z filozofią życia. 1938, str. 31.
Ks. W. Rejowicz T. J.: Nasza współpraca z Bogiem i nasza odpowiedzialność za ład i spokój w świecie. 1938, str. 23.
Inż. Eugeniusz Kłoczowski: Drogi sprawiedliwości społecznej w stosunkach gospodarczych wsi. 1938, str. 25.
Ks. dr Alojzy Poszwa: Ku nowemu ustrojowi. 1938, str. 49.
Dr M. Śliwińska-Zarzecka: Przez oświatę katolicką do wychowania przodownika wsi. 1938, str. 18.

Nakładem Gebethnera i Wolffa:

Józef Beck: Przemówienia, deklaracje, wywiady 1931—1937. Warszawa 1938, str. 328.
Andrzej Strug: Miliardy. Warszawa, str. 328.

Nakładem Książnicy-Atlas:

Dr Stanisław Łempicki: Polski ideał wychowawczy. Lwów-Warszawa, str. 39.
Zygmunt Nowakowski: Gałązka rozmarynu. Widowisko w 5 obrazach. Lwów-Warszawa 1938, str. 185.
Jerzy Marlicz: Bezdroża. 1938, str. 486.

Nakładem Herdera:

Matthias Joseph Scheeben: Die bräutliche Gottesmutter. Aus dem Handbuch der Dogmatik herausgehoben und für weitere Kreise bearbeitet von Carl Feckes. S. 218 in 8°. 1936.
Dr Tihamér Tóth, Professor an der Universität zu Budapest: Der Sieg Christi — Mariologie. Predigten. Ins Deutsche übertragen von Bruno Maurer O. S. B. S. XII i 230 in 8°. Freiburg im Breisgau 1936, Herder.
Peter Lippert S. J.: Einsam und Gemeinsam. 12 Essays. Freiburg im Breisgau 1936, S. 242 in 8°.
Ludwig Kösters S. J.: Professor der Fundamentaltheologie an Sankt Georgen, Frankfurt (Mein): Unser Christusglaube. Das Heilandsbild der katholischen Theologie. S. XIV i 340 in 8°. Freiburg im Breisgau 1937.
Ottilie Mosshamer: Werkbuch der religiösen Mädchenführung. Erster Teil: Leben in der Zeit. S. XVIII i 328 in 8°. Freiburg im Breisgau 1936.
Basilius Steidle O. S. B.: Patrologia seu Historia antiquae litteraturae ecclesiasticae. Friburgi Brisgoviae 1937, str. 284.

Nakładem „L'Edition Universelle":

Émile Mersch S. I.: Le Corps mystique du Christ. Études de theologie historique, 2 édit. 2 t. in 8°, XLIV—552 i 498 s. Paris, Desclée De Brouwer, Bruxelles, L'Edition Universelle 1936.
Émile Mersch S. I.: Moral et Corps mystique. S. 276 in 8°. Paris, Desclée De Brouwer, Bruxelles, L'Edition Universelle.

Nakładem Feliziana Raucha:

Adalbert Bangha S. J.: Welt und Überwelt. Das ewige Reich im Kampf der Zeit. Innsbruck-Leipzig, str. 202.

Joseph Beeking: Glaubensfreude. Von Quellen christlicher Freude. Innsbruck-Leipzig, str. 120.

Nakładem OO. Bazylianów w Żółkwi:

O. Stanisław Garasowskij: Korotki katechytyczni nauky Cz. I. 1937, str. 319.

O. Stepan Kowaliw: Wiczne Misto. 1937, str. 117.

O. Michaiło Krawczuk: Prypowisti Isusa Chrysta. Wyd. II-gie. 1937, str. 96.

Nakładem różnych:

Dr Borys Kudryk: Ogljad istorii ukrainskoj cerkownoj muzyky. Lwów 1937. Nakładem Greko-Katol. Bogosłowskoj Akademii. Str. 137.

O. Julian Dzierowicz: Pedagogika. Lwów 1937. Nakładem Greko-Katol. Bogosłowskoj Akademii. Str. 240.

Tadeusz Lutman: Studia nad dziejami handlu Brodów w latach 1773—1880. Z mapą. Z zasiłku zwrotnego Min. WR i OP. i zasiłku Zakładu Narodowego im. Ossolińskiego. Skład główny: Kasa Im. Rektora J. Mianowskiego. Lwów 1937, str. 358.

Mieczysław Piszczkowski: Pisma Jana Żabczyca. Z 6 rycinami w tekście. Nakładem Tow. Naukowego we Lwowie. 1937, str. 99.

Stefan Niebudek: W kraju czarnych koszul. Częstochowa, Antoni Smachowski i S-ka. 1937, str. 104.

Ks. Jan Patrzyk, proboszcz w Medenicach: Kazania Świąteczne. Kraków, Księgarnia Krakowska. 1937, str. 292.

Na dwie rocznice. O. K. Gołębiewski C. SS. R.: Nad mogiłą założyciela. O. W. Czapliński C. SS. R.: Półtorawiecze od przybycia redemptorystów do Polski. Tuchów. 1937, str. 40.

Dr Anna Danuta Drużbacka: Moralne oblicze kwestii żydowskiej w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu. 1937, str. 39.

Dr Jan Kanty Czyrek: Budowa nowych dróg wodnych, wychowawczych, finansowych, militarnych i prawnych w Polsce. Nakładem autora. 1937, str. 80.

Benedyktynki od Nieustającej Adoracji w Warszawie. 1688—1938. Nakładem Benedyktynek od Nieustającej Adoracji. Warszawa 1938, str. 391.

Marian Sobański: Teatr Polski na Śląsku. 1922—1937. Katowice 1937. Nakładem Tow. Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach. Str. 200.

Ks. dr Franciszek Śmidoda C. M.: Ks. Gabriel Piotr Baudouin. Katol. T-wo Wydawn. „Kronika Rodzinna". Warszawa 1938, str. 255.

Baltic and Scandinavian countries. A survey of the peoples and states on the Baltic with special regard to their history, geography and economics. Vol III. No 3(7). September 1937. Published by the Baltic Institute. Gdynia-Poland. Str. 558.

Jan Grabowski: Fartuch w kałuży. Wielka psia opera. Nakł. Księgarni W. Michalaka i S-ka. Warszawa 1938.

Artur Górski: Niepokój naszego czasu. Nakł. Komitetu Wydawniczego. Skład główny w Księgarni M. Arcta w Warszawie 1938, str. 316.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Radykalizm i komunizm w szeregach młodzieży. — Front Młodej Lewicy. — O Katolicki i Narodowy Front Młodych.

Pod koniec sierpnia br. (21—28. VIII) odbyły się w Moskwie narady centralnego komitetu: Wszechrosyjskiego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży. Z przebiegu tych obrad i z treści powziętych uchwał wynika jasno, jak tragiczne spustoszenia spowodował komunistyczny nihilizm moralny w duszach komsomołców. Można przejść obojętnie obok patetycznych alarmów o „wrogiej podziemnej robocie w komsomole", można zlekceważyć gwałtowne filipiki przeciw „trockistowsko-bucharinowskim szpiegom, terrorystom, zdrajcom socjalistycznej ojczyzny", którzy rzekomo już od dłuższego czasu rozsadzają swą krecią robotą Komunistyczny Związek Młodzieży; wiemy doskonale, iż denuncjowanie i likwidowanie „wrogów ludu" i wrogów Stalina jest dzisiaj krwawą psychozą sowieckiego reżimu. Ale zastanowić musi oficjalne twierdzenie o rozprzężeniu, które ogarnęło młodzież, o zdezorganizowaniu prac komsomołu, o szerzeniu się pijaństwa i chuligaństwa w miejsce ruchu stachanowskiego. Czyż to nie *signum temporis,* iż po referacie Kosariewa, obrazującym tragiczny stan rozkładu moralnego, panoszącego się w komsomole, plenum Centralnego Komitetu postanawia „potępić jako nie bolszewicki, rozpowszechniony wśród aktywu punkt widzenia, że pijatyki i rozwydrzenie to sprawa osobista, prywatna"... To samo plenum wzywa w swej rezolucji do walki z „brakiem wszelkich zasad", „bezideowością"... „harmiderem posiedzeniowym", które rozpanoszyły się w komsomole. [1])

[1]) *Trybuna Radziecka,* Moskwa 30. VIII 1937, nr 118.

Niewesoły to bilans dwudziestolecia czerwonego reżimu, tym bardziej, iż przecież z wychowaniem młodzieży łączono w sowieckiej Rosji ogromne nadzieje.

Wszak już w uchwałach II-go Wszechrosyjskiego Zjazdu Związku Komunistycznego Młodzieży (r. 1925) zapowiedziano z naciskiem, iż „od rozwoju i powodzenia komunistycznego ruchu młodzieży na całym świecie zależy los światowej, komunistycznej rewolucji". Tę samą zasadę, iż „komunistyczny ruch młodzieży na całym świecie jest przedwiośniem światowej rewolucji i jej podstawą", głosił zlikwidowany przed rokiem Zinowiew[1]).

Potęgujące się niepowodzenie w wychowaniu rodzimych komsomołców na ideowych pionierów rewolucji nie zniechęciło jednak Kominternu do intensywnej propagandy komunistycznej w szeregach młodzieży państw burżuazyjnych. Zagadnienie to, tak żywotne dla polityki sowietów, stanowiło jeden z głównych punktów VII-go kongresu III-ciej międzynarodówki (r. 1935). W ramach tego właśnie kongresu opracowano nawet nową taktykę działania, opartą na sprytnym maskowaniu przewrotnych haseł, aby pozorną bezpartyjnością i demokratycznymi obietnicami opanować tym skuteczniej różne organizacje i ugrupowania młodzieży.

W związku z uchwałami VII kongresu nastąpiła również zmiana taktyki centralnego komitetu Komunistycznej Partii Polski (KPP), który opracował nowy, szczegółowy plan działania na terenie Rzeczypospolitej. Przypomnijmy znane fakty.

W planie tym przewidziano przede wszystkim opanowanie organizacyj socjalistycznej młodzieży.

Czołowym zadaniem Komunistycznego Związku Młodzieży w ruchu młodzieży robotniczej jest osiągnięcie zjednoczenia z młodzieżowymi organizacjami socjalistycznymi. W tym celu KZM powinien już dziś stworzyć warunki braterskiego współżycia i formy stałej współpracy od góry do dołu z młodzieżą socjalistyczną. Nasza krytyka socjaldemokratyzmu i propaganda komunizmu musi być zastosowana do psychologii młodzieży socjalistycznej, musi uwzględniać momenty uczuciowe.[2])

Tym momentem uczuciowym, który ma zbliżyć młodzież socjalistyczną do komunistycznych programów miała być, w myśl instrukcji Dymitrowa, walka w obronie demokracji przeciwko faszyzmowi i wojnie, o prawa młodego pokolenia.

---

[1]) Zinowiew: „Komintern Mołodioży i jego zadaczi". 1925.

[2]) Nielegalny organ KPP, importowany potajemnie do Polski z zagranicy: *Nowy Przegląd,* nr. 9. 1935 r.

Trudno zaprzeczyć, że taktyka ta osiągnęła w okresie ostatnich dwu lat pomyślne wyniki. Socjalizm polski, jak z jednej strony zyskuje bezwątpienia obecnie na sile i organizacyjnej prężności, tak z drugiej jego lewe skrzydło czerwienieje coraz mocniej, nie tając swych sympatyj dla komunistycznego przewrotu. Ewolucja ta zresztą jest rzeczą na wskróś naturalną. Wszak socjalizm łączy się z komunizmem nie za pomocą jakichś sztucznych przybudówek ideowych ale wewnętrzną logiką marksizmu, opartego na materializmie zdynamizowanym heglowską dialektyką. Doświadczenie ostatnich lat udowodniło niezbicie, iż socjalizm oddziela od komunizmu jedynie brak logiki czy odwagi w wyciąganiu wniosków z przyjętych przesłanek. Jest również faktem nie dającym się zaprzeczyć, iż młodzież socjalistyczna jest daleko więcej konsekwentna w wyciąganiu tych właśnie radykalnych wniosków, niż paktujące z oportunizmem pokolenie starsze. Nic też dziwnego, że w szeregach tej właśnie młodzieży komunistyczne poglądy zyskują coraz to liczniejszych zwolenników. Tak jest na Zachodzie, nie inaczej jest i u nas.

Młodzieżowa organizacja TUR jest dziś w wysokim procencie ideową, ekspozyturą komuny. Proces lubelski jest jaskrawą ilustracją tego faktu na jednym drobnym odcinku. Wyzyskując ten radykalizm młodych, podsycając go „elementem uczuciowym" walki o prawa młodzieży, usiłuje KPP wbić klin między TUR a PPS, dążąc konsekwentnie do usamodzielnienia organizacyj socjalistycznej młodzieży.

Jest to zresztą tylko realizowaniem tajnej instrukcji, skierowanej w r. ub. przez polski Kom. Zw. Młodz. (KZM) do „obwodowców, instruktorów i sekretariatu partii". W instrukcji tej wytknięto jako podstawowy błąd kierownictwa:

Sekciarskie podejście do zagadnienia jedności organizacyjnej z młodzieżą socjalistyczną, ześlizgiwanie się na reformistyczne pozycje i przystosowanie się do PPS, zamiast masowego poparcia TUR-a w jego walce o samodzielność.

Ale zdając sobie doskonale sprawę z wewnętrznej sytuacji Polski, pionierzy komunizmu nie zamierzają bynajmniej ograniczyć swej akcji do szeregów młodzieży socjalistycznej. Socjalizm bowiem stanowi w Polsce jeden tylko odcinek społecznego radykalizmu, odcinek zresztą najłatwiejszy do zdobycia. Zamiary komuny sięgają daleko szerzej i głębiej.

We wspomnianej wyżej tajnej instrukcji KZM-u (z września ub. r.) czytamy następujące wyznanie:

Uchwały VI Kongresu Kom. Międzynarodówki Młod. (KMM) wpłynęły na wzrost aktywności KZM i przyczyniły się do dal-

szego rozwoju jedności młodzieży pracującej. Wyrazem rozwijającego się ruchu ku jedności była systematyczna współpraca z organizacjami TUR-u, z poszczególnymi organizacjami Wici i przyciągnięcie na stronę jednolitego frontu takich organizacyj, jak lewe skrzydło Legionu Młodych i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, pozostających dawniej pod wpływem sanacji. Pod wpływem ruchu o jedność powstało zjednoczenie organizacyj młodzieżowych we Froncie Młodej Lewicy.

Trudno dopatrywać się w tych stwierdzeniach komunistycznej centrali jedynie megalomanii w pośpiesznym bilansowaniu sukcesów. Jest publiczną tajemnicą, iż lewica Legionu Młodych, po burzliwych starciach wewnątrz organizacji, rozwinęła czerwone sztandary i przeszła jawnie nie tylko do PPS ale wprost na jej lewe skrzydło, oskarżając cynicznie swych opiekunów z sanacji o deprawowanie charakterów młodzieży i aktywizując równocześnie kadry socjalistycznego TUR-u. Aktywizm ten poszedł właśnie w kierunku haseł komuny, maskowanych dość niedbale skrajnym radykalizmem społecznym oraz religijnym.

Że w szeregach Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej nie brak dziś nie tylko sympatyków ale pionierów radykalizmu, tego również dowodzić nie trzeba. Doktryna społecznej przebudowy w duchu skrajnie pojętego syndykalizmu oraz zdecydowany antykatolicyzm, osłonięty frazesem antyklerykalizmu, znamionuje swoiście ten związek zradykalizowanej grupy polskich inteligentów.

Ramię przy ramieniu stanęli obok tych inteligentów młodowiejscy pseudo-inteligenci, zorganizowani w „Wiciach".

Nie trudno zrozumieć, iż komunistycznej centrali zależy ogromnie na zradykalizowaniu polskiej wsi. Bez pozyskania liczniejszych ośrodków wiejskich, bez oparcia o szersze masy chłopskie przewrót komunistyczny w Polsce pozostać musi w sferze marzeń, czy skazanych na przegraną lokalnych fermentów oraz zaburzeń. Otóż polska wieś w znacznej, jak dotychczas, większości jest zdecydowanie wroga wobec komunizmu. Na większość tę, trzeba to przyznać otwarcie, składa się przede wszystkim pokolenie starsze. Wśród wiejskiej natomiast młodzieży jawią się coraz liczniejsi zwolennicy skrajnego radykalizmu. Autorytet umiarkowanych wodzów ruchu ludowego, z Witosem na czele, słabnie, topnieje z miesiąca na miesiąc. Nie wystarczają już hasła demokracji, klasowości, parcelacji bez odszkodowania; — przelicytowano je już w znacznej mierze. Wychowankowie ideowi Niećków czy Domańskich, zwolennicy demokratycznego frontu i współpracy z PPS, ZZZ, Naprawą i legionową lewicą są już dziś

zdystansowani przez antyfaszystowski front ludowy w komunistycznym ujęciu. Ostra, rewolucyjna walka z obecnym ustrojem Polski staje się popularnym hasłem, które grupuje coraz liczniejsze zastępy wiciowców. Radykalizm społeczny łączy się tu harmonijnie nie tylko z antyklerykalizmem ale z wojującym wprost bezbożnictwem.

Front zatem Młodej Lewicy jest dziś w Polsce dokonanym faktem i obejmuje on grupy młodzieży inteligenckiej, robotniczej oraz wiejskiej jeśli nie w ramach jednej, zgranej organizacji to w każdym razie grupy te spaja jedną zasadniczą ideologią i wspólny w swych założeniach wytycza im cel. Podstawą ideowego zbratania jest skrajny radykalizm społeczny, oparty na klasowości, teorii gospodarczego kolektywizmu a przynajmniej syndykalizmu jako etapu do pełnego kolektywu; radykalizm polityczny w walce wszelkimi środkami z „faszyzmem", wreszcie oparty na materialistycznej filozofii antyklerykalizm, którym maskuje się niechęć, niekiedy wprost nienawiść do katolicyzmu. W całym tym froncie Młodej Lewicy, zwłaszcza na jego inteligenckim odcinku doniosłą rolę odgrywają Żydzi, oni też przede wszystkim są pionierami komunizmu i walki z religią. [1])

Rzecz jednak znamienna, iż obowiązująca w tej chwili instrukcja komunistycznej akcji nie zachęca bynajmniej do jawnej propagandy antyreligijnej. Tkwi w tym posunięciu demoniczna taktyka przewrotu obliczonego na szerszy zasięg i na dalszą metę. Wszczepiając bowiem swą ideologię w lewicowe ugrupowania młodzieży, komunizm nie zamierza bynajmniej zrezygnować z swej propagandy nawet w szeregach tej młodzieży, która albo z katolicyzmem otwarcie nie walczy, do niego się nawet przyznaje, albo wprost należy do katolickich organizacyj. W pierwszym rzędzie chodzi komunistycznej centrali o wieś.

I tu znowu trzeba uwzględnić podwójną taktykę pionierów komunizmu. Wiadomo, iż obok radykalnie lewicowych „Wici", istnieje druga organizacja „Siew", o zapędach mniej radykalnych. Organizacja ta liczebnie równie silna jak „Wici", może nawet i silniejsza, popierana wybitnie przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, nie uległa w tym stopniu co „Wici" wpływom komunizującym oraz antykatolickim. Otóż wobec faktu, że wszelkie próby poddania „Siewu" pod organizacyjną komendę „Wici" zawiodły — instrukcja komunistycznej centrali wysunęła nowy program, by:

---

[1]) Przypominamy bluźnierczy odczyt Goldfingerówny w lubelskim TURze.

Zamiast popularyzacja hasła powrotu do „Wici" — podtrzymać hasło wysunięte przez „Wici" i „Siew" o jedność młodzieży robotniczo-chłopskiej. Związek winien, przez silną pracę wewnątrz „Wici" a również i „Siewu", dążyć do wytworzenia braterskich stosunków między członkami „Wici" i „Siewu" i do najściślejszej współpracy między nimi. Wspólne działanie młodzieży wiciowej i siewowej w interesie młodzieży chłopskiej należy przeciwstawiać usiłowaniom kierownictwa „Siewu" przeprowadzania państwowej unifikacji chłopskich organizacyj młodzieży.

Wiemy, iż projekty czy usiłowania Komunistycznego Związku Młodz. na tym odcinku dotychczas zawiodły. „Siew" przystąpił do czwórporozumienia młodzieży i znalazł się w orbicie polityki OZoNu. Tym samym wpływ komunizmu w obrębie tej organizacji zmalał a radykalizm jej społeczny jak i antyklerykalny nieco osłabł. Pomimo jednak poprawnej deklaracji wiosennego zjazdu „Siewu" (Warszawa), wiemy doskonale, że prądy radykalne i antyklerykalne nurtują w dalszym ciągu i w tej organizacji wiejskiej młodzieży, dając tym samym punkt zaczepienia dla komunistycznych wpływów. Skutecznym środkiem zabezpieczenia tej wielkiej grupy wiejskiej młodzieży przed ujemnymi wpływami lewicowego radykalizmu, który w naszych warunkach wcześniej czy później podlega wpływom komunizującym, byłoby silniejsze zaakcentowanie religii w życiu i działaniu młodzieży siewowej. Niestety, tak się nam przynajmniej zdaje, na taki zwrot liczyć w tej chwili nie można. Wszak wszyscy patronowie i organizatorzy tego ugrupowania chorują sami, by się wyrazić możliwie oględnie, na antyklerykalizm. Wszak Naprawa nie mniej jak decydujące czynniki w ZNP mają w tym względzie dość mocno skrystalizowane poglądy. Tymczasem jest chyba publiczną tajemnicą, iż wpływy Naprawy tak w „Siewie" jak w montowaniu czwórporozumienia młodzieżowego są znaczne. Jeśli zaś chodzi o ZNP, to jest on jednym z głównych organizatorów młodzieży siewowej. Można nawet sformułować pytanie, czy to właśnie nie kierownicze czynniki ZNP szczepiły i podtrzymywały radykalizm „Siewu"?

P. premier gen. Sławoj Składkowski, uzasadniając zawieszenie zarządu ZNP, wystąpił wprost z oskarżeniem, iż b. zarząd tolerował i popierał od dłuższego czasu idee i tendencje wyraźnie komunistyczne lub z komunizmem graniczące. Zarzut ten sformułowaliśmy, a nie bez dowodów, już przed dwoma laty na łamach naszego pisma, jak również podkreśliliśmy dziwną zbieżność oświatowej polityki ZNP z dyrektywami Międzynarodówki Pracowników Oświatowych (Paryż), znanej ze skrajnego komunizującego rady-

kalizmu. Wpływ zarządu, obarczonego tak ciężkim zarzutem przez szefa rządu Rzeczypospolitej, promieniował skutecznie w niektórych kołach i wśród pewnych jednostek zrzeszenia ZNP i w ten sposób działał destrukcyjnie na terenie wsi, zwłaszcza wśród młodzieży. W chwili obecnej ostry kurs, zapowiedziany przez p. Premiera, osłabł i pokojowe przyjmuje oblicze; skrzyżowały się wpływy innych potężnych czynników... i dlatego wyrażamy uzasadnioną obawę, iż radykalne elementy ZNP nie zaprzestaną swej bezwzględnie ujemnej roboty. Jakie ta robota Naprawy i ZNP wyda owoce na terenie wsi, w szczególności „Siewu", pokaże nam przyszłość. W każdym razie było by przedwcześnie twierdzić, iż instrukcja KZM stała się bezprzedmiotową i że wśród młodzieży siewowej nie posiada żadnych widoków realizacji.

Dążąc do opanowania „Siewu", który z katolicyzmem nie zerwał, marzy równocześnie centrala międzynarodówki o przeniknięciu nawet w szeregi katolickich stowarzyszeń młodzieży.

Już przed dwoma laty naczelny organ [1]) Kom. Partii Polski szkicował nową taktykę w podchodzeniu do katolickiej młodzieży:

Najszersza platforma walki o prawa młodego pokolenia, o dostęp do pracy, kwalifikacji zawodowej i wykształcenia, o wolność i pokój, pozwoli wszystkim postępowym organizacjom Polski pozyskać dla wspólnej walki te liczne masy młodzieży, które pozostają w innych organizacjach. Młodzież robotnicza i ludowa (komunistyczna), gwarantując wolność, występując przeciwko prześladowaniom organizacyj katolickich w Niemczech, przeciw wojnie, przeciw rabowaniu praw autonomicznych G. Śląska, gdzie skupia się najwięcej opozycyjnie nastrojonej młodzieży chrześcijańsko-demokratycznej, może pozyskać dla walki o wolność także znaczną część młodzieży katolickiej.

A tajna instrukcja centrali Kom. Mł. poleca, by szczepić komunistyczne dążności w katolickich chłopskich organizacjach młodzieży, popierając ich walkę o wszystkie słuszne żądania:

Walcząc we własnych szeregach antyfaszystowskich organizacyj z sekciarskim stosunkiem do organizacyj młodzieży katolickiej, winniśmy wykorzystać wśród tej młodzieży antyhitlerowskie i opozycyjne nastroje.

Instrukcje komunistycznej centrali nie pomijają żadnego szczegółu, który może się okazać pomocnym w na-

---

[1]) *Nowy Przegląd*, grudzień 1935, str. 890.

wiązywaniu dyskusji z katolicką młodzieżą, by wzbudzić w niej sympatie do tych czy innych komunistycznych idei. Taktykę tę wypróbowano już w mistrzowski sposób na terenie Francji, gdzie doprowadzono do smutnego fermentu wśród katolickiej młodzieży, wmawiając w nią, iż komunizm da się pogodzić z katolicyzmem i może nawet wpłynąć na odrodzenie społecznej nauki Kościoła. [1])

Otóż stwierdzić trzeba z głęboką radością, iż polska katolicka młodzież tak miejska jak wiejska stawia zdecydowany opór podszeptom moskiewskiej komuny i orientuje się coraz lepiej w pułapkach zastawianych perfidnie przez komunistycznych pionierów. Odcinanie się towarzyskie i kulturalne od Żydów nie pozostaje bez doniosłego a pozytywnego wpływu, gdyż wiadomo doskonale, iż komunistyczni agenci znajdują specjalnie podatny teren wśród młodzieży żydowskiej i wśród niej tworzą kadry komunistycznych pionierów. Ale decydującą rolę w tej ideowej walce odgrywa katolicyzm, którym polska młodzież w olbrzymiej większości żyje i który dla niej jest naczelnym drogowskazem życia. Największy nawet pesymista przyznać musi, iż pokolenie młode, zerwawszy pęta pozytywizmu i przybyszewszczyzny i odżegnując się stanowczo od marksowskiej ideologii, zwróciło się do Chrystusa, jako do ideału i przewodnika w ciężkich chwilach, które na tle różnych kryzysów przeżywać musi. To bezsprzeczne odrodzenie religijne, którego źródłem nie jest bynajmniej ani tradycja, ani oportunizm polityczny czy życiowy, może i powinno stać się podłożem wielkiej ideowej rozprawy o duszę narodu. Symbolem tego renesansu była walka o krzyże w polskich uczelniach, było jasnogórskie ślubowanie... nie wyczerpując bynajmniej wewnętrznej treści tego ruchu o szerokiej i głębokiej dynamice. Ten właśnie młodzieńczy, szlachetny i pełen entuzjazmu rozpęd, w którym nie brak akcentów buntu i radykalizmu, tak charakterystycznego dla współczesnych czasów — należy skierować na jasne tory w formowaniu wielkiego Narodowego Frontu Młodych. Ten wspólny, solidarny, a katolicką ideologią spojony front powinien być najwyższym nakazem rozumu i wiary dla młodego pokolenia!

Front Młodej Lewicy jest, jak wykazaliśmy, dokonanym faktem, czyżby Narodowy Front Młodych miał pozostać jedynie w sferze postulatów? Czyżby ideologia radykalizmu społecznego i antyreligijnego miała się okazać silniejszą i bardziej twórczą, niż ideologia katolicko-narodowa? W od-

[1]) cfr. *Przegląd Powszechny*, „Sprawy Kościoła", grudzień 1936, czerwiec 1937.

powiedzi na to tragiczne pytanie jest zaangażowany honor polskiej katolickiej młodzieży.

A czas najwyższy na rozstrzygnięcie tego dylematu. Bo znowu nie ma tak zagorzałego optymisty, który by mógł powiedzieć, iż ruch religijnego i narodowego odrodzenia młodych nie zbacza w niczym od swych ideowych założeń.

Wbrew bowiem najoczywistszej logice, iż w jedności siła, młodzież narodowa do niedawna organizacyjnie jednolita, rozpada się i dzieli. Nie dość tego; rzecz daleko smutniejsza, iż te narodowe grupy zaczynają zawzięcie się zwalczać. Jawi się jakiś fanatyczny terroryzm, który w imię pewnej ideologii politycznej pragnie wytępić nie tylko ideologie w szczegółach odmienne, ale wyciąga uzbrojoną rękę i na inaczej myślących ludzi. Żądza zwycięstwa wyznawanej przez daną grupę ideologii, żądza triumfu ideowej monopartii popycha pełnych dynamiki szefów i ich adiutantów do terroru fizycznego, do brutalnych gwałtów. Nie brak nawet jednostek, które taki terror wynoszą do godności zasady i zaczynają głosić hasła totalizmu, opartego na przemocy, realizowanego przewrotem, choćby nawet krwawym... a to wszystko rzekomo w obronie pełnego katolicyzmu.

Wiemy doskonale, że olbrzymia większość katolickiej młodzieży przekonań tych nie podziela i na obłędne a z duchem Ewangelii sprzeczne, programy nie pójdzie. Wiemy, iż znając zbyt dobrze ostatnie encykliki Ojca chrześcijaństwa, nie da się uwieść hasłom totalizmu, choćby głosiły je do czasu i bezkarnie pewne pisma katolickie. Bolesne doświadczenia katolickiej Francji, tragedia katolików w Niemczech będą im przestrogą. Wierzymy niezachwianie, iż w szeregi katolickiej młodzieży wiejskiej nie zabłądzą hasła nienawiści klasowej, które pragnęłyby stworzyć przepaść między katolickim dworem a katolicką wsią i pod osłoną haseł sprawiedliwości społecznej pragnęłyby dystansować radykalizm „Wici".

Młodzież katolicka, w olbrzymiej większości, jak wiemy o tym doskonale, nie pójdzie na lep tych czy innych haseł pełnych wprawdzie dynamiki, których jednak z katolicyzmem pogodzić nie można.

Ale pragnienia nasze sięgają bezwzględnie dalej. Nam nie może wystarczyć prawowierny passywizm, który wystrzega się tylko błędu. Dynamizm młodego pokolenia, czerpiący swą siłę w religijnym odrodzeniu musi przejawić się w czynie, odważnym, solidarnym i twórczym jak jasnogórskie ślubowanie. Musi dojść do głosu potężny i zdecydowany odruch katolickiej młodzieży przeciw drobnej grupce tych czy innych rozbijaczy narodowej jedności, fanatyków

warcholstwa i bezsensownych swarów, ideologów totalizmu, dążącego do zbawiania narodu drogami gwałtu oraz krwawego przewrotu, fanatyzmu chcącego zakuć wszystkie mózgi w dyby narzucanej monoideologii partii, zapoznającej nieśmiertelne prawa wolnej duszy ludzkiej. Ten zdrowy odruch olbrzymiej większości wobec garści rozbijającej jednolity front jest nakazem sumienia i obowiązkiem honoru! Odruch nie nienawiści i przemocy, ale miłości, która nakazuje i karci. Jesteśmy bowiem przekonani, iż wśród tych grup wprowadzających zamęt i rozbicie są dobre i szlachetne serca, jest zapał i wiara, jest idealizm i poświęcenie, ale równocześnie uderza brak jasnych katolickich zasad, brak poszanowania autorytetu nauczającego Kościoła.

We Froncie Młodej Lewicy skupiły się różne organizacje młodzieży, za nimi stoi solidarnie cały zespół radykalizmu starszego społeczeństwa, praca wre, organizacja wysiłków zdąża do jasno określonych celów.

Było by tragedią odrodzonej Polski, gdyby drugorzędne różnice politycznych zapatrywań uniemożliwiły utworzenie katolickiego Frontu Młodych. Za tym frontem powinno stanąć solidarnie całe społeczeństwo katolickie bez względu na partie, stanąć życzliwym i gorącym sercem, materialną pomocą, radą opartą na doświadczeniu... bo w tych szeregach polskiej katolickiej młodzieży wykuwa się i krystalizuje najbliższa przyszłość narodu.

Renesans katolicki i narodowy polskiej młodzieży jest dla nas bezwzględnym pewnikiem, do tej młodzieży i jej ślubów mamy pełne zaufanie, dlatego z jak najgłębszą troską pragniemy, by renesans ten nie zboczył z Chrystusowej drogi pogłębienia i zaktywizowania wiary w zaułki swarów i narodowego rozbicia.

Przed hierarchią Kościoła katolickiego w Polsce rysuje się doniosłe zadanie: tworzenia stojących na poziomie instytutów wyższej kultury religijnej, kursów chrześcijańskiej socjologii, katolickich uniwersytetów wiejskich oraz robotniczych, zaktywizowania Akcji Katolickiej — ale to wszystko nie wystarczy. Trzeba jeszcze polskiej młodzieży tak miejskiej jak i wiejskiej pełnych poświęcenia duszpasterzy, pionierów Chrystusowej centrali, światłych a płomiennych, ofiarnych i pełnych Bożego autorytetu... Szwejniców.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Sprawy Państwa.

Trójporozumienie demokracyj i trójprzymierze totalizmów. — Chiny Hiszpania. — Zwrot w położeniu. — Blok przeciwsowiecki. — Horoskopy pokojowe na Gwiazdkę.

W październiku i początkach listopada wojna powszechna wisiała na włosku do tego stopnia naprężonym, że termin wybuchu można było obliczać już nawet na marcowe przedwiośnie. Sytuacja rysowała się ostro i wyraziście. Za wojną przemawiał ten sam co zawsze moment zasadniczy, że czas pracuje przeciwko mocarstwom osi berlińsko-rzymskiej. Ich niesamowystarczalne, naglone koniecznością ekspansji gospodarstwa narodowe nie są zdolne długo już utrzymać ciężaru potwornych zbrojeń, nie wyładowując go na polach bitew. Co więcej, jeszcze forsowniejsze zbrojenia mocarstw współzawodniczących, zwłaszcza Anglii, wskazywały, że chwila obecna przedstawia *maximum* szans wojennych dla Niemiec i Włoch, bo wyścigu zbrojeniowego z W. Brytanią one nie wytrzymają, a szanse z każdego półrocza przesuwać się będą na niekorzyść berlińsko-rzymską. Na takim zasadniczym tle zdawały się wreszcie zarysowywać dla Niemiec i Włoch bezpośrednie bodźce decyzji bojowej w rozwoju położenia wojenno-politycznego na Dalekim Wschodzie i Zachodzie, w Chinach i w Hiszpanii.

Te wojny kresowe, niebezpodstawnie poczytywane za punkty wyjścia nowej pożogi światowej, kształtowały się dotąd obiecująco dla Niemiec i Włoch, a kłopotliwie dla mocarstw zachodnich. Jeszcze w październiku Berlin i Rzym liczyły „jak amen w pacierzu" na zwycięstwo z ich pomocą gen. Franco nad Walencją, oraz na jego kompletną wasalizację wobec protektorów, którzy tak hojnie go poparli nie tylko materiałem wojennym, ale i krwią swych żołnierzy. Gdyby te rachuby się spełniły to Niemcy i Włochy pozyskałyby w Hiszpanii nie tylko źródło surowców, których im brak, ale nadto wspaniałą pozycję strategiczną dla szachowania Francji i Anglii na granicy pirenejskiej i w Afryce, wreszcie wiernego przeciwko mocarstwom zachodnim sprzymierzeńca. Równocześnie rachowano, iż na Dalekim Wschodzie Moskwa uwikła się w ciężką wojnę z Japonią. Stworzyło by to pierwszorzędną dla Niemiec okazję do uderzenia na europejską ścianę Moskwy, po uprzednim opanowaniu barykad tamujących do niej dostęp. Mocarstwa zachodnie w tej perspektywie wojennej miały zostać unieruchomione przez czynną defensywę niemiecko-włosko-hiszpańską, wielkie zaś natarcie miało być przeprowadzone na wschód.

Te widoki zamąciła jednak amerykańska deklaracja solidarności z ententą anglo-francuską. Ameryka może w Europie popierać bezpośrednio przede wszystkim Zachód. Wobec wojny na Dalekim Wschodzie wystąpiła dość nieporadnie z tzw. konferencją 9 mocarstw, którą łatwo uczynił bezpłodną bojkot Japonii, Niemiec i Włoch. Trzy te mocarstwa nie omieszkały podjąć kontr-

ofensywy w tej samej skali światowej, w jakiej rozwinęła się akcja strony przeciwnej przez współdziałanie Stanów Zjednoczonych. Trójporozumieniu wielkich zachodnich demokracyj: amerykańskiej, angielskiej i francuskiej przeciwstawiono wejście Włoch do paktu antykomunistycznego, Niemiec z Japonią, czyli do trójprzymierza wielkich totalizmów faszystowskich. Nawiasowo zauważmy, że obie te grupy, występujące przeciw sobie na tle zachwianej równowagi politycznej globu, noszą zarówno charakter imperialistyczny, z tą wszakże różnicą, że „trójporozumienie demokracyj" reprezentuje imperializm terytorialnie nasycony, a przeto defensywny i zachowawczy, natomiast trójprzymierze faszystowskie to imperializm wygłodzony a przeto zaczepny i zdobywczy. Uderza przy tym jeszcze okoliczność, że faszyzmy sztandarowo zwróciły się przeciw totalizmowi czerwonemu Moskwy, demokracje zaś zajęły wobec niego postawę mniej zdeklarowaną, jednak również nieufną oraz niechętną.

Pomiędzy tymi trzema czynnikami światowego układu sił, a więc trójporozumieniem demokracyj, trójprzymierzem faszyzmów, oraz odosobnioną komunistyczną Eurazją rozwinęła się wielka gra dyplomatyczna dokoła dwu już gorejących ognisk wojny, zachodniego i wschodniego. W doraźnym wyniku tej gry nastąpił ostry zwrot w sytuacji poprzednio tak obiecującej dla faszyzmów europejskich, że aż groźnej dla pokoju światowego. Ten właśnie zwrot uratował zagrożony pokój, przynajmniej na najbliższą przyszłość. Na jakich drogach rozwinęło się to odprężenie?

Wyłoniło się z trzech źródeł politycznych: stosunku osi rzymsko-berlińskiej do Moskwy, stosunku Japonii do Chin, Moskwy i Ameryki, oraz stosunku Ameryki do mocarstw zachodnich. Pokojowy zwrot skonkretyzował się dokoła obu teatrów „próbnych wojen", wschodniej i zachodniej. Inicjatywę zwrotu przypisać należy w dużej mierze samym mocarstwom centralnym, choć oczywiście była to inicjatywa najzupełniej mimowolna, zwłaszcza ze strony Niemiec. Jeżeli Niemcy pragnęły wyzyskać ofertę wznowienia Rapallo, (złożoną im na początku lata przez ambasadora Jurenówa) w tym celu ażeby uwikłać Moskwę w wojnę z Japonią a następnie na Moskwę uderzyć, to nie było dla nich ważniejszej zasady taktycznej, jak zachować wobec Moskwy pozory przychylności i budzić jej zaufanie. Jednak Niemcy nie tylko tej zasady nie przestrzegały a przeciwnie w mowach Hitlera wystąpiły przeciw Sowietom nader agresywnie. Po zjeździe dyktatorów w Berlinie odnowiono ostry kurs przeciwkomunistyczny osi rzymsko-berlińskiej. Do tak niecelowej taktyki zmuszeni zostali Niemcy przez Italię, która swojego czasu, w mowie Mussoliniego w Palermo, zaprotestowała przeciwko nowemu Rapallo, z powodów zresztą bynajmniej nie ideowych. Skutek jawnie antysowieckiej postawy Niemiec był taki, że Kreml począł się namyślać czy może angażować się przeciw Japonii. Doszedł do wniosku, że może to uczynić

jedynie wówczas jeśli uprzednio uda mu się uwikłać oś rzymsko-berlińską w wojnę z mocarstwami zachodnimi, co też usilnie prowokował podwodnym korsarstwem na Morzu Śródziemnym.

Nie powiodło się jednak. Europa okazała się dość przezorną, ażeby nie połknąć haka zdradzieckiej wędy zarzuconej przez Sowiety, zapewne przy pośrednictwie Walencji. Wojska włoskie nie wyruszyły z Balearów na Barcelonę, Francja nie zajęła Minorki. Wobec tego również 100 tysięcy konnych Mongołów wyekwipowanych przez Moskwę nie uderzyło na tyły armii japońskiej, pomimo najgorętszych życzeń marszałka Bluechera i sowieckiej armii Dalekiego Wschodu. Tym samym zawiodła Niemcy sposobność uderzenia na wschód, *à conto* której dokuczały Polsce zatargami mniejszościowymi, oraz naporem na Gdańsk, nie przepuszczając i Czechosłowacji.

Stało się tak pomimo przewagi oręża japońskiego na chińskim teatrze wojny, a więc pomimo naglących dla Moskwy powodów do interwencji zbrojnej na Dalekim Wschodzie. Tu wkraczamy w drugi punkt wyjścia zwrotu w położeniu światowym. Postępy Japonii i bezwład Moskwy zaniepokoiły i zmusiły do inicjatywy Amerykę. Inicjatywa ta przybrała postać pacyfistyczną, konferencji brukselskiej w stosunku do samego Dalekiego Wschodu. Inaczej być nie mogło, gdyż flota W. Brytanii wciąż pozostaje uwięziona przez Włochy na Morzu Śródziemnym, Ameryka przeto na Pacyfiku pozbawiona jest zasadniczego sprzymierzeńca. Natomiast na gruncie europejskim, szczególnie zachodnim, poparcie okazane w zasadzie przez Amerykę Anglii i Francji okazało się bardzo płodne. Wytworzyło też trzeci punkt wyjścia zwrotu w światowym układzie sił.

Ujawnił się ten punkt w Hiszpanii. Gen. Franco miał dotąd mało do zawdzięczenia Anglii i Francji, dużo zaś Niemcom i Włochom. Jednakże wypadło mu obecnie wciągnąć w rachubę także szereg innych względów. Przede wszystkim ten, że po niedawnym całkowitym opanowaniu Asturii, oraz tak posuniętym rozkładzie czerwonych, że rząd walencyjski podobno przeniósł się do Barcelony, gen. Franco ma nadzieję pokonać przeciwnika o własnych siłach, z pomocą jedynie dostaw materiału wojennego, który zakredytować mogą nie tylko Niemcy i Włochy. Owszem, zachodnie trójprzymierze demokracyj może powstańcom hiszpańskim ofiarować nie tylko prawa strony wojującej, lecz także poważne kredyty wojenne, po osiągnięciu zaś zwycięstwa może ofiarować także kredyty gospodarcze, które bardzo będą potrzebne, a których od Niemiec i Włoch Hiszpania oczekiwać nie może. Jeśli do względów tych dołączymy uzależnienie Hiszpanii od wybitnie zaborczych i agresywnych potęg faszystowskich, a także niewątpliwą nad nimi przewagę militarną „trójprzymierza demokracyj" na morzu i na lądzie Europy zachodniej, to już nie może nikogo dziwić wzajemna skłonność, jaką

ku sobie ujawniły ostatnimi czasy, rząd powstańczy w Burgos, oraz rządy londyński i paryski. Objawami doraźnymi i pozytywnymi są jak dotąd umowa konsularna i projekt traktatu handlowego hiszpańsko-angielskiego, oraz połączenie sieci kolejowej francuskiej z siecią powstańczą hiszpańską. Niemniej znamienne jest przesunięcie na prawo nastrojów wewnętrzno-politycznych francuskich, oraz ich nastawienie antykomunistyczne i antysowieckie. Najjaskrawiej potwierdza doniosłą zmianę na jaką się zanosi w Hiszpanii fakt całkowitej kapitulacji Włoch w londyńskim komitecie nieinterwencji i pospieszne wycofywanie włoskich posiłków wojskowych z hiszpańskiego teatru wojny. Widocznie likwiduje się tu politykę osi rzymsko-berlińskiej, która od roku trzymała Zachód w szachu a której ostatnim głośnym, lecz jednak bezskutecznym przedsięwzięciem były świeżo przez Francję stłumione rozruchy w Marokku. Bezpośrednio spowodowała tę likwidację zapewne postawa gen. Franco, ale ona z kolei opiera się na zmianie postawy wobec niego ze strony Anglii i Francji, one zaś wreszcie na poparciu Ameryki.

Zwrot zatem w położeniu międzynarodowym, doraźnie ratujący pokój światowy, wyraża się na Dalekim Wschodzie w fakcie nieangażowania się Rosji w wojnę chińsko-japońską, na Zachodzie zaś w fakcie wypierania z Hiszpanii wpływów osi rzymsko-berlińskiej przez wpływy anglo-francuskie. Są to zmiany wielkiej doniosłości, dzięki którym polityka obu przeciwstawnych bloków wielkomocarstwowych, demokratycznego i faszystowskiego wchodzi w stadium poszukiwania nowych dróg, polityka zaś sowiecka została odosobniona i unieruchomiona w powszechnej niepewności. Załamały się lub zachwiały dotychczasowe linie postępowania, a nawet sama jednolitość punktów znalazła się pod pytajnikiem. Odwrotnie niż sytuacja poprzednia, niezmiernie wyrazista w swym tragicznym napięciu, odprężenie pokojowe, w którym się wyładowała, posiada oblicze przejściowe, mętne i zagmatwane. O ile chodzi o mocarstwa faszystowskie, to niedawno jeszcze Niemcy tak dalece gotowały się do wojny na bliską metę, że już zapowiedziano ustąpienie dr. Schachta z kierownictwa polityką gospodarczą, na rzecz dyktatury Goeringa w tej dziedzinie. W związku z tym miała nastąpić daleko posunięta etatyzacja ciężkiego przemysłu pod kątem potrzeb stanu wojennego, pod pozorem przebudowy ustroju gospodarczego. To zostało poniechane przynajmniej co do drugiego punktu projektu. Z zapowiedzianą równocześnie deklaracją Hitlera o bezprawnym sprawowaniu mandatów nad b. koloniami niemieckimi przez mocarstwa zachodnie Niemcy zwlekają; pomimo mowy Mussoliniego, który żądał dla nich kolonij i rewizji granic w Europie, wzywając równocześnie do walki z bolszewizmem.

Ta zwłoka nie oznacza zresztą jeszcze kapitulacji mocarstw centralnych. Przeciwnie podjęły one energiczną kontrofensywę

na wszystkich dostępnych dla nich polach. Przede wszystkim więc Niemcy spróbowały odprężenia z Polską za pomocą wymiany rządowych deklaracyj, mających położyć kres „wojnie mniejszościowej". W ślad za tym w prasie zagranicznej poczęły krążyć uporczywe pogłoski o usiłowaniach wciągnięcia Polski do „trójprzymierza antykomunistycznego". Włochy ze swej strony odprowadzają wojska wycofywane z Hiszpanii głównie do Libii, wzmacniając w ten sposób pozycję Egiptu, jako punktu oparcia dla coraz gorętszego wrzenia panarabskiego przeciwko panowaniu W. Brytanii nad Palestyną i Transjordanią, oraz przeciwko projektom utworzenia państwa żydowskiego. Wreszcie zdaje się, że na wspólny rachunek obu mocarstw osi berlińsko-rzymskiej dokonane zostało ciekawe posunięcie w Brazylii. Nastąpił tam przewrót ustrojowy w duchu faszystowsko-korporacyjnym połączony z zawieszeniem wypłat na rzecz wierzycieli Brazylii, rekrutujących się głównie z Ameryki, Anglii i Francji. Preferencyjne uprzywilejowanie obrotów handlowych Brazylii z Niemcami i Włochami powtórnie ugodziło by w interesy wielkich demokracyj, równocześnie otwierając osi rzymsko-berlińskiej źródło surowców i rynek zbytu w zamian za utratę Hiszpanii. Może nawet otworzyłyby się tam perspektywy ludnościowo-emigracyjne, wszystko to jednak jedynie w warunkach pokojowych, bo w razie wojny floty anglosaskie odcięłyby mocarstwom centralnym dostęp do Brazylii.

Trójporozumienie wielkich demokracyj ze swej strony nie zasypia gruszek w popiele. Operuje, jak dotąd głównie na gruncie europejskim starając się rozwinąć i wyzyskać przeciwko osi rzymsko-berlińskiej sukces osiągnięty w Hiszpanii. Istotnie utrata wpływów w tym kraju godzi niebezpiecznie w samą podstawę sojuszu włosko-niemieckiego. Wszak włoska ustępliwość dla niemieckich dążeń ekspansyjnych nad Dunajem, zwłaszcza wobec Austrii i Czechosłowacji, opierała się głównie na widokach skompensowania Italii na półwyspie iberyjskim. Gdy te widoki odpadają, to zawisa w powietrzu także ugoda podziałowa naddunajska, a więc i cała w ogóle koncepcja polityczna osi rzymsko-berlińskiej. Oczywiście było by ze strony Niemiec i Włoch grubym błędem taktycznym, gdyby się do tego od razu otwarcie przyznały. Dlatego usiłują ratować sytuację za pomocą wyżej wspomnianych zabiegów kontrofensywnych. Jednak mocarstwa zachodnie zdają sobie sprawę z korzystnej dla nich zmiany położenia i na niej opierają swoje dalsze kroki. Rozwinięto je, w chwili gdy piszę, stosując pewien podział zadań między Anglią i Francją. Przede wszystkim do Berlina wyruszył z Londynu lord Halifax na rozmowę informacyjną z kanclerzem Hitlerem. Uprzednio stało się wiadomym, iż rząd brytyjski zaprojektował rozmowy pojednawcze także rządowi włoskiemu, aczkolwiek je odłożył do czasu powrotu lorda Halifaxa z Berlina. Teraz bowiem, po prze-

wadze hiszpańskiej, zarysowała się dla Anglii ponowna możliwość taktycznego wygrywania Niemiec przeciwko Włochom, lub odwrotnie; przy czym w następstwie tej gry nie zdaje się być wyłączone nawet zupełne rozbicie osi rzymsko-berlińskiej.

Według informacyj prasowych rozmowy lorda Halifaxa w Berlinie miały dotyczyć po części sprawy rewindykacyj kolonialnych niemieckich, w której Anglia czuje się znów zaszachochowaną przez posunięcie brazylijskie. Jeszcze ważniejszym tematem są niemieckie dążenia ekspansyjne w Europie środkowowschodniej, jako też stosunek Niemiec do Japonii i trójprzymierza antykomunistycznego. Według prasy angielskiej Wielka Brytania bierze pod uwagę ustępstwa na rzecz Niemiec tak w koloniach, jak na kontynencie. Na kontynencie prawdopodobnie Wielka Brytania najłatwiej „odstąpiłaby" Trzeciej Rzeszy upragniony Gdańsk. Co do Austrii i Czechosłowacji to brytyjska racja stanu mogłaby sobie przypomnieć sondowania, jakie w tej mierze dokonywał przed kilku laty śp. Austen Chamberlain, podczas swej „prywatnej" podróży do Wiednia. Istniała wówczas ze strony W. Brytanii skłonność dopuszczenia Niemiec nad Dunaj jako czynnika hamującego włoski imperializm śródziemnomorski. Mussolini z czasem odwrócił to niebezpieczeństwo, przeprowadzając na własną rękę z Berlinem ugodę podziałową naddunajską, obecnie jednak zakwestionowaną na skutek zmian w Hiszpanii.

Nowe możliwości w Europie środkowo-wschodniej są o tyle ograniczone, że interesują nie tylko W. Brytanię i Niemcy, lecz także Francję oraz jej wschodnich sprzymierzeńców. Na początek grudnia oznaczony więc został wyjazd francuskiego min. spr. zagr. p. Delbos do Warszawy, stąd zaś kolejno do trzech stolic Małej Ententy: Pragi, Białogrodu i Bukaresztu. Jakie będą i jak zostaną uzgodnione wyniki tych poczynań, angielskich wobec Niemiec i Włoch, oraz francuskich wobec Polski i Małej Ententy — to się okaże najwcześniej dopiero w ciągu grudnia. Mocarstwa zachodnie zdają się dążyć do zapośredniczenia lub narzucenia jakiejś ugody między Niemcami oraz Włochami z jednej strony, Polską zaś i państwami naddunajskimi z drugiej. Jest to zadanie nad wyraz trudne i drastyczne. Jeżeli Niemcom i Włochom nie zostaną zaoferowane jakieś poważne kompensaty terytorialne poza europejskie, to Niemcy zażądają ustępstw terytorialnych w Europie wschodniej, przypuszczalnie pokrewnych tym jakie im przyrzekły w zamian za Hiszpanię Włochy. Na takie ustępstwa ani Francja, ani jej wschodni sprzymierzeniec nie mogą się żadną miarą zgodzić, gdyż w ogóle żadnego terytorium Niemcom dobrowolnie nie ustąpią, nawet tak drobnego jak Gdańsk. Układy przeto na tym gruncie są dla obu stron mocarstw zachodnich centralnych obosieczne, mogą bowiem rozłamać oś rzymsko-berlińską, ale mogą też poróżnić ententę anglo-fracuską.

Bądź co bądź wszakże, o ile „trójporozumienie demokracyj" wytrwa w solidarności, to może próbować rozwiązać ciernisty problem środkowo-europejski w warunkach korzystniejszych niźli za czasów briandowskiej polityki pacyfistycznej. Warunki zmieniły się o tyle, że trójporozumienie demokracyj zdolne jest wywierać na Niemcy i Włochy silniejszy nacisk bezpośredni niźli wówczas, gdy wprawdzie Niemcy jeszcze nie posiadały Nadrenii, ale też Ameryka nie współdziałała z ententą anglo-francuską. Zmieniły się warunki także i pod tym względem, że Niemcy są ostro zorientowane przeciwko Rosji Sowieckiej. Na takim tle nie wydaje się niemożliwym, by trójprzymierze demokracyj wytargowało od Niemiec pacyfikację Europy bez rewizji granic na środkowym wschodzie; a więc według formuły, którą niezbyt jeszcze dawno, w okresie paktu sowiecko-francuskiego, głosił sam Hitler. Niemcy otrzymałyby wtedy w zysku upragniony europejski blok antysowiecki i zasadnicze z jego strony poparcie ich dążeń ekspansyjnych na koszt Rosji; poza tym zapewne jeszcze drugorzędną nadpłatę w ustępstwach kolonialnych. Nie mogłaby ona ominąć także Włoch, bez zgody z którymi flota angielska nie może odejść z Morza Śródziemnego na Daleki Wschód. To bardzo interesuje Amerykę, bo w rozpatrywanej perspektywie zwolnienie brytyjskiego sprzymierzeńca od jego europejskich kłopotów stanowi dla Ameryki najważniejszą szansę równoległej z europejską, antyjapońskiej pacyfikacji Dalekiego Wschodu. W razie więc oporu oraz zbyt wygórowanych żądań Berlina i Rzymu trójprzymierze demokracyj musiałoby wciągnąć w swą rachubę ewentualność zbliżenia z Rosją Sowiecką i podtrzymania jej przynajmniej w takim stopniu, ażeby mogła, zamiast Anglii, współdziałać z Ameryką przeciw Japonii nad Pacyfikiem. Ta ewentualność może zarazem służyć jako jeszcze jeden środek nacisku w układach trójprzymierza demokracyj z Niemcami. Musiałyby wtedy Niemcy wybierać pomiędzy swym udziałem na umiarkowanych warunkach w europejskim bloku przeciwsowieckim, albo też poparciem Moskwy przez trójprzymierze zachodnie.

W obu tych wypadkach na pierwszy plan zamierzeń zachodnich demokracyj wysunąć się powinno wzmocnienie zespołu państw wersalskich Europy środkowo-wschodniej, z Polską i Małą Ententą na czele. Są one nieodzowne jako czynnik równowagi, zdolny utrzymać ekspansję Niemiec w kierunku rosyjskim w takich granicach, które by nie zagrażały niepodległości pozostałej Europy. Mogą być użyteczne jako czynnik równowagi przeciwsowieckiej, gdyby mocarstwa zachodnie były zmuszone wejść w niebezpieczne współdziałanie z Moskwą na Dalekim Wschodzie przeciw Japonii. Zespół państw środkowego wschodu Europy jest też zasadniczo i przede wszystkim nieodzowny w systemie równowagi globu, jako naturalna gwarancja przeciwko wciąż od czasu

do czasu wznawianym próbom uzgodnienia dążeń imperialistycznych Niemiec i Rosji, odwrócenia ich wzajemnie od siebie, zwrócenia natomiast na zewnątrz, Niemiec przeciw Europie, Rosji przeciw Azji. Nowe Rapallo jest wspólnym i najgroźniejszym niebezpieczeństwem, tak dla środkowego-wschodu Europy jak i dla całego w ogóle świata.

Mocarstwa zachodnie napróżno dotąd usiłowały ustalić równowagę polityczną przeciwstawiając Niemcy Moskwie, lub Moskwę Niemcom, a odsuwając na drugi plan zespół państw międzymorza bałtycko-adriatycko-czarnomorskiego. Nauczone smutnym a kosztownym doświadczeniem zdają się teraz ujawniać dobrą wolę naprawy tego błędu. Na zwiady istniejących w tej perspektywie warunków wyjeżdża min. Delbos. Nie jest on odosobniony. Jego podróż poprzedza znamienny ruch w anglo-saskich ambasadach w Warszawie i żywy ich kontakt z naszym M. S. Z. Obaj ambasadorowie, Anglii i Stanów, odwiedzali p. min. Becka. Odwiedzał go również ambasador amerykański z Paryża, specjalnie w tym celu przybyły do Warszawy. Bawił także w naszej stolicy amerykański ambasador z Moskwy dla narady ze swym warszawskim kolegą. Nie są pozbawione symptomatycznego znaczenia pogłoski o projektach dużej pożyczki angielskiej dla Węgier, zapewne w zamian za ich polityczną ugodę z Małą Ententą. Grunt w Budapeszcie miał pod tym względem zbadać delegowany tam urzędnik z *Foreign Office*. W międzyczasie nastąpiło zresztą ugodowe wobec Czechosłowacji oświadczenie węgierskiego min. spraw zagr. Kanyi. Czeski min. Krofta zarzucił Polsce wprawdzie ciążenie do „trójprzymierza antykomunistycznego", lecz spotkał się z półurzędowym zaprzeczeniem polskim. Jakby w konsekwencji tego zaprzeczenia a w każdym razie w harmonii z podróżą min. Delbos, czeski premier Hodża nawiązał styczność z przedstawicielami polskiej mniejszości na Śląsku czeskim w celu złagodzenia jej losu. Wyraża to chyba skłonność do odprężenia z Polską.

Garść tych pomniejszych objawów przemawia w tym samym duchu co ogólne wskazania nowej koniunktury międzynarodowej.

Świeżo odsunięte niebezpieczeństwo nowej wojny światowej było tym razem tak wielkie i tak bliskie, że przypuszczać wolno, iż reakcja zapobiegawcza mocarstw zachodnich sięgnie głębiej niż kiedykolwiek i ośmieli się wkroczyć na omijany dotąd teren środkowego wschodu Europy. W takim razie można by było oczekiwać, że niedawne deklaracje amerykańskiej przyjaźni dla Polski nie ograniczą się tylko do miłych słów, lecz przybiorą postać realną. Przedmiotem zainteresowań amerykańskich na gruncie polskim była już budowa wielkiej magistrali wodnej między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Obecnie

na tej samej linii przybywa jeszcze, jako przedmiot nowy, nasz centralny okręg przemysłowy. Najważniejszym środkiem, jakim mocarstwa zachodnie rozporządzają, ażeby wzmocnić zespół państw środkowo-wschodnich jest mobilizacja wielkiego kredytu międzynarodowego. Potrzeba na to pokoju, ale „trójprzymierze demokracyj", jeśli wytrwa w solidarności, zdaje się być dostatecznie potężnym, ażeby ten pokój wytargować lub wymusić od Niemiec i Włoch, a także ewentualnie zabezpieczyć przed Rosją Sowiecką.

Kredyt międzynarodowy dla środkowego wschodu Europy musiałby na razie nosić charakter wybitnie polityczny. Jednak stopniowo mógłby przybrać również cechy gospodarcze, a odpowiednio rozwinięty spowodowałby trzecią z kolei powojenną „falę koniunktury" światowej. Przyniósłby ulgę Zachodowi w jego nadmiarze kapitałów i dóbr, na jakiś czas zatrudniłby nadmiar jego zdolności produkcyjnej, ożywił obrót międzynarodowy, rozszerzoną pojemnością rynków i dostawą surowców podtrzymałby nawet ekonomicznie mocno zagrożone Niemcy. Ta nowa, choćby i przejściowa fala pomyślności mogłaby oddać nieocenione usługi: wyciągnąć z dna nędzy i stworzyć odskocznię dalszego rozwoju dla najbardziej zacofanych gospodarstw europejskich, rozszerzyć widnokrąg doświadczeń i zasięg świadomości, przygotować grunt psychiczny i umożliwić rozplanowanie materialnych dróg wielkiej przebudowy społecznej i międzynarodowej. Kosztowałoby to znów Zachód dobrych kilka miliardów równie bezzwrotnych jak długi wojenne i kredyty udzielone Niemcom przed ich bankructwem. Ale opłaciłoby się człowieczeństwu.

Takie wdzięczne horoskopy po srogim zagrożeniu przynosi światu i Polsce tegoroczna Gwiazdka. Jeśli ich jeszcze nie odwrócą jakieś komplikacje, to p. wicepremier Kwiatkowski okazałby się istotnie „czarodziejem koniunktur", jak z pierwszej wyprowadził Gdynię, tak z trzeciej mógłby wyprowadzić Centralny Okręg.

Andrzej Prawdzic.

Warszawa, 23. XI.

Przed Międzynarodowym Kongresem Eucharystycznym w Budapeszcie

25—29. V. 1938.

Ostatni Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny na europejskim kontynencie odbył się w roku 1924 w Amsterdamie. Chicago, Sydney, Kartagina, Dublin, Buenos Aires i Manila — oto szlaki triumfalnego pochodu Eucharystii poprzez świat, wiodące znowu na ziemię Europy, tym razem do Węgier.

Eucharystyczny ruch światowy, zrodzony ze skromnych początków wyrósł w miarę postępu czasu na wspaniałą okresową manifestację całego wierzącego świata katolickiego. W ostatnim dziesiątku lat ruch ten, dzięki jego wszechświatowemu charakterowi, zaczęto pojmować jako rodzaj potężnego środka misyjnego, rozniecającego ogniska intensywniejszego życia religijnego tam, gdzie to życie zdaje się być szczególnie zagrożone.

W tym świetle powrót eucharystycznego pochodu na ziemie Europy nabiera szczególniejszego znaczenia. Spoganiała Europa, znękana do tego trawiącą jej organizm chorobą chronicznych kryzysów duchowych i materialnych, objęta na dwóch krańcach ogniem czerwonej pożogi, grożącej ruiną całej dotychczasowej kultury, w napiętej do ostateczności atmosferze nieufności i alarmów..., ta Europa potrzebuje dziś jak nigdy indziej eucharystycznej ochłody, zjawienia się Chrystusa, przynoszącego pokój. Potrzebuje umocnienia wiary jako przeciwdawki na groźną zarazę niewiary.

Eucharystycznym kongresom można wytyczać olbrzymie zadania do spełnienia. Ale rodzi się pytanie, w jakiej mierze zdolne są one odpowiedzieć tym oczekiwaniom i zamierzeniom, nakreślanym z góry? Odpowiedź na to pytanie będzie zależeć od tego, jak my sami pojmiemy sens i cele eucharystycznego kongresu. Jeżeli w eucharystycznym kongresie widzimy przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, zewnętrzną, przejściową, zakrojoną na większą skalę manifestację religijnych uczuć i przekonań, przegląd naszych związków i organizacyj, rewię wierzących tłumów, okazję do wypowiedzenia się wobec całego świata i urządzenia liturgicznych wystaw, to oczywiście i przy takim ujęciu zamierzeń można osiągnąć wiele. Nie można jednak liczyć na jakiś głębszy i trwalszy wpływ na życie. W tego rodzaju kongresach — jak zauważa Papini — kryje się nawet pewne niebezpieczeństwo uśpienia własnego sumienia oraz czujności. W obliczu olśniewających nieraz widoków, jakie przedstawiają tłumne i barwne manifestacje katolickie, wobec przeglądu osiągniętego dorobku, katolicki ogół traci wyczucie braków i potrzeb, konieczności podjęcia dalszych mozolnych wysiłków. Również siła przyciągająca tak pomyślanych i urządzanych kongresów musi maleć w miarę ich coraz bardziej zewnętrznego charakteru.

Ale jeżeli eucharystyczny kongres pojmiemy głębiej i szerzej, jako sposobność do nadania naszym apologetycznym i apostolskim wysiłkom eucharystycznej podbudowy czyli jeżeli kongres sięgnie do samych głębin życia Kościoła, gdzie się splatają wszystkie tajemnice katolickich wierzeń, jeżeli za zadanie postawi sobie wydobycie ze skarbnicy tych wierzeń wartości, jakich żadna inna religia nie daje, i ukazanie tych wartości całemu światu i jeżeli wreszcie kongres eucharystyczny pojmie

się nie jako cztero lub pięcio dniową manifestację, ale jako wytężoną, konsekwentną pracę całego kongresowego roku, wtedy tak pojętemu ruchowi można wyznaczać dalekosiężne zadania na międzynarodową skalę. Każdy taki kongres może stać się dziejowym wydarzeniem.

Najbliższy kongres budapeszteński będzie właśnie usiłował pójść po linii tej drugiej koncepcji kongresów. Wobec tego narzuca się konieczność sprecyzowania celów, środków i sposobów pracy, jaka czeka przyszłych uczestników kongresu.

I tak powinno się naprzód rozszerzyć czasowe ramy kongresu. Powinno się w ogóle rozszerzyć dotychczasowy program kongresowych uroczystości oraz poczynań. Kongres nie powinien zamknąć się w ramach czterech do pięciu dni, lecz musi objąć cały rok przygotowawczy, kilkudniowe zaś uroczystości eucharystyczne byłyby tylko zakończeniem i ukoronowaniem całorocznej pracy. Zatem już na rok przed kongresem należało by przystąpić do intensywnej pracy. Należało by wydobywać i rozwijać apologetyczne i propagandowe a nawet i artystyczne wartości, jakie kryją się w tajemnicy Najśw. Sakramentu. Myśli te powinny dojrzeć, powinny mieć dostateczną ilość czasu, by mogły przeniknąć jak najszersze masy katolickich społeczeństw. W czasie kongresowego roku wszędzie, a zwłaszcza w kraju, gdzie ma się odbyć kongres, po wsiach i miastach, powinny powstawać ośrodki eucharystycznego ruchu, skierowanego ku przyszłemu kongresowi, a obejmującego wszystkie stany i zrzeszenia. Powinno się urządzać osobne odczyty i konferencje dla dzieci, młodzieży i osób starszych, wydawać odpowiednie publikacje, rozwieszać ogłoszenia, urządzać eucharystyczne obchody, a wszystko z myślą o nadchodzących dniach światowej uroczystości.

W ten sposób rozszerzą się przestrzenne ramy kongresu. Cały świat katolicki będzie jedną wielką rodziną, gotującą się do zbiorowego, godnego uczczenia swego Wodza i Pana.

Ostatnim akordem kongresowego roku będzie publiczne wyznanie wiary na znak przyłączenia się do powszechnego hołdu Chrystusowi, złożonego na ręce papieskiego legata, rozgłoszone za pomocą radia po całym świecie, w językach wszystkich narodów, których przedstawiciele wezmą udział w kongresowych uroczystościach. Przemówienie i błogosławieństwo Ojca św., które powinno dotrzeć na falach eteru do wszystkich katolickich rodzin świata, będzie wspaniałym finałem tych podniosłych manifestacyj.

Wreszcie Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny musi zawierać treść, dostosowaną do duchowych potrzeb współczesnego świata. Nie może poprzestać na ożywieniu ascetyczno-religijnej i moralnej gorliwości u wierzących, lecz musi rzucić apel do całego świata, zagrożonego całkowitym odpadnięciem od

Boga i Chrystusa, podminowanego bolszewicką zorganizowaną niewiarą. Musimy przez kongres pokazać światu jego tragiczne oddalanie się od wieczystych ideałów, a zwłaszcza od źródeł wieczystej miłości. W myśl tego hasła budapeszteński kongres będzie miał zdecydowanie przeciwbezbożnicze oblicze. Podniesie wysoko sztandar Eucharystii, by ogłosić światu krucjatę miłości, radości i braterstwa przeciw zastępom apostołów nienawiści, mordu i niewiary.

Ale by ta krucjata mogła wydać stokrotne owoce, jakich słusznie oczekujemy po tego rodzaju manifestacjach, musi rozpocząć się już dziś i musi ogarnąć świat cały! Znana z przywiązania do wiary i zahartowana w bojach o jej nieśmiertelne wartości Polska, powinna stanąć w pierwszym szeregu tej wielkiej eucharystycznej krucjaty wiary i miłości!

Ks. Wojciech Bangha T. J.

Higiena psychiczna.

Trapiące ludzkość choroby wzmagają upór badawczej myśli ludzkiej, szukającej źródeł zaburzeń i środków zaradczych. Poza postępem w zwalczaniu chorób już istniejących organizuje się w ostatnich dziesiątkach lat we wszystkich państwach kulturalnych akcję zapobiegawczą, która powinna być zasadą ustosunkowania się do zagadnień zdrowia i choroby człowieka. Akcja zapobiegawcza, cenna w każdej dziedzinie higieny, może odegrać specjalnie doniosłą rolę w stosunku do zaburzeń psychicznych, które w formach lżejszych lub początkowych łatwiej się poddają modyfikującym wpływom. Jest to właśnie zadanie higieny psychicznej.

Jak można by ją określić? Analogicznie do higieny pojętej ogólnie byłaby to nauka o warunkach zdrowia psychicznego jednostki i grupy, a jako sztuka zajmowałaby się stosowaniem do jednostki i grupy wskazań, wypływających z poznania tych warunków sprzyjających zdrowiu psychicznemu.

Celem jej było by, w stosunku do osób normalnych, zapobieganie zaburzeniom oraz rozwój harmonijny najważniejszych funkcyj z punktu widzenia zdrowia; w stosunku zaś do osobników dotkniętych zaburzeniemi, celem higieny psychicznej było by przeciwdziałanie dalszemu pogorszeniu, organizacja najodpowiedniejszych warunków dla życia, pracy i samopoczucia chorego, wyzyskanie dla dobra społeczeństwa właściwości tkwiących w zespołach chorobowych, a cennych dla kultury, wreszcie przywrócenie do stanu normalnego zaburzonych funkcyj. W od-

niesieniu do grupy społecznej, higiena psychiczna powinna się zająć organizacją zdrowych warunków życia i pracy grupy społecznej.

Nie będziemy się tutaj zastanawiać nad niemożliwym w obecnych warunkach rozwiązaniem zagadnienia normy, nie będziemy również usiłowali dać określenia zdrowia psychicznego. Pojęcie normy jest raczej pojęciem umownym; będzie się ona wahać w zależności od trwania objawów danego zaburzenia, ich rodzaju, typu danego osobnika, poziomu jego kultury itd. W stosunku do sztucznie przyjętej, umownej normy psychicznego zdrowia — będziemy mogli rozróżnić ludzi anormalnych w górę i w dół (nadnormalni i podnormalni). Jedynym wyjściem z tego zagadnienia jest uważanie za anormalnych tych osobników, u których, na podstawie kryteriów somatycznych, psychologicznych, społecznych i kulturalnych można stwierdzić wyraźny zespół zaburzeń psychicznych.

Takie ujęcie kwestii normy oświetla w pewnej mierze również zagadnienie zdrowia psychicznego. Już z rozważań powyższych widzimy, że higiena psychiczna zarówno jako nauka jak i jako sztuka przyjmuje wielostronny punkt widzenia, jako istotną zasadę swych metod pracy. Takie ujęcie można by nazwać wielowymiarowym. Higiena psychiczna, będąc niejako syntezą nauk i sztuk z pogranicza medycyny, psychologii i socjologii, stosuje metody wymienionych nauk i sztuk. W stosunku do osobnika cierpiącego higienista psychiczny musi uwzględnić stan organiczny pacjenta, musi poznać wszechstronnie jego strukturę psychiczną, stan psychiczny i zachowanie, historię rozwoju psychicznego, poziom umysłowy i kulturalny, warunki materialne, stosunki rodzinne oraz środowisko dalsze.

Danie takiej syntezy psychologicznej po wszechstronnej analizie jest możliwe tylko przy współpracy lekarza z psychologiem i pielęgniarką społeczną. Dopiero uzbrojony w taki zespół wiadomości o pacjencie może higienista psychiczny postawić diagnozę wszechstronną i opracować konkretną metodę postępowania i leczenia.

Taką samą metodę postępowania zastosuje higienista psychiczny do osobnika tak zw. normalnego. Zarówno w stosunku do takiego osobnika, jak i do takiego lub innego zaburzenia psychicznego, przestępstwa, trudności wychowawczych dziecka itd. higienista psychiczny nie ogranicza się do postawienia diagnozy i udzielenia wskazówek, ale postawi i spróbuje rozwiązać pytanie, jak ta sprawa wygląda z punktu widzenia całokształtu spraw życiowych danego osobnika i jego otoczenia, jak dane zjawisko wygląda ilościowo, jaka jest jego waga dla życia grupy społecznej i całego społeczeństwa, jakie są przyczyny i jakie tendencje rozwojowe tego zjawiska i jak należy się do niego wszechstronnie ustosunkować.

Uwagi powyższe wskazują już w pewnej mierze na stosunek higieny psychicznej do nauk i sztuk pokrewnych.

W stosunku do psychiatrii — higiena psychiczna jest nauką i sztuką o znacznie szerszym zasięgu, przeważa w niej charakter zapobiegawczy a nie leczniczy, jest sztuką w pierwszym rzędzie lekarsko-społeczną, a mniej kliniczną; praktycznie zużytkowuje w swych metodach nauki i sztuki pokrewne.

W stosunku do psychologii występuje współzależność. Higiena psychiczna stosuje w szerokim zakresie terminologię psychologiczną i metody badań psychologicznych, daje psychologii szerokie pole zastosowania praktycznego (poradnie higieny psychicznej, zakłady wychowawczo-lecznicze itd.), modyfikuje jednostronną postawę psychologa w stosunku do jednostki i grupy, zmusza go do uwzględnienia punktu widzenia fizjologicznego, psychopatologicznego i społecznego.

Zajmując się specjalnie dziećmi i młodzieżą, jako materiałem najwdzięczniejszym dla oddziaływania leczniczo-wychowawczego, higienista psychiczny wkracza w zakres pedagogiki tzw. pedagogiki leczniczej. Jeżeli chodzi o tak zw. trudności wychowawcze, psychonerwice, psychopatie, oraz stany upośledzenia i zaniedbania umysłowego i moralnego — higienista psychiczny musi stosować w swym postępowaniu również metody pedagogiczne.

Powyższe zagadnienie kulturalnych kryteriów normy oraz podane cele higieny psychicznej (rozwój harmonijny najważniejszych funkcyj z punktu widzenia zdrowia, wyzyskanie wartości tkwiących w zespołach chorobowych, a cennych dla kultury itd.) wysuwają konieczność bliskiej współpracy higienisty psychicznego z pedagogiem.

I jeszcze jedno zagadnienie pierwszorzędnego znaczenia — mianowicie związek higieny psychicznej ze sprawami światopoglądowymi i religijnymi. W naszej pracy poradnianej spotykamy się nieustannie z koniecznością poruszania, prostowania i oczyszczania spraw światopoglądowych; z drugiej strony, znawcy psychologii spowiedzi wiedzą, jaką rolę oczyszczającą, kanalizującą i harmonizującą z punktu widzenia nawet czysto naturalnego posiada spowiedź odpowiednio przeprowadzona.

Już te dwa zagadnienia wyjaśniają wartość dwustronnego zbliżenia przedstawicieli obu dziedzin (studia higieniczno-psychiczne i psychologiczno-religijne).

Droga religii zaczynając od ujęcia ludzi prostych, wznosząc się na poziom ścisłej pracy duchowej, świeckiej czy zakonnej, a kończąc na mistycyzmie, w każdym czasie i epoce była jednym z najważniejszych środków pomyślnych rozwiązań u jednostek, popadających w depresję, skłonności samobójcze, nierównowagę psychiczną, dręczonych konfliktami, natręctwami, nadczułych itd. Religia stanowi skuteczny środek wzniesienia się na

poziom harmonii wyższego rzędu. I to z pominięciem nawet wartości nadprzyrodzonych stanowi jej doniosłość higieniczno-psychiczną.

Z małego oddziałku neuropsychiatrii dziecięcej i pedagogiki leczniczej, otwartego przy szpitalnictwie Miejskim w r. 1933 z inicjatywy Min. Op. Społ. powstał w jesieni 1935 r., z rozporządzenia Ministra Opieki Społecznej, Państwowy Instytut Higieny Psychicznej, stanowiący od sierpnia 1937 r. odrębny Dział Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie. Zadaniem Instytutu jest scentralizowanie, uporządkowanie i prowadzenie prac naukowych badawczych, normatywnych, szkoleniowych i propagandowych z zakresu higieny psychicznej oraz organizowanie wzorowych placówek klinicznych o charakterze profilaktycznym. W tym zakresie główną rolę odegrać mają poradnie, zakłady wychowawczo-lecznicze, oddziały szpitalne dla lżejszych, lub będących w stadiach początkowych zaburzeń psychicznych. Instytut od początku swego istnienia przystąpił do zbierania i opracowywania materiałów, dostarczonych przez własny oddział obserwacyjny i własne poradnie. W toku opracowywania znajdują się następujące zagadnienia: typy nerwowości u dzieci, psychologia kontaktu wychowawczego dzieci z objawami zaburzeń psychicznych, psychologia konfliktów itd. W dziale normatywnym opracowuje się teksty, kwestionariusze, kartotekę bibliograficzną oraz kartotekę zakładów wychowawczych. Specjalny instruktor higieny psychicznej objeżdża zakłady pokrewne na terenie kraju zapoznając się z ich działalnością, brakami itd. i przygotowując materiały do prac organizacyjnych.

Instytut prowadzi poza tym kursy dla pielęgniarek i wychowawczyń w zakresie higieny psychicznej oraz systematyczne cykle wykładów dla nauczycieli, wychowawców i rodziców. Na miejscu również odbywa praktykę grupa absolwentów lub starszych słuchaczy psychologii wychowawczej Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego.

W zakresie klinicznym prowadzony jest oddział pedagogiki leczniczej i neuropsychiatrii dziecięcej oraz szereg poradni o charakterze profilaktycznym: 1) poradnia dla dzieci i młodzieży z zaburzeniami nerwowymi i psychicznymi; 2) poradnia dla dorosłych z zaburzeniami jak wyżej; 3) poradnia dla zaburzeń mowy; 4) poradnia dla epileptyków; 5) poradnia dla osób normalnych z trudnościami życiowymi. Poradnia psychotechniczna pracuje w zastosowaniu do pacjentów oddziału i przychodni wyżej wymienionych. Cechą charakterystyczną pracy klinicznej w Instytucie jest ścisła współpraca lekarza, psychologa, wychowawcy i pielęgniarki społecznej, dlatego też zagadnienie zaburzeń psychicznych, trudności wychowawczych, życiowych itp. może być ujęte wszechstronnie i traktowane harmonijnie w różnych niejako wymiarach. Czas badania przy stosowaniu takiej metody

zwiększa się nie do porównania. Np. pierwsze badanie dziecka trwa około 3 godzin. Dostatnio wyposażone laboratoria pozwalają na stosowanie wszelkich dostępnych w tym zakresie metod badawczych i wychowawczo-leczniczych. Instytut mieści się we własnych budynkach w stolicy, przy ul. Puławskiej 91.

Dr med. K. Dąbrowski.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 2 grudnia 1937 r.

Spis rzeczy tomu 216.

Artykuły:

Str.

St. Szczutowski: Wojna, gospodarka i ustrój 3
Zofia Starowieyska-Morstinowa: W perspektywie czasu 20
H. J. Korybut-Woroniecki: Dwudziestolecie Rosji Sowieckiej 37
Ks. St. Nawrocki T. J.: Miłosierne epos polskiego Cyda 53
Konstanty Symonolewicz: Problem dalekiego Wschodu 66
Prof. dr Otto Forst de Battaglia: Wieszcz i prorok młodych Włoch 79
Ks. St. J. Góra T. J.: Problem transcendencji i immanencji 85
Dr W. Jasiński: Kwadratura koła w polskiej pedagogice 149
Prof. dr Otto Forst de Battaglia: Tomasz Garrigue Masaryk 159
Wiktor Doda: Beniowski W. Sieroszewskiego 177
H. J. Korybut-Woroniecki: Rezultaty dwudziestu lat panowania komunizmu w Rosji 196
St. Szczutowski: Prawica, lewica i niepodległość 214
Dr Andrzej Niesiołowski: Katolicyzm polityczny, jego słabość oraz perspektywy 277
Dr L. Wachholz: Chrystus a medycyna 295
Ks. E. Kantak: Działalność franciszkanów polskich w wiekach XVI—XVIII 306
Prof. dr Otto Forst de Battaglia: Dzisiejsze Węgry 319
H. J. Korybut-Woroniecki: Zasada komunizmu a rzeczywistość 328
St. Szczutowski: Polityczna i gospodarcza konsolidacja 344
Ks. mgr Marian Rechowicz: Jan Józef Welamin Rutski 358

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Leon Kruczkowski: Sidła. — Adolf Nowaczyński: Cezar i człowiek. — Stanisław Rembek: W polu. — F. A Ossendowski: Szanghaj. — Halina Górska: Ślepe tory. — Adolf Rudnicki: Niekochana. — Albert Bessières: Narzeczeni z Leningradu. — Tadeusz Dybczyński: W poprzek Sybiru. — Basil Carey: Kapitan Krystyna (Zofia Starowieyska-Morstinowa) 101
Marcel Bouteron: Pologne Romantique (Ks. Br. Wójcik T. J.) 114
Maria Schlenz: So heilt man unheilbar scheinende Krankheiten (S. M. R.) 114
Dr Auguste Vallet: Mes Conférences sur les guérisons miraculeuses de Lourdes (S. M. R.) 115
J. Müller S. J.: Der hl. Joseph (S. M. R.) 116
Ks. arcybp. Józef Fedorowicz: Od Jahwy do Mesjasza (Ks. Jan Rosiak T. J.) 232
St. Łempicki: Polskie tradycje wychowawcze (Ks. K. Werbel) 233
Ignacy Czuma: Ustrojowe podstawy skarbowości na tle konstytucji kwietniowej (St. Szczutowski) 235
Ks. Jan Kobierski: Ideał kapłana w pojęciu współczesnych (Ks. Wład. Rejowicz T. J.) 237
Dr D. Joseph Holzner: Paulus (Ein Heldenleben im Dienste Christi, im religionsgeschichtlichen Zusammenhang dargestellt. Mit 47 Abbildungen auf 16 Tafeln, 8 Textzeichnungen und 1 Übersichtskarte (S. M. R.) 237
Wilhelm Sieber: Das frühgermanische Christentum (S. M. R.) 239
Abbé Charles Grimaud: Lui et nous: un seul Christ (S. M. R.) 240
Notatki bibliograficzne 241, 387
Alina Świderska: Królowie. — Teodor Parnicki: Aecjusz, ostatni Rzymianin. — Maria Kuncewiczowa: Dni powszednie państwa Kowalskich. — Wanda Karczewska: Ludzie spod żagli. — Jerzy Strzemię-Janowski: Karmazyny i Żuliki (Zofia Starowieyska-Morstinowa) 370
Kawyn Stefan: Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza (1890—1898) (Dr Marian Tyrowicz) . . . 380
Terlecki Tymon: Rodowód poetycki Ryszarda Berwińskiego (Dr Marian Tyrowicz) 381
Św. Cyprian: Pisma I, Traktaty (Dr Stanisław Seliga) 382
Maria Szurek-Wisti: Miriam-tłumacz (Zofia Starowieyska-Morstinowa) 383
Dr Jan Muszkowski: Życie książki (Ks. Br. Wójcik T. J) . . . 384
H. l'Abbé Coudurier: Vie de la Bienheureuse Lidwine (Ks. Br. Wójcik T. J.) 384
P. Karl Egger S. J.: Secle im Sturm (S. S. R.) 385
Filofický Slownik (Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.) 386

Str.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Październik: Wzrost politycznej agitacji w Polsce. — Horoskopy OZoNu. — Pretensje polityczne pod adresem Kościoła (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 118

Listopad: Nowe wybory. — Zmiana ordynacji wyborczej (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 246

Grudzień: Radykalizm i komunizm w szeregach młodzieży. — Front Młodej Lewicy. — O Katolicki i Narodowy Front Młodych (Ks. Edward Kosibowicz T. J.) 392

Sprawy państwa:

Październik: Azja, floty i równowaga. — Moskwa, Palermo i Norymberga. — Rozbój i dekompozycja. — Czerwony śmiech (Andrzej Prawdzic) 128

Listopad: Konsekwencje zjazdu dyktatorów w Berlinie. — Niemcy gotują się do skoku. — Ameryka, pokój i Polska. — Rzut oka na zasadniczą linię polityki polskiej (Andrzej Prawdzic) 257

Grudzień: Trójporozumienie demokracyj i trójprzymierze totalizmów. — Chiny i Hiszpania. — Zwrot w położeniu. — Blok przeciwsowiecki. — Horoskopy pokojowe na gwiazdkę (Andrzej Prawdzic) . . . . . .

„Pawilon Katolicki" na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu (Ks. Stanisław Podoleński T. J.) 138

Katolicka myśl społeczna w Polsce (Ks. Aleks. Kisiel T. J.) 144

Międzynarodowy Kongres Ludnościowy w Paryżu (Ks. Stanisław Podoleński T. J.) 267

Zgon tygodnika „Sept" (Dr F. B.) 272

Przed Międzynarodowym Kongresem Eucharystycznym w Budapeszcie (Ks. Wojciech Bangha T. J.) 410

Higiena psychiczna (Dr med. K. Dąbrowski) 413